

Beverly Byrne

WIECZNY PŁOMIENÍ

CZĘŚĆ PIERWSZA

Ta noc w roku 1380 była bezksiężycowa; w nikłym świetle gwiazd i przyćmionym blasku jednej latarni pracowały trzy postacie. Noc była zimna, ale kobieta i dwóch mężczyzn zlewali się potem, kiedy ciągnęli liny podtrzymujące ogromną granitową płytę.

- Cały ten pomysł to szaleństwo - Nathan rzucił krótkie spojrzenie na ojca. Benhaj ciągnął ostatnią naprężoną linę, oddychając z trudem. - Jak myślisz, jak często musimy to robić? - dopytywał się jego syn.

Każdy miesiąc Benhaja drżał z wysiłku; ostre bóle przenikały jego ramiona, nogi i pierś. - Będziemy to robić tak często, jak będzie trzeba - odparł gniewnie.

- Skończone - powiedziała Rasha, jego żona, kiedy z ostatnim wyczerpującym pociągnięciem płyta znalazła się z powrotem na swoim miejscu. Kobieta stała w błocie po kolana, jej serce biło dziko, wachlowała się rąbkiem sukni.

Skarbiec wyglądał teraz dokładnie tak, jak w chwili gdy tych troje rozpoczęło swoją pracę - mała pochyłość w naturalnej granitowej odkrywce w ogrodzie pałacu Mendozów w Kordobie. Kiedy zwinęli liny, nic nie wskazywało na to, że cokolwiek w otoczeniu zostało naruszone, że pod pierwszym magazynem znajduje się jeszcze jeden, dużo większy.

Słońce tego ranka wzeszło jaskrawą czerwienią, a Benhaj patrzył na nie i wiedział, że to zapowiedź nadejścia ognia. - To jeszcze nie koniec, Rasha - rzekł do swojej żony. - To dopiero początek.

Zapasy w sekretnej grocie rosły kawałek po kawałku, w miarę jak Benhaj i Nathan dokładali do nich dziesiątą część swych dochodów. Mendozowie byli lichwiarzami, byli nimi od niepamiętnych czasów. Teraz po każdej transakcji dzielili swoje zyski. - To na nasze potrzeby i na podatki - mawiał Benhaj, spychając na stronę największą część złotych dukatów. - A to na przyszłość.

Udziały Rasy również trafiały do groty. Ona sama tak zdecydowała, ale zapewniała męża, że to właściwa decyzja.

Benhaj przewidział nadejście burzy na 17 czerwca 1391 roku. Rozszalały motłoch do cna spalił żydowską dzielnicę w Kordobie, w tym także Palacio Mendoza. Dwa tysiące żydów zginęło tego dnia, a ich ciała porzucono na ulicach, by zgniły bez pochówku. Rodzina Mendozów ocalała jednak, Benhaj i Nathan dożyli powrotu i

zobaczyli, że fałszywa ściana chroniąca ich sekretny zbiór jest nienaruszona.

Stojąc pośród wypalonego i szerniałego pustkowia, kołysząc się w rytm pradawnych rytmów, stary człowiek krzyczał o zemstę słowami psalmu. - Nad rzekami Babilonu, tam myśmy siedzieli i płakali, kiedyśmy wspominali Syjon... - przerwał, a głos jego drżał. - Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica...

Nathan zakończył psalm: - Cóżo Babilonu, niszczycielko, szczęśliwy, kto ci odpłaci za zło, jakie nam wyrządziłaś! Szczęśliwy, kto schwyci i rozbije o skałę twoje dzieci.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Synagoga w Bordeaux mieściła się w ciasnej i ciemnej piwnicy. Przypadkowe promienie światła rozjaśniały mrok, sącząc się przez maleńkie otwory umieszczone gdzieś pod sufitem. Otwory od zewnątrz były ledwie zauważalnymi szparami u dołu ściany starego budynku stojącego w krętej, wąskiej alei. W świątyni obok arki zawierającej zwoje Tory paliła się lampa oliwna. Dniem i nocą swą czerwoną poświatą zalewała mrok.

Choć żaden żyd legalnie nie mógł być francuskim poddanym, władze chętnie przyznawały żydom prawo osiedlenia się we Francji. Tę arkę i jej wieczny ogień pozostawiano w spokoju przez niemal trzysta lat, i był to jeden z powodów, dla których tego roku 1788, w swej sześćdziesiątej trzeciej wiosnie, Benjamin Valon był szczęśliwym człowiekiem.

- Wyobraź sobie, moja mała Sophie, nasi ludzie modlą się tu od piętnastego wieku - mówił nieraz stary człowiek do swej pięcioletniej wnuczki. - To cud. Pamiętaj, co ci mówiłem na temat tego, jak to się stało. Jak w 1492 roku hiszpański król i królowa wypędzili ze swego królestwa wszystkich żydów i nasi przodkowie przybyli do Bordeaux. Nigdy nie zapomnij, że jesteśmy Sefardyjczykami, żydami z Hiszpanii. Mamy wspaniałą przeszłość.

Benjamin Valon był zafascynowany historią swego rodu. Nauczył się hiszpańskiego i z zachwytem czytał o cudach skąpanej w słońcu Hiszpanii; marzył, że odwiedzi ją któregoś dnia. Kiedy mówił Sophie o wszystkich tych rzeczach, ta słuchała i potakiwała, choć tak naprawdę niewiele pojmowała z jego wypowiedzi. Dziadek na jej proste pytania odpowiadał zawiłymi wyjaśnieniami; poza tym pojęcie przeszłości i przyszłości było mało zrozumiałe dla dziecka. Wciąż podejmowała kolejne próby. - Dlaczego król zmusił nas do opuszczenia Hiszpanii?

- Na imię miał Ferdynand, jego żoną była królowa Izabela, a chcieli oni, aby każdy w ich królestwie wierzył w Chrystusa Króla.

- Ale mówiłeś, że jest tylko jeden Bóg...

- To prawda, Sophie, to prawda. Ale... - Benjamin zaczął kolejną długą rozprawę, za którą ona nie mogła nadażyć.

Stary człowiek wiedział, że mała Sophie nie pojmuje jego słów, ale to nie miało znaczenia. Benjamin uwielbiał swoją jedyną wnuczkę, a godziny, które z nią spędzał, były najświetniejszymi ze wszystkich

przyjemności tych spokojnych dni u kresu niełatwego, lecz owocnego życia.

Jego ojciec był domokrażcą, przemierzającym ulice wozem z używaną odzieżą; dziś Valonowie posiadali sklep z galanterią męską, który zatrudniał trzydziestu krawców i służył najlepiej ubranym dżentelmenom w południowo - zachodniej Francji. Osiągnąwszy to wszystko do roku 1783, kiedy urodziła się Sophie, Benjamin, który był wdowcem od wielu lat, wycofał się z interesu i przekazał go ojcu Sophie, swemu synowi, Leonowi.

- Teraz, papo, masz czas na swoje modlitwy i książki - rzekł młody mężczyzna.

- I na przebywanie z twoją piękną córką - dodał starzec. Jakże słodkie było to minione pięć lat. Dziecko dostarczało mu tyle

radości; już samo patrzenie na małą było radością. Włosy Sophie były czarne i gęste i okalały jej twarz płataniną loków. Jej cera była miodowozłota, policzki zdobiły zdrowe rumieńce. Oczy jednak, wbrew oczekiwaniom, nie były brązowe. Jakiś szelmowski element z przeszłości obdarował dziewczynkę ogromnymi oczyma o świetliście akwamarynowym błękitcie. Jaśniały blaskiem brylantów. Gdyby nie te oczy, byłaby tylko nieprzeciętnie ładna; z ich powodu Sophie Valon pisane było wyrosnąć na piękność.

Rachela, żona Leona, nie była ładna i Benjamin podejrzewał, że jest zazdrosna o córkę. Niewiele czasu spędzała z Sophie, wołała codziennie wraz z mężem pracować w sklepie. Do opieki nad dzieckiem zatrudniono kobietę, ale to Benjamin dźwigał ciężar odpowiedzialności za jej wychowanie. Czuwał nad jej pierwszymi krokami i niańczył ją, kiedy przechodziła choroby dzieciństwa. Uczył ją czytać i rachować. Dokądkolwiek szedł, dziewczynka szła z nim, kurczowo uczepona jego ręki.

Niemal każdego ranka szli więc razem ulicami do tej alei starych domów, a potem po stromych, wąskich stopniach schodzili do synagogi. Niezmiennie tuż przed przybyciem na miejsce Sophie zadawała to samo pytanie: - Dziadziu, mogę dziś z tobą posiedzieć?

- Nie. Ani dziś, ani za tydzień, ani za rok.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ, jak już ci mówiłem nieraz, kobiety i mężczyźni nie mogą tam siedzieć razem.

- W domu siedzimy razem.

- W domu tak, ale w synagodze nie.

Sophie wzdychała i tłumiała swoje protesty z obawy, że jeśli się będzie upierać, następnym razem zostanie w domu. Nie było zresztą tak źle, jej ukochany dziadziuś nie był daleko. Małeńka synagoga była zbyt mała na zwyczajowe balkony dla żeńskiej i męskiej zbiorowości. Postawiono tu tylko symboliczną przegrodę z drewnianych listew, które tworzyły kratkowany wzór, i przykryto ją ciemnoczerwoną kotarą zakończoną u góry i dołu wypolerowanym mosiężnym prętem. Sophie szybko odkryła, że jeśli ostrożnie ruszy zasłonę paluszkami, może zerknąć na mężczyzn, i ani oni, ani kobiety wokół niej nie będą o tym wiedziały.

Sophie widziała wszystko - bogato zdobione zwoje Tory, czarne mycki, które nauczyła się nazywać jarmułkami, i tałesy, jedwabne szale z frędzlami, kołyszące się w przód i w tył, kiedy wierni poruszali się w takt pradawnych rytmów, a przy specjalnych ceremoniach widziała kręcony róg barani, szofar, wszystko zaś pokryte było kratkowanym cieniem drewnianego parawanu.

W ciągu dnia w domu Benjamin słuchał małej dziewczynki śpiewającej psalmy z synagogi. - Co za głos - mrucał znieruchomiały z zadziwienia. - Moja Sophie, gdybyś była chłopcem, zostałabyś kantorem. Bóg musiał mieć jakiś powód, obdarzając takim głosem dziewczynkę, ale nie mam pojęcia jaki.

Zazwyczaj Sophie kładła się do łóżka przed powrotem rodziców ze sklepu, więc Leon i Rachela rzadko słyszeli jej śpiew. To Benjamin musiał powiedzieć im o zadziwiającym głosie dziecka. - Trzeba zrobić coś w tej sprawie. Nie wiem co, ale takiego daru nie można zlekceważyć.

- Tak, papo, tak. Ale teraz mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

- Co na przykład? Co może być ważniejsze do waszego jedyne go dziecka?

- Papo, nadeszły wielkie dni. Wolność, równość, braterstwo to nie są puste słowa. Spójrz, czego dokonali w Ameryce. Rewolucji, ni mniej, ni więcej. Teraz takie rzeczy dzieją się tu, we Francji.

Leon z entuzjazmem mówił o politycznym wrzeniu ostatnich osiemnastu miesięcy. Znęcony możliwościami, nie mógł przewidzieć burzy, która miała się rozpuścić. Nie widział, że na la belle France pada coraz dłuższy cień gilotyny. - Nadchodzi nowa era - powiedział ojcu. -

Będzie cudowna. Obiecuję, papo, dożyjesz takich rzeczy, o których istnieniu nie śniłeś.

- Może, jeśli Bóg uczyni dzień dziesięciogodzinnym, a miesiąc dwutygodniowym. Jestem stary, mój synu. Dla mnie przyszłość już nie zdąży nadejść. Ona jest dla ciebie. I dla małej Sophie. Może w tej czarownej przyszłości dziewczynka będzie mogła zrobić użytek ze swojego cudownego głosu...

Ponieważ Beniamin nie zajmował się polityką, nie słyszał pieśni innego rodzaju, które śpiewano w całej Francji. Ale Leon miał słusność, można je było usłyszeć. Wznosiły się nad rzekami i polami, po wsiach, nad ulicami miast. Chleb dla wszystkich, śpiewano, równość, precz z ciemiężcami. W dniu szóstych urodzin Sophie, 14 lipca 1789 roku, śpiewy osiągnęły crescendo. Zdobyto i zburzono Bastylię. Zaczęła się Rewolucja Francuska.

- Mówiłem ci, papo, mówiłem - radował się Leon. Jego euforia wydawała się usprawiedliwiona, kiedy pod koniec czerwca 1790 Sefardyjczycy z południowej Francji zostali uznani za prawowitych obywateli Francji, dzieci ojczyzny.

Wrzenie ogarniało naród, trąba powietrzna. Świeżo obdarzeni prawami obywatelskimi żydzi włożyli serca, dusze i zasoby w batalię umocnienia sukcesu rewolucji. Wyładowywali swoje skarby i zaciągali się do gwardii. Rachela i Leon nie mogli siedzieć z boku i patrzeć. - Jedziemy do Paryża, papo - rzekł ojcu Leon we wrześniu. - Na kilka tygodni. Żeby tylko zobaczyć, pomóc, jeśli potrafimy. Tobie i Sophie nic się bez nas nie stanie przez tak krótki czas.

Choć Beniamin był wykształcony, nigdy nie czytywał gazet ani też nie studiował bieżących wydarzeń. Ta jesień w Bordeaux była łagodna i ciepła; to, co w końcu do Beniamina dotarło, miało formę plotek i pogłosek, które słyszał, kiedy przechadzał się po ulicach i parkach, trzymając dłoń Sophie. W tych wczesnych dniach wojny domowej ideały były jeszcze nie zbrukane. Królestwo Terroru było jedynie chmurką na horyzoncie. Zwolennicy wciąż mówili o wolności, równości i braterstwie i zdanie to nie było farsą.

Poza tym, co Leon mu tłumaczył, starzec sformułował własną ocenę sytuacji. Nabrał przekonania, że w całej Europie nie ma bezpiecznego miejsca dla żydów, że nadchodzą czasy mesjanistyczne.

- Musi przyjść sam maszjah, Sophie - mówił. - A ja żyję, żeby go zobaczyć, i ty urodziłaś się na czas, żeby to zobaczyć... -

Zdumiewając się tymi dziwami, Beniamin ułożył plan. Zabierze swoją ukochaną Sophie przez góry do Hiszpanii. Powitają Pomazańca w kraju swoich przodków.

Dwie postacie poruszały się ostrożnie po wąskiej ścieżce nad stromą przepaścią. W południowym podnóżu masywu Pirenejów przeważały łagodne pochyłości, zsuwające się ku hiszpańskiej prowincji Lerida, ale właśnie tutaj bystra i lodowata rzeka Noguera wycięła głęboki wąwóz biegnący daleko w dół.

Wąska ścieżka, oszroniona po pierwszym prawdziwym mrozie tego roku, była twarda i śliska, więc postacie przemieszczały się powoli. Byli to Cyganie, a przewodził Joselito, starszy z nich. - Tu jest ciężko - wymamrotał. - Tylko kawałeczek. Potem znowu jest szerzej. Musieli przyciskać się do ściany urwiska i posuwać się z trudem na czubkach palców. - Tu jest na czym stanąć - wyszeptał Joselito.

- Za mną.

Carlos - piętnastolatek, jeszcze nie mężczyzna, a już nie chłopiec - pewnie stapał po trudnym terenie. Był wyższy od Joselita, miał silniejsze stopy, był inteligentniejszy, ale jego krótkie życie pełne było prześladowań, a te dobrze uczyły pokory. Carlos mógł dogonić i wyprzedzić swojego przewodnika, ale nie zrobił tego. - Daleko jeszcze?

- Nie. Wioska jest gdzieś za następnym zakrętem.

Carlos spojrział na niebo. Właśnie minęło południe. Nawet teraz, zbliżając się do swego zimowego nadiru, słońce lśniło białym, jaskrawym światłem. Twarz chłopca zachowała kamienny wyraz, ale zdradziło go coś w szarych oczach. - Wiem - burknął Joselito. - Ale tu jest jaskinia, w której możemy się schować, póki się nie ściemni. Nikt nas nie zobaczy. Wieśniacy wszędzie są tak samo głupi. Typowi busne - dodał.

Młodzieniec nawet nie drgnął. W starym języku, który przynieśli ze sobą do Hiszpanii, busne oznaczało obcych, wszystkich, którzy nie byli Cyganami. Matka Carlosa, która umarła przy jego narodzinach, była Cyganką, wychowało go więc plemię, ale jego ojciec był busne. Dla Joselita i reszty był obcym, splamionym nieczystą krwią i grzechem matki.

Przeszli dziesięć minut zdradliwą, trudną ścieżką i dotarli do miejsca przeznaczenia. Jakies dwadzieścia stóp poniżej w pochyłość skalnych ścian wtuliła się osada, dostępna tylko tą krętą ścieżką albo

wąską, dziką drogą z drugiej strony. Carlos i Joselito stali przez chwilę w cieniu skały, przyglądając się wsi.

To, co uchodziło za pueblo Mujergorda, było plataniną kamiennych chat ściętnionych wokół małego placu, który służył za miejsce spotkań i centrum życia nielicznej społeczności. Jeden róg tego prowizorycznego rynku zajmowała trójścienna szopa. Tam przywiązano kilka kóz i dwa osły. Nieopodal zwierząt stało kilka worków ziarna i kosze z czymś, co wyglądało jak suszona fasola i soczewica. - Niewiele rzeczy wartych zachodu - wymruczał Carlos.

- Więcej niż mamy.

Carlos przytaknął. Letnia tułaczka dobiegała końca, a ich pięcioosobowa banda zbliżała się do swego domu w jaskiniach w pobliżu Sewilli. Aż do poprzedniego dnia była to przyjemna wędrowka, ale wczoraj właśnie jeden z osłów, ten niosący całą ich żywność i sprzęt, potknął się i spadł w przepaść. Nie było z nimi żadnej kobiety, żeby mogła pójść do miasta i powróżyć za parę moniaków, a teraz nie mieli też narzędzi, za pomocą których mężczyźni drutują garnki i ostrzą noże w zamian za żywność. Wybór był prosty - musieli kraść lub głodować.

Wszyscy Cyganie wiedzieli, że ich wędrowanie zaczęło się w dawnych czasach i że są w Hiszpanii przynajmniej od trzystu lat, a kradzież zawsze była jednym ze sposobów utrzymania. Niosła jednak ze sobą niebezpieczeństwo; rozum i zręczność były lepszymi narzędziami. Niemniej w tej sytuacji postanowili, że nie obejdzie się bez odrobiny ostrożnego złodziejstwa. Wysłano więc zwiadowcę - Joselita. Po powrocie zameldował, że pueblo Mujergorda stanowi łatwą zdobycz.

Zgodnie z tym, co zapowiedział Joselito, dwóch wspinaczy dotarło do niewielkiej groty. - Wejdz tu i zdrzemnij się trochę. To będzie długa noc - powiedział Carlosowi starszy Cygan.

Carlos co prawda wszedł za nim, ale nie ułożył się do snu. Leżał na brzuchu, z wysuniętą głową, a jego oczy błędziły po scenie poniżej.

Prawie trzy tuziny dorosłych i garstka dzieci poruszała się między domami. Z tej liczby tylko troje czy czworo wydawało się zdolnymi do walki. Carlos dotknął rękojeści noża wsuniętego za pas. Najpewniej nie będzie potrzebny. Najpewniej on i Joselito mogliby zejść, kiedy już wszyscy zasną, zabić jedną z kóz i wziąć tyle świeżego mięsa i suchej żywności, ile będą mogli udźwignąć.

Zapewne żaden z wieśniaków się nie obudzi, on i Joselito wrócą do kompanów przed świtem, a jedynie koza zostawi swą krew na ostrzu jego noża.

Joselito zachichotał cicho, jakby czytał w jego myślach. Carlos był wrażliwy, pewnych rzeczy nie lubił. Każdy to wiedział. To ta jego obca krew. - Cóż? - spytał. - Co widzisz? Czemu tak bacznie się przyglądasz? Jest tam tłusta kobieta? Młujer gorda, jak nazwa puebla. Jeśli jest, może zapłaci coś za fiuta dziewiczego blondaska.

Carlos potrząsnął głową i zignorował ubliżającą uwagę. - Nikt tu nie jest tłusty. Wszyscy są chudzi i wyglądają na wygłodzonych. To głównie kobiety, dzieci i starcy. Jest tylko kilku mężczyzn.

- To dobrze, tym mniej kłopotu dla nas. A teraz przestań się gapić i zdrzemnij się.

Carlos ruszył w głąb jaskini. - Czekał, widzę coś jeszcze.

- Co? - Joselito podczołgał się i wyjrzał przez krawędź skały.

- Co widzisz?

- Na dole, po prawej. Ktoś nadchodzi. Obcy. Starzec i dziewczynka.

Beniamin i Sophie Valon dotarli do osady dwie godziny przez zachodem słońca. Wyczerpani i głodni jechali razem na ośle, którego Beniamin kupił dzień wcześniej. Zwierzak zatrzymał się przy kamiennym korycie na rynku, żeby się napić, ale kiedy pochylił głowę, padł na ziemię.

- Dziadziu, co mu jest?

- Nic. Jest stary, więc opadł z sił. To nieważne.

Beniamin wziął Sophie za rękę. Jakiś starzec siedział w drzwiach, przez które wpadał snop promieni zachodzącego słońca.

- Moja wnuczka i ja potrzebujemy jedzenia i miejsca do spania - powiedział Beniamin. - Mam czym zapłacić.

Mówił po francusku i wieśniak spojrzał na niego bezmyślnie. Odeszli za daleko od granicy; miejscowi nie znali już języka.

Beniamin spróbował raz jeszcze, tym razem po hiszpańsku, którego sam nauczył się przed laty. - Powóz, który wynajęliśmy do Madrytu, zepsuł się wczoraj. Byliśmy w tarapatkach, póki nie kupiłem tego tam o biednego zwierzaka. Teraz chcę stawy i łóżka. Zapłacę - dodał.

Ten drugi skinął głową i tym samym umowa została zawarta. Za jedną złotą monetę dostali chleba i sera oraz słomiany materac na

podłodze w najmniejszej, położonej najbardziej na uboczu kamiennej chacie. Benjamin miał więcej takich monet, ale był na tyle mądry, żeby trzymać to w sekrecie. Ukrył pieniądze w małej aksamitnej sakiewce, którą przywiązał w pasie i wpuścił do spodni. Z monetami był skarb o wiele większej wartości - tańce, jarmułka i modlitewnik.

Kiedy pieniądze zmieniły właściciela, Benjamin zwrócił się do dziewczynki. - Chodź, Sophie, odpoczniemy.

- Nie jestem zmęczona. Chcę sobie pochodzić.

Już miał jej zabronić, ale w końcu skinął głową przyzwalająco. W tym samotnym miejscu nie mogło im grozić żadne niebezpieczeństwo. Dopóki mógł ją obserwować, była bezpieczna. - No dobrze, jeśli chcesz. Ale nie wychodź poza wieś.

Mało tam było do oglądania. Sophie dotarła do granicy osady, potem zapuściła się kawałek wzdłuż brzegu rzeki.

- Sophie - zawołał Benjamin. - Pamiętaj, nie za daleko. Dziewczynka przystanęła i już chciała zawrócić, kiedy jakiś ptak wznosił się w powietrze i przyciągnął jej uwagę. Podniosła wzrok i napotkała czyjeś oczy.

Carlos wpatrywał się w dziecko, a ono w niego. Żadne z nich nie wydało najmniejszego dźwięku. Chłopak ze względu na obecność Joselita, który pochrapywał cicho za nim w jaskini; dziewczynka była świadoma, że obserwuje ją dziadek. Kilka sekund później Carlos rozejrzał się dokoła i wśliznął w głąb jaskini. Sophie wróciła do wioski.

- Co widziałaś? - zapytał Benjamin.

- Nic, ładnego ptaszka o szarych oczach. - Dlaczego tak powiedziała? Może dlatego, że nie była pewna, czy widziała coś jeszcze.

- Odpoczniemy - powiedział Benjamin.

Przytulili się do siebie na słomie na podłodze. Sophie spała, ale Benjamin nie. Czuł w środku jakiś strach. Popęłnił straszną pomyłkę. Podróżowali już tydzień, a nie było śladu Mesjasza, żadnego znaku, że w Hiszpanii nastąpiła nowa cudowna epoka. Bóg wprowadził go w błąd. Nie, nie Bóg, on sam się zwiódł.

Tak czy owak nadszedł zachód słońca, czas na modlitwę. Benjamin wstał, zostawiając swój ciężki płaszcz, którym owinięta była dziewczynka. Drżała, mrużąc przez sen. Bał się, że ma

gorączkę. Po jego policzkach spłynęły łzy. Otarł je i zwrócił twarz ku wschodowi.

Nie przywdział mycki ani szala modlitewnego. Bóg nie wymagał od człowieka, aby trzymał się prawa, kiedy popełnia samobójstwo, a już na pewno nie wtedy, gdy ma pod opieką dziecko. Odmówi swoją modlitwę, ale nie tak, żeby ta miejscina ponurych, niedowierzających wieśniaków - po hiszpańsku campesinos - dowiedziała się, że jest wśród nich żyd. Trzymał dłoń w ukrytej aksamitnej torbie i poruszał nią delikatnie, podczas gdy jego usta cicho szeptały hebrajskie słowa.

Kilku ocalonych z Mujergordy zapamiętało tę noc jako noc krzyków. Podobnie myślało o niej dwóch Cyganów.

Joselito miał słuszość w jednej kwestii - pueblo było łatwą zdobyczą. Jeśli kiedyś jakaś tłusta kobieta dała mu swoje imię, to maleńka osada dawno o niej zapomniała. Miejsce było biedne i plugawe, a mieszkańcy wychudzeni z braku żywności. Król w Madrycie pamiętał o wiosce tylko jednego dnia w roku - kiedy przyjeżdżał poborca podatkowy. Oczywiście nie dawało to ochrony przed królewskimi wojskami ani przed księciem, który rościł sobie prawo własności do ziemi, na której wieśniacy z trudem wiązali koniec z końcem.

Zawsze były tu napady. Wyjęci spod prawa wałęsali się swobodnie po tutejszych górach. Wypadki tego październikowego wieczoru 1790 roku różniły się od innych tylko szczególnym okrucieństwem. A to dlatego, że wodzem bandytów był El Hambrero, Głodny.

Najeźdźcy nie podeszli od tyłu ukradkiem, jak Carlos i Joselito. Tuż po zachodzie słońca, kiedy Benjamin Valon wypowiedział swoje finalne amen, konie zagrzmiały na drodze, która stanowiła jedyną ulicę Mujergordy.

Było ich jedenastu, wszyscy mieli muszkiety przytroczone do sodeł i pejcze w dłoniach. Bicze były bardziej śmiertelne niż strzelby. Długie i specjalnie plecione, trzaskały w powietrzu zapowiadając śmierć.

W ciągu sekund świszczące bicze pozbawiły głów kobietę i małego chłopca. Starzec, z którym wcześniej Benjamin dobił targu, ukazał się w następnych drzwiach i z krzykiem pobiegł w stronę martwego dziecka. Jeździec krzyknął za nim, wywijając śmiertelnościaną bronią, i lewa noga mężczyzny została odcięta poniżej

kolana. Rzemień niewyprawnej skóry przeszedł przez ciało i kości jak przez smalec. Krew wypłynęła na ulicę szybciej, niż twarda ziemia mogła ją wchłonać. Fetor podniecił konie, które stanęły dęba, zarżały i stratowały dwóch jeszcze mieszkańców Mujergordy.

Carlos i Joselito obserwowali wszystko z góry.

- Mogłem to przewidzieć - wyszeptał Carlos. - Fanta czytała mi z dłoni, zanim opuściliśmy Sewillę. Powiedziała, że ta podróż skończy się kłopotami.

- Fanta zawsze łąze. I zawsze zmyśla. Jeśli jej wierzysz, jesteś naiwny jak obcy. Zamknij się, jesteśmy tu bezpieczni, dopóki nas nie znajdą.

- To El Hambrero, prawda? - Usta Carlosa były tak suche, że ledwie mógł mówić.

- Si, El Hambrero.

- Mój Boże... To prawda, że on je surowe ludzkie mięso? Joselito wzruszył ramionami.

- Tak powiadają.

Ciemność spadła na góry, ale Mujergorda nagle rozbliła światłem. W jednej z chat ktoś przewrócił piecyk i ogień zajął drewniane meble i słomiane posłania. Płomienie wymknęły się przez małe okienko i wąskie drzwi i roztańczyły się na ulicach. Zmusiły skulonych ludzi, by opuścili domy i wpadli prosto w ręce bandytów. Ogień lizał ciała zabitych, a woń smażonego ludzkiego mięsa płynęła w noc.

Łatwo było zgadnąć, kto jest przywódcą najeźdźców. Jego koń był największy i biały. W przeciwieństwie do pozostałych bandytów, herszt nie nosił kapelusza. Miał rude włosy i brodę, które mieniły się w świetle płomieni i wtedy zdawało się, że same płoną. Teraz galopem ruszył przez wieś, a przerażeni wieśniacy zostali złapani pomiędzy płomienie a łomoczące kopyta białego rumaka. - Tengo hambre! - wrzeszczał. - Quiero carne cruda! - Był to jego okrzyk, zawołanie, które dało mu imię. „Jestem głodny! Chcę świeżego mięsa!”

Pejcz w rękach mistrza mógł być narzędziem precyzyjnym, równie dobrze skalpelem, jak i siekierą. Jednym smagnięciem tej strasznej broni El Hambrero przeciął płaszcz kobiety po swej lewej stronie. Drugim odciął jej pierś.

Wtedy dopiero zaczęły się wrzaski. Crescendo krzyków strachu, agonii i hysterii. Kiedy jednak rudowłosy demon wychylił się ze swego konia, zgarnął odciętą pierś i rozerwał ją zębami, zapadła całkowita cisza. Trwała tylko przez kilka sekund, nim to coś nie - do - pomyślenia zostało przyjęte jako coś, co się naprawdę zdarzyło. Potem krzyki wybuchły na nowo.

El Hambrero odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Krew ściekała z jego ust i sączyła się po brodzie, barwiąc ją na jeszcze ciemniejszą czerwień.

Kiedy ten koszmar się zaczął, Benjamin i Sophie nie byli na ulicy z mieszkańcami Mujergordy. Tkwili wciąż w chacie na najdalszym końcu osady. Ogień jeszcze ich nie dosięgnął. Benjamin chciał uciekać, ale jak? Chata miała tylko jedno drzwi, a te prowadziły prosto na ulicę wypełnioną bandytami. Pozostała im droga przez okno. Stał przy nim, nie mogąc oderwać wzroku od scen rozgrywających się na zewnątrz. Przycisnął twarz Sophie do swojej piersi, tak aby nie mogła nic widzieć, choć czuł jej łkanie pełne przerażenia i drzenie drobnego ciała.

- Carne mas joven... Młodsze mięsa! - zakrzyknął El Hambrero. Przebiegł wzrokiem tłum i zatrzymał się na niemowlęciu skulonym w ramionach matki. Już po chwili szczątki dziecka leżały rozrzucone na ziemi, a ruda broda była jeszcze czerwiejsza.

Benjamin nie mógł już patrzeć. Dławił się, zbierało mu się na wymioty i zaczął się cały trząść. Sophie wyszarpnęła się mu i patrzyła przez okno na szatańską scenę, przed której widokiem dziadek próbował ją ochronić. Przez chwilę był zbyt oszołomiony, by odciągnąć ją z powrotem w swoje ramiona. Widział pełzające języki ognia. Teraz był dużo bliżej; niespełna dwa metry dzieliły chatę od płomieni.

- Sophie - wymamrotał. - Sophie. Chodź do mnie, nie patrz. - Raz jeszcze wziął ją w objęcia, przyciskając mocno do siebie. Ona nie płakała. Już się nawet nie trzęsła. Miast tego była sztywna i zimna jak sople lodu. - Mój Boże, mój Boże, co ja zrobiłem? - To było wyznanie winy i prośba o zmiłowanie. Wyszeptał te słowa na głos, ale nie było odpowiedzi.

Na zewnątrz wciąż rozbrzmiewały krzyki, zaczęły się gwałty; w tym bandyci też byli mistrzami, zwłaszcza że ich ofiary były tak wycieńczone, że nie stawiały już oporu.

Beniamin spojrział w twarz straszliwej prawdzie. Żaden anioł nie zstąpi i nie zabierze ich stąd. Jeśli Sophie ma ocaleć, on musi ją uratować. Aby tego dokonać, musi ją zabrać z chaty. Może teraz, kiedy bandyci są zajęci. Tak, teraz. To ich jedyna szansa.

Podniósł Sophie i ciasno owinął ją płaszczem, potem przemknął się trochę bliżej do drzwi. Ogień zaczął lizać frontową ścianę chaty, więc Beniamin musiał przemóc strach. Plecami przy ścianie, jakby próbował skryć się w jej cieniu, i dźwigając swój cenny ciężar, wyszedł na zewnątrz.

- Spójrz - wyszeptał Carlos. - Ten starzec, obcy, próbuje uciec. Na dole po lewej.

Joselito spojrział w tamtą stronę. - Ma ze sobą dziewczynkę. Nie uda mu się. - Słowa te zostały wypowiedziane bez emocji. Oni byli tu na górze bezpieczni w swoim orlim gnieździe, a wypadki tej nocy złożyły się na nieprawdopodobną historię, którą później będą opowiadać. Jeśli będzie jakieś później. Wciąż nie mieli żywności, a brzuch Joselita burczał w proteście wobec takiego stanu rzeczy.

Beniamin stał pod osłoną chaty, próbując podjąć decyzję. Sophie ciążyła w jego ramionach; musiała zemdleć. Nie mógł teraz się o to martwić. Każda część jego ciała ciągnęła w stronę drogi; chciał pobiec nią, zostawić za sobą Mujergordę, cały ten koszmar. Ale powstrzymał się. Ogień oświetlał drogę i szaleństwem było wierzyć, że niosąc wnuczkę, na swych starych nogach mógłby pokonać tę odległość i skryć się bezpiecznie w ciemnościach, nim dostrzegłby go któryś z bandytów. Coś jednak musiał zrobić. Ogień był tak blisko, że gorąco osmaliło włosy z tyłu głowy starca.

Chwilę później jakaś iskra wylądowała na jego wełnianym rękawie. Wolną ręką zgasił ją, ale kolejna spadła na ramię, a jeszcze jedna na włosy Sophie. I te stłumił, ale kiedy spadł na nich cały snop iskier, Beniamin zrozumiał, że musi działać. W jednej chwili podjął decyzję. Ściskając kurczowo swoją ukochaną wnuczkę, rzucił się w stronę wzgórz za chatą i z ponadludzkim wysiłkiem zaczął wspinać się po skale.

- Boże mój - wyszeptał Carlos - Idą tutaj.

- Nigdy im się to nie uda - powtórzył Joselito.

Carlos pamiętał oczy dziewczynki. Ten kolor... Nigdy wcześniej nie widział oczu tak niebieskich. Przesunął się do przodu, a Joselito wyciągnął rękę i chwycił go za ramię. - Idioto! Dokąd idziesz?

- Idę mu pomóc. Może mu się uda tu wspiąć, jeśli nie będzie musiał nieść dziecka.

- Teraz już wiem, że jesteś obcym głupcem. Tamte świnie cię zobaczą.

Carlos potrząsnął głową. - Nie, nie w tej chwili. Są zajęci zabawianiem się.

- Ile czasu twoim zdaniem zabiera wzięcie kobiety? Dla takich mężczyzn jak ci to kwestia kilku minut.

- Wystarczy - rzekł Carlos. Uwolnił się od uchwytu Joselita i ruszył w dół po skale. Był zwinny jak koza i szybszy.

Beniamin pokonał niewielką odległość. Sophie nagle wydała mu się taka ciężka. A jego serce łomotało ze strachu i wysiłku. Nie widział Carlosa, dopóki młodzieniec nie znalazł się nad nimi. Nagle jego usta przylgnęły do ucha starca. - Ćśś, nie mów nic. Daj mi tylko dziewczynkę. Wniosę ją. Ty idź za mną.

Mówił za szybko, jego hiszpański zbyt był przesiąknięty południowym akcentem. Beniamin nie nadążał. - Je ne comprend pas... nie rozumiem - wymamrotał, z wyczerpania mówiąc po francusku. Przylgnął do nieprzytomnego dziecka, które chłopak próbował wydrzeć z jego ramion.

- Jesteś Francuzem - powiedział Carlos. Ich ludzie czasami przechodzili przez granicę do Francji, znał kilka słów. - Ami - wyszeptał niecierpliwie. - Jestem przyjacielem. Daj mi dziewczynkę.

Beniamin nie mógł się już opierać. Musiał zaufać. Wręczył Sophie cygańskiemu chłopcu i padł na kolana całkowicie wyczerpany. Chwilę później jego serce przestało bić.

Nazwali ją Sofia. Było to najbliższe temu, co pięciu Cyganów rozumiało z dziecięcego mamrotania w języku obcych z drugiej strony gór.

W ciągu pierwszych kilku dni dziewczynka biegała stale od jednego do drugiego, wpychając się przed nich na ścieżce, dygała leciutko i powtarzała nieustannie: - Je m'appelle Sophie. - Irytowała ich, myliła ich kroki i denerwowała jedyne pozostałe osła. Żaden nie rozumiał, że jej mały rytuał jest desperacką próbą ucieczki przed przeraźliwym strachem, który opanował jej umysł, próbą wyjścia z chaosu.

Przez kilka pierwszych dni musieli się zająć problemem zdobycia żywności, więc ignorowali małą. Podróżowali jednak na południe, do

Sewilli, i kiedy schodzili z gór w stronę nizinnych ziem uprawnych Kastylii, łatwiejsze stało się zbieranie zieleniny z terenów przydrożnych i łapanie przypadkowych wiewiórek lub jeży na gulasz. Zocali, ich przywódca, zaczął poświęcać dziecku więcej uwagi. - Ona musi znać więcej niż tych kilka słów. O ile nie jest obłąkana. Czyżbyś przyniósł nam dziecko z demonem w głowie, Carlosie?

Chłopak nie odpowiedział, ale zrobił to za niego inny. - Nawet jeśli jest szalona, widać, że pochodzi z dobrej rodziny. Na pewno jest warta okupu, Zocali.

Wódz skinął głową. - Tak, i gdybym wiedział, gdzie są jej ludzie, zażądałbym go. Nie słyszałeś, co mówili Carlos i Joselito. Starzec przyprowadził ją do Mujergordy późnym popołudniem. I posłuchaj jej języka. Oni byli z drugiej strony gór. Na szczytach pada już śnieg, nie udałoby nam się przejść. A gdyby nawet? Gdzie byśmy szukali rodziny tego szalonego dziecka?

To ze względu na swój spryt i znajomość cygańskiego prawa Zocali został wybrany na wodza plemienia. Tak robił jego lud. Hiszpanie zwali ich Gitanos. Znali to słowo, po ponad trzystu latach hiszpański był prawie ich językiem, oni jednak nazywali siebie Romami, mężami. Przywództwo nie było wśród nich dziedziczne i żaden człowiek nie rościł sobie prawa mówić w imieniu ich wszystkich. Rozproszeni po świecie, byli podzieleni na niezliczone małe grupy. Każda wybrała własnego wodza i dokonawszy tego, była mu posłuszna. Słowo Zocalego było prawem. Pomysł żądania okupu za dziecko został odrzucony.

Zbliżali się do Madrytu i następny z bandy zasugerował sprzedaż dziewczynki jako służącej do bogatej rodziny. Zocalemu i to się nie spodobało. - Prawo Romów mówi, że dzieci są darem od Boga. Należą do całego plemienia. Jeśli Pan daje nam jeszcze jedno dziecko, nasze plemię jest błogosławione.

- Ale ona jest obcym dzieckiem - zaprotestował tamten.

- Każde dziecko jest takie samo. Poza tym nawet obce służy jakiemuś celowi. - Zocali zerknął na Carlosa. Siła i zwinność chłopca często się przydawały. Czasami jego odwaga wydawała się wątpliwa i miał miękkie serce, ale nawet to mogło być użyteczne. Tak jak na przykład teraz - Carlos opiekował się dziewczynką. Pilnował, żeby jadła, a kiedy nadchodziła noc, spał obok niej, uciszając jej pełne łkań sny ciepłem swego ciała.

- Spójrz na niego, zachowuje się jak kobieta - wymamrotał Joselito.

Obozowali przy drodze. W nikłym blasku ognia Zocali leniwie strugał gwizdek z gałązki jesionu. Przerwał pracę i spojrzał na Joselita.

- Si, może. Ale dzięki Carlosowi ona nie zawraca głowy całej reszcie. Może to obcość w jego krwi do niej przemawia. Dlaczego miałyby cię to obchodzić?

Joselito przyglądał się niewysokiej, krępej postaci. Mógłby wyzwąć Zocaliego do walki, bez obawy o jej wynik. Był dwadzieścia trzy lata młodszy i dwakroć lepiej umięśniony. Ale Zocali był wodzem, wybranym na całe życie. Gdyby został zabity przez innego Cygana, ten Cygan zostałby stracony, zanim by nastąpiła nowa elekcja. Morderstwo nie mogło prowadzić do władzy w obrębie plemienia. Joselito odwrócił się.

Kwestia Sofii wciąż nie była rozwiązana; Cyganie z całego serca nienawidzili obcych. Dwóch następnych protestowało półgłosem. Zocali słuchał przez chwilę, kontynuując swoje rzeźbienie. - Wystarczy - rzekł w końcu. - Sprawa jest zdecydowana. Żadnego już gadania. - Odłożył nóż i zwrócił się twarzą do pozostałej czwórki.

- Słuchajcie mnie, wszyscy. Obce dziecko zostaje z nami. Któregoś dnia znajdziemy dla niej użytek. - Czekał chwilę, ale nikt się nie przeciwstawił.

Wędrowali dalej, podążając za słońcem. Dziecko nie mogło iść tak szybko ani tak długo jak oni, a kiedy potykało się ze zmęczenia, Carlos niósł je, albo podtrzymywał, kiedy jechało na grzbiecie osła.

Dni zlewały się w tygodnie. Godzina po godzinie Carlos próbował mówić do Sofii, posługując się kilkoma znanymi sobie francuskimi słowami. Poza powtarzaniem swego imienia, mała nigdy nie odpowiedziała, nigdy nie wyrzekła niczego poza frazą "je m'appelle Sophie". W końcu przestała mówić nawet to. Przez wiele dni milczała, tylko w swych sennych koszmarach łkała przeraźliwie.

- Rozmyślałem o niej - powiedział Zocali. - Może ona nie jest szalona, może słowa zostały z niej wypłoszone. Te rzeczy, o których nam mówiliście, El Hambrero i reszta, jakież dziecko nie byłoby przerażone? Zostaw ją w spokoju, będzie mówić, kiedy będzie gotowa.

Niemniej jednak Carlos miał wielką ochotę rozmawiać z Sofią. Jej oczy nie dawały mu spokoju. Była inna niż wszyscy, których znał, i to dlatego wydawało mu się, że ta mała dziewczynka jest tropem do tej połowy jego własnej krwi, o której nic nie wiedział. Jego znajomość francuskiego była zbyt nikła. Miękkim, niewyraźnym dialektem andaluzyjskim przemawiał długo do dziewczynki, kiedy niósł ją po wąskich, zakurzonych traktach kraju. Ona nigdy nie odpowiadała i tak to sobie trwało.

W końcu, w połowie listopada, podróż dobiegła końca. Byli prawie w Sewilli, niecały dzień drogi od jaskiń Triany, które były domem dla nich i dla dużej części Cyganów w Hiszpanii. Tej nocy zasiedzieli się wokół ognia, przy którym dawno skończył się ich posiłek.

- Zagraj dla nas, Joselito - rzekł Zocali. - Jesteśmy wystarczająco blisko domu. Muzyka nie przyciągnie tu demonów.

Joselito zanurkował w swoim plecaku i wyciągnął niewielki tamburyn obwieszony maleńkimi srebrnymi dzwoneczkami. Tylko jeden rodzaj pieśni był odpowiedni na koniec tak długiej i pełnej przygód podróży, seguidilla, refren chóru przepleciony wersami przygotowywanymi stosownie do sytuacji. - To jest chwila, to jest czas, żeby wrócić do domu - śpiewał Joselito, wystukując rytm czubkami palców.

- W mojej grocie czeka moja żona - dodał Zocali, do którego należał przywilej ułożenia pierwszego wersu. - A pomiędzy nogami ja czekam na nią też.

Mężczyźni roześmieli się, a potem przyłączyli się do chóru. - Oto jest chwila, to czas powrotu do domu.

Sofia siedziała przy Carlosie, blisko ognia. Byli już przyzwyczajeni do jej obecności i do jej milczenia, i zakładali, że nadal nie mówi ich językiem. Ale w trakcie kilkusekundowej przerwy, kiedy następny mężczyzna wymyślał wers, a Joselito stukał w tamburyn, Sofia otworzyła usta i zaśpiewała dokładnie to, co usłyszała, refren, który nastąpił po sprośnym wersie Zocalego.

Joselito przestał grać, wszyscy wpatrzyli się w dziecko.

- Otra vez - rzekł w końcu Zocali. - Zaśpiewaj to jeszcze raz. Najwyraźniej Sofia zrozumiała go. Zrobiła to, o co prosił. Tym

razem, jakby po to, by lepiej ją słyszeć, Joselito nie stukał w tamburyn. Były tylko ciche wzgórza, ogień i czyste, wysokie nuty pieśni Sofii.

- Matko moja! To niewiarygodne. Joselito, zagraj coś jeszcze. Zobaczymy, czy tego też się nauczy tak szybko.

Tym razem była to tirana, jedna z klasycznych melodii Andaluzji. Joselito wybił rytm, a Carlos zaśpiewał dwa wersy, które opowiadały o utraconej miłości. Sofia słuchała, potem odśpiewała mu pieśń. Zabrzmiały te same słowa, ale co ważniejsze - ta sama, idealna w nieporównywalnej czystości tonu melodia.

- Cudownie - wymruczał wódz Cyganów, kiedy Sofia skończyła.
- Mówiłem wam, że to dar od Boga. Co za głos.

Umiłowanie do muzyki było sprzęgnięte z cygańską duszą. Pieśni stanowiły część istoty tego ludu, były równie ważne dla życia, jak jedzenie i woda. Dzięki swojemu głosowi Sofia przestała być obłąkanym dzieckiem. Zasłużyła sobie na miejsce w plemienu Zocalego. To był powód dla jej egzystencji i obecności wśród jego członków. A swoją pieśnią zasygnalizowała, że akceptuje Cyganów.

Tragedia uczyniła jej umysł pustą tablicą, wszystko sprzed nocy krzyków zostało zapomniane. Wszyscy odeszli, jej dziadek, rodzice, dom w Bordeaux, nawet jej rodzinny język. Ale mówiła ich językiem. Nauczyła się go niemal niepostrzeżenie od Carlosa i przyswoiła sobie ich muzykę. Na razie to wystarczało, i Cyganom, i Sofii.

ROZDZIAŁ DRUGI

Plaza de la Corredera w Kordobie lśnił w promieniach porannego słońca. Był wrzesień 1798 roku, dzień uroczystości Matki Boskiej Bolesnej, patronki miasta. Teraz na placu odbywał się targ, później będzie korrida. Ogromny tłum ludzi i koni przemieszczał się między wielobarwnymi straganami, na których sprzedawano wszelkiego rodzaju żywność i inne dobra. Panował tu właśnie największy zamęt, ale pomimo ogłuszającego hałasu Fanta, stara Cyganka, miała oczy i uszy szeroko otwarte. Rozglądała się na wszystkie strony, póki nie dostrzegła swej zdobyczy.

- Spójrz, tam jest. - Uszczypnęła Sofię w ramię, żeby mieć pewność, iż przyciągnęła jej uwagę. - Widzisz? Wysiada z powozu. To donia Carmen.

Sofia spojrzała na potężną kobietę obleczoną w czerń. Od stóp do głów spływały z niej czarne koronki, idąc kołysała się jak kaczka. Była groteskowa. - To ona? Ależ mówiłaś, że jest piękna.

- Mówiłam, że była piękna. Przed laty, przed wszystkimi swoimi kłopotami. Głupia dziewczyno, nigdy nie pamiętasz, co do ciebie mówię. - Znowu ją uszczypnęła, tym razem mocniej. - Pamiętasz, co masz robić?

Sofia odsunęła ramię. - Pamiętam.

- No to idź to zrobić. Szybko. Ona opuszcza swój pałac tylko raz do roku. Jej syn urodził się w to święto, i ona idzie zapalić świeczkę w Los Dolores. Bóg raczy wiedzieć, czy jeszcze kiedyś będziemy w Kordobie we właściwym czasie. Może już nigdy nie będzie takiej szansy.

Sofia od początku była pod opieką Fanty. Zocali oddał ją starej kobiecie osiem lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy przyprowadził ją do swojej jaskini. Sofia nigdy nie zapomniała jego słów: „Jesteś bezpłodną starą wiedźmą. Żadne z twoich własnych dzieci nie dba o ciebie na starość, masz więc to. Jest trochę obłąkana, ale śpiewa jak anioł. I spójrz na jej oczy. Przemień ją w dobrą romską kobietę, a pewnego dnia wydam ją za męża i dostanę za to przyzwoite pieniądze.” Żadne z jej własnych dzieci. To był wielki smutek Fanty. Dla Cyganki, jak przekonała się Sofia, nie było większego wstydu niż bezpłodność. Na Fancie ciążyła ta klątwa, ale była tolerowana przez swoje plemię, ponieważ знаła sztukę uzdrawiania i potrafiła czytać z

kart. Były to cenne umiejętności, ale Fanta nie używała ich na rzecz obcych.

- Moje dary są dla ludzi mojej krwi - mówiła. - Gdybym użyła ich dla obcych, zostałyby mi odebrane.

To nie przeszkadzało jej obiecywać cuda każdej kobiecie, którą dla kilku monet zwodziła wizją bezużytecznych mocy i fałszywych bogactw. Tym razem mierzyła wysoko - w żonę najbogatszego człowieka w Hiszpanii.

Sofia nauczyła się dawno temu, że jeśli nie chce być bita, musi słuchać Fanty. Teraz biegła przez plac, zręcznie klucząc między końmi, powozami i przechodniami. Po chwili stanęła między kobietą spowitą w czerń a stopniami świątyni.

- Seniora, donia Carmen... proszę poświęcić mi chwilę, muszę z panią pomówić.

Sofia padła na ziemię do stóp kobiety. Donia Carmen była zbyt duża i gruba, by się odsunąć, ale nie raczyła odpowiedzieć dziewczynie. Miał tego uniosła dłoń w czarnej rękawiczce. Natychmiast jeden z lokajów zeskoczył z tyłu powozu i znalazł się przy nich. Zamachnął się obutą nogą i kopniakiem usunął Sofię z drogi.

Z bólu straciła dech, ale nie zrezygnowała. - Donia Carmen, proszę, błagam panią. Muszę pani opowiedzieć swój sen. To ważne. Może wszystko zmienić. - Kiedy mówiła, chwyciła garść czarnych koronek i przyłgnęła do nich.

Lokaj wyjął nóż z pochwy u pasa. - Z drogi, Cyganko! Ale już!

Sofia rzucała szybkie spojrzenia to na niego, to na jego panią, to na starą Fantę, która obserwowała wszystko z drugiej strony placu. Zwinęła się, żeby być trudniejszym celem dla noża, ale nie odstąpiła od czarnej postaci. Starła się patrzeć w twarz kobiety, mówiąc jednocześnie jak najszybciej. - Proszę, niech mnie pani wysłucha. Miałam sen. Bóg kazał mi przyjść tu dziś i odszukać panią. Moja babcia może pani pomóc. Proszę pozwolić nam opowiedzieć o tym, błagam panią. Na miłość boską, donia Carmen, przez wzgląd na panią.

Lokaj, z nożem w gotowości, uczynił gwałtowny ruch w stronę dziewczyny.

- Zostaw ją - głos kobiety zatrzymał go na czas. - Wysłucham tego, co musi powiedzieć. - Przyjrzała się klęczącej postaci. Plugawa, jak wszyscy Cyganie, odziana w łachmany, ale przystrojona złotymi

kołami kolczyków i łańcuchami. I jakie oczy. Te oczy sprawiły, że donia Carmen nie mogła odrzucić prośby dziewczyny. - Zaczekaj tu. Kiedy wyjdę z kościoła, porozmawiam z tobą.

Godzinę później dwie Cyganki siedziały w jednym z narożników wielkiego Palacio Mendoza, opowiadając sen Sofii. - To moja babka go zrozumiała, donia Carmen, bo ma dar jasnowidzenia. To stąd wiedziałyśmy, gdzie panią znaleźć, aby pomóc jej w wielkich kłopotach.

Maria Carmen Rodriguez Machin, żona potężnego Dominga Mendozy, wiedziała, że wszyscy Cyganie to kłamcy i złodzieje i że nie można im ufać. Starucha była niewątpliwie oszustką i szarlatanką, ale dziewczynie nie można było się oprzeć. Jej bujne czarne sploty i miodowa cera przypominały Carmen ją samą, kiedy też była piękna, ale oczy tej Sofii były jedyne w swoim rodzaju. Miały głębię błękitu oceanu, były przybrane rzęsami tak długimi i gęstymi, że rzucały cienie na policzki. Patrzenie na nią było jak zły czar. Widok dziewczyny sprawiał, że rósł gniew Carmen, a zarazem jej rozpacz. Może to stworzenie, które nazywało siebie Fantą, naprawdę mogło jej pomóc.

- Donia Carmen, ta Cyganka tu jest. - Służąca powiedziała to, nie patrząc na swoją panią. To grzech, że donia Carmen słuchała starej cygańskiej wiedźmy. Pomiędzy sobą służący tak właśnie ją określali. Tacy ludzie mieli przymierze z diabłem.

- Zaprowadź ją tam, gdzie zwykle. Zaraz zejdę - Carmen zaczęła, aż służąca odejdzie, i dopiero wtedy wstała z łóżka. Nie przywołała nikogo, żeby pomógł jej się ubrać. Teraz nie mogła już znieść, żeby ktoś ją oglądał, a tym bardziej dotykał. Nie tolerowała nawet tego, że sama na siebie patrzy. Każde lustro w olbrzymim pokoju było zasłonięte czarną materią, paliła się tylko jedna świeca, a żaluzji drzwi balkonowych nigdy nie otwierano.

Rzeźbione drewniane szafy zajmowały całą jedną ścianę. Zawierały wspaniałe suknie, o których swego czasu mówiono w całej Kordobie. Dla Carmen były niczym. Owinęła się w kawał czarnego aksamitu i upewniła się, że skrył on każdą jej część - obrzmiałe kostki i nogi pręgowane wstrętnymi sinymi plamami, wydęty brzuch, który czynił ją podobną do kobiety spodziewającej się dziecka, ramiona tak nabrzmiałe w chorobie, że skóra była mocno naciągnięta i spękana. Carmen nie spoczęła, póki aksamitna materia nie skryła wszystkiego.

Widać było tylko jej ciemnobrązowe oczy i obrzmiałe palce, w które pierścionki wcisnęły się tak głęboko, że nie mogła ich zdjąć.

Nie pasowały już na nią żadne buty. Boso zeszła po wielkich marmurowych schodach. Tu też pozwalała jedynie na niezbędne oświetlenie. Poznawała, gdzie się znajduje, wyczuwając pod swymi rozpalonymi stopami najpierw marmur, potem tkany turecki dywan, w końcu zimne płytki posadzki w patiu.

W murach Palacio Mendoza było czternaście patiów. To, w którym czekała Cyganka, było znane jako El Patio de los Naranjos, Patio Drzewek Pomarańczowych. Znajdowało się w odległym południowo - zachodnim narożniku rozległej rezydencji, ale jeśli ktoś wiedział, których małych drzwi użyć i którymi ścieżkami podążać, można było przechodzić z jednego patia do drugiego, nie wchodząc do środka. Carmen знаła każdy zakątek ogromnej posiadłości równie dobrze, jak znała każdy bolesny cal swojego zeszpeconego ciała.

Od niepamiętnych czasów pałac rodziny Mendozów stał właśnie tutaj, w sercu starego miasta Kordoby, pomiędzy dwiema ulicami, które teraz nazywały się Calle Judios i Calle Averroes. Ulice powstawały już po zbudowaniu pałacu, powoli, przez mijające stulecia, kiedy miasto niespiesznie zmieniało swe oblicze.

Averroes był słynnym arabskim myślicielem, a przez siedemset lat panowania Kordoba była siedzibą kalifatu, stolicą tego, co Maurowie nazywali Al - Andalus, kraj na południe. Druga ulica zwana była ulicą Żydów. Od czasu gdy chrześcijanie odbili miasto w 1236 roku, aż do wygnania żydów w 1492 było to centrum dzielnicy żydowskiej. Mendozowie byli ściśle związani ze wszystkimi wydarzeniami, które się tu rozgrywały, i za większość ponosili odpowiedzialność. Obecnie byli gorliwymi chrześcijanami i nikt nie miał śmiałości powtórzyć głośno starej pogłoski, że najpierw byli żydami, potem muzułmanami, a potem znowu żydami.

Taka potwarz daleka była też myślom Carmen, zajętej własnymi gorzkimi wspomnieniami. Żyła w pałacu trzydzieści lat, odkąd przybyła tu jako świeżo poślubiona małżonka Dominga Mendozy, i myślała o sobie, że jest błogosławiona, bo poślubiła pana jednej z największych fortun. Jej mąż nosił tylko mniej znaczący tytuł hidalga, szlachcica. Mendozowie nie byli książętami - niewielu mogło być grandami - ale mieli więcej pieniędzy, a stąd więcej władzy niż większość tamtych. Carmen rozumiała interes, który zrobił na niej

ojciec. Jako żona Dominga dzieliła jego władzę i przywileje. W zamian musiała dać jemu, jego staremu nazwisku i wielkiemu bogactwu syna i dziedzica.

Pięciokrotnie zachodziła w ciążę przez pierwszych pięć lat małżeństwa i za każdym razem rodziła martwe dziecko. Aż w 1776 roku urodził się Pablo Luis. Ten syn żył, ale z poskręcany ramieniem, zgarbionymi plecami i duszą tak udręczoną, jak powoli stawała się jej własna.

Z początku Domingo tak był uradowany, że nie dostrzegł, iż chłopiec jest kaleką. Udawał, że wszystko jest w porządku, a chłopiec wyrośnie ze swojego schorzenia. Kiedy nie mógł się już dłużej łudzić, zaczął ciągać chłopca po doktorach w całej Hiszpanii, aż w końcu musiał uznać, że nawet potężni Mendozowie nie mogą kupić uzdrowienia dla poskręcanego ciała Pabla Luisa.

Wtedy zaczęło się bicie. Późną nocą, kiedy cała służba spała, Domingo przychodził do sypialni swej żony jak kochanek, w ciszy i ukradkiem. Własnymi rękoma rozbierał ją, podziwiając jej delikatne, smukłe ciało, przebiegając po nim palcami. Potem pieszczoty przechodziły w szczypanie, a po chwili w uderzenia. Najpierw otwartą dłonią, potem pięściami.

Nigdy nie wykrzykiwał swoich przekleństw, szeptał je tak, ażeby służba nie słyszała. Dla niej stały się dźwiękiem straszniejszym niż krzyki. - Dziwka! Diablica! Musiałaś pokładać się z szatanem, żeby rodzić takie okropieństwa. Jeden z martwych synów miał rozszczepioną stopę. Próbowali utrzymać to w tajemnicy przede mną, ale odkryłem prawdę. I w końcu dałaś mi syna całego naznaczonego twoimi grzechami. Dziwka! Narzeczona diabła! - Przez cały czas, kiedy ją bił, Carmen trzymała usta zaciśnięte i nie wydawała żadnego dźwięku. To, co znosiła, było wystarczającą karą. Nie chciała, żeby wszyscy wiedzieli, jak mąż nią pogardza.

W końcu ją brał i bluzgał swoim gorącym nasieniem głęboko w jej brzuch z krzykiem furii. Zostawiał ją w chwili, gdy przemijały dreszcze. Tylko wtedy płakała, a i to niedługo. Został jej tylko jeden skarb - duma. Zaczerwienione i opuchnięte oczy naraziłyby ją na utratę tego skarbu.

Domingo nigdy nie dotknął jej twarzy. Kiedy Carmen wstawiała i ubierała się rankiem, nic z udręki nocy nie było po niej widać. Przeciwnie - wyglądała wspaniale. Miała najkosztowniejsze,

najbardziej okazałe suknie, jakie można sobie wyobrazić, i każdego dnia ubierała się, jakby szła na bal na królewskim dworze w Madrycie. Przechadzała się ulicami Kordoby, a wszyscy w mieście widzieli, że donia Carmen zachowuje wielką urodę. Dwa lata temu nawet ta ostatnia przyjemność została jej odebrana. Nadeszła choroba obrzęków. Tym razem to ona wędrowała od lekarza do lekarza i odkryła, że nie mogą jej pomóc. Teraz zniżyła się do słuchania obietnic Cyganki.

- Donia Carmen, jakżeż moje oczy się cieszą na twój widok. Moje serce śpiewa, bo może potrafię wyświadczyć ci małą przysługę.

- Byłaby to pierwsza przysługa z twojej strony. Napój leczniczy, który dałaś mi w zeszłym tygodniu, nie pomógł ani trochę. - Z tonu głosu Carmen znać było, że jest rozdrażniona, ale nie zła. Nie mogła się złościć na to stworzenie, które było jej ostatnią nadzieją. - Chodź, usiądź przy mnie tu, w cieniu. Czytałaś moje karty? Czy powiedziały ci, jak mnie uzdrowić?

- Każdej nocy tego tygodnia - powiedziała Fanta. - I jestem pewna, że to, co tak długo wpływało źle na twoje losy, to księżyc. Wybacz mi, jestem głupią starą kobietą. Nie pomyślałam o tym, żeby wziąć pod uwagę cykl księżyca. Zrobiłam nowy napój. Ten na pewno podziała.

Sofia siedziała w pewnej odległości od kobiet, w drugim kącie patia. Była tu nie dlatego, że Fanta jej potrzebowała, lecz dlatego, że żądała tego donia Carmen. Żadna z kobiet nie zwracała na nią uwagi, kiedy konferowały, ale mogła słyszeć wszystko, co mówiły. Nie, pomyślała, ten napój też nie pomoże donii Carmen. Nie zadziała, bo Fanta nawet nie próbowała jej pomóc. Nie dawała lekarstw z ziół, które przygotowywała dla ludzi ze swego plemienia, bo nie chciała, żeby się polepszyło jej pacjentce. Ona była obca, a Fanta gardziła obcymi.

Carmen odwróciła się do Sofii, jakby poczuła jej spojrzenie i odczytała jej myśli. - Co ty myślisz o tym ostatnim napoju? Czy on mnie wyleczy?

Sofia nie spojrzała jej w oczy. - Fanta jest bardzo mądra, najmądrzejsza ze wszystkich Cyganów. Może ci pomóc.

- Tak, to już mówiłaś. - Carmen odwróciła się. Patrzenie na tę dziewczynę stawało się dla niej nienawistne. Jakim prawem była tak piękna? Ale ten głos, ach, głos i te pieśni. Uspokajały ją, jak nic

innego uspokoić jej już nie mogło. - Zaśpiewaj - poleciła. - Tylko twój głos się liczy. Żeby nie on, byłabyś bezużyteczna.

Sofia знаła wiele pieśni. Wszędzie, gdzie wędrowała z Fantą i innymi, włóczyła się po ulicach i robiła wszystko, co jej akurat kazano. Czasami miała przeczytać jakiś dokument albo ogłoszenie przy kościele. - Powinniśmy wiedzieć, co oni mówią - nalegał Zocali. - Nawet jeśli ich prawo nic dla nas nie znaczy.

Zakrzyknął z radości, kiedy przed laty odkrył, że Sofia umie czytać. Żaden Cygan ani Cyganka nie posiadli tej umiejętności. Czytanie było tajemnicą, czymś magicznym zarezerwowanym dla wysoko urodzonych obcych ludzi. Niemniej jednak Sofia umiała czytać. Najwidoczniej nauczyła się tego, kiedy żyła ze starcem wśród obcych po drugiej stronie gór, i chyba nie sprawiało jej różnicy, że tutaj słowa były w innym języku. Zocali podziwiał jej zdolność, ale częściej rozkoszował się potęgą swej mądrości. - Mogłem zostawić ją, by zmarła z głodu na poboczu przy tej przeklętej wsi - przypominał plemieniu. - Zamiast tego byłem miłośnierny i zostałem nagrodzony swoim własnym szpiegiem.

Rzadko jednak była Cyganom potrzebna umiejętność czytania. Zazwyczaj Sofię z dzieckiem na ręku wysyłano na zebranie. - Jedzenie dla dziecka, zmiłujcie się ludzie, proszę... - Nienawidziła tego, choć była w tym całkiem dobra. Innym razem zwabiała kobiety do Fanty czy innej Cyganki, aby ta mogła przepisać im jakieś lekarstwo albo powróżyć z kart, tak jak to było z donią Carmen. Zawsze jednak, w jakiegokolwiek obsadzano ją roli, wsłuchiwała się w muzykę, tę na ulicy i tę, która sączyła się spoza zamkniętych drzwi i okien. Ta muzyka stawała się jej częścią.

W Kordobie byli od dwóch miesięcy i Sofia nauczyła się przez ten czas alegrii, solei i serrany, wszystkich form klasycznego hiszpańskiego fandanga, w wersjach charakterystycznych dla Kordoby. Ale Sofia wiedziała, że donia Carmen nie życzy sobie, aby śpiewała dla niej kordobańską pieśń. Ona łaknęła melodii, których Sofia nauczyła się w cygańskich jaskiniach w Sewilli, pieśni flamenco.

Sofia nie ruszyła się ze swojego miejsca na niskiej ławce w dalekim kącie patia. Siedziała spokojna i pogodna, z rękoma złożonymi pod swoim obdartym szalem, i śpiewała a cappella. Jej czysty, brzmiący jak dzwon głos wypełniał małe patio; nuty tańczyły

wśród liści drzewek pomarańczowych. Migotały na spokojnej wodzie maleńkiej sadzawki i wspinały się na szczyt wysokich murów, gdzie rzucały się w podniebną wolność. Słowa traktowały o nieodwzajemnionej miłości, bólu kobiety i o ostatecznym triumfie. „Pewnego dnia on dowie się, co odrzucił, i będzie błagał, bym wzięła go w objęcia, a ja mu odmówię...”

Donia Carmen słuchała w milczeniu. Głowę skłoniła, ale jej pierś unosiła się od łkania. Wkrótce Fanta zaczęła klaskać w rytm muzyki, jedno długie uderzenie, cztery krótkie, jedno długie. Jej dłonie tworzyły muzykę, tak jak głos dziewczyny. Dwa dźwięki zostały połączone w najdoskonalszym unisono, jakie kiedykolwiek słyszał Cygan; ten śpiew i klaskanie były obrazem romskiej duszy. Kiedy dziewczyna śpiewała tak jak teraz, Fanta niemal mogła jej wybaczyć obcą krew. Sofia lepiej śpiewała pieśni flamenco niż jakikolwiek żyjący Cygan.

Potem, gdzieś z głębi domu do klaskania Fanty przyłączyła się druga para dłoni. One także doskonale dotrzymywały rytmu i łączyły się z długimi, gardłowymi nutami, które Sofia przeciągała tak bardzo, aż słuchaczowi mogło się wydawać, że jej serce musi stanąć. „Ten, który mnie zdradził, pozna moją zemstę, a ja poznam radość.” Pieśń się skończyła. Ustało rytmiczne klaskanie.

Trzy kobiety odwróciły się, by spojrzeć w stronę wnętrza pałacu. Zarówno Fanta, jak i Sofia na poły oczekiwały, że kolejny Rom przejdzie przez niskie, łukowate drzwi i przyłączy się do nich. Nikt się jednak nie pojawił. Stara Cyganka spojrzała pytająco na donię Carmen. Usta kobiety pozostały ciasno ściągnięte i nie padło żadne wyjaśnienie. Fanta wzruszyła ramionami. Ta sprawa nie pomnoży monet w małym woreczku wiszącym między jej zwiędłymi piersiami.

- Donia Carmen, mam jeszcze jeden pomysł, żeby pani pomóc. Poza napojem leczniczym, oczywiście. Przyszło to do mnie we śnie.

- Jakże to dogodne, że twoje sny zdają się zawsze dotyczyć mnie. Co to jest tym razem?

- Myślę, że w tym pałacu jest duch - powiedziała Fanta. - Zły duch, który życzy ci krzywdy.

Carmen wzruszyła ramionami. - W Palacio Mendoza jest wiele duchów. Rodzina mojego męża żyje tu od wielu setek lat. Tylko Bóg zna wszystkie ich sekrety.

- Ale ten duch jest zły. Mogę go odesłać - nalegała Fanta. -
Wiem, jak.

- Rozumiem. Jak proponujesz to zrobić?

- Zakopujemy trochę złota i drogich kamieni tu pod drzewkami pomarańczowymi. Duch weźmie je, będzie zadowolony i zostawi panią w spokoju.

Carmen wiedziała, że to nonsens i powinna się głośno roześmiać. A gdyby jednak to była prawda? Jeśli Fanta jest prawdziwą jasnowidzką, a nie zwyczajną cygańską chciwą wiedźmą? Jeśli odsyłając ją, ściagnie na swoją głowę jeszcze więcej klątw? - Nie jestem pewna. Przemyślę to i dam ci znać - powiedziała w końcu. Wstała i przytrzymując czarne przebranie jedną ręką, drugą położyła trzy monety na ławce. - Oto twoja zapłata, weź ją i idź. Wróc do mnie w piątek, powiem ci, co zdecydowałam.

Fanta i Sofia opuściły rezydencję, tak jak zawsze to robiły, przez masywne dębowe drzwi, które prowadziły prosto z Patio de los Naranjos na Calle Judios. Drzwi miały niemal stopę grubości i wyposażone były w żelazny rygiel. - Jeśli ona się zgodzi - powiedziała Sofia, kiedy już były na zewnątrz - jak tu wejdziemy, żeby to wykopać?

To było logiczne pytanie. To, co Fanta zaproponowała donii Carmen, było jedynie odmianą jednej z najbardziej zużytych sztuczek kobiet cygańskich, zwanej wielką sztuczką. Gdyby donia Carmen była kobietą, która potrzebuje więcej pieniędzy, Fanta powiedziałaby jej, że jeśli zakopie jedną złotą bransoletkę, to później znajdą dwie, a to dzięki pewnemu życzliwemu duchowi. Cyganka musiała wrócić w odpowiednie miejsce i wydostać to, co tam zostało zakopane.

Fanta prychnęła. - To będzie łatwe. Wyślę Carlosa. On jest jak koza. Bez trudu wespnie się na te mury.

Sofia zaczęła coś mówić, ale jakiś mężczyzna zastąpił im nagłe drogę. - Hej, wy dwie, Cyganki, chcę z wami mówić.

Nosił ogromną czarną pelerynę i czarny kapelusz z szerokim rondem skrywającym twarz. Sofia ledwie go widziała, ale Fanta zdawała się wiedzieć, kim jest. Skłoniła się głęboko. - Jesteśmy na usługi waszej wysokości, my, biedne żebraczki - rzekła skamłącym tonem, który rezerwowała dla pogardzanych obcych.

- Wy jesteście tylko na swoje własne usługi - odparł mężczyzna.

- Znam wszystkie wasze sztuczki. - Mówił do Fanty, ale przyglądał się Sofii. Jego oczy były czarne i wydawało się, że prześwietlają ją na wskroś. Sofia nie mogła w nie patrzeć. Sprawiały, że czuła się zawstydzona i naga. Odwróciła się. - Chcę, żebyście wiedziały, że nie pozwolę wam tu odegrać wielkiej sztuczki - ciągnął mężczyzna. Mówił stanowczo i konkretnie, jakby nie było nic dziwnego w tym, że wie, co zaproponowały lub o czym mówiły między sobą. - Nawet nie próbujcie. Ta biedna kobieta ma dość cierpień bez waszego złodziejstwa.

- To żadna sztuczka - powiedziała Fanta. Zrobiła ruch, jakby chciała go dotknąć, ale mężczyzna odsunął się. - Przysięgam panu na imię Jezusa - broniła się - chcę tylko pomóc donii Carmen.

- Nie wielką sztuczką - powtórzył mężczyzna. - Nie pozwolę na to. - Raz jeszcze zwrócił się do Sofii: - A pani, seniorita? Czy pani przysięga, że to nie sztuczka i że chcecie tylko zdrowia i szczęścia donii Carmen?

Sofia nie mogła odpowiedzieć. Kłamać patrząc w te wszystko widzące czarne oczy wydawało się niemożliwe. Fanta chwyciła ramię dziewczyny, jej kościste palce zagłębiły się w delikatnym ciele.

- Powiedz mu, głupia dziewczyno. Powiedz mu prawdę albo stłukę cię na kwaśne jabłko.

Nie ośmieliła się dłużej milczeć.

- Nie chciałabym skrzywdzić seniory - powiedziała. - Przysięgam.

Mężczyzna zaśmiał się lekko. - Ładny wykręt. Tak więc masz umysł, podobnie jak twarz i głos, anioła. - Znowu spojrzął na Fantę.

- Nie bij jej. Jej odpowiedź mnie zadowala. I nie bój się znowu tu przyjść. Wasze wizyty jakoś podnoszą na duchu donię Carmen. Ale nie graj wielkiej sztuczki. To za dużo. Ona mogłaby znienawidzić siebie za to, że jest taka naiwna. Adios.

- Kto to jest? - zapytała Sofia, kiedy rozwiana peleryna mężczyzny zniknęła za rogiem.

- Jej kaleki syn. - Fanta splunęła na ziemię. - Don Pablo Luis Mendoza, garbus z pokreconym ramieniem. W całej Hiszpanii tylko kat ubiera się jeszcze tak jak on, w mantolet i sombrero, nawet teraz, w upalne lato. To żeby ukryć, że został naznaczony przez diabła. Jak jego matka. Niech diabli wezmą ich oboje. Teraz chodź, inni czekają.

Za rogiem skręciły w aleję bez nazwy, która ciągnęła się wzdłuż części pałacowych murów. Fanta zatrzymała się i zachichotała cicho.

- Spójrz. - Jej kościsty palec wskazywał słaby znak wyskrobany tu przed laty. Był to krzyż, cygański symbol oznaczający „tu nic nie dają”, zostawiony ku przestrodze dla innych Cyganów. Fanta schyliła się szybko, podniosła kamień o ostrej krawędzi i pociągnęła linię przez krzyż. Następnie narysowała kropkę w kółku. Każdy Cygan, który przejdzie tędy w przyszłości, będzie wiedział, że Mendozowie są wrażliwi na prośby Cyganów. Fanta myślała przez chwilę, potem wydrapała trójkąt obok kółka. - Teraz będą wiedzieć, że najlepsze jest wróżenie z kart - wymruczała, zanim odeszły.

Przez następne tygodnie Sofia i Fanta wiele razy wracały do Patio de los Naranjos, ale do ich wyjazdu pod koniec października w podróż powrotną do Sewilli o wielkiej sztuczce nie wspomniano już ani razu. Jakakolwiek była opinia Fanty o Pablu Luisie, najwyraźniej bała się jego gniewu.

- Dzięki Bogu - rzekł Carlos, kiedy Sofia powiedziała mu o tym.

- Nie chciałbym chodzić do Palacio Mendoza, żeby kraść.

- Żal ci ich? Mnie tak. Mają tyle pieniędzy, ale zobacz, jakie straszne rzeczy im się przytrafiają.

- Ani trochę mi ich nie żal. I tobie też nie powinno być. To więksi złodzieje, niż my kiedykolwiek będziemy. W jaki inny sposób mogliby twoim zdaniem dojść do takiego bogactwa? Tyle tylko, że jeśli ja zostanę złapany, powieszą mnie bez żadnego procesu. Tak właśnie robią to ludzie potężni. Fanta mierzyła za wysoko. Ale powodem, dla którego ośmieliła się to zrobić, jesteś ty, to, że tej kobiecie podobało się twoje śpiewanie.

- Moje śpiewanie - powtórzyła Sofia cicho. - To wszystko, co mam, prawda, Carlosie?

Szli za osłami drogą prowadzącą na południe. Surowe reguły rządziły zachowaniami młodych Romów, ale w tej podróży, choć pozostawali pod obserwacją, byli poza zasięgiem uszu reszty. Mogli swobodnie rozmawiać i nie łamać prawa. - Nie wszystko, co masz

- odparł Carlos. - Jesteś piękna, Sofio, jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Sprawiły jej przyjemność jego głos i słowa; wszystko, co związane z Carlosem, sprawiało jej przyjemność. Ze wszystkich Cyganów tylko on był miły i słodki. Przy nim nigdy nie czuła się jak

obca. Zawsze próbowała ukryć swoje uczucia, zakłopotana, że on się ich domyśli, i przestraszona, że inni je odkryją, a wtedy oni dwoje będą obserwowani jeszcze czujniej. Sofia niecierpliwie potrząsnęła głową. - To, jak wyglądam, nie odpowiada na żadne z pytań.

- Znowu to samo - powiedział Carlos. - Nie ma odpowiedzi. Ciągłe ci to powtarzam, dlaczego mi nie wierzysz?

- Muszą być odpowiedzi. Byłeś tam, Carlosie. Widziałeś mężczyznę, który przyniósł mnie do wsi, gdzie uratowałeś mnie przed bandytami. Musisz coś o nim wiedzieć. Matko Boska, dlaczego ja nic nie pamiętam?

- Nic o nim nie wiem. Ani o twoim życiu, zanim cię ujrzałem po raz pierwszy. A jeśli nic nie pamiętasz, to nie pamiętasz. Zapomnij o tym.

- Nie mogę zapomnieć. Opowiedz mi raz jeszcze o tej nocy - nalegała Sofia.

- Powiedziałem ci już wszystko. Przyjechało kilku bandytów, podpalili wieś, a starzec próbował cię uratować. Umarł, a ja zabrałem cię do Zocalego i innych i wzięliśmy cię do Sewilli. To wszystko, co jest do powiedzenia.

Nigdy nie przypominał jej o reszcie, o ludziach przecinanych na pół przez pejcze morderców, o potworności przywódcy, który jadł surowe ludzkie mięso. W głębi serca Carlos był pewien, że Sofia niewiele pamięta, bo tamta noc była tak straszna, iż umysł wyrzucił ją z pamięci. Poza tym szczegóły, które znał, nie rozwiązałyby zagadki jej pochodzenia. Nigdy więc nie przypomni jej tego koszmaru. To był mały podarek, ofiarowany kobiecie, która pewnego dnia zostanie jego żoną. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Sewilla narodziła się w najwcześniejszych dniach handlu, znali ją Fenicjanie i Rzymianie, ale sensem jej istnienia było miejsce, w którym powstała.

Rzeka Gwadalkiwir była źródłem bogactw Sewilli i jej łącznikiem ze światem. Krzysztof Kolumb wybrał to miasto na stolicę administracyjną swego wielkiego przedsięwzięcia, i przez stulecia każdy statek uginający się pod ciężarem złota z Indii Zachodnich i hiszpańskiej części Ameryki rozładowywał swoje skarby w sewilskich dokach. Ostatecznie Kadyks położony na południowym zachodzie przyjął udział w tym przywileju, ale do tego czasu skrzynie Sewilli zdążyły wzdać się od zysków.

Bogate miasto królowało sobie na lewym brzegu rzeki; na prawym leżało jej przybrane dziecko, okolica zwana Trianą. Było to kilka niskich wzgórz okolonych jaskiniami wyrzeźbionymi w wapieniu przez te same przypyływy i odpływy oceanu, które wieki temu stworzyły rzekę. Jaskinie wzięli w posiadanie Cyganie; zażądali ich wkrótce po tym, jak przybyli do Hiszpanii, kiedy zostały uchwalone prawa czyniące nielegalnym gromadne obozowanie pod gołym niebem. Cyganie nie zawładnęli jednak całą Trianą. Dzielili ją z resztą sewilskiej biedoty i banitów.

Wąskie, cuchnące ulice i aleje były domem złodziei, kieszonkowców i nierządnic, domem okaleczonych, dla których jedynym sposobem przeżycia było żebractwo, rzemieślników, których kunszt zapewniał im wątpliwy zarobek uzależniony od kaprysów mieszkańców przeciwległego brzegu - Triana była domem dla całej tej biedoty, dla Cyganów i dla Sofii.

Nikt nie wiedział, ilu Cyganów żyje w jaskiniach. Na pewno wiele setek, może tysięcy. Z daleka wzgórza wyglądały na puste, niegościnne, niezamieszkan; z bliska dostrzec można było drzwi wyrzeźbione w miękkiej skale i stopy kamieni stanowiące kominy. W takim pomieszonym labiryncie każda rodzina miała swoją jaskinię. Dziesięć czy dwanaście rodzin tworzyło plemię znane pod imieniem swego wodza. Sofia została przyjęta do plemienia Zocaliego i czuła za to wdzięczność, jednakże nigdy nie przestała obawiać się samego wodza.

Właściwie nie miała żadnego realnego powodu, żeby czuć ten strach. Zocali nigdy jej nie dotknął, sporadyczne bicie pozostawiał Fancie, a żaden wódz Cyganów nigdy nie poświęciłby dziewictwa jednej z kobiet, które do niego należały. Bez tego nie przyniosłaby mu przyzwoitej ceny, kiedy nadszedłby czas wydania jej za mąż. Przerażający jednak był sposób, w jaki na nią patrzył. Tak samo patrzyli na nią wszyscy mężczyźni, nawet Carlos, ale tylko on jej nie przerażał. Inni zdawali się gdzieś w głębi duszy żywić jakieś złe zamiary.

Reszta dziewcząt nie miewała takich odczuć. Robiły sprośne żarty na temat męskich części intymnych i rozważały, jakim mężem byłby każdy z nich. Sofia była przerażona perspektywą małżeństwa, o ile mężem nie byłby Carlos. Wiedziała, że młodzieniec zamierza o nią prosić i miała nadzieję, że odniesie sukces. Ale Zocali zażąda

wysokiej ceny, a Carlos miał tak niewiele. Niemniej jednak oboje byli obcy. Może Zocali będzie wolał przystać na takie rozwiązanie niż na takie, które w efekcie przyniesie jeszcze więcej zbrukanej romskiej krwi. W kwestii pogardzania obcymi Zocali nie różnił się od reszty.

Sofia wiedziała, co oni czują, i godziła się z tym, ale od czasu do czasu tęskniła za czymś ledwie pamiętanym, jakimś rodzajem uczucia, nie mającym nic wspólnego z rzeczami, które mężczyźni i kobiety robili w ciemnościach nocy. Raz, kiedy miała wysoką gorączkę i Fanta podała jej lekarstwo, prawie przypomniała sobie, co to jest.

- Wypij to samo, co daję innym. Nie mogę pozwolić sobie, żebyś umarła, kiedy w końcu wyuczyłam cię na tyle, że nie jesteś całkiem bezużyteczna - wyburczała przy tym. Ale przez chwilę dziewczyna widziała emocje w oczach staruszki, prawdziwą troskę i akceptację. Ktoś już tak na mnie patrzył, pomyślała. Dawno temu, przed nocą krzyków... Chwyciła się wspomnienia, ale zniknęło jak zawsze, zagubione w zamięcie.

Jak pojedyncze nuty zapomnianej pieśni, fragmenty wspomnień wracały, by nie dawać jej spokoju. Często była to muzyka, wzruszające i tęskne melodie niepodobne do tych, które знаła, motywy z innego świata. Czasami były to sceny, zapachy, boleśnie nieuchwytnie poczucie ruchów tkaniny. Białe jedwab wykończony czarno wyszywanymi literami, których nie znała, cień i światło układające się w kratkę i kołyszące się postacie, które zawsze wydawały się odrobinę za daleko, by można było sprawdzić, kim są i co robią. Czasami pamiętała śmiech, radość, poczucie trwałego pokoju i bezpieczeństwa.

Kto? Gdzie? Mogła bez końca wysilać się, by spróbować zatrzymać wspomnienia, zbadać i zrozumieć - nigdy nie zdołała odsunąć kurtyny, która skrywała tajemną przeszłość.

- Sofia, chodź tu.

Właśnie znowu zadumała się nad nieuchwytnymi strzępami pamięci. Odstawiła garnek, który od co najmniej pół godziny szorowała piaskiem, i podeszła do Zocalego. Zawsze wzywał najbliższą kobietę, kiedy czegoś chciał.

- Przygotuj się - powiedział równie spokojnie, jakby prosił ją o przyniesienie wina. - Będiesz reprezentować nasze plemię w następnym tygodniu na Wigilii Sary.

To było wszystko, żadnych wyjaśnień, żadnych fanfar, po prostu oznajmienie, że obca dostąpiła największego zaszczytu, którego dostąpić mogła niezamężna cygańska dziewczyna.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Niektórzy mówią na nią La Macarena. W języku naszych matek nazywa się Sara - la - Kali, czarna Cyganka. - Gawędziarzem była Concha z plemienia Vincenta. Wcześniej dwukrotnie Fanta przyprowadziła Sofię do ogniska Conchy, aby wysłuchała opowieści o dawnych dniach i dawnych drogach, ale tym razem było inaczej. Teraz była jedną z trzydziestu młodych niewiast, które przygotowywano do wigilii.

Concha wydmuchnęła kłęb dymu z gigantycznego cygara. Dym ten otoczył jej głowę. Włosy większości Cyganek pozostawały czarne do ich śmierci; te, którym poskąpiono takiego szczęścia, szły do Fanty i dostawały specjalne zioła do kolorowania siwizny, ale włosy Conchy były białe. Upinała je wysoko, w kok na czubku głowy, przebity złotym sztyletem. Cały łuk płatka jej prawego ucha był nabity klejnotami, z lewego zwisały cztery złote obręcze. W jednym oku miała lekkiego zezę i jeśli nie skupiała wzroku na jednym przedmiocie, sprawiała wrażenie, jakby widziała wszystko naraz. Sofia zauważyła, że Concha nie ma większości zębów; te, które pozostały, były żółte od tytoniu.

- Sara - la - Kali mieszkała w mieście nad morzem i była wielką drabarni. - Concha przerwała i spojrzała na swoje podopieczne. - Wy, młode, mówicie tylko językiem obcych, ale czy wiecie, co to jest drabami?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Potem nieśmiały głos gdzieś z tyłów rzekł: - Mądra kobieta.

Concha prychnęła. - Dużo więcej. Drabami to czarownica. Ale tylko romska czarownica. Żaden obcy nie dorównuje nam w magii. A ze wszystkich nas, które były czy będą drabami, żadna nigdy nie dorówna Sarze - la - Kali. Pewnego dnia przemówił do niej Pan Jezus. Powiedział jej, że ma iść na brzeg i uciszyć fale, aby mogła wylądować łódź niosąca trójkę jego przyjaciół.

Stara kobieta pochyliła się i przyjrzała twarzom swoich słuchaczek. - Zrozumcie mnie, żadna z was nie jest drabami. Abyście miały dar magii, abyście były czarownicami, waszym ciałem musiałby zawładnąć demon w czasie snu. Ale każda z was została wybrana, ponieważ nie straciłyście swojej cnoty. - Jej małe czarne oczy spojrzały na słuchaczki paraliżująco. Zezowate spojrzenie zmuszało do wyznania każdej prawdy.

Sofia zadrżała. Chciała zerwać się i powiedzieć coś, cokolwiek, co odwróciłoby od niej te oczy, ale nie miała czego wyznać. Oczywiście, że była dziewicą, nie straciła swojej cnoty, podobnie jak pozostałe dziewczęta. Jakakolwiek inna możliwość była nie do pomyślenia. Concha czekała, ale nikt się nie odezwał. W końcu zamruczała coś z satysfakcją i pociągnęła opowieść.

- Sara - la - Kali zrobiła to, co kazał jej Pan, i łódź przywiodła do jej miasta trzy święte kobiety. Jedna z nich, Maria Magdalena, poszła z Sarą do jej jaskini i żyły tam razem. Kiedy nadszedł czas śmierci Sary, jej ciało od razu zostało wzięte do nieba. Teraz czuwa nad romskimi dziewczętami, a kiedy mają męża, dba, aby miały dużo dzieci.

Opowieści ciągnęły się aż do świtu, przeplatane instrukcjami na temat tego, jak mają postępować podczas świętej nocy. Potem dziewczęta zostały zabrane do osobnych grot i pozwolono im spać do zmroku, kiedy to Concha znów do nich mówiła.

Tak minął cały tydzień. Sofia czuła się oszołomiona i zdezorientowana. Gorzej, była przerażona, że skoro nie jest prawdziwą Cyganką, popełni jakąś straszliwą pomyłkę. - Nie martw się - powiedziała Fanta wieczorem, kiedy przyniosła Sofii ubranie przygotowane dla niej przez kobiety plemienia Zocalego. - Wypadniesz dobrze. Czyż to nie ja cię przygotowywałam? - zachichotała cicho. - A kiedy zaczną się śpiewy, zrobisz z nich wszystkich oślice ryczące do księżycy.

Minęły jeszcze dwa dni i nadszedł czas. Procesja uformowała się po zachodzie słońca. Cokolwiek członkowie plemienia myśleli o wyborze swego wodza, dobrze przygotowali Sofię. Jasnozielona spódnica opinała jej biodra, a niżej rozkładała się w dziesięć rzędów falban obszytych białą koronką; bluzka była czerwona w białe paski, a rękawy i głęboko wycięty dekolt stanowiły jeszcze jedną obfitość falban. Podobnie jak reszta dziewcząt, Sofia była boso, i jak one nosiła białą koronkową mantylkę, która nakrywała jej włosy i spływała po plecach. Każda dziewczyna trzymała latarnię wykonaną z gliny, z otworami układającymi się w zawiłe wzory. Blask umieszczonej wewnątrz świecy wywoływał skomplikowaną grę światła i cienia na twarzach oczekujących osób.

Wyszły z grot. Przed nimi szło siedmiu mężczyzn niosących płonące pochodnie. W powietrzu zawisł zapach palonej smoły. Za

poходniami szło dwóch kolejnych mężczyzn. Jeden niósł długie drzewce z krucyfiksem, drugi dzierżył wysoko półksiężyc pomalowany w rozmaite cygańskie symbole. Tuż za nimi postępowało centrum procesji, powód jej istnienia - sześciu mężczyzn podtrzymywało na ramionach platformę przybraną czerwonym aksamitem przetykanym złotem. Na niej stało rzeźbione w drewnie wyobrażenie czarnej dziewicy Romów, Sary - la - Kali. Statua miała siedem stóp wysokości, oślepiła blaskiem korony i królewską szatą. Za nią, w jednym rzędzie, maszerowało trzydzieści dziewczic.

Powolnymi, miarowymi krokami pokonywały drogę przez Trianę. Tradycja wymagała, aby wszystkie kobiety ukryły się na tę noc; wszędzie byli więc tylko mężczyźni. Obcy, którzy tu żyli, wyglądali z okien i tłoczyli się na małych balkonach. Na ulicach szeregi Cyganów tłoczyły się pod wilgotnymi, kruszącymi się ścianami budynków, które były stare jeszcze przed nadejściem Maurów. Wąskie alejki były tak nabite ludźmi, że zostało akurat tyle miejsca, by przeszła procesja. Widzowie patrzyli. Pożerali maszerujących wzrokiem, ale nie wydawali żadnego dźwięku.

Procesja wyglądała, jakby poruszała się we śnie, rzeczywistości przydawały jej jedynie dźwięki stapania po bruku bosych stóp, pbrzękiwanie złotych łańcuchów i bransolet i delikatny sznur płótna i koronek. Zawsze, o ile okaleczona pamięć Sofii znała takie pojęcie, jej świat był wypełniony kłójącymi się kobietami, płaczącymi niemowlętami, władczymi mężczyznami krzykiem domagającymi się uwagi. Jaskinie stale rozbrzmiewały echem dźwięków. Kiedy Cyganie wchodzili między obcych, czynili jeszcze więcej hałasu. Mężczyźni walili w metalowe garnki, aby ściągnąć uwagę na swoje kowalskie umiejętności, kobiety krzyczały, że potrafią przepowiadać przyszłość. Tej nocy zapanowała tak głęboka cisza, że Sofia słyszała swój własny oddech.

Kamienie brukowe pod bosymi stopami były szorstkie i zimne. Nie zwracała na nie uwagi i skoncentrowała się na tym, by się nie potknąć i utrzymać światło latarni. - Jeśli jakaś dziewczyna pozwoli, aby wiatr zgasił jej świecę, musi natychmiast opuścić szereg - powiedziała im wcześniej Concha. - Jej plemię przez lata okryte będzie hańbą.

Dotarli do alei dmuchaczy szkła w połowie drogi; ciszę przerwał natarczywy dźwięk uderzeń. Jedna para dłoni zaczęła wybijać

miarowy rytm, przyłączyła się do niej następna, potem kolejne. W parę chwil noc rozbrzmiała staccato cygańskiego klaskania. Wypełniło ono wąskie ulice, zdawało się przenikać do wnętrza ciała Sofii. Dziewczęta w tym właśnie rytmie, kołysząc się, miarowo postępowały w stronę kościoła parafialnego Świętej Anny.

Przez resztę roku kościół ten należał do całej Sewilli, do biednych i bogatych, zarówno obcych, jak i Cyganów. Tej nocy był zarezerwowany dla Romów. Niemniej jednak procesja nie weszła przez główne drzwi, lecz przez wąskie wejście boczne. Dziewięciu niosących pochodnie i drzewce wmieszało się w tłum; mężczyźni niosący posąg zatrzymali się.

Sześć spośród dziewcząt odstawiło swoje latarnie i podeszło do przodu. Jedna po drugiej zastępowały mężczyzn, aż w końcu niosły na swych młodych ramionach cały ciężar świętego brzemienia. Teraz oślepiająca dziewczica należała tylko do nich i one wniosły ją do krypty. Przez siedem godzin będą klęczeć przed Sarą w milczącym oczekiwaniu...

Na głowie czarnolicego posagu spoczywała pieczołowicie wykonana siedmiopiętrowa tiara. Samą postać odziano w siedem kompletów wspaniałych szat i po wybiciu każdej pełnej godziny dziewczęta usuwały jedną warstwę, odkrywając następną, jeszcze bardziej okazałą i obficiej zdobioną. Ostatnia szata była najpiękniejsza ze wszystkich - tkana złotem i usiana klejnotami. Kiedy została odsłonięta, nad głowami dziewcząt rozległ się potężny łomot. Był to stukot setek lasek i patyków uderzających w podłogę kościoła powyżej - sygnał rozpoczęcia ostatniej części ceremonii.

Godzinami - wydawało się, że przez cały ubiegły tydzień - dziewczęta z rzadka wypowiadały jakieś słowo. Teraz jedna otworzyła usta i zaczęła śpiewać lamentacje, błagając Sarę, aby nadal czuwała nad Romami, czyniła ich płodnymi i dała im wiele dzieci, dzięki którym ich plemiona będą rosły w siłę. Na lamentację składało się trzydzieści wersów, po jednym dla każdej, i dziewczęta śpiewały w wyznaczonej wcześniej kolejności. Sofia miała śpiewać ostatnia.

Najpierw myślała, że jej miejsce jest kolejnym dowodem jej braku pozycji wśród Cyganów. Potem nadeszła jej kolej i zrozumiała, że jest inaczej, a nawet powzięła podejrzenie, że to Fanta przyłożyła rękę do ustalenia tej kolejności. Jej głos płynął pod sklepieniem,

zacierając wszystko, co było przedtem. Śpiewała tak, póki słońce nie wzeszło i nie otwarto drzwi do krypty.

W tym roku Zocali dostąpił tego zaszczytu. Stanął na tle czerwonego nieba i wywołał je na światło dzienne: - Córki Sary, wyjdźcie!

Jedna po drugiej opuszczały kryptę. Kiedy Sofia przestępowała próg, wychodząc na światło słońca, Zocali uśmiechnął się do niej. Jego ciemna twarz nosiła wyraz aprobaty, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

- Wiele rzeczy robi dobrze - Zocali skinął głową w stronę kąta, w którym Sofia wyplatała kosz z trzciny rzecznej.

Gość był zbudowany jak beczka, pękaty i najgrubszy w środkowej części. Miał czarną brodę, ale jego głowa była całkowicie łyśa. To zestawienie nadawało mu groźny wygląd; wieść gminna niosła, że mężczyzna ów golił swoją czaszkę. Teraz zawzięcie dłubał w zębach. Najedli się już należycie ryżem, fasolą i kozim gulaszem i wypili dużo wina. Gość beknał głośno. - Skoro tak mówisz, niech tak będzie. Dlatego tu jestem. Wygląda dobrze, ale jej krew jest zła, obaj to wiemy.

- Nie zła, tylko obca.

- To jedno i to samo.

Zocali wzruszył ramionami. - Jak mówisz, obaj to wiemy. Skoro się tym przejmujesz, dlaczego tu przyjechałeś?

Gość wpatrzył się w żar paleniska z nawozu. - Jestem biednym człowiekiem, teraz jestem wdowcem. Muszę popatrzeć, na co mnie stać.

- Jesteś najbogatszym człowiekiem w jaskiniach - rzekł Zocali. - Oszczędź mi swoich kłamstw i lamentów. Widziałeś ją i słyszałeś, wiesz, że to dobry łup. I powiem ci coś jeszcze - ona czyta litery, nawet całe słowa. Nie dam jej tanio.

Sofia nie podniosła wzroku, ale jej palce przestały pleść wiklinę. Przez cały czas, kiedy podawała im kolację, zastanawiała się, co się dzieje. Na co dzień mieli trochę interesów z plemieniem Paca. Musiał być jakiś ważny powód, dla którego Paco sam pofatygował się do jaskini Zocaliego. Teraz wiedziała już, jaki to powód.

Fanta siedziała przy ogniu i na jednym stole w pomieszczeniu układała swoje mocno sfatygowane karty w wiecznie zmieniające się wzory. Wydała ciche, ledwie słyszalne cmoknięcie. Sofia usłyszała je

i rozumiała, co znaczy. Podniosła wzrok. Fanta potrząsnęła głową w niemym ostrzeżeniu.

Zocali pochował trzy żony; czwarta miała na imię Teresita. Była tylko trochę starsza od Sofii, ale nawet w połowie nie tak piękna. Pierwszym dzieckiem Teresity był zdrowy syn, ale to ani trochę nie zmniejszyło jej zazdrości o Sofię. Teraz trzymała dziecko przy obrzmiałej piersi i ręce miała zajęte. Szturchnęła Sofię wysuniętą stopą. - Ty leniwcu, nie widzisz, że ich kubki są puste?

Sofia wstała i sięgnęła po dzbanek wina. Zocali spojrzął ze złością na żonę. Kiedy byli sami, mogła mówić, co się jej żywnie podoba, ale nazywanie dziewczyny leniwą, kiedy on negocjował cenę za nią, było głupotą. Odwrócił się do drugiego wodza. - Dwieście reali, Paco. Plus trzy miedziane garnki i osioł. I coś jeszcze. - Wychylił się do przodu i dotknął złotego kolczyka w lewym uchu Paca. Był to zwinięty wąż z rubinem jak kropelka krwi na końcu wysuniętego języka. - Chcę jeszcze to.

- Śmieszne - powiedział Paco. Sofia schyliła się nad nim, aby napełnić jego kubek. Objął palcami jej ramię. - Jest koścista.

- To tylko dlatego, że jest dziewicą. Kiedy wyjdzie za mąż, przytyje. I jej piersi są dobre. Będą dawać dużo mleka. Ty, rozepnij bluzkę i pokaż mu.

To nie przez skromność się zawahała. Wiedziała, że wśród obcych kobiece piersi są trzymane w ukryciu, ale Cyganie uważali, że to śmieszne. Kobiece piersi karmiły dzieci, najcenniejszy skarb plemienia. Były przedmiotem dumy. Piersi Sofii były pełne i jędrne i nie wstydziła się ich. Zawahała się, bo nie chciała, by wydawało się, iż przystaje na plan Zocalego. Cygańskie dziewczęta miały coś do powiedzenia w kwestii swojego małżeństwa. To była tradycja.

Ustał szmer tasowanych kart. Fanta chrząknęła głośno.

Zocali i Paco czekali. Za kilka sekund ociąganie Sofii stanie się jawnym nieposłuszeństwem. Zostanie za to zbita. Gorzej, jeśli Zocali będzie zły za to, że stracił twarz, może okazać srogość. Rozwiązała stanik i uwolniła piersi.

Jej gęste czarne sploty zwieszały się nad nimi, rzucając cień na napięte różowe sutki. Paco wyciągnął krótki, gruby palec i odsunął jeden splot. Sofia wzdrygnęła się.

Zocali zachichotał. - Widzisz, przestraszyłeś ją, bo jest czystą dziewcziną. Spokojnie, przyjacielu. Możesz patrzeć, ale nie wolno ci dotykać. Przynajmniej dopóki nie zapłacisz za nią i nie poślubisz jej.

- Dwieście reali, trzy miedziane garnki i mój kolczyk. Jesteś złodziejem, Zocali. Żaden Rom nie okrada drugiego Roma, tak mówi nasze prawo.

- Znam nasze prawo. Moim zdaniem to dobra cena. Idź i przemyśl to. Podaj mi swoją odpowiedź do piątku. Są jeszcze inni zainteresowani.

Jeśli mówił prawdę, było to całkiem coś nowego. Aż do tego wieczoru nikt poza Carlosem nie zwracał na nią uwagi. To dlatego Zocali wybrał ją na reprezentantkę plemienia na Wigilię Sary. Teraz Sofia to rozumiała. To nie miało nic wspólnego z przywiązaniem. Musiała zdobyć pozycję, która podbiłaby jej cenę.

Czekała, aż Paco opuści małe pomieszczenie bez okien, potem odwróciła się do Zocaliego. On odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Nie ośmieliła się zakłócić jego snu.

Fanta wciąż ją obserwowała. Sofia rzuciła jej błagalne spojrzenie. Stara kobieta tylko pokręciła głową i wróciła do swoich kart, Sofia do wyplatania. Kilka chwil później znów poczuła na sobie wzrok Fanty. Podniosła oczy. Starucha patrzyła najpierw na nią, potem na karty. - Co jest? - wyszeptała Sofia. - Co widzisz?

- Nic - Fanta zebrała karty jednym ruchem ręki. - Nic nie widzę. Dlaczego miałabym tracić czas na czytanie kart takiej bezwartościowej dziewczyny jak ty?

- Nie bezwartościowej - ozwał się głos Zocaliego. - Zaśpiewaj coś, Sofia.

- Myślałam, że śpisz.

- Spałem. Teraz już nie śpię. Zaśpiewaj coś.

- Proszę, chcę z tobą porozmawiać...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie chcę tego słuchać. Myślisz, że potrafię znaleźć męża dla obcej? Nie będzie łatwo znaleźć kogoś, kto zechce cię poślubić. Muszę brać to, co dostaję.

To nieprawda, chciała wykrzyknąć. Nie żądałbyś za mnie tak wysokiej sumy, gdyby to była prawda. Nie powiedziała tego i oczywiście nie podniosła głosu. - Carlos chce mnie poślubić - wyszeptała. - Wiem, że chce.

- Każdy to wie - przyznał Zocali. - Ale on nie ma pieniędzy. Znosiłem cię przez osiem lat, wziąłem cię, kiedy mieli cię zabić bandyci, sama umarłabyś z głodu. Czy nie mam teraz prawa do wynagrodzenia? Przestań gadać, Sofio. Śpiewaj.

Zrobiła, co kazał. Wprawiając go w złość, niczego by nie wygrała. Potrzebowała swojego rozumu i forteli. To była cała jej broń.

Carlos przyszedł następnego ranka. Jego szare oczy były pociemniałe z wściekłości. - Mówią, że zamierzasz dać Sofię temu ohydnemu zwierzęciu Paco. Nie możesz tego zrobić.

- Och, a dlaczegoż to? - Zocali pakował do plecaka swoje kowalskie narzędzia, bo wybierał się do miasta.

- Ponieważ ona jest moja. Znalazłem ją i przyniosłem do plemienia, czy nie? Należy do mnie. Chcę poślubić Sofię.

- Bueno. Mnie tam wszystko jedno, o ile nie będę już musiał jej żywić i ubierać. Dwieście reali, trzy miedziane garnki, osioł i możesz ją mieć. Kolczyk sobie odpuszczę.

- Dobrze - odrzekł Carlos natychmiast. - Zgadzam się. Zocali zmrużył oczy i wbił je w młodzieńca. - Pokaż mi pieniądze i jest twoja. Wieczorem ogłosimy zrękowiny.

Serce Sofii załomotało. Nie odrywała wzroku od Carlosa.

- Nie mogę - rzekł on. - Nie teraz. Oszczędzałem, ale jeszcze nie mam tyle.

- Boże drogi! Czyż nie jestem rozsądnym człowiekiem? Łaskawym człowiekiem? Jakiż inny wódz opiekował się dwójką obcych przez tyle lat? Jeśli trochę ci brakuje, Carlosie, myślisz, że to będzie miało dla mnie znaczenie? Na real czy dwa mogę poczekać. Ile masz?

Carlos zwiesił głowę. - Dziesięć reali. Ale wiem, gdzie mogę ukraść garnki i osła.

- Dziesięć reali! Masz czelność przyjść tutaj i mówić mi w twarz, że chcesz wziąć mojego dziewiczego skowronka za cenę, którą musiałbyś zapłacić za starą jędrę, w której piersiach nie ma ani kropli mleka? Po to cię chroniłem od czasu, gdy umarła twoja przeklęta matka? Żebyś mnie obrażał i hańbił? - Z każdym słowem Zocali mówił głośnie.

Sofia wiedziała, że ten gniew jest udawany. Zocali nigdy nie wierzył, że Carlos mógłby zapłacić żadaną cenę. Specjalnie doprowadził do sytuacji, w której młodzieniec wyglądał na

niewdzięcznego i śmiesznego, a teraz krzyczał o tym tak głośno, żeby wszyscy słyszeli.

- Zostaw go - krzyknęła. - Zostaw Carlosa w spokoju. To nie jego wina, że jest biedny. I żadne z nas nie ponosi winy za swoją obcą krew.

Zocali rzucił się ku niej. Jego uderzenie otwartą dłonią było tak potężne, że dziewczyna się zatoczyła. Carlos skoczył ku Zocalemu, przycisnął go do ziemi i zaczął okładać pięściami. Każde uderzenie było zapłatą za lata zniewag i odrzucenia. Byłby go zabił, ale do pomieszczenia wpadli dwaj mężczyźni i odciągnęli go.

Zocali dźwignął się na nogi. Jego twarz była zalana krwią. Otarł usta wierzchem dłoni, splunął i dwa zęby wyleciały na klepisko. Jego wybawcy trzymali Carlosa z obu stron. Ręka Zocaliego powędrowała do noża zatkniętego za pasem, ale tylko na chwilę. Był wodzem plemienia, nie gorącogłowym idiotą.

- Zabierzcie go - wymamrotał w końcu. - Nie chcę więcej na niego patrzeć. - Odwrócił się do Sofii. - Niech ona też zejdzie z moich oczu. Teresita, zabierz ją stąd. Zbij ją dobrze za jej zuchwalstwo. - Podniósł dzban z winem, ale zatrzymał się, zanim wypił. - Bacz, aby nie złamać jej żadnej kości ani nie zostawić śladu na twarzy - zawołał za żoną.

Bicie nie było takie straszne, Sofia znosiła już cięższe razy. Do zmroku poczuła się lepiej i poszła z dzbankiem nad rzekę po wodę.

Wieczór był ciepły i cichy, gdzieś pohukiwała sowa, wiatr szeleścił w gałęziach drzew. To była muzyka najlepsza ze wszystkich, nawet lepsza niż jej śpiew. Szła szybko, serce miała lekkie na przekór wszystkiemu, co się wydarzyło. Carlos poprosił o nią. Chciał jej. Carlos...

Spotykali się nad rzeką od wielu lat. Było to ich tajemne miejsce, jej i Carlosa. Takie schadzki były zakazane, ale wiedzieli, że nie robią nic złego. Rozmawiali tylko, i czasami, kiedy ona wydawała się bardzo smutna, on dotykał jej ręki. - Dlaczego opłakujesz coś, czego nigdy nie będziesz mogła mieć? - pytał ją wiele razy. - Oni odeszli, matka i ojciec, którzy cię poczęli. Dla ciebie są martwi. Musisz się z tym pogodzić.

- Nie potrafię. - Sofia zawsze odpowiadała tak samo. - Nie mogę się z tym pogodzić. Nie wiem, kim jestem, Carlosie. Nie wiem, czym jestem.

- Jesteś Sofią z plemienia Zocalego. Piękną dziewczyną z głosem anioła. To wystarczy.

Ona jednak nie uważała, że to wystarczy. Ale teraz... Teraz może by wystarczyło. Bo Carlos chciał pojąć ją za żonę. Kiedy dotarła nad brzeg rzeki, wiedziała dokładnie, co powie: „Musimy teraz odejść, Carlosie. Rozmawialiśmy już o ucieczce. Teraz nadszedł na nią czas. To nie będzie takie trudne. Znajdziemy księdza, który da nam ślub. Odejdziemy daleko, gdzie nikt nas nie zna. Znajdziesz jakąś pracę, ja będę wróżyć. Często słuchałam Fanty, wiem, jak to się robi...” Wszystkie te słowa drżały na krawędziach jej warg, czekały, aż je wypowie.

Na brzegu rzeki nie było nikogo. Czekala tak długo, póki wystarczyło jej odwagi, bez skutku. Każdej nocy przez tydzień Sofia wracała na miejsce spotkań, ale Carlos się nie pojawił. Nie widziała go też za dnia. Zniknął z jaskini i z jej życia.

W piątek Paco przyszedł do jaskini Zocalego i oznajmił, że zapłaci za pannę młodą. - Wszystko oprócz mojego kolczyka. - Wskazał klejnot z oddaniem. - Ten kolczyk to mój talizman.

Zocali wzruszył ramionami. - Cóż, czy mógłbym komuś ukraść szczęście? Dobrze, zapomnijmy o kolczyku.

Paco skinął głową. - I mam jeszcze jeden warunek.

- Jaki?

- Pobierzemy się w ciągu dwóch miesięcy. Jestem za stary na dwuletnie narzeczeństwo.

Dwa lata były zwyczajowym okresem oczekiwania od zaręczyn. Ale obowiązywał on, jeśli zarówno panna, jak i pan młody ledwie wyrosli z dzieciństwa, jak to bywało w zwyczajnych wypadkach. Ten był inny. - Przybite - zgodził się Zocali, wyciągając rękę.

Paco uściskał ją mocno. - Przybite.

Carlosowi pozostała ostatnia nadzieja. Byki. Była to jego jedyna szansa na zdobycie pieniędzy w krótkim czasie, a on potrzebował dużo pieniędzy. Będzie musiał zapłacić Zocalemu dwieście reali i dodatkową sumę, bo poprosi go o zaniechanie już ubitego interesu. Potem będzie musiał zapłacić Pacowi taką samą sumę, aby zrekompensować mu utratę obiecanej żony. Jeśli jednak będzie miał dość pieniędzy, będzie mógł zrobić obie te rzeczy; takie układy nie były czymś nowym, mieściły się w granicach prawa Romów. Gdyby tylko mógł zdobyć pieniądze. Nie znał miejsca, w którym mógłby

ukraść taką sumę, nie ryzykując pochwylenia. Byki były jego jedyną szansą.

W niedziele na wielkich korridach na placu w Sewilli matador nieraz zarabiał ponad dwieście reali za jedną popołudniową walkę. To Carlos wiedział, ale ta informacja nie miała z nim nic wspólnego. Nie mógł walczyć w spektaklu tego rodzaju, ponieważ nie był matadorem.

Tytuł i nagrody były zarezerwowane dla tego, kto startował jako toreador, zapaśnik, w pomniejszych korridach na prowincji i wypracował sobie swój styl, zawsze walcząc z większymi i waleczniejszymi bykami. Koniec końców, jeśli uniknął okaleczenia czy nawet śmierci i jeśli rozeszła się wieść o jego kunszcie i wdzięku, mógł zostać zaproszony do Madrytu. To mógł być najważniejszy występ jego życia, jego alternativa. Dopiero po tym, jak odtńczył swój egzotyczny taniec śmierci na piaskach Plaza Mayor w Madrycie, przed aficionados, koneserami korridy, którzy znali się na tym, co oglądają, mężczyzna taki mógł być nazwany nie zwykłym zapaśnikiem, lecz matadorem. Dopiero wtedy mógł żądać wysokiego honorarium za każdym razem, kiedy wchodził na arenę.

- Stoisz tu już ponad godzinę. Czego chcesz? - Mężczyzna zadający to pytanie był niemal tak potężny jak byki, które hodował i przygotowywał na arenę.

- Chcę walczyć.

Hodowca wybuchnął śmiechem, ale nie było w tym śmiechu wesołości. - Każdy chłopiec w Hiszpanii chce walczyć z bykami. To dlatego żadne zwierzę nie może paść się spokojnie na polu. Zawsze przejdzie jakiś głupi muchacho i doprowadzi biedaka do szału, żeby mógł przekonać swoich kumpli, iż pewnego dnia zostanie wielkim matadorem.

Przerwał i obejrzał dokładnie Carlosa. Wysoki i smukły, zbudowany jak toreador, nie da się ukryć. Blond włosy i szare oczy to też zaleta. Dobry wygląd nigdy nie szkodzi - damy przychodzą na arenę równie często, jak ich mężowie. Ale ten młodzieniec wyglądał zaledwie na dwudziestolatka. Jeśli miał jakąś specjalną umiejętność, jego imię będzie znane. - Wyglądasz, jakbyś był trochę za stary do tej gry, chico. Gdzie walczyłeś do tej pory?

- Nigdzie - odrzekł Carlos. - Nigdy jeszcze nie walczyłem.

Hodowca znowu się roześmiał. Tym razem naprawdę był ubawiony. - I chcesz, żebym cię wpuścił na arenę? - Uczynił gest w

stronę korrala. - Z czymś takim jak czarny zabójca, co? Myślisz, że chce mi się płacić za twój pogrzeb?

- Nie będzie pan płacił. - Carlos wbił wzrok w mężczyznę. - Zamierzam być największym matadorem, jakiego pan kiedykolwiek widział.

Mężczyzna zaczął się wycofywać. - Jesteś obłąkany, chico. Ja muszę pracować.

- Jestem Cyganem. Mam tajemne moce.

Spojrzał na niego raz jeszcze. - Cygan blondyn z szarymi oczyma? Wariat. - Ruszył do swoich zajęć, kiedy Carlos przeskoczył przez ogrodzenie na korral. - Hej! Wynoś się stamtąd, gnojku. To mój najlepszy byk...

Carlos nie miał absolutnie żadnych umiejętności. Całą swoją wiedzę o bykach zdobył przy rzadkich okazjach, kiedy on i kilku innych cygańskich chłopców zakradali się na plac w czasie korridy. Wiedział, jak wygląda matador, kiedy przedstawia swoją sztukę, ale nie miał pojęcia, jak osiąga swój kunszt. Nie miał też Carlos żadnego wyposażenia - nie miał peleryny, z którą mógłby zainauguować wstępne przejścia, nie miał banderilli, aby wbić ją w kark zwierzęcia i zmusić je, by pochyliło łeb, nie miał mulety ani szpady, żeby zabić. Miał tylko swoją desperację.

Byk był przeogromny. Boże drogi! Ledwie mógł uwierzyć w jego wielkość. - Chodź, toro - wyszeptał. - Spójrz na mnie.

Byk ignorował go konsekwentnie. Carlos stał wyprostowany jak struna - widział, że tak stoją matadorzy - jakby jego ciało było czymś najpiękniejszym na świecie. Hodowca wciąż krzyczał na niego, żeby zszedł z korralu, ale Carlos nie zwracał na to uwagi. Cmokał językiem - widział, że matadorzy też tak robią. Byk spojrzał i powoli ruszył swoją potężną głową.

Powoli. Szybkość była jedyną przewagą, jaką miał człowiek nad zwierzęciem, które ważyło ponad tysiąc funtów. Byk był nieruchawy, zupełnie pozbawiony zwinności, której Carlosowi nie brakowało.

- Chodź - namawiał go cicho. - Chodź po mnie, toro. - Wielkie oczy znieruchomiały na jego widok. Potem Carlos zobaczył, jak opuszczają się rogi.

- Skacz! Jesteś szalony, chłopcze, on cię zabije. Skacz! Carlos nie skoczył, aż do ostatniego ułamka sekundy. Obrócił się bokiem, aby stanowić mniejszy cel, i nie ruszał się. Gdyby miał pelerynę,

użyłby jej w tej chwili, aby zwieść atakującego. Nie miał w ogóle nic czerwonego, aby poprowadzić te kręte narzędzia śmierci obok delikatnego ludzkiego ciała. Byk dmuchnął potężnie. Kiedy Carlos poczuł jego gorący oddech na swojej twarzy, okręcił się.

Wielki ciężar ciała niósł zwierzę jeszcze przez sześć stóp, nim zdało ono sobie sprawę, że człowiek zniknął już z jego pola widzenia. Wtedy obróciło swoje potężne cielsko i rozejrzało się za nim. Carlos stał w tym samym miejscu, co wcześniej, tak samo spokojny i tak samo kuszący.

Hodowca przestał krzyczeć, patrzył oniemiały ze zgrozy. Szalencie. Ten chico był szalony. Ale mężny. Matko boska, ależ miał ikrę. Nic, tylko jego ciało i byk. Hodowca zrzucił z ramion swój żakiet.

- Hej, chico! Chcesz to?

Carlos spojrział na „broń”, którą mężczyzna mu oferował. Potrząsnął głową. Ten ruch wystarczył. Byk zaczął swoje drugie natarcie.

Kiedy byk się zbliżał, czas spowolniał. Carlos odniósł wrażenie, że mógłby odliczyć kroki zwierzęcia. Jeszcze dwa i rogi go dosięgną. Nie, nie dosięgną. Był tego absolutnie pewien. Odwrócił się plecami do byka. Kiedy poczuł gorący, wilgotny oddech na karku, umknął w bezpieczne miejsce.

Tym razem biegł przez całą drogę do ogrodzenia korralu i przeskoczył je lekko. Nie był nawet zdyszany. - No - zapytał hodowcę.

- Mogę walczyć? Za pieniądze?

- Zobaczymy - odparł powoli mężczyzna. - Zobaczymy. Chcę, żebyś kogoś poznał.

- Kogo?

- Nieważne kogo. Możesz być pewien, że to nikt, kogo znasz. Chodź, zjedz teraz z nami. Potem możesz się tam przespać. - Machnął głową w stronę jednej ze stajni. - Poślę dziś wieczorem słówko seniorowi, może przyjedzie za kilka dni.

- To niebezpieczne kochać coś, czego nie będziesz mógł posiadać - przestrzegął Domingo Mendoza swojego kalekiego syna w 1783 roku, kiedy chłopiec miał dziesięć lat. - Zapomnij o bykach, Pablocito. Nie mogą pobiec dla ciebie.

Te słowa niczego nie zmieniły. Po raz pierwszy widział korridę jako ośmiolatek i od tego momentu Pablo Luis Mendoza Rodriguez tęsknił za tym, by sięgnąć po swoją szansę na arenie. Matador z garbatymi plecami i skurczonym ramieniem to żart, ale nie doprowadzał go do śmiechu.

Przez całą swoją wczesną młodość Pablo Luis w każdym szczególe studiował świat korridy. Teraz miał dwadzieścia sześć lat i nie było ganadero, który by go nie znał. Odwiedził każde ranczo w Hiszpanii, na którym hodowano byki do walk. Przyjeżdżał tam zawsze na tentadero, pierwszy sprawdzian odwagi novillo, młodego byka. Kiedy w Madrycie odbywała się alternativa, on tam był. Jeśli program korridy w Kordobie wydawał się mniej ekscytujący niż w innym mieście, Pablo opuszczał dom i ruszał do tego lepiej obdarowanego miejsca. Kiedy rokujący nadzieje toreador nie mógł sobie pozwolić na wydatek setek reali na swoje traje de luz, kosztowny strój do walki, szedł do Pabla Mendozy. Jeśli zapowiadał się na dobrego zapaśnika, zawsze dostawał to, czego potrzebował.

Pablo Luis, kaleka, jadł, spał, pił i kochał tylko walki byków. Tego styczniowego dnia roku 1799 z paraliżującą ekscytacją przeczytał wiadomość od hodowcy spod Sewilli: „Przyjedź, jeśli możesz, don Pablo. Myślę, że zobaczysz coś godnego uwagi.”

Bandzie Cyganów podróżujących pieszo z osłami pokonanie odległości między Kordobą a Sewillą zajmowało cztery dni; dla mężczyzny w powozie ciągnionym przez cztery silne konie była to kwestia jakichś szesnastu godzin. Pablo przyjechał na ranczo trzy dni po tym, jak Carlos wszedł na korral i stawił czoło swojemu pierwszemu bykowi.

- Nie wiem, czy on jest tylko szalony, czy to najdzielniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałem - zwierzał się hodowca. - Jest tam. Ten blond chico, co próbuje udawać, że nie wie, że o nim rozmawiamy.

Pablo spojrział w tamtą stronę. Widok młodzieńca skrzył mu jelita. Zawsze tak było. Ci, którzy wyglądali, jakby urodzili się na matadorów - prości, przystojni, barczyści i wąskobiodrzy. Nienawdził ich, a zarazem kochał. Dawali mu wszystko, co w jego życiu było radością. Nauczył się ukrywać burzę sprzecznych emocji. - Miło na niego patrzeć - zgodził się. - Ale zapewne nie tylko dlatego mnie tu sprowadziłeś. Jest chyba coś jeszcze.

- Coś jeszcze - powtórzył wolno hodowca. - Możesz to tak nazywać, don Pablo. - I opowiedział mu o tym, co zrobił Carlos.

- Bardzo śmiały - zgodził się Pablo, ale w jego głosie nie było przekonania.

- Więcej niż śmiały - upierał się hodowca. - Ma wygląd i ma cojones, ale pan i ja wiemy, że to coś, co pan nazywa „czymś jeszcze”, sprawia, że mężczyzna zostaje matadorem. On też to ma. Kiedy był na korralu, był... jak bóg. Doskonały. Nie znam innego słowa. Patrzyłem na niego i to było tak, jakby muzyka budziła się do życia. Myślę, że może zostać wielkim matadorem.

Pablo przyjrzał się hodowcy zmrużonymi oczyma. - Nigdy nie słyszałem z twoich ust tylu poetycznych słów, przyjacielu. Może ja zareaguję w ten sam sposób. Zobaczymy.

- Widzi pan - powiedział szybko hodowca - on jeszcze nigdy nie trzymał peleryny. Ćwiczył, kiedy czekaliśmy na pana, ale nie ma jeszcze tyle wdzięku, ile będzie miał pewnego dnia.

- Peleryna? Nie, chcę zobaczyć to, co ty. Chico i byk. Bez niczego.

- Bez niczego? Wybacz, don Pablo, to samobójstwo. On to zrobił, przysięgam na duszę swojej matki. Naprawdę to zrobił.

- Nie wątpię w twoje słowo, ale chcę sam to zobaczyć. Hodowca milczał chwilę, a potem wzruszył ramionami. - Carlos, chodź tu.

Carlos podszedł do nich. Hodowca się mylił, mężczyzna z Kordoby nie był mu obcy. Sofia opisała go, kiedy mówiła o ich spotkaniu na Calle Judios. Dziś mężczyzna był ubrany tak jak wtedy, w wielką czarną pelerynę, która w połowie skrywała garb i zdeformowane ramię, w czarne sombrero o szerokim rondzie, głęboko nasunięte na twarz.

Carlos nie powiedział hodowcy, co wie o Mendozach. Teraz czekał, aż zostanie przedstawiony, potem się uklonił. - Buenos dias, don Pablo. Jestem na pańskie usługi.

- Mój przyjaciel mówi, że jesteś Cyganem. Z którego plemienia? Carlos zawahał się. Niewielu obcych wie, że w ogóle są plemiona; myślą o wszystkich Cyganach jako o całości. Ale Sofia mówiła, że ten jeden zdawał się wiedzieć o wielu rzeczach, nawet o „wielkiej sztuczce”. - Z plemienia Zocalego - odrzekł Carlos. To raczej było wyznanie bez znaczenia, a tak wiele zależało od patronatu tego mężczyzny.

- Rozumiem. Powiedz mi, czy może przypadkiem jest między wami młoda kobieta o niesamowitym głosie? Słyszałem ją raz czy dwa. Ma niebieskie oczy, o ile pamiętam.

Carlos pokręcił głową.

- Nie znam takiej Cyganki, don Pablo. - Nigdy nie będzie rozmawiał o Sofii z obcym.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami. - No dobrze, to nieważne. Cóż, słyszałem, co zrobiłeś tu któregoś dnia. Czy jesteś gotów zrobić to jeszcze raz? Tak jak wtedy, bez peleryny i bez broni - dodał.

Carlos rzucił spojrzenie na hodowcę. Ten powiedział mu wcześniej, że don Pablo obejrzy go z peleryną. Jest aficionado, który rozumie, że Carlos nie ma jeszcze wprawy. Spojrzenie hodowcy było niewzruszone, nie zdradzało niczego. Jeśli Cygan życzy sobie ryzykować życiem, niech robi to na swój rachunek.

Carlos zrozumiał. Skinął głową. - Oczywiście, do usług waszej miłości.

Byk, który czekał na niego w korralu, nie był tym samym, któremu stawiał czoło wcześniej. Jeśli chodzi o walkę, tamtego byka zniszczył raz na zawsze. Żadnego byka nie zostawiano na arenie z człowiekiem nawet na sekundę. Po jednym doświadczeniu zwierzę uczyło się wszystkich sztuczek i było nie do pokonania. Czarny byk z pierwszego spotkania teraz nadawał się tylko na stadninę i ewentualnie na gulasz. Ten, który czekał dziś, był trochę mniejszy i miał rdzawobrazowy kolor.

- Czy to dobry byk? - spytał Pablo, kiedy Carlos szedł w stronę korrala.

Hodowca nawet nie spojrzał na niego. - Oczywiście, świetny. - Cóż, może nie tak świetny. Trochę mniej waleczny, mniej gwałtowny. Cuno! Stracił już w tym tygodniu jeden doskonały okaz, to wystarczy.

Pablo chrząknął. Domyślał się, że mężczyzna kłamie. Nie poświęciłby drugiego wyborowego byka dla tego szalonego Cygana. Niech będzie. To i tak był wybór młodego człowieka. Jeśli ten Carlos chce patronatu Pabla Luisa Mendozy, musi dowieść, że na to zasługuje.

Pablo czekał i patrzył. Walczyły w nim te same uczucia, co zawsze w takich wypadkach. Ponieważ nienawidził Cygana za to, że

robił to, czego on robić nie mógł, chciał, aby byk go zabił; ponieważ kochał widowisko i odwagę, chciał, aby toreador zatriumfował.

Carlos przeskoczył ogrodzenie korrala i zajął pozycję. Było tak, jak mówił hodowca. Coś się stało w chwili, gdy Carlos stanął twarzą do byka. Zmienił się. Nie był już zwykłym śmiertelnikiem. Pablo wiedział o tym i wyczuł niewidzialną więź pomiędzy sobą a zapaśnikiem - razem czuli emocje, lęki, nadzieje, triumf i katastrofę, która przechodzi o włos. I jak zawsze w takich momentach poczuł falę radości. Nie, tym razem radość była większa.

Na ułamek sekundy Carlos obejrzał się na mężczyznę, który go obserwował. Ich oczy spotkały się, potem Carlos obrócił swą uwagę na byka. - Ay, toro - zawołał cicho. - Jestem tutaj, chodź do mnie.

Już po chwili Pablo wiedział, że widzi przedstawienie, którego nie zapomni. Było lepiej, niż obiecywał hodowca. Carlos przyjął trzy natarcia, jedno na wprost, a dwa odwrócony plecami, za każdym razem umykając spod rogów w ostatniej chwili ruchem o nieźrównanym wdzięku. Potem stanął do byka po raz czwarty. Bestia natarła, parskając z furją. Carlos czekał do ostatniej chwili, aż było za późno. Musiało być za późno. Ale nie było. Nie spróbował się wywinąć. Wyskoczył wysoko w powietrze.

- Boże przenajświętszy - wyszeptał Pablo.

- Ole! - krzyknął hodowca. Dla mężczyzn śledzących korridę wszystko to było tak nadzwyczajne, tak nieprawdopodobne. - Matko Boska, on chce to zrobić jeszcze raz.

Carlos przywołał byka do siebie raz jeszcze. Gdyby zwierzę było lepszej klasy, odniósłby sukces i zostałby bohaterem. Ale to nie był taki świetny toro. Nie atakował naprawdę. Odwrócił się w ostatniej sekundzie i uderzył rogiem w bok Carlosa. Wielki kieł wbił się poniżej żeber młodzieńca i wyszedł obok kręgosłupa. Przez chwilę Cygan był nadziany na róg. Potem byk ze wstrętem zarzucił łbem i pozbył się swojego ciężaru.

Był przytomny, kiedy nieśli go do domu. I o dziwo, bardzo szczęśliwy. Nie jest jednak takim tchórzem. Nie tak, jak zawsze mówili. Zocali, Joselito i cała reszta byli w błędzie. Miał większe cojones niż oni.

Pablo nachylał się nad nim. - Carlos, słyszysz mnie?

Cygan skinał głową.

- To dobrze. Jesteś niesamowity. Jeśli przeżyjesz i jeśli masz odwagę znowu walczyć, będę twoim opiekunem.

Czekaj na mnie, Sofio, myślał Carlos. Narzeczeństwo potrwa dwa lata. Nie zapomnij o mnie. Zdobędę pieniądze i przyjdę... Zemdlał z upływu krwi.

Wiele razy Sofia mówiła sobie, że Carlos wróci. Nie ma się czym martwić. Zanim ona poślubi Paca, Carlos wróci po nią. Uratował ją raz i uczyni to znowu. Wszystko będzie dobrze. Kiedy Carlos wróci.

Podtrzymywała tę swoją nadzieję do poranka w dniu zaślubin. Kiedy kobiety z plemienia Zocalego odziały ją w biel, a Fanta wpięła wysoki grzebień w jej włosy i przymocowała do niego długą białą koronkową mantylkę, dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że naprawdę wychodzi za Paca. Wtedy było już za późno.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sofia została żoną Paca, kiedy kwiaty migdałowców zasypały Andaluzję różową koronkową mantylką, w lutowy czwartek trzy dni przed końcem karnawału roku 1799. Do dwóch zaręczynowych miesięcy, na które zgodził się Zocali, zabrakło tygodnia, ale Kościół nie przyzwał na śluby w trakcie czterdziestodniowego Wielkiego Postu, a Paco nie chciał, by dwa miesiące zamieniły się w trzy z okładem.

Uczta weselna trwała dwa dni. Przybyły na nią reprezentacje Cyganów aż z Granady na wschodzie i z Kadyksu na zachodzie. Przyjechali, ponieważ Zocali był poważanym wodzem i ponieważ usłysawszy o gigantycznej opłacie za pannę młodą, którą wniesiono za jego obcą, oczekiwali wesela równie nadzwyczajnego. Zocali nie rozczarował ich.

Kobiety z jego plemienia upiekły na różnie czterdzieści koźląt i zrobiły gulasz ze stu jeży. Mężczyźni ukradli świnie i zarżnęli ją, ogołocili całe pole z kapusty i ugotowali to razem. Było dwadzieścia kotłów ryżu gotowanego z rybą z Gwadalkiwir i dwadzieścia innych wypełnionych cząbrową potrawą z kukurydzy - specjały, które przybyły na statku z Nowego Świata, a które Cyganie z Triany nauczyli się cenić. Opróżniono niezliczone beczki wina, odśpiewano nieskończoną liczbę pieśni i odtąńczono chyba wszystkie tańce.

- Myślałbyś, że to bierze ślub ukochana córka Zocalego - gderał Joselito. - A nie obca.

- Czy to prawda, że dostał za obcą dwieście reali? - spytał ktoś. Joselito przytaknął. - Ale dlaczego Paco zgodził się zapłacić aż tyle?

- Paco to stary dureń. Ma świerzb między nogami, to wszystko - rzekł Joselito pośepnie.

Jego rozmówca wzruszył ramionami i nie rzekł już nic; może to była prawda, chociaż taka niewiarygodna. Chętnie sam by ocenił, czy obca kobieta jest warta dwieście reali albo czy Paco może stracił rozum, ale to było niemożliwe. Ani panny młodej, ani pana młodego nie było wśród gości weselnych.

W dawniejszych czasach Sofia zostałaby sama na przyjęciu przez pierwszą dobę, potem pojawiłby się Paco i poprowadzono by ceremonię zgodnie ze starym romskim zwyczajem. Niektórzy z najstarszych Cyganów pamiętali takie zwyczaje, ale młodszy już nie. Teraz księża i Inkwizycja zmuszają Cyganów, by brali ślub w

kościół, jak wszyscy Hiszpanie, a jeśli po ceremonii katolickiej następowała ich własna, czekały ich grzywny i straszne kary.

Paco i Sofia wzięli ślub w krypcie kościoła Świętej Anny. Wydarzenie to nastąpiło o poranku i trwało tylko kilka minut. Kiedy się skończyło, Paco zabrał nową żonę do swojej jaskini. Całe jego plemię było na weselu. Nowożeńcy zostali sami, jeśli nie liczyć Fanty, która przywiodła Sofię do kościoła i towarzyszyła parze z powrotem do Triany.

Przez cały ranek Sofia nie wyrzekła ani jednego słowa, ani do Paca, ani do Fanty. Kiedy musiała powiedzieć kapłanowi, że wstępuje w związek małżeński z wolnej woli i że akceptuje Paca jako męża, jej głos był słabym szeptem. Teraz wzrok utkwiała w wejściu do jaskini Paca i wciąż ignorowała Fantę. Dlaczego miałaby do niej mówić? Wcześniej starucha jej nie pomogła, a teraz było za późno. Poślubiła tego mężczyznę. Jej jedyną nadzieją było robić to, co on jej każe. Cyganka, która nie jest posłuszna mężowi, może być wyrzucona z plemienia i skazana na błąkanie się po ulicach.

- To jest teraz twój dom - wymamrotała Fanta. - Może będziesz tu szczęśliwa i dasz mężowi dużo dzieci.

Sofia wciąż nie odpowiadała.

Wejście do jaskini Paca wyglądało podobnie do tego, które prowadziło do jaskini Zocalego, ale Sofia podejrzewała, że wewnątrz znajdzie rzeczy zupełnie inne. Fanta odpięła Sofii mantylkę, potem wręczyła ją Pacowi. Wziął ją z szerokim uśmiechem i zniknął w wąskim wejściu.

Sofia ruszyła za nim, ale Fanta ją zatrzymała. - Zaczekaj, idziesz do męża tak, jak przyszedł na świat. - Jej stare zreumatyzowane palce zaczęły rozplątywać wiązania ślubnej sukni. Po chwili dziewczyna była naga. - Teraz idź do niego. Kiedy usłyszysz twój krzyk, a on przyniesie mi mantylkę splamioną krwią, będę wiedziała, że nie złamałaś naszego prawa.

Krzyk rozbrzmiał bardzo szybko i trwał długo. Po godzinie Paco znów stanął w wejściu i wręczył Fancie mantylkę. - Nie patrz tak na mnie, starucho. Musiałem ją trochę zranić. Strach jest dobry dla kobiety. Uczy ją posłuszeństwa.

Fanta nie patrzyła na niego. Jego broda ociekała strumyczkami potu, potężna klatka piersiowa podnosiła się i opadała i cuchnął jak

zwierzę. Ale znała swoje obowiązki. Mogła powiedzieć tylko jedno. - Była dziewicą i dała ci rozkosz?

- Tak.

Fanta skinęła głową i odeszła. Kiedy szła na plac przed jaskinią Zocalego, gdzie odbywała się uczta, na jej pomarszczonej twarzy malował się smutek. Nieopodal miejsca uroczystości zatrzymała się na chwilę i przez wąskie przejście w wapiennej skale przyglądała się scenie poniżej.

Dym z ognisk i pieczonego mięsa przesycił powietrze, grała muzyka - kilkanaście gitar, jeszcze więcej tamburynów i niepohamowane klekotanie kastanietów trzymanyh pomiędzy wprawionymi palcami. Jasnoczerwone, niebieskie i zielone stroje kobiet wirowały w barwnej spirali. Mężczyźni nosili posępną czerń, ale poruszali się pomiędzy kobietami jak bogowie, silni Gitanos wypełnieni winem i pieśnią.

Fanta czuła dumę ze swej rasy, póki nie obejrzała się na jaskinię, w której zostawiła dziewczynę. Krzyki dziecka wciąż brzmiały w jej uszach. Stara kobieta przez chwilę pożałowała, że mężczyźni są tak chciwi i głupi. Nawet Zocali, który zazwyczaj był mądry, okazał się im równy. Potem uniosła głowę i zakrzyknęła w triumfie, kiedy biegła w stronę tłumu, wymachując krwawym trofeum. Prawo jest prawem i musi być przestrzegane.

- Witaj, Robercie - powiedział Domingo Mendoza. - Witaj w domu rodzinnym i w ojczyźnie. Mówiono mi, że świetnie władasz hiszpańskim, mogę więc powiedzieć to w swoim języku - mi casa es tu casa.

Robert Mendoza uściskał swego kuzyna bardziej oficjalnie niż ciepło, potem zajął krzesło, które mu wskazano. Było starannie rzeźbione w czarnym orzechu i wyściełane czerwonym aksamitem, ale ani jego pośladki nie usadowiły się wygodnie, ani plecy nie oparły tak swobodnie jak na krześle w domu w Londynie. Wszystko w Hiszpanii wydawało mu się wykonane bardziej na pokaz niż dla wygody. Ale ten pokój był inny - niewielki, umeblowany jedynie półkami pełnymi książek i rejestrów, wielkim stołem i dwoma krzesłami po przeciwnych jego stronach, na których to krzesłach siedział on i jego kuzyn.

Domingo dostrzegł szacujący wzrok młodzieńca. - Myślisz, że wszystko, co słyszałeś o Palacio Mendoza, to kłamstwo, prawda?

- spytał. - Ale to nie jest właściwa część pałacu, to ta, w której robimy interesy. Jesteśmy w najstarszym skrzydle posiadłości, ten pokój i kilka innych nigdy nie zostały spalone ani odbudowane.

- Rozejrzył się. - Zabrzmi to dziwacznie, jak sądzę, ale czasami przychodzi mi na myśl, że moi przodkowie prowadzili z tego miejsca interesy od czasu powstania domu.

Nikt nie wiedział, kiedy to dokładnie było. Robert słyszał historie, które początki rodziny umieszczały w czasach Fenicjan. Zapewne to bzdury, ale jedno było pewne - Mendozowie starzeli się w dobrej formie. Domingo był po pięćdziesiątce, a ciągle wyglądał na mężczyznę w pełni sił. Ani w jego czarnych włosach, ani w małej schludnej brodzie nie było widać nitki siwizny. Trochę laluś, pomyślał Robert. Ubrany w kosztowny francuski sposób, w niebieski surdut z sukna, kunsztowną białą jedwabną kamizelkę i czerwone bryczesy do kolan. Nosił też białe skarpetki i buty zapinane na złote sprzączki. Strojniejszy, jak wszyscy z kontynentu. Mnóstwo Anglików też tak robi w dzisiejszych czasach. Do diabła, mężczyzna to nie paw. Robert pogładził palcem swoją surową czarną marynarkę i wysoki biały kołnierzyk. Jego kuzyn wciąż mówił.

- Potem obejrzyj pałac. Nie sądzę, żeby cię rozczarował. Na razie będzie nam tu wygodniej. Służbie nie wolno wchodzić, a tego, co się tu mówi, nie można podsłuchać. Po pierwsze, mogę mówić do ciebie Roberto? W końcu tak brzmi twoje imię po hiszpańsku.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolę Robert. Domingo uśmiechnął się z przymusem. - Dobrze, a więc Robert.

Powiedz, jak ci minęła podróż?

- Była długa - przyznał Robert. - Dzięki naszemu przyjacielowi Napoleonowi musiałem przepłynąć kanał La Manche na rybackim stateczku, a resztę podróży przebyć lądem.

- Ach tak, Napoleon. Duża przykrość - zgodził się Domingo.

- Przeszkadza statkom i w ten sposób utrudnia podróże. Może już niedługo dotrze do niego, że zajęciem rządzących jest interes, a nie wojenne przygody.

- Jest twoim sojusznikiem - rzekł Robert chłodno.

Domingo wyglądał na zdumionego. - Moim? Nigdy nie spotkałem tego człowieka... Ach, rozumiem. Masz na myśli, że jest sojusznikiem Hiszpanii.

- Tak.

- Muchacho - powiedział spokojnie Domingo. - Twój ojciec mówił mi, że jesteś mądry ponad swoje dwadzieścia cztery lata. A to nie jest mądra wypowiedź.

Do diabła, obraził faceta. - Miałem tylko na myśli...

Hiszpan uniósł dłoń uspokajająco. - Wiem, co masz na myśli. Sześć lat temu wasz Mister Pitt nakłonił Hiszpanię, by przyłączyła się do wojny przeciwko Francji. Trzy lata później ten kretyn Karol IV, który - Boże, miej nas w swojej opiece - jest królem Hiszpanii, zawarł pokój z tym parweniusem Bonapartem i wypowiedział wojnę Anglii. - Domingo wzruszył ramionami. - A ile jeszcze państw jest w to zamieszanych? Rosja, Austria, Neapol? Chyba Bóg jeden wie, bo ja straciłem trop. - Chrząknął. - Jakie to ma znaczenie, muchacho? Kiedy my tu rozmawiamy, oni może wszyscy razem jeszcze zmieniają strony.

- Są kwestie sporne - powiedział Robert chłodno. - Ważne pytania o dobro i zło.

Domingo nagle zmienił nastrój i uderzył pięścią w stół. - Jest rodzina. Dla nas to jedyna kwestia. Ja nie jestem Hiszpanią, a ty, mój kuzynie, który nalegasz, by mówić do ciebie Robert, nie Roberto, nie jesteś Anglią. Jesteśmy Mendozami i to rzecz dużo większa, ponieważ przetrwa generałów i królów, i wszystkich tych głupców, którzy wykonują ich rozkazy.

Przez jakiś czas Domingo milczał, potem wstał i położył dłonie na ramionach młodzieńca. - Pojmujesz, co mówię?

Robert skinął głową. Pojmował. Nie umysłem - ten był zajęty patriotyzmem i dumą, jak umysł każdego innego Anglika - lecz swoją duszą. To dlatego nie sprzeciwiał się, kiedy ojciec wysłał go z tą wizytą. Hiszpania i Anglia mogły być w stanie wojny; dwie gałęzie potężnego imperium Mendozów nie. - Tak, don Domingo. Wybacz mi.

- Tu nie ma co wybaczać, muchacho. Jesteś młody i masz prawo być podniecony czynami bohaterów w rodzaju Nelsona. Anglia cieszy się, że go ma, prawda?

Robert wyciągnął przed siebie nogi. Niech diabli porwą to krzesło, do tego nie zostało należycie zbudowane. Za wysokie, za wąskie. - Tak, Anglia się cieszy. Nie posiada się z radości po jego zwycięstwach. - Przerwał. Znowu powiedział coś niewłaściwego.

Ostatni taki triumf był klęską hiszpańskiej Armady pod Santa Cruz na hiszpańskich Wyspach Kanaryjskich.

Domingo znowu machnął dłonią. Na Boga, zauważył Robert, ta dłoń była przystrojona w co najmniej trzy pierścienie, rubin i dwa szmaragdy. Ani chybi lalusz, ale przynajmniej kuzyn nie zamierzał pouczać go po raz drugi.

- Nie bądź taki zakłopotany, Robercie. Jak powiedziałem, nie musimy się tym zajmować. - Znowu się roześmiał. - Poza tym Mendozowie są patriotami i poplecznikami hiszpańskiej Korony. Pożyczamy Karolowi pieniądze na naprawę statków, w których wasz admirał Nelson porobił dziury. Napoleon też od nas pożycza. A i w Anglii skarb państwa podpisuje weksle Mendozom. Jeśli ktoś jest sprytny, nawet wojna może być dobrym interesem. - Odprawił kwestię kolejnym machnięciem ręki. - Opowiedz mi o rodzinie w Anglii. To jest dużo ważniejsze.

Znowu na bezpiecznym gruncie. Robert odetchnął z ulgą i prawie się odprężył. - Mój brat jest żonaty z pulchną i rezolutną kobietą, która za trzy miesiące ma mu dać dziecko, a ojcu nic nie doskwiera poza tym, że matka gnębi go wyprawdawką z Londynu. Chce wymienić Creechurch Lane na dużą posiadłość wiejską. Ojciec nie chce o tym słyszeć.

- Pochwalam jego decyzję. Z tego samego powodu my pozostajemy w sercu Kordoby. Wieś może być odświeżająca, ale interesy robi się w mieście, a interesy są najważniejsze. - Domingo napełnił dwa puchary słodkim mocnym winem z Jerezu i podał jeden młodzieńcowi. - Napitek przed dalszą rozmową i witam cię raz jeszcze.

Robert uniósł swój kieliszek. - Toast wzniesiony sherry, która nas łączy. Piję za twoje zdrowie i twój dobry los, hidalgo.

Domingo zawahał się, zanim wypił. - Za toast dziękuję, ale łączy nas coś więcej niż wino z Jerezu, Robercie. To krew.

- Wiem, dlatego tu jestem.

- Dobrze, teraz obaj możemy wypić.

Jednym łykiem opróżnili swoje puchary i Domingo ponownie je napełnił. - Zanim wyjedziesz, musisz zobaczyć winnice i bodegi Jerezu. Zbiory będą za cztery miesiące, chwała Najświętszej Dziewicy i wszystkim świętym.

Anglik nie zareagował od razu. Nie uczynił znaku krzyża, jak to zrobił pobożny Hiszpan. - A więc stara religia przetrwała - powiedział bardzo spokojnie Domingo.

Robert patrzył niewzruszenie w jego oczy. Były tak samo złotobrazowe jak jego własne, ale przyćmione wiekiem. - Dobrze będzie, jeśli od razu wyjaśnimy tę kwestię, hidalgo. Mój ojciec, mój brat, ja sam - żaden z nas nie jest religijny. Ale na jakimś poziomie, czego nie potrafię wyjaśnić, stara religia przetrwała. Póki tu jestem, nie będę podejmował tej kwestii. Nie przyjechałem, by nasłać na ciebie Inkwizycję.

- To nie tak - rzekł Domingo z rozwagą. - Inkwizycja ma już dzisiaj mniej zębów. Większość inkwizytorów poświęca się ściganiu ludzi, którzy czytają książki z ich zakazanej listy, z indeksu. Oczywiście mają oko na „nawróconych na drogę grzechu” żydów, nazywają ich marranami. Słowo to oznacza świnię, ale przez czterdzieści lat nie spalili żadnego z tych żydów. Od 1759 roku.

- Ale jeśli jakiegoś znajdą, chętnie rozpalą stos.

- Bez wątpienia - zgodził się Domingo. - Pozwól mi jednak mówić otwarcie, muchacho. Inkwizycja nie znajdzie żadnego marrana w moim domu. Ty, angielski Mendoza, możesz udawać protestanta i wciąż uważać się za żyda. Tutaj tak być nie może, nawet gdybym chciał, żeby tak było, a przyznaję otwarcie, że nie. Nigdy nie myślałem dużo o Bogu, ale jeśli on istnieje, znajduję Go w Kościele katolickim. Poza tym to Hiszpania, Robercie, kraj, którego pobożność ustala kryteria chrześcijaństwa. W Hiszpanii praktyki religijne są równie ważne jak walka o chleb, nawet dla żyjących w największej nędzy wieśniaków.

Był wieczór, słońce właśnie zachodziło. Domingo podszedł do okna wychodzącego na ulicę i zamknął żaluzje, potem wrócił do swego gościa. - Pozwól, że opowiem ci pewną historię. W 1766 była rewolta w Saragossie. Setki ludzi wyległo na ulice, plądrując i podpalając. Gdy powstanie rozszalało na dobre, przez miasto przeszła religijna procesja, biskup niósł Najświętszy Sakrament. Wszyscy rebelianci zatrzymali się na ten widok i klęczeli, póki procesja nie przeszła. Kiedy zniknęła z ich pola widzenia, podjęli na nowo swoją rebelię, ale było za późno. Przez ten czas władze Saragossy zdołały zorganizować swoich żołnierzy, a oni wybili buntowników. Może ta

historia w każdym innym miejscu byłaby nadzwyczajna. Ale nie tutaj, nie w Hiszpanii. Czy rozumiemy się, mój młody kuzynie?

Robert skinął głową.

- Bardzo mnie to cieszy. Teraz sprawa Mesty...

Domingo zamilkł. Krew odpłynęła z jego twarzy, chwycił się za pierś. Robert szybko napełnił mu kielich, a stary człowiek przyjął go z wdzięcznością. - Dziękuję, To nic. Po prostu nie jestem już tak młody jak kiedyś. Ile wyjaśnił ci twój ojciec?

- Na temat Mesty? To gildia, która kontroluje handel wełną. Domingo rozejrzał się, jego palce zabębniły po stole. - Tak, każda owca strzyżona od Aragonii po Andaluzję oddaje swój płaszcz na rzecz Mesty, i robi to od wieków. Nie na darmo lord kanclerz w waszym parlamencie siedzi na worku wełny. Złoty interes, podstawowa część bogactwa narodów.

Robert odchrząknął. - To był złoty interes, hidalgo. Od lat nie ma już takiego znaczenia.

Starszy mężczyzna poderwał głowę i rzucił krótkie spojrzenie na kuzyna. - Więc nie sądzisz, że chcę tylko ich wełny - rzekł powoli.

- Nie wątpię w twoje słowa, don Domingo, tylko że...

- Tylko że nie jesteś głupcem i byłem w błędzie, traktując cię jak głupca. - Domingo pochylił się nad stołem. - Benjamin mówił mi, że jesteś bardziej rozgarnięty niż niejeden mąż dwakroć od ciebie starszy. Twój ojciec ceni cię wysoko, muchacho, najwyraźniej nie bez przyczyny, powiem ci więc coś, czego nie mówiłem nikomu innemu, nawet jemu. U władzy w Madrycie są tacy, którzy palą się rozprawić z Mestą, ale nie chcą stawać jawnie przeciw niej. Byłem ich... - zawahał się.

- Jest taki angielski wyraz, nie mogę go sobie przypomnieć.

- Pozorantem, hidalgo?

- Właśnie. I nawzajem, gdyby mnie się powiodło, oferowali mi nagrodę. - Unieruchomił wzrok Roberta. - Prawo stworzenia sieci banków popartych przez Koronę. Oficjalny bank hiszpański, któremu każdy bank prywatny musi dać pierwszeństwo.

Robert wstrzymał oddech tak gwałtownie, że aż dało się to słyszeć.

- Tak - ciągnął Domingo. - Myślałem, że zrozumiesz. To jest... byłoby nieosiągalne na jawie. Właściwie każdy gram srebra i złota,

który przybywa z kolonii, przechodziłby przez nasze ręce. - Nalał sobie sherry i wypił ją jednym haustem.

Robertowi kręciło się w głowie od wspaniałości tego projektu. Umieściłby Mendozów z Hiszpanii na poziomie Banku Anglii. - Nie ma sposobu złamania Mesty?

- Matko Boska, czegoż ja nie próbowałem? Do walki z nimi potrzebne są przeogromne zasoby, i z tej przyczyny wplątałem w to twojego ojca. Gdybyśmy zwyciężyli... Ale to czcze gadanie. Przegrywamy, a Mesta wciąż kontroluje handel wełną.

Domingo oparł się w krzesło. Kiedy mówił, pocierał lewe ramię, najwyraźniej miał taki nawyk. - Poza rozmaitymi diukostwami w gildii jest dwanaście klasztorów. Najpotężniejsi opaci w Hiszpanii stawiają sobie prywatne pałace i utrzymują się jak królowie z dochodów, które przynosi im Mesta. To opaci mnie pokonali. Nie mogłem posunąć się za daleko, żeby nie zarzucili mi, że jestem przeciwnikiem Kościoła. Jeśli ojciec przysłał cię do Kordoby, abyś dowiedział się, czy mogę zwrócić pieniądze, które włożył w tę katastrofę, odpowiedź jest prosta. Nie mogę. Ani reala.

- Rozumiem. - Nie skłamałby hidalgowi. - To jedno z pytań, które ojciec polecił mi postawić. Przykro mi, że nie będę miał dla niego lepszej odpowiedzi.

- Mnie również. Teraz zadaj mi te inne pytania. Chcę się rozprawić ze wszystkim, co nas dzieli, zanim opuścimy ten pokój. Anglia i Hiszpania mogą prowadzić wojnę, jak to czynią od niepamiętnych czasów, ale ród Mendozów ma przed światem jedno oblicze.

- Tylko jedno jeszcze pytanie, don Domingo. I nie musiałbym go zadawać, gdyby odpowiedź na pierwsze była inna. Skoro nie była, czy zgodzisz się zmienić podział zysków z handlu sherry?

- Odwracając je, jak się domyślam. Sześćdziesiąt procent dla was, czterdzieści dla nas.

Robert pokręcił głową. - Niezupełnie. Mój ojciec sugeruje siedemdziesiąt na trzydzieści. Na naszą korzyść.

Domingo chwilę wpatrywał się w Anglika, potem odrzucił w tył głowę i wybuchnął rubasznym śmiechem. - Jesteś nieustępliwy nie tylko w odniesieniu do religii, mój młody kuzynie. Nie uwierzę, że podział siedemdziesiąt na trzydzieści jest pomysłem Beniamina. On jest ostrożny i rozważny, czasami do przesady. Twój ojciec

powiedziałby o odwróceniu zysków, jak ja. Wpadłeś na pomysł zdobycia większego kęsa w ciągu ostatnich paru minut. Kiedy tu siedzieliśmy i ty uznałeś, że jestem stary, chory i jako przeciwnik nie tak ostry jak kiedyś. Taka jest prawda, czyż nie?

Owszem, pomyślał Robert. Wziął jeszcze pod uwagę to, że jedyny syn Dominga jest kaleką i - jak mówią plotki - zupełnie nie interesuje się sprawami domu. - To prawda - przyznał.

- Sześćdziesiąt na czterdzieści na waszą korzyść - powiedział Domingo. - Ani reala więcej, ale szanuję cię za to, że próbowałeś. Cieszę się, że twój ojciec był tak przewidujący, aby wynająć dla ciebie hiszpańskiego guwernera, i że przysłał cię tu teraz. Jesteś dobrym synem, muchacho.

Kiedy Hiszpan wypowiadał to ostatnie zdanie, w jego głosie zabrzmiało coś, może zazdrość, może smutek. Robert nie dociekał. Jeśli Domingo zechce porozmawiać o Pablu Luisie, on podejmie temat.

Domingo wstał, jego twarz odzyskała już kolory, był mniej popielaty. Bez wątpienia dużą rolę w poprawie jego stanu odegrało przebrnięcie przez nieprzyjemny temat Mesty. - Chodź - zaproponował. - Pokażę ci pałac, który spodziewałeś się zobaczyć.

Przejście pomiędzy gabinetem a główną częścią domu prowadziło pod ziemią, było zimne i ciemne, oświetlone tylko latarnią, którą niósł Domingo. - To był kiedyś tajemny skarbiec na złoto, Bóg raczy wiedzieć, jak dawno temu - wyjaśnił. - Później skarbiec przeniesiono w miejsce, które my nazywamy Patio de la Reja, czyli Patio Bramy. Później, zgodnie z legendą, była sekretna grota, w której schowano złoto i skarby. Dziś nikt nie pamięta, gdzie może być ta grota, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała - przerwał. - Ale czas, żebym przestał zanudzać cię tymi opowieściami.

Robert zastanawiał się, gdzie Domingo teraz przechowuje swoje złote sztaby, ale uznał, że to nie jego sprawa. - Nie jestem ani trochę znudzony. Stare historie są fascynujące.

- Czasami - zgodził się Domingo. - W każdym razie ten tunel jest dogodną drogą, żeby wrócić do pałacu, nie wychodząc na ulicę.

Dotarli do drzwi na końcu długiego, wąskiego korytarza, ale Domingo zawahał się przed otwarciem ich. - Jeszcze jedno, Robercie. Moja żona, donia Carmen, jest cierpiąca. Nie będzie mogła się do nas przyłączyć. Od czasu jej choroby zatrudniłam gospodynię, donię Marię

Orteę. To ona później zje z nami obiad. Jestem pewien, że uznasz jej towarzystwo za miłe.

- Bez wątpienia - rzekł Robert. Stary lis, pomyślał. Ze sposobu, w jaki Domingo patrzył, kiedy wypowiadał imię tej niewiasty, nietrudno było zgadnąć, że donia Maria grzeje jego łóżko, ale - po prawdzie - dlaczego nie miałyby tego robić? Robert słyszał tyle historii o odpychającej Carmen, co o niezadowolonym Pablu. A człowiek potrzebuje w tym życiu jakiejś pociechy poza pieniędzmi.

- Co cię trapi? - zapytał Pablo Luis.

Carlos nie spojrział na niego. Jego opiekun przybył przed pięcioma minutami, a on jeszcze na niego nie spojrział. - Nic mnie nie trapi.

Pablo pochylił się i od świecy na stole zapalił długie czarne cygaro. - Ufam, że rana nie ropyje.

- Rana jest wyleczona. Tak powiedział lekarz.

- Tak, mnie też to mówił. I to, że wracasz do zdrowia w niesamowitym tempie. Myśli, że uzupełniłeś jego umiejętności jakimiś cygańskimi czarami.

Carlos potrząsnął głową.

- Nie, ja też myślę, że nie. Wśród was to kobiety znają trucizny i lekarstwa, prawda? A hodowca mówił mi, że nie było przy tobie żadnych Cyganek.

- Hodowca traktuje mnie, jakbym był skazańcem w więzieniu.

Pablo wzruszył ramionami. - Prosiłem go, aby czuwał nad tobą. Dla twojego dobra, można by powiedzieć. Ale to nie przeszkodziło ci wybrać się dziś do Sewilli, prawda?

Teraz Carlos podniósł wzrok, a jego szare oczy odszukały twarz drugiego mężczyzny. - Skąd pan to wie? Nikt tutaj nie wiedział, że poszedłem.

- Zrozumiejmy się nawzajem, mój młodszy przyjacielu - Pablo strząsnął trochę popiołu do mosiężnej miseczki stojącej na podłodze u jego stóp. - Wiele par oczu obserwuje wiele rzeczy, które mnie interesują. Ty mnie interesujesz. Jesteś na tym ranczu od czternastu tygodni. Przez dwanaście z nich wymagałeś stałej opieki, nie wspominając o jedzeniu i dachu nad głową. To nie było za darmo. I nadal nie jest.

- Nie prosiłem, by pan za mnie płacił.

- Owszem - odparł Pablo - prosiłeś. Prosił ten dar, który pokazałeś tamtego dnia na korralu. Zrozum, nie dbam o pieniądze. Nie są dla mnie ważne. Chcę zrobić z ciebie największego matadora, jakiego ten kraj kiedykolwiek widział. Jesteś tym zainteresowany?

Carlos nie odpowiedział. Wczoraj powiedziałby „tak”. Ochoczo. Perspektywa przyszłości wypełniała jego umysł, od kiedy opuściło go delirium i gorączka. To myśl o przyszłości z Sofią - a dzięki bykom i Pablo Luisowi Mendozie mieli przyszłość - uleczyła go. Doznał nowej emocji, nadziei i spodobała mu się. Teraz wiedział, że to było złudzenie.

- Czekam na odpowiedź - powiedział Pablo.

- Nie jestem pewien. - Carlos przyglądał się nadzwyczajnemu mężczyźnie, który zaoferował, że będzie jego apoderado, menedżerem i opiekunem. Don Pablo jak zwykle miał na sobie czarną pelerynę, ale zdjął sombrero. Twarz miał szczupłą, ciemne oczy osadzone głęboko, ocienione przez silne czoło. Przystojny mężczyzna, poza tym że musiał nosić się z garbem jak z paczką na plecach. Wszystkie jego pieniądze nie mogły uwolnić go od tego ciężaru. - Co zdobędę dla siebie, walcząc z bykami? - dopytywał się Carlos.

Pablo wpatrywał się w niego. Jeśli mężczyzna sam nie znał odpowiedzi na to pytanie, głęboko w swoim wnętrzu, bycie matadorem nie było mu przeznaczone. On wciąż wierzył, że taki właśnie los jest pisany temu młodzieńcowi. - Powiedz mi coś. O czym myślałeś, kiedy przyszedłeś tu i wskoczyłeś na korral jak szaleniec? Co się teraz zmieniło? Czy chodzi po prostu o to, że straciłeś odwagę, bo byk cię poranił?

- Nic nie straciłem.

- Owszem, myślę, że straciłeś. Przyszedłeś tu, szukając czegoś. Teraz już tego czegoś nie szukasz. Dlaczego? Kogo widziałeś dzisiaj w Sewilli? - Pochylił się i peleryna opadła. Carlos mógł zobaczyć skrecony kikut, który uchodził za prawe ramię. - Czy to była kobieta? - nalegał Pablo.

- Nie, stary przyjaciel.

Na stole stał dzban i dwa puchary. Carlos zignorował puchary i pociągnął długi łyk prosto z dzbana. Nie mógł wyjaśnić, że widział Joselita i usłyszał, jak ta świnia, Paco odmówił zwyczajowych dwóch lat narzeczeństwa. Dowiedział się, że Zocali był aż tak chciwy na pieniądze, że przystał na to. Sofia od dwóch miesięcy była mężatką.

Tydzień temu ona i Paco wyruszyli w podróż, nikt nie wiedział dokąd. Ta historia ciążyła mu teraz w środku jak ołów. Spaliła jego serce jak brykiet nawozu, szybko i pozostawiając odór. Ale ten don Pablo nic nie zrozumie. Żaden człowiek nie pojmuje tego, co on mógł wiedzieć o kochaniu kobiety.

Carlos odstawił wino i otarł usta wierzchem dłoni. - Widziałem starego przyjaciela.

Pablo nalał wina do kielicha. - Proszę, spróbuj pić jak człowiek. A czy twój stary przyjaciel poradził ci nie walczyć z bykami?

- Nie rozmawialiśmy o tym.

- Wierzę, skoro tak mówisz. O czymkolwiek jednak rozmawialiście, nie wprawilo cię to w pogodny nastrój. - Pablo wstał i zdjął swój kapelusz z haka na ścianie. - Dobrze, nie mam już czasu, żeby go na ciebie marnować. Powiem hodowcy, że jutro wyjeżdżasz.

Carlos czekał, aż Pablo otworzy drzwi. Wtedy wstał. - Don Pablo, nie odchodź. Zdecydowałem. Jeśli będzie mnie pan utrzymywał, chcę zostać matadorem.

Pablo zatrzymał się, ale nie odwrócił. - Jesteś pewien?

- Tak, jestem. - Nic już mu nie zostało innego. I pamiętał, jak się poczuł. Nie kiedy stanął przed bykami, lecz później, kiedy został nadziany na róg i zdał sobie sprawę, że to, co inni mówili o jego życiu, było kłamstwem. Nie jest tchórzem. Był szczęśliwy, kiedy myślał o tym. Chciał znowu być szczęśliwy. - Jestem pewien - powtórzył.

- To dobrze - powiedział cicho Pablo. - Ja też. - Zawahał się, potem znowu usiadł. - Carlosie, posłuchaj mnie. Musisz zrozumieć, co zamierzasz zrobić, a to znaczy, że musisz zrozumieć byka. On jest najdzielniejszym zwierzęciem na ziemi. I najszlachetniejszym. W stadzie jest spokojny, oddzielony od niego jest gotów walczyć. I jak będzie walczył! Żadne rany go nie powstrzymują, pobudzają tylko do większej waleczności. Byk nigdy nie gotuje się do skoku i nie atakuje od tyłu.

Staje twarzą do wroga i walczy do końca. W pojedynczej walce żadne inne zwierzę nie pokonało nigdy byka, ani lew, ani tygrys, tylko człowiek. Nie zawsze.

Pablo zamilkł. Przez chwilę wpatrywał się w wino, jakby w jego czerwonej głębi mógł odnaleźć korzenie swojej pasji i niemożność jej

spełnienia. Carlos wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

Pablo znów wstał. - Zaczynamy od jutra. - Ton jego głosu był teraz inny, mniej gorący, mniej znekany. - Wiele musisz się nauczyć, i to potrwa, ale bądź mi całkowicie posłuszny, a w ciągu dwóch lat, może szybciej, doczekasz się alternatywy w Madrycie. Triumf, którego zaznasz, spłaci ci wszystko, Carlosie. Cokolwiek się dzieje, pamiętaj to. Nic w tym życiu nie jest słodsze od triumfu.

- To tutaj, sir, do bodegi winogrona są przynoszone po zerwaniu. Robert zobaczył szeroki taras przed niskim, pobielonym wapnem budynkiem. - Do czego to służy? - wskazał coś, co wyglądało na wiązki słomy.

- To są maty, don Robercie. Kiedy zaczynają się zbiory, rozpościeramy słomiane maty na tarasie i winogrona są kładzione na nich, aby wyschnąć na słońcu. - Rządca oprowadzający przerwał dla efektu. - Można więc powiedzieć, że to tutaj bierze swój początek jedyne w swoim rodzaju wino Jerez. - Wskazał na szereg wielkich czworokątnych drewnianych rynien z dziurami na dnie. - Kiedy winogrona są suche, umieszcza się je w nich, a pisadores zakładają specjalne buty i zaczynają deptać.

Robert skinął głową. O tym w końcu coś wiedział. Drobnej budowy, niewysoki mężczyzna, który pysznił się, jakby sam był właścicielem winnicy, nie musiał mówić o deptaniu winogron przez mężczyzn w butach z żelaznymi kolcami. Domingo już mu o tym mówił - jak mężczyźni śpiewają pieśni, by narzucić sobie rytm, i jak sok spływa strumieniem. - Potem nalewacie moszcz do beczek, prawda? - Był zadowolony z siebie, że pamięta, iż właśnie nazwa soku to moszcz.

- Si, don Robercie - powiedział mały człowiek. - I zostawiamy beczki na słońcu, aż rozpocznie się fermentacja. - Jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem. - Potem przenosimy je do bodegi. - Postąpił do przodu i teatralnym gestem otworzył drzwi budynku.

Robert zajrzał do wnętrza i zaczekał, aż jego oczy dostosują się do panującego tam mroku. Widok robił wrażenie - ogromna przestrzeń dębowych beczek ustawionych po trzy, jedna na drugiej, w pobielonych wapnem, łukowato sklejonych korytarzach.

- To najstarsza z naszych bodeg - powiedział jego przewodnik. - Tutaj zaczynaliśmy jakieś dwieście lat temu. - Jego duma była

namacalna. Robert podążył za nim w zimne, ciemne, nieskazitelnie czyste wnętrze. - Oczywiście - dodał rządcą - kiedyś bodega była dużo mniejsza. Stanowiła zaledwie jedno pomieszczenie za domem biednego człowieka. Ale był geniuszem, czyż nie? Nikt nie robił wina takim sposobem jak on. A dzięki niemu i dzięki pańskiej rodzinie, don Robercie, cały Jerez kwitnie.

Robert zadarł głowę i obejrzał sufit. - To daje ci zadowolenie, prawda?

- Ogromne, senior. Pochodzę z rodziny Ruez. Byliśmy tu od początku. Mamy skromny udział w zyskach. Ale o tym pan wie, oczywiście.

- Oczywiście - wiedział o tym, ale nie wiedział, dlaczego tak jest. Musiała to być jakaś stara umowa, która przetrwała do dzisiejszych czasów i nie sposób już było ją zmienić. Nie dawała mu spokoju, ale była to jedyna rzecz w Jerezie, która mu się nie podobała.

Przez jakiś czas wydawało się, że wizytę trzeba będzie odwołać, ponieważ Domingo był chory i nie mógł towarzyszyć Robertowi. Przynajmniej mówiono, że jest chory. Dziwna była ta choroba. Robert spędził już w Hiszpanii prawie sześć miesięcy. Czasami znajdował Dominga w świetnej formie, błyskotliwego i stanowczego, tak jak tamtego pierwszego dnia, kiedy rozmawiali w gabinecie w pałacu. Często też jednak widział go niezdecydowanego, zatroskanego, wpatzonego gdzieś bezmyślnym spojrzeniem. Nigdy nie widział szaleńca, ale kiedy Domingo wyglądał w ten szczególny sposób, Robertowi przychodził na myśl człowiek szalony.

Nie miał tu nic do roboty poza pisaniem raportów do ojca, ale chciał napisać też o winnicy. Sherry była podstawą wszystkiego, co Mendozowie osiągnęli w Anglii. Przyjechał więc do winnicy sam, jeśli nie liczyć świty służących Dominga.

Niech piekło pochłonie tych służących! Byli prawdziwym utrapieniem, bardziej natrętni niż gatunek angielski, wечно się podlizywali, ale wszystko inne w Jerezie zachwycało Roberta. Akry winogron rosnących na najlepszym podłożu zwanym albarizą - ciężkiej gliniastej glebie z domieszką kredy; solera, gdzie trzykrotnie przelewano i mieszano wino, zabezpieczając je przed kapryсами poszczególnych roczników, i bodegi jak ta, gdzie sherry czekała na wysyłkę do doków Kadyksu. Dzięki Bogu, Anglia była największym na świecie konsumentem wina z Jerezu i posyłała ogromne jego ilości

do swoich kolonii. I dzięki Bogu, Robert doprowadził Dominga do odwrócenia podziału zysków. Jego ojciec byłby zadowolony z układu pół na pół. Robert uśmiechnął się na tę myśl.

- Sir - odezwał się gospodarz - posiłek jest gotów. Po sjeście pokażę panu jeszcze trzy bodegi.

- Myślę, że nie. - Robert widział już dość. Był znużony tym, że prowadzono go wszędzie jak dziecko z nianią. Odwrócił się i ruszył do wyjścia z piwnicy wypełnionej beczkami wina, a gospodarz podążył za nim zaniepokojony.

- Czy stało się coś złego, sir? Czy czymś pana obraziłem?

- Oczywiście, że nie, człowieku. Spisałeś się wspaniale. Powiem don Domingowi, jak dobrze zorganizowałeś moją wizytę. - Zmierzył wzrokiem powóz czekający na niego, potem pod wpływem impulsu odwrócił się do rządcy. - Powiedz mi, można tu u was znaleźć jakieś przyzwoite zwierzę do jazdy wierzchem?

- Konia, sir?

- W rzeczy samej, konia mam na myśli. Nie widzę siebie na którymś z waszych osłów.

- Koń, oczywiście, sir.

Rządca odbył pospieszną naradę z woźnicą. Chwilę później Robert dosiadał świetnego ogiera. - Przekaż służącym, żeby spakowali moje rzeczy i ruszyli do Kordoby. Tam się z nimi spotkam.

Robert przybył do Posady Czterech Koni drugiego dnia swej samotnej podróży. Nie zatrzymywali się tu w trakcie podróży na zachód, ale pamiętał, że widział to miejsce. Zawahał się. Jeszcze dwie godziny w siodle i dotrze do Sewilli, gdzie znajdzie lepszą strawę i kwaterę. Do diabła z Sewillą, był zmęczony i spragniony. Ściągnął cugle i skierował konia w stronę oberży. Będzie miał dość przepychu, kiedy wróci do Palacio Mendoza.

Wokół otwartego dziedzińca wznosiły się cztery ściany budynku posady, od tej strony wykończone arkadami. Na środku było źródło opatrzone znakiem, że woda jest darmowa dla ludzi i zwierząt; wypisano też tu opłaty za inne oferowane usługi. Kwatera, napitek i strawa - wszystko można było mieć za równowartość kilku angielskich pensów. Wystarczająco tanio. W rogu był dzwonek. Robert szarpnął niecierpliwie za jego serce, a po chwili ukazał się mężczyzna. - Si, senior?

- Jesteście właścicielem?

- Nie, panie.

- Cóż, a gdzie właściciel?

- Nie ma go, panie. Gospodarza nigdy tu nie ma.

- Nigdy? Jak więc może robić zyski? I jak ja mogę dostać nocleg i coś do jedzenia?

- On ma zyski, bo płacę mu czynsz, senior. Duży czynsz. Wysyłam go do Palacio Mendoza dwa razy w roku. Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. - Robert skrył uśmiech. - Jeśli chodzi o nocleg i stawę... - Otaksował odzież Roberta. Mogła być czarna jak smoła, ale była to odzież dżentelmena. - Nasza oferta jest skromna, na pewno nie na poziomie tego, do czego wasza miłość jest przyzwyczajony, ale jeśli pan sobie życzy...

- Życzę sobie.

- Dobrze. Mogę panu zaproponować miejsce do leżenia na dole wraz z innymi - oberżysta kiwnął głową w stronę dużego pomieszczenia na tyłach - albo osobne łóżko na górze.

- Wezmę łóżko na górze. Przypuszczam, że wokół tego łóżka jest jakiś pokój.

- Si, senior - rzekł z niewzruszoną powagą mężczyzna. Najwyraźniej poczucie humoru było obcym mu zjawiskiem. Poprowadził Roberta schodami na balkon i otworzył jedne z mieszczących się tam drzwi.

Pokój był mały, ale w miarę czysty. - Wezmę go - powiedział Robert. - A co z posiłkiem?

- Później, panie. Moja żona będzie dziś wieczór gotować kiełbasy.

- Wolę coś innego niż kiełbasę. - Dawniej odmawiając spożycia wieprzowiny można było ściągnąć na siebie uwagę Inkwizycji, ale Domingo zapewnił Roberta, że to się zmieniło.

- Jak pan sobie życzy, senior. Mogę kazać przygotować kurczaka dla pana. Potrzebuję trochę czasu, żeby zabić ptaka i ugotować go, ale będzie gotowy do jedenastej, kiedy inni będą jeść.

Nigdy nie przyzwyczai się do spożywania posiłków w Hiszpanii. Jedli kolację, kiedy przedstawiciele wszystkich innych narodów kładli się do łóżek. - Bardzo dobrze. - Zdjął płaszcz i zaczął ściągać buty. - Zawołajcie mnie, kiedy posiłek będzie gotów, a do tego czasu rzućcie okiem na mojego konia.

Nie trzeba było wołać Roberta. Obudził go zapach skwierczącego mięsa. I dźwięk muzyki.

Rozpoznał tę pieśń od razu. Jego hiszpański guwerner wprowadził go w muzykę ludową równie dobrze jak w język. Ten protestancki uciekinier wygnany z Madrytu przez Inkwizycję miał niewiele dobrych rzeczy do powiedzenia na temat ojczystego kraju. Ale wśród tych niewielu były pieśni. Grał ich mnóstwo na klawikordzie w salonie Bess Mendozy. Dla Roberta pieśni były ulubioną częścią lekcji i nigdy ich nie zapomniał. Wiedział więc, że to, co słyszy, to fandango. Ale ten głos! W całym swoim życiu Robert nie słyszał takiego głosu.

Wyciągnął buty i koszulę, potem podążył za muzyką. Zanim znalazł śpiewaczkę, zmieniła ona pieśń, teraz była to solea, łzawy lament o utraconej miłości. Robert zatrzymał się zajęty tłumaczeniem słów i w tej samej chwili ją zobaczył.

Siedziała w kącie, dużo drobniejsza, niż się spodziewał po głębi i skali głosu, który go tu doprowadził. Cyganka, sądząc z jej długich czarnych włosów, warstw wielobarwnych szat, kół kolczyków i złotych bransolet. Widział wielu Cyganów, a słyszał o nich same złe rzeczy. Ale ta była piękna, a jej głos był znakomity. Robert oniemiał z zachwyty.

Większość klientów oberży zwracała znikomą uwagę na śpiewaczkę, przyłożyli już bowiem nadmierną uwagę do wina. Ale Robert czuł się, jakby jej pieśni sączyły się w jego duszę. Był poruszony czystością jej głosu, tym, jak wznosiła wysokie nuty. Stał nieruchomo, póki go nie wezwano na kolację.

Nakryto dla niego stół na uboczu, z dala od miejsca, gdzie śpiewała Cyganka. - Kim jest ta dziewczyna? - zapytał kobietę, która przyniosła mu jedzenie. - Często tu śpiewa?

- Pierwszy raz, panie. Ona i mężczyzna przejeżdżali tędy i poprosili o zgodę na zabawienie naszych gości. Powiedziano mi, że na imię ma Sofia, a mężczyzna z nią to Paco. Są Cyganami. Myślę, że wziął ją, żeby śpiewała we wszystkich posiadach w tej okolicy.

- Si, moja żona śpiewa wszędzie - powiedział mężczyzna wchodzący do pokoju.

Musiał być dwa razy od niej starszy i sądząc z wyglądu, był brutalnym zwierzęciem. - To szczęście mieć tak utalentowaną żonę - powiedział Robert.

- Si, senior. Jestem szczęściarzem. Ale jesteśmy biedni... -
Mężczyzna wyciągnął sfatygowany kapelusz. Robert otworzył swoją sakiewkę i wrzucił do niego dwie monety; po chwili dodał trzecią.

- Kup coś ładnego swojej żonie. Jej głos bardzo mi się spodobał.

- Kupię, sir. Błogosławiona niech będzie twoja uprzejmość.
Niech niebiosa ześlą łaskę na pana, sir.

Słowom towarzyszyło wiele ukłonów, ale ta uniżoność nie znalazła odbicia w oczach Cygana. Pozory skrywające czystą nikczemność, domyślił się Robert. Był głupcem, idiotą o miękkim sercu, że dał Cyganowi dodatek i myślał, że ten wyda go na dziewczynę. Nie ma na to szansy, sądząc ze wszystkiego, co słyszał o Cyganach.

Patrzył, jak mężczyzna wychodzi tyłem z pokoju, jakby Robert był jakimś orientalnym nababem, potem wrócił do kolacji.

Bez wątplenia, to przeznaczenie. Gdyby dziewczyna urodziła się rodzicom, którzy nie byliby biedni i nie byliby Cyganami, jej twarz i głos mogłyby uczynić ją żoną szlachcica. Zamiast tego wyszła za mężczyznę tak starego, że mógłby być jej ojcem, i śpiewała dla wieśniaków tak pijanych, że ledwie ją słyszeli. Potrząsnął głową, potem odpędził te myśli i zaatakował kurczaka. Był przepyszny. Robert nie pozwolił sobie na refleksję, że kurczaka zapewne usmażono na smalcu.

Jeszcze raz zobaczył dziewczynę. Po posiłku poszedł do stajni sprawdzić, co z koniem. Zwierzę było wyszczotkowane, nakarmione i wygodnie umieszczone. Usatysfakcjonowany zawrócił do oberży, myśląc o łóżku i wczesnym wyruszeniu o poranku. Cygańska para właśnie odjeżdżała.

Dziewczyna owinęła głowę szalem w obronie przed nocnym chłodem. Widać było tylko jej twarz i te nadzwyczajne, niespodziewanie niebieskie oczy. Szła kilka kroków za swoim mężem. Robert przeszedł pomiędzy nimi. - Pardon, senior - wymruczała, zatrzymując się, by go przepuścić.

- Pani pierwsza, seniora - wyszeptał odruchowo. - Dziękuję za pani pieśni. Niezmiernie mi się podobały.

- Jest pan bardzo łaskawy, senior.

Mężczyzna dosłyszał tę wymianę zdań i odwrócił się. - Tak, to ten dżentelmen, o którym ci mówiłem. Najłaskawszy pan w całej Andaluzji. - Ukłonił się kilkakrotnie, tak jak w posadzie. - Chodź już,

nie możemy zatrzymywać jaśnie pana. - Mówił z tym samym służalczym skamleniem, ale Robert dostrzegł, że ścisnął ramię żony i pociągnął ją za sobą. Biedna mała, zasłużyła na coś lepszego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czerwiec i lipiec były zimniejsze niż zazwyczaj w Andaluzji; czasami nawet padało. Dla Sofii dni miały monotennie na wielomilowej wędrówce pomiędzy posadami, wielogodzinnym śpiewaniu i noclegu przy drodze. Znosiła to jakoś, choć spodziewała się dziecka. Dopiero kiedy sierpień przyniósł duszne upały, jej życie stało się męczarnią, która bez chwili wytchnienia ciągnęła się tygodniami aż do początków października.

Nie ośmieliła się skarżyć. Paco bił ją pod każdym pretekstem. Zrozumiała, że bicie jej sprawia mu przyjemność. Nie taką, jak ta, którą z tego samego czerpała Tereska - ona po prostu oczyszczała swą duszę z jadu. Dla Paca piekące uderzenia, które zadawał pięścią lub powiązaniem w supły sznurem, były podniecające. Kiedy kończył bicie, rzucał się na nią jak rozjuszony byk i wdierał się w jej ciało, jęcząc z rozkoszy.

Czy zawsze tak jest pomiędzy mężczyzną i kobietą? Czy o tym chichotały dziewczęta w jaskiniach? Czy byłoby tak samo, gdyby poślubiła Carlosa? Nie, nie będzie o tym myślała. Carlos ją opuścił. Był słaby i tchórzliwy, tak jak zawsze wszyscy o nim mówili.

- Przestań tam siedzieć i śnić. - Paco sięgnął po dzban i wziął potężny łyk wina. Czerwone krople wymknęły się z jego ust i spłynęły po brodzie jak krew. Otarł je wierzchem dłoni. - Spakuj wszystko, zanim pójdziesz spać, bo wczesnym rankiem ruszamy.

Zacząła zbierać resztki ich jedzenia, wpychając ser, chleb i cynowe talerze do kosza, który powędrować miał na jej plecach. Kiedy cztery miesiące temu zaczęli wędrówkę, mieli osła, ale Paco sprzedał go pewnej nocy, kiedy goście w którejś oberży nie byli hojni. - Nie potrafisz zarobić na swoje utrzymanie, więc będziesz naszym osłem - powiedział jej wtedy.

Sofia nosiła wiele koszy, kiedy wędrowała z plemieniem Zocalego; to było normalne. Ta tułaczka była jednak inna; Sofia jeszcze nigdy nie była z jednym człowiekiem przez tyle tygodni. No i śpiewanie. Nigdy nie słyszała, żeby Cyganka śpiewała za pieniądze. Podejrzewała, że to wbrew romskiemu prawu. Ostatnio dużo rozmyślała o prawie.

- Mężu - obejrzała się na niego. Wyglądał, jakby spał. Traciła czas. A niewiele miała do stracenia; nawet teraz, w ciemności nocy,

gorąco ją przytłaczało. Kiedy słońce wstanie, będzie milion razy gorzej. Otarła pot z twarzy rąbkiem spódnicy i spróbowała raz jeszcze.

- Mężu, śpisz?

- Si. Jak mogę spać, skoro ty skrzeczysz?

- Chcę cię o coś spytać.

Odwrócił się ku niej i otworzył oczy. Na zachodnim niebie był płatek księżyca. Dawał akurat tyle światła, żeby dostrzegła blask rubinu na języku węża wpiętego w jego ucho. - Urodzę chyba za dwa miesiące - powiedziała. - Czy wrócimy przedtem do jaskiń?

- Boisz się? Ożeniłem się z obcą, która nie ma odwagi wydać na świat mojego syna?

Sofia potrzęsła głową. - Nie boję się. - Wzięła głęboki oddech, zanim zebrała odwagę, żeby mówić dalej. Nie mogła teraz zawieść. Byli daleko od Sewilli, prawie w Kadyksie. Jeśli wkrótce nie ruszą w drogę powrotną, będzie za późno. - Nie boję się - powtórzyła. - Ale muszę mieć Fantę przy porodzie. Tak mówi prawo. - Przymknęła oczy, zbyt przerażona, żeby widzieć jego reakcję.

- Obca mówi mi o prawie Romów - rzekł powoli Paco. Usiadł i zaczął po omacku szukać sznura. Widziała jego uśmiech w świetle księżyca.

Nawet nie drgnęła. - Prawo mówi też, że nie możesz mnie bić, kiedy jestem w takim stanie. - Opiekuńczo położyła dłonie na wydatnym brzuchu. Odzież, którą nosiła w czasie śpiewania w posadach, warstwy spódnicy i szali, skrywały jej stan. Tu na postoju miała tylko koszulę i jej brzuch był wyraźnie widoczny.

Paco przestał się uśmiechać, a z jego gardła dobył się ryk wściekłości. Zacisnął swoje wielkie dłonie w pięści i ruszył ku niej. Jeszcze jeden wielki krzyk wyrwał się z jego piersi, ryk rozwścieczonego zwierzęcia. Ale na ciało Sofii nie spadł żaden cios. Paco runął na kolana i bił twardą, suchą ziemię. Okładał ją pięściami jeszcze i jeszcze, póki w końcu się nie zachwiał. Sięgnął po dzban z winem i zostawił ją.

Sofia drżała, ale nie ze strachu. Czowała emocję, której nie potrafiła nazwać, bo nigdy wcześniej jej nie zaznała. Wstała w jej wnętrzu jak piosenka; wypełniła ją dziwną mieszanką spokoju i podniecenia. Sprawiała, że Paco jej nie uderzył. Uczyniła to tylko słowami, niczym innym. Pierwszy raz w życiu mężczyzna jej ustąpił, spełnił jej wolę, a

nie swoją. Zadrzała z czystej radości. Po chwili położyła się na suchej, spalonej słońcem trawie i zasnęła.

Kiedy się obudziła, on stał nad nią i patrzył. Otworzyła oczy i patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Paco przemówił: - Jesteś tłusta jak świnia. Teraz nie będzie z ciebie żadnego pożytku w posiadach. Wstawaj. Ruszamy dzisiaj do Sewilli.

Podróż trwała trzy tygodnie. Dotarli do Triany na koniec października, a tam Paco zabrał ją do jaskini Zocalego. - Proszę, jest leniwa i bezużyteczna. To rozbój, że tyle za nią zapłaciłem.

Zocali spojrzali na wydatny brzuch Sofii. - Nie jest bezpłodna. Nie możesz się z nią rozwieść.

- Nic nie mówiłem o rozwodzie. Za kilka tygodni będzie miała mojego syna. Do tego czasu ty masz ją karmić. Zwróć mi ją, jak się już urodzi chłopiec. Jeśli coś mu będzie, to z twojej winy. Takie jest nasze prawo.

Fanta wyglądała, jakby naprawdę ucieszyła się na jej widok. Po raz pierwszy Sofii kazano odpoczywać, kiedy inni pracowali. - Dla dobra chłopczyka - powiedziała Fanta. Dała dziewczynie zioła wzmacniające i najlepsze jedzenie. Każdego wieczoru najwyborniejsze kąski trafiały najpierw do Sofii; inni, nawet Zocali, dostawali to, co zostało. Tereska też była brzemienna, ale nie tak wysoko. Sofia królowała.

Sny powróciły z siłą większą niż kiedykolwiek. Każdej nocy widziała obrazy, czarno - białe dziwne wzory, przeplatane paski światła i ciemności. I słyszała nieziemską muzykę, której nie mogła sobie przypomnieć, kiedy się obudziła. Sny sprawiały, że była zmęczona i poruszona. - Uspokój się - powiedziała Fanta. - Co sprawia, że latasz jak szczer w klatce? To nie jest dobrze dla dziecka.

Sofia nie mogła wyjaśnić, nie mogłaby nawet, gdyby wiedziała. - Odczytaj moje karty - rzekła zamiast tego. - Powiedz mi, jak wygląda przyszłość, Fanto.

Fanta jak zwykle zaczęła protestować, że nie może używać swoich darów na rzecz obcych, ale słowa zamarły na jej ustach. Tym razem odpuściła. Ta obca była, na dolę i niedolę, jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek miała. Przyniosła świecę do stołu i wzięła karty, tasując je fachowo między sękatymi palcami.

Pierwszy układ miał siedem kart na górze i dwie poniżej. Fanta patrzyła na nie przez chwilę, przeniosła dwie z górnego rzędu na dół, dodała dwie z pliku, który miała w ręku, potem skinęła głową.

- Demony nie będą cię nękać w czasie porodu. Wszystko pójdzie dobrze. Dziecko będzie zdrowe.

- Dzięki Bogu - Sofia usiadła na ławce naprzeciw Fanty, w kręgu żółtego światła świecy. - Czy to syn?

Fanta potrząsnęła głową. - Nie potrafię powiedzieć. Karty nie są jasne.

Setki razy Sofia słyszała, jak Fanta mówi obcym kobietom, że będą miały syna. Wiedziała jednak, że staruszka tylko udawała, że czyta dla nich karty. Teraz robiła to naprawdę. Uwierzyła, że karty nie mówią wszystkiego. - A potem? - spytała. - Co się stanie, kiedy dziecko się urodzi?

Fanta znowu potasowała karty, układając je w nowy wzór, po pięć u góry i na dole. - Spójrz, jest tu ryba bez ogona. Będzie długa podróż.

Sofia rozmyślała o miejscach przy drodze, wielu oberżach. - Taka jak podróż tego lata?

- Tego też nie potrafię powiedzieć. Ale jest tu wąż z jednym okiem. To twój mąż. - Odwróciła następną kartę, chwilę wpatrywała się w nią, potem jednym ruchem dłoni zebrała karty.

- Co się stało? Co zobaczyłaś? - Sofia przechyliła się do przodu. Świeca zamigotała od ruchu jej ciała. - Powiedz mi, Fanto.

- Widziałam to, co ci powiedziałam - upierała się stara kobieta.

- Dobre narodziny, zdrowe dziecko. Nie męcz mnie jak niektóre głupie obce kobiety, które niczego nie rozumieją.

Sofia już miała coś powiedzieć, ale zamilkła. Poczowała specyficzną wilgoć między nogami, a kiedy spojrzała w dół, stwierdziła, że na jej spódnicy rozprzestrzenia się ciemna plama. Fanta podążyła za jej wzrokiem, potem chrząknęła z zadowoleniem. - Dobrze, czas nadszedł.

Poród był długi, ponieważ było to jej pierwsze dziecko, tak powiedziała Fanta. Sofia zniosła jednak wszystko, bo musiała. Część czasu tkwiła w jakimś swoistym stanie pomiędzy snem a jawą; zawdzięczała to jakiemuś wywarowi, który Fanta dała jej do picia. Ale po kilku godzinach nie było już leków. - Teraz musisz pracować

- rzekła Fanta. - Wypchnij dziecko na świat. Nie ma czasu na spanie.

Dwie inne kobiety dołączyły do Sofii i Fanty w rogu jaskini, gdzie dziewczyna przykucnęła i krzyczała jak w agonii. Setki razy Sofia uczestniczyła w takiej scenie, tak jak teraz w tej uczestniczyła reszta plemienia. Zajmowali się swoimi sprawami, udając, że nie widzą, co się dzieje kilka stóp obok, że nie słyszą krzyków bóleści. - Nie zwracaj na to uwagi - mawiała Fanta, kiedy rodziła jakaś inna kobieta. - Nie możesz dać znać demonom, co się dzieje, bo przyjdą i naznaczą dziecko.

Nikt nie zaprosił demonów na poród Sofii. Nawet Teresita nie ośmieliła się posłać jej złego spojrzenia. Może dlatego, że sama oczekiwała dziecka. Sofia wcisnęła się w kąt, szukając wsparcia w twardej skale jaskini. Fanta uklękła między jej nogami, rękoma przytrzymując uda dziewczyny. - Przyj! Przyj teraz! Widzę główkę!

Sofia krzyczała i miotała się w bóleści. Ogień palił jej ciało. Czowała, że na pewno się rozerwie.

- Jeszcze raz! Przyj jeszcze raz!

Zaparała się, teraz w milczeniu, całą swoją energię skoncentrowała na bólu. A ból trwał, jak bezkresna agonía, trwał tak długo, aż dziewczyna nabrała pewności, że umrze.

- Ayee! - krzyk triumfu Fanty był ostatnią rzeczą, jaką usłyszała Sofia, nim straciła przytomność.

Doszła do siebie na tym samym słomianym materacu na podłodze, gdzie spała przez ostatnie tygodnie oczekiwania na narodziny. - Dziewczynka - powiedziała Fanta, wciskając zawinięty w pieluszki tobołek w ramiona Sofii. - Przykro mi, syn będzie następnym razem. Ale dzięki Bogu jest zdrowa.

Zacisnęła ramiona wokół malusieńkiej postaci i tak je trzymała. Uczyniła ruch, jakby chciała podać jej pierś, ale Fanta uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Jeszcze nie. Mleko przyjdzie za jakiś czas. Potem ona będzie głodna jak wilk, a ty będziesz gotowa. - Poprawiała posłanie, wciąż starała się być zajęta i unikała wzroku Sofii. - Jak ją nazwiesz?

Było to kłopotliwe pytanie. Gdyby to był syn, Paco dałby mu imię. Nazywanie dziewczynek pozostawiono kobietom, bo była to kwestia nieistotna. Sofia była zbyt znużona, żeby odpowiedzieć. Ale przepełniał ją dziwny spokój i szczęście. Nie chłopiec, więc Paco nie

będzie się cieszył. To dobrze. Nie chciała dawać mu radości. Nienawidziła go. Nie, nie może tak myśleć, on jest jej mężem. Ale... Nie, to musi być lekarstwo, które Fanta dała jej do picia. Jej umysł płatał takie figle. - Ty ją nazwij - wymamrotała.

Fanta potrząsnęła głową. - To twoje prawo, nie moje. Ona jest twoim dzieckiem.

- Sara - powiedziała Sofia sennie, wciąż walcząc z wyczerpaniem. - Nazwiemy ją Sara i będzie rosła mądra i silna jak Sara - la - Kali.

Stara kobieta skinęła głową z aprobatą.

Paco nie okazał aprobaty. Ani wtedy, gdy zobaczył swoją córkę trzy dni po narodzinach, ani dwa tygodnie później, gdy Sofia i dziecko wprowadziły się na powrót do jego jaskini. Tej pierwszej nocy odsunął dziecko od boku Sofii i przewrócił się na nią. - Zrób mi syna, ty obca wiedźmo - wyszeptał, kiedy wdzierał się w nią. - Syna.

Była tak obolała po porodzie, że prawie krzyczała z udreki. Ale nieopodal spała reszta plemienia Paca. Cienka zasłona pomiędzy nimi nie stłumiłaby dźwięków, a ich zdanie na jej temat byłoby jeszcze gorsze. Sofia wtoczyła sobie pięść w usta i wbiła zęby w swoje własne ciało, żeby nie krzyczeć. W końcu sobie ulżył. Chwilę później Sofia usłyszała jego chrapanie, a głęboki oddech powiedział jej, że on śpi.

I tak będzie zawsze. Póki jedno z nich nie umrze. Paco będzie spał obok niej. Każdej nocy swego życia będzie czuła jego smród w nozdrzach; kiedykolwiek on zechce, użyje jej ciała, by dostarczyć sobie przyjemności.

Jedyne wytchnienie, jakiego zazna, to kilka tygodni przed i po narodzinach dziecka, kiedy będzie żyła z Fantą w jaskini Zocalego. Ale Fanta jest już starą kobietą. Nie może żyć wiecznie. Co potem? Teresita odmówi przyjęcia jej, tego mogła być pewna. Gdzie wtedy będzie rodzić? Kto ulży jej w bólach i przetnie pępowinę? I co zrobi Paco, jeśli będzie miała jeszcze jedną dziewczynkę? Jak zdoła przetrwać tyle nienawiści i bólu? Sofia poczuła łzy na policzkach. Sara zaczęła kwilić z głodu, matka sięgnęła po nią i podała jej pierś. Znalazła trochę ukojenia w akcie pocieszania swego dziecka.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i w jaskiniach Triany, jak w Sewilli i w całej Hiszpanii, świętowano narodziny Dzieciątka Jezus. Trwało to do 6 stycznia, do Święta Trzech Króli. Wtedy właśnie

dzieci dostawały prezenty i niespodzianki, a na placu między wzgórzami spożywano wielki wspólny mięsny posiłek. Sara miała ledwie miesiąc. Prawo Romów mówiło, że kobieta jest nieczysta przez sześć tygodni po porodzie. Gdyby napotkała inną kobietę w ciąży, ta mogłaby urodzić demona. Sofia pozostała sama, podczas gdy Paco i reszta jego plemienia poszli na ucztę.

Kiedyś nie znosiła samotności. Teraz witała serdecznie każdą chwilę spędzoną z dala od męża. Uwielbiała być z córeczką i śpiewać dla niej. Sara zdawała się lubić pieśni matki. Kiedy Sofia śpiewała soleę o słodko - gorzkich radościach jesieni, dziecko uśmiechnęło się pierwszym bezzębny uśmiechem.

Sofia zaśmiała się cicho z radości i przycisnęła dziecko do siebie jednym ramieniem, podczas gdy drugim dorzuciła bryłę nawozu do ognia. Słyszała odgłosy uczt, śmiech, muzykę i głosy szczęśliwych dzieci. Sara też wyrośnie na szczęśliwe dziecko. - Sofia była tego pewna.

Paco już napomykał, że trzeba ruszyć w drogę, gdy tylko nadejdzie wiosna. Nie mówił, że Sofia znowu ma śpiewać w posiadach, ale było to oczywiste, bo zeszłego roku zarobił na tym dużo pieniędzy. To dlatego nie zabierał ze sobą nikogo innego. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że kupczy muzyką, częścią cygańskiej duszy, i chciał też utrzymać w sekrecie, jakiego bogactwa przysporzył mu głos Sofii. Zapewne już mu się zwróciła suma zapłacona Zocalemu. Cóż, jeśli nie będzie dobry dla ich córki, Sofia odmówi śpiewania. Nieważne, jak mocno ją zbije, ona nie otworzy ust, jeśli Sara choć trochę będzie nieszczęśliwa. Sofia ułożyła sobie plan w ciągu ostatnich kilku tygodni i wiedziała, że jest dobry i że poskutkuje.

- Czemu tu siedzisz wyszczerzona jak wiedźma? Jesteś obłąkana. Wiem to od dawna. Mam żonę wariatkę.

Paco najwyraźniej wypił za dużo wina. Ledwie mógł chodzić, jedną ręką musiał się trzymać ściany, żeby ustać prosto. Sofia wstała i ułożyła dziecko w małej drewnianej kołysce stojącej przy ogniu. - Siadaj. Dam ci jakieś jedzenie, żeby wchłonęło to wino w twoim brzuchu.

Rozwalił się przy rozklekotanym stole, a ona podała ryż z cebulą. Ale Paco nie zabierał się do jedzenia. - Dlaczego tak patrzysz? - spytał, odpychając miskę. - Patrzysz na mnie złym okiem, wiem to.

- Nie gadaj głupstw. Dlaczego miałabym patrzeć na ciebie złym okiem? Jesteś moim mężem.

- Tak. Tak, ty obca wiedzmo, jestem twoim mężem. - Przechylił się w jej stronę, a jego potężne uda przewróciły stół. Ryż rozsypał się po całej podłodze. Ryk Paca obudził dziecko, które zaczęło płakać.

Sofia chciała pobiec do kołyski. - Zostaw ją - krzyknął Paco. - Zostaw to rozwrzeszczane dziecko wiedzmy. Chodź tu, chcę cię.

- Zaczekaj - wyszeptała Sofia. - Nakarmię ją. To zajmie tylko parę minut. Potem ona znowu zaśnie.

Zignorował te słowa, chwycił jej ramię i pociągnął ją w stronę materaca w rogu. - Czekaj - błagała Sofia. - Tylko chwilę, aż...

Cios zadany otwartą dłonią przeciął jej słowa. Sofia poczuła smak krwi, a wraz z nim wściekłość równie wielką jak jego. - Przestań! Zostaw mnie, ty szatanie! Ostrzegam cię, nigdy już nie zaśpiewam. Nie zarobisz już na mnie ani reala, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju.

Dziecko teraz już krzyczało, a to wzmogło jej gniew. Opór Sofii rozwścieczył go jeszcze bardziej. - Ty dziwko, obca kurwo! Nauczę cię, jak mnie traktować.

Zapomniał o materacu. Cisnął ją na podłogę i rzucił się na nią. Sofia nie poddała się. Nie ze względu na siebie - mogła przeżyć ten raz, tak jak przeżyła wszystkie pozostałe - ale dziecko krzyczało. Płacz małej, przepełniony przerażeniem, znaczył dla Sofii, że dziecko potrzebowało jej, a ta bestia stała pomiędzy nimi.

Odepchnęła Paca rękoma i uderzyła pięściami w jego pierś. Nie mogła ruszyć go z miejsca. Nawet pijany i półprzytomny jak w tej chwili, był dla niej ciężarem zbyt wielkim, ale zmobilizowała wszystkie swoje siły. Paco ryczał w zwierzęcej furii. Nagle puścił ją i chwiejnie stanął na nogi.

Sofii zdawało się, że wygrała. Nie traciła czasu na wstawanie; popęzła w stronę kołyski i dziecka. Ale Paco był tam pierwszy. Potężną ręką porwał dziewczynkę i cisnął ją przez jaskinię.

- Sara! Och, Boże! Moje dziecko...

Próbowała dowlec się do miejsca, gdzie leżało bezwładne ciało jej dziecka. Paco padł na nią, zanim pokonała połowę drogi. Wbił zęby w jej ramię, a ból pozbawił Sofię sił. Z okrzykiem triumfu Paco siłą rozsunął jej nogi i wdarł się w nią, poruszając się w przód i w tył w dzikim rytmie wścieklej żądy, który miał ją ukarać. Jej ciało odbijało się od niego i uderzało o skałę. Sofia nie zwracała uwagi na

ból, wyciągnęła ramię, próbując dosięgnąć dziecka. Wyteżęła każdy mięsień, by dociągnąć siebie i potwora na siebie do miejsca, gdzie leżała Sara. W końcu zsunął się z niej, ale i tak nie miało to dla niego znaczenia, jako że stracił już przytomność.

Łkając i dławiąc się, Sofia doczołgała się pod odległą ścianę, do nieruchomego ciała dziecka. Sara już nie płakała. Nigdy już nie będzie płakać. Wierzch jej główki był rozbity w miejscu, które uderzyło o ścianę, a maleńkie ciało było zalane krwią.

Fanta znalazła ją dwa dni później. Siedziała skulona w opuszczonej jaskini nad rzeką, którą Carlos pokazał jej przed laty, kiedy wymykali się na samotne rozmowy.

Sofia wciąż trzymała martwe ciało swojej córki. W jaskini było chłodno i sucho, więc nie zaczęło się jeszcze rozkładać. - Daj mi ją - powiedziała cicho Fanta. - Pochowam ją.

Sofia wylała już wszystkie swoje łzy. Minał czas historycznej żalości. Zdawała sobie sprawę z tego, że kiedyś była Sara, ale już jej nie ma. - Skąd wiedziałas, gdzie mnie znaleźć?

- Karty mi powiedziały. Już dawno temu. Czekałam na ten dzień, Sofio. Wiedziałam, że nadejdzie. Musisz opuścić Trianę. Opuścić Sewillę.

- Nie, nie, najpierw pomszczę swoje dziecko. Zabiję Paca. - W jej słowach brzmiała nienawiść.

- Nie możesz. Paco powiedział wszystkim, że zabiłaś swoje dziecko. Jeśli wrócisz, zostaniesz ukamienowana.

- Oni mu wierzą? Myślą, że mogłabym zrobić coś takiego? Fanta nie patrzyła na nią. - Jesteś obca - wyszeptęła. - Czy mało

obcych kobiet prosi nas o zioła, które zabiłyby ich nie narodzone dziecko? Czy romska kobieta zrobiłaby coś takiego? A skoro obca potrafi zabić dziecko w swoim łonie, to pewnie potrafi zabić takie, co się już urodziło.

Sofia wpatrywała się w starą kobietę. - Wierzysz, że to zrobiłam?

- Nie, wiem, że nie. Wiem też jednak, że musisz odejść, Sofio. Nie jesteś Romką i twoje miejsce nie jest wśród nas.

- Dokąd pójdę? Życie wśród Cyganów to wszystko, co znam.

- Dokądkolwiek. Ale daleko stąd. Jeśli zobaczy cię ktoś z plemienia Paca lub Zocalego, będziesz musiała umrzeć. - Uklękła przy dziewczynie i odsunęła jej włosy z czoła. - Nie bój się. Czeka cię

wspaniała przyszłość. Karty mówią to od czasu, gdy odczytałam je pierwszy raz, kiedy byłaś mała i ledwie mówiłaś naszym językiem.

- Myślałam, że nigdy nie czytałaś moich kart.

- Czytałam. Codziennie od chwili, gdy Zocali przyniósł cię do mnie.

Fanta wstała, zakryła maleńkie ciało swoim szalem, aby Sofia nie musiała już na nie patrzeć.

- Muszę cię zostawić. Jeśli nie będzie mnie zbyt długo, ktoś może coś podejrzewać. - Kiwnęła głową w stronę kosza, który zostawiła w rogu. - Znajdziesz tam rzeczy, które mogą ci się przydać. Zaczekaj, aż się ściemni, potem weź je i idź. Jutro powiem Zocalemu o tej jaskini. Powiem mu, że właśnie sobie przypomniałam, że miałaś zwyczaj tu przychodzić. Muszę. Jeśli nadal będę łamać prawo Romów, moja dusza nie będzie latać wolna, kiedy umrę.

Podeszła do wejścia, schyliła się nisko i znieruchomiała, jakby nie miała siły opuścić jaskini.

Sofia wstała. - Fanto, zaczekaj. - Podeszła do starej kobiety i objęła ją ramionami. Poczwały między sobą ciało martwego dziecka.

- Żegnaj - wyszeptała Sofia. - I dziękuję, mi madre.

- Niech cię Bóg błogosławi, córko. I niech chroni cię Sara - la - Kali.

Przez pierwsze cztery dni szła, kiedy było jasno i spała po zapadnięciu ciemności. Fanta włożyła do kosza krzesiwo, więc każdego wieczoru Sofia zbierała gałązki i mech i rozpałała mały ogień, by odstraszyć drapieżniki i styczniowy ziąb.

Żyła tak już nieraz, ale jeszcze nigdy sama. Do tej pory nikt jej nie niepokoił, ale wiedziała, że to szczęście może ją w każdej chwili opuścić. Niemniej jednak nie mogła niczego zaplanować, podjąć decyzji. Jej serce było martwe. Jej ramiona skręcały się w bóleści z tęsknoty za dzieckiem. W snach dręczyły ją wizje zmiażdżonej główki. To, co zrobi następnego dnia lub za rok, wydawało się jej bez znaczenia. Jedyłą emocją, którą czuła, była nienawiść, a to uczucie zmuszało ją do przetrwania.

Paco zamordował jej córkę i pewnego dnia zapłaci za to, ale by wziąć odwet za Sarę, ona musi przeżyć. Sofia zbyt dobrze знаła Cyganów, by łudzić się, że nie wykonaliby wyroku ukamienowania, gdyby ją znaleźli. Ta myśl prowadziła ją do przodu nie dlatego, że troszczyła się o swoje życie, lecz dlatego, że opłakiwała życie Sary.

Każdego ranka ruszała w dalszą drogę, ze wzrokiem skierowanym w dół, tak że zazwyczaj widziała tylko drogę pod stopami. Aż czwartego dnia, kiedy podniosła wzrok, zobaczyła grzebień koguta wyrżnięty w wierzbie rosnącej nad rzeką.

Sofia spojrzała na ten symbol i wzdrygnęła się. Każde cygańskie plemię miało swój znak. Znakiem Zocalego był koguci grzebień. Ale ten nie był świeży. Został wyryty w drzewie parę lat wcześniej, całkiem możliwe, że wtedy, gdy ona była z nimi. Powinna znać to miejsce.

Stała plecami do wierzby i przyglądała się okolicy. Widok nie mówił jej nic konkretnego. Było tu zbyt wiele dróg, zbyt wiele brzegów rzek. Choć przewędrowała Andaluzję wzdłuż i wszerz, nie potrafiła powiedzieć, w której jej części się teraz znajduje. Nie pamiętała nawet, jaki kierunek obrała opuściwszy Trianę.

Przycisnęła rękę do czoła i próbowała się zastanowić. Niemal na pewno ruszyła na północ. Pamiętała, że przekroczyła Gwadalkiwir i weszła do centrum Sewilli przez Bramę Jerezu. Tak, i mijała fabrykę tytoniu. Gdzie więc jest teraz? Wciąż nie wiedziała. Ruszyła dalej.

Dwadzieścia minut później minęła zakręt i zobaczyła przed sobą złote miasto, Kordobę. W pierwszej chwili ucieszyła się, że przynajmniej wie, gdzie jest, potem zdała sobie sprawę, że jest to najgorsze miejsce, do którego mogła trafić. W Kordobie mieszka liczna społeczność Cyganów. Wielu było przyjaciółmi i krewnymi plemienia Zocalego. I znali ją; ona, Fanta i inni żyli wśród nich przed dwoma laty od wiosny do jesieni. Jeśli ją zobaczą, na pewno dadzą znać do Sewilli.

Sofia przemogła panikę i chęć odwrotu. Nie mogła uciekać jak zaszczute zwierzę, musi mieć jakiś plan. Ścisnęła koszyk. Fanta włożyła do niego dwadzieścia reali, więcej pieniędzy niż Sofia kiedykolwiek widziała na oczy. Do tej pory nic z tego nie wydała. Żyła o wodzie z rzeki i kęsach chleba i sera, które też były w koszyku. Czuła, że zaczyna trzeźwo myśleć. Posępny, pochmurny zimowy dzień - na drogach nie ma wielu Cyganów. A z drugiej strony, jeden Cygan wystarczy, żeby położyć kres jej życiu i marzeniom o zemście.

Nagle zdała sobie sprawę, że skierowała się prosto na cygańską drogę, ponieważ żyła jak Cyganka. Paco, może był przeklęty na wieki, pokazał jej inne drogi i inne życie. W Kordobie musiała być oberża.

Po półgodzinie we wschodniej części miasta znalazła Posadę del Porto. Dwupiętrowy budynek z arkadami zwieńczonymi strzechą, wznoszący się wokół dziedzińca ze studnią. Zadzwoiła dzwonkiem na oberżystę, tak jak Paco czynił to wiele razy zeszłego lata.

Mężczyzna spojrział na nią w sposób, w jaki obcy zwykli byli patrzeć na Cyganów - z pogardą. Sofia zignorowała to powitanie.

- Chcę łóżko na noc. Mogę zapłacić.

- Jest pani sama, seniorka?

- Tak - powiedziała z całym lekceważeniem, na jakie mogła się zdobyć. Mógł pomyśleć, co mu się podobało, o kobiecie, nawet Cygance, przychodzącej samotnie do oberży. - Mogę zapłacić - powtórzyła.

Oberżysta uśmiechnął się, ale mało przyjaźnie. - Przyszłaś tu dać mi pieniądze czy wziąć je od moich klientów? W Kordobie wszystkie dziwki chodzą po ulicach po drugiej stronie rzeki.

Wziął ją za ulicznicę. - Nie jestem dziwką - powiedziała Sofia przez zaciśnięte zęby.

- Nie? Wybacz mi. Przepraszam najuniżeniej waszą wysokość.

- Wykonał głęboki, prześmiewczy dyg. - Kim więc jesteś? Ja jestem prostym człowiekiem. Nie rozumiem, dlaczego kobieta przychodzi do oberży, a nie jest pod opieką ojca lub męża. Może mnie oświecisz.

- Jestem śpiewaczką. - Nie zamierzała tego mówić, samo wyszło.

- Zapłacę za swój nocleg. Ale w czasie kolacji dzisiejszego wieczoru zaśpiewam dla innych gości. Jeśli się im spodoba i oni dadzą mi pieniądze, oddam ci jedną trzecią. - To właśnie Paco mówił w każdej oberży, którą odwiedzali, choć nigdy nie spali pod dachem. Nie musieli. Ona tego potrzebowała.

Mężczyzna zmrużył oczy i przyjrzał się jej. - Słyszałem o Cygance, która śpiewała w niektórych posadach na południe od miasta, ale to było latem.

- Teraz jest zima i oto jestem. No to jak, zgadzasz się? Wzruszył ramionami. - Proszę bardzo, póki dostaję pieniądze za nocleg. Chcesz zapłacić dwa reale czy cztery?

- Dwa - odparła Sofia natychmiast.

Uśmiechnął się znowu i wyciągnął ramię. - Tędy, seniorita.

Podążyła za nim na tyły dziedzińca, gdzie mężczyzna otworzył wysokie, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi. Były na tyle szerokie, że

mógłby przejechać nimi powóz, a prowadziły do czegoś, co Sofii wydało się wielką stajnią.

- Tutaj miejsce na podłodze kosztuje dwa reale. Słoma jest czysta. Zmieniam ją co miesiąc.

Sofia zobaczyła sześciu mężczyzn rozwalonych na tej zmienianej co miesiąc słomie. Większość spała, ale jeden siwy staruch otworzył oczy i wbił w nią wzrok. Potem wraz z oberżystą wymienili spojrzenia i uśmieški. Mężczyzna na podłodze miał tylko kilka zębów, ale te były długie i ostro zakończone, jak kły.

Cofnęła się pospiesznie. - To mi nie odpowiada. Jest jakieś inne miejsce?

- Si. Pokój, którego używa szlachta. Za cztery reale, jak mówiłem.

- Pokaż mi go - zażądała.

Poprowadził ją na górę wąskimi schodami i otworzył następne drzwi. Ten pokój był dużo mniejszy niż poprzedni. Stało w nim jedno mosiężne łóżko. W całym swoim życiu nie spała jeszcze na prawdziwym łóżku. Było tu też okno wychodzące na ulicę i kinkiet ze świecą na ścianie. Pałac.

- Tu zostanę - powiedziała Sofia.

- Dobrze. Jeśli zapłacisz mi cztery reale.

Sofia odliczyła pieniądze. Czuła, że mężczyzna ją obserwuje. Prawdopodobnie myślał, że jest zbyt ciemna, żeby dać mu właściwą sumę. Wiedziała, że wśród cygańskich kobiet jest jedyną, która potrafi czytać litery, choć wszystkie potrafiły liczyć monety.

Sofia uznała, że nadszedł czas, kiedy usłyszała hałas na dole. Te same dźwięki słyszała, kiedy podróżowała z Pakiem. Klienci pili swoje wino, czekając na kolację. Sofia odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi pokoju.

Całe ostatnie lato śpiewała w zwyczajnym ubraniu, we wszystkich spódnicach, bluzkach i szalach, które na co dzień zakładały cygańskie kobiety. Dzisiejszego wieczoru upięła koronkową mantylkę przymocowaną do wysokiego grzebienia, założyła szykowną falbaniastą zieloną spódnicę i czerwono - białą bluzkę, którą przygotowano dla niej na Wigilię Sary. Fanta zapakowała te rzeczy do kosza. Sofia raz jeszcze pobłogosławiła starą kobietę i boso podążyła przez dziedziniec za odgłosem rozmów i zapachem wina.

Zatrzymała się w drzwiach. W rogu trzaskał ogień. Płomienie wypełniały pomieszczenie tańczącym światłem. W ich blasku zobaczyła to, co spodziewała się zobaczyć - obcych mężczyzn bardzo podobnych do tych, którzy żyli w Trianie. To byli robotnicy i rzemieślnicy, wszyscy na poły pijani, wszyscy starali się zakończyć pracowity dzień. Nikt jej nie zauważył. Sofia czekała chwilę, potem uniosła ręce nad głowę i zaklaskała w sposób, który był częścią cygańskiej piosenki.

Kilku mężczyzn odwróciło się i spojrzało na nią. Potem jeszcze kilku. Stopniowo zamierał hałas rozmów. Sofia nie zaśpiewała ani nuty, dopóki rytmiczne klaskanie jej dłoni nie uciszyło najmniejszego szmeru. Wtedy odrzuciła głowę i wydała pierwsze przeszywające dźwięki flamenco. Była to jedna z tych pieśni, które kiedyś śpiewała nieopodal Palacio Mendoza, ta, która donii Carmen kojarzyła się z zemstą skrzywdzonej kobiety.

Wiele godzin później Sofia wróciła do pokoju na górze przepelniona triumfem. Nigdy tak się nie radowała śpiewaniem dla obcych, kiedy Paco był jej panem, ale dzisiejszy wieczór był inny. Wszystko zrobiła inaczej. Nie siedziała w kącie jak spłoszona myszka, lecz patrzyła w ich twarze, każąc im, by zwrócili na nią uwagę. To sprawiło, że jej serce zabiło szybciej, że poczuła się jak tamtej nocy na drodze, gdy zmusiła Paca, by nagiął się do jej woli.

Sofia przyniosła z dołu żarzący się węgiel, ale zanim zapaliła świece, zaryglowała drzwi do swego pokoju. W oczach tych mężczyzn odbijały się ich myśli. Tu nie obowiązywało rzymskie prawo, które chroniłoby ją przed przemocą.

Namacala na ścianie kinkiet ze świecą i przyłożyła węgiel do knota. Ogień zaskwierczał, potem rozbłysł i oświetlił pokój. Sofia wstrzymała oddech. Stała pośród chaosu. Ubranie, które miała wcześniej na sobie, leżało rozrzucone, a jej koszyk był wywrócony i pusty. Pozostałe osiemnaście reali zniknęło.

Jakże była głupia. Gratulowała sobie, że tak przykuła uwagę mężczyzn; teraz zrozumiała, że nie wie nic o tym, jak powinna się chronić. Żaden mężczyzna nie zostawiłby pieniędzy w miejscu, z którego złodziej tak łatwo mógł je wziąć. Paco swoje zawsze nosił przy sobie, w skórzanym mieszku wiszącym w spodniach. Ale jak ona miała to zrobić? Odzież, którą nosiła, przylegała do jej ciała. Gdzie miałyby ukryć woreczek z pieniędzmi, gdyby go miała? Przyłożyła

ręce do stanika. Tu, oczywiście, między piersiami. Teraz za późno, żeby o tym myśleć.

Usiadła na skraju nieznanego sobie łóżka i przełknęła łzy. Zarobiła sześć reali, a dwa musiała dać oberżyście. Nie szkodzi, powiedziała sobie w końcu. Cztery reale wystarczą na wynajęcie pokoju w następnej posiadzie, do której przybędzie. Tam zarobi więcej.

Plan narodził się, kiedy śpiewała. Nie mogła tu zostać. Kordoba była zbyt blisko Sewilli. Jutro pójdzie dalej na północ, ale dziś w nocy będzie spać. Nie będzie tracić sił ubolewając nad głupim błędem, którego nie mogła naprawić.

Choć podjęła dobrą decyzję i czuła wielkie zmęczenie, długo trwało, zanim usunęła z głowy myśli o straconych pieniądzach. Rzuciła się i wierciła w łóżku. Ten sposób spania nie był mimo wszystko tak cudowny. Kiedy już niemal świtało i Sofia usłyszała pianie koguta, przeniosła posłanie z łóżka na podłogę i tam się położyła.

W końcu było jej wygodnie i zapadła w sen. Ostatnia jej myśl była refleksją, że utrata pieniędzy to dobra lekcja. Przypomniała jej, że jest zdana zarówno na łaskę świata obcych, jak i świata Cyganów. Nie należała do żadnego z nich, tylko do siebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Niedługo po wyjeździe Anglika z Kordoby żona Dominga Mendozy klęczała na podłodze w najgłębszej i najstarszej pałacowej piwnicy na wino. Szukała czegoś gorączkowo, jej obrzmiałe dłonie grzebały w zawartości obitej skórą skrzyni spleśniałej ze starości. - To musi tu być. Musi tu być - mamrotała bez ustanku. Były tam jednak tylko notatki wypełnione zapiskami o dawno zapomnianych winobraniach.

Carmen z odrazą zatrzasnęła wieko, nagle wydało się jej, że słyszy kroki i zamarła. Wysiliła słuch, gotowa zdmuchnąć płomień palącej się przy niej świecy. Nie, to było złudzenie, może szczur. Była sama.

Na pewno nikt się nie fatygował za nią do wnętrza ziemi. Ale ta uzurpatorka mogła kogoś posłać na dół. Maria Ortega pławiła się w wydawaniu poleceń. Wyczyść to, wypoleruj tamto, napraw owo. Wielki pokaz bycia gospodynią, ubolewającą nad wszystkim, co leżało odłogiem przed jej przybyciem - zanim Domingo stracił poczucie wstydu i sprowadził swoją kochankę, aby żyć z nią pod tym samym dachem, co z żoną. - Ulicznica, dziwka, kurwa - szepcząc przekleństwa, Carmen podjęła poszukiwania.

Wielkiego wysiłku wymagało dźwignięcie ciężkiej beczki wina, ale przesunęła każdą. Ciągłe nic. To musiało tu być. Słyszała, jak Domingo mówił o tym Anglikowi. - Płyta jest wielokrotnie wspominana we wszystkich naszych starych przekazach. Mówią o literach wyciętych przez mauretańskiego niewolnika, który był najlepszym rytownikiem wszech czasów. - Wciąż i wciąż rozwodził się nad tym, jak znakomita była to rzecz, i o tym, że gdyby cokolwiek się z nią stało, dom Mendozów by upadł. - Ale nikt jej nie widział od pięciuset lat, i nadal tu jesteśmy.

Carmen w piwnicy zamknęła oczy i przypomniała sobie dalszy ciąg rozmowy. Pytanie Anglika. - Co tam jest napisane, hidalgo? Co zostało wyryte na tej słynnej płycie?

Wciąż miała ich przed oczyma - Dominga, Anglika i tę dziwkę, która siedziała na jej miejscu przy stole. Napychali się jak świnię i myśleli, że nikt ich nie widzi. Carmen cicho zachichotała z triumfem. W tym starym domu było mnóstwo ukrytych miejsc, a ona znała je wszystkie. Nikt nie wiedział, że podgląda i podsłuchuje. Widziała, jak jej mąż wzrusza ramionami i unika wzroku dziwki, kiedy przyznał, że

słowa na płycie są prawdopodobnie po hebrajsku, w obrzydliwym języku żydów. - Nie wiedziałbym więc, o czym traktują, gdybym je zobaczył, choć zapewne nigdy ich nie zobaczę.

- A co ze starymi zapisami? - zapytał wtedy Anglik. - Nie mówią, co zostało wyryte na płycie?

- Nie. Przynajmniej ja nigdy nie znalazłem takiej wzmianki. Myślę, sobie, że inskrypcja była tak znana, że nikt nie widział potrzeby, by ją zapisywać. Nasi przodkowie wiedzieli, o czym mówi. Nie przyszło im na myśl, że późniejsze pokolenia mogą nie wiedzieć.

- Typowe niedociągnięcie historyków - zauważył Anglik. - Zawsze pomijają najlepsze kawałki.

Carmen pamiętała, że Maria Ortega zaśmiała się po słowach młodego gościa, że flirtowała z nim przez cały posiłek, machając swoim wachlarzem w jego kierunku za każdym razem, kiedy myślała, że Domingo nie patrzy. Pewnie tęskniła, by poczuć przystojnego młodzieńca między nogami, musiała gardzić starcem, pewnym, że ją posiadał. Ach, jakżeż gorąco się modliła do Najświętszej Panienki, żeby ta dziwka przyprawiła Domingowi rogi w jego własnym domu, a on by się o tym dowiedział i wyrzucił ją na ulicę.

Do tego nie doszło, ale na pewno Najświętsza Panienka słuchała jej modlitw. Czy w przeciwnym wypadku Opatrzność pozwoliłaby jej wysłuchać mężowskiej opowieści? Od trzydziestu pięciu lat Domingo unikał rozmowy o historii Mendozów. Do przyjazdu Anglika nigdy nie słyszała, żeby przyznawał, iż się wstydzi swojego żydowskiego pochodzenia. Teraz dał jej broń, której pragnęła. Znajdzie tę przeklętą płytę, odda ją Inkwizycji i powie, że Domingo Mendoza jest marranem, żydowską potajemną świnią. Spalą go na stosie, a ona będzie miała swoją zemstę.

Carmen spędziła cztery godziny w piwnicy i niczego nie znalazła. Nie podda się jednak. Od tygodni przeszukiwała każdy z czterdziestu sześciu pokoi w pałacu. To było ostatecznie miejsce, a jeśli nie znajdzie tego wkrótce, będzie za późno. Domingo był chory. Carmen czuła wokół niego odór śmierci. Ale zwyczajna śmierć nie należy się człowiekowi, który sprawił jej tyle cierpień. - Nie pozwól mu umrzeć

- modliła się, kiedy znowu zaczęła sprawdzać przeszukane już miejsca. - Panie mój, Boże, nie pozwól, żeby Domingo umarł, póki ja nie będę mogła go zabić.

To matka Roberta zażądała, by opowiedział o wszystkich szczegółach, które widział w pałacu Mendozów. - A zasłony? - dopytywała się. - A jakich sztucców używają przy stole?

- Zasłony są wspaniałe - powiedział Robert, puszczając oko do ojca. Beniamin Mendoza znosił te wszystkie domowe szczegóły z ostentacyjną cierpliwością, wzdychając głośno, patrząc ponad ich głowami i bębniąc palcami po stole. - Cudownie wyszywane - ciągnął Robert. - Ten sam rodzaj robótki, co na parawanie w twoim pokoju, matko.

- Włóczka - podsunęła Bess. - Tak to się nazywa. Wszędzie są włóczkowe zasłony?

- Nie, w niektórych pokojach są adamaszkowe. Z Francji chyba. Cudowne kolory. - Podniósł trójzębny widelec i pomachał nim dokuczliwie przed nosem matki. - I jedzą solidnym srebrem, które wygląda, jakby było kupione od cygańskiego handlarza.

Widelce na stole Bess były częścią kompletu, który należał do jej matki. Miały uchwyty jak kolby pistoletów, z zielonego weneckiego szkła i srebrnych pasków. Aż do tej chwili Bess kochała je. Wstała z za stołu. - Muszę wyjść. Boli mnie głowa. To dlatego, że żyjemy tutaj, w tym smrodliwym londyńskim powietrzu. Gdybym mogła wyprowadzić się na wieś, jak żony wszystkich naszych znajomych, byłabym znowu dobrą kobietą.

Beniamin i Robert podnieśli się grzecznie. Beniamin ucałował żonę w policzek. - Odpocznij, kochanie. Bez wątpienia jutro londyńskie powietrze nie wyda ci się tak uciążliwe. Kiedy pójdiesz do złotnika zaordynować nowe sztucce, niebo pojaśnieje.

Robert obserwował tę małą scenę z ledwie skrywanym rozbawieniem. - Myślę, że będziesz musiał jej ulec wcześniej czy później - powiedział po wyjściu Bess.

Beniamin potrząsnął głową. - Mówiłem jej, że planuję złożyć ofertę na Pałac Świętego Jakuba. Jeśli król sprzeda mi go, możemy się przeprowadzić. W przeciwnym razie zostajemy tu, w domu na Creechurch Lane. Był dobry dla dziewięciu pokoleń Mendozów, jest dobry i dla mnie.

- Zwykłem myśleć, że my to długa historia - rzekł Robert cicho.

- Że niemal dwieście pięćdziesiąt lat w Anglii uczyniło nas Anglikami. Teraz nie jestem pewien.

Beniamin podniósł głowę. - I cóż to znaczy? Czego teraz jesteś niepewny? Wyobrażasz sobie, że jesteś Hiszpanem po sześciu miesiącach spędzonych w Hiszpanii?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale don Domingo mówił o pięciuset latach, jakby były niczym. A przedtem była rodzina żyjąca pod panowaniem Maurów. Przyznasz, ojcze, że to dopiero jest historia.

- Może, ale jest w równym stopniu nasza, jak jego. - Beniamin wydobyl jadro orzecha i zamoczył je w swoim winie. - Jesteś takim samym Mendoza jak Domingo. A nawet lepszym, prawdziwszym, bo jesteś obrzezany. Nigdy nie pytałem Dominga, nie mieściło się to jakoś w tematyce naszej korespondencji dotyczącej interesów, ale wątpię, czy on jest.

Robert zachichotał. - Ja też go o to nie spytałem. Ale obrzezany czy nie, wie, jak używać tego, co ma między nogami. - Robert opowiedział ojcu o Marii Ortedze.

- Nie podoba mi się ta historia - rzekł Beniamin z niesmakiem.

- Jeśli mężczyzna musi mieć kochankę, nie powinna ona mieszkać pod jednym dachem z jego żoną.

- Pewnie nie, niemniej jednak... Nie widziałem donii Carmen, ale opowieści, które słyszałem, były straszliwe.

- Opowieści. Dziwka to dziwka, a żona to co innego. Skoro o tym mówimy...

- Proszę, ojcze, dopiero wróciłem. Zaczekaj chociaż do jutra z nękaniami mnie ożenkiem.

- Dobrze. Porozmawiamy o innych rzeczach. Chodź do mojego gabinetu, opowiesz mi o prawdziwie ważnych rzeczach, nie o tych wszystkich nonsensach, które interesują twoją matkę.

Rozmawiali ponad godzinę, a właściwie to Robert mówił. Beniamin słuchał, kiwając głową od czasu do czasu i niekiedy robiąc notatki. Był bardzo zadowolony. Co prawda nie z wieści o interesach z Mestą i straconych sumach, lecz to były tylko pieniądze. Syn natomiast to coś więcej, a ten był synem godnym swego nazwiska. - Świetnie - rzekł, kiedy opowiadanie dobiegło końca. - Dobrze się spisałeś, chłopcze. Jestem z ciebie dumny.

- Dziękuję, ojcze. A teraz wybacz mi, ale poczułem utrudzenie podróżą. Jeśli pozwolisz, udam się na spoczynek.

- Idź, idź. Śpij dobrze. - Ale zanim syn opuścił pokój, Beniamin dodał: - Robercie, zaczekaj chwilę. - Sięgnął do szuflady w

sekretarzyku. - Czekałem z tym na właściwy moment. Myślę, że nadszedł.

Trzymał oprawioną w skórę książkę. Robert sięgnął po nią, spojrzął na okładkę, potem na ojca. - Co to jest?

- Pamiętniki. Zostały napisane po hiszpańsku przez pierwszego Mendozę, który przybył do Anglii. Przetłumaczono je jakiś czas temu, nie jestem pewien kiedy.

Ojciec starał się mówić tonem niedbałym, ale coś w jego głosie powiedziało Robertowi, że to, co trzyma w ręku, jest ważne, i że ojciec dając mu to, podjął ważną decyzję. - Czy Liam to czytał?

Beniamin potrząsnął głową. - Nie, Liam nie wie o tym więcej, niż ty wiedziałeś jeszcze przed chwilą.

Robert wiedział, że jest ulubieńcem ojca. Niemniej jednak Liam był starszy i zazwyczaj jego prawa były skrupulatnie respektowane. Poza tym Liam dał rodzinie dziedzica, małego Josepha Simona Mendozę, który urodził się, kiedy Robert był za granicą. Można pomyśleć... Ach, teraz był zbyt zmęczony, żeby to obliczać. - Przeczytam to z samego rana.

- Dobrze - zgodził się Beniamin. - Podejrzewam, że odbierzesz to jako fascynującą lekturę. W każdym razie chętnie dowiem się, co o tym myślisz.

Robert zaniósł książkę do swojego pokoju i położył ją nie otwartą na skrzyni. Wystarczy, jeśli zabierze się do niej jutro. Boże, jak dobrze być w domu, w swoim własnym pokoju i we własnym łóżku, której to przyjemności dostąpi już za chwilę. Nie rozebrał się, położył się i czekał. Sen nie nadchodził. Książka wołała go, kusiła, żeby nie spał pomimo zmęczenia. - Do diabła - rzekł w końcu. Uznał, że musi przeczytać stronę albo dwie.

- Co to jest? - Głową rodu Mendozów w roku 1575 był don Miguel Antonio. Dziś były jego imieniny, święto Michała Archaniola, a przy sposobności pięćdziesiąte urodziny. Don Miguel nie miał już wzroku równie dobrego jak kiedyś, więc przyglądał się z bliska pożółkłemu dokumentowi, który młody mężczyzna położył na jego stole.

- To jest pożyczka pod zastaw waszego domu. Na tysiąc złotych dukatów.

Rozmówca don Miguela nazywał się Feliks Ruez Zaban. Jego rodzina też była w Kordobie od wieków, choć nie tak bogata jak

Mendozów. Na ojcowiznę Ruezów składało się ledwie kilka winnic i mała bodega. Te Feliks właśnie ostatnio był odziedziczył, razem z ich długami. Ale był także obdarzony tęgą głową i zamiłowaniem do odkrywania tajemnicy.

- Znalazłem ten dokument w skrzyni w starej piwnicy na wino

- wyjaśnił. - Obawiam się, że moi przodkowie byli dobrymi winiarzami i kiepskimi urzędnikami, zapiski były nie najlepiej prowadzone. Czasami wcale.

- Czy tego szukałeś? - zapytał Miguel. - Skąd wiedziałeś...

- Nic nie wiedziałem. Szukałem historii naszych winogron, ich plonów w przeszłych czasach. Ta pożyczka była... - zawahał się

- szczęśliwym wypadkiem.

Miguel Antonio Mendoza pomyślał, że dla niego nie był to tak szczęśliwy wypadek. Tysiąc dukatów to dużo pieniędzy, nawet dla Mendozów. Spojrzał znowu na dokument. - Jest bardzo wyblakły.

- To prawda, ale czytelny. - Feliks wychylił się i śledził słowa palcem. - Ja, Benhaj ben Simon Mendoza, uznaję Gilbertowi Ruezowi Tracito, wytwórcy win, pożyczkę w wysokości jednego tysiąca złotych dukatów, płatnych na żądanie - czytał na głos.

- Mówi też „w zapłacie za nieocenione zasługi”. I jest podpisane.

Miguel skinął głową. - Ktoś to podpisał, to prawda.

- Pański przodek.

- Może. Jak można tego dowieść? Benhaj... Nie znam tego imienia.

- Pod podpisem jest data. 17 czerwca 1391.

- I co? Ktokolwiek to podpisał, postawił też datę. To nie świadczy o prawdziwości dokumentu ani o tym, że wydał go prawowity pan tego domu.

Młodszy mężczyzna odchylił się w swoim krześle. - Don Miguelu, jestem miłośnikiem historii, a pan?

Jeden palec postukiwał niecierpliwie w grube czarne drewno sekretarzyka. - Przejdź pan do rzeczy.

- W czerwcu 1391 roku w Kordobie były wielkie rozruchy. Ówczesna dzielnica żydowska została zrównana z ziemią.

Mówiło się o tym. Ten impertynencki młody człowiek przypomniał mu przykrą przeszłość, żydowską krew Mendozów. Nie sposób było mu zaprzeczyć, prawda była dobrze znana. - Domyślam

się, że to mogło być ważne dla moich przodków, to prawda - zgodził się Miguel.

- Może to Gilberto Ruez ukrył ich. Oni ocaleli, prawda? Stary człowiek wzruszył ramionami. - Nie znam szczegółów.

Z pewnością jacyś Mendozowie ocaleli, ród trwał.

Feliks zawahał się, potem włożył rękę do woreczka, który przyniósł, i wyciągnął coś jeszcze. - To było z papierami.

Don Miguel spojrzał na medalion, który młodzian położył na stole. Dotknął go ostrożnie, potem ugryzł krawędź. - To na pewno złoto, ale co to ma ze mną wspólnego?

- Nie wiem - przyznał Feliks. - Ale było to pieczołowicie zawinięte i dołączone do listu o pożyczce, jak powiedziałem. Chyba jest na tym napis.

- Tak, oczywiście - rzekł Miguel niecierpliwie. - Widzę. Ale nie potrafię go odczytać.

- Ja też nie. Ale myślę... proszę mi wybaczyć... Myślę, że to jest napisane po hebrajsku.

Miguel wzdrygnął się i odchylił gwałtownie. Heretyckie pismo. W jego domu, w jego dłoni. Inkwizycja w Hiszpanii liczyła sobie sto lat i działała już łagodniej. Niemniej jednak, wiadoma przeszłość rodziny... - Nic nie wiem o piśmie hebrajskim - powiedział głośno.

- Nie, oczywiście, że nie. Myślę tylko, że to należy do Mendozów - upierał się Feliks. - Coś, co mogłoby potwierdzić, że list o pożyczce jest autentyczny.

Sugestia ta nie była nieprawdopodobna i Miguel rozważał ją przez chwilę w milczeniu. Ta cisza zbiła z tropu Feliksa. Nie miał doświadczenia starszego mężczyzny ani jego umiejętności negocjowania i złamał się pierwszy. - Proszę o spłatę długu, don Miguelu. To moje prawo.

- Jeśli jest dług, masz prawo go odebrać, to prawda - Miguel wstał i lekko złożył ręce na papierze. - Chciałbym to przestudiować i przeszukać nasze księgi. Czy pozwolisz, że zatrzymam go na dzień lub dwa?

Tym razem Feliks się nie zawahał. W kwestiach takich jak ta truizmem było stwierdzenie, że Mendozowie zasługują na bezgraniczne zaufanie. Byli też sprytni. Nie oszukiwali, bo po pierwsze nie musieli, a po drugie dlatego, że oszukiwanie koniec

końców byłoby szkodliwe dla ich interesów. - Może pan zatrzymać dokument i medalion, oczywiście. Wrócę pojutrze.

Po wyjściu młodego człowieka Miguel Antonio jeszcze długo nie zajął swego miejsca. Tysiąc złotych dukatów. W normalnych czasach nieoczekiwany dług tej wysokości okazałby się jedynie kosztowną przykrością. Dziś było zupełnie inaczej. Stał w obliczu kryzysu, a to żądanie było ostatecznym ciosem, tym, który mógł zabić. I na ten okrutny żart Bóg wybrał sobie dzień jego urodzin.

W przypiływie gniewu Miguel potrząsnął pięścią ku niebu. Potem pospiesznie uczynił znak krzyża. Jego żona modliła się w kościele, zanudzając Świętą Dziewicę prośbami o pomoc. Nie był to dobry moment, by wygrażać Bogu.

Czasy po panowaniu Ferdynanda i Izabeli były latami rozwoju i ożywienia, ale też chaosu. Z odkryciem Ameryki narodziły się nowe marzenia o chwale i bogactwie, a wielu marzycieli podejmowało zuchwałe i ryzykowne decyzje. Los sprawił, że rodzinie Mendozów od dwóch pokoleń przewodzili tacy właśnie wizjonerzy, mężczyźni o skłonnościach do ryzyka.

Dziadek Miguela Antonia miał zgubną słabość do przygód kolonialnych. Wystarczyło, że ktoś powiedział, iż można zainwestować w którąś z kolonii, a on bez namysłu otwierał skrzynie. Wszystko dlatego, że był oddany pamięci Kolumba; w głównym salonie domu wisiał nawet obraz o odkryciu Nowego Świata. Dlaczego? Może Bóg to wiedział, bo Miguel nie.

Nie wiedział też, dlaczego jego ojciec był tak nieumiarkowany w pożyczkach, których dokonywał. W jego wypadku trudno nawet mówić o obsesji, która by to tłumaczyła. Po prostu dokonywał niemądrych wyborów. Kiedy w 1542 roku stało się już jasne, że liberałowie zatriumfują i zakazane będzie w Hiszpanii sprzedawanie Indian jako niewolników, ojciec Miguela wciąż finansował statki niewolnicze kierujące się na Hispaniolę i Panamę.

Kiedy nadeszła jego kolej, Miguel próbował zaradzić nieroztropnościom swoich przodków, lecz o ile sam był ostrożny, o tyle miał też pecha. W koloniach amerykańskich żyło obecnie ponad sto tysięcy hiszpańskich osadników, którzy domagali się wszelkich, najbłahszych zakupów z kraju ojczystego. Chyba finansowanie takich ładunków powinno być bezpieczną inwestycją? Okazało się, że niekoniecznie. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zagięły na

morzu trzy statki, których finansowanie wsparli Mendozowie. W każdym wypadku właściciele zostali tak doszczętnie zrujnowani, że nie byli w stanie zwrócić długu.

A teraz to - tysiąc złotych dukatów z przeszłości. To za dużo pod każdym względem. Może było z tysiąc dukatów ukrytych w ogrodzie; ale jeśli nawet, były to ostatnie monety w jego posiadaniu. Dobra Mendozów były rozległe i warte niezliczoną krotność tej sumy, ale w twardym złocie nie zostało prawie nic.

Niemniej jednak to nie z powodu kłopotów majątkowych don Miguel Antonio siedział z głową schowaną w dłoniach po południu w dniu swoich urodzin. To z powodu swego syna Ramona. Niemal od stu pięćdziesięciu lat Mendozowie byli chrześcijanami, a jeszcze nie dali światu księdza. W końcu jednak modlitwy Any, żony Miguela Antonia, zostały wysłuchane i Ramon, najmłodszy chłopiec w rodzinie, wyraził pragnienie, by pójść do dominikanów. Oboje rodzice byli uradowani. Ana cieszyła się z racji swojej nadmiernej pobożności, Miguel z racji stosunków z Kościołem, które mogły przydać się w interesach. Teraz oboje byli oszołomieni.

Wczoraj Ramon nieoczekiwanie przyjechał do domu. Zdecydował, że nie przyjmie święceń. Dlaczego? Z powodu, który był tak straszliwy, że Miguel nie mógł o nim pomyśleć. Boże drogi, jak coś takiego mogło być prawdą? Jak mój syn mógł chcieć zostać żydem?

- To przez te wszystkie książki - powiedziała Ana ostatniej nocy, kiedy żadne z nich nie mogło spać i rozmawiali do świtu.

- Mówiłam ci, że powinien iść do franciszkanów. Dominikanie są szaleni. Studiować, studiować, studiować, tylko to potrafią robić. Uczą ich hebrajskiego i dają straszne rzeczy do czytania.

- Wiem - poparł ją mąż. - Wiem. Ale teraz za późno mówić „mówiłam ci”. Zamilknij, pozwól mi myśleć.

Wtedy jednak nie myślał o niczym i teraz nie mógł o niczym myśleć. Ściemniło się. Ana powinna już wrócić z kościoła. Ramon bez wątpienia wciąż był na górze w swoim pokoju, może modlił się do swego heretyckiego Boga. Jezusie Nazareński, co robić?

Na wieczór zaplanowano specjalną urodzinową kolację. Odbyła się w wielkiej jadalni w zachodnim skrzydle domu. To opętany obsesją dziadek Miguela zbudował zachodnie skrzydło - dla uświęcenia hiszpańskiej ekspansji w Ameryce. Zatrudnił mudejara,

Christiana Moorsa, aby je udekorował, i nie szczędził wydatków. Ściany pokryte były lśniącą pozłotą, a podłoga ułożona z różnokolorowego marmuru. Była to oprawa godna sułtana, a tego wieczoru posiłek był jej równy.

Stół uginał się pod ciężarem żywności. Były tu trzy kozły, które wcześniej godzinami obracały się na rożnie, bażanty faszerowane rodzynkami skulone pod kopułą z pasztetu, ryż z cynamonem i goździkami, barwiony na żółto szafranem. Była wielka misa pełna nowych owoców zwanych pomidorami, przywiezionych przez konkwistadorów z Nowego Świata, i jeszcze jedna z drugim jadalnym odkryciem - mączystymi bulwami, które nosiły miano ziemniaków. Miguel wzdrygnął się w duchu na myśl o kosztach tej uczty, ale kiedy rozejrzał się po pomieszczeniu, zrozumiał, dlaczego jego żona zaaprobowała taką ekstrawagancję.

Obecna była cała rodzina. Pięćdziesiąt dwie twarze promiennie uśmiechnięte do don Miguela. Brat, siostra, całe ich rodziny, siedmioro jego własnych dzieci, małżonkowie sześciorga z nich, jego szesnaścioro wnucząt - nawet Ramon opuścił swój pokój i wziął udział w przedstawieniu, jakby przyjechał do domu tylko po to, by uczestniczyć w uczcie urodzinowej ojca. Ana miała słuszną rację, że nie skąpiła na posiłku, o którym usłyszy cała Kordoba.

Don Miguel starał się być swobodny i prezentować tak dobry humor, by nie zawieść oczekiwań obecnych gości, ale kiedy popatrzył na zebrany klan, dostrzegł tylko ciężary. Każda z tych osób była zależna od domu Mendozów - od dachu nad głową po jedzenie w brzuchu. Każda z nich liczyła na don Miguela, że dostarczy dochodów ich synom, posagów ich córkom, a im samym wygodę na stare lata. A tylko on wiedział, że dom jest bliski zawalenia się pod ciężarem tych połączonych oczekiwań.

Nareszcie uroczystość dobiegła końca. Córki odeszły do domów swoich mężów, żonaci synowie Miguela i Any powiedzieli dobranoc i zniknęli w swoich apartamentach na terenie pałacu. Dom narastał przez wieki, teraz miał trzydzieści cztery pokoje, a mieszkańcy Kordoby mówili o nim Palacio Mendoza.

Tego wieczoru don Miguel nie czuł się jak człowiek przeznaczony do mieszkania w pałacu. Spojrzał na Ramona i Anę, a potem na służbę sprzątającą ze stołu. - Chodźcie do mojego gabinetu. Chciałbym porozmawiać z wami na osobności.

Ana była blada i roztrzęsiona. Cały dzień spędziła na przemian na modlitwie i płaczu. Resztę jej sił pochłonęło przyjęcie rodziny. Teraz mąż wzywał ją na spotkanie, które z zasady powinno dotyczyć tylko jego i jego syna. Ay, mi madre, da la fuerza...

Miguel zajął miejsce za stołem i spojrzał na żonę i syna. - Usiądź, kobieto. I nie zemdlej. Chciałem, żebyś tu była i słuchała, a nie leżała bez zmysłów na podłodze. Ramon, co zdecydowałeś?

Chłopiec zwiesił głowę. Smuciło go, że jest przyczyną takiego cierpienia swoich rodziców. - Ja nie muszę podejmować żadnej decyzji. Ona została podjęta za mnie.

- A któż ją podjął? - wrzasnął Miguel. Twarz poczerwieniała, a żyły na szyi nabrzmiały. - Kto decyduje, że powinieneś stać się odstępcą, wyrzutkiem, heretykiem? Kto decyduje, że masz narażać każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, które było tu dziś wieczór, na zainteresowanie inkwizytorów? Kto? Powiedz mi, a zaduszę go gołymi rękoma.

- Nie możesz, ojczy - wyszeptał chłopiec. - To Bóg mówi mi, co mam robić. Bóg naszych ojców, Mojżesza, Abrahama i Izaaka.

- Ja również czczę tego Boga - Miguel ściszył głos i spojrzał twardo na syna. - Jezus Chrystus jest tym Bogiem. Ojciec i Syn i Duch Święty. Jego Kościołem jest święty Kościół katolicki, a ty jesteś heretykiem i jeśli nie okażesz skruchy, zostaniesz spalony.

Ana płakała; nie mogła się powstrzymać. Ramon nie patrzył na ojca, lecz na nią, drżał cały, kiedy próbował złożyć jakieś wyjaśnienia.

- Gdybym tylko mógł sprawić, żebyś zobaczył piękno judaizmu, czystość. On jest tak doskonały, papo, taki pełny. Wszystkie rzeczy są wytłumaczalne, przeistoczone, stworzone przez Boga. W judaizmie nie ma konfliktu między życiem a religią, składają się w jedną całość.

- Zamilkł, kiedy don Miguel uniósł dłoń.

Starszy pan załamał się, uszedł z niego cały ogień. Teraz usiadł ciężko na krześle. - Dobrze. To, co mówisz, jest szalone, ale widzę, że jesteś szczery. Skoro to jest twoja wiara, żadne moje słowa niczego nie zmieniają. Ale musisz wiedzieć, co robisz, Ramonie. Jako żyd nie możesz pozostać w Hiszpanii. Jeśli zostaniesz wbrew prawu, złapie cię Inkwizycja i najpierw będą cię torturować, a potem spalą cię żywcem. Autodafe cieszy się dziś dużym powodzeniem. Ludzie domagają się igrzysk. W noc przed twoją śmiercią przemaszerują ulicami, niosąc zielony krzyż. Ustawią go na głównym ołtarzu

katedry, żeby wszyscy go widzieli. Rano, kiedy zbudują dla ciebie stos na Plaza de la Corredera, publicznie skonfiskują wszelkie dobra tej rodziny. Do tego czasu twoja matka i ja będziemy torturowani, zapewne umrzemy. Twój kuzynowie, bratankowie i siostrzenice, twoi bracia i siostry, każdy, komu pokazałeś się dziś wieczorem, zostaną bez środków do życia, szczęśliwi, że udało im się ocaleć.

Przerwał. W pokoju trwała całkowita cisza. Nawet Ana przestała płakać przy tych straszliwych słowach. - Czy tego wymaga od ciebie twój Bóg, Ramonie, synu mój?

Młodzieniec zwiesił głowę na piersi. Jego dłonie kurczowo ścisnęły rzeźbione poręcze krzesła. - Muszę być żydem - wyszeptał.

- Muszę odpokutować odstępstwo naszych przodków. Właściwie wszyscy jesteśmy żydami.

Wówczas don Miguel uczynił rzecz zdumiewającą. Poprawił szaty, otarł twarz skrawkiem płótna, po czym wstał, podszedł do skrzyni w rogu pokoju, wyciągnął z niej karafkę wina i napełnił trzy kielichy. Zupełnie jakby całe jego podniecenie, wszystkie wcześniejsze wypowiedzi były na pokaz. - Napijmy się. I uspokójcie się. Mam plan.

Ramon podniósł głowę. - Nie oddasz mnie w ręce Inkwizycji?

- Ja? Teraz dopiero widzę, że jesteś szalony. Myślisz, że słucham ich przekleństw i gróźb? Nie wierzę, że grozi mi piekło za chronienie własnego syna i całego mojego rodu, cokolwiek oni tam mówią. A co do ciebie, czy odczuwasz obłąkańcze pragnienie bycia męczennikiem, czy też chcesz żyć jak żyd, a nie po prostu umrzeć jak żyd?

- Żyć, oczywiście - odparł Ramon ochoczo. - Talmud mówi... Krzyk Any przerwał jego słowa.

- Nie wspominaj swoich obrzydliwych heretyckich książek pod moim dachem - przestrzegł syna don Miguel. - Twoja matka mówi, że gdyby dominikanie nie nauczyli cię czytać po hebrajsku i nie narazili na te plugastwa, nic by się nie zdarzyło. I w tej kwestii ma słuszość.

Ramon nie odrzekł nic. Bóg będzie musiał wybaczyć mu to, że pod wpływem okoliczności nie stanął w obronie świętego Talmudu.

Miguel zwrócił się do swojej żony: - Idź do swego łóżka, kobieto. Chciałem, żebyś na własne uszy usłyszała, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by on zmienił swoje zamiary. Skoro usłyszałaś, zostaw nas samych. I możesz spać spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci.

Ana stanęła na drżących nogach. Trudno jej było uwierzyć, że nawet jej potężny małżonek może obrócić na dobre wydarzenia tak straszliwe. Ale ona chciała uwierzyć; to było najlepsze, co mogła zrobić. Skinęła głową każdemu z mężczyzn, bo nie ufała sobie na tyle, by mówić, i opuściła pokój.

- A teraz, synu - powiedział Miguel - oto, co mamy zrobić... Rozmawiali do późnej nocy. Przed świtem plan był omówiony

ze wszystkich stron i dopracowany w szczegółach. - Jeszcze jedno - powiedział Miguel, kiedy wstali, by wyjść z pokoju. - Ciekaw jestem, czy ten list kredytowy, który mamy uznać, jest autentyczny. Możesz już teraz zużytkować swoją wiedzę o hebrajskim na korzyść rodziny. Jutro zajrzysz do starych ksiąg. To z czasów naszych przodków, napisane w tym języku, są ukryte w ogrodzie. Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył, bo na przekór naszym wysiłkom będziemy mieli do czynienia z Inkwizycją. Ale daj mi znać natychmiast, jeśli znajdziesz jakąś wzmiankę o Benhaju. - Czekał chwilę, potem sięgnął do sekretnej szuflady w sekretarzyku. - Weź to też. Chciałbym wiedzieć, co tu jest napisane. - Miguel wcisnął medalion w dłoń syna.

Czterdzieści osiem godzin później Feliks Ruez Zaban usiadł znowu w gabinecie don Miguela. Na stole między nimi stała skórzana skrzynka, okuta mosiądzem, długa na ramię i wysoka na cztery dłonie. Była zamknięta. Feliks spojrzał na nią łakomie. - Odkrył pan, że mówiłem prawdę. Dokument jest prawdziwy, co nie?

- Dokument jest prawdziwy, zgadza się. Przynajmniej istniał Benhaj Mendoza, który rządził tym domem prawie dwieście lat temu. Niewiele osiągnął, dlatego nigdy o nim nie słyszałem.

Feliks nie był szczególnie zainteresowany historią Mendozów.

- Moje pieniądze są w tej skrzynce?

Don Miguel uśmiechnął się. - Jest pan młody i niecierpliwy, przyjacielu. W interesach to nierozważne. Wypijmy trochę wina. Jest wyjątkowe i myślę, że będzie panu smakować.

Na stole stał srebrny dzban, don Miguel nalał z niego wina do dwóch kielichów. Wino było ciemne, złotobrazowe. Miało zapach orzechów laskowych i śmietankowej obfitości, które pieściły podniebienie już przy pierwszym łyku. - Bardzo smaczne, nie sądzi pan?

Feliks nie odpowiedział od razu. Wziął następny łyk i rozsmarował go na języku. Potem odsunął kielich, przyjrzał mu się

pod światło i znowu powąchał. - Zupełnie nadzwyczajne - wymruczał. Na przekór skąpstwu, które sprawiało, że pocily mu się dłonie, ponad wszystko był winiarzem. Wziął następny łyk. - Niezwykłe a wyśmienite. Co to jest, don Miguela? Jak pan na to trafił?

- Trafiłem na nie w bardzo prosty sposób. Pojechałem do miasta Jerez de la Frontera i kupiłem je w małej winiarni.

- Ale to niedaleko, cztery dni jazdy, byłem w Jerez de la Frontera. Nigdy jeszcze nie próbowałem takiego wina.

- Nie? Cóż, może następnym razem, gdy tam pojedę, przywiozę trochę dla pana. A teraz, Feliksie, przejdźmy do interesów. - Miguel Antonio zwolnił zamek skrzyni i podniósł wieko. Wnętrze, wyłożone czerwonym aksamitem, było wypełnione złotymi monetami, które migotały w przyćmionym świetle. - Tu jest twój tysiąc dukatów.

- Po prawdzie było tam tylko dziewięćset czterdzieści siedem dukatów, wszystko, co Miguel zdążył zebrać. Optymistycznie przyjął, że to nie będzie miało znaczenia.

Feliks pochylił się do przodu. W jego oczach błyszczało podniecenie. - Nigdy jeszcze nie widziałem tyle pieniędzy. Cokolwiek mój przodek zrobił dla pańskiego, niech obaj spoczywają w pokoju.

- Amen - rzekł starszy mężczyzna, czyniąc znak krzyża. - W trakcie ceremonii przedłożył list kredytowy. - Mogę to podrzeć?

- Feliks skinął głową, don Miguel porwał więc dokument na drobne kawałki i odsunął je na bok, po czym wstał. - Teraz proszę chwilę zaczekać, zawołam służącego, żeby zaniósł to do pańskiego domu. I chyba powinniśmy go uzbroić.

- Tak - rzekł Feliks. - Tak będzie rozsądnie. Niech no tylko moja żona to usłyszy. Nie wierzyła, że przejmie się pan tak starym dokumentem.

- Kobiety wygadują nedorzeczności. Każdy człowiek w Hiszpanii wie, że ród Mendozów honoruje swoje długi. - Don Miguel ruszył do drzwi, zapewne po to, by zawołać uzbrojoną obstawę, o której mówił. W progu zawahał się. - Feliksie, zastanawiam się, czy... Nie, oczywiście, że nie. Jesteś biednym człowiekiem, musisz się zadowalać tymi zyskami, które leżą w zasięgu ręki. Tylko bogacz może używać swoich dóbr, by je pomnażać.

Młodszy mężczyzna zmrugał oczy i spojrzał surowo na swego rozmówcę. - W tej chwili nie jestem taki biedny. Mam tysiąc dukatów. O czym pan mówi, don Miguela?

Miguel Antonio odsunął się od drzwi, ale tylko o krok; nie wrócił do swego krzesła za biurkiem. - Przyszło mi do głowy, że może jesteś bardziej bystry niż byli twoi przodkowie. W końcu znalazłeś dokument. Niemniej jednak...

- Oczywiście, że jestem bardziej bystry niż mój ojciec i dziad. Mam plany względem swojej bodegi i winnic. Z tymi pieniędzmi, i jeśli pogoda będzie sprzyjać i będziemy mieć dobre zbiory tego roku, zamierzam kupić trochę więcej ziemi.

- Na wzgórzach pod Kordobą? Ach tak. Ale tam urodzi się to samo wino, które pańska rodzina robi od pokoleń. Całkiem dobre, oczywiście, ale to nie wystarczy.

- Nie wystarczy do czego? O czym pan mówi?

Miguel urządził mały pokaz, przypatrując się uważnie swojemu gościowi. - Może... Dlaczego nie? Dlaczego człowiek, który zawsze był biedny, nie miałby wykorzystać sposobności, by stać się bogatym? Usiądź, Feliksie. Posłuchaj mnie. - Teraz wrócił na swoje miejsce, a kiedy przechodził, niby przypadkowo opuścił wieko skrzyni ze złotem. Już nie migotało mu w oczy.

- Inwestuję właśnie w winnicę, Feliksie. Całe wzgórze winnic. Po prawdzie już je kupiłem. W Jerezie. I kupiłem też bodegę, o której mówiłem, tę, która robi to nadzwyczajne wino. To wino jest robione specjalną metodą obmyśloną przez pewną rodzinę. Każdego roku po wyciśnięciu winogron wino jest mieszane z tym z poprzednich sezonów i dodaje się trochę brandy. Ważna jest też tu specjalna metoda dojrzewania i ściągania, ale ty rozumiesz te szczegóły lepiej ode mnie. Wiem tylko tyle, że przy metodzie z Jerezu nie może być złych roczników. Bez względu na to, jak ubogi jest zbiór, wzbogaca go wino z poprzednich lat.

- Ależ to nadzwyczajne. Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- Próbowalesz wina. Proszę, napij się jeszcze. - Miguel ponownie napełnił oba kielichy.

- Jest nawet lepsze, niż myślałem za pierwszym razem - powiedział Feliks. - Don Miguelu, czy mógłbym poznać tę metodę? Gdyby pozwolił mi pan zobaczyć, jak to się robi, mogłoby to zmienić moje życie.

- Mój młody przyjacielu, ależ oczywiście. Za dług, który moi przodkowie byli winni twoim. Jeśli tego właśnie chcesz, proszę

bardzo. Myślałem jednak o czymś bardziej, jeśli mogę tak powiedzieć, wyzywającym.

- Tak? O co chodzi? Proszę mi powiedzieć.

- Mogłem kupić tę bodegę tylko dlatego, że ród się kończy. Został tylko jeden starzec, on robi wyjątkowe wino. W Jerezie są inni, którzy wytwarzają coś bardzo podobnego, ale ich wino nie jest tak wspaniałe. Mój problem polega na tym, że potrzebuję winiarza, kogoś, kto będzie doglądał dorastania winogron i robienia wina. Starzec nauczy go wszystkiego, ale lepiej, żeby ten ktoś już znał się na robieniu wina.

Feliks wyprostował się. Jego palce bębniły o poręcz krzesła, ale na przekór temu czynił wielki wysiłek, by zachować spokój. - Ja się znam na robieniu wina, don Miguelu. Praktycznie urodziłem się w bodedze. Samym nosem mogę rozpoznać, które wino jest dobre, a które złe.

- Tak. O tym właśnie myślałem. Ale jakież byłby to dla ciebie interes, gdybym jedynie zaoferował ci zatrudnienie, Feliksie? To nie jest sposób, by spłacić dług honorowy. - Uderzył w skrzynię ze złotem. - A to nie jest też zwykły tysiąc dukatów.

Don Miguel pochylił się do przodu, a jego głos zniżył się do szeptu.

- Nie powiedziałem ci jeszcze najlepszej części. Mam kontrakt na wysłanie za granicę każdej ilości tego wina, jaka zostanie zrobiona. Nie do naszych kolonii. Do... hm, gdzie indziej. Jest pewien wyspiarski lud, który ma bzika na jego punkcie. Mówią na nie „sack”.

Feliksowi oczy wyszły na wierzch. - Anglia!

- Cśś... Nie tak głośno.

Feliks posłusznie zniżył głos. - Prowadzimy z nimi wojnę - wydusił ochryłym szeptem. - Jak pan może...

Miguel uniósł rękę. - Nie pytaj mnie o to. Wystarczy powiedzieć, że można to zrobić. Handel trwa niezależnie od tego, co robią królowie i królowe.

Feliks potrząsnął głową. - Tylko Mendozowie mogliby zrobić coś takiego. Nie dziwota, że jesteście tacy bogaci, don Miguelu.

- To prawda - zgodził się starszy mężczyzna. - Pieniądze robią pieniądze. To życiowa zasada. Nigdy jej nie zapomnij. A to przywodzi mnie do sedna tej rozmowy. Czuję się zobowiązany zaoferować ci szansę pomnożenia twego tysiąca dukatów. Feliksie, zechciałbyś

wziąć udział w tym przedsięwzięciu? Jeśli tak, uznamy, że ta skrzynia złota i roczna praca w bodedze wystarczy, byś kupił sobie jedną dziesiątą udziałów.

Feliks już miał na końcu języka natychmiastowe „tak”. Ledwie mógł usiedzieć spokojnie z podniecenia. Być partnerem Mendozów to gwarancja bogactwa i pozycji. Do tej pory żaden Ruez nie był tak bliski chwały. A jednak Feliks się zawahał. - Może jedna dziesiąta nie wystarczy, don Miguelu. Mam rodzinę, czworo dzieci i następne w drodze. Może dwie dziesiąte? - Jego głos ucichł na koniec. Już żałował swego zuchwalstwa.

Miguel Antonio zastygł i udał głęboki namysł. - Dobrze - powiedział w końcu. - Dobrze. Zgadzam się.

Uścisnęli sobie dłonie na znak porozumienia.

- Dwadzieścia procent - powiedział później Ramonowi. - Byłem prawie przygotowany na to, żeby mu dać pięćdziesiąt. A teraz pomóż mi zanieść te dukaty.

Historia, którą don Miguel opowiedział Feliksowi, była prawdziwa niemal w całości, z wyjątkiem jednego szczegółu. Kupił winnicę i bodegę kilka miesięcy wcześniej. Ale aż do wczoraj nie był zdecydowany na podjęcie próby przewożenia wina z Jerezu do Anglii. Było to możliwe, co prawda, ale ze względu na stan stosunków między Filipem Hiszpańskim a Elżbietą Angielską bardzo trudne i kosztowne. Tylko konieczność wyprawienia Ramona z kraju podsunęła mu ten pomysł i zmusiła do podjęcia ryzyka.

A to, że uniknął zwracania Feliksowi Ruezowi całego swego złota w gotówce, było premią. Może więc losy rodu znowu się odwrócą. W Bogu nadzieja, że tak się stanie i że dobry los obejmie też Ramona. Będzie tego potrzebował.

Kandydat na żyda opuścił dom swego ojca tydzień później. Pierwszy etap jego podróży kończył się w Amsterdamie w Niderlandach i był to etap niełatwy, choć nie tak niebezpieczny jak drugi. Niderlandy były terytorium hiszpańskim, ale herezja protestancka rozszerzała się tam w znacznym stopniu i pomimo srogich działań inkwizycji nie sposób było ją stłumić. Podróżując w swoim odzieniu dominikańskiego nowicjusza, Ramon spotkał się z kurtuazją ze strony władz i gościnnością ze strony ludzi. Był Mendozą, rządził.

Trudna część wyprawy zaczęła się w mieście nad Zuiderzee. Ramon miał znaleźć mężczyznę, którego znał jego ojciec. - On zaprzeczy, że mnie zna, i tak być powinno - wyjaśnił Miguel - ale między nami mówiąc, to żyd, chociaż ochrzczony.

Ponieważ ten marran miał dług wobec rodziny, Miguel Antonio był pewien, że przynajmniej nie odmówi współpracy. Reszta zależała od syna. Tak też się stało. Ramon spędził miesiąc pod dachem Holendra, a kiedy minął ten czas, obaj doskonale się rozumieli. Cel został osiągnięty. Zorganizowano przeprawę do Anglii, ale długą i okrężną drogą, a szeptem podano nazwiska osób, które należało odnaleźć w Londynie.

Anglia, do której tak niecierpliwie zdązał Ramon Mendoza, była nie najlepszym wyborem spośród wszystkich możliwych. Oczywiście była piękna, kwitnąca, żyła sztuką, ideałami i wielkimi planami na przyszłość. Pod Elżbietą Tudor wyspiarskie królestwo zaznało stabilności; niemniej jednak poza jego granicami rozwinął się konflikt z Hiszpanią i Francją, a w kraju dochodzili do głosu religijni ortodoksi.

Teraz, za panowania Elżbiety, córki Anny Boleyn i Henryka VIII, rozdział z Rzymem był już ostateczny, zniesiono mszę, a rytuał anglikański obowiązywał w całym kraju.

Jeśli zaś chodzi o żydów, oficjalnie nie było nikogo takiego w żadnej posiadłości angielskiej korony. To król Edward I Plantagenet rozwiązał problem żydowski w swojej części świata. Wygnał ich z królestwa w roku 1290.

Choć Anglia zawsze energiczniej niż jakikolwiek inny kraj europejski realizowała papieskie sankcje wobec ludzi starej religii, banicji nie wprowadzano z zapalem, stąd też na wyspie w ostatnim ćwierćwieczu XVI stulecia mieszkali żydzi. Wspólnota Sefardyjczyków osiadła w Londynie po wygnaniu z Półwyspu Iberyjskiego. Praktykowali swoją religię w skrajnej skrytości i podawali się za protestantów uciekających przed inkwizytorami. Anglicy byli świadomi tego kamuflażu, ale tolerowali cudzoziemców, ponieważ ci podtrzymywali handel z Hiszpanią i Portugalią. Wojna, na co zwracał uwagę don Miguel, nie mogła kolidować z interesami.

Do roku 1588, kiedy to Elżbieta powiedziała swoim wojskom na Tilbury: „Wiem, że mam ciało bezsilnej i słabej kobiety, ale serce i żołądek mam króla...” i kiedy Anglia radowała się klęską hiszpańskiej

Armady, wszystko dokonywało się zgodnie z zamysłem don Miguela. Ramon, kiedyś dominikański nowicjusz, był w sekrecie żydem Abrahamem - a otwarcie Raymondem Mendozą, protestantem. Miał żonę i troje dzieci, kwitnącą firmę importującą wino z Jerezu i dom na Creechurch Lane w East Endzie w Londynie, rzut kamieniem od Tower.

Dzięki wysiłkom jego i don Miguela - a także umiejętnościom winiarskim Feliksa Rueza - ród Mendozów na fali sherry wydostał się z kryzysu finansowego.

- Fascynujące, tak jak mówiłeś, ojcze. - Robert położył oprawioną w skórę książkę na biurku Beniamina.

- Też tak uważam - spokojnie powiedział starszy mężczyzna.

- Myślę, że jest to dokument jak najbardziej godzien uwagi. Robert obserwował ojca. Był wspaniałym człowiekiem. Życzliwy, roztropny w interesach, oddany żonie i dzieciom, nie był kimś, po kim można by się spodziewać tworzenia zawiłych projektów. Niemniej jednak Robert podejrzewał, że teraz ojcem kierują jakieś ukryte pobudki. Ta myśl od wielu godzin nie dawała mu spokoju i w końcu postanowił o to zapytać. - Dlaczego mi to dałeś?

Beniamin przechylił się, aby schować zapiski do szuflady. Kiedy mówił, Robert nie mógł widzieć jego twarzy. - Z tego samego powodu, dla którego wysłałem cię do Hiszpanii.

- Myślałem, że to dlatego, że zainwestowałeś tak wielką sumę w sprawę Mesty.

- Och, to po części. Dobrze się złożyło, że mogłeś się tym zająć.

- Zamknął szufladę. - Ale gdyby nie było Mesty, znalazłbym inny pretekst.

- Pretekst do czego? Do diabła, ojcze, dlaczego mówisz zagadkami?

- Uspokój się, chłopcze. I nie bądź zuchwały. - Raz jeszcze sprawdził szufladę, w której spoczęła książka, potem zadowolony, że jest bezpieczna, usiadł. - Teraz posłuchaj mnie. Twój brat Liam jest moim najstarszym synem. Kiedy umrę, przejmie interesy Mendozów.

- Wiem o tym. Zawsze wiedziałem.

- Nie przerywaj mi. Liam odziedziczy to, co posiadamy i czym zarządzamy tu, w Anglii. Normalną rzeczą koleją pracowałbyś pod jego zwierzchnictwem. Liam będzie, jak by ci to wyłożyć... księciem

korony. I dobrze. Jest kompetentny i uczciwy. Ale ty, Robercie, masz dużo większą sprawę. Ciebie życzę sobie widzieć jako króla.

Robert wpatrzył się w ojca, po części rozumiejąc, co ten ma na myśli, a po części nie przyjmując tego do wiadomości. Potrząsnął głową.

Beniamin pochylił się, by odeprzeć tę niewypowiedzianą odmowę.

- Teraz znasz tę historię. Wiesz, że nasze żądanie jest w pełni uzasadnione, że w prostej linii jesteśmy potomkami tych samych przodków. Ramon Mendoza był synem Miguela Antonia. Ramon był moim pradziadkiem dziewięć pokoleń wstecz, jesteś jego dziesiątym wnukiem. Ale to nie jest kwestia, którą można by ustalić przed sądem. To kwestia moralna. I nasze żądanie moralnie jest bez zarzutu. Może nie jesteśmy religijni, ale dochowaliśmy wiary. W jakiś sposób pozostajemy żydami dla wszystkich, którzy nie chodzą do synagogi. Przynajmniej rzezamy swoich synów i nie podjęliśmy się żadnych nowych zobowiązań, tak jak oni w Kordobie.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i wszedł służący z tacą.

- Ach, kawa - powiedział Beniamin. - Dziękuję. - Gestem odprawił służącego i sam ze srebrnego dzbanka nalał kawy do filiżanek.

- Herbata jest świetna po południu, ale rano człowiek potrzebuje kawy, by krew mu zaczęła płynąć w żyłach.

Robert wziął duży łyk, zyskując czas na uporządkowanie myśli.

- W Hiszpanii wciąż działa Inkwizycja.

- To prawda, ale jest już bezzębna, jak sam doniosłeś. I czasy się zmieniają, chłopcze. To jest w powietrzu, którym oddychamy. To cuchnące powietrze Londynu, na które zawsze narzeka twoja matka, rozszerzy się na Madryt, a potem na Kordobę, Robercie. Tak zapisano na ścianie. Może nadejdą trudne czasy, trzeba być jak najbardziej ostrożnym, ale nigdy nie powtórzy się tak doskonała okazja. Domingo jest umierający. Wszystkie doniesienia, które otrzymuję, potwierdzają tę informację. Nie doczeka następnego roku. A Pablo Luis jest zgorzkniałym kaleką, który nie interesuje się niczym poza zarzynaniem niewinnych byków.

- Czy Domingo wie o twoich zamiarach? Zgadza się?

Beniamin uśmiechnął się. - Oczywiście, że nie. Domingo uwierzył, że kiedy nadejdzie czas, jego zdeformowany syn sprosta

wyzwaniu, jak to zawsze czynili Mendozowie. Poza tym on nie chce przyjąć do wiadomości, że wkrótce umrze. Myśli, że ma czas uporządkować sprawy, aby Pablo przejął je w tym stanie.

Oto był człowiek, któremu Domingo zarzucił, że jest ostrożny do przesady. A Robert zgodził się z tą opinią. - Ojcze, ja rozumiem, co naprawdę masz na myśli, prawda?

- Jestem pewien, że tak, Robercie. Miałem to w głowie, od kiedy stało się oczywiste, że Domingo nigdy nie będzie miał zdrowego syna. To dlatego dokładałem takich starań, żebyś nauczył się hiszpańskiego. Ty będziesz następnym hidalgim. Chcę, żebyś pojechał do Kordoby i rządził rodem Mendozów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Zaśpiewaj, mała Cyganko, a może ci głupcy przestaną tak wrzeszczeć.

Sofia nie mogła zobaczyć mężczyzny, który do niej zawołał. W kawiarni na Calle de los Ciegos, ulicy Ślepców, było ciemno od dymu, a opary rozlanego wina zagęszczały powietrze. Dziewczyna przeciskała się przez tłum, a kiedy mijała stół toreadorów, wyróżniających się spośród reszty gości długimi warkoczykami zwisającymi na plecy, przycisnęła do ciała falbaniaste spódnice. Mężczyźni byli zajęci gorącą dyskusją o bykach z ostatniej niedzieli, ale jeden z nich przerwał akurat na tak długo, by sięgnąć i uszczypnąć Sofię w pośladek. - Dobry wieczór, Gitanito.

Sofia odsunęła się od niego, ale uśmiechnęła się. Każdy wołał do niej Gitanita, mała Cyganka, i wszyscy mężczyźni próbowali ją zaczepić. Była do tego przyzwyczajona.

W ciągu czternastu miesięcy minionych od chwili, gdy opuściła Trianę, nauczyła się wielu rzeczy, a większość z nich była nieprzyjemna. Była kobietą, której nie chronił ojciec ani mąż, a więc wydawała się zdobyczą należną każdemu samcowi w Hiszpanii. Gorzej nawet, była Cyganką, i to biedną. Nieważne, że mogła śpiewać wszędzie, gdzie zebrali się ludzie, chętnie witano ją za każdym razem; nieważne, że ci, którzy słuchali, zasypywali ją deszczem monet; ledwie wystarczało jej na przeżycie.

Zawsze musiała płacić gospodarzom część z tego, co dawali jej ludzie, ale w wielkich miastach, takich jak Walencja, Toledo czy Madryt, zabierano jej niemal wszystkie zarobki w zamian za pozwolenie na zabawianie gości. Jeśli śpiewała na otwartym powietrzu, na placach czy szerokich bulwarach, zaczepiał ją król żebraków, głowa cechu żebraczego, a jemu musiała oddać jeszcze większy udział. Niemniej jednak czuła się bezpiecznie w północnych stolicach, w tych twierdzach chciwości, z dala od Andaluzji i Cyganów, którzy ją znali.

W tej madryckiej kawiarni śpiewała od tygodnia. Nie umawiała się konkretnie na występy, ale ludzie przyjeżdżali tu specjalnie dla niej, pojawiło się nawet coś w rodzaju sceny - gospodarz sprzątał na jednym z końców baru i ustawiał na nim dziewczynę. Teraz właśnie miał to zrobić, ale zatrzymał się z dłońmi na jej kibici. - Jest tutaj mężczyzna, o którym ci mówiłem, Gitanito.

- Gdzie? - Sofia wyciągnęła szyję, by spojrzeć ponad tłumem.
- Tam, po lewej. Ten bez kapelusza.
- Jest stary... I dlaczego siedzi z nim aż trzech sutenerów?
- Pewnie z tego samego powodu, dla którego każdy mężczyzna rozmawia z sutenerami; ponieważ dostarczają mu kobiet. Ale on je też maluje.

- No nie wiem... - potrząsnęła głową z powątpiewaniem.
- Nie bądź głupia. Przynajmniej z nim porozmawiaj. Ale nie teraz, później. Teraz musisz śpiewać. - Postawił ją na barze. Sofia poprawiła falbany swojej nowej spódnicy. Zielona, którą dała jej Fanta, znosiła się już całkiem; ta była fioletowa, wykończona czarną koronką. Sprawiała ją sobie dzięki temu, że nie jadła prawie nic przez tydzień, tylko tym kosztem mogła pozwolić sobie na perkal. Kupiła też czarną bluzkę i ozdobiła ją jeszcze większą ilością koronki. Chciała jeszcze czarną mantylkę, ale nie wystarczyło jej pieniędzy. Zamiast tego wpinała kwiaty we włosy. Wszystkie kwiaciarki ją znały i dostawała specjalny rabat. Dziś wieczorem kok ciasno zawinięty na karku zdobiły różowe róże.

- Cisza, głupki! - krzyknął gospodarz. - Cisza, żeby Gitanita mogła śpiewać. - Gwar powoli zamierał, począwszy od baru, i tak stopniowo przez całe pomieszczenie.

Sofia wciąż śpiewała pieśni Południa i flamenco, ale jedno się zmieniło - teraz czasami używała kastanietów. Wśród Cyganów drewniane kołatki trzymane między kciukiem a dłonią należały do sztuki tańca. Sofia używała ich, ponieważ ludzie uwielbiali ich ostry, klekoczący dźwięk i ponieważ pewien człowiek w Walencji dał jej parę takich, wyrzeźbionych z kasztanowca. Teraz uniosła ręce nad głową i zaczęła stukać kastanietami. Dopiero kiedy stał się to jedyny dźwięk zakłócający ciszę, wypełniła kawiarnię swoimi pieśniami o miłości i zemście, o radości i bólu życia.

- Malarz nie słyszy cię dobrze - powiedział jej później gospodarz.
- Ale mówi, że czuje rytm twojej muzyki. Mówi, że przenika go na wskroś.

- Jest głuchy?
- Tak. Parę lat temu miał jakąś cholerną chorobę. Ale ciągle pieprzy. - Bez mrugnięcia okiem mówił do niej językiem ulicy. To też była cena, którą musiała zapłacić za brak męskiej opieki.

- I bez wątpienia tego właśnie chce ode mnie. A ja nie chcę. No to dlaczego miałabym zawracać sobie głowę spotkaniem z nim?

- Dziewica Gitanita. - Gospodarz uszczypnął ją w policzek. - Wszyscy mówią, że trzymasz nogi ciasno skrzyżowane, moja mała, i może to prawda. Ale malarz nie tego od ciebie chce, ma bez liku kobiet, które grzeją mu łóżko. Chce cię tylko namalować.

- A za to zapłaci?

- Tak, tak mówi.

Chwilę jeszcze się wahała, potem kiwnęła głową.

Gospodarz poprowadził ją przez tłum do stołu malarza. Wciąż siedziało z nim trzech sutenerów, ale odsunęli się i zrobili miejsce dla Sofii.

- Don Francisco - powiedział gospodarz - oto ona, jak obiecałem. - I zwrócił się do Sofii: - Oto największy malarz w Hiszpanii, Gitanito, don Francisco de Goya y Lucientes. Mój najznakomitszy klient. Bacz, by go nie urazić.

- Mała Cyganka - powiedział Goya. - To coś, co uchodzi za imię. Masz inne?

- Sofia. - Wiedziała, że powinna mówić głośniej, ale jej gardło było suche od śpiewania i dymu męskich cygar. Malarz przysunął się bliżej, nie słyszał jej. - Sofia - krzyknęła.

- Ach, rozumiem. Dobre imię. Mówiono mi, że jesteś z Sewilli, Sofio. Czy w Sewilli jest dużo niebieskookich Cyganów?

Potrząsnęła głową.

- Nie, tak myślałem. Ale twoje oczy mają kolor, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Chciałbym spróbować przenieść ten kolor na płótno. Będiesz dla mnie pozować?

Sofia zawahała się. - Nie jestem pewna, don Francisco. To nie z braku szacunku, ale nigdy nie robiłam czegoś takiego. Nie wiedziałabym jak.

- Tu nie ma nic, co trzeba by wiedzieć. Będiesz po prostu siedzieć, a ja będę malować. Chyba tylko głowę i ramiona. Możesz zostać w ubraniu. Trzy reale za godzinę.

- Przez ile godzin? - Propozycja była kusząca. Może to będą pieniądze, które uda się nie tylko zarobić, lecz także zatrzymać. Gospodarz powiedział jej już, że nie będzie się domagał udziału.

- Cztery, może pięć - odpowiedział malarz na jej pytanie. - Nie potrafię dokładnie powiedzieć, dopóki nie skończę.

Sofia zgodziła się po krótkim wahaniu. Jeśli zajmie mu to odpowiednio dużo czasu, może będzie mogła kupić czarną mantylkę.

- To dobrze - rzekł Goya. - Bardzo dobrze. Cieszę się. Przyjdź jutro. - Podał jej adres pracowni. - Proszę, zapisałem go. Jeśli się zgubisz, pokaż po prostu komuś tę kartkę. Księdzu czy komuś, kto umie czytać.

- Nie ma takiej potrzeby, don Francisco. Ja umiem czytać. - Sofia wsunęła kartkę między piersi.

Nie usłyszał, zaczął już rozmawiać z mężczyzną siedzącym po jego lewej stronie. Usłyszał ją jednak sutener siedzący obok i przyjrzał się jej z nagłym zainteresowaniem. Był ubrany niezwykle barwnie, jak przystało na mężczyznę tego fachu, w przydługą pelerynę i ogromne sombrero ozdobione pawimi piórami. Włosy pod kapeluszem były ciemnokasztanowe. Przez chwilę Sofia też mu się przyglądała, potem się odwróciła. Nadszedł czas, by znowu zaśpiewała.

- Seniorita. - Kasztanowowłosy mężczyzna wystąpił z cienia platana i zastąpił Sofii drogę.

Szła powoli, obserwując nosiwodę i jego osła. Zwierzę było obciążone pełnymi wody beczkami. Mówiono jej, że jest tu siedemset źródeł dostarczających wodę z okolicznych wzgórz do miasta. Liczba fantastyczna, ale może prawdziwa. Jedno Sofia wiedziała na pewno - widziała na własne oczy - w Madrycie żadna kobieta nie napełniała i nie nosiła swojego kubelka. Bogaci nie wysyłali nawet służących do źródeł. Ta praca była przeznaczona dla oficjalnych pracowników rządu i tylko oni dostarczali wodę do domów w mieście. Inni ludzie zbierali miejskie śmieci, a jeszcze inni sprząтали gnój z ulic.

Słyszała też, że w Madrycie żyje niemal dwieście tysięcy ludzi. Zanim tu przyjechała, nie wierzyła, że dwieście tysięcy żyje na całym świecie. Nie dziwota, że wszystko było zorganizowane, nawet sutenerzy i ich kobiety. Sofia spojrzała na kasztanowowłosego stręczyciela, ale nie pozdrowiła go.

- Seniorita - powtórzył. - Chciałbym z panią porozmawiać.

- Ale ja nie chcę z panem rozmawiać, senior. - Spróbowała go ominąć.

Majo przesunął się, by uniemożliwić jej przejście. - Dlaczego nie? Wyszłaś właśnie od malarza, prawda? Jak było? Czy mistrz namalował taki twój portret, że cała Hiszpania będzie o tym mówić?

- Cała Hiszpania mówi o wszystkim, co robi Goya. Jeśli chodzi o mój portret, to nie wiem. Nie jest jeszcze skończony.

- A ty byłaś w jego pracowni przez cztery godziny. Wiem, patrzyłem, jak tam idziesz. To dwanaście reali. Zapłacił ci już?

Sofia potrząsnęła głową.

- Kłamiesz - rzekł mężczyzna z szerokim uśmiechem. - Wiem, że płaci modelkom po każdej sesji.

Sofia schowała za plecami rękę, w której ścisnęła pieniądze. - Nie, nie. Nie zapłacił mi, przysięgam.

- Nie martw się. Nie zamierzam domagać się części twojego zarobku. Mam piękną kurtyzanę, utrzymuje mnie na niezłym poziomie.

Uwierzyła mu. Nie chciał jej pieniędzy. To dodało jej śmiałości.

- Twoja kurtyzana jest głupia. Wszystkie kobiety, które pokładają się z mężczyznami, a potem oddają pieniądze sutenerom, są głupie. Co jej z tego przychodzi?

Mężczyzna roześmiał się. - Nie powiem ci, co jej z tego przychodzi, ale pokażę ci, jeśli chcesz. - Sofia znów spróbowała precyzyjnie się obok niego. Wyciągnął ramię, aby ją zatrzymać.

- Czekaj, nie dlatego chcę z tobą porozmawiać. Mam propozycję, ale nie mnie ona dotyczy, a nic nie będzie kosztować, jeśli mnie wysłuchasz. Chodź, wypijemy kielich wina i pogadamy o tym.

Poszła, bo to było łatwiejsze niż spieranie się z nim, poza tym było piękne popołudnie, a ona nie miała co robić aż do dziesiątej, kiedy to pójdzie do kawiarni na Calle de los Ciegos i zaśpiewa, i jeszcze dlatego, że perspektywa powrotu do samotnej nory, w której spała, była przytłaczająca.

Wziął ją za ramię i poprowadził za nowym muzeum, które budowano na ławkach Paseo del Prado, do miejsca, gdzie podawano mocne, owocowe czerwone wino z regionu Rioja. Ciągnięto je z wielkich dębowych beczek, stojących rzędem pod jedną ścianą, i noszono w cynowych dzbanach do ławek, na których siedzieli klienci. W pomieszczeniu roiło się od sutenerów. Łatwo było ich rozpoznać po sposobie ubierania, jakby byli dumni z tego, kim są. Były tam też inne kobiety, ładne, noszące najmodniejsze ubrania; to bez wątpienia kurtyzany, które utrzymywały tych pasożytów. - Nie podoba mi się tu - powiedziała Sofia do mężczyzny, który przedstawił się jako Pedro. - Mów szybko, co masz do powiedzenia.

- Wypijemy razem kolejkę i wyjaśnię ci wszystko, a potem możesz robić, co chcesz. - Pedro zawołał chłopca błakającego się wśród tłumu. Ten przyniósł swój dzbanek, napełnił ich kubki i napisał cyfrę na ścianie nad ich głowami. - Saludos - rzekł Pedro, wznosząc kubek. - Jesteś piękna, Gitanito. Mam nadzieję, że mistrz właściwie odda to w swoim obrazie.

Nie odpowiedziała. Nie po to ją tu przyprowadził, żeby jej mówić, że jest piękna, i wiedział też już, że nie jest zainteresowana rolą czyjejkolwiek kurtyzany. Wolałaby być zwyczajną nierządnicą, gdyby już musiała. Kurwą, mówiąc bez ogródek, która przynajmniej zatrzymuje dla siebie swoje zarobki. Sofia miała już dosyć ciągłego oddawania swoich pieniędzy jakiemuś mężczyźnie dla powodów, które sobie obmyślił. Dotychczas utrzymywała się ze sprzedawania swojego głosu. Gdyby kiedykolwiek musiała sprzedawać swoje ciało, zrobiłaby to na swoich warunkach.

- Mam przyjaciela - rzekł w końcu Pedro - równie ważnego i wpływowego na swój sposób jak Goya.

- Zdajesz się mieć wielu wpływowych przyjaciół. Zastanawiam się, co oni w tobie widzą?

Mężczyzna nie zdzierzył. - A ty masz język starej wiedźmy. Zaczynam myśleć, że popełniłem błąd.

- Ano zapewne. - Chciała wstać, ale Pedro chwycił jej ramię i posadził ją z powrotem na ławce.

- Siadaj. I zawrzyj usta na kilka minut. Nie sądzę, żebym cię lubił, Gitanito, i wiem, że ty nie lubisz mnie. Ale mam polecenie do wykonania i myślę, że jesteś dziewczyną, której szukam. Kiedy wczoraj wieczorem powiedziałaś, że umiesz czytać, kłamałaś?

- Nie, nie kłamałam.

- Gdzie się nauczyłaś?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Nauczyła się czytać i liczyć gdzieś w przeszłości, z której nic nie pamiętała. - To nie twoja sprawa.

Pedro wzruszył ramionami. - Czy kiedykolwiek czytałaś książkę?

W końcu wzbudził jej zainteresowanie. Wydawało się jej, że przez czternaście minionych miesięcy słyszała każde pytanie, które mężczyzna może zadać. Wszystkie dotyczyły czegoś, czego chcieli, a to jedno było inne. - Nie - odpowiedziała z wahaniem. - Nie prawdziwą książkę. Gdzie miałabym widzieć książkę?

- Nie wiem, ale mówiłaś, że umiesz czytać.

- Umiem. A ty? - Przytaknął. - Ten szyld, tam - powiedziała - powiem ci, co tam napisano. - Odczytała listę różnych bodeg, z których pochodziły wina, i ceny tych win.

- Zdumiewające - powiedział Pedro, kiedy skończyła. - Nigdy nie spotkałem kobiety, która umiałaby czytać. Przynajmniej żadnej, która nie byłaby bogata i utytułowana, i nie byłaby żoną lub córką arystokratów.

- Zakładam, że poruszasz się głównie wśród żon i córek arystokratów.

Tym razem Pedro zignorował docinek. - Ten mężczyzna, o którym ci mówiłem, mój wpływowy przyjaciel. Prosił, żebym poszukał mu towarzyszki. - Sofia znów zabrała się do wstawania. - Niech cię diabli, siadaj. To nie to, co myślisz. Chce kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Ma żonę, ale ona jest tłusta i brzydka i nudzi go. Chce kogoś, kto ładnie wygląda i kto jest w stanie porozmawiać z nim o książkach i... - przerwał dla większego efektu - i o muzyce. Mówił, że może ktoś, kto umiałby grać na mandolinie albo na gitarze, ale kiedy cię usłyszał...

- I tyle? - Sofia była pewna, że on łże. - Chce tylko, żebym rozmawiała o książkach i muzyce? I co on za to da?

- Wszystko - odparł prosto Pedro.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Da swojej towarzyszce dom, w którym będzie żyć... faktycznie już go posiada, takie małe mieszkanie w pobliżu Bramy Toledańskiej, i będzie jej kupował jedzenie i odzież. Wszystko, jako rzekłem.

- A co ona da tobie?

- Nic. Ja mam z nim umowę i on mi zapłaci. To nie będzie cię obchodzić.

- Dlaczego ja? Dlaczego nie jakaś wysoko urodzona dama?

- Wysoko urodzone damy zazwyczaj nie godzą się na takie posady.

- Niektóre się godzą - upierała się Sofia.

- Wiem, ale on chce kogoś, kto nie ma nic wspólnego z jego światem, kto jest całkowicie inny. No, co na to powiesz?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie ufam ci. Myślę, że kłamiesz, i nie wierzę, że ten układ jest tak niewinny, jak starasz się go przedstawić. Jestem śpiewaczką, a nie dziwką.

Pedro wzruszył ramionami. - Jak sobie chcesz. To szkoda, ponieważ on czeka, żeby z tobą porozmawiać. To ten mężczyzna tam.

Nie mogła pohamować ciekawości. Spojrzała w kierunku, który on wskazał. Tylko jeden mężczyzna w kącie nie był ubrany jak sutener.

Nosił brązowy surdut, kremową kamizelkę i bryczesy. Nie był młodzieńcem, włosy miał posiwiałe. Patrzył na nią uważnie. - To on? - zapytała, odwracając się do Pedra.

- Tak. Wyjdź ze mną. On pójdzie za nami. Wszystko to omówiliśmy wcześniej. Możecie porozmawiać i tylko tyle. Potem zdecydujesz, czy chcesz pójść na ten układ. Możesz wygrać wszystko, Gitanito, a nie masz nic do stracenia.

Nigdy nie wróciła do Goi, żeby zakończyć pozowanie do portretu. Po prostu zapomniała o tym. Gdy Pedro przedstawił ją Javierowi, wszystko się zmieniło.

W pierwszym tygodniu maja 1801 roku Sofia wprowadziła się do domu przy Puerta de Toledo. Zarówno Pedro, jak i Javier mówili o nim: małe mieszkanie; Sofii wydawało się, że to pałac. Było to pięć pokoi, patio, w którym rosła mimoza ciężka od miękkich, żółtych kwiatów. Zapach mimozy wypełniał pokoje, a kiedy Sofia wyszła przed frontowe drzwi, mogła zobaczyć pałac królewski.

- Podoba ci się? - zapytał Javier.

- Jest wspaniały - Sofia otoczyła go ramionami. - Ty jesteś wspaniały, Javier. - Wciąż nie rozumiała, dlaczego to ją wybrał, dlaczego dał jej tak wiele w zamian za tak mało. Przestała już jednak się zamartwiać, a zaczęła błogosławić swój dobry los. Może to właśnie miała na myśli Fanta, kiedy mówiła, że karty obiecują Sofii cudowną przyszłość.

- Mam tylko nadzieję, że nie będziesz się nudzić, ponieważ nie mogę odwiedzać cię zbyt często. - Javier powiedział to już jakiś tuzin razy.

- Nie będę, obiecuję. Będę się czuć jak księżniczka.

- Mam nadzieję. Dajesz mi radość, Sofio. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Teraz siądźmy tu i możesz mi powiedzieć, co sądzisz o książce, którą dałem ci tydzień temu.

- Bardzo mi się podobała. Najbardziej Don Kichot, ale wszyscy ludzie w tej historii byli wspaniali.

- Postacie - poprawił ją delikatnie Javier. - Tak właśnie nazywają się ludzie w opowieści. I czy wszyscy wydali ci się wspaniali? Czy nie sądzisz, że to, iż niektórzy z nich naigrawali się z Don Kichota, było okrutne?

Sofia zastanawiała się chwilę. - Nie przyszło mi to na myśl, ale tak, masz słuszość... - Spędzili godzinę na omawianiu powieści, potem ona śpiewała mu przez chwilę. Najbardziej lubił spokojne dźwięki solei. Nigdy nie śpiewała Javierowi flamenco.

- Urocze - wymruczał, kiedy przebrzmiały ostatnie nuty.

- Urocze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sofia spojrzała przestraszona. - Proszę - powiedział Javier, a potem zwrócił się do Sofii: - Nie bój się. To tylko służąca.

Służąca! Nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy, że mogłaby mieć służącą.

- Moja droga, to jest Juana. Będzie o ciebie dbać.

Sofia zobaczyła kobietę równie starą jak Fanta, z równie ponurą twarzą. Wyglądała bardziej na strażnika niż na służącą. Na kogoś, kto miałby ją szpiegować i mówić Javierowi, co robiła podczas jego nieobecności. - Nie potrzebuję służącej.

- Owszem, potrzebujesz. Poza tym Juana od lat jest ze mną. Jest wspaniałą kucharką. Będziesz po prostu cieszyć się jej jedzeniem.

Sofia zwróciła się do służącej: - Potrafisz zrobić gulasz z jeża? Kobieta pobladła. - Nie gotuję takiego paskudztwa.

- Nie, tak myślałam. Javier, to nie ma sensu. Jestem Cyganką i mam cygańskie zwyczaje. Wiedziałeś o tym, kiedy mnie tu sprowadziłeś.

- Kocham twoje zwyczaje, moja niebieskooka Cyganko - rzekł z uśmiechem. - Jeśli jednak masz tu zostać, to jest Juana. Co więc wybierasz?

Rozejrzała się po pokoju i pomyślała o schronieniu za stajnią, które do tej pory dostarczało jej jedynej osłony od wiatru, deszczu i chłodu, a kosztowało pięć reali tygodniowo.

- Nauczę cię gotować jeże - powiedziała do Juany.

Służąca nigdy nie nauczyła się przygotowywać cygańskich specjałów, ale nauczyła Sofię innych rzeczy. - Przygotowałam pani

kąpiel, seniorita - powiedziała dziewczynie tego pierwszego wieczoru, po odejściu Javiera.

- O czym mówisz?

- Pani kąpiel, seniorita. Jest gotowa w kuchni przy piecu. Sofia podążyła za Juaną bardziej powodowana ciekawością niż czymkolwiek innym. W kuchni było dużo pary. - Co tam masz?

- Gorącą wodę, donia Sofia. I zioła, żeby miło pachniało. Nikt nigdy nie nazywał jej donią Sofią, nawet Javier. Podeszła do balii. - To niewygodne tak się schylać - zaprotestowała, kiedy sięgnęła do wody, aby opłukać twarz. - I jest za gorąca.

- Nie tak - powiedziała spokojnie Juana. - Niech pani zdejmie ubranie, ja pokażę.

Sofia zastanowiła się przez chwilę. - Czy bogate kobiety robią to, co mówisz, że ja mam zrobić?

- Tak, zwłaszcza młode i piękne. Branie kąpeli staje się bardzo modne.

Bez żadnego już słowa Sofia zaczęła się rozbierać. Przypomniła Javierowi, że jest Cyganką, ponieważ w tamtej chwili było tak jej dogodnie. Zdecydowała się jednak nauczyć zwyczajów obcych kobiet. To dlatego zawarła tę umowę z Javierem. Jej życie Cyganki było pełne niebezpieczeństw, musiała walczyć albo głodować; jej życie obcej było bezpieczne i wszystko, czego potrzebowała, pojawiała się jak cudowny podarek z nieba.

- Co teraz mam robić? - spytała, kiedy była już naga.

- Proszę wejść do kąpeli. Umyję panią.

W pierwszej chwili pomyślała, że jej skóra płonie. - Oparzyłam się!

- Nie, nie, seniorita. To tylko przez chwilę czuje się gorąco, potem jest dobrze. Proszę usiąść, zobaczy pani.

Sofia odchyliła się delikatnie i pozwoliła, by zanurzyło się całe jej ciało. Poczowała odprężenie i spokój. - Juana, myślę, że to może być bardzo dobry pomysł. Kapałaś się już kiedyś?

- Och tak, seniorita. Moja poprzednia pani nalegała, bym była bardzo czysta i przyjemnie pachniała.

Już chciała zapytać, kim była poprzednia pani Juany, ale służąca czerpała perfumowaną wodę z balii porcelanowym dzbanem i wylewała jej na głowę. Potem zaczęła nacierać włosy Sofii liśćmi

drzewa cytrynowego. Pachniało cudownie, dotykało cudownie. Wszystkie jej pytania zniknęły i ogarnął ją spokój.

- Jesteś teraz piękniejsza niż zwykle - powiedział Javier, kiedy przyszedł następnego dnia. - I słodko pachniesz.

- Wcześniej nie pachniałam tak ładnie, prawda? - spytała Sofia.

- Powiedzmy, że nie tak miło jak teraz. Teraz pachniesz jak dama.

- To dobrze. Tym właśnie chcę być.

- Będiesz - obiecywał Javier. - Nauczę cię, a Juana będzie nad tobą czuwać. Czy to uczyni cię szczęśliwą, Sofio?

- Bardzo szczęśliwą.

Tak się stało, i bycie szczęśliwą najwyraźniej było wszystkim, czego po niej oczekiwano. Kiedy przychodził Javier, rozmawiał z nią o tym, co kazał jej nazywać literaturą, a ona bawiła go smutnymi, słodkimi pieśniami. Potem razem spożywali posiłek przygotowany przez Juanę. Kiedy jedli, rozmawiali o rocznikach win i o tym, jak najlepiej gotować i podawać takie specjały jak bażant. Podsuwał jej też cierpliwie wskazówki, jak używać sztućców i serwetek, i uczył ją pić z kielicha, a nie z kubka.

Gdyby miała wybrać jedną rzecz, najznakomitszą w swoim nowym życiu, wskazałaby szkło. W jaskiniach Triany piła z cynowego kubka, w oberżach i kafejkach w kubkach zrobionych z ciemnobrązowej gliny, ale w domu utrzymanym przez Javiera były filiżanki z delikatnej porcelany i szkła w kolorze tęczy. Kiedy Sofia zobaczyła je po raz pierwszy, poczuła coś szczególnego, jakby szkło było częścią jakiegoś wspomnienia, fragmentem osoby, którą była, zanim została Cyganką. Nigdy nie mogła przytrzymać tego wrażenia, nigdy nie rozsunęła zasłony, która skrywała jej przeszłość, ale wciąż znajdowała radość w pucharach koloru szmaragdowego i indygo, które zdobiły stół w domu przy Puerta de Toledo.

Javier wydawał się uradowany uczeniem jej wszystkich tych rzeczy, których ona nigdy nie spodziewała się nauczyć, nigdy nawet nie wiedziała, że istnieją. Najwyraźniej taka radość wystarczała. Trzymał jej dłoń, kiedy byli razem, i całował na pożegnanie; prócz tego nie istniała między nimi żadna fizyczność. Czasami Sofia zastanawiała się, czy nie znając tych wszystkich rzeczy, umarłaby i poszła do nieba.

- Domingo nie żyje - oznajmił bez fanfar Beniamin Mendoza w grudniowy dzień 1801 roku.

Robert pomyślał o mężczyźnie, którego gościem był dwa lata wcześniej. - Kiedy to się stało? Jak?

- Umarł trzy miesiące temu, we wrześniu. Ta przeklęta blokada Napoleona opóźnia dostarczanie wieści z Hiszpanii, nie wspominając o naszych statkach z sherry. A jeśli chodzi o to jak, chyba spokojnie. W swoim łóżku. Serce przestało mu bić i pochowali go z całą katolicką pompą. Oficjalne wzmianki mówią o pogrążonej w żałobie wdowie. List z mojego nieoficjalnego źródła mówi, że zaatakowała jego kochankę na pogrzebie. Zrobiła z siebie widowisko.

- Przypuszczam, że Maria Ortega była godnym przeciwnikiem donii Carmen.

- Mówiłeś, że nigdy jej nie poznałeś.

- Żony? Nie. Poznałem kochankę, bądź co bądź kobietę wyglądającą na godną uwagi.

- Tak, to też mówiłeś. Będziesz miał do czynienia z nimi obiema, ale to nie powinno być zbyt trudne.

- Nie zmieniłeś więc swego zamysłu? - spytał Robert.

- Oczywiście, że nie. Zapomniałeś już wszystko, o czym rozmawialiśmy?

- Nie zapomniałem. Ale...

- Ale co? Robercie, jeśli nie masz na to dość odwagi, powiedz mi to teraz.

Nie odpowiedział od razu. Rozejrzał się po wygodnym, znajomym pokoju, pomyślał o tym, z iloma rzeczami i wspomnieniami łączy go to miejsce, pomyślał o wszystkich swoich przodkach. - Mam dość odwagi - przyznał w końcu. - Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego pragnę, dopóki mi o tym nie opowiedziałeś. Od tego czasu nie myślę prawie o niczym więcej. Myślę, że jestem opętany.

- Władza - rzekł Beniamin. - O to walczą i za to umierają mężczyźni.

- Jeszcze niedawno powiedziałbym, że za pieniądze, teraz myślę, że masz słuszość.

- Obaj mamy. - Beniamin podszedł do okna i przechylił się przez parapet. Niewiele zmieniło się w tym domu od XVI wieku. Był dwupiętrowy i w połowie odeskowany, a okna były małe i

przesłonięte ołowianymi słupkami. Pofalowane stare szkło zniekształcało obraz, ale Robert mógł zobaczyć Tower, symbol życia i śmierci należących do korony. - W naszych czasach władza to pieniądze. Kiedyś były to może inne rzeczy. Nie jestem pewien. Wiem jednak, że teraz rządzą bogaci, niezależnie od tego, o czym marzą we śnie koronowane głowy.

- Mówiłeś Liamowi? - spytał Robert.

- O śmierci Dominga? Nie, jeszcze nie.

- Miałem na myśli twoje plany.

- Nie, o tym też z nim nie rozmawiałem. - Benjamin spojrzął na zegar. Jego mosiężne wahadło kołysało się miarowo. - Powinien tu już być. Powiemy mu razem.

Liam Samuel Mendoza został nazwany Leo przez rabiego, który celebrował jego obrzezanie. Anglo - irlandzkie imię Liam zostało mu nadane na życzenie matki. Oba imiona znaczyły to samo - lew. I Liam tak właśnie wyglądał. Miał wielką grzywę piaskowych włosów i silny haczykowaty nos, ale niewiele więcej miał wspólnego z legendarną bestią. Był powolnym, pracowitym człowiekiem, godnym zaufania i zazwyczaj spokojnym. Do niedawna Robert mawiał, że Liam wdał się w ojca. Teraz nie miał pewności, czyją naturę jego brat odziedziczył. - A więc Domingo nie żyje - powtórzył Liam, kiedy ojciec przekazał mu wieści. Jakby musiał wyteńczyć siły, aby to zapamiętać.

- Tak. Od trzech miesięcy. Jako rzekłem. - Dziś Benjamin miał mniej cierpliwości niż zwykle dla swego najstarszego syna.

- No to teraz Pablo Luis jest głową rodu.

- Pablo jest hidalgiem - zgodził się Benjamin. - Ten tytuł prawnie na niego przechodzi. I domyślam się, iż wyobraża sobie, że jest głową Mendozów, jeśli w ogóle myśli o interesach. Ale nie jest.

Przez twarz Liama przemknął cień zaskoczenia. - Jeśli nie Pablo Luis, to kto?

- Twój brat Robert.

Liam spojrzął na Roberta, potem na Beniamina i znów na Roberta.

- Czy ustaliłeś to z Domingiem, kiedy byłeś w Hiszpanii?

- Niczego nie ustalałem - rzekł Robert. - To pomysł ojca. Liam raz jeszcze powiódł pytającym spojrzeniem po swoich rozmówcach. - Przykro mi, nie rozumiem.

- Na Boga, chłopcze! - wybuchł Beniamin. - Czegóż nie rozumiesz, przecież to logiczne! W Kordobie nie ma nikogo z rodziny, kto mógłby zostać hidalgiem. Jedyne dziecko Dominga jest kalekim maniakiem, który gania po całym kraju, nurzając się w byczej krwi. Ty musisz przejąć sprawy po mnie tutaj, w Anglii, więc Robert musi się zająć Hiszpanią, to oczywisty wybór, najlepszy z możliwych. Z tobą tu i Robertem w Hiszpanii ród Mendozów będzie prosperował jak jeszcze nigdy.

Ładnie zrobione, stary lisie - pomyślał Robert. Liam będzie się czuł raczej uhonorowany niż zlekceważony.

Miał słuszość. Po kilku minutach Liam entuzjastycznie omawiał plany na przyszłość.

- Zamierzamy to zrobić bez żadnych dramatów - powiedział Beniamin. - Robert po prostu wróci do Kordoby jak najszybciej i przejmie wodze. Pablo Luis bez wątpienia podporządkuje mu się. Myślę, że garbus będzie bardziej niż zadowolony, że ma kogoś, kto uwolni go od tego ciężaru.

- Traci przez swoją ciągłą nieobecność - rzekł spokojnie Robert.

- Najlepiej by było, gdyby współpracował. Tak byłoby najprościej.

- Prosto czy nie, to nieważne - odparł ojciec. - Musisz to zrobić i już. Ufam, że dorównujesz temu opętanemu idiocie. I znajdziesz pomoc tam, gdzie najmniej się jej spodziewasz. Nie tylko przemyślałem ten plan przez minione dwadzieścia sześć lat, nie byłem bezczynny. Liamie, ty jesteś już wolny. Za godzinę musisz być chyba w admiralicji.

- Więcej statków? - spytał Robert, kiedy Liam wyszedł.

- Przynajmniej jeden więcej. To dobrze dla nas, że Nelson prócz ojcowania nieślubnej córce pani Hamilton i piastowania funkcji wiceadmirala znalazł czas, żeby zaatakować Kopenhagę.

- To o tym poszukiwaniu władzy mówiłeś wcześniej - rzekł Robert.

- W pewnym sensie, ale wojna tak naprawdę nie wzbogaca ludzi, którzy prowadzą bitwy. Oni są pionkami w rękach znaczniejszych graczy. A właśnie, wiem z wiarygodnego źródła, że nasz nowy premier zamierza poprosić o pokój, podpisać coś w rodzaju traktatu z Napoleonem. Myślę, że to pomysł Pitta. Dlatego zrezygnował i

wcisnął Addingtona na swoje miejsce. Byłoby niezręcznie, gdyby prosił o pokój ktoś, kto wcześniej domagał się wojny.

- Ktokolwiek chce tego pokoju, niech go Bóg błogosławi. Jeśli odniesie sukces, będziemy mogli znowu przewozić sherry.

Beniamin przytaknął. - Tak, będziemy. Ale czy jest wojna, czy pokój, nasza rola polega na tym, byśmy trzymali sznurki sakiewek tych, którzy kontrolują armię i marynarkę. To jest władza, chłopcze, i to dlatego jutro wyjedziesz na kontynent. - Położył na biurku małe pudełko. - Mam coś dla ciebie. Spójrz na to.

Robert otworzył pudełko. Medalion leżący na ciemnoniebieskim aksamicie był na trzy cale długi i na dwa szeroki. Młodzieniec przyglądał mu się przez chwilę. - Napis jest po hebrajsku, prawda?

- Tak. Wiem, że nie potrafisz odczytać tych słów, ale możesz zgadnąć, co to jest.

- Nie, nie wiem... - Robert podniósł wzrok. Ojciec się uśmiechnął. - Na Boga, wiem - wymamrotał Robert. - Medalion, o którym mówił stary zapis. Ten, który Feliks Ruez pokazał Miguelowi Antoniowi w 1575, aby dowieść prawdziwości swego żądania.

- Tenże sam. Przynajmniej wyobrażam sobie, że musi to być ten. Pewne jest, że Ramon Mendoza przywiózł go ze sobą do Anglii. Od tego czasu zawsze przechodził z ojca na syna. Teraz ja ci go daję.

Zapewne z ojca na najstarszego syna. Robert zrozumiał, dlaczego ta scena została odegrana dopiero po wyjściu Liama. Kołysał medalion w dłoni. - Możesz mi powiedzieć, co jest na nim napisane?

- To wers z jednego z psalmów. „Im eszkachek Yeruszalaim tizkak jimini tidbak L'szoni" - zacytował Beniamin. - „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica." Legenda Mendozów mówi, że ten werset został przyjęty jako motto rodzinne gdzieś w siódmym wieku, kiedy uciekali przed prześladowaniami w Kordobie i przybyli do Tangeru. Przypuszcza się, że ówczesny patriarcha miał ten napis nad wrotami domu w Afryce, by przypominał jego dzieciom i ich dzieciom, że Kordoba jest ich Jeruzalem, ich prawdziwym domem.

- Siódmy wiek - wyszeptał Robert. - Nie do wiary.

- Przypuszczam, że tak. Historia twierdzi też, że jeden z kolejnych Mendozów finansował pierwszą inwazję Maurów na Hiszpanię. Aby odzyskać posiadłość w Kordobie, oczywiście.

- Myślisz, że to wszystko może być prawdą?

Beniamin wzruszył ramionami. - Historia? Nie wiem. Niezależnie jednak od tego, czy to prawda czy nie, trzeba w to wierzyć. Nie zapomnij, Robercie, ani historii Ramona, ani historii Anglii. Będziesz potrzebował całego swojego sprytu, chłopcze. Nie będzie tak łatwo, jak rzekł Liam. Ale zwyciężysz, a ród Mendozów będzie bogatszy i silniejszy niż kiedykolwiek.

Odbył tę samą okrężną drogę, co ostatnim razem, i z tego samego powodu - francuskiej blokady. Noc była mglista i zimna. Robert siedział na pokładzie dwumasztowego holenderskiego statku wielorybniczego, opatulony przed chłodem i oparty o stos porządnie zwiniętych cum.

Wielorybnik zabierał go do Rotterdamu. Stamtąd miał udać się lądem do Hiszpanii; powozem, jeśli zdoła go znaleźć, bądź na grzbiecie konia. Wiedział, czego się spodziewać, reszta podróży będzie jeszcze mniej wygodna niż ta jej część. Kanciasty kadłub drewnianego statku płynął po lekko wzburzonym morzu, rozcinając fale. Ten był pusty, ale Robert wciąż czuł woń tranu, który zazwyczaj wypełniał ładownię.

Kapitan był Holendrem, równie przysadzistym i brzydkim jak jego statek, ale za to pewnym i odpowiednim do tego zadania. Przed laty służył na statkach Mendozów kursujących między Southampton a Kadyksem, stąd znał angielski. Potem został kolejnym ogniwem w potężnym łańcuchu kontaktów, które sprawiały, że funkcjonowało imperium Mendozów. Kiedy Holender chciał założyć własny interes, Beniamin Mendoza pożyczył mu pieniądze na zakup pierwszego wielorybnika. Przez pierwsze pięć lat miał udział w zyskach z przewozów, ale wciąż pozostawał dług wdzięczności. Podszedł do swego pasażera. - Wygodnie, panie Robercie?

- Wystarczająco, kapitanie Graumann.

- To dobrze. Przyniosłem coś panu. - Podał mu cynowy kubek. Robert wziął go, spodziewając się znaleźć w nim herbatę, a poczuł smak rumu. - Dziękuję.

- Zostawię teraz pana jego myślom. Zawiniemy do portu przed wschodem.

Myśli Roberta krążyły wokół ostatniej poufnej rozmowy z ojcem. To spotkanie było pożegnalne, jakby stary mężczyzna przeczuwał, że mogą się już nie zobaczyć. Robert poczuł pieczenie na policzkach, to sól z morskiej wody. Może łyzy. Nie należał do mężczyzn skorych do

płaczu, nie robił tego od dzieciństwa, ale w duszy miał smutek, który walczył z ogarniającym go podnieceniem na myśl tego, co go czeka. Czuł na szyi ciężar medalionu. Zanim ruszył w drogę, przeczytał cały psalm. Był to psalm 137, ten zaczynający się od słów: „Nad rzekami Babilonu - tam myśmy siedzieli i płakali, kiedyśmy wspominali Syjon”. Nie płakał, lecz pamiętał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Powóz Roberta wjechał na Patio del Recibo przez szeroką dwuskrzydłową bramę prowadzącą z Calle Averroes. Woźnica ściągnął cugle przed ogromnym orzechem, który górował nad wewnętrznym dziedzińcem. Baldachim srebrzystych gałęzi połyskiwał nutą zieleni - lutową obietnicą wczesnej andaluzyjskiej wiosny i cienia, który przyniesie ulgę w letnie upały.

Robert otworzył drzwiczki i nie czekając na lokaja, wyskoczył na bruk. Trzech służących w kasztanowo - złotej liberii Mendozów stało w wejściu do wnętrza pałacu. W jednym z nich rozpoznał Juana, majordomusa. Juan patrzył nieco podejrzliwie i z pewnym zmieszaniem.

- Zamknij tę bramę na ulicę - nakazał Robert. - I dopilnuj, żeby moje kufry zostały natychmiast zabrane do środka, żeby zapłacono woźnicy i nakarmiono go, nim odjedzie - skierował się ku drzwiom, którym stróżowali służący.

- Z całym szacunkiem, senior. Nie uprzedzono nas, że mamy oczekiwać gościa. A dom jest w żałobie.

- To oczywiste. Ja też jestem w żałobie. Nie jestem gościem, Juanie, jestem członkiem rodziny. Robert Mendoza, nie pamiętasz mnie?

- Oczywiście, że pamięta, podobnie jak ja - Maria Ortega weszła do patia przez niewielkie drzwi po prawej. - Witam, don Robercie. Nie oczekiwaliśmy cię, ale witaj.

Wyglądała równie znakomicie jak przed dwoma laty. Niemal dorównywała mu wzrostem i - rzecz niezwykła u hiszpańskich kobiet - miała rude włosy i zielone oczy. No i wciąż była tutaj! Ten fakt był najbardziej interesujący ze wszystkich. - Dobry wieczór, donia Maria. Cieszę się, że znów panią widzę, żal tylko, że okoliczności nie są szczęśliwsze.

- Pański widok rozjaśnia nasz smutek. - Słowa jej brzmiały oficjalnie, ale zielone oczy błyszczały figlarnie. Wydała służącym liczne polecenia, a Robert wszedł do domu, nie czekając, aż donia Maria go poprowadzi.

Trzy godziny później Maria Ortega siedziała wraz z nim w jednej z mniejszych jadalni. - Uznałam, że tutaj powinniśmy zjeść posiłek. Nie żeby było mniej uroczyście, wydaje mi się, że tu lepiej można wypocząć po długiej podróży.

- W rzeczy samej - zgodził się Robert. Donia Maria usiadła u szczytu stołu, odziana w czarne koronki, jak wdowa pogrążona w żałobie. - Nie widziałem tego pokoju ostatnim razem - rzekł.

- Jest uroczy. - W miejscu czwartej ściany wznosił się rząd otwartych łuków wychodzących do patia, gdzie pomiędzy cyprysami przycinanymi starannie przez pokolenia ogrodników szemrała fontanna.

- Tak i ja myślę. Czy jest panu wystarczająco ciepło?

- Cudownie ciepło. - Piecyk na węgiel drzewny buzował pod stołem.

Robert sięgnął po serwetkę i ułożył ją na swoim łonie w sposób, którego nauczył się przy pierwszej wizycie.

- Mam nadzieję, że to będzie panu smakować, don Robercie

- powiedziała Maria. - Kucharz jest specjalistą od cerdo adobado. Bez wahania nabił na widelec spory kawałek peklowanej wieprzowiny. - Wyśmienite. - Przeliczyła się ta bezczelna dama, pomyślał. W kraju, w którym stopy są tak wysokie, zjadłby wszystko, nie tylko wieprzowinę. - Jak się miewa donia Carmen?

Maria delikatnie wzruszyła ramionami. Były kremowobiałe, a ich barwę podkreślała czerń sukni. - Bez zmian, jak sędzę. Trudno powiedzieć. Porozmawiajmy o przyjemniejszych sprawach. Proszę mi opowiedzieć o swojej podróży.

Nie była klasyczną pięknoscią. Jej twarz była zbyt kanciasta, a oczy zbyt sprytne, ale emanowała nieodpartym urokiem. Ciemnorude włosy ściągnęła w gruby węzeł, przytrzymywany na andaluzyjską modę przez wysoki gagatowy grzebień, a w uszach miała kolczyki z tymże kamieniem. No i jej figura była doskonała.

Przechyliła się do przodu, dając mu świetny widok na łagodną krzywiznę swego pełnego biustu. Robert odniósł wrażenie, że spodnie ma nazbyt ciasne. Nie było czasu na flirty. Nie teraz i nie z ulicznicą już i tak nadmiernie zaangażowaną w sprawy rodziny. Odwrócił wzrok, ale wiedział, że ona zauważyła jego reakcję. Robert skinął na lokaja stojącego w cieniu przy kredensie. - Więcej wieprzowiny, człowieku. Jest wyśmienita, donia Maria. Sam powiem to kucharzowi.

Wymówił się zmęczeniem i przed północą wymknął się do swego pokoju. Był to ten sam pokój co wcześniej, duży i wygodny, z balkonem wychodzącym na kolejne patio. Lampa oliwna paliła się na

bogato rzeźbionym stole, który zajmował jeden róg pomieszczenia. Jej knot był przykręcony, dawała więc niewielki krąg światła.

Coś poruszyło się w mroku. Robert odruchowo sięgnął po pistolet, który trzymał za pasem od czasu, gdy opuścił Londyn. Teraz go tam nie było. Tego wieczoru po raz pierwszy od kilku tygodni zdecydował, że może wieszać nie uzbrojony. Do diabła! Przyjdzie mu zapłacić za tę odrobinę samopobłażania.

Stworzenie, które pojawiło się w świetle lampy, trafnie rozpoznało ruch Roberta. - Nie musi się pan mnie bać, sir. Trudno byłoby mi się z panem mierzyć. Nie spotkaliśmy się, kiedy był pan tu ostatnim razem. Na ogół trzymam się na uboczu. Ale jestem przyjacielem.

Był karłem, na stojąco z trudem sięgał Robertowi do pasa, a jego głowa była tak ogromna, że wyglądała, jakby za chwilę musiała runąć ze zbyt wątych ramion. - Kim jesteś? - zapytał Robert. - Co tu robisz?

- Nazywam się Harry Hawkins. Znałem pańskiego ojca.

- Jesteś Anglikiem? Kiedy poznałeś mojego ojca?

- Urodziłem się w tym samym domu co pan. Na Creechurch Lane. Moja matka była pomywaczką, która pracowała w waszej kuchni. Większość ludzi była przekonana, że skończę w klatce, pokazywany za pieniądze. Dzięki pańskiemu łaskawemu ojcu uniknąłem przeznaczenia. Nazwał mnie słowem w starym języku waszego ludu, micwa. Wie pan, co to znaczy?

Robert potrząsnął głową, nie mogąc oderwać wzroku od zdeformowanego mężczyzny, a czując się winnym, że patrzy.

- Micwa to boskie przykazanie, także dobry uczynek. Pan Benjamin powiedział, że ja jestem jego micwa, a on będzie moim. Wyedukował mnie i okazało się, że mam głowę do liczb. Pracowałem dla niego, kiedy się pan urodził. Pamiętam tamten dzień, gdy wszyscy się cieszyli, że ród ma następnego syna.

- Dlaczego tu jesteś? - Robert się odprężył, padł na krzesło przy stole i wskazał karłowi, by spoczął na drugim. - Kiedy przyjechałeś do Hiszpanii?

- Wkrótce po pańskich urodzinach pan Benjamin wysłał mnie do Kordoby.

- Żebyś dla niego szpiegował - rzekł Robert. - Taki był powód, prawda?

Wielka głowa wykonała gwałtowny ruch, by zaprzeczyć. - Nie. To oczywista konkluzja, ale nie jest ona właściwa. Z łaski Boga nawróciłem się na prawdziwą religię, zostałem katolikiem. - Karzeł przeżegnał się pobożnie. - W Anglii nie jest bezpiecznie dla katolików. Ani dla żydów, jeśli już jesteśmy przy tej kwestii. W przeciwieństwie jednak do pańskiej rodziny, upierałem się przy praktykowaniu swojej religii otwarcie.

A to by znaczyło, że jego pracodawca i opiekun musiałby co roku płacić ogromną grzywnę nakładaną na wszystkich, którzy nie wyznawali religii panującej. Takiego ciężaru Benjamin na pewno nie mógłby znieść, niezależnie od tego, jak bardzo było mu żal biednego stworzenia.

- Rozumiem - powiedział Robert. - Nieważne zresztą, szpiegowałeś dla niego, prawda? Ojciec mówił mi, że ma tu źródło informacji.

- Nie nazywam tego szpiegowaniem - upierał się Harry Hawkins. - Szpiegowanie jest niechrześcijańskie. Ale ilu ludzi nazwałoby mnie boskim przykazaniem, jak pan myśli?

- Niewielu.

- Nie. Więc kiedy zorientowałem się, co się tu dzieje i że mogłoby to zaszkodzić pańskiemu ojcu i waszej rodzinie, napisałem do Londynu. To nie jest szpiegowanie.

- Co tu się działo?

Karzeł spojrział na karafkę i kieliszki stojące na stole. Robert zauważył to spojrzenie i nalał odrobinę brandy dla każdego. - Co sprawiło, że poczułeś, iż musisz powiadomić mojego ojca?

Hawkins jednym haustem wypił swoją brandy. Robert zastanowił się, czy noszenie tak wielkiej głowy jest bolesne.

- Napisałem mu, że don Domingo trwoni zasoby Mendozów, że już prawie nic nie zostało.

- Kłamiesz.

- Nie, sir. - Mówił tak spokojnie i z taką godnością, że trzeba było mu wierzyć. - Prawie rok temu napisałem pańskiemu ojcu, jak sprawy stoją. Nigdy nie dostałem odpowiedzi. Sytuacja pogorszyła się przed śmiercią hidalga. Zamierzałem znowu napisać, ale teraz pan przyjechał. Przypuszczam, że ojciec przysłał pana z powodu moich informacji.

- Nic nie wiem o twoich informacjach. I nie wierzę też, by coś wiedział o nich mój ojciec. Powiedziałyby mi o nich. Jesteś pewien, że napisałeś ten list?

- Oczywiście, że jestem pewien. Nie...

- Nie kłamiesz. Już mówiłeś. I wierzę ci, Harry Hawkinsie. Ale ty też musisz mi wierzyć. Teraz po raz pierwszy słyszę o twoich wiadomościach. To wszystko przez wojnę, bez wątpienia. Od czasu blokady wszelka nasza korespondencja niemal ustała. Teraz myślę, że będę wiedział więcej. Czy jest bardzo źle?

- Bardzo - odpowiedział Hawkins. - Nie ma złota. Ani odrobinki. I praktycznie żadnych reali. W skrócie, sytuacja finansowa jest katastrofalna. Dom właściwie żyje na kredyt.

- Panie na wysokościach! - Robert nalał im brandy raz jeszcze. Był to surowy, mocny napitek z Hiszpanii, nie rafinowany koniak francuski. Spłynął w dół gardła jak strumień ognia i uderzył go w brzuch jak płonący węgiel. Dobrze, tego właśnie potrzebował po takich wiadomościach. - Co z domami, z ziemią? Do Mendozów należy pół Andaluzji.

- To prawda - zgodził się Hawkins. - Należy więcej niż dwie trzecie. Mają także wiele posiadłości w innych częściach Hiszpanii. Ale niemal wszystko jest zastawem tego czy innego rodzaju. Rzecz w tym, sir, że don Domingo działał w wielkiej tajemnicy. Nigdy nie wiedziałem, kim są jego wierzyciele. I nadal nie wiem. Jedno mogę panu powiedzieć, tuż przed śmiercią don Domingo wziął następną pożyczkę od człowieka w Madrycie. Pod zastaw farmy.

Farma była rozległą wiejską posiadłością na południe od miasta. Rodzina dostała ją od kastylijskiego króla, który wyrzucił Maurów z Kordoby w XIII wieku. W jej skład wchodziło dużo ziemi i wiele gajów oliwnych o niewiarygodnej wartości. - Ile za to dostał? - spytał Robert.

- Dziesięć tysięcy reali.

- Dziesięć tysięcy? To dowcip, farma jest warta dziesięć milionów reali.

- Wiem. A to nie wszystko, sir.

Robert jęknął. - Lepiej mi powiedz, cokolwiek to jest.

- Don Domingo obiecał królowi trzydzieści milionów reali. Za jakieś siedemnaście miesięcy, sir. Przed lipcem 1803 roku.

- Trzydzieści milionów!

- Tak. Nie sędzę, żeby don Domingo miał na koniec równo pod sufitem. Myślę... - Jego głos zamarł.

- Dalej, człowieku. Co myślisz? W tej chwili jesteś moim jedynym źródłem informacji, więc jeśli mam coś z tego pojąć, musisz powiedzieć mi wszystko.

- Myślę, że Maria Ortega dodawała czegoś do jego jedzenia. Czegoś, co czyniło go szalonym. - Wyszeptał te słowa i nie patrzył na Roberta, kiedy je mówił.

- Dobry Boże, wiedziałem, że to jędza, ale... Dlaczego miałyby to robić?

- Tego nie wiem, sir. Próbowałem się dowiedzieć. Wiem, że wychodzi z domu i spotyka się z kimś. Ale nie nadaję się do tego, żeby kogoś śledzić. Dzieci się na mnie gapią, a czasami też dorośli. Wyzywają mnie i wyśmiewają się. Jestem bezużyteczny do tego typu zadań.

- Nie przepraszaj za to, co nie jest w twojej mocy - rzekł Robert delikatnie. Nietrudno było wyobrazić sobie, jak ponure musi być życie tego biednego stworzenia. - Spisałeś się nadzwyczajnie dobrze, Harry Hawkinsie. Myślę, że będziesz też moim micwa.

Karzeł wyszedł po drabinie sznurowej przerzuconej przez balkon, tą samą drogą, którą przybył. Robert patrzył, jak schodzi z nadzwyczajną zręcznością, potem rzucił mu koniec z żelaznym hakiem. Hawkins zniknął w mroku bezksiężycowej nocy, a Robert wrócił do sypialni, gdzie zobaczył skrawek złożonego papieru, który wepchnięto pod drzwi.

W pierwszej chwili pomyślał, że liścik musi być od donii Marii, która zaprasza go do swego łóżka, przekonana, że kolejnego Mendozę można złapać za fiuta. Schylił się po papier. „Przyjdź do piwnicy z winem jutro o czwartej.” Nie było podpisu, ale miał pewność, że to nie od Ortegi. Ona wciąż uważała siebie za królową tego pałacu. Nie wyznaczyłaby spotkania w tak nieprawdopodobnym miejscu w czasie sjesty. Czyli ktoś jeszcze w tym nadzwyczajnym domu chce się podzielić z nim swoim sekretem.

Robert podązał za niezgrabną postacią, która prowadziła go w labirynt przejść pod rozległą rezydencją. - Tutaj - powiedziała w końcu. - Tu możemy rozmawiać i żaden z jej szpiegów nas nie usłyszy.

Donia Carmen była tak odpychająca, jak mówiły opowieści - ciało miała tak obrzmiałe, że niemal nie wyglądało na ludzkie, jej oczy ledwie były widoczne w szczelinach nad nadętymi policzkami. Fałdy czarnej materii skrywały wszystko oprócz twarzy. Może nad tym miejscem ciążyła jakaś klątwa, może każdy, kto tu żył, stawał się szkaradnie brzydki. Nie, karzeł urodził się na Creechurch Lane. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wszystkie te zdeformowane postacie, odrzucone przez ludzi, znalazły tu azyl i połączyła je z nim wspólnota interesów. Na to przynajmniej wyglądało. - Czegóż to pani chce ode mnie, donia Carmen?

- Sprawiedliwości.

- O tym, co sprawiedliwe, decyduje ten, kto dokonuje osądu - rzekł ostrożnie.

- Chcę jej śmierci. - Głos kobiety był chrapliwym szeptem.

- Chcę jej hańby, tak jak ona pohańbiła mnie.

- Wnoszę, że ma pani na myśli donię Marię.

- Proszę nie wypowiadać przy mnie jej imienia! Chcę, żeby ta dziewczka cierpiała tak, jak mnie kazała cierpieć.

- Rozmawiała pani na ten temat ze swoim synem? - Robert próbował wyczytać coś z jej oczu, które ledwo widział.

- Tak, tuż po pogrzebie. Powiedział, że coś zrobi, ale od tego czasu go nie widziałam. A ona ciągle tu jest. Rządzi się w moim domu i zachowuje się tak, jakby Domingo nie umarł i wszystko było tak samo.

- Nic nigdy nie jest tak samo, donia Carmen.

- Chciałam też, żeby on umarł - powiedziała, jakby go nie usłyszała. - I umarł. Nie tak, jak planowałam. Chciałam, żeby spaliła go Inkwizycja, ale nigdy tego nie znalazłam.

- Czego? - przerwał.

- Dowodu dla Inkwizycji. Tej płyty, o której panu mówił. Ale tak czy owak, umarł. Spokojnie w swoim łóżku, tak wszystkim powiedziano. Ha! Był na niej, parzył się jak zwierzę. Obserwowałam ich. Zawsze to robiłam. Musiała zepchnąć z siebie jego ciało i ułożyć je tak, jakby spał sam.

Robert powstrzymał się od uśmiechu. Dla mężczyzny to niezła śmierć. Domingo był szczęściarzem do końca. A bałagan, który zrobił, posprzątać musi ktoś inny. - Dlaczego mówi mi pani to wszystko?

- Musi pan wyrzucić ją z mojego domu. Sama bym ją zabiła, ale ona ma wielu przyjaciół, a oni by ją pomścili. Jestem bezradną kobietą. Nie mogę sama stawać przeciw jej przyjaciołom.

- Jakim przyjaciołom? O czym pani mówi?

- Ona się z nimi spotyka potajemnie. Z potężnymi ludźmi. Domingo o tym nie wiedział, ale ja ją obserwuję. Oboje ich obserwowałam. Wiem o wszystkim, co dzieje się w pałacu.

Robert poszedłby o zakład, że ta biedna kobieta nie konfabuluje. I cieszył się, że ma potwierdzenie przynajmniej niektórych podejrzeń Harry'ego Hawkinsa. - Przez wzgląd na panią, pozbędę się jej, donia Carmen. Ale pani musi coś zrobić dla mnie.

Spojrzała na niego podejrzliwie. - Co? Jestem biedną, bezbronną niewiastą. Co mogłabym dla pana zrobić?

- Muszę porozmawiać z pani synem. Chcę, by posłała pani słowo do nowego hidalga. Proszę przekazać Pablowi Luisowi, że musi wracać do Kordoby. Wie pani, gdzie go znaleźć?

- Zapewne. - Wzruszyła ramionami, a w jej chorobie nawet ten zwyczajny ruch stał się groteskowy. - Wśród matadorów. Tam gdzie odbywa się najlepsza korrida. Prawdopodobnie w Madrycie.

- Proszę posłać mu wiadomość, że musi natychmiast wracać, że pani go potrzebuje. Że jego synowski obowiązek nie pozwala mu odmówić pani. Niech mu pani napisze cokolwiek, tylko nie to, że jestem tutaj, i niech go pani sprowadzi do Kordoby. Zrobi pani to?

- Ukarzesz tę kurwę za to, że kazała mi cierpieć?

- Tak. Czy dobiliśmy targu, donia Carmen?

- Si, Angliku, dobiliśmy targu.

Robert skorzystał z pierwszej okazji. Następnego ranka śniadanie spożył w swoim pokoju. Kiedy zszedł na dół i spytał o donię Marię, służący powiedział mu, że poszła do miasta. - Do krawca, senior.

Czy tu, w Kordobie, młode kobiety chodziły do krawca? Nie miał siostr, więc nie miał też pewności w tej kwestii, ale szwaczki jego matki, wszystkie jak jedna, przychodziły do niej. To może być potwierdzenie podejrzeń Karła. Szkoda, że zszedł na dół zbyt późno, by pójść za nią. Zaplanował sobie jednak ważniejsze zadanie i na to nie było za późno. Skinął na lokaja, aby poszedł za nim, potem wrócił na piętro pałacu, do prywatnych pokoi.

- Co to jest? - Zgodnie z nadzieją Roberta Maria Ortega wróciła przez Patio del Recibo i natknęła się na stos kufrów i pudeł, które tam złożył.

- Pani rzeczy, donia Maria. Usługi świadczone przez panią nie są już potrzebne w pałacu. - Robert rozparł się w drzwiach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. W zasięgu wzroku nie było nikogo ze służby, ale za zasłoną w oknie na piętrze dostrzegł ciemny kształt.

- Usługi świadczone przeze mnie? Kim pan jest, żeby mi mówić, co jest, a co nie jest tu potrzebne? Porozmawiam z don Pablem. On jest hidalgiem.

- Owszem. Ale don Pabla tu nie ma, a ja jestem. I poleciłem woźnicy zabrać panią bez względu na to, czy będzie pani chciała pójść. - Uniósł dłoń, a na ten znak wtoczył się do patia mały powóz. Na następny sygnał pojawiło się trzech służących, którzy zaczęli ładować bagaże Marii Ortegi.

- To oburzające - wybełkotała. - Nie odejdę.

- Owszem, myślę, że odejdzie pani. Nazywam się Mendoza, donia Maria. Pani nie. A żona mojego zmarłego kuzyna życzy sobie, aby opuściła pani pałac. Jeśli pani nalega, abym przywołał strażę, zrobię to. Szczerze mówiąc myślałem, że będzie pani wolała tego uniknąć.

Patrzyła na niego wyzywająco przez dłuższą chwilę, potem odwróciła się. Lokaj pomógł jej wsiąść do powozu. Robert postąpił krok do przodu i wręczył jej skórzaną sakiewkę. - Pani wynagrodzenie za następne dwa miesiące. Trzydzieści reali. Zgadza się, prawda?

Wiedział, że jej oficjalna pensja wynosi piętnaście reali miesięcznie. Hawkins przyniósł mu rejestry i tam znalazł stosowną informację. Ustalił też fakt, że co tydzień wydawała sto razy więcej, a Domingo patrzył na to przez palce. To dlatego zatrzymał sznur pereł, kiedy pakował jej biżuterię. Nie żeby stworzyć pozory drobnej rewindykacji, po prostu - niech wie, że on ma świadomość jej nadużyć. Ale to dopiero nastąpi.

Przez chwilę myślał, że Maria Ortega nie przyjmie sakiewki, ale w końcu sięgnęła po nią błyskawicznym ruchem.

- Pożalujesz tego, Angliku - wyszeptwała. - Obiecuję, że tego pożalujesz.

Po pierwszym tygodniu swego pobytu w Palacio Mendoza Robert ledwie już pamiętał Marię Ortegę i jej groźbę, jako że był zajęty inną

kobietą. Zawładnęła nim Kordoba. Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie można sobie wyobrazić. Zastanawiał się, jak zdołał oprzeć się jej urokom w trakcie pierwszej swojej wizyty. Może wtedy nie marzył jeszcze, by ją osiąść. A teraz tak.

Przez cały luty i początek marca chodził ulicami od świtu do zmierzchu. Zakochał się nieodwołalnie w krętych uliczkach, prowadzących do małych, perfekcyjnie skomponowanych żywych obrazów, które zadziwiały oko znakomitą harmonią białych ścian z drzwiami, oknami i skrzynką kwiatów. Uwiodły go szerokie aleje obsadzone drzewami pomarańczowymi, brzęczące fontanny, przepyszenie udekorowane budynki publiczne i sekretne patia. Kordoba śpiewała dla niego, ale on obawiał się, że jest to pieśń pogrzebowa.

Beniamin przewidział to. Pieniądze to władza. Według ich planów Robert miał przejąć od obłąkanego kaleki kontrolę nad wspaniałą fortuną. Nie omawiali, jak ocalić tę fortunę, jeśli będzie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i jak znaleźć trzydzieści milionów reali do lipca następnego roku, albo jak stoczyć walkę z Pablem Luisem, skoro wciąż nie mógł go znaleźć. Hidalgo nie odpowiedział na błagania matki, a więc Robert jeszcze się z nim nie spotkał ani nie dowiedział się, gdzie przebywa.

Zrobił coś, co wydawało się oczywiste - napisał do Londynu z prośbą o złoto i poradę. Do tej pory nie otrzymał odpowiedzi, ale wciąż było za wcześnie, by jej oczekiwać. Ojciec mógł też nie zrozumieć przesłania wyrażonego w ostrożnych słowach, kamuflujących właściwą treść na wypadek, gdyby list wpadł w niewłaściwe ręce. Odkrył jeden plus - niepewna pozycja finansowa rodziny nie była jeszcze powszechnie znana. Szaleństwo Dominga przejawiało się na wiele sposobów. Suma, którą stracił w walce z Mestą, była niewiarygodna, ale do końca pozostał tajemniczy i ostrożny. Sępy nie stały jeszcze w gotowości, zwabione zapachem krwi.

Słaba pociecha, pomyślał. Stał na otoczonym palisadą moście, który prowadził do wieży na drugim brzegu Gwadalkiwir. To Rzymianie wzniesli tę fortyfikację, zapewne przy pomocy Mendozów. Po przeczytaniu historii Ramona był gotów uwierzyć w stare mity. Może Mendozowie byli tu już w pierwszym wieku, a jeśli tak, bez wątpienia pożyczali pieniądze rzymskiemu prokuratorowi,

sprawującemu rządy w Kordobie. Potem Gotom i Wizygotom, którzy przyszli po nich. A zgodnie z tym, co mówił ojciec, rodzina finansowała inwazję Maurów w 711 roku. Pięćset lat później już jej nie odpowiadały rządy Arabów, więc złoto Mendozów popłynęło do królów chrześcijańskich, którzy zepchnęli Maurów do Afryki.

- I wszystko na nic - wyszeptał w lodowatym marcowym wietrze, który ocierał jego twarz. - Wszystko na to, żebym ja mógł przybyć w roku 1802 i nadzorować łupiestwo i gwałt. - Robert odwrócił się i powędrował z powrotem do pałacu.

Hawkins czekał na niego w holu wejściowym. Wskoczył z cienia przy niebieskich marmurowych kolumnach, które stały po obu stronach szerokich schodów. - Na Boga, przestraszyłeś mnie, Harry. Musisz zawsze chyłkiem pomykać po kątach?

- Wybacz mi, panie. Tak już się przyzwyczailem. Ludzie nie lubią na mnie patrzeć. Oni...

- Tak, tak, rozumiem. No dobrze, co się dzieje? - Nie miał powodu, by być tak brutalnym dla małego człowieczka, prócz tego, że nastrój nie pozwalał mu być uprzejmym i delikatnym.

- Są wieści, sir. Nadeszły, kiedy pana nie było, i pomyślałem, że zechce je pan od razu poznać.

- Jakie wieści? Od mojego ojca?

- Nie od pana Beniamina, sir. Nie osobiste. To traktat. Pomiędzy Napoleonem a Addingtonem. Brytyjczycy i Francuzi podpisali pokój w Amiens. Nie wygląda pan na uradowanego, sir. To oznacza koniec blokady. Możemy przewozić więcej sherry.

- Tak, jestem tego świadom. To dobra wiadomość. Dobrze zrobiłeś, Hawkins. Poślij słowo do Kadyksu, że ładunek powinien natychmiast wypłynąć.

- Już to zrobiłem, sir.

- Świetnie - Robert odwrócił się. Miguel Antonio i jego syn Ramon uratowali rodzinną fortunę za pomocą sherry, ale czasy się zmieniły.

- Panie Robercie - rzekł cicho karzeł. - Czy mógłbym zająć panu jeszcze chwilę?

Robert zatrzymał się, stojąc już jedną nogą na schodach. - Oczywiście. O co chodzi?

- Myślę, że odkryłem nazwisko człowieka w Madrycie. Odwrócił się do karła. - Naprawdę? Jak?

- Kod, sir. Don Domingo używał go do zapisywania nazwisk ludzi, od których pożyczał. Rozszyfrowałem go.

Robert widział czarną książeczkę z bazgrołami Dominga. Dumał nad nią całymi dniami, w końcu się poddał. - Boże wszechmogący! To cudowne, Hawkinsie! Teraz może zaczniemy robić jakieś postępy. Przyjdź do mojego pokoju i weź ze sobą tę przeklętą książkę. Jeśli wiemy, kto to jest, wkrótce będziemy wiedzieć, jak zrzucić ten ciężar z naszych pleców.

Wspiał się po schodach jak człowiek wyrwany spod szubienicy. Pojedzie spotkać się z tym cholernym oszustem w Madrycie. Zdobędzie dziesięć tysięcy reali - taka suma nie jest nieosiągalna - i spłaci drania. Wtedy farma i jej dochody będą wolne i będą służyć jego własnym celom. To był początek, na Boga, na pewno to był początek.

Sofia dawała się nieść tłumowi napływającemu na Plaza Mayor. Czowała już obecność byków zagonionych w jeden z rogów prostokąta otoczonego masywną falangą budynków.

Liczni aficionados - miłośnicy korridy - wykrzykiwali do siebie informacje o zakładach i umawiali spotkania po walce. Reprezentowali mieszkańców Madrytu wszelkich klas, właśnie wstali po sjeście, gotowi bawić się i wygrzewać w kwietniowym słońcu, które rozgrzewało popołudnie.

Tłum przepchnął Sofię do przodu. Była ubrana w ponure szarości, nie ożywione żadną biżuterią ani kwiatami. Taki strój nie wskazywał, że jest Cyganką czy choćby Andaluzijką. Przypominał stroje innych wytwornych kobiet - dopasowany gorset, przesłonięty końcami szala spływającego z włosów, i spódnica sięgająca kostek. Sofia nie chciała przyciągać uwagi.

W obrębie wysokich murów placu znalazła sobie miejsce za przystrojonym sztandarami podium, na którym stało krzesło o wysokim oparciu, przeznaczone dla oficjalnego mistrza ceremonii - alkada. Burmistrz Madrytu był wybierany przez członków gildii miejskich, a madrytczyki żywili dla niego więcej przywiązania i szacunku niż dla swojego króla. Żona alkada siedziała przy nim. Ludzie cieśnili się wokół tej pary jak pszczoły szukające miodu, ci stojący dalej machali rękoma lub wykrzykiwali pozdrowienia.

Po dziesięciu minutach puste miejsce zostało tylko w kręgu wysypanym piaskiem, na którym miała odbyć się walka. Sofia

dostrzegła jakieś dzieci wysoko na dachach okolicznych budynków, pewnie byli to cygańscy chłopcy, widywała czasami Cyganów w Madrycie. Nie rozpoznała jednak żadnego z nich i postarała się, by oni jej nie widzieli. Naciągnęła szal, tak by jeszcze bardziej ocieniła jej twarz, i czekała. Wkrótce zacznie się wielki spektakl, teraz trzech toreadorów, którzy mieli walczyć, modliło się do swojego patrona, El Cristo de la Salud, w kaplicy na tyłach pałacu.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Alkad machnął kawałkiem białego płótna. Nadszedł czas. Trąbki i bębny wystukały pierwsze nuty paso dobie. Powoli procesja ruszyła na plac. Na jej czele szło trzech toreadorów, którzy mieli walczyć. Za nimi w pewnym odstępie maszerował ich orszak - banderilleros, pikadorzy i reszta pomocników. Na końcu postępowały dwie drużyny trzech mułów, które zostaną użyte do ściągnięcia martwych byków z areny.

Jakże wspaniali byli oni wszyscy, jak bogate i jaskrawe mieli stroje. Procesja dotarła do alkada, mężczyźni uklękli. Kiedy alkad rzucił służącemu klucz do zagrody byków, a ten chwycił go zgrabnie swoim kapeluszem, tłum zakrzyknął z radości. Krzyk ten wzmógł się, kiedy chwilę przed rozpoczęciem uroczystości żona alkada rzuciła swoją jedwabną przepaskę najwyższemu z toreadorów.

Sofia nie była przejęta wielobarwnym przedstawieniem. Nie interesowała się szczególnie korridą. Patrzyła na alkada i jego panią. Teraz, kiedy rozpoczęła się ceremonia i wszyscy byli nią zaabsorbowani, mogła zrobić to dokładnie. Widok okazał się dla niej nadzwyczajny, ponieważ burmistrzem Madrytu był Javier, jej protektor, a jego żona - wbrew temu, co powiedziano Sofii - nie była kobietą tłustą ani brzydką. Była młoda, śliczna i pełna życia, a Javier wyraźnie ją uwielbiał.

- Czy stało się coś niedobrego, Sofio?

- Nic się nie stało.

- Owszem, coś się stało. Znam cię, moja droga, już prawie rok. Znam cię bardzo dobrze.

- Javier, dlaczego mnie utrzymujesz?

Nie wyglądał na zaskoczonego jej pytaniem. Odłożył swój widelec i rozważył je. - Pozwól, że odpowiem pytaniem. Dlaczego tu jesteś?

Wskazała broszkę przypiętą do stanika. Był to szafir. Javier dał jej go mówiąc, że klejnot pasuje do jej oczu. - Wiesz, jakie było moje życie, zanim cię spotkałam. Byłeś dla mnie bardzo dobry, Javier.

- Ale teraz? - spytał. - Nauczyłaś się wszystkiego, czego musiałem cię nauczyć, Sofio. A jednak tu jesteś.

- Dokąd miałam pójść? Poza tym... - przerwała, zastanawiając się, czy on może to zrozumieć. - Jest jedna rzecz, którą mi dałeś, a nie sądzę, byś był jej świadom, ale to właśnie jest najważniejsze. Dałeś mi czas na nienawiść.

- Masz słuszość. Nie jestem tego świadom. Nie kojarzę nienawiści z tobą, moja droga.

Głos Sofii drżał. - Mylisz się co do mnie, Javier. Nie jestem święta i wiem, jak nienawidzić. - Wstała, zbyt poruszona, by zostać przy stole. - Mówiłam ci o moim dziecku, o tym, co się z nim stało. Mówiłam ci, jak umarło.

- Tak. Więc to twój cygański mąż nauczył cię nienawiści?

- Nie nauczył. Powiedziałam, że ty dałeś mi czas, by go nienawidzić. To, co czuję do Paca, urodziło się, zanim cię poznałam, zanim opuściłam Trianę. Ale przez ten pierwszy rok, kiedy tak walczyłam, by przeżyć, niemal o tym zapomniałam. Niemal wypchnęłam Paca ze swoich myśli.

- A teraz?

- Teraz mam wiele godzin, w czasie których robię plan.

- Plan zemsty - rzekł Javier. - Od wieków wielu tak czyni, Sofio. Prawie nigdy nie działają tak, jak zamierzeli. Zemsta i nienawiść to silne uczucia, moja mała Cyganko. Mącą umysł. Jeśli chcesz coś osiągnąć, musisz być bardzo roztropna. Wtedy może ci się powiedzie. Powiedz mi, co zdecydowałaś w sprawie tego cygańskiego mordercy?

- Jeszcze nic nie zdecydowałam. Nic nie wydaje mi się odpowiednie. Ale mam już pewien pomysł. W nadmiarze wolnego czasu mogę sobie pozwolić na długie przemyślenia.

- I dlatego zostajesz?

Potrząsnęła głową. - To tylko jeden z powodów. Może mniejszy, nie jestem pewna. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie, dlaczego mnie utrzymujesz? Co przez to zyskujesz? Wymagasz ode mnie tak niewiele, Javier.

- Zapewne oczekiwałaś, że będzie inaczej. Cokolwiek obiecywałem na początku, musiałaś myśleć, że wcześniej czy później zechcę dzielić z tobą łóżko.

- Tak kiedyś myślałam. - Przyglądała się bacznie jego twarzy, a on zniósł cierpliwie to badanie. - Myślałam tak - rzekła spokojnie - dopóki nie dowiedziałam się, że jesteś alka-dem i póki nie zobaczyłam twojej żony.

Cisza trwała kilka minut. Wreszcie przemówił Javier. - Korrida, to przez korridę, prawda? Przyszłaś na walki byków.

- Tak - przyznała. - Przez czysty przypadek, pierwszy raz. Tylko dlatego, że byłam w pobliżu Plaza Mayor i nie miałam nic lepszego do roboty. Od tego czasu przychodziłam tam wiele razy.

Zaśmiał się cicho. - Śmieszne, mnie się to nigdy nie zdarzyło. Wiedziałem, że nie jesteś miłośnikiem tych walk, ale nie wziąłem pod uwagę kobiecego kaprysu. Gdybym opowiedział to Wiktorii, byłaby ubawiona i powiedziała, że jestem bardzo głupi.

- To twoja żona, tak? Ma na imię Wiktorii?

- Tak.

- Jest bardzo piękna.

- I dużo młodsza ode mnie. Ale kocham ją z całego serca i wierzę, że ona kocha mnie.

- Więc dlaczego? - Sofia pochyliła się nad stołem, uderzając swoją małą piąstką w ciemny mahoń. - Dlaczego, dlaczego?

- Usiądź, moja droga. Opowiem ci pewną historię. Rozmawiali przez następną godzinę. Na koniec Sofia odprowadziła go do drzwi. Noc była wiosennie ciepła, a księżyc świecił w pełni. Stali przez chwilę razem. Sofia oparta o drzwi, bawiąc się końcem koronkowego szala. - Dobrze - rzekła w końcu. - Niczego nie obiecuję, ale możesz przyprowadzić go tu, kiedy zechcesz.

- Dziękuję - Javier przechylił się i ucałował ją w policzek. Była to najbardziej intymna pieszczota, jaką kiedykolwiek dzielili.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Spotkaliśmy się już - powiedział Pablo.

- To prawda - przyznała Sofia. - Ale to było dawno temu. Nie spodziewałam się, że będzie pan mnie pamiętał.

- Nigdy nie zapomniałem twoich oczu ani twojego głosu. Rozpoznałem cię w chwili, gdy przeszłaś przez drzwi.

- Javier nie powiedział panu, że tu jestem?

- Nie. Powiedział tylko, że muszę przyjść do tego domu, by kogoś poznać. Myślałem, że chodzi o toreadora.

Sofia uśmiechnęła się. - I jest pan rozczarowany? Powiedziano mi, że jest pan gorącym zwolennikiem korridy, hidalgo.

- To prawda. Ale kocham też flamenco. Nie, seniorka, nie jestem rozczarowany. Przynajmniej nie będę, jeśli zaśpiewasz dla mnie.

Nie użyła kastanietów. Javier powiedział jej, że Pablo Luis jest koneserem sztuki. Na pewno wie, że kastaniety służą do akompaniowania tancerzowi. Sofia uniosła ręce nad głowę i zaczęła klaskać. Uderzenia sprawiły, że zapiekły ją dłonie. Wyszła z wprawy. Javier wolał muzykę inną niż flamenco. Nieważne, nie było go tu dziś wieczorem. Tylko Pablo Luis Mendoza, którego przysłał. W końcu został sutenerem, pomyślała. A ja jestem dziwką. Nie, to nie tak. W tę transakcję nie były wmieszane żadne pieniądze.

- Jest bardzo samotny - powiedział jej wcześniej Javier. - Są tacy, co myślą, że byki mu wystarczają, ale ja znam go dobrze. Jest kulturalnym i wrażliwym człowiekiem, interesuje się zresztą Cyganami. Kiedy zacząłem szukać dla niego towarzyszki, nie sądziłem, że będę miał tyle szczęścia, by znaleźć mu Cyganekę.

- Szukałeś mu towarzyszki, nie kochanki?

- Może kochanki. To zależy od ciebie Sofio. Dla mnie znaczenie ma tylko to, że on cię kocha, i to, żebyś go podnosiła na duchu.

- I mam uwierzyć, że z twojej strony jest to akt chrześcijańskiego miłosierdzia? Że zadałeś sobie tyle trudu i poniosłeś wszystkie wydatki po to, aby przygotować mnie do pocieszania Pabla Luisa Mendozy? I tylko dlatego, że jest twoim przyjacielem?

- Możesz wierzyć, w co chcesz - odparł Javier, wzruszając ramionami. - Powody, dla których podjąłem te starania, to moja sprawa. Pytam tylko, czy to zrobisz.

- A jeśli powiem nie? Jak mogłeś być pewien, że zgodzę się na taki układ?

- Na początku nie dbałem o to, czy się zgodzisz, czy nie. Wyciągnąłem kobietę z rysztoła i stworzyłem ją od nowa na swoją modłę. Zamierzałem po prostu zmusić ją, aby zrobiła to, co chcę.

- A teraz?

- Teraz dojrzałem do tego, by cię polubić. Nie będę cię zmuszać do niczego, Sofio. Proszę cię tylko, abyś spotkała się z nim i sprawdziła, czy potrafisz zrobić to, czego sobie życzę.

Więc tego wieczoru w ślicznym, małym saloniku domu, w którym żyła od ponad roku, dawała prywatne przedstawienie dla garbatego właściciela największej fortuny w Hiszpanii.

Zaśpiewała dwie pieśni, jedną o kobiecie, która czekała na ukochanego, drugą o dziewczynie marzącej o romansie. Pablo wysłuchał uważnie obu i uśmiechnął się z uznaniem, kiedy skończyła.

- Pamiętam jeszcze jedną - powiedział. - Śpiewałaś ją dla mojej matki. Mówi o zemście.

W jego oczach coś wyczytała. Uznała, że to desperacja. - Czy często myśli pan o zemście, don Pablo?

Jego śmiech brzmiał gorzko. - Na kim? Na Bogu? Losie? Gdybym wiedział, na kim się mścić, zrobiłbym to. A tak... Zaśpiewaj, proszę.

Zawahała się. - Jak się miewa donia Carmen?

Pablo wzruszył ramionami. - Bez zmian. Nie widziałem jej od śmierci mojego ojca. Chce, żebym przyjechał do Kordoby. Jest u nas kuzyn z Anglii, ale ja nie mam czasu. Przygotowuję pewnego młodego toreadora do jego alternatywy w lipcu. Walczy jako Sewilczyk, ale jest Cyganem, jak ty.

Sofia nie przyznała się Javierowi, że spotkała już kiedyś hidalga, i to oraz fakt, że don Pablo znał ją od tak dawna, sprawiało, że była zdenerwowana. A dzięki temu ten człowiek miał nad nią władzę większą, niż kiedykolwiek miał Javier. Nie chciała rozmawiać o Cyganach. - Zaśpiewam dla pana pieśń o zemście, mogę?

- Chciałbym tego bardzo, seniorka.

Wzięła głęboki oddech, uniosła ręce i zaczęła. Ay, madre mia. Ay, mi amor. Soy la victima de destino muy duro...

Pablo też zaczął klaskać. Tak, teraz sobie przypominała, znał cygańskie rytmy. W Kordobie skrywał się gdzieś i klaskał, ale nigdy nie przyłączył się do jej pieśni tak jak teraz. Soy la victima de destino muy duro... Ofiara twardego losu. On, mimo całego swego bogactwa,

też padł ofiarą takiego losu. Jej zdenerwowanie ulotniło się. Sofia poczuła falę czułości dla tego mężczyzny, dziwne echo tego, co czuła dla maleńkiej Sary. W jakiś sposób Pablo Luis wydawał się jej równie bezradny jak kiedyś jej dziecko...

Jaśmin oplatał okno sypialni w jej małym domu. Zraszał swoim zapachem czerwcową noc. Sofia odetchnęła słodką wonią i pogłaskała nagiego mężczyznę, który leżał obok niej. Noc była bezksiężycowa; pomimo otwartego okna pokój pozostawał w całkowitej ciemności. Najdelikatniejszym i ostrożnym ruchem dotknęła jego uschniętego ramienia.

- Nie - wyszeptał Pablo chrapliwie.

- Proszę, nie musisz się wstydić. Nie razi mnie żadna część twojego ciała.

- Dlaczego nie? Każda kobieta, z którą byłem, czuła do mnie odrazę.

- To były kurwy. Ja nie jestem kurwą, Pablo. Zależy mi na tobie. Z głębi jego gardła dobył się dźwięk - na poły bólu, na poły triumfu - i wtoczył się na nią. Pożądanie narastało w nim od wielu tygodni, aż do tej nocy, kiedy ona go ośmieliła i w końcu zaprowadziła do swojej sypialni. Ale Pablo nie był doświadczonym kochankiem. Nie znał figlarnych pieszczot, obca była mu delikatność. Wbił się w nią i pozwolił, by żądza zatopiła jego wstyd. W parę sekund było po wszystkim. - Przykro mi - wymruczał.

- Niepotrzebnie. Mnie nie jest przykro.

Nie odpowiadał przez kilka sekund. - Po prawdzie mnie też. Kocham cię, Sofio. Możesz się śmiać, powiedzieć wszystkim, jak Pablo Luis, garbus, oszalał na twoim punkcie, ale to prawda. Kocham cię.

- Wiem - wyszeptała. - Dlatego tu jesteśmy.

To był prawdziwy powód. Nie przez Javiera czy jakikolwiek jego pokrętny plan, dzięki któremu Sofia miała stać się kobietą, którą Pablo mógł kochać. Nie dlatego, że Sofia kochała Pabla. Cokolwiek dla niego czuła, nie była to miłość opisywana w piosenkach, które śpiewała. Była to czułość, litość i ciepło. I świadomość, że ze wszystkich mężczyzn, których znała, tylko ten jeden naprawdę jej potrzebuje.

- Nie śmieję się z ciebie - wyszeptała. - Nigdy nie będę się z ciebie śmiać. Przysięgam.

Aleja Martwych Psów była krętym pasażem wijącym się między dwoma wąskimi zaułkami w najbiedniejszej części Madrytu. Środkiem tego traktu biegł rynsztok pełen stojącej wody, gęstej od pomyj i uryny ludzi i zwierząt. Brukowany chodnik był na tyle szeroki, że człowiek ledwie mógł nim przejść, nie wsadzając nogi w cuchnące paskudztwo na środku. Dwóch żebraków nadeszło z przeciwnych końców alei.

- To tutaj - wyszeptał jeden, kiedy spotkali się przy niskich drzwiach w ścianie mocno naruszonej zębem czasu. Pchnął je i zaczął. Drugi żebrak, choć pochylony, najwyraźniej z racji wieku, musiał schylić się jeszcze bardziej, aby wejść do pomieszczenia. Pierwszy podążył za nim bez specjalnych wysiłków.

Piwnica była cuchnąca, ciemna i tak niska, że pierwszy żebrak ledwie mógł się wyprostować. Nie był starcem, wręcz przeciwnie.

- Dziwne miejsce do robienia interesów - rzekł Robert.

- Bo to dziwny interes. A ja jestem dobrze znany. To jedno z nielicznych miejsc, gdzie mam szansę być nie rozpoznany.

- Chce pan powiedzieć, że w podziemiach pańskiego świętego miasta nie zwraca się uwagi na alkada, który posługuje bogaczom.

Pierwszy mężczyzna zapalił świeczkę i umieścił ją na beczce, która służyła za stół. W jej świetle uśmiech alkada wyglądał jak grymas trupiej czaszki. - Czy z lordem majorem, burmistrzem Londynu, byłoby inaczej? - spytał Javier.

- Nie, pewnie nie. Polityka niewiele znaczy w miejscach takich jak to. A takie miejsca są w każdym mieście na świecie.

- Zgadza się. - Javier sięgnął pod łachmany, które miał na sobie, i wyjął kawałek papieru. Położył go na rozeschniętym drzewie beczki.

- Moja część transakcji.

- A oto moja. - Robert położył obok skórzany woreczek.

- Chce pan przeliczyć?

Alkad pokręcił głową. - Nie wierzę, że po wszystkich swoich wysiłkach ryzykowałby pan w tak śmieszny sposób, senior.

- To prawda - zgodził się Robert. - Nie ryzykowałbym. Trudno było umówić się na spotkanie z człowiekiem z Madrytu, od

którego Domingo pożyczył dziesięć tysięcy reali, mimo że znał jego nazwisko. Robert musiał zebrać pieniądze, sprzedając różne rzeczy z pałacu - na początek perły Marii Ortegi, kilka złotych ozdób i część sreber stołowych. Dla większości ludzi byłaby to rzecz prosta,

ale Mendoza takim działaniem obwieszczał światu trudną sytuację rodziny. Potrzebował agentów i agentów tych agentów, mnóstwa kamuflaży pomiędzy sobą a kupującymi. W końcu zrobiono to wszystko, ale długo to trwało i kosztowało wiele wysiłków.

Potem jeszcze więcej czasu zajęło powiadomienie alkada Madrytu, że jest znany jako sekretny wierzyciel zmarłego Dominga Mendozy i że dług ma być spłacony, a zastaw zwrócony. Teraz Robert podniósł dokument i przeczytał go szybko.

- Jest pan zadowolony? - spytał Javier.

- Całkowicie - Robert wyciągnął rękę i przyłożył papier do płomienia świecy. Róg zajął się ogniem, Robert trzymał pismo, póki palce się nie osmoliły, potem rzucił go na brudną podłogę piwnicy i patrzył, aż spalił się do nicości. - Załatwione - rzekł, kiedy ostała się tylko plamka popiołu.

- Załatwione - przyznał Javier, chowając sakiewkę pomiędzy coś, co uchodziło za szatę.

Robert spojrział na rozmówcę, próbując przejrzeć zarówno to przebranie, jak i czujne oczy. - Teraz mogę już zapytać, jaki był pański cel?

- To nietrudno chyba zrozumieć. Farma Mendozów jest bardzo wiele warta.

- Ale myśleć, że za dług dziesięciu tysięcy reali kiedykolwiek pozwolono by panu ją przejąć...

Javier uśmiechnął się raz jeszcze. - Słucha się pogłosek, senior. Nic konkretnego, fragmenty rozmów tu i tam. Jakaś wzmianka, że potężni Mendozowie mogą nie być tak możni, że głupota pewnego starego człowieka doprowadziła do zmarnotrawienia tego, co stworzyły pokolenia mądrzejszych od niego ludzi. W takiej sytuacji warto było podjąć małe ryzyko.

- Więc w końcu się spotkaliśmy, kuzynie. Żałuję, że nie mogłem być twoim gospodarzem w Kordobie, ale zatrzymały mnie inne sprawy.

- Cóż - odparł Robert. - Skoro tak mówisz. Jakiż to szczęśliwy zbieg okoliczności, że znaleźliśmy się w Madrycie w tym samym czasie.

Pablo wykonał nieokreślony ruch zdrowym ramieniem. - Szczęśliwy, zgadza się. A ten dom jest chyba wystarczająco duży dla nas dwóch.

Mówił o dwudziestopokojowej posiadłości mieszczącej się na obrzeżach Madrytu. Dom ten był dużo mniejszy od pałacu w Kordobie i nie miał nic z jego wytwornego piękna. Był wielkim, niezgrabnym kłosem, zbudowanym sto lat temu przez Mendozę, który zmarł, zanim zdołał zamieszkać w tej szkaradzie. Robert wiedział, że i na tej posiadłości jest zastaw. Zastanawiał się, czy jego kuzyn też o tym wie.

- Przykro mi, to miejsce nie jest najwygodniejsze - rzekł Pablo.

- Rzadko się z niego korzysta. Jestem chyba pierwszym od wielu pokoleń przedstawicielem rodziny, który często przyjeżdża do Madrytu.

- Jest wystarczająco wygodne - grzecznie zaprotestował Robert. - Bardzo dziękuję za gościnność, Pablo. Twoja matka była tak miła, że zasugerowała, iż mógłbym korzystać z tego domu, gdy interesy zatrzymają mnie w mieście. Nie wiedzieliśmy, że tu jesteś.

- Oczywiście. Zostań, jak długo chcesz. Nie jestem pewien, co będę robić w następnym tygodniu, ale tutejsza służba zna się na rzeczy. Na pewno będzie ci tu dobrze.

Ciekawe, jak długo potrwa ten greczny szczebiot, zastanowił się Robert, ten elegancki taniec, w którym mierzymy nawzajem swoje siły.

- O ile nie sprawiam ci kłopotu.

- Ani trochę - zapewnił go Pablo. Uniósł głowę i przyglądał się Anglikowi. - Zdajemy się mieć coś wspólnego, kolor ubrań. Dzisiaj w Hiszpanii wielu mężczyzn ubiera się na czarno. W Anglii też?

- Niezupełnie. Bardzo popularne są barwne surduty i bryczesy. Ja po prostu nie przykładam do tego znaczenia.

- Ja mam inne powody - rzekł Pablo kwaśno. - Wiesz, kiedy czarna peleryna i sombrero wyszły z mody w Madrycie?

Robert potrząsnął głową, a Pablo kontynuował. - Za Karola III w 1776 roku. Wasz parlament zajmował się Deklaracją Niepodległości amerykańskich kolonii, a w Madrycie uchwalono, że nikt nie może nosić mantoletu ani kapelusza z szerokim rondem. Jakiś kretyn przekonał króla, że w takim ubraniu zbyt łatwo ukryć i broń, i samego siebie.

- Twoja peleryna jest nielegalna? - Robert nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Więzienia Hiszpanii muszą być przepełnione, jeśli nawet ubiór jest ustalany przez prawo.

- Teraz nie jest nielegalna. Tamtego roku w niedzielę palmową doszło do buntu. Okazało się, że wielu ludzi chce nosić te rzeczy i że chcą tego tak bardzo, jak bardzo król chce, żeby ich nie nosili. Na szczęście wśród głupców w sądzie był jeden człowiek przytomny. Księżę Arandy zarządził, że każdy może nosić, co chce, ale uczynił też czarny mantolet i sombrero oficjalnym strojem kata. A nikt nie chce wyglądać jak kat... - Pablo machnął zdrową ręką.

- Interesująca historia.

- W moim kraju jest wiele interesujących historii - rzekł spokojnie Pablo. - Gdybyś je znał, może łatwiej byłoby ci pojąć naszą mentalność. Dopóki nas nie zrozumiesz, ciężko będzie ci nas poznać, mimo że mówisz naszym językiem. Lubisz byki, kuzynie Roberto?

- Wolę, żeby mówiono do mnie Robert, jeśli nie masz nic przeciwko temu. I nigdy nie widziałem walki byków.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Pozwolisz, że zaproszę cię na korridę w niedzielne popołudnie? Na alternatywę młodego mężczyzny, człowieka, którym interesuję się od jakiegoś czasu.

- Z przyjemnością przyjmę zaproszenie - odparł Robert.

- Chcę zrozumieć Hiszpanię, kuzynie Pablo. Bardzo chcę.

Hałas był ogłuszający. Robertowi trudno było uwierzyć, że tylu ludzi może się wtłoczyć na Plaza Mayor. Stali w sześciu szeregach za barierami wyznaczającymi koło, na którym miała odbyć się walka.

Tylko alkad i jego żona siedzieli, wyniesieni ponad ciżbę na pięknie udekorowanym podium. Robert spojrział na Javiera. Zupełnie nie przypominał zebra, z którym spotkał się kilka dni wcześniej. Dzisiaj oślepiał blaskiem swoich odświętnych szat i uśmiechał się do każdego. Jego żona była śliczną drobną niewiastą, której wdzięki bładły w porównaniu z urokiem młodej kobiety towarzyszącej Pablowi Luisowi.

Robert próbował spojrzeć na nią dyskretnie. Wyglądała jakoś znajomo, ale jeśli nawet spotkał ją już wcześniej, nie pamiętał gdzie ani w jakich okolicznościach. Kiedy Pablo przedstawił ich sobie, nie dała znaku, że go poznaje. Teraz zwróciła swoje nieprawdopodobnie niebieskie oczy w jego stronę i Robert został przyłapany na natręctwie. Aby zatuszować swoje zakłopotanie, szybko rzucił jakąś uwagę.

- Jest pani miłośniczką walk byków, donia Sofia?

- Właściwie nie. Byłam tu kilkanaście razy, to wszystko. Don Pablo obiecywał, że dzisiaj zobaczymy coś szczególnego.

Miała nadzieję, że Pablo Luis potwierdzi jej słowa, ale hidalgo ich nie słuchał. Wpatrywał się w zagrodę dla byków w rogu i obserwował bramę, przez którą wkrótce mieli wejść toreadorzy.

Sofia odwróciła się do Anglika. Patrzył na nią nieprzerwanie od chwili, gdy ich sobie przedstawiono. Złocistobrązowe oczy były jedyną plamą koloru w jego postaci. Włosy miał równie czarne jak ubranie. Był orłem, potężnym ptakiem drapieżnym, zawsze na baczności, gotów pochwycić w szpony ofiarę. Było w nim jakieś poczucie siły; zdawał się spowijać w aurę swojej potężnej rodziny. Jakże łatwo można go było uznać za hidalga.

Sofia ustawiła swój wachlarz tak, aby móc obserwować Javiera. Właśnie dał sygnał swoją białą chustką. - Spójrz - powiedziała.

- Zaczynają.

Pablo podniósł swoje zdrowe ramię i wskazał na wojowników wchodzących na arenę. - Patrz! To ten, ten na czele. - Odwrócił się do Roberta. - Toreador, który ma swoją alternatywę, zawsze walczy z pierwszym bykiem.

Robert chciał coś powiedzieć, ale jego kuzyn nie zwracał na niego uwagi. Odwrócił się do donii Sofii. - No, moja droga, co myślisz o moim Sewilczyku? Zaczekaj, nic nie mów. Dopiero gdy zobaczysz, jak walczy.

Sofia dziękowała Bogu, że Pablo znowu patrzy na arenę, a nie na nią. Zaciśnęła dłonie na barierce i pochyliła się do przodu, próbując pojąć, że człowiek okazujący taką śmiałość w obliczu śmierci to Carlos. Boże na niebiesiech, to niemożliwe. A jednak. Toreador, do którego Pablo był tak przywiązany, był tym samym Carlosem, którego Zocali i inni nazywali tchórzem, mężczyzną, który opuścił ją, kiedy najbardziej go potrzebowała.

Robert widział, że kobieta obok niego jest niezwykle poruszona, ale może była to po prostu ekscytacja wydarzeniem. Skończyły się właśnie wstępne ceremonie i otwierano zagrodę, wzywając pierwszego byka korridy. Minęło kilka sekund i nic się nie wydarzyło. Potem czarne monstrum zabuksowało kopytami na piasku. - Dobry Boże - wymruczał Robert. - Nigdy nie wyobrażałem sobie, że to stworzenie jest takie potężne.

- Ponad tysiąc waszych angielskich funtów. - Pablo mówił, nie patrząc na drugiego mężczyznę, jego wzrok skupił się na Carlosie, który stał samotnie, całkowicie odprężony. Jego peleryna - ciemnoróżowa z jednej strony, żółta z drugiej - zwisała mu swobodnie z prawej ręki. - To w tym momencie decyduje się, czy walczyć - rzekł Pablo. - Rozgląda się za stadem i spokojem, widzi tylko mężczyznę i podejmuje walkę na śmierć.

Robert dostrzegł mgnienie ruchu. Czarna skóra, czerwona peleryna i złoto - srebrno - niebieski kunsztowny kostium toreadora splotły się w pełnej wdzięku spirali. Przez chwilę wydawało się, że człowiek i byk są jednym istnieniem, potem zwierzę wykonało szarżę i pierwsze potężne ole tego popołudnia wydarło się z gardeł widzów. - Co się dzieje? - dopytywał się Robert. - Myślałem, że ten chłopak zginie.

Pablo całą swoją uwagę znowu skupił na arenie, nie usłyszał pytania. To Sofia na nie odpowiedziała. - To było wspaniałe przejście. Pełna veronica, doskonała, byk był bardzo blisko jego piersi.

Przechyliła się bliżej do Anglika. Mówiła tak dużo zarówno przez wzgląd na niego, jak i na siebie, jako że mówienie uciszało krzyk myśli w jej głowie. - Mówią na to tercio de varas. To pierwszy atak walki. Toreador z peleryną, a potem pikadorzy.

Tłum zakrzyknął raz jeszcze, zagłuszając jej słowa. - Patrz - krzyknęła Robertowi w ucho. - Patrz, jak wabi byka swoją peleryną, a potem zwodzi go, by nie sięgnął jego ciała.

Carlos stał całkowicie spokojnie, w idealnie poprawnej pozycji. Blond włosy splótł w tradycyjny warkoczyk toreadora, zwisający do połowy pleców - zgodnie z przepisami. Był doskonały. Słyszeli, jak przywołuje byka, wydając ciche dźwięki i trzepocząc peleryną. Zwierzę atakowało, a Carlos kontrolował je z niewzruszoną pewnością siebie, prowadząc zwierzę w przód i w tył w kolejnej serii oszalamiających veronic; za każdym razem rogi przechodziły coraz bliżej jego ud, o włos od rozcięcia ciała.

- Ole! Ole! Ole! - Dłonie tłumu zdawały się dymić w szaleństwie oklasków.

- Spójrz! - Sofia nieprzytomnie chwyciła ramię Roberta.

- Spójrz na to!

Carlos wprowadził byka w coś, co wydawało się następną veronicą, ale w ostatnim momencie machnął peleryną nad jego głową,

jakby zamierzał ją nań zarzucić. Różowo - żółte fałdy rozpostarły się w lśniących promieniach słońca jak kwiat, który zawisł na chwilę w powietrzu, potem zatrwożony zamknął się. Byk przetoczył się obok. – Farol - wyszeptała Sofia. - Widziałam to już, ale nigdy nie było to tak wspaniałe.

Robert czuł, jak Sofia ściska jego ramię. Palce wbijały się w jego ciało ze zdumiewającą siłą. - Matko Boska - westchnęła. - On jest na kolanach!

Walczący rzeczywiście przykląkł przed bykiem. Nie był to jednak wypadek, jak Robert pomyślał w pierwszej chwili. To jeszcze jeden z zadziwiających ruchów peleryny. Toreador nie miał szansy odskoczyć, kontrolował olbrzymiego przeciwnika tylko siłą swojej sztuki. Zakończył kolejnym wstrzymującym dech przejściem, a kiedy wstał i wyciągnął rękę do tłumu, ten wybuchł szaleństwem uznania.

Toreador wyszedł za ogrodzenie. - Co teraz? - dopytywał się Robert. - To koniec?

- Nie, teraz czas na pikadorów.

Na arenę wjechało na koniach dwóch mężczyzn. Dzierżyli długie lance, a ich konie miały jedno oko przesłonięte. - Żeby poruszały się tylko zgodnie z ruchem wskazówek zegara wzdłuż ogrodzenia - wyjaśniła Sofia. - I nic nie może być po prawej stronie byka. To jego naturalna linia wyjścia.

Kiedy Sewilczyk zszedł na krótko z areny, Pablo odprężył się trochę. - To jest część mało zrozumiała - powiedział swemu kuzynowi. - Wbija się w byka lance, nie by się nad nim znęcać, tylko żeby go trochę wyczerpać i żeby pochylił łeb na końcowe natarcie.

Robert nie skomentował jego wyjaśnień. Dla niego wyglądało to na bezsensowne okrucieństwo. Kilka minut później było po wszystkim i konie wyszły przez tę samą bramę, którą weszły. - Teraz tercio de banderilleros - wymruczała Sofia. - Drugi akt. Toreador ich zastąpi, bo to jego alternativa.

Sewilczyk wrócił na arenę. Niósł dwie naostrzone włócznie. Robert ocenił, że miały po dwie stopy długości. Były udekorowane wstążkami i proporczykami. Zanim właściwie zdał sobie sprawę, co się stało, toreador dogonił byka i wbił włócznie po obu stronach kłębu stworzenia. Widownia znowu wybuchła serią okrzyków, wyglądało na to, że jest ukontentowana. Może toreador zrobił to wyjątkowo szybko, Bóg raczy wiedzieć.

- Sześć banderilli - wyjaśniła Sofia. - Trzy pary. Mają obniżyć łeb byka przed ostatnim natarciem, a poza tym rozwścieczyć go. Mówią, że dobry byk staje się pod wpływem bólu silniejszy i dzielniejszy.

Wszystkie włócznie znalazły się na swoim miejscu, zanim Sofia dokończyła swoje wyjaśnienia.

Zapadła cisza. Atmosfera uległa zmianie. Chwilę wcześniej okrzyki tłumu były pełne aprobaty, teraz widzowie milczeli. Trąbki zagrały kilka taktów paso dobre. Na arenie pojawił się jeszcze jeden człowiek. - To Pepe Talosa - wyszeptała Sofia. - Jest bardzo sławny, to matador. Teraz przyznaje alternatywę Carlosowi.

Robert spojrział na nią. - Kto to jest Carlos?

- Sewilczyk. To jego prawdziwe imię.

Wygląda na niezwykle podenerwowaną. Robert zastanowił się dlaczego. Potem jego uwagę z powrotem przyciągnął krąg piasku. Drugi walczący podał pierwszemu szpadę i jeszcze jedną pelerynę. Tłum wciąż czekał w ciszy, ale znowu zakrzyknął, kiedy Sewilczyk pozdrowił alkada. - Dedykuje swego byka burmistrzowi - wyjaśniła Sofia.

Człowiek, którego Sofia nazwała Pepe Talosą, opuścił arenę. Teraz wszystko zależało od młodego. Robertowi nie trzeba było mówić, że to ostatni akt dramatu. Mógł odczytać to z twarzy ludzi dookoła, ze sposobu, w jaki pochylił się Pablo Luis, jakby był połączony jakimś niewidzialnym więzłem z młodym człowiekiem ze szpada, jakby byli jedną osobą.

- Buena fortuna - wyszeptała Sofia.

Robert usłyszał ją. Działo się tu coś, co nie do końca rozumiał. Coś zbyt głębokiego i osobistego, aby było po prostu częścią korridy. Teraz nie miał czasu zastanawiać się nad tą zagadką. Toreador udrapował pelerynę na szpadzie i manipulując nimi jedną ręką, wprowadził byka w kolejną serię zawiłych ruchów.

Grożące mu niebezpieczeństwo było oczywiste nawet dla kogoś, kto niewiele z tego rozumiał. On sam najwyraźniej też był tego świadom. Krzyki tłumu stały się ochryple i szybkie, barwna plama złożona z mężczyzny i bestii obracała się jak dziecięcy bąk na piasku. Robert dał się porwać gorączce, oślepijącemu słońcu i wirtuozerii przedstawienia, i rozkrzyczał się jak wszyscy inni.

Sofia wstrzymała oddech. Nie sposób było wyobrazić sobie, że Carlos może dorównać ruchom peleryny, które już im zaprezentował. I nie zrobił tego. Pięć minut później, zasłaniając szpadę muletą i obie trzymając w jednym ręku, zwielokrotnił swoją doskonałość - jego wdzięk, elegancja, opanowanie i bezgraniczna odwaga wzrosły ponad granice wyobraźni.

Zagrała trąbka. Tłum ucichł.

Carlos zatrzymał się. Wyciągnął ramię i zatoczył pełne koło, zamykając w tym geście każdego widza. Zabije dla nich; byk należał do widzów.

Przebiegł wzrokiem plac, zatrzymując się na twarzy Pabla Luisa. Już miał się odwrócić, ale znieruchomiał. Zobaczył Sofię. Ponad skrwawionym piaskiem wymienili spojrzenia, ale poza tym sekundowym wahaniem nie było widocznego znaku, że cokolwiek się stało.

Carlos wyprostował się, stał wpatrzony w byka, który chwilę przyglądał mu się, nim pognał do przodu. Carlos wygiął się w łuk, wyskoczył wysoko w powietrze i wbił szpadę po rękojeść w jedyne słabe miejsce pomiędzy łopatkami byka.

Sewilczyk zabijał równie niewiarygodnie, jak walczył. Dobił zwierzę jednym pchnięciem zadany a volapie, ze stopami w powietrzu. Potężne czarne ciało zatrzęsło się, bestia chwiała się, póki mogła zaczerpnąć oddech, potem padła na ziemię. Sofia poczuła, jak Pablo Luis się wzdrygnął, jakby on też zakończył doskonałą walkę.

Ludzie nie od razu zareagowali, porażeni czystą poezją ruchu, który właśnie widzieli. Potem na piasek spadł deszcz kwiatów, rzucanych przez każdą obecną na korridzie kobietę. Krzyki wstrząsnęły starymi murami Plaza Mayor.

Te okrzyki odbiły się echem po całej Hiszpanii. Nie było miasta ani wsi, gdzie nie mówiono by o tym, co stało się tego dnia. Pablo przechylił się za Sofią do Roberta. - Pamiętaj, co tu zobaczyłeś, mój angielski kuzynie. Obnażyliśmy przed tobą swoją duszę, a ty byłeś przy narodzeniu legendy.

Sofia wiedziała, że on przyjdzie. Wysłała Juanę na spoczynek i czekała na niego w otwartych drzwiach małego domu przy Puerta de Toledo.

Usłyszała jego kroki, zanim go zobaczyła. Potem wyłonił się zza rogu, podbiegł kawałek i zatrzymał się kilka jardów przed nią.

Wpatrzył się w nią. Było bardzo późno, po północy, a księżyc w pełni rzucał światło na ciemne włosy Sofii, na jej zadziwiające oczy. - To naprawdę ty - wyszeptał.

- Tak, to ja. - Jej serce łomotało. Patrzenie na niego w tym nowym wcieleniu, po tak długim czasie, przyprawiało ją o zamęt myśli i burzę uczuć. Gniew, zaskoczenie, nawet echo miłości; Sofia nie mogła oddzielić jednej emocji od drugiej. Zdawała się doświadczać wszystkich naraz.

- Dzisiaj na korridzie - wymruczał Carlos - byłem pewien, że to ty. Potem powiedziałem sobie, że musiałem się pomylić. Wieczorem w tawernie, w której świętowaliśmy, zapytałem Pabla o kobietę, która była z nim...

- I on powiedział ci, jak mam na imię?

- Nie. - Postąpił krok bliżej niej, dotknął jej ramienia, jakby chciał udowodnić sobie, że jest prawdziwa. - Nie, powiedział niewiele, a ja nie chciałem, żeby sobie pomyślał, że... za bardzo się interesuję.

Sofia skinęła głową, uznając, że Carlos, może nawet nieświadomie, odgadł charakter stosunków pomiędzy nią a Pablem. - Gdzie teraz jest hidalgo? I jak mnie znalazłeś?

- Wciąż świętuje. Obawiam się, że jest bardzo pijany. Cała reszta, wszyscy ci, którzy nagle okazali się moimi wielkimi przyjaciółmi, też są bardzo pijani. Ludzie mówią więcej, niż powinni, kiedy ich brzuchy są pełne wina. Ktoś wspomniał o kobiecie, mieszkającej przy Puerta de Toledo, która... - przerwał, jakby nie chciał mówić dalej.

Sofia popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę, potem weszła do środka. - Wejdz. Nie możemy rozmawiać na ulicy.

- Nic się nie zmieniło - rzekł Carlos.

- Wszystko się zmieniło - upierała się Sofia.

- Bo myślałaś, że opuściłem cię cztery lata temu?

- Opuściłeś mnie.

- Nie. Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć? - Carlos siedział sztywno na małej kanapie obitej blad różowym brokatem. Przez te minione lata zdołał się już przyzwyczaić do luksusu, do sposobu życia obcych, teraz jednak nie mógł połączyć tego wszystkiego z Sofią. Trudno było uwierzyć, że siedzi z nią w tym wspaniałym domu i że ona jest tu panią. Obcy ją ucywilizował; mogłoby się wydawać, że

całe jej życie z Cyganami nigdy nie miało miejsca. - Odszedłem, by zdobyć pieniądze, za które miałem odkupić cię od Paca - powtórzył. - Nie opuściłem cię. Przestrzegałem prawa Romów.

- Już mówiłeś. Ale wychodzi na to samo, Carlosie. Odszedłeś, a ja poślubiłam tę świnię, która w końcu zamordowała moje dziecko. Jak sądzisz, co czuję?

- Rozumiem, co czujesz do Paca. Ale nie rozumiem, dlaczego mnie obwiniasz. Co miałem zrobić, Sofio?

- Mogłeś zabrać mnie ze sobą. Zamiast tego uciekłeś i zostawiłeś mnie, a potem stało się to wszystko.

- Myślałem, że poczekają dwa lata. - Carlos w geście frustracji przeczesał palcami włosy. Nie były już splecione w warkocz, spływały luźno na plecy, złapane jedną spinką. - Póki Joselito nie powiedział mi, że wzięłaś ślub, nie przyszło mi do głowy, że Zocali zignoruje prawo i skróci okres narzeczeństwa.

- Zocali chciał swoich pieniędzy. Wy wszyscy czegoś ode mnie chcieliście. Jedynie Fanta okazała się inna. - Sofia wstała z kanapy i przeszła się po pokoju. - Tylko Fantę naprawdę obchodziłam. A teraz nawet nie mogę jej odszukać, bo gdyby mnie ktoś zobaczył, ukamienowaliby mnie. Wszyscy w plemienu wierzą, że to ja zabiłam Sarę. Co o tym myślisz, mój świetny matadorze? Wyobraź sobie. Wychowali mnie i są jedyną rodziną, jaką znam, a jednak myślą, że zamordowałam swoją córkę.

- Fanta nie żyje - powiedział cicho. Zatrzymała się. - Kiedy umarła?

- Rok temu. Widuję czasem Joselita, od niego to wiem. Siadła ciężko na małym zielonym taborecie wyściełanym morwowym jedwabiem i schowała głowę w dłoniach. - Rok temu. Fanta była jedyną matką, jaką kiedykolwiek miałam, umarła rok temu, a ja o tym nie wiem. Oto czym stało się moje życie, Carlosie. Płynę z odciętą cumą, jak pień niesiony przez nurt.

- Nie, nie jesteś sama. - Podeszedł do niej, ujął jej dłonie w swoje. Były słabe i lodowate. - Jesteś moja, Sofio. Zawsze byłaś moja. Wyjdź za mnie teraz. Jestem największym matadorem w Hiszpanii. Będziesz miała klejnoty i najwspanialsze suknie. Będziemy...

Uwolniła swoje dłonie i zaśmiała się cicho. - Carlosie, nie zastanawia cię, jak doszłam do życia w domu takim jak ten? Nie zastanawia, co robiłam na walce byków z Pablem Luisem Mendoza?

Dla ciebie to opiekun, ale na pewno wiesz, że jest najbogatszym człowiekiem w Hiszpanii.

- Wiem o tym, ale... - Rozejrzył się uważnie, jakby widział dom po raz pierwszy, potem znów popatrzył na Sofię. Miała na sobie suknię z bladoniebieskiego jedwabiu ozdobionego czarną koronką. Włosy ściągnięte do tyłu w kok przewięzała sznurem migoczących pereł. A jeszcze jaśniej błyszcząły perły w broszy na jej piersiach.

Przechylił się do przodu, chwycił ją za ramię i potrząsnął nią. - Ci ludzie dziś wieczorem mówili różne dziwne rzeczy. Nie wierzyłem im. Ale to prawda, tak? On jest twoim kochankiem. Ten opętany garbus cię kupił? To dzięki niemu jesteś w tym domu?

- To niezupełnie tak. - Odepchnęła jego ręce i wstała. - Ale sprowadza się do tego samego. Jak inaczej mogłabym przeżyć, Carlosie. Jak twoim zdaniem może sobie poradzić kobieta zdana na siebie, bez pieniędzy, bez rodziny, bez niczyjej opieki? Może być dziwka, kurtyzana albo znaleźć sobie możnego, dyskretnego protektora. Mam szczęście należeć do trzeciej kategorii.

- Dziwka - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Możesz wymyślać najbardziej pokrętne tłumaczenia. I tak jesteś dziwką.

Ręka Sofii wystrzeliła z ogromną siłą i uderzyła go w policzek. Brylant z pierścionka przeciął skórę na jego policzku, z ranki popłynęła krew. - Jak śmiesz! Masz mniejszy mózg niż byki, z którymi walczysz.

I dużo mniej odwagi. Możesz zabić nie wiadomo ile byków, a i tak pozostaniesz tchórzliwym Carlosem.

Rzucił się do niej, chwycił za ramiona i odchylił do tyłu. - Dziwka! Mała kurewka! Jesteś oszustką i kłamczuchą. Obcą wiedźmą. Żałuję, że nie zostawiłem cię bandytom. Żałuję, że nie pozwoliłem, żeby El Hambrero zjadł cię żywcem.

Na chwilę uchyliła się zasłona, a za nią Sofia zobaczyła horror, którego jej umysł nie mógł objąć. Zachłysnęła się i przestała się miotać.

- O mój Boże... Święta Dziewico... To El Hambrero był tamtej nocy w górach... - Jej ciałem wstrząsnął szloch. - Pamiętam, Boże na niebiesiech, pamiętam. Była tam kobieta, on odciął jej pierś i zjadł ją. Potem dziecko...

- Nie! Na miłość boską, Sofio, nie przypominaj sobie. Przycisnął ją do siebie, wszystkie myśli o zemście zniknęły. - To

była najgorsza noc mojego życia. Nigdy nie chciałem ci o tym mówić. Wybacz mi, Sofio. O Boże, tak bardzo cię kocham. Zawsze cię kochałem. Nie ma znaczenia, co robiłaś. I tak jesteś moja. Uratowałem cię i należysz do mnie.

Jego słowa płynęły nieprzerwanym potokiem. Nie słyszała ich. Do jej świadomości docierał tylko silny uścisk jego ramion i wspomnienie tego samego uścisku, który wiele lat temu dał jej ratunek. Przywarła do Carlosa, który stał się jedynym bezpiecznym elementem w świecie niewyobrażalnego okrucieństwa. Słyszała krzyki, czuła zapach palonego ciała, widziała potężnego mężczyznę na białym koniu, krew spływającą po jego brodzie, kiedy przeżuwał ludzkie mięso. - Trzymaj mnie, Carlosie - błagała. - Trzymaj mnie. Nie pozwól, żeby on mnie zabrał...

- Cichutko... Nikt cię nie skrzywdzi. Jestem przy tobie, będziemy razem i nikt nie może cię tknąć.

Po raz pierwszy pocałował ją w usta, delektował się ich smakiem. Nawet jej słone łyzy wydawały mu się słodkie. Czuł miękkie ciało przytulone do jego wezbranej męskości, czuł jedwab jej sukni powyżej talii, krągłość bioder i pośladków drżących pod jego dłońmi. - Jesteś moja - wyszeptał znowu. - Jesteś moja.

Padli na dywan wciąż ciasno przytuleni, i w końcu ją posiadł. Wziął ją tak samo, jak wybawił tamtej nocy w górach ponad płonącym pueblo Mujergorda - w pośpiechu, kierując się tylko instynktem, nie myśląc o reszcie świata ani o przyszłości.

- Co jeszcze pamiętasz? - spytał później, leżąc obok niej w ciemności, z twarzą zatopioną w jej długich, czarnych włosach, odurzony zapachem cytryny, emanującym z jej ciała.

- Nic więcej. Zawsze myślałam, że jeśli przypomnę sobie tamtą noc, będę pamiętać wszystko. Kim jestem, skąd pochodzę. Ale nie. Pamiętam tylko El Hambrera.

Znowu się wzdrygnęła, a on ukoił ją delikatnym dotykiem i pocałunkami. - Wszystko dobrze, miła moja. Teraz nic nie może cię zranić.

Sofia chciała mu wierzyć, ale wiedziała, że to nie jest prawda.

- Posłuchaj mnie, o Pablu...

- Nie wspominaj jego imienia. Chcę zapomnieć, że się urodził. Chcę zapomnieć, że kiedykolwiek cię dotykał. Wyjedziemy gdzieś, Sofio. On nigdy nas nie znajdzie.

- Nie.

- Nie rozumiem. Co innego możemy zrobić? - Podparł się na jednym łokciu, przyglądając się jej twarzy w mlecznym świetle księżyca, który świecił przez okno.

- Jest za późno, żeby wyjeżdżać razem, Carlosie. Mieliliśmy tę szansę przed laty i nie wykorzystaliśmy jej. Nie mogę opuścić Pabla. On mnie potrzebuje.

- Pozwoliłabyś mu... Nie wierzę w to! Nie uwierzę. Nic nie rozumiesz? Należysz do mnie. To moje prawo. Wyniosłem cię z piekła i jesteś moja.

- Nie, ty mnie raz posłuchaj... - Usiadła. Jej piersi były wspaniałe, miękkie i pełne, zwieńczone ciemnoróżowymi brodawkami. Nie zwracała na nie uwagi, pod tym względem też była Cyganką.

- Mówiłam ci już, kiedy tu przyszedłeś. Wszystko się zmieniło. Teraz jestem kimś innym, nie dzieckiem, którym byłam kiedyś. I ty się zmieniłeś. Nie jesteś półcygańskim dziwakiem ledwie tolerowanym przez Zocalego i resztę. Jesteś Sewilczykiem i cała Hiszpania leży u twych stóp. Zawdzięczasz to Pablowi Luisowi Mendozie. Oboje wszystko mu zawdzięczamy. Nie chcę patrzeć, jak ktoś go niszczy. Ani ty, ani ja.

- Nie mogę żyć, wiedząc, że on cię dotyka. - Położył dłoń na jednej z jej piersi. - Albo tu - Palce drugiej dłoni poruszyły się między jej udami. - Czy to ci robi? To?

Pieścił ją delikatnie, całował i dotykał w sposób, którego nigdy nie doświadczyła. - Czy przy nim wzdychałaś tak jak teraz, miła moja? Czy przyprowadził cię o takie dreszcze? Wstrzymywał tak oddech? Powiedz mi?

W odpowiedzi wyrzekła jego imię. Jedno długie słowo, które wypłynęło z jej ust z drżącym westchnieniem ulgi. - Carlos, och...

- Tak? - Opadł na dywan, oddychając równie ciężko jak ona. Jego skóra lśniła od potu, jakby sam zaznał rozkoszy.

- Nie mogę opuścić Pabla - wyszeptała. - Ty masz wybór. Ja nie odejdę, bo nie mogę.

W odpowiedzi rzucił się na nią i wdarł się do jej wnętrza.

Posłaniec wjechał przez Puerta del Sol, schylony tak nisko nad karkiem konia, że niemal dotykał ustami jego grzywy. Prawą rękę zaciskał na krótkich cuglach, lewą popędzał konia. Przed nim

majaczyła w świetle księżyca bryła pałacu królewskiego. Zdecydował się skrócić w aleję po prawej. Ściany budynków niemal dotykały boków zwierzęcia, spod kopyt na buty jeźdźca bryzgały cuchnące ścieki. Nic go nie wstrzymywało.

Nie miał czasu jechać do stajni na tyłach odosobnionego domu na Calle del Campo - wciąż był w pełnym galopie, kiedy ściągnął cugle przed frontowymi drzwiami. Gniady stanął dęba na zadnich nogach i zarżał głośno w proteście. Jeździec zeskoczył z siodła, zanim przednie kopyta konia uderzyły o bruk. - Wiadomość dla hidalga - krzyknął, łomocząc pięścią w grube na stopę dębowe drzwi. - Pilna!

Przez niemal dwie minuty walił w drzewo nieprzerwanie. W końcu drzwi rozwarły się na potężnych czarnych żelaznych zawiasach. - Zwariowałeś? - spytał stary majordomus. - Kim jesteś i czemu nas niepokoisz w środku nocy?

- Mam wiadomość dla hidalga - odparł mężczyzna. - Musi natychmiast wyjechać do Kordoby. Donia Carmen jest bardzo chora. Właściwie jest umierająca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W pokoju było duszno, okna szczelnie zamknięto przed złym powietrzem, które - jak wiadomo - niesie chorobę. Łóżko stało na podwyższeniu pod ścianą, obwieszane czarnymi zasłonami. Na marmurowej podłodze leżał ciemny wełniany dywan, a krzesła i kufry, które wypełniały niemal całą przestrzeń, podobnie jak łóżko były zasłonięte czarną materią. Nie na znak zbyt wczesnie przywdzianej żałoby. Donia Carmen wybrała ten wystrój na długo przedtem, zanim zmoęła ją gorączka.

Zapach krwi, moczu i kału był bardzo silny. - Od miesiąca codziennie przystawiamy pijawki - wyjaśnił lekarz Pablowi Luisowi. - A od sześciu dni dajemy kalomel na przeczyszczenie. Żałuję, hidalgo, ale niewiele możemy zrobić.

Pablo odprawił go ruchem ręki i podszedł do łóżka. Wydawała mu się szczuplejsza. Może lekarstwa nie leczyły gorączki, ale coś zmniejszyło opuchliznę, która dręczyła ją przez ostatnie lata. Pochylił się nad nią, na tyle nisko, by słyszeć chrapliwy oddech i wyczuć kwaśny zapach z jej ust. - Mamusiu - wyszeptał, używając czułego zwrotu z dzieciństwa. - To ja. Jestem tutaj.

Czarne oczy otworzyły się i spojrzały na niego. Carmen próbowała unieść jedną rękę i dotknąć jego policzka, ale była zbyt słaba. Rozchyliła wargi, wydała jakiś dźwięk. Pablo nachylił się jeszcze niżej. Otworzyła usta szerzej, bezskutecznie próbując wydusić z siebie jakieś słowa. Z jej gardła dobył się tylko niezrozumiały szept. Ale musiała przemówić. Musiała powiedzieć mu, że Anglik jest żydem i że chce przewodzić rodzinie, a karzeł jest jego szpiegiem. Chcieli pozbawić Pabla tego, co mu się prawnie należy. - Żyd - zdołała wycharczeć.

- Wiem, mamusiu - wyszeptał Pablo. - Wiem. To nie ma znaczenia.

Musiała mu powiedzieć, jak wielkie ma to znaczenie. Musi sprawić, by zrozumiał, że jego jedyną bronią jest Inkwizycja. Może znaleźć płytę i wydać intruza Inkwizycji, wtedy jego dziedzictwo będzie bezpieczne. Zdołała uformować pierwszą część słowa. - Pły... - wyszeptała. Potem umarła.

Książd okrążył otwartą trumnę, spryskując ciało wodą święconą wytrząśniętą z liścia palmowego umieszczonego w złotym uchwycie z klejnotami. Kropidło błyskało w blasku tuzina wysokich świec, a snop

topazowego światła wpadał przez witraż umieszczony nad ołtarzem. Mimo tego całego oświetlenia większa część katedry w Kordobie pozostawała w mroku - ocieniało ją to, co było na zewnątrz. Triumfujący chrześcijańscy królowie wzięli jako łup ogromny meczet zbudowany czterysta lat wcześniej przez muzułmańskich kalifów i zbudowali w nim kościół, ale rozległa przestrzeń architektury islamu pokonała zwycięzców.

Las marmurowych filarów rozciągał się w każdym kierunku, jak daleko Robert mógł okiem sięgnąć. Filary podtrzymywały łuki z różnobarwnego kamienia rzeźbionego w mauretańskie filigranowe wzory tak zawile, że wyglądały jak utkane z nici. Wyobraził sobie bosych Arabów leżących plackiem w modlitwie, w białych szatach jaskrawych w bladym świetle, z nieodłącznymi bułatami u boków. Oprawa obrządku katolickiego wydawała się Robertowi zwyczajna i tymczasowa.

Stał obok Pabla Luisa przy marach donii Carmen, w miejscu zarezerwowanym dla rodziny. Kapłan odprawiał nabożeństwo monotonnym głosem, ale Robert ignorował natrętne łacińskie słowa. Patrzył na ciało. Teraz mógł uwierzyć, że kiedyś była wielką piękną. Śmierć zniosła obrzęki, które deformowały donię Carmen przez ostatnie lata życia. Była ubrana w czarną, satynową suknię, na głowie udrapowano jej czarną mantylkę. Wyglądała ładnie i spokojnie, nie jak obłąkana, która konspirowała z nim w piwnicy pod pałacem.

Msza żałobna dobiegła końca. Robert i Pablo odwrócili się, by podążyć za trumną w jej ostatniej drodze. Procesja opuściła półcień kościoła, który miejscowi ludzie wciąż nazywali la mezquita, meczetem, i wyszła na szerokie otaczające go patio. Słońce sierpniowego popołudnia oślepiło Roberta. Zamknął oczy i znowu je otworzył. Maria Ortega stała kilka stóp od nich, przyglądając się ceremonii. Na jej twarzy dostrzegł wyraz nienawiści i triumfu. Ta kobieta wiedziała zbyt wiele. Jego ojciec nazwałby ją niedopałkiem, pozostałością czegoś, z czym należy się uporać. Ale najpierw inne sprawy. Pogrzeb, a potem Pablo Luis Mendoza.

Zmierzch już zapadł, kiedy dwóch mężczyzn zostało samych w jednym z licznych salonów pałacu. - Mamy interes do omówienia, jak się domyślam - rzekł Pablo.

- Nie chciałbym cię dziś tym zaprzętać - odparł Robert.

- Musimy porozmawiać o paru ważnych rzeczach, ale wystarczy, jeśli zrobimy to jutro.

- Jutro może mnie nie być. W niedzielę Carlos walczy w Walencji. Donia Sofia spotka się tam ze mną. Wyjeżdżam o świcie.

- Donia Sofia zaczeka cierpliwie. A jeśli chodzi o tego toreadora, na pewno poradzi sobie na jednej korridzie bez ciebie.

Pablo pociągnął łyk sherry. - Bez wątpienia świetnie będzie walczyć beze mnie. To ja chcę jechać do Walencji - dodał cicho.

- Dla siebie, nie dla niego.

- Rozumiem.

- Doprawdy?

- Tak mi się wydaje. A co zamierzasz zrobić z tym wszystkim?

- Robert machnął ręką w geście, który obejmował wszystko, czym wielka posiadłość była i co znaczyła. - Ani pałac, ani sprawy Mendozów nie potoczą się same, Pablo.

Jego rozmówca potrząsnął głową. - Nie mam smykałki do interesów ani chęci do zajmowania się nimi. Ale ty o tym wiesz. To dlatego tu jesteś, prawda?

- Nie jestem pewien, czy rozumiem...

- Tak, Robercie, myślę, że rozumiesz. Wiesz, kiedy masz garb na plecach i skrecone ramię, ludzie myślą, że z twoim umysłem też coś nie tak. A z moim umysłem wszystko w porządku, kuzynie. Nie oceniam mnie zbyt nisko.

- Myślisz, że tak robię?

- Nie jestem pewien, ale jeśli wyobrażasz sobie, że nie jestem świadom, iż pragniesz rządzić domem w Kordobie, to owszem - nie doceniasz mnie.

Robert odczekał chwilę, nim odpowiedział. - Ktoś musi to robić - rzekł w końcu. - Nie będzie rządził się sam - powtórzył.

- Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

Pablo wstał. - Rób, co ci się podoba. Idę do łóżka. Och, Robercie, jest coś jeszcze. Ten karzeł, Hawkins. Wiesz, że on jest twoim przyrodnim bratem, prawda?

Zdziwienie Roberta uwidoczniło się na jego twarzy.

- Nie, widzę, że nie wiedziałeś. - Pablo zachichotał. - Ojciec powiedział mi o tym przed laty. Jak sądzisz, dlaczego by w innym wypadku Benjamin tak się troskał o los tego biednego stworzenia? Dobrej nocy, Robercie. I żegnaj, jak sądzę. Nie zobaczymy się rano.

Polecilem przygotować powóz o świcie, jak już mówiłem. Bóg jeden wie, kiedy znowu będę w Kordobie. Nienawidzę tego przeklętego pałacu. Zostań tu, jak długo ci się spodoba. Dbaj o wszystko. Ty tego chcesz, a mnie to nie sprawia różnicy.

Robert spojrzął zza rejestru, który studiował, na karła siedzącego na wysokim stołku przy stole po drugiej stronie pokoju. - Hawkins, powiedz mi, kto był twoim ojcem?

- Nie wiem, sir. Nigdy go nie znałem, a matka nigdy mi nic o nim nie mówiła. Nazywała się Hawkins, Sally Hawkins.

- Ach, rozumiem. - Wcale nie rozumiał. Przyglądał się Harry'emu Hawkinsowi przy każdej okazji, od czasu gdy Pablo Luis wyjechał dwa tygodnie temu. Nie mógł znaleźć niczego z Beniamina ani w twarzy małego człowieka, ani w jego skarłałym ciele.

Myśl, że jest tej samej krwi co ten biedak, nie dręczyła Roberta. Harry Hawkins nie ponosił winy za swoje pojawienie się na świecie. Nie mogło się natomiast pomieścić w głowie młodego Anglika, że jego ojciec miał za kochankę pomywaczkę. I to we własnym domu. Pamiętał, jak Beniamin wyglądał, kiedy usłyszał o don Domingu i Marii Ortedze. - Żona to żona - rzekł wtedy. - A kochanka to inna sprawa. Mężczyzna nie powinien trzymać ich pod jednym dachem...

Bóg raczy wiedzieć, jak to było. Robert potrafił zrozumieć, że czasami mężczyzna nie może kontrolować swoich żądz. Jego własne ostatnio przysparzały mu sporo kłopotów, czy raczej niewygody. Przypadkowe eskapady do burdeli w Kordobie nie były ani bezpieczne, ani satysfakcjonujące. Nie ufał tym jedwabnym osłonkom, a wiedział, co choroba tego rodzaju może zrobić z człowiekiem. Ryzyko było zbyt wielkie. Musiał sobie znaleźć kobietę na wyłączność. Koniec z dziwkami.

Westchnął. Przypomniał sobie, że był w burdelu co najmniej sześć razy w ciągu czternastu miesięcy. Złożone tym razem postanowienie najpewniej nie przetrwa dłużej niż pozostałe. Czuł ból w pachwinie, ogromne pragnienie i...

Rozległo się pukanie do drzwi. - Mogę zobaczyć, kto to, sir?

- Tak, Hawkins. I jeśli to nie jest pilne, obetnij pensję temu, kto puka, ktokolwiek to jest. O połowę przez trzy miesiące. Służący wiedzą, że nie mają nam tu przeszkadzać. - To była zasada Dominga; uznał ją za dobrą i podtrzymał w mocy.

Karzeł otworzył drzwi i wyszedł na korytarz między gabinetem a pałacem, zamykając drzwi za sobą. Wrócił po chwili. - To pilne, sir. Poślaniec z Kadyksu. Przywiózł list z Londynu.

Robert sięgnął po list i spojrzął na czerwony woskowy odcisk pieczęci. - To od mojego ojca, Hawkins. Pierwszy od sześciu miesięcy. Już myślałem, że zapomniał o mnie. - Otworzył list niecierpliwie i szybko przebiegł wzrokiem. Potem podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Nie dziwota, że tak długo to trwało, niełatwo było to załatwić. Zamów powóz, Hawkins. I uzbrojoną straż. Bardzo ważny ładunek czeka na nas w Kadyksie.

- Złoto, sir? - spytał cicho karzeł.

- Złoto, Hawkins. Wystarczy, by spełnić obietnicę daną królowi Karolowi, i jeszcze trochę zostanie. Możemy zacząć wykupywać swoje dobra z tego piekielnego bałaganu.

Lśniący trzymasztowy statek handlowy zakotwiczył prawie milę od brzegu. Sześciu mężczyzn wiosłowało w wynajętym barkasie, ale godzina minęła, nim dotarli do statku. Robert siedział na dziobie, słuchając plusku wiosła w wodzie. Kiedy podpłynęli bliżej, obejrzał pełen wdzięku trzydziestopięcioletni drewniany kadłub „Królowej Judyty”.

Podobnie jak siostrzany statek „Królowa Ester”, i ten był uzbrojony w szesnaście dział, osiem po lewej burcie i osiem po prawej. Naliczył pięć czarnych wylotów wycelowanych w barkasa. „Królowa Judyta” była uzbrojona po zęby i najwyraźniej miała załogę liczniejszą niż dziewiętnaście osób, którymi zazwyczaj obsadzano statki handlowe.

Kadłub był głęboko zanurzony, kwadratowe żagle zwinięte. Z bliska Robert zobaczył czerwoną banderę floty brytyjskiej, która powiewała na bezanmaszcie, a poniżej kasztanowo - złotą flagę rodziny Mendozów. Barkas dobił do burty. Robert wstał. - Ahoj, „Królowo Judyto"! Możemy wejść na pokład?

Przez reling wychylił się marynarz, który machnął latarnią, tak aby oświetlić barkasa. Dla potwierdzenia tego, co bez wątplenia zobaczył już przez lunetę, rzucił: - Kto pyta?

- Robert Mendoza. Gdzie wasz kapitan?

- Tutaj, panie Robercie. - Rudi Graumann podszedł do relingu. - Możecie wejść na pokład. Bosmanie, rzuć dla naszych gości drabinę sznurową.

Robert wspiął się na pokład po jutowym trapie. - Ojciec napisał, że to pan dowodzi, kapitanie Graumann. Czy znowu pracuje pan dla domu Mendozów? Co się stało z flotą wielorybniczą?

- Nic się nie stało. Przynajmniej taką mam nadzieję. Pan Benjamin prosił, żebym podjął się tej podróży, bo znam pana z widzenia. Chyba mu na tym zależało.

Sposób, w jaki Holender się uśmiechnął, powiedział Robertowi, że Graumann zna charakter ładunku. - Doprawdy? - Robert zachichotał. - Cóż, mój ojciec zawsze był ostrożny.

- Chodźmy na dół, sir. Tam możemy porozmawiać swobodniej. Robert skinął głową, ale zanim podążył za Graumannem, odwrócił się w stronę łodzi. - Wracaj na brzeg. Dostaniesz zapłatę, gdy tylko wpłyniesz do portu.

- Od tego potwora, senior? - jęknął przewodnik wioślarzy.

- Musimy brać pieniądze od potwora?

- Jeśli w ogóle chcecie jakieś pieniądze, weźmiecie je od pana Hawkinsa. I bądź dla niego miły. On cię niczym nie zrazi, ty przesądny głupcze. - Robert zwrócił się do Rudiego Graumanna: - Mój kancelista jest karłem, niech go niebiosa mają w swojej opiece. Nie znaczy to, że jest mniej inteligentny czy niegodzien zaufania, ale ci hiszpańscy idioci myślą, że jestznaczony przez diabła.

- To zapewne większy kłopot dla niego niż dla pana, sir.

- Tak, kapitanie, ma pan słuszność. Teraz chodźmy na dół i skosztuję trochę tego wspaniałego rumu, który zawsze można znaleźć na pokładzie pańskiego statku.

Rozmawiali w kabinie kapitana, przygotowanej dla Roberta, odkąd „Królowa Judyta” opuściła macierzysty port Blackwall nad Tamizą.

- To była spokojna podróż, sir. Mam trzydziestu załogantów, a każdy dwukrotnie został starannie sprawdzony. Najpierw pański ojciec sprawdzał, czy zasługuje na zaufanie, potem ja, czy zna się na rzeczy.

- Trzydziestu, he? To wyjaśnia dziesięć dział. Ale one wyglądają na zbyt stare, by można je było odpalić. Pojmuję, że nie mieliście problemów.

- Ani jednego, dzięki Bogu. Załadowaliśmy o północy, a o świcie postawiliśmy żagle. Żadni piraci nie dociekali, co wieziemy, nikt nas nie zaczepił.

- Nawet marynarka francuska. Czy urażę twoją holenderską dumę, kapitanie Graumann, jeśli wytknę, że Brytania raz jeszcze rządzi na morzach w czasie pokoju?

- Dumę to może nie, panie Robercie. Ale rozum, i owszem.

- Och, a to dlaczego?

- Nie wiem, co pan o tym myśli, ale ja nie wierzę, że ten pokój między Napoleonem a Anglią potrwa długo.

Robert nalał sobie dużo rumu i wziął pasztecik, dostarczony przez kuka. - Wie pan coś, czy to tylko domysły, kapitanie?

- Domysły, tak pan by to nazwał, sir. Ale to domysły oparte na tym, co mówi wielu ludzi w Londynie i Rotterdamie.

Paszтет smakował wybornie. Robert nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęskni za dobrym angielskim jedzeniem. - Szczerze mówiąc, ani się z tym zgadzam, ani nie zgadzam. W pewien sposób Kordoba leży na końcu świata. Nie żyje tak nowinkami ani plotkami jak Londyn.

- Zawsze słyshałem, że Hiszpania jest inna. Odcięta od reszty świata, można rzec, zajmuje się sobą.

- Tak, przynajmniej ludzie tacy są. To wszystko jest związane z ich fanatyzmem religijnym. Ale to i tak piękny kraj, fascynujący.

- Robert przełknął ostatni kęs pasztetu i strząsnął okruszki z torsu.

- No, czy jest pan gotów wprowadzić statek do portu i rozładować go, kapitanie?

- Kiedy tylko pan wyda takie polecenie, sir. I chętnie pozbędę się ładunku. To ponad sto skrzynek herbaty Assam.

Robert się uśmiechnął. - A więc to właśnie odwozimy do Kordoby. Herbatę Assam. Tutaj nie będzie z tego wielkich zysków. Hiszpanie są nałogowymi kawiarzami. Nieważne, kapitanie. Wszelki ładunek jest lepszy niż żaden. Wróćcie z winem. Pięćset beczek sherry z Jerezu. A jedna specjalna beczułka do osobistego użytku mojego ojca. Dwudziestoletnie amontillado. Coś wspaniałego. Proszę dopilnować, żeby to odebrał, dobrze?

- Zrobię to, sir. Kiedy podniesiemy kotwicę?

Robert zerknął przez iluminator, a potem na zegarek kieszonkowy.

- Kiedy tylko przyływ na to pozwoli. Już zaraz, jeśli właściwie odmierzyłem czas.

Holender przytaknął. - Pływ właśnie się zmienia, panie Robercie, a wraz z nim wiatr nabiera świeżości. Doskonale wyliczył pan czas. Jeszcze zrobimy z pana marynarza.

- Wątpię. - Poczuł, że pod wpływem kołysania statku paszтет i rum toczą wojnę w jego brzuchu. - Ale w Kadyksie czekają ludzie, a im szybciej wyładujemy tę raczej wyjątkową herbatę i wyprawimy ją do Kordoby, tym będę szczęśliwszy.

- Panie Robercie, mogę o coś spytać?

- O co chcesz, Hawkins. Zastanawiałem się, kiedy zamierzasz powiedzieć mi, co ci chodzi po głowie. Jakoś nie sędzę, żebyś rozmyślał o tym. - Robert kiwnął głową w stronę setki skrzynek herbaty, jadących na wozie za nimi. Każda zawierała sto szesnastouncjowych sztabek złota, dzięki którym miała wartość sześciu tysięcy funtów szterlingów albo pięciuset tysięcy reali. Razem dawało to pięćdziesiąt milionów reali. Wystarczy dla króla Karola, do diabła z jego skąpą duszą, i jeszcze trochę zostanie. Jak na złoto tej wartości, Robert nie martwił się za bardzo dostarczeniem go bezpiecznie do Kordoby.

Niewątpliwie w Hiszpanii, jak w każdym innym kraju, grasowali bandyci, ale pojazd z każdej strony otaczało dwunastu mężczyzn na koniach. Każdy nosił kasztanowo - złotą liberię Mendozów, każdy był uzbrojony w muszkiet i szpadę. Robert sam trzymał za pasem parę pistoletów. Przedtem musiał wybrać, czy mają rzucić się w oczy, a wyglądać na niepokonanych, czy też zachować wygląd nie wzbudzający zainteresowania ani podejrzeń. Zdecydował się na pierwsze i do tej pory nikt ich nie zaczepił. Był więc pewien, że tak pozostanie.

- Chodzi mi o złoto, ale nie do końca - rzekł Hawkins.

- Chciałbym przerwać podróż, sir.

- Gdzie przerwać? I dlaczego? - Robert utkwiał w karle zdumione spojrzenie, zastanawiając się, czy aby się nie pomylił, pokładając w nim zaufanie. Może liczne zapewnienia o lojalności były przynętą, a on połknął haczyk. Nie, to niemożliwe. Instynkt mu podpowiadał, że Harry Hawkins jest rzeczywiście, jak sam nieraz mówił, bezgranicznie oddany Mendozom. - Będziesz musiał znaleźć cholernie dobry powód, jeśli chcesz, żebyśmy się zatrzymali, zanim dotrzemy do Kordoby.

- Chciałbym, żeby pan kogoś poznał. - Karzeł patrzył na niego uważnie, próbując przekonać go po prostu siłą woli. - To bardzo ważna sprawa. I przejeżdżamy nieopodal. Może nigdy nie będzie takiej szansy.

- Szansy na co?

- Aby pan odwrócił wszystko, co zrobił pan dla don Dominga.

- rzekł Hawkins. - Aby postawić Mendozów po stronie aniołów i zasłużyć sobie na Boże błogosławieństwo.

- Po stronie aniołów - powtórzył spokojnie Robert. - To zapewne byłoby dla Mendozów coś nowego.

Hawkins nie chwycił dowcipu. - Wiem. Dlatego to takie istotne. Tylko godzina, sir. Tylko tyle to zajmie. I będziemy absolutnie bezpieczni. Przysięgam.

Był przekonujący. Roberta natomiast nurtowała ciekawość i dręczyły słowa Graumanna o odizolowaniu Hiszpanii i poczucie, że tak jest w istocie. Poza tym straż powinna być równie silna na postoju, jak i w drodze. - No dobrze, godzinę. Nie więcej i pod warunkiem, że nie musimy zbaczać z drogi.

Na twarzy Hawkinsa odmalowała się radość; jego małe ciało wręcz trzęsło się z uciechy. - Wiedziałem, że to dobry czas. Modliłem się do Najświętszej Pani, żeby wskazała mi właściwy moment, i oto jest. To naprawdę po drodze, panie Robercie. Proszę spojrzeć tam na lewo.

- Masz na myśli tę kamienną fortecę na wzgórzu? Chcesz, żebym wsadził głowę w paszczę lwa, Hawkins?

- Nie, sir. To święte miejsce, klasztor Świętej Krwi Zbawiciela. Będziemy tam bezpieczni i mile widziani, obiecuję Panu.

Robert szedł u boku mnicha, który przedstawił się jako brat Elias. Znajdowali się w odległym zakątku klasztornej sadu, otoczonego drzewami ciężkimi od moreli i brzoskwiń. Jabłka, gruszki i granaty dojrzewały nieopodal. Robert czekał, aż przemówi ten drugi, i przyglądał mu się cały czas. Mnich był mu równy wzrostem i równie szczupły, ale w głębi jego oczu paliły się święte ognie fanatyzmu. Roberta nurtowała zagadka, o czym - zdaniem Hawkinsa - musiał dyskutować z tym mnichem w brązowej kiece?

- Nie jest pan katolikiem, senior? - spytał mnich.

- Nie, nie jestem. Czy Hawkins sugerował, że mógłby mnie pan nawrócić?

- Nie na świętą wiarę, choć będę się za pana modlił, don Robercie. Może Bóg w swym miłosierdziu wskaże panu błędy protestanckiej herezji.

Brat Eliasz przerwał. Robert odniósł wrażenie, iż mnich czeka, aż on zaprzeczy, że miałby być protestantem. No to może sobie czekać, aż piekło zamarznie. Robert nie zamierzał dostarczać Inkwizycji następnego żyda do spalenia. Pamiętał, że pod koszulą wciąż nosi medalion z hebrajskim napisem. Wszystko jedno, nie potrzebowaliby aż medalionu. Musieliby jedynie ściągnąć mu spodnie i już mieliby dowód. Niemniej jednak noszenie medalionu było głupotą. Ukryje go gdzieś bezpiecznie, gdy tylko wróci do Kordoby.

Milczenie przeciągało się. W końcu mnich podjął swoją myśl. - Przyjmę rekomendację Harry'ego i zaufam panu. Usiądźmy, don Robercie. Nikt nas nie podsłucha, obiecuję panu.

- Nie martwię się za bardzo, czy ktoś to zrobi, czy nie - rzekł swobodnie Robert. - Nie mam żadnych sekretów do wyznania, bracie Eliaszu.

- Wiem. Ale ja mam panu coś do powiedzenia. Może nie sekrety. Prawdy. Z rodzaju tych, o których nikt w Hiszpanii nie ośmieliłby się mówić głośno. Harry mówił, że płynie w pańskich żyłach hiszpańska krew, mimo że jest pan Anglikiem.

- To prawda.

- Oczywiście, że tak, jest pan Mendozą. Potomkiem potężnego rodu, który miał taki wpływ na historię i wyrządził tyle szkody... A jednak, wie pan, ostatnio wiele myślałem o Mendozach. W ostatecznym rozliczeniu okazujecie się lepsi dla Hiszpanii i Andaluzji niż reszta arystokracji. I jesteście dużo bogatsi niż oni.

Robert pomyślał o złocie otoczonym przez strażników na podwórzu klasztoru. - Po prawdzie, owszem, jesteśmy. Czy pragnie pan jakiegoś wsparcia na zbożne cele, bracie? Czy to dlatego się spotkaliśmy?

- Niezupełnie. - Mnich zrzucił brązowy kaptur i zwrócił twarz do gościa. Robert stwierdził, że mężczyzna jest młodszy, niż sądził. Sina blizna rozciągała się od prawego ucha do kącika wąskich ust. Jak sługa Boży mógł nabyć taką bliznę? - Zacznę może od przyznania się, że nie jestem tym, kim się wydaję - rzekł mnich.

- Właśnie sam doszedłem do tego wniosku. - Robert położył dłoń na kolbie pistoletu tkwiącego za pasem. Nie przeszukano go ani nie

poproszono, by się rozbroił, a on sam nie zaoferował się, że to zrobi. - Kim więc jesteś?

- Na pewno żadnym zagrożeniem dla pana - rzekł cicho mnich, spostrzegłszy ruch Robertowej dłoni. - Miałem na myśli to, że nie jestem zwyczajnym człowiekiem pojednanym ze swoim Bogiem. Ludzie przypuszczają, że takimi jesteśmy, ale to nieprawda.

- Pojednanie nie zawsze łatwo osiągnąć, przynajmniej nie to, które ma pan na myśli.

- To prawda, ale przybyłem tu właśnie po to, by pojednać się z Bogiem, znaleźć czas na modlitwę. Nie udało mi się.

- Czy mogę spytać dlaczego?

Mnich zacisnął pięści na habicie. - Ponieważ cierpienie moich braci Hiszpanów nie daje mi spokoju. Jak dobrze nas pan zna, don Robercie? Czy zdaje pan sobie sprawę, że jesteśmy narodem wciąż tkwiącym w wiekach średnich? Że arystokracja pogardza monarchią Burbonów, że nasi politycy są zepsuci, rządzą nimi osobiste animozje, strach przed sobą nawzajem, że klasa wyższa nie ma za grosz patriotyzmu i powoduje nią jedynie chęć zysku, że ich pogarda dla tych, którzy stoją niżej od nich, czyni nas krajem niewielu bogatych, a wielu biednych, i ci biedni nie mają nadziei na poprawę swojego losu?

- Słyszałem te zarzuty - rzekł Robert. - Nie wiem, czy wszystkie są prawdziwe.

- Każde słowo jest prawdziwe. - Brat Eliaszk wskazał na sad. - Proszę spojrzeć na to. Raj, prawda? Ale czy wie pan, dlaczego kraina takiej obfitości znajduje się właśnie w Andaluzji? Powiem panu. Ponieważ Maurowie wykopali tu kanały irygacyjne. Żaden wcześniejszy ani późniejszy chrześcijański władca nie zwracał sobie tym głowy. Na dalekiej północy mają wystarczająco dużo naturalnej wody. Tutaj mamy kanały Arabów. W pozostałych częściach kraju nie ma nic oprócz wypalonego pustkowia.

Mnich wstał, zaczął się przechadzać z rękoma schowanymi w rękawach habitu, pokryty węzłami sznur u jego pasa kołysał się w rytm jego kroków. - Hiszpania utrzymuje się ze złota i srebra sprowadzanego z kolonii. Pan, sir, utrzymuje się z pożyczania pieniędzy, które wrócą do pana, kiedy przyplynie następny statek z Ameryki i Indii. Jak pan sądzi, jak długo te odległe kraje pozwolą się ograbiać na rzecz tak zwanego kraju macierzystego? Widzieliśmy

rewolucję w Ameryce Północnej i we Francji. Wkrótce równie dobrze możemy ją zobaczyć w hiszpańskiej Ameryce.

Robert odchylił się, przyglądając się uważnie człowiekowi, który mówił z taką pasją. Nie był tym, jak przyznał, kim się wydawał. - Powiedzmy, że zgadzam się z pańską oceną, przynajmniej na użytek naszej dyskusji. Jakie lekarstwo proponujesz, bracie Eliaszu?

- Napoleona.

Robert wstrzymał oddech. - To silne lekarstwo na wszelkie choroby. Mogłoby też zabić pacjenta.

- Pacjentem, jak ją pan nazwał, jest Hiszpania. I już jest umierająca. Dokładnie takie warunki, jak te, które opisałem, istniały we Francji przed rewolucją. To właśnie rewolucja uczyniła ją szczęśliwą.

- I wprowadziła rządy gilotyny - przypomniał mu Robert.

- Tak. O to mi chodzi. Napoleon jest dużo lepszym wyborem niż wojna domowa. Położył koniec okrucieństwom we Francji.

- Być może. Ale jak sam pan powiedział, nie jestem Hiszpanem. Nie mieszam się do polityki.

Mnich znowu usiadł, pochylony ku gościowi. Mówił szybko i pewnie, jego słowa, jak sam przyznał, były rezultatem wielogodzinnych przemyśleń. - Pan jest Mendoza. I słyszałem, że w tej chwili rządzi pan domem tu w Hiszpanii, de facto, jeśli nie de iure. Tak potężna władza nie może być neutralna. Musi być pan z nami lub przeciw nam, don Robercie. Nie ma innego wyjścia.

- Z lub przeciw komu? - spytał spokojnie Robert.

Ciało jego rozmówcy odprężyło się trochę, znowu pasja pod kontrolą. - Małej grupie, która chce uczynić ten kraj takim, gdzie jest wolność i sprawiedliwość.

- Pański Kościół nie ma wielu rejestrów w tym względzie.

- Nie mój Kościół, tylko sprzedajni ludzie, którzy czasami działają w jego imieniu. Tym razem nie mogą zabronić Hiszpanii, by stanęła po stronie aniołów.

Tego samego zwrotu użył Hawkins. Powiedział, że Mendozowie mogą być po stronie aniołów. Mniejsza o to, Robert nie miał zamiaru przepuścić okazji odkrycia, co te anioły zamierzają zrobić. - Nie mogę podjąć żadnych zobowiązań - powiedział wolno. - Ale wysłucham tego, co ma pan do powiedzenia. I nie postawię rodu Mendozów w otwartej opozycji do was, dopóki wam tego nie powiem.

- Przysięga pan, don Robercie?

- Daję panu moje słowo, bracie Eliaszu. Moje słowo Mendozy. To się sprowadza do tego samego.

- Tak, wierzę panu. - Mnich sięgnął do głębokiej kieszeni brązowego habitu i wyciągnął złożony kawałek papieru. - To jest nazwisko osoby, która może powiedzieć panu więcej.

Robert wziął kartkę, ale nie spojrzał na nią. - Jedno pytanie... Jaka jest w tym wszystkim rola Harry'ego Hawkinsa?

- Harry w duchu jest jednym z nas - odpowiedział mnich. - Choć niewiele może zrobić, biedne stworzenie. Może się jednak za nas modlić. On jest święty, wie pan.

Robert zaczekał, aż znaleźli się znowu na drodze do Kordoby, zanim spojrzał na nazwisko zapisane na skrawku papieru, który dał mu mnich. Jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia, przeczytał je raz jeszcze, potem odwrócił się do Harry'ego Hawkinsa. - Ty wciąż jesteś Anglikiem, prawda, Harry?

- To zależy, co ma pan na myśli, sir.

- To, co powiedziałem. Synem angielskiej ziemi, wiernym poddanym Jego Królewskiej Mości Jerzego III.

- Nie, niezupełnie, sir.

Robert odchylił się do tyłu w udawanym przestraszu. - Co takiego? To zdrada, na miły Bóg.

- Proszę ze mnie nie drwić, panie Robercie. Urodziłem się w Anglii, i owszem. W moich żyłach płynie angielska krew, ale - jak powiedziałem - jestem tu od dwudziestu siedmiu lat, to tyle, ile pan jest na świecie. Mówię językiem Hiszpanów, naśladuję ich obyczaje, jem ich potrawy. A Hiszpania, dzięki Bogu, jest krajem katolickim.

- Więc to wobec Hiszpanii jesteś lojalny - rzekł Robert cicho.

- Tak, rozumiem. Ale jak dobrze znasz tych rewolucjonistów, z którymi jesteś związany?

- Nie jestem związany z żadnymi rewolucjonistami - zaprotestował karzeł. - Po prostu wierzę w sprawiedliwość, panie Robercie. Mój spowiednik przedstawił mnie bratu Eliaszowi. Myślał, że mógłbym mu pomóc ze względu na swoje powiązania z domem Mendozów.

- Potrząsnął swoją niewymiarową głową. - Aż do dzisiaj nigdy nie mogłem nic zrobić. To odpowiedź na modlitwy, że pan przyjechał, panie Robercie. I to, że byłem w stanie zabrać pana do klasztoru.

Robert milczał. Mnich powiedział, że karzeł jest święty. Może i jest. Ważniejsze jednak, jak dobrze Hawkins zna ludzi powiązanych z tą tajemną grupą i ich cele. No i pytanie zasadnicze: kto rościł sobie większe pretensje do jego lojalności, dom Mendozów czy brat Elias?

Robert ściągnął cugle, by koń przeszedł do cwału, zmuszając drugiego jeźdźca, aby do niego podjechał. Podnóże gór na północ do Kordoby było porośnięte zaroślami, ulubionymi przez wypasane tu kozy. To miejsce zwano ranczem, ale nie zauważył żadnego bydła ani koni prócz tych dwóch, które teraz jechały obok siebie.

- Dzień dobry, don Robercie - rzuciła Maria Ortega. Zanim odpowiedział, przyglądał się jej przez chwilę. Wyglądała

świetnie. Swobodnie siedziała w damskim siodle, miała na sobie krótkie, czarne bolerko, czarną spódnicę i wypolerowane buty. Jej kapelusz też był czarny. Ten strój ubarwiał jedynie blask rudych włosów i bukiet żółtych nagietków wsuniętych za ucho pod szerokim rondem kapelusza. - Dziękuję, że przybyła pani na spotkanie ze mną, donia Maria.

- Brat Elias powiedział mi, że mam oczekiwać od pana wiadomości. Nie byłam więc zaskoczona, kiedy wiadomość ta nadeszła.

- Ach, tak, ten żarliwy mnich - rzekł spokojnie Robert. - Czy mam uznać, że on jest wyjaśnieniem pani... że tak powiem, aliansu z don Domingiem?

- Owszem, to dla sprawy byłam kochanką Dominga - odparła szczerze. - Ze mną może pan grać w otwarte karty, don Robercie.

- I jak to miało służyć sprawie? Tego nie mogę sobie wyobrazić.

- Bez Mendozów nie mieliśmy szansy na sukces. Na pewno nie tu w Andaluzji, a całkiem możliwe, że i w całej Hiszpanii. Nie sposób było pozyskać Dominga do dobrowolnej współpracy. Nie był człowiekiem z wyobraźnią. Musiałam użyć innych metod.

- Nie zadziałają w moim wypadku, seniorita.

- Wiem. Więc dziękuję Bogu, że brat Elias pana przekonał. Robert pokręcił głową. - Powiedziałem tylko, że wysłucham i potem porozmawiam. W nic się nie zaangażowałem.

- To początek.

- Jeśli chce pani czegoś więcej, będzie pani musiała powiedzieć, kto jeszcze jest w to zamieszany.

Przez zarośla przebiegł królik i koń Marii cofnął się. Szarpnęła z wprawą za cugle i przyprowadziła go z powrotem do boku Roberta.

- Nie mogę tego zrobić. Większości z nich zresztą nie znam. W ten sposób chronimy się nawzajem. Inkwizycja wciąż stosuje tortury, a żaden z nas nie może być pewien, że będzie wspaniałym męczennikiem w godzinie próby.

- Może poza Harrym Hawkinsem. Wasz brat Eliasz mówi, że on jest święty.

- Dobrze by było - zgodziła się. - Musi być jakaś przyczyna, dla której znosi swój los. Ale on nie wie nic, co mogłoby zaszkodzić komukolwiek. Nie wie na przykład nic o mnie.

- I o prawdziwych pobudkach Javiera, alkada Madrytu? Mógł odczytać z jej oczu, że nie chybi celu. To był domysł, strzał

w ciemno, ale trafił w sedno. - Javier jest całkowicie oddany naszej sprawie - przyznała.

- Więc załatwiła pani, aby pożyczył Domingowi dziesięć tysięcy reali pod zastaw farmy. Pomogła mu pani wsunąć stopę między drzwi, zyskać trochę kontroli nad rodziną Mendozów. Tak to właśnie było, prawda?

- Do tego starałam się doprowadzić. Potrzebujemy wpływów Mendozów. Już to przyznałam.

- Jeśli chcecie mojej pomocy, musi mnie pani przekonać, że jesteście tego warci. I że w najlepszym interesie domu Mendozów jest, abyście mieli moje poparcie. W przeciwnym wypadku stanę po drugiej stronie i nie przegram. Niech pani nie popełni błędu, donia Maria.

- Niech się pan nie boi, nie popełnię. - Odwróciła głowę konia w kierunku, z którego przyjechała. - Teraz muszę jechać.

- Ale porozmawiamy jeszcze?

- Kiedy tylko będzie pan sobie życzył. Adios, don Robercie.

- Hasta luego, donia Maria.

Maria Ortega zawróciła konia i znowu dołączyła do Roberta.

- Jedno pytanie, jeśli można. - Skinął głową. - Co pan zrobił z moimi perłami?

- Sprzedałem je. Z powodu pani przez jakiś czas był niedobór gotówki. Teraz sytuacja uległa już zmianie.

- Rozumiem. Cieszę się, że rozwiązał pan swoje problemy, don Robercie, ale szkoda mi pereł. To był wyjątkowo piękny sznur. Bardzo go lubiłam.

Dopiero w październiku Robert znowu zobaczył Marię Ortegę. Tym razem przyjechał do jej domu - nieco wygodniejszego od zwykłej wiejskiej chaty, jednokondygnacyjnego budynku z cegły, wtulonego w zbocze góry. W nocy panował tam przejmujący chłód, rozpalono więc ogień z sosnowych pniaków, który ogrzewał białe ściany i czerwoną kamienną podłogę. - Mieszka tu pani sama? - spytał Robert.

- Z trójką służących. Przyjaciel użyczył mi tego domu, kiedy pan mnie wyrzucił.

- Nie oczekuje pani, mam nadzieję, przeprosin z mojej strony. Zasłużyła sobie pani na to.

Maria poprawiła pniaki na palenisku, wzniecając snop aromatycznych iskier. - Być może. Przynajmniej z pańskiego punktu widzenia.

- Z wszelkich punktów widzenia. Nakłoniła pani Dominga do działań na niekorzyść rodziny, okryła wstydem jego żonę.

- Dla sprawy - odparła. - Już to mówiłam.

- I dla sprawy zamordowała pani mojego kuzyna?

Spojrzała na niego błyszczącymi zielonymi oczyma. - Zamordowała? Ależ nie! Kto to panu powiedział? Domingo zmarł na zawał serca.

- Tak też słyszałem. Słyszałem też, że w ostatnich dniach podawała mu pani coś, co czyniło go szalonym. Może to przyczyniło się do jego śmierci.

Potrząsnęła głową. Tego wieczoru kwiaty w jej włosach były białe; rzucały blade cienie na jej policzek. - Dałam mu opium, na uśmierzenie bólu. Był w ciągłej agonii. Podawałam mu opium od lat. To prawdopodobnie przedłużyło jego życie, nie skróciło.

- Rozumiem.

Nie czekając na zaproszenie, Robert nalał sobie nieco brandy z karafki stojącej na stole. Uniosła jedną brew, ale nic nie powiedziała.

- Mniemam, że opium przytępiło też zmysły Dominga - powiedział Robert. - Uczyniło go bardziej posłusznym. Musiało być dość łatwo uzyskać jego podpis na różnych dokumentach, kiedy był pod wpływem narkotyku.

- Tak - przyznała. - Ale miałam dobre chęci.

- Zdaje się, że istnieje stare przysłowie na ten temat, seniorita. Coś o brukowaniu piekła.

Wstała, opierając się o obramowanie kominka. - Może pan mówić do mnie seniora. Byłam mężatką. Proszę mi powiedzieć, czy żydzi wierzą w piekło?

- Nie przybyłem tu na dysputę teologiczną.

- Prawda, ja też nie po to tu jestem. Co pan zdecydował?

- Nic. Wciąż za mało wiem o waszych planach.

- Zamierzamy czekać na właściwy moment, by uwolnić się od tego nieudolnego króla i poprosić Napoleona, aby nam w tym pomógł, jeśli to będzie możliwe.

- W takim wypadku Hiszpania stanie się częścią Francji.

- Nie - uparła się. - To się nigdy nie stanie. Napoleon jest za mądry, by wyobrazić sobie, że Hiszpanie mogliby stracić niepodległość. Będziemy sojusznikiem Francji. I za jej przykładem dokonamy zmian w swoich prawach. Inkwizycja zostanie wygnana. Zwykli ludzie będą mieli szansę na lepsze życie.

- A świnię będą latać - rzekł cicho Robert. - Donia Maria, wygłasza pani wyświechtane komunały liberałów i reformatorów. A świat rzadko przystosowuje się do idealistów.

- Tak będzie. Zobaczysz pan. Zwłaszcza jeśli pan nam pomoże, angażując bogactwo i wpływy domu Mendozów po naszej stronie. - Mówiła z żarliwym przekonaniem. Jej policzki pały rumieńcem, a usta powilgotniały i rozchyliły się. Pod zieloną aksamitną suknią jej piersi unosiły się i opadały przy każdym oddechu.

- Jest pani wyjątkową kobietą - rzekł Robert. - Nie mogę pomóc, ale podziwiam pani oddanie sprawie, niezależnie od tego, czy wieszczę jej szansę powodzenia, czy nie.

Maria patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. - Jestem wolną kobietą - rzekła w końcu. - Bez względu na sposób, w jaki społeczeństwo postrzega moją wolność. Robię, co chcę, biorę, co chcę, zupełnie jak mężczyzna.

- A chce pani, żeby Hiszpania była inna, niż jest, i ma się to stać dlatego, że pani tak chce.

- Nie to miałam na myśli.

- Cóż więc? - spytał.

- Chcę ciebie. Nie patrz tak. Nie mówię o niczym na stałe. Tu i teraz. Czy nie jestem dla ciebie pociągająca, Robercie?

- Owszem, jesteś. Ale przywykłem wybierać swoje kobiety, a nie być wybieranym.

- Nie wiesz więc, co tracisz. Uleganie to nie namiętność, Angliku. Musisz się dużo nauczyć. - Kiedy mówiła, rozsznurowała stanik i zrzuciła go z ramion. Jej piersi uwolniły się. Były wspaniałe, tak jak ocenił je za pierwszym razem. - Chodź tu - powiedziała, a on poszedł, niezdolny stawić opór.

Maria poruszała się w jego ramionach jak doświadczona kurtyzana i wiedział, że nią właśnie jest. Miała słusność - jej ogromny apetyt, reakcje na jego pieszczoty były niepodobne do niczego, co kiedykolwiek poznał. Domagała się rozkoszy i pokazała mu, jak jej dostarczyć. Robert stwierdził, że dawanie tej rozkoszy daje mu więcej satysfakcji, niż dostarczyło mu kiedykolwiek obcowanie z uległą prostytutką. Kiedy jej silne nogi chwyciły go w szale pożądania, wspiał się po piramidzie rozkoszy, ponaglany jej westchnieniami.

- Jeszcze - szeptała. - Jeszcze, jeszcze. - I w końcu: - Teraz, teraz, chcę cię całego.

Osiągnął szczyt i oddał się ekstazie.

Świtało już, kiedy się ubrał i stanął gotów do drogi. - Wciąż nie obiecuję niczego - przypomniał jej.

Leżała naga na kanapie przy zamierającym ogniu, ocieżała, nasycona, jej ciemnorude włosy spływały swobodnie, a ciało było wilgotne od miłości. - Wiem. Nigdy nie myślałam, że pokonam cię tą drogą. To było dla mnie, nie dla Hiszpanii.

- A dla mnie?

- Mam nadzieję, że też.

- Tak, dla mnie też - zgodził się.

- Wrócisz więc do mnie?

- Chciałbym - przyznał.

- Więc zrób to. Twój widok zawsze mnie uszczęśliwi. Niezależnie od pozostałych spraw.

Skinął głową i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się. - Byłbym zapomniiał. Przywiozłem ci coś.

Podał jej mały pakuneczek. Maria otworzyła go, po czym podniosła wzrok, uśmiechając się szeroko. - Moje perły.

- Odkupienie ich zajęło mi trochę czasu, gdyby nie to, miałabyś je wcześniej.

- Jestem szczęśliwa, że mam je teraz. Dziękuję, Robercie. - Zapięła je na szyi, a one leżały lśniące i piękne na jej nagich piersiach.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Świt rzucał cień szarości na wilgotny, czarny świat. Koła powozu brnęły przez gęste żółte błoto, które oblepiało szprychy, obryzgiwało boki koni, a potem wysychało na nich, przybierając postać kredowego całunu. Na horyzoncie widniała Sewilla zaciemniona przez strugi deszczu - mglisty cel niemożliwej podróży. - Kiepski początek - rzekł Pablo. Żadne z dwojga jego towarzyszy nie odpowiedziało.

Sofia ciaśniej owinęła się płaszczem. Była przemarznięta do szpiku kości. Siedziała pomiędzy Carlosem a Pablem, a przenikał ją chłód, który rodził się w jej duszy. Żaden z mężczyzn nie oddawał jej ciepła swego ciała, nie czuła nawet cienia żaru, który dzieliła z obydwojoma swoimi kochankami.

To chłód śmierci. Ta myśl przyszła jej do głowy z nagłością objawienia, i raz narodzona, nie chciała już odejść. Ktoś umrze w tym tygodniu w Sewilli. Może ona? Tego nie wiedziała, ale miała pewność, że będzie tam śmierć.

Pablo odchylił aksamitną zasłonę i wyjrzał przez okno powozu. - Patrzcie.

Carlos i Sofia spojrzeli w kierunku, który Pablo wskazał palcem. Na szczycie wzgórza po ich lewej stronie dostrzegli rząd przesuwających się powoli mężczyzn w sutannach i kapturach. Trzymali krótkie, mocne bicz - mnóstwo rzemyków przymocowanych do uchwytów z kości słoniowej. Jedyным docierającym do powozu dźwiękiem był świst, kiedy mężczyźni biczowali się po własnych plecach i ramionach.

- Biczownicy - wyszeptał Carlos.

Przyglądali się mężczyznom, póki ci nie zniknęli z ich pola widzenia. - Okrucieństwa Wielkiego Tygodnia w Sewilli - westchnął Pablo. - Nigdy ich nie zrozumieć. Ale domyślam się, że wy dwoje jesteście do nich przyzwyczajeni.

Sofia nie odpowiedziała, a Carlos wymruczał coś niezrozumiale.

Czy to go nie zastanawia? - pomyślała. Czy Pablo nie dziwi się, że kiedy są we troje, Carlos i ona właściwie cały czas milczą? O Boże, dlaczego z nimi pojechała? Bo Pablo tego chciał. - Będzie wspaniale, Sofio - upierał się. - Przestań martwić się Cyganami. Nie mogą cię tknąć, kiedy jesteś ze mną. To najbardziej ekscytująca korrida sezonu. Semana Santa w Sewilli, jak mogłabyś to stracić?

Był jak dziecko w swoim nowo odkrytym zapale do życia, w rozkoszowaniu się byciem z nią. Nie mogła mu odmówić. No więc była tu, siedziała między dwoma mężczyznami, z których każdy domagał się jej ciała i duszy.

W Sewilli czekał na nich dom, jak zwykle przygotowany na wizytę Mendozy. Pablo wyjaśnił, że domu używał grand, który był winien rodzinie tyle pieniędzy, że zawsze starał się być nieobecny w czasie wizyty hidalga. Podobnie jak w miejscach, w których Sofia bywała ze swoim protektorem, i tu było dużo przestrzeni i gotowa na każde skinienie służba. - O wiele bardziej wolę jego dom niż zwrot długu - powiedział Pablo, chichocząc. - Biedny głupiec nie rozumie tego. Może nie wie, że to Robert martwi się o finanse Mendozów, a nie ja.

Sofia oddała służącemu płaszcz. Teraz bez trudu przyjmowała takie usługi. W ciągu dziesięciu miesięcy, odkąd Pablo trafił do jej sypialni i przejął kontrolę nad jej życiem, stała się damą o nienagannych manierach, przyzwyczajoną do bogactwa.

Wszystko było przygotowane na ich przyjazd. Sofia przysunęła się do ognia trzaskającego w kominku. Po chwili lokaj przyniósł wino, które wypila skwapliwie.

- Pójdiesz z nami zobaczyć zwierzęta, moja droga?

- Nie, Pablo, chyba nie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. - Ujął jej dłoń i przycisnął do swych warg. Czują, że Carlos ich obserwuje. Pablo zdawał się być nieświadom tego nieżyczliwego wzroku. Nigdy go nie zauważał. Jej ciało skręcał krzyk, i tego też nie zauważał. - Jak to jest, kiedy jesteście sami? - spytała kiedyś Carlosa.

- Różnie - odparł. - Kiedy jestem z nim, rozmawiamy o bykach, o walkach. Jesteśmy tacy sami jak zawsze.

Czasami wyobrażała sobie ich rozmowę. - Kocham się z nią szybko - rzekłby Carlos. - Nie śpię obok niej jak ty. Biorę ją zawsze i wszędzie, gdzie nadarzy się sposobność. I powinienes ją widzieć, Pablo. Powinienes zobaczyć, jak się wije i jęczy, jak pragnie wszystkiego, co tylko ja jej mogę dać. Z tobą jest słodka i miła, ze mną jest suką w gorączce...

Tego popołudnia nie będzie takich opowieści. Matador i jego opiekun pójdą na rancho dostarczające byków na najbardziej prestiżowe korridy. Sprawdzą zwierzęta, z którymi Carlos będzie

walczył za trzy dni, kiedy skończy się Wielki Tydzień, a zacznie Wielkanoc. Będą omawiać waleczność, taktykę, śmiałość, nowy ruch peleryną, który Carlos doskonalił. Nie będą rozmawiać o Sofii.

- Zostanę tu - powiedziała. - Dbaj o siebie, Pablo. Ubierz się ciepło. Jest zimno.

Uśmiechnął się i dotknął jej policzka. - Nie martw się, maleńka. Odpocznij. Spotkamy się później w kościele?

- Tak, oczywiście.

Podobnie jak katedra w Kordobie, ta w Sewilli przez pięćset lat była mauretańska. Jej wieżę zbudowali Maurowie i wciąż dawała kościołowi imię, którego używał każdy sewilczyk - La Giralda. Stała w sąsiedztwie kwatery kiedyś zajmowanej przez miejscowych żydów, teraz znanej jako dzielnica Santa Cruz.

Sofia była w La Giraldzie tylko parę razy. Wszystkie swoje poprzednie Wielkie Tygodnie w tym mieście spędzała w Trianie, klęcząc z Zocalim, Fantą i resztą plemienia w kościele Świętej Anny. Dzisiaj wielka łukowata przestrzeń katedry była ciemna, udrapowana czernią i żałobnym fioletem. Spojrzała na potężne lektyki dźwigające figury o gigantycznych rozmiarach, które później będą noszone po ulicach. Stojące w tyle kościoła w oczekiwaniu na pokutników, którzy wezmą je na ramiona, posągi wyglądały mało okazale.

- Tutaj - rzekł Carlos, wyłaniając się z tłumu wiernych i chwytając ją za ramiona. - On czeka na ciebie.

Jego palce paliły jej ciało. - Powiedział coś?

- Powiedział dużo. Wszystko o bykach. Powtarzam ci ciągle, że on niczego nie podejrzewa.

- Carlos, nie możemy...

- Ciii... Nie tu. Chodź, on czeka.

Dołączyła do niego tam, gdzie stał, po lewej stronie głównego ołtarza. Pablo Mendoza nie zważał na plotki, wynosząc się ponad nie dzięki ogromnemu bogactwu i wykazując absolutny brak zainteresowania towarzystwem. Kościół, jak wszyscy niemal, miał długi wobec Mendozów. Nawet biskup nie ośmieliłby się skrytykować tego, co robił Pablo. Gdyby ktokolwiek w Sewilli zgorszył się, że garbaty hidalgo pokazuje się publicznie z kochanką, mógłby dać upust swemu zgorszeniu jedynie w sekrecie, tak aby nikt go nie słyszał.

Z tyłu nadeszła procesja; kapłanów i biskupa obleczonych w fioletowe szaty prowadzili akolici w białych sutannach, jedni nieśli

krucyfiks przesłonięty czarną materią, inni świece, jeszcze inni rozkołysane kadzielnice, które wydmuchiwały chmury wonnego kadzidła. Podchodzili do ołtarza parami, klękali, potem rozchodzili się na dwie strony chóru. Rozpoczęła się msza w środę Wielkiego Tygodnia.

Kiedy dobiegła końca, różne grupy, które zjednoczyły się do publicznego wyznania żalu za grzechy, ustawiły się wokół figur i dźwignęły lektyki obłożone aksamitem, jedwabiem i złotogłowiem. Boso, niosąc swoje bezgranicznie ciężkie brzemię i wyznając żal, pokutnicy wyprowadzili posągi na ulice.

W Sewilli roiło się od ludzi jak w mrowisku. Tłumy, które zebrały się, by dotknąć świętych figur, ruszyły za nimi, ale na widok hidalga utworzono przejście. Pablo, Carlos i Sofia dotarli do Plaza Santa Maria la Blanca dokładnie w chwili, gdy jakiś zegar wybił pięć uderzeń. Stali i przyglądali się procesji, która zbliżała się do drogi na Granadę. Dwunastu matadorów ubranych w odświętne stroje niosło posąg El Cristo de la Salud, patrona walczących z bykami, z małej wioski San Bernardo. Carlos ukląkł na ulicy, kiedy przechodzili.

Znowu pojawili się biczownicy, bijący się aż do krwi, która plamiła ich białe szaty. Deszcz w końcu ustał i brzoskwiniowy zachód słońca ucałował miasto płomieniami.

Trwało to całą noc. O świcie, leżąc przy śpiącym Pablu w łóżu nieobecnego granda, Sofia wciąż słyszała ich krzyki towarzyszące wyznaniom żalu za grzechy.

Ona także była pokutnikiem. Dlaczego nie była tam na zewnątrz, płacząc, lamentując i wykrzykując swój żal do niebios? Zdradziła zaufanie. Nie tylko Pabla, także Sary. Minał następny rok, a ona nie spróbowała pomścić morderstwa swojej córki. Nie szukała Paca. Najpierw wygodą stłumiła jej nienawiść, teraz świeża wina posłużyła temu samemu celowi. Gdzieś za oknem ktoś zaczął śpiewać klasyczną saetę, żarliwie wyznając wiarę. Pieśń wpłynęła przez otwarte okno i Sofia słuchała jej, póki głos nie zamarł. Jej policzki były mokre od łez.

Procesje trwały dwie doby. Każda podążała ustaloną trasą, każda miała szczególne pierwszeństwo ustalone przed laty i była zazdrośnie strzeżona przez gildie i bractwa, które ją finansowały.

Dziewica de la Esperanza wyłoniła się z kościoła parafialnego La Macarena, a Jesus del Gran Podar z kościoła San Lorenzo. Na Calle de Sol oklaskiwano Virgen de Las Augustias, a procesja Virgen de la

Soledad zrodziła się na Calle de Trajano. Późnym popołudniem Wielkiego Piątku ostatnia figura powędrowała przez most Triany.

W rzece odbijały się rany umęczonego ciała Zbawiciela, El Cristo de la Expiracion, a sewilczycy oddawali się ostatniej udęce żalu.

- Nareszcie koniec - powiedział Pablo. - Słodki Jezu, jakież to dziwne miasto. Dziwne miasto w dziwnym kraju. Wiesz, dlaczego El Colon wybrał Sewillę na swoje centrum operacyjne, a nie Kadyks?

- Sofia potrząsnęła głową. - Ponieważ - ciągnął Pablo - w 1492 roku port w Kadyksie był pełen statków z żydami, właśnie wygnanymi przez miłościwie panującego katolickiego króla i królową. Jesteśmy stworzeni do przesady, moja droga. To chyba część naszej natury. A najlepiej widać to w Sewilli. Słyszałem, że trzech biczowników umarło. Zatłukli się na śmierć. Za parę lat będzie ich więcej, prawda?

Sofia skinęła głową. Patrzyła, jak procesja znika w okolicach katedry, potem spojrzała na wzgórze Triany. - Niektórzy ludzie mają za co żałować.

Dostrzegł kierunek jej spojrzenia. - Nie ty - powiedział cicho.

- Zapomnij o tym, maleńka. To skończone. Oni już nie mają do ciebie żadnych praw. Poza tym teraz jest Wielkanoc, albo będzie pojutrze. Wystarczy pokuty, przyszedł czas świętowania. - Ujął ją za rękę.

- Odkąd cię znalazłem, nauczyłem się, jak cieszyć się świętami. Oczyszczeni z bóleści, Sewilla gotowała się do świętowania.

Lśniące, późnokwietniowe słońce świeciło na Plaza de Toros w Niedzielę Wielkanocną, a wielbiciele wykrzykiwali swoją radość, kiedy przechodził ich matador, Sewilczyk. - Ole! Ole! - wrzeszczeli, a ich okrzyki odbijały się echem po placu. Kiedy Carlos był nieznanym cygańskim chłopakiem, pogardzali nim, kiedy przybrał imię miasta, które było też ich miastem, zaczęli go ubóstwiać. - Ole! - znowu zakrzyknęli, gdy wykonał kolejną serię veronic i zakończył je oszalamiającą gaonera.

- Jest coraz lepszy - wymruczał Pablo. - Coraz bardziej nieulekły przy każdym kolejnym byku.

I za każdym razem, kiedy się ze mną kocha, mniej dba o swoje życie - pomyślała Sofia.

Przeszukiwała twarze w tłumie, by znaleźć jakąś znajomą. Najpierw wydawało się jej, że widzi Zocalego, po chwili - że Paca. Za

każdym razem przekonywała się, że jest w błędzie. Tak czy owak, nie rozpoznaliby jej - w kobiecie hidalga odzianej w jedwabną suknię i madrycki koronkowy szal - a gdyby jakimś cudem rozpoznali i tak nic by nie zrobili. Aura bogactwa i uprzywilejowania, która ją otaczała, umieszczała ją poza ich zasięgiem. Sofia wiedziała o tym, ale wciąż rozglądała się dookoła, chwytając się kolejnego fragmentu swej przeszłości, który rozplątał się niemal tak dokładnie jak te wczesne lata, których nigdy nie pamiętała.

Na skrwawionym piasku areny Carlos zabił swego byka i wśród dzikich wrzasków tłumu prowadzący korridę przyznał mu oboje uszu w dowodzie uznania dla jego oszałamiającej odwagi i sprawności.

- Teraz musisz zdecydować - powiedziała Maria. - Nie możesz ciągle wyczekiwać.

- Dlaczego nie? - Robert pogłaskał lekko jej włosy i wsłuchał się w świerszcze szczebiocące majową pieśń za oknem. Podobała mu się ta kobieta. Nie dzieliła opętańczej obsesji brata Eliasza; doszedł do przekonania, że oddanie Marii Ortegi dla sprawy liberałów jest przejawem zafascynowania władzą, a nie pragnieniem sprawiedliwości i równości. Robert czuł się dobrze przy kobiecie, która nie była niebezpieczną fanatyczką, lecz po prostu pragnęła być blisko tronu, więc wciąż pozostawał pod jej urokiem, mimo upływu siedmiu miesięcy. Nie kochał jej, ale ją rozumiał. Bywało i tak, że równie wielką przyjemność sprawiała mu rozmowa z nią jak uprawianie miłości. - Myślisz, że coś się zmieniło, bo zerwali pokój z Amiens?

- Oczywiście, że się zmieniło. Anglia odmówiła opuszczenia Malty i wypowiedziała wojnę Francji. Napoleon słusznie mniemał, że Anglia będzie jego wrogiem, dopóki jej nie najedzie.

- Dziękuję, że dla mnie zinterpretowałaś sytuację - rzekł uroczyście. - Nigdy nie rozumiałem polityki, póki ty mi jej nie wyjaśniłaś.

- Nie dworuj sobie ze mnie. Jesteś Mendozą. Rozumiesz ją bardzo dobrze.

- A ty kim jesteś? Tego mi nigdy nie mówiłaś, Mario. Kim są Ortegowie, że pozwalają ci robić to, co chcesz.

- Nikt mi na nic nie pozwala ani mi nie zabrania. Jestem wolna, Robercie. Myślałam, że to rozumiesz.

- Może. - Rozłupał migdała i gryzł go w zamyśleniu. - To nie jest jednak odpowiedź. Kto cię spłodził? Nawet ty musisz mieć rodziców.

- Oczywiście, że mam. A raczej miałam. Oboje nie żyją. Moja rodzina pochodzi z Barcelony. Nie widziałam jej od lat.

Chciał spytać, od ilu lat, ale uznał, że lepiej sobie darować. Gdyby spytał, prawdopodobnie wydrapałaby mu oczy. Domyślał się, że jest po trzydziestce. Może ma trzydzieści pięć. Siedem lat od niego starsza. I chociaż przyznawała się do małżeństwa, nigdy nie mówiła, czy jej mąż wciąż żyje, a po prawdzie nic o nim nie mówiła. Powiedziała mu jednak kiedyś coś dużo ważniejszego: - Powinieneś coś wiedzieć. Jestem bezpłodna.

Tak więc mężowi, jeśli ktoś taki kiedykolwiek istniał, zapewne nie było żal, że pozwolił jej zniknąć i prowadzić życie, które wybrała. Robert nie musiał się martwić, że obdaruje go nieślubnym dzieckiem. Był to związek doskonały - poza tym że wciąż zrzędziła na temat tego wyboru, którego jej zdaniem musiał dokonać.

Robert nie zamierzał dokonywać wyboru. O ile się orientował, nie było takiej potrzeby. Będzie czekał i patrzył. Napoleon rozszerzył swoją władzę na Szwajcarię i Włochy i otworzył obozowiska, porty i arsenały w Boulogne, Calais, Dunkierce i Ostendzie. Jego zamiary były oczywiste - chciał najechać Anglię, jak powiedziała Maria. Aby to jednak zrobić, musiał przerzucić swoje wojska i zaopatrzenie przez kanał La Manche, a Addington polecił Nelsonowi przygotowanie floty do zniszczenia każdego francuskiego okrętu. Można było czekać.

Maria wciąż trajkotała. Porzucił swoją zadumę i na powrót zainteresował się nią. - Na miłość boską, kobieto, przestań gadać. Nie przebyłem całej tej drogi na to dziadowskie ranczo, żeby słuchać twojego zrzędzenia. - Roześmiał się, mówiąc te słowa, więc Maria nie poczuła się dotknięta. Zamiast tego zarzuciła mu ręce na szyję i uniosła usta, by Robert złożył na nich pocałunek. Wziął ją powoli, delektując się doświadczaną rozkoszą. Dzięki Bogu, nie musiał kłopotać się przekłętymi jedwabnymi osłonkami.

Tydzień później donia Maria pchnęła posłańca z notką, która mówiła tylko: „Przyjedź”. To było intrygujące. Nigdy go nie wzywała. Przyjeżdżał na ranczo z własnej woli, kiedy mu to pasowało, a ona zawsze czekała. Zdecydował się podporządkować poleceniu. To mogło być coś ważnego. A jeśli to tylko zuchwałość, szybko się z tym upora.

Kiedy tylko rzucił lejce służącemu, wiedział, że nie jest sama. Przy stajni na prawo od domu dostrzegł obcy pojazd.

- Robercie, ci panowie muszą z tobą porozmawiać. Javiera już znasz, drugi dżentelmen to...

- Pozwoli pan, że przedstawię się jako Manolo, don Robercie. - Mężczyzna, który przerwał Marii, trzasnął obcasami i skłonił się. Miał na sobie ciemnobrązowy surdut i brązowe satynowe bryczesy, ale ubranie nie leżało wygodnie na jego krępej, muskularnej sylwetce.

Przystojniak, pomyślał Robert. Założyłby się jednak, że mężczyzna na co dzień nosi jakiś mundur. Maria zajęła się rozlewaniem sherry do kieliszków. Robert wziął jeden, wypił mały łyk i czekał. Czuł, że Javier przygląda się jego twarzy, i odwrócił się do niego wyczekująco.

- A więc przechytrzył mnie pan - powiedział burmistrz Madrytu.

Robert się uśmiechnął. - Nie jestem dokładnie świadom jak, niemniej jednak miło mi to słyszeć.

Javier uśmiechnął się także. - Pan, don Robercie, zaopiekował się tym, co ja miałem zamiar różnymi metodami kontrolować. Okazał się pan koniem trojańskim.

- Armia Greków, tylko ja sam? No proszę, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Robercie! - napomniała go Maria. Odwrócił się do niej szybko, a jego brązowe oczy błysnęły ostrzegawczo. Maria odwróciła wzrok, wyraźnie utemperowana jego ostrą reakcją.

- Może powinniśmy przejść do tematu - rzekł Robert. - Pojmuję, co pan ma na myśli, don Javierze, ale nie jestem pewien, co to ma z nami wspólnego. W jakiej sprawie chcieliście panowie się ze mną widzieć?

- W sprawie trzydziestu milionów reali - rzekł spokojnie Manolo.

- Doprawdy? To dużo pieniędzy.

- To suma, którą rodzina Mendozów obiecała pożyczyć w ciągu najwyżej dwóch miesięcy - powiedział Javier. - I na przekór wszystkim wysiłkom Marii, która miała dopilnować, aby to nie mogło się stać, i moim manewrom, aby upewnić się, że to się nie stanie, przywiózł pan pieniądze z Anglii do Kadyksu. Teraz czekają w Palacio Mendoza, aż pan zdecyduje się je dostarczyć odbiorcy.

- Rzekłbym, iż pańscy szpiedzy są nad wyraz sprawni - powiedział Robert. - Ale po prawdzie nie byłem zbyt tajemniczy w swoich poczynaniach.

- W rzeczy samej - przyznał Manolo. - To był interesujący rozwój wypadków.

- Mendozowie rzadko chowają coś pod korcem, senior. Javier ponownie napełnił swój kieliszek sherry. - Mniemam, że

chciał pan wyrazić po angielsku „pobrzękiwanie szabelką” czy coś w tym rodzaju.

Manolo chrząknął. - Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Javier i Maria, działając z najbardziej patriotycznych pobudek, dokonali ogromnych wysiłków, by pomoc Mendozów nie trafiła do Karola...

- Który jest prawomocnym królem Hiszpanii - przerwał mu Robert.

- Prawomocnym królem, owszem. A Maria Luiza jest prawomocną królową. Proszę, don Robercie, przyznajmy, że wszyscy Hiszpanie są jednej myśli - chcą jak najlepiej dla swojego kraju. Pytanie tylko, co jest najlepsze i jak to osiągnąć.

- Dobrze, mogę przyjąć taki punkt widzenia. I chociaż nie jestem Hiszpanem, ja też chcę dla tego kraju jak najlepiej. Nie żywię wrogości do Hiszpanii, don Manolo. Dlaczego więc miałbym złamać obietnicę złożoną przez moją rodzinę legalnym władcom Hiszpanii? Domyślam się, że to właśnie pan sugeruje.

- Niezupełnie - powiedział Javier. - Prosimy pana tylko o drobną zwłokę. Żeby, o ile to możliwe, wysłał pan trzydzieści milionów reali przez pośrednika, a nie bezpośrednio.

- Jakiego pośrednika ma pan na myśli, Konsula Francji?

- Napoleon wkrótce będzie królem Francji - powiedziała cicho Maria. - Wiem to z pewnego źródła.

- Świetnie - Robert uniósł kieliszek. - Panowie, zdecydowałem zostać królem Kordoby, a może całej Andaluzji. Skoro każdy, komu się podoba, może ogłosić się królem, dlaczego nie ja? Zadbali by panowie o utworzenie mojego dworu?

- Pan sobie z nas kpi, don Robercie - rzekł spokojnie Manolo.

- Ale my mówimy o poważnych kwestiach, które głęboko nas przejmują. Karol IV jest wygadującym głupstwem idiotą, infant Ferdynand niewiele lepszy. Królowa, niech Bóg ją błogosławi, jest

jedyną osobą z rodziny, która nadaje się do rządów. I wymaga małżonka, który byłby jej wart.

Ach tak, Robert w końcu zaskoczył. Manolo to hiszpańskie zdrobnienie imienia Manuel. A więc był to Manuel de Godoy, królewski gwardzista, o którym mówiono, że jest kochankiem Marii Luizy. I okazuje się, że pragnie większych zaszczytów. Robert nie dopuścił, by na jego twarzy odmalowało się zadowolenie z tego odkrycia. - Porozmawiajmy więc poważnie. Co chcecie, abym zrobił?

- Wstrzymał wysłanie pieniędzy do Karola - rzekł znów Javier.

- I rozważył możliwość mądrzejszego zainwestowania trzydziestu milionów reali. Może dla większej korzyści rodziny Mendozów.

- Jakiej korzyści?

Manolo odchrząknął. - Prawo Mendozów do założenia narodowego banku hiszpańskiego.

Dobry, słodki Boże! Specjał, którym Domingo niemal się zadławił, próbując go przełknąć, prawo do kontroli każdego statku ze złotem i srebrem z kolonii, emitowanie banknotów jako środków płatniczych.

- To interesujące - powiedział spokojnie. - Ale kto przyzna taki przywilej?

- Władca Hiszpanii - rzekł Manolo. - Podpisze dekret i już. Na mocy dekretu. Myślę, don Robercie, że i pan, i ja, obaj wiemy, że tak właśnie się to odbywa.

- Może - powiedział Robert po dłuższej chwili.

- Może co? - nalegał Javier.

- Może wszystko stanie się tak, jak mówicie. - Robert postawił pusty kieliszek na stole. - Mamy czterdzieści dni, nim trzydzieści milionów reali przejdzie na własność Madrytu. Czy możemy poczekać i zobaczyć, co stanie się w tym czasie? A teraz, donia Maria, panowie, życzę wam dobrej nocy. Dziękuję za interesującą konwersację.

Kiedy byli w Madrycie, Sofia wciąż spędzała dużo czasu w małym domu za Puerta de Toledo. Pablo kupił go od Javiera i przeniósł na nią prawo własności. Tej czerwcowej niedzieli siedziała przy toalecie, robiąc makijaż przed korydą, która miała się odbyć za parę godzin. Różana, jedwabna suknia, którą miała założyć, wisiała na drzwiach garderoby; w tej chwili Sofia była ubrana tylko w pięć halek. Jej piersi były śliczne, zwłaszcza kiedy podnosiła ramiona, by

zając się włosami. Pablo leżał na łóżku, obserwując ją wzrokiem pełnym uwielbienia.

- Kocham to, że jesteś wyzbyta wstydu - powiedział miękko.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. - Ach, masz na myśli to.

- Ujęła dłońmi piersi i roześmiała się. - Cygańskie kobiety nie wstydzą się niczego powyżej kibici.

- Cieszę się więc, że przez jakiś czas byłaś Cyganką. Bo teraz jesteś moją Gitanitą. - Przerwał na chwilę. - Sofio, chcę cię o coś spytać.

Jej serce zabiło szybciej. Każdego dnia oczekiwała oskarżenia, któremu nie będzie mogła zaprzeczyć, zarzutu niewierności. Ale nie wydawał się zły. Raczej zakłopotany. - Możesz mnie spytać o wszystko.

- Czy ja nie mogę mieć dzieci?

Odsunęła się, oszołomiona. - Nie! To znaczy nie wiem... Co ci przyszło...

- To nie może być twoja wina. Ty już urodziłaś córkę. Myślałem, że skoro mogę się kochać, mogę też płodzić, ale może nie, może to przez... - Podniósł zniekształcone ramię, potem opuścił je i wyszeptał: - To musi być moja wina. Nie jesteś w ciąży, a jesteśmy razem od roku.

Sofia odwróciła się i bawiła się oprawionymi w srebro szczotkami na toalecie. - Chcesz dziecka, Pablo? Bękartą?

- Nie, nie bękartą.

- Ale tym właśnie ono by było.

- Gdybyśmy się pobrali, to nie.

Nie odpowiadała przez kilka sekund. - Jestem już mężatką, wiesz o tym - powiedziała w końcu. - Jestem żoną Paca. Pobraliśmy się w krypcie kościoła Świętej Anny. To małżeństwo pobłogosławione przez Kościół - dodała gorzko.

- Takie rzeczy można załatwić. Cygan Paco się nie liczy. Ja się liczę.

Sofia potrząsnęła głową. - To nie twoja wina. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś tak pomyśleć. Zabezpieczyłam się, żeby nie począć dziecka. Zakładałam, że nie będziesz chciał, abym je poczęła.

Był wstrząśnięty. - Jak mogłaś zrobić coś takiego?

- To nie jest trudne. Kobiety z plemienia wiedzą, jakich ziół używać.

- Ale to morderstwo. Myślałem, że o to cię obwiniają w sprawie twojej córki.

- Szkodzić dziecku w łonie matki czy po urodzeniu to morderstwo. To przeciw prawu Romów, chociaż obce kobiety zawsze proszą o zioła, by pozbyć się dziecka już poczętego. Dostają tylko odrobinę pietruszki tak przygotowanej, żeby wyglądała na coś innego. Ale są inne rośliny, które czynią kobietę bezpłodną tak długo, jak zechce. Tego prawo Romów nie zakazuje.

- A prawo kościelne zakazuje - powiedział sztywno.

- Myślałam, że robię to, czego ty chcesz, Pablo. Jeśli cię uraziłam, to bardzo mi przykro. - Nie było jej przykro. Jak mogłaby mieć dziecko nie wiedząc, czy jego ojcem jest Pablo czy Carlos? Co by było, gdyby urodziła niemowlę z blond włosami i szarymi oczyma? Co wtedy pomyślałby Pablo? Nie, to było niemożliwe.

- Nie sądzę, żeby było ci przykro. - Wstał i stanął za nią, patrząc na jej twarz odbitą w lustrze. - Spójrz na siebie i spójrz na mnie. Dlaczego miałabyś chcieć dziecka, które mogłoby być naznaczone jak jego ojciec. - Odwrócił się. - Jestem głupcem. Czasami przekonuję siebie, że naprawdę ci na mnie zależy, i zapominam.

Sofia zerwała się na równe nogi. - Pablo, nie mów takich rzeczy! To nieprawda. Zależy mi na tobie i nie zważam na to, że jesteś chory. Musisz mi uwierzyć. Nie odchodź... Proszę...

Zatrzasnął za sobą drzwi, zanim skończyła mówić.

Dwadzieścia minut później, kiedy służąca Juana zapukała do drzwi i weszła do pokoju, Sofia wciąż siedziała przy toalecie na pół ubrana. - Dana Sofia, el matador esta aqui.

Zadrzała. Nie myśl o diable, mawiała Fanta, bo zobaczysz koniec jego ogona. - Powiedz mu, żeby zaczekał w patio. Zaraz przyjdę.

Otarła łzy i nałożyła świeży puder na twarz. Spojrzała na różaną suknię, ale nie zdążyła założyć gorsetu, a nie chciała teraz marnować na to czasu. Wsunęła żółtą, satynową suknię przez ramiona, potem przewiązała ją ciasno w talii i wzięła czarny, emaliowany wachlarz. Zauważyła, że ręce się jej nie trzęsą. Była bardzo spokojna i pewna swojej decyzji.

Carlos czekał przy różowo okwieconym oleandrze na głównym dziedzińcu. Nie miał na sobie swego odświętnego stroju matadora. - Co tu robisz o tej porze? - spytała. - Dlaczego nie jesteś ubrany?

- Szukam Pabla. Jest jakiś problem z bykami. Te, które widzieliśmy na ranczu tamtego dnia, nie przyjechały. Przyszli inne.

- Nie ma go tu. Juana na pewno ci to powiedziała.

- Tak, powiedziała.

- Więc dlaczego nie poszedłeś szukać go gdzie indziej? Postąpił krok do przodu i dotknął jej ramienia, palce przesuwając cał po cału w kierunku jej piersi. - I tak chciałem cię widzieć. Nie, nie odpychaj mnie. Co się stało?

- Pokłóciłam się z Pablem, jestem zdenerwowana. Odejdź, Carlosie.

Zmrużył oczy. - O co się kłóciliście?

- Nie o to, o czym myślisz. Pablo chce mnie poślubić.

- Nie możesz tego zrobić - warknął. - Nie pozwolę na to. Poza tym jesteś już mężatką.

- Wiem. Pablo mówił, że to można załatwić.

- Jak załatwić?

- Nie wiem. Dzięki pieniądzom Mendozów. Mogą kupić za nie wszystko, dlaczego nie unieważnienie?

Spróbował wziąć ją w ramiona, ale odepchnęła go od siebie. - Nie. Jest biały dzień, głupcze. Juana może patrzeć.

- Do diabła z Juaną. Myślisz, że ona szpieguje dla Pabla? Może on wie o wszystkim. Może bawi się nami jak kot parą myszy. Ucieknij ze mną, Sofio. Zostawmy kłamstwa i udawanie. Jak możemy tak żyć?

- Pablo mnie nie szpieguje. On mi ufa. Dlatego to jest takie straszne i dlatego nie mogę wyjechać. - Powachlowała się. Letni upał był uciążliwy nawet w cieniu oleandrów i pnących winorośli. - On chce mieć dziecko.

- Boże mój, dlaczego mnie tak dręczysz? Nie możesz mieć dziecka. A gdybyś miała, czy mogłabyś być pewna, że to jego?

- Nie. Dlatego nie zrobię tego. - Odpowiedziała spokojnie, pewna siebie. Jak mogła mówić takie rzeczy i udawać, że jej nie ranią? Ponieważ musiała, tak jak musiała powiedzieć resztę. - Podjęłam pewną decyzję. Nie zamierzałam ci tego mówić przed korridą, ale skoro tu jesteś...

- Czego nie mówić?

- Że zdecydowałam to skończyć.

- Nie rozumiem.

Zamknęła wachlarz z trzaskiem. - Owszem, rozumiesz. Ty i ja, to skończone. Nie będę oszukiwać Pabla. Odejdź, Carlosie. Nie wracaj. Przynajmniej nie wracaj bez Pabla.

- Tak po prostu - powiedział cicho. - Garbus proponuje ci małżeństwo i odrzucasz mnie.

- To nie ma nic wspólnego z poślubieniem Pabla. Nie wiem, czy to zrobię. Wiem tylko, że nie mogę wciąż żyć ze strachem i bólem, który mi przynosisz.

- A co z moim bólem?

- Nie mogę być za to odpowiedzialna, Carlosie.

- Jesteś odpowiedzialna. Odkąd wyciągnąłem cię z piekła Mujergordy, byłaś sensem mojego życia. Masz u mnie dług, Sofio. Jesteś mi winna swoje życie.

- Nie! - Sofia rzuciła ostro to słowo. - Nigdy już tak nie mów. Jestem zmęczona słuchaniem tego, Carlosie. Nie chcę, żebyś mnie wciąż bił tym kijem. Odejdź. Na miłość boską, po prostu odejdź. Każda kobieta w Hiszpanii cię uwielbia. Rzucają na ciebie kwiaty, ścielą się do twoich stóp. Idź wziąć trofea matadora i znajdź kobietę, która nie będzie nienawidzić ciebie i siebie za każdym razem, kiedy jej dotykasz.

Doskoczył do niej, wyrwał wachlarz z jej dłoni i rzucił go za siebie.

- Zostaw mnie. Oszalałeś? Będę krzyczeć...

Uderzył ją w twarz - raz, dwa, trzy. Uderzenia były dużo mocniejsze niż to jedno, które ona mu zadała tamtej pierwszej nocy wiele miesięcy temu. Sofia padła na ziemię, kuląc się u jego stóp w bolesnym szlochu. Żółta suknia rozdarła się, ukazując jej biust.

- Wszyscy Cyganie biją swoje kobiety, tak mi mówiono - odezwał się cichy głos. - To ich zwyczaj, prawda?

Sofia uniosła zalaną łzami twarz. Pablo stał przy jaśminie, w czarnym kapeluszu i pelerynie na tle mieniących się zielonych liści i białego kwiecica. Wszystko, co wiedział, było widoczne w jego oczach przepełnionych żalem. - Nie - wyszeptała Sofia. - To nie to, co myślisz. Carlos i ja znamy się od dziecka. Nigdy ci o tym nie mówiliśmy, ale...

- Przestań... - powiedział. Jego głos wciąż był normalny. Tylko oczy na nią krzyczały. - Dość już kłamstw, Sofio. Nie są już potrzebne. Zdumiewające, że bicie może być równie intymne jak seks.

- Odwrócił się do matadora. - Carlosie, musisz się ubrać, masz być na korridzie w ciągu godziny. Jeśli się nie pośpieszysz, nie będzie czasu na twoje modlitwy. - Znowu spojrzął na Sofię. - Przepraszam, że wam przeszkodziłem. Wróciłem tylko, by ci powiedzieć, że mi przykro z powodu naszej wcześniejszej kłótni i poprosić, żebyś poszła ze mną na plac popatrzeć na kolejny triumf Carlosa. Szkoda, no nie? Jakie to wszystko jest smutne i jaki byłem głupi.

Hidalgo nie mógł zostać z boku. Stał na swoim zwykłym miejscu przy ogrodzeniu na Plaza Mayor. Dookoła niego tłum wykrzykiwał w uniesieniu, kiedy otwarto zagrodę i przez bramę wszedł pierwszy byk. Nie był to zwierz, którego Pablo się spodziewał; ten był czerwony i miał szeroko rozstawione nogi. Mała strzałka umieszczona w jego kłębie miała kolory właściwego rancza, ale to nie był właściwy byk. Coś było nie do końca w porządku w tej pierwszej walce - może to jakiś drobiazg.

Tłum wyczuł coś złego. Pod ich krzykami pełnego zachwytu oczekiwania Pablo słyszał pomruk niepokoju. Wziął głęboki oddech i poczuł falę radości walczącą z rozpaczą w jego sercu. Wiedział dokładnie, co się stanie, i cieszył się.

Carlos stał za burladero, przesłoniętej dziurze w ogrodzeniu przeznaczonej dla walczącego. Jego najbardziej zaufany pomocnik, człowiek, którego Pablo znalazł mu, kiedy zaczynał walki cztery lata temu, wszedł na arenę i kilka razy podrażnił byka peleryną. Żeby go oznaczyć, jak mówiono, by dać toreadorowi możliwość oceny przeciwnika.

Wyjdź, matadorze, pomyślał Pablo. Wyjdź i zobacz, co cię czeka.

Zazwyczaj drżał, kiedy Carlos zaczynał swoje pierwsze przejście. Zupełnie jakby jego zniekształcone ramię trzymało pelerynę, jakby on, Pablo, był przyczyną dzikich wrzasków, jakby upił się niebezpieczeństwem i żądzą krwi i zwycięstwa. Dziś całe jego ciało wzdrygnęło się na atak zwierzęcia. Dziś nie był matadorem, lecz bykiem.

Zabiję cię, bo ty zabiłeś wszystko, co było we mnie życiem. Mam tak niewiele, a ty tak dużo, i nawet to niewiele zbezczeszczyłeś i ukradłeś mi. Spójrz na moje rogi. Patrz na nie. Patrz, nim przeszyją cię na śmierć.

Wziął go na rogi w drugiej tercji, w akcie wbijania banderilli.

Widzisz moją pogardę dla ciebie, matadorze? Nie zabiłem cię w chwili, gdy wykonujesz jedno ze swoich słynnych przejść. Odmawiam ci zaszczytu śmierci w chwili chwały. Robię to teraz, kiedy przechodzisz koło mnie. Odrzuciłeś banderille i zdecydowałeś się umieścić piki. Ponieważ dziś jesteś szalony z radości. Dziś myślisz, że w końcu przepędziłeś garbatego głupca i kobieta jest twoja. Ale nie będziesz żył, by się nią cieszyć, matadorze. Chcę, żebyś to wiedział, kiedy atakujesz mnie od tyłu, a ja odwracam głowę, opuszczam ją i podnoszę cię. Oba moje rogi są teraz w twoim brzuchu, matadorze. Kiedy cię zrzucę, rozerwą cię i wytną ci serce.

Dwadzieścia minut później ktoś przypomniał sobie hidalga, który był opiekunem matadora i najbliższym jego przyjacielem, i poszedł go szukać. Wciąż stał przy arenie, płacząc, jakby skończyło się jego własne życie.

To lokaj Pabla znalazł go następnego ranka. Hidalgo wisiał na żyrandolu w swojej sypialni w posiadłości Mendozów na Calle del Campo. Miał na sobie kasztanowo - złoty uroczysty strój toreadora. Nigdy wcześniej nikt nie widział go w takim stroju. Musiał go zrobić w tajemnicy. Był specjalnie skrojony, by pomieścić garb na plecach i skrzycone ramię.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dwa lata minione od czasu samobójstwa Pabla były pełne przełomów i decyzji, które mógł podjąć tylko Robert. On, Anglik, był hidalgiem. Czasami zastanawiał się, co ludzie o tym myślą. Nic, w ten lodowaty październikowy poranek ich reakcje na jego osobę nie wyróżniały się niczym szczególnym.

Wszędzie w Kadyksie widział gorączkowe przygotowania do Fiesty San Rafaela, która miała się odbyć za kilka dni, dwudziestego czwartego. Nikt nie zwracał na niego uwagi, jakoś wszyscy wydawali się nieświadomi dramatu, który miał mieć miejsce kilka mil dalej.

A Robert myślał tylko o tym. Postawił wszystko na jedną kartę w ryzykownej grze. Zamierzał wygrać, bo musiał - wszelka inna możliwość była niedopuszczalna. Będzie świętował z Kadyksem. Muzyka, śpiew, taniec na ulicach - bal, jaki mógł odbyć się tylko w Hiszpanii.

Wszędzie były afisze, proste, ale kolorowe rysunki zapowiadające tygodniową korridę i wizytę jakiejś śpiewaczki zwanej Gitanitą. Z wyglądu sądząc - artystki flamenco. Na plakatach był jedynie szkic, przedstawiający kobietę w falbaniastej andaluzyjskiej sukni, z ramionami uniesionymi nad głową i kastanietami w dłoniach. Robert poświęcił plakatowi niewiele uwagi. Później będzie na to czas. Teraz czekał na dwóch mężczyzn, swojego brata Liama i Harry'ego Hawkinsa.

Liam przyjechał pierwszy. Przybył nocą dziewiętnastego, w powozie otoczonym przez uzbrojonych strażników. Rzucił za siebie spojrzenia, jakby ścigały go piekielne psy.

- Nie bądź, do cholery, taki przestraszony - rzekł mu Robert. - To bitwa między Villeneuve'em i jego armadą a Nelsonem, ciebie to nie dotyczy.

- To chyba nie jego lordowska mość mnie martwi - odparł Liam sztywno. - Hiszpania i Anglia są w stanie wojny. Jestem obcy i jestem wrogiem.

- Ja też. Nie zapominaj, że też jestem Anglikiem.

- Kiedy patrzę na ciebie, nie pamiętam o tym. Czy przyjąłeś wszystkie ich zwyczaje, Robercie?

- Nie wszystkie, tylko te, które mi odpowiadają. W Hiszpanii nikt nie przejmuje się ani trochę jednym cywilem, bez względu na jego narodowość. Chodź na górę, porozmawiamy w spokoju.

Zaprowadził Liama do apartamentu nad rozległym magazynem Mendozów. Na parterze wysyłka sherry czekała na załadunek. Tu było sześć wielkich pokoi przeładowanych meblami w typowo hiszpańskim stylu.

- Bardzo okazały - rzekł Liam, przyglądając się przestronnemu salonowi. Sztywne połączane krzesła z czerwonymi aksamitnymi siedzeniami stały rzędem pod ścianami; za nimi wisiały gobeliny przedstawiające sceny polowań. Polerowaną dębową podłogę zakrywał turecki dywan tkany ciemnokasztanową i złotą nicią. Środek pomieszczenia zajmował rzeźbiony hebanowy stół, na którym stał sześcioramienny srebrny kandelabr.

- To nie w moim guście, Domingo meblował te pokoje - wyjaśnił Robert. - A może wcześniej jakiś inny hidalgo. Nie dowiadywałem się, skoro rzadko tu jestem. Tylko teraz tu przyjechałem, żeby się z tobą spotkać i... - przerwał. - Nieważne, chodźmy do mojego biura. Tam poczujesz się bardziej jak w domu.

Biuro umeblował wedle swojego gustu - dwa wielkie wygodne krzesła wyściełane delikatną zieloną skórą, kilka stolików podtrzymujących mosiężne lampy oliwne, wielkie biurko rzeźbione z drzewa tekowego i półki pełne pięknie oprawionych książek po hiszpańsku i angielsku. - Lepiej? - spytał.

- Bardzo tu ładnie. Ale wciąż uważam, że powinniśmy się byli spotkać w Gibraltarze.

- Poczuj się tu bezpiecznie, dobrze? Brytyjski duch, te rzeczy. Ja muszę tu być, Liamie. I muszę z tobą porozmawiać.

- To samo mówią twoje listy z ostatnich sześciu miesięcy. Szczerze mówiąc, gdyby ojciec nie nalegał, nie podjąłbym tej podróży.

Robert nalał im obu wina. - Ojciec przysłał mnie tu, bym przejął Kordobę. Zrobiłem to.

- To prawda. Nie odmawiam ci zasług, Robercie. Interesy z hiszpańskiej strony nigdy nie szły lepiej, i dzięki Bogu. W domu mamy prawdziwy bałagan.

- Podatki?

- Tak. Przeklęty rząd.

- Ale to wszystko, żeby pobić Napoleona. Ty gardzisz tym samozwańczym cesarzem, prawda, Liamie?

- Oczywiście, że tak. Ale bitwa ma być wygrana lub przegrana na morzu. Nigdy nie pokonają Napoleona na lądzie.

- Być może - odparł Robert. - Wszystko zależy od Nelsona, prawda? Jak sądzisz?

- Tak, ale o wiele lepiej nam zrobi, kiedy jego okręty puszczą się w pogoń do Indii Zachodnich, by tam się bawić w chowanego z tym dupkiem Villeneuve'em. A żeby ich obu szlag trafił.

Robert wyjrzał przez okno. Port był zatłoczony masztami. - Teraz nie ma ich w Indiach Zachodnich - rzekł spokojnie. - Nelson jest parę mil stąd na morzu, a hiszpańska i francuska armada jest właśnie tu, w Kadyksie.

- Wiem o tym. Nie jestem ślepy, człowieku. - Liam wstał i podszedł, by stanąć obok brata. - Na co oni czekają, jak myślisz? - Wbrew wrogiemu nastawieniu do wojennych manewrów, jego głos był zabarwiony lękiem. - Boże, wyglądają na niezwycięzonych.

- Nie jestem pewien, na co czekają. Ale mają cholernie dobre statki. Zapłaciłem za budowę piętnastu z nich.

- Piętnastu! Piętnaście okrętów wojennych do zaatakowania Anglii. Przemieniłeś się w Hiszpana, prawda? Wcześniej żartowałem, ale najwyraźniej mówiłem prawdę.

- Przestań tak na mnie patrzeć. Siadaj i słuchaj. To dlatego po ciebie posłałem. Nie mogłem wyłożyć tego w liście. Musiałem dokonać wyboru, Liamie, i dokonałem.

- Raczej Hiszpania niż Anglia.

Robert trzasnął pięścią w stół. - Raczej ród Mendozów niż jakikolwiek naród na zielonej boskiej ziemi. O to nam chodzi, Liamie. Po to urodziłeś się ty i ja, czy chcemy tego czy nie. Ponieważ Hiszpania jest sprzymierzona z Francją, była zobowiązana wesprzeć okręty dla tej floty. I jeśli wygra Napoleon, my wygramy.

- Zależy, kim są ci „my”, prawda? - upierał się Liam. - Mógłbym powiedzieć, że jeśli wygra Anglia, my wygramy. Wygrają angielscy Mendozowie.

Robert wiedział, że w tym spostrzeżeniu była prawda, ale nie przyznał tego. Miesiącami toczył walkę ze sobą, zanim uczynił ruch. Potem, kiedy Pablo się powiesił, kiedy Napoleon ogłosił się nie królem, jak prorokowała Maria, lecz cesarzem, po sześciu spotkaniach z Manuelem de Godoyem, Javierem i Eliaszem, zdecydował. Ponieważ cena, jaką zaoferowali, była taka, że odpowiedź odmowna

była ponad jego siły. - Mendozowie są jedną rodziną - powiedział bratu. - Jednym istnieniem. I... - przerwał, wziął głęboki oddech i oznajmił: - Jeśli zwyciężymy tutaj, będziemy uprawnieni do utworzenia narodowego banku Hiszpanii.

Liam wytrzeszczył oczy na brata, oszołomiony nowiną. - Jesteś pewien? - wychrypiął w końcu.

- Jestem pewien. Mam to na piśmie od człowieka, który będzie królem Hiszpanii, i coś w rodzaju potwierdzenia od samego nowego cesarza.

- Ale piętnaście statków - powtórzył Liam. - Zapłaciłeś za budowę ich wszystkich?

- Tak. Piętnaście okrętów liniowych. Cztery z nich niosą ponad sto dział.

- Wielki Boże! Ile to kosztowało?

- Prawie dwa miliony reali. Ponad trzy miliony funtów szterlingów. Ojciec dostarczył tych pieniędzy, a propos. Przekonano mnie, że Karol IV nie jest wart obdarowania złotem, które przywiózł Rudi Graumann.

- Ale reszta... musiałeś wszystko zastawić. - Liama ogłuszyły rozmiary tego ryzyka i fakt, że cała niewiarygodna suma została postawiona przeciw krajowi, który spłodził jego i Roberta.

- Prawie wszystko. Praktycznie wszystkie pożyczki są zabezpieczone złotem i srebrem należnym z hiszpańskich kolonii. Zastawiłem je.

Twarz Liama przybrała barwę popielatą. - Wszystkie? - spytał chrapliwym szeptem. - Każdy grosz, która rodzina zarobi, na...

- Na najbliższą przyszłość - przerwał Robert. - Rozłożyłem ryzyko między bankierów tu, w Szwajcarii, w Prusach i we Włoszech. Jeśli przegram, dziedzictwo w Kordobie nie przejdzie w ręce jednego człowieka. Na miłość boską, Liam, napij się. Weź się w garść. Ja musiałem to zrobić. Nie było innego sposobu, żeby zdobyć pieniądze. Nie mogłem poprosić ciebie ani ojca. Zwłaszcza kiedy doszły mnie słuchy o podatkach. Ale myśl o tym, Liamie, że staniemy się bankiem Hiszpanii. Będziemy trzymać w garści każdy cenny ładunek tych doków i nabrzeży, całkowitą kontrolę nad sznurkami sakiewki narodu.

- A jeśli przegrasz?

- Dlaczego wciąż mówisz „ty”? Lepiej byłoby - jeśli przegramy. Liam potrząsnął głową. W grzywie jasnych włosów było teraz trochę

siwizny. Wyglądał starzej niż na trzydzieści sześć lat. - Nie, jesteś w błędzie. Podjąłeś tę decyzję samodzielnie, Robercie. Nie skonsultowałeś się ze mną ani z ojcem i...

- Nie mogłem. Do diabła, Liamie, dlaczego nie możesz tego pojąć? Listy wędrują tygodniami, czasem miesiącami. Musiałem zdecydować.

- Nie skonsultowałeś się z nami - ciągnął Liam, jakby mu nie przerwano. - Ale nie jesteś sam jeden z rodziną, Robercie. Nie jesteś jakimś... - szukał słowa - jakimś Medyceuszem czy wschodnim możnowładcą. Nie rządzisz z boskiego przykazania, własnym dekretem.

Robert machnął ręką, jakby odganiał natarczywe myśli.

Liam wstał, wyprostował się z godnością. - No dobrze, podjąłeś decyzję. Teraz nic nie mogę zrobić, by to zatrzymać. Są poza moim zasięgiem, te okręty twoje i Napoleona. I Nelsona. Musimy po prostu patrzeć, co się stanie, prawda? - Odwrócił się do wyjścia.

- Zostajesz, oczywiście - rzekł Robert. - Przygotowałem dla ciebie pokój. Pozwoliłem sobie...

- Dziękuję, ale wolę chyba zajazd. Tylko na kilka dni, póki nie będę mógł zrobić przygotowań do następnej podróży lądowej. - Skinął w stronę portu pełnego okrętów. - Nie ma wielkiej nadziei na dotarcie do domu tą drogą.

- Liamie, posłuchaj, mam źródło informacji. Cokolwiek się stanie, my pierwsi będziemy wiedzieć. Możemy to wykorzystać. Jest ten karzeł, nazywa się Harry Hawkins. On jest absolutnie godzien zaufania. Wsadziłem go na rybacki bryg kilka minut od brzegu. Będzie wiedział, co się stanie, i wyśle wiadomość.

- Nie sądzę, bym dbał o korzyść tego rodzaju - rzekł sztywno Liam. - Ale pamiętam Hawkinsa. Ojciec wysłał go gdzieś tego roku, w którym ty się urodziłeś. Byłem wtedy ledwie sześciolatkiem, ale pamiętam, że on nie należał do tych, których można by zapomnieć. Biedne stworzenie, mam nadzieję, że nie naraziłeś go na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Cztery dni później, bladym świtem, portowymi ulicami w stronę domu Mendozów pędził posłaniec. Był to dziesięcioletni chłopiec, który dotarł do brzegu szybkim kutrem. Inni pozostali za nim; brygantyna, z której go wysłano, nie była zwykłą łodzią rybacką pływającą w pobliżu przylądka Trafalgar dwudziestego pierwszego

października. Karzeł powiedział mu, że dostanie za swoje, jeśli nie dostarczy tego listu don Robertowi, zanim ktokolwiek inny przywiezie wieści do Kadyksu.

Kiedy chłopiec stanął w drzwiach składu Mendozów, był zdyszany i zlany potem. Mimo wczesnej pory kilku mężczyzn przetaczało beczki wina z jednego miejsca na drugie. - Gdzie jest hidalgo? Mam dla niego pilną wiadomość.

- Tutaj - Robert wyszedł z cienia na tyłach wielkiej hali. Od spotkania z Liamem spał jedynie kilka godzin. Tę noc, w poszukiwaniu absorbującego zajęcia, spędził sprawdzając ładunek z jednej z bodeg w Jerez. - Daj mi przesyłkę, mały. - Przyglądał się twarzy chłopca. Ten starał się wyglądać na dorosłego i nieugiętego, ale coś z tego, co zobaczył, widać było w jego oczach. - Źle, prawda? - spytał cicho Robert.

Chłopiec skinął głową. - Strasznie, don Robercie. Wszędzie krew. Wszędzie. Morze jest czerwone.

Miał na końcu języka pytanie, kto odniósł zwycięstwo w rzezi, ale nie zrobił tego. Z jednego powodu - chłopak mógł się mylić. Słyszeli huk dział przez cały wczorajszy dzień; echo niesło go do brzegu ze wschodnią bryzą. W bitwie takiej jak ta nikt nie mógł być pewny, które statki zostały zatopione, a które wciąż były na powierzchni. Poza tym chciał być sam, kiedy dowie się o swoim losie. - Dobrze się spisałeś, chłopcze - rzekł więc. - Zostaniesz nagrodzony. - Skinął na najbliższego człowieka. - Dopilnuj, żeby dostał jeść i pić. Będę na górze i niech mi nikt nie przeszkadza.

- Dobrze, don Robercie.

Wspiął się schodami do swego apartamentu i zatrzymał się, by zmyć kurz magazynu z twarzy i rąk, zanim pójdzie do biura i otworzy przesyłkę. Była zawinięta w ceratę. W środku znalazł cztery kawałki papieru zapisane gęsto starannym pismem Harry'ego Hawkinsa.

Widzieliśmy dokładnie obie strony, dwadzieścia siedem okrętów Nelsona i połączone siły trzydziestu trzech okrętów pod Villeneuve'em i admirałem Graviną. Sam Nelson był na pokładzie „Victory”. Widziałem go wyraźnie przez lunetę. Nosił wszystkie swoje odznaczenia, sir. Wyglądał bardzo imponująco. Przyznaję, że poczułem pewną dumę. Każdemu statkowi dodano żagiel gniezdny, widzieliśmy więc, że nie będzie to długo trwało. Potem, około wpół do jedenastej, stało się. Człowiek, który potrafi czytać kod flagowy,

powiedział mi, że „Victory” wysłała wiadomość przez linię brytyjską. „Anglia oczekuje, że każdy mężczyzna spełni swą powinność” - tak to właśnie brzmiało, sir. Nie słyszałem ich, ale przez lunetę mogłem domyślić się okrzyków marynarzy. Robiły silne wrażenie, sir. Nic podobnego nie miało miejsca po naszej stronie. Mielśmy nad nimi przewagę w statkach i sile ognia, ale ludzie raczej nie mieli tej samej żądzy walki. Mant nadzieję, że wybaczy mi pan te słowa, panie Robercie, ale sądzę, że dlatego właśnie stało się to, co się stało.

Robert przerwał lekturę i wyjrzał na port. Pogoda się zmieniła i w ciągu godziny nowy, silny wiatr przewiał dym bitewny z horyzontu. Atlantyk połyskiwał we wschodzącym słońcu. Jakże spokojnie teraz wyglądał.

Był taki pewien, że wbrew pozorom ryzyko nie jest tak wielkie. Wbrew wszystkiemu, co powiedział Liamowi, myśl, że może ryzykować i stracić, nigdy naprawdę nie powstała mu w głowie. Jednym błyskawicznym ciosem zamierzał sprawić, by ród Mendozów z Kordoby zdobył taką władzę, że byłby pierwszy przez całe pokolenia nie tylko w Hiszpanii, lecz w całej Europie. Rozważał nawet pomysł rozszerzenia wpływów na Amerykę Północną. I odeszła - cała władza i cała chwała.

Nie musiał czytać pozostałej części listu Hawkinsa, ale poczuł się zobligowany do wypicia i tej gorzkiej resztki.

Jestem prawie pewien, że Nelson nie żyje, ale całkowicie pewne jest, że oni zwyciężyli. Poddało się dziewiętnaście naszych statków, sir. Reszta została zatopiona. Bóg nas chroni, panie Robercie. Bóg błogosławi rodzinę Mendozów. Podjął pan właściwą decyzję. Jestem o tym przekonany. I jeśli nawet teraz wygląda to źle, wiem, że Bóg będzie pamiętał, że działał pan właściwie, i będzie pan błogosławiony.

Zawsze pański uniżony sługa w Jezusie Chrystusie

Harry Hawkins.

Robert starannie złożył papier i z powrotem owinał go ceratą. Potem założył płaszcz, opuścił skład i ruszył do zajazdu, w którym stanął Liam. Znalazł brata przy śniadaniu w gospodzie. Był sam, nikt nie siedział w pobliżu. Wszyscy, bez wątpienia, omijali Anglika z daleka.

- Proszę, możesz czytać i wiwatować. - Rzucił list na stół. - Wkrótce wszyscy się dowiedzą. Widziałem po drodze kilka małych łodzi płynących do brzegu. Ale to pierwsza wiadomość.

- Nelson wygrał? - spytał Liam szeptem.

- Tak. I ty też, przynajmniej zgodnie z tym, co mówiłeś. Nie ma żadnego banku, ale teraz Napoleon nigdy nie ośmieli się najechać Anglii. Co więcej, Brytania bezwarunkowo rządzi na morzu. Zapewne na zawsze.

- Robercie, posłuchaj, przykro mi. Rozumiem to. Dużo o tym myślałem. Wiem, że zrobiłeś to, co uważałeś za najlepsze. Co się teraz stanie? Co z Kordobą?

- Kordoba nie żyje. Ostatnie rżenie zajmie chwilę. Większości pożyczek nie trzeba spłacać od razu. Krew wysączy się powoli, a ciało będzie miało stosowny grób. Pałac i prawie wszystkie posiadłości Andaluzji wciąż są wolne, ale Kordoba leży.

- Będziesz więc teraz chciał pojechać do domu? Ojciec chętnie cię powita.

- Nie sądzę, żebym chciał pojechać do Anglii. Wątpię, czy ojciec gorąco pragnie widzieć mnie po tym, co się stało.

- Mylisz się, Robercie. Jesteś jego ulubieńcem. Jeden błąd tego nie zmienia.

Robert potrząsnął głową. - Owszem, zmieni. Tak czy owak, nie interesuje mnie powrót do domu. Po prostu zostanę tutaj i będę siedział przy łożu śmierci. To stary hiszpański zwyczaj, Liamie, siedzenie przy marach, póki ciało nie ostygnie i nie zacznie cuchnąć. Powiedzmy, że jest to jeden z tych zwyczajów, które zdecydowałem się przyjąć.

Robert był pijany przez następne trzy dni. Kiedy nie mógł wlać już w gardło więcej wina ani brandy, wtaczał się do apartamentu nad składem i tracił przytomność.

Budził się nagi w dusznej ciemności. Zasłony wokół łóżka i w oknie były zaciągnięte, i co prawda sam o tym nie pamiętał, ale najwidoczniej rozbierał go służący. Robert zepchnął na bok gobelinowe kotary i chwiejnie stanął na nogach. Dobry Boże, ależ bolała go głowa! Pokonał drogę do okna, szarpnął za sznur od zasłon i otworzył okno. Sądząc po słońcu, było późne popołudnie i goręcej niż poprzedniego dnia. Odetchnął głęboko i poczuł, jak świeże powietrze wpływa do jego płuc i ożywia je trochę.

- Indalencio! - Przejście przez pokój, by pociągnąć za sznur od dzwonka, wydawało się za trudne. Wolał krzyknąć. - Indalencio, chodź tu. Potrzebuję cię.

- Si, senior. Jestem tu.

- Kąpiel, człowieku. Dobry Boże, cuchnę. I coś do picia.

- Kąpiel jest przygotowana, don Robercie. Utrzymałem ją w cieple. - Lokaj był o połowę mniejszy od Roberta, ale wziął hidalga pod ramię, żeby służyć mu wsparciem.

Robert odtrącił tę pomoc. - Mogę iść, Indalencio.

Wtoczył się do garderoby, gdzie czekała miedziana wanna pełna parującej wody. Ogromny czajnik wisiał nad piecykiem wypełnionym palącym się węglem drzewnym, a z jego dzióbka wydostawało się jeszcze więcej pary. Gorące, wilgotne powietrze małego pomieszczenia dodało mu otuchy, jeszcze zanim zanurzył się w kąpiel.

- Och, tak lepiej. Teraz, Indalencio, picie. Poprosiłbym o klina, ale nie wiedziałbyś, o czym mówię, prawda?

- Nie, senior, ale przygotowałem panu napitek. - Mały człowieczek wręczył mu srebrny puchar.

Robert wziął go i powąchał podejrzliwie zawartość. - Pachnie jak sherry. Oloroso. Ale jest ciepłe.

- Si, don Robercie. Vino oloroso caliente z surowym jajkiem. Esta muy bueno ahora.

- Klin - wymruczał Robert. - Właśnie o tym mówiłem.

- Opróżnił puchar jednym haustem.

Pół godziny później był wykąpany i ubrany w czystą odzież. Fizycznie czuł się o niebo lepiej. A jeśli chodzi o resztę, żadna kąpiel nie mogła ulżyć jego myślom. Może spacer zdejmie pajęczyny z jego umysłu.

Zmierzchało, ale ulice były puste. Hiszpanie zazwyczaj o tej porze paradowali na przechadzkach, pozdrawiając się nawzajem i dokonując oceny; młodzi mężczyźni spoglądali zalotnie na dziewczęta, panny rzucały taksujące spojrzenia zza wachlarzy, próbując zwieść czujne oczy swoich przyzwoitek. Robert zauważył sznur latarni rozwieszony wzdłuż placu, na którym odbywały się walki byków. Ach tak, Fiesta de San Rafael. Klęska armady nie mogła przeszkodzić fiście. Przypomniał sobie jednak, że korridy nie odbywały się po zmroku, więc zaintrygowany ruszył na plac.

Na końcu wąskiej ulicy, która prowadziła na otwarty plac, na przewróconej paczce siedział mężczyzna. Zagroził Robertowi drogę.

- Co się dzieje? - zapytał więc.

- Koncert, hidalgo. Żeby wejść, każdy musi zapłacić jednego reala. Nawet szlachcic - dodał, radując się swoją chwilą władzy.

Był zbyt zaciekawiony, żeby odrzucić tę impertynencję, więc sięgnął do kieszeni po monetę, by dać ją mężczyźnie. Na końcu placu, gdzie zazwyczaj siedział honorowy przewodniczący korridy, wzniesiono drewnianą scenę. Teraz siedziało tam dwóch mężczyzn. Jeden miał gitarę, drugi tamburyn, ale żaden z nich nie grał. Skądś po prawej Robert usłyszał dźwięk kastanietów. Oczywiście - śpiewaczka flamenco, którą zapowiadały plakaty.

Dźwięk kastanietów trwał przez chwilę, nim kobieta weszła w pole widzenia. Taki zabieg przykuwał uwagę tłumu, uciszał rozmowy. Wszyscy wychylali się zaciekawieni do przodu, póki tamburyn nie przyłączył się do kastanietów. Kilka chwil później mężczyzna z gitarą przebiegł palcami po sześciu strunach i najbardziej erotyczna melodia świata zaszemrała w nocnym powietrzu.

Kobieta szła wolno, wciąż czyniąc muzykę tylko palcami. Była ubrana w czarno - czerwoną andaluzyjską suknię, opiętą na biodrach, a poniżej wybuchającą morzem falban. We włosy wpięła wysoki grzebień, za uszy zatknęła czerwone róże. Znał ją, był tego pewien. Nie widział jej na tyle wyraźnie, by mieć pewność, ale...

Wtedy otworzyła usta i ten niewiarygodny przejrzysty głos oszałamiającej czystości sprawił, że przypomniał sobie wszystko.

- Aż do tego wieczoru nie łączyłem donii Sofii z cygańską dziewczyną w posiadzie nieopodal Sewilli - powiedział jej później, kiedy szli razem ulicami za nabrzeżem.

Sofia nie uśmiechnęła się. - W pewien sposób ja też nie, jeszcze jakiś rok temu czy coś koło tego. Ona była częścią jednego świata, kobieta hidalga częścią innego.

- Ale złożyłaś je w całość.

- Tak, skoro musiałam.

- Przykro mi.

Zdumiała się. - Dlaczego miałoby być ci przykro?

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będziesz w potrzebie. Przyjąłem po prostu, że Pablo cię jakoś zabezpieczył.

Jak mogła wyjaśnić, o co jej naprawdę chodziło? Czy hidalgo mógł dać jej rozgrzeszenie? Zmyć z jej rąk krew Carlosa i Pabla? Nie, i nie mogła też wyjaśnić, że tylko takie życie dawało jej satysfakcję.

- Ty nie odpowiadałeś za mój los - powiedziała. - I nie byłam w potrzebie. Miałam swój dom w Madrycie, dużo biżuterii. Nie groził mi głód, don Robercie. Nie czuj się winny z mojego powodu.

- Proszę, przeszliśmy razem tyle. Nie możemy być po prostu Robertem i Sofią? A skoro nie było żadnej potrzeby, to dlaczego... - zawiesił głos. To, co ona robiła, nie powinno go obchodzić.

- Dlaczego śpiewam dla ludzi i stronię od kulturalnego towarzystwa? - dokończyła. - Nie, nie kłopotz się, to nie jest niewłaściwe pytanie. Ale kochanka, nawet kochanka Mendozy, nigdy tak naprawdę nie należy do kulturalnego towarzystwa. - Pomyślał o Marii Ortedze, ale Sofia wciąż mówiła i myśl ulotniła się. - Poza tym, miałam pewną potrzebę, choć nie tego rodzaju, co myślisz.

- Jaką zatem?

- Potrzebę bycia niezależną, żeby nie liczyć na nikogo, tylko na siebie w kwestii zabezpieczenia przyszłości.

- Więc wróciłaś do śpiewania w posadach. - Nie przekonała go tym argumentem, co dało się wyczuć w jego głosie.

- Nie - upierała się Sofia. - Nie tak, jak mnie widziałeś przed laty. Podróżuję z dwoma muzykami, tymi, których dziś widziałeś, ale oni są przeze mnie zatrudnieni. I śpiewam tylko wtedy, jeśli wcześniej się umówię, i to na najważniejszych jarmarkach i fiestach w Hiszpanii. Nie proszę o drobne po przedstawieniu, Robercie. Dostaję pieniądze, bo ludzie płacą, by mnie zobaczyć.

- Jak matador - powiedział, ale zaraz pożałował porównania.

- Przepraszam, nie zastanowiłem się.

Wzruszyła ramionami. - Minęło już dużo czasu. Miałeś prawo zapomnieć.

- Ale ty nie?

Sofia odwróciła się do niego, przyglądając się jego twarzy w mlecznym świetle księżyca i zastanawiając się, ile on wie albo się domyśla. Nie wyczytała z jego brązowych oczu żadnego oskarżenia. - Minęło dużo czasu, ale popłynęło też dużo krwi - powiedziała cicho. - Nie, niełatwo mi o tym zapomnieć.

- Matadorzy ryzykują swoje życie za każdym razem, kiedy wychodzą na arenę. A Pablo Luis był stracony od chwili narodzin. Nie widzę tu nigdzie twojej winy.

- Być może.

Zauważył, że ciaśniej owija szalem ramiona. - Zimno ci. Nie powinienem gadać z tobą na dworze o tej godzinie. Domyślam się, że zatrzymałaś się w zajeździe.

Sofia skinęła głową, zawrócili i ruszyli z powrotem do miasta.

- Kiedy cię znów zobaczę? - spytał, zanim ją opuścił.

- Ostatni raz śpiewam tu jutro wieczorem. Potem muszę wyjechać. Mam śpiewać znowu w przyszłym tygodniu. W Kordobie, tak się złożyło.

- Zjesz ze mną kolację po jutrzejszym przedstawieniu?

- Jeśli chcesz.

- Tak, chcę. Jesteś powiewem świeżego powietrza, Sofio. Odkryłem to w tej chwili z radością.

- Coś cię kłopotczy, prawda? - spytała. Potem popisała się przenikliwością, która wprawiła go w zdumienie: - Klęska admirała Graviny i armady była sprzeczna z twoimi interesami, prawda?

- Można tak powiedzieć - przyznał. - Ale mamy przyjemniejsze tematy do rozmowy. Do jutrzejszego wieczoru, Gitanito.

Wyciągnęła rękę, a on ją ucałował. Potem ukłonił się, odwrócił i odszedł.

Był zdumiony sobą, że zainteresowała go kobieta, kiedy jego życie leży w ruinie, a marzenia rozsypały się w kawałki nieopodal białych klifów przylądka Trafalgar. A jednak jej pragnął. Chciał stłumić udrękę klęski ogniem... czego? Seksu? Niezupełnie, pewnego rodzaju zwycięstwem.

- Sofio, jedź ze mną do Kordoby, wyślij swoją trupeę przodem. Oboje jedziemy w to samo miejsce, więc dlaczego nie razem?

- Nie zostajesz w Kadyksie?

Uśmiechnął się i dolał jej wina. Siedzieli przy stole w jadalni apartamentu nad składem. - Teraz nie mam potrzeby tu zostawać.

Spojrzała na niego z zastanowieniem. Niepokoił ją, niepokoił ją od tamtego dnia na Plaza Mayor w Madrycie, kiedy Carlos miał swoją alternatywę, a ona wyjaśniała szczegóły walki byków angielskiemu kuzynowi Pabla. - Straciłeś dużo przez lorda Nelsona, prawda?

- Tak.

- Szczególnie okrutne, jako że on też jest Anglikiem.

- Był. To potwierdzone, Nelson poległ w bitwie.

- Czy to stanowi dla ciebie pocieszenie?

- Nie, dlaczego? - Dziobał widelcem kawałek dziczyzny pieczonej z gruszkami i nasionami jałowca. - Nie miałem do niego jakiejś osobistej urazy. To była kwestia interesu.

- Ale jesteś Anglikiem, on też nim był - powiedziała.

- Jestem Mendozą.

Sofia wbiła wzrok w talerz. - Rodzina? - spytała cicho. - Mówisz, że to jest największa powinność. - Wobec kogo ona miała powinności? Kto ją spłodził? Gdzie?

- Dla mnie tak - odparł Robert. - Albo przynajmniej tak było.

- Pablo nie miał takich odczuć.

- Wiem, to był jego problem. Mój kuzyn nie mógł zaakceptować losu, do którego został zrodzony. Chciał zmienić swoje dziedzictwo na coś innego. To się nie udało.

Sofia potrząsnęła głową. - Mylisz się co do problemu Pabla. Co do dziedzictwa... - zawahała się. - Nie jestem pewna, czy masz rację.

- Zostawmy Pabla, znałaś go lepiej niż ja. Ale jeśli chodzi o dziedzictwo? Czego nie jesteś pewna? Czy ty nie wróciłaś do swojego?

Zaśmiała się, ale w tym śmiechu brzmiała gorzyc. - Wiedziałam, że tak myślisz. Ale jesteś w błędzie. Jestem Cyganką nie bardziej niż ty.

Zaprotestował, przypominając jej, że widział ją przed laty, zanim przyjechała do Madrytu i stała się inną kobietą. Opowiedziała mu swoją historię.

- Ale świat Cyganów jest jedynym, który pamiętasz - rzekł w końcu. - Jest więc tym, który rości sobie prawo do ciebie, a to czyni go twoim prawdziwym dziedzictwem.

Sofia położyła dłoń na sercu. - Tutaj tego nie czuję. - Potem, zanim mógł powiedzieć cokolwiek jeszcze, wstała, zbierając swój koronkowy szal i wachlarz. - Jest późno, muszę iść.

- Co z moją propozycją? Pojedziemy razem do Kordoby?

- Pojedziemy - zgodziła się.

Po całodziennym podróży poczuli ciepło miękkiego złotego światła w głębi Andaluzji. Sofia wiedziała jednak, że to nie słońce rozgrzewa jej krew. Jej myśli pochłaniał Robert. Siedział naprzeciwko niej we wspaniałym powozie z kasztanowo - złotym herbem Mendozów i patrzył na nią tymi ciepłymi brązowymi oczyma, a ona czuła się tak, jakby nie mogła oddychać.

Na pierwszą noc zatrzymali się w anonimowej posiadzi. Robert spojrzął na Sofię pytająco, a ona prawie skinęła głową. Chciała mu ulec. Nie dlatego, że minęły prawie dwa lata, odkąd zaznała tej szczególnej przyjemności. Nie, to nie to. I dlatego było takie niebezpieczne. - Na pewno są tu dwa wolne pokoje - powiedziała lekko. - Nie wygląda na to, żeby byli tu jacyś inni goście.

Następnego popołudnia dojechali w pobliże Sewilli. - Jest wciąż jasno - powiedział Robert. - Pojedziemy jeszcze godzinę? Znam mały, bardzo przyjemny zajazd w pobliżu Carmony.

- Dobrze - zgodziła się Sofia. - Mnie też to bardziej odpowiada.

Zajazd był skromny, stał na odludziu, ale nad brzegiem potoku. - Jest czarujący, Robercie.

- Śpiewałaś tu kiedyś?

- Masz na myśli czasy, gdy wędrowałam z Pakiem? Nie, nie sędzę.

Robert zajął się wydawaniem poleceń co do służby i koni. Ona podeszła do gospodarza. - Dwa pokoje, jeden dla pana, jeden dla mnie.

Dostrzegła wzgardę w oczach mężczyzny. Dama nie podróżuje z mężczyzną, który nie jest ani jej mężem, ani bratem. Sofia spojrzała mu prosto w oczy, prowokując go do poczynienia jakiejś uwagi. - Dobrze, seniorita - tyle tylko powiedział.

Jej pokój był wysoko, tuż pod dachem. Miał balkon z widokiem na strumień, a dalej na podnóże gór Carmony i czyste, pobielone wapnem domy. Sofia pomyślała, że w tych domach mężczyźni i kobiety, mężowie i żony, kochają się tej nocy. Spojrzała na budynki zajazdu. Pokój Roberta był naprzeciwko jej. Za zasłonami wciąż paliło się światło.

Wyobraziła go sobie, jak siedzi na swoim łóżku, podparty puchowymi poduszkami, może zagłębiany w lekturze. Czy nosi jedwabną koszulę nocną, czy może lnianą? Może śpi nago. Jak łatwo mogłaby to sprawdzić. Mogła przemknąć korytarzem, zapukać do jego drzwi, a on by ją powitał serdecznie. Na pewno tak by zrobił. Co ty ze mną robisz, Angliku? Co ja ci pozwalam robić ze sobą? Pohukiwanie sowy było jedyną odpowiedzią na te pytania.

Następnego ranka nie dołączyła do niego na śniadanie w gospodzie, wybrała kawę i smażony chleb w swoim pokoju. Po posiłku zażądała kąpieli. Służąca sprzeciwiła się, mówiąc, że to za

duży kłopot, że żaden gość nigdy nie prosił o kąpiel. Sofia postawiła na swoim. Potem wyjęła z kufra niebieską suknię i niebieską pelerynę. Wiedziała, jak przy tym kolorze wyglądają jej oczy. Kiedy zeszła ze schodów, powóz czekał na dziedzińcu.

- Dzień dobry, Sofio. Dobrze spałaś?

- Bardzo dobrze, Robercie. Mam nadzieję, że ty także. - W jego oczach była kpina, jakby wiedział o długim czuwaniu na balkonie.

- Byłem niespokojny - odparł. - Długo nie mogłem zasnąć.

- O czym myślałeś?

- O tobie.

Oczekiwała takiej odpowiedzi. Dotknęła przepaski, którą przewiązała włosy, i poczuła, jak jego spojrzenie podąża za jej dłońmi, przemyka przez jej piersi.

- Wyglądasz bardzo pięknie dzisiejszego ranka. Nie potrafię zdecydować, w którym stroju wyglądasz lepiej, andaluzyjskim czy madryckim.

- Każdy z nich jest doskonały we właściwym czasie.

- To prawda - przyznał. - Na wszystko w życiu musi być właściwy czas i miejsce.

- Bezsenna noc uczyniła z ciebie filozofa.

Roześmiał się i pomógł jej wsiąść do powozu, a dotyk jego ręki oparzył jej skórę.

Robert wspiął się do powozu i usiadł naprzeciwko niej. - Znam kobietę, która myśli, że jest wolnym duchem - powiedział. - Większość ludzi też by tak ją oceniła. Ale przy tobie wygląda na podporządkowaną konwenansom.

- Konwenanse nigdy mi nie służyły. Nauczyłam się radzić sobie bez nich - odpowiedziała.

Przez pierwszą godzinę milczeli. Jesteśmy wyczerpani cczą gadaniną, pomyślała Sofia. Teraz musimy mówić prawdę albo milczeć. Ja wybieram milczenie, bo nie wiem, jaka jest prawda. Nie, to nie tak. Wiem, ale mnie przeraża. Tak długo, dwa lata uczyłam siebie, jak nic nie czuć. A teraz to.

Nie mogła na niego spojrzeć z obawy, że gdyby to zrobiła, stałaby się bezbronna. Obserwowała więc drogę i bujne pola po obu jej stronach. Nieco później, kiedy słońce stało w zenicie ponad ich głowami, Robert powiedział: - Mam dla ciebie niespodziankę. Zjemy dziś posiłek w wyjątkowym miejscu.

- Kolejny z twoich uroczych zajazdów?

- Nie. Teraz jesteśmy na ziemiach Mendozów, Sofio. Już od jakiegoś czasu. To rodzinna farma, posiadłość podarowana nam przez Ferdynanda III. Podobno za to, że ówczesny Mendoza pomógł mu ostatecznie pokonać Maurów i przejąć z ich rąk Kordobę.

- Mendozowie to część historii Hiszpanii, prawda?

- Jeśli wierzyć opowieściom. Muszę przyznać, że zmieniamy strony z wyjątkową łatwością.

Coś zamigotało w jego oczach, kiedy to mówił. Czyżby postawił na Francuzów i Hiszpanów przeciw lordowi Nelsonowi i Anglii? Jeśli tak, przegrał i może ten przegrany zakład tak go teraz męczy. - Wszyscy musimy dokonywać wyborów - powiedziała cicho. - Czasami okazują się niewłaściwe; to przeznaczenie, łut szczęścia, jeśli tak wolisz to nazwać. Ale twój przodek wygrał niezłą nagrodę. To piękna kraina, Robercie. Wspaniała.

- W większości to farmy, sady i małe chałupy, w których żyją rolnicy, ale jest tu też dom nieco wygodniejszy, choć niewielki. Mówiono mi, że któryś Mendoza zbudował go w czternastym wieku. Nie wiem, czy to prawda. Brak tam wygod, ale jest to miejsce czarowne. Myślę, że ci się spodoba.

Posłał przodem wiadomość, więc dwoje służących, mężczyzna i jego żona, otworzyli dom i czekali już na nich. Kobieta przygotowała gulasz z dzikiego królika i gorzkich pomarańczy i podała im tę strawę przed płonącym kominkiem w wielkim pokoju, który wraz z kuchnią i dwiema małymi sypialniami stanowił cały dom.

- Rodziny nigdy nie pociągała wizja wielkiego gospodarstwa wiejskiego - wyjaśnił. - Nie sądzę, by jakikolwiek Mendoza rzeczywiście tu mieszkał.

Sofia gmerała widelcem w talerzu, gardło miała zbyt ściśnięte, by coś przełknąć. Starła się jednak podtrzymać niezobowiązującą konwersację. - Mendozowie zawsze mieszkali w Kordobie?

- Tak, cokolwiek znaczy „zawsze”. Nie wiem dokładnie, kiedy pierwszy Mendoza przybył do miasta. Ale jedno jest pewne - byli tam na długo przed wybudowaniem obecnego pałacu. Poprzedni został spalony w roku tysiąc trzysta którymś, więc ten można by właściwie nazwać nowym. Ma mniej niż pięćset lat, parweniusz.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Serce Sofii załomotało, a ręce zdrząły. Była pewna, że Robert zdaje sobie sprawę z jej uczuć, choć nie dał poznać tego po sobie.

- Tak czy owak, pałac jest nadzwyczajny. Musisz go zobaczyć. Uciekła wzrokiem. - Wciąż jest tam Patio Drzew Pomarańczowych? Jest odbijająca światło sadzawka i różowe róże?

- Ach, prawda. Nie wiedziałem, że Pablo zabierał cię do pałacu.

- Nigdy tego nie zrobił. - Opowiedziała mu, jak śpiewała dla donii Carmen, kiedy była dziewczyną.

- Więc twoje życie jest związane z Mendozami od długiego czasu - rzekł Robert. Sięgnął przez stół i jednym palcem lekko przesunął po wierzchu jej dłoni. - Co powiedziałyby na to stara cygańska przepowiadaczka losu, która cię wychowała?

- Nazwałaby to przeznaczeniem.

- No to miałyby słuszość. Od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że jesteś częścią mojego przeznaczenia.

Koniec udawania. Nadszedł czas wyboru. Odwróciła do niego twarz, patrząc na niego z przejęciem. - Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłeś kogo, Robercie, wędrowną cygańską śpiewaczkę czy donię Sofię?

- Jedną i drugą. Obydwie kobiety mnie zaintrygowały, jeszcze zanim wiedziałem, że są jedną i tą samą.

Sofia wyciągnęła dłoń spod jego ręki, podniosła swój kielich z winem i wypła. Wiedziała, że musi się poddać. - Robercie - powiedziała cicho, kiedy odstawiła kielich. - Chcesz się ze mną kochać?

Zszokowany wytrzeszczył oczy, potem odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. - Jesteś zdumiewająca, Gitanito. Nie znam nikogo, kto by ci dorównał.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Czy będzie na tyle przewrotny, by ją odrzucić, powiedzieć jej, że sam wybiera kochanki i poskramia swoje pokusy? Widziała, że przez jego twarz przemknął cień zastanowienia, ale ogień płonący w jej oczach rozpałił i jego źrenice.

- Tak, niech cię diabli. Chcę. Nie jestem pewien, czy ci ufam, donia Sofia. Ale pragnę cię, to prawda.

- To dobrze. Czy drzwi mogą być zaryglowane? - Skinęła głową w stronę drzwi prowadzących do pozostałej części niewielkiego

domu. - Tamte dwie sypialnie nie są zbyt zachęcające. Poza tym są zimne. A kuchnia się nie nadaje.

Podszedł do drzwi i zasunął wielką sztabę. Kiedy się odwrócił, Sofia stała naga przy ogniu, który zdobił niespokojnymi blaskami jej ciało.

Za pierwszym razem kochali się gwałtownie, by jak najszybciej osiągnąć kulminację, na którą czekali od lat, potem kochali się czule i cierpliwie. Kiedy było po wszystkim, Sofię ogarnęła ogromna fala spokoju. Tyle podróży, tyle wędrowania; w końcu dotarła do domu.

W pokoju było już ciemno, zamierający ogień dawał niewiele światła. - Dlaczego? - spytał cicho Robert. - Dlaczego ja, i dlaczego tu i teraz?

- Ponieważ po to mnie tu przywiozłeś. - Cieszyła się, że jest w stanie mówić te słowa, i miała świadomość, że oddała się całkowicie i że nie ma odwrotu. - Ponieważ mnie potrzebujesz. Ponieważ pierwszy raz w życiu wiem, co to jest miłość.

Poczuła, jak odsunął się od niej, choć wcale się nie poruszył.

Jej słowa paliły. Byłby śmieszny, gdyby próbował uciec - choćby tylko na kilka dni - przed boleścią, która czeka go nieuchronnie. Ale los znowu spletał mu figla. Sofia ofiarowała mu bezcenny dar w chwili, kiedy mógł go tylko odrzucić. - Sofio, posłuchaj mnie. Nie mogę... Mam na myśli, że właśnie teraz... - Przerwał, skoro zdał sobie sprawę, że słowa są tu bezużyteczne, że cokolwiek powie, będzie to tylko okrutny żart.

Sofia leżała bardzo spokojnie. Fala napiętności cofnęła się i zostawiła ją samą na pustym brzegu. Straciłam go, uświadomiła sobie z nagłą jasnością, która nie stłumiła bólu. Nigdy go nie miałam, ale go straciłam. Potem zrozumiała. Tak długo uciekała przed karą. Dwóch mężczyzn umarło z jej powodu. Morderstwo jej córki pozostawało nie pomszczone. Rzeka krwi - jak mogła uniknąć utopienia się w niej? Utrata Roberta była jej zapłatą za grzech, ceną za krew, którą przelała.

Nie pojawił się na żadnym z jej przedstawień w Kordobie. Całe miasto przyszło posłuchać Gitanity i oklaskiwać jej talent, ale nie hidalgo rodu Mendozów. Trzeciego ranka spędzonego w mieście postradała resztki dumy. Znała prawdę, ale bez walki nie mogła jej zaakceptować.

Wszystkie okiennice pałacu były zamknięte, podobnie jak brama, i nikt nie odpowiedział, kiedy zadzwoniła mosiężnym dzwonkiem.

Może wyjechał? Ale gdyby nawet wyjechał, byłaby służba. Sofia obeszła mury, przypominając sobie czasy, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Pabla Luisa. Zdawało się jej, że znowu go widzi. Jego duch szedł naprzeciw niej. Potrząsnęła głową, przegnała go i ruszyła dalej.

Drzwi były dokładnie w tym miejscu, które zapamiętała. I bez wątpienia wciąż prowadziły do Patio de los Naranjos. Spróbowała je otworzyć, ale były zaryglowane. Nieco dalej, w alei, która wciąż nie miała imienia, pogładziła znaki, które nakreśliła Fanta tak dawno temu. Były też inne. Jacyś Cyganie, którzy przyszli tu po nich, wycięli trzy równoległe linie poniżej kółka z kropką. Znak Fanty mówił, że Cyganie są tu mile widziani. Dodatkowe linie znaczyły, że Cyganie są uważani za złodziei. Więc donia Carmen zaczęła ich nienawidzić, ponieważ żadna przepowiednia Fanty się nie spełniła. Dla mnie też nie, pomyślała Sofia. Obiecałaś mi wielki los, Fanto. Zamiast tego jestem ulicznicą i morderczynią, a jedyny mężczyzna, którego kocham, nie chce mnie.

Obeszła cały pałac i wróciła do bramy prowadzącej do Patio del Recibo. Chwilę wahała się, czy znowu dzwonić. W wysokim skrzydle bramy były wycięte małe drzwi dla pieszych. Teraz otworzyły się i wyszło przez nie dziecko. Nie, nie dziecko, mężczyzna, ale karzeł. Trzymał przy twarzy płócienną chustkę i niósł czarną torbę. - Senior, disculpa me, pero esta por dentro el hidalgo?

Zanim odpowiedział, przyglądał się jej przez chwilę. Zobaczyła, że płacze. - No, seniorita - odparł. - Hidalgo nie żyje.

Sofia zamarła. - To niemożliwe. Widziałam go trzy dni temu.

- Wciąż chodzi - odparł karzeł cicho. - Oddycha. Ale nie żyje. Nie wiem, jaką może mieć pani do niego sprawę, seniorita. Ale proszę odejść. Nic tu dla pani nie ma. - Odwrócił się i spojrzał na bramę. - Nic tu nie ma dla kogokolwiek żywego. To jest grób.

Patrzyła, jak karzeł odchodzi, potem podbiegła do małych drzwi prowadzących do Patio de los Naranjos. Walila w nie, aż ręce jej spływały krwią, i wołała Roberta, póki gardło nie ochrypło. W którymś momencie poczuła pewność, że on stoi po drugiej stronie i słucha jej, oddzielony tylko drewnem drzwi. Nie odezwał się jednak ani nie dał żadnego innego znaku. Po godzinie Sofia poddała się i odeszła.

Przez jakiś czas Robert siedział nad sadzawką pod drzewami pomarańczowymi i słuchał, jak woła go Sofia, jak jej małe pięści

łomocą w grube drewno drzwi. Kiedy nie mógł już tego znieść, wszedł do środka.

Kocham cię. To było takie proste zdanie, tyle razy wypowiedane przez mężczyzn i kobiety od początku świata. Kocham cię. Kiedy wyszeptała te słowa, poznał swój los w jednej bolesnej, jasnej chwili. Jego przyszłość miała być niczym, nie mógł mieć niczego - ponieważ niczego nie mógł dać. Kochała go ta piękna, ekscytująca kobieta, a on mógłby kochać ją. Ale gdyby sobie na to pozwolił, byłaby to ostateczna zdrada, odrzucenie wszystkiego, do czego się narodził i co już zniszczył. Przyjąć miłość Sofii, odwzajemnić ją, znaczyło uniknąć kary, uciec przed boleścią, którą na siebie sprowadził i którą musiał znieść. A największym wstydem byłoby zmuszenie jej, by dzieliła to pohańbienie, na które tylko on sobie zasłużył.

Całą noc przemierzał wspaniałe komnaty Palacio Mendoza. Głos Sofii zdawał się podążać za nim. Długo po tym, jak poddała się i odeszła, słyszał echo jej krzyków. Wiedział, że zawsze będą go ścigać, będą jeszcze jednym refrenem w chórze duchów zamieszkałych w tych starych murach i czyniących mu wyrzuty.

Para ogromnych żyrandoli zwisała ze zdobionego stiukami sufitu głównej jadalni. Podeszedł do okna i sprawdził wytrzymałość jednego z grubych jedwabnych sznurów, które podtrzymywały wyszywane zasłony. Odwrócił się jednak. Szukanie zapomnienia było aktem tchórzostwa niewiele różniącym się od przyjęcia miłości Sofii.

Wybiegł z jadalni, a jego kroki odbijały się echem po pustych korytarzach. Przez drugie piętro wschodniego skrzydła ciągnęła się długa galeria. Na ścianach wisiały portrety dawno zmarłych Mendozów. Robert stanął i wpatrzył się w nie. Był przemoczony potem, a serce biło mu jak młotem, ale odrzucił głowę i zebrał energię do potężnego krzyku, rozdzierającego krzyku udreki, który był także ślubowaniem. - Przetrwam. Moja jest wina i przetrwam karę.

Książd się zawahał. Trzymał gęsie pióro w sztywnych, starych palcach, ale nie skreślił swojego podpisu. Kobieta czekała, przyglądając mu się. - Seniorita, są inne sposoby...

- Nie, nie tym razem.

Jej niebieskie oczy były niewzruszone. Ostatnie ciężkie doświadczenie przyciemniło je, ale wciąż były piękne. Książd jednak nie uległ. - To, o co mnie prosisz, to grzech - wymruczał. - Nie mogę zaświadczyć pod przysięgą czegoś, o czym wiem, że nie jest prawdą.

- To bardzo mały grzech, don Lorenzo. To musisz być ty; nikt inny we wsi nie umie czytać ani pisać. I tobie dadzą wiarę.

- Ale będę winny krzywoprzysięstwa.

- Tylko ty i ja to wiemy. - Sofia przechyliła się do przodu.

- Dwa tysiące reali, don Lorenzo. Wystarczy, by zbudować nowy kościół i wykopać studnię, żeby twoi ludzie nie musieli chodzić milę do rzeki. Skąd weźmiesz dwa tysiące reali, jeśli nie ode mnie?

- Znikąd - przyznał. - Dobrze, zrobię to. - Powiedział to już dwukrotnie, tydzień wcześniej, kiedy zaproponowała swój interes, i tego ranka, kiedy przyniosła mu dokument do podpisania. A jednak się wahał. Przeczytał słowa skreślone na papierze.

Ja, Lorenzo Gonzales Rudin, proboszcz parafii we wsi Encinasola w prowincji Andaluzja, niniejszym poświadczam fakt, że kobieta znana jako Sofia, La Gitanita, narodziła syna w tej wsi, 29 lutego w roku pańskim 1804. Chłopiec został ochrzczony przeze mnie, kiedy miał cztery dni, i dano mu imię Rafael Pablo Mendoza Sofia zgodnie z prawem Boga i Kościoła Świętego.

- Wszystko to prawda oprócz daty - przypomniała mu.

- Oprócz daty - zgodził się. Syn urodził się przed tygodniem, dwudziestego dziewiątego lipca 1806, ale ona nalegała, by zaświadczył, że dziecko urodziło się dwa lata i parę miesięcy wcześniej. - Nazwisko - rzekł z wahaniem. - Może gdybyś nie użyła nazwiska tak możnej rodziny...

Sofia wstała. - Podpisuj albo nie, don Lorenzo. Rób, jak chcesz, ale decyduj w tej chwili. Powóz na mnie czeka. Jeśli odmówisz, znajdę innego księdza, który potrzebuje dwóch tysięcy reali.

Don Lorenzo podpisał się małymi, nieczytelnymi literami, jakby miał nadzieję, że anioły nie zauważą tego grzechu.

Sofia wzięła dokument i schowała go do skórzanej torby, potem zostawiła mu irchową sakiewkę z pieniędzmi. - Dziękuję. Mam nadzieję, że będzie się ojciec cieszył z nowego kościoła.

- Seniorita, jakiegokolwiek są powody pani oszukaństwa, a przyznaję, że to nie moja sprawa, musi pani pojednać się z Bogiem. Nie może pani żyć z tym grzechem na duszy.

- Owszem - powiedziała. - Mogę z nim żyć. I aż do godziny śmierci nie będę miała z tym problemu. Adios, don Lorenzo.

Powóz stał przed domem księdza. Woźnica pomógł Sofii wsiąść i czekał na następne polecenie. - Do Caceres - rzuciła. - Ale jedź

ostrożnie. - Pochyliła się i poruszyła biały koronkowy kocyk, który do połowy zakrywał twarz niemowlęcia. Kobieta trzymająca dziecko uśmiechnęła się do niej. - Spał przez cały czas, Roso?

Mamka kiwnęła głową. Nie mogła udzielić innej odpowiedzi, ponieważ parę lat temu do Encinasoli przyjechali bandyci, którzy wymordowali rodzinę dziewczyny, a ją zgwałcili i odcięli jej język.

W następstwie tamtej straszliwej nocy urodziła dziecko, ale żyło ono tylko kilka dni, za co Rosa była wdzięczna losowi. Kiedy jej piersi wciąż były pełne mleka, w położu umarła sąsiadka. Rosa karmiła tamto dziecko piersią przez dwa lata, a ojciec dziecka dawał jej w zamian jedzenie i dach nad głową. Potem było jeszcze jedno dziecko, którego matka nie miała mleka, a teraz pani o niebieskich oczach jak klejnoty, która przyjechała tu i urodziła syna, pewnie bękarta, bo z jakiego innego powodu byłaby tak tajemnicza? Rosy to nie obchodziło. Pani zabierała ją do Caceres, miasta o trzy dni drogi od ich wsi, w której wszyscy znali hańbę dziewczyny. Jeszcze raz uśmiechnęła się i kiwnęła głową do donii Sofii.

Powóz opuścił pueblo i wyjechał na otwartą drogę; przestało tak nimi rzucać. Sofia wzięła dziecko na ręce. Chłopiec miał dopiero kilka dni, a już był piękny. Kocham cię, mały Rafaelu, twój puszek ciemnych włosów, twoje oczy, które teraz są niebieskie, ale któregoś dnia może będą brązowe. Nigdy nie poznasz bólu odrzucenia od mężczyzny, który jest twoim ojcem, ale nie życzy sobie nim być. To nie ma znaczenia, aniołku. Muszę zostawić cię z nianią na długi czas, żebym mogła zarabiać na nasz codzienny chleb, ale będę dbać o ciebie, mój Rafaelu, póki któregoś dnia nie upomnisz się o swoje dziedzictwo. Kiedy ten dzień nadejdzie, mój synu, będziesz gotów.

Powóz przechylił się na wyboju i Sofia niemal wypuściła dziecko z rąk, ale przytrzymała je kurczowo.

CZEŚĆ DRUGA

Pomimo wielkiego zwycięstwa Nelsona pod Trafalgarem jesienią 1810 wszedł w życie dekret Napoleona, że żadne państwo w Europie nie może handlować z krajem, który nazwał „zdradzieckim Albionem”. Dekret ten uczynił tak wielkie szkody w angielskim przemyśle i handlu, że tysiące ludzi pozostały bez pracy, a miliony stanęły w obliczu nędzy. Tego roku eksport z Anglii na kontynent spadł do wartości 8 milionów funtów szterlingów, w 1811 roku suma ta nie sięgnęła półtora miliona. Rewolucja wisiała w powietrzu. Tkacze luddyci rozbijali znienawidzone maszyny i obarczali winą rewolucję przemysłową, która miała uczynić Wielką Brytanię największą potęgą na świecie.

Zamieszkom w kraju towarzyszyło zagrożenie wojną poza jego granicami. Brytania prowadziła walki z Napoleonem, a jednocześnie zmierzała ku kolejnej wojnie z Ameryką; eksport do byłych kolonii nie sięgał nawet z/6 wcześniejszej wartości. Rząd jedyne lekarstwo na te problemy widział w wyższych podatkach, te zaś stanowiły tak wielkie obciążenie, że kraj był bliski ekonomicznej zapaści. Koniec końców pewien zbankrutowany biznesmen wziął pistolet na posiedzenie Izby Gmin i zabił premiera, co oczywiście niczego nie zmieniło. Ambicje Manuela de Godoya wykraczały daleko poza dzielenie łoża z królową Hiszpanii czy wprowadzenie reform, które marzyły się takim wizjonerom jak brat Eliasza czy Maria Ortega. De Godoy chciał królestwa. Kiedy powodzenie jego zamiarów w Kastylii stanęło pod znakiem zapytania, zamarzył o zdobyciu Portugalii. Napoleon nakazał Portugalczykom zaprzestanie wszelkiego handlu z Anglią, a kiedy odmówili, wysłał do Hiszpanii dwudziestotysięczną armię, która ruszyła na Lizbonę. De Godoy wystawił swoją własną armię, a portugalska rodzina królewska, nie mogąc stawić czoła tym połączonym siłom, wsiadła na statek płynący do Brazylii. Francuzi połknęli Portugalie, a Napoleon wysłał kolejne trzy armie do Hiszpanii. Aby wspomóc swoich hiszpańskich sprzymierzeńców, oczywiście.

Kto jednak rządził Hiszpanią? Prawowity następca, infant Ferdynand, spiskował przeciw de Godoyowi. Godoiści walczyli z ferdynandystami na ulicach, aż lud Madrytu, oburzony poczynaniami wysoko postawionych antagonistów i ciągłą obecnością francuskich wojsk, podniósł rewoltę, schwytał de Godoya i wtrącił go do lochu. Król Karol, całkowicie zdezorientowany, abdykował na rzecz swego

syna. Napoleon odmówił uznania w Ferdynandzie króla i wezwał wszystkie strony na naradę po drugiej stronie granicy, w Bayonne.

Hiszpanie wiedzieli, że parweniuszowski cesarz zamierza odsunąć od rządów dynastię Burbonów i dać im na króla Bonapartego. 2 maja 1808 roku zebrali się w wielotysięcznym tłumie przed pałacem królewskim, ukamienowali francuskie oddziały i rozerwali część z nich gołymi rękoma. Francuzi otworzyli ogień do tłumy; kolejne salwy rozpruwały ciała i druzgotały kości. Jedynym chyba Hiszpanem, który zwyciężył tego dnia, był Goya; stał na wzgórzu i obserwował scenę, a później namalował arcydzieło zwane El Dos de Mayo (2 maja 1808 - Walka koło Puerta del Sol w Madrycie).

Po tych wydarzeniach Ferdynand stracił całe serce dla terroru, do którego się przyczynił, i abdykował, zwracając koronę ojcu. Karol IV nie miał odwagi wrócić do swoich rozjuszonych poddanych, cudzołożnej żony i jej knującego intrygi kochanka. Zaproponował królestwo Hiszpanii Napoleonowi, a on z kolei obdarzył nim swego brata Józefa, jako że wcześniej dwóch mężów odrzuciło propozycję zostania władcą tak żarliwego i gwałtownego ludu. Burbonowie i de Godoy mieli osiąść w Marsylii, utrzymywani w dobrobycie, ale co znaczą pieniądze w porównaniu z tronem Hiszpanii? Usatysfakcjonowany interesem Napoleon jechał bez pośpiechu z powrotem do Paryża, a na każdym kroku okrzykiwano go niezwyciężonym panem Europy.

Nowy król objął władzę nad zbuntowanym narodem hiszpańskim. Wieśniacy uzbroidli się w noże przeciw francuskim karabinom, a Kościół uniósł krzyż przeciw Józefowi Bonaparte. Potępiano go jako luterana i masona (choć zgodził się, by katolicyzm był jedyną legalną religią w Hiszpanii) i pogardzano nim, bo nie mówił ani słowa po hiszpańsku.

Tak wyglądały początki iberyjskiego konfliktu, dzikiego i gorącego, jak wszystko na tym półwyspie. Rozpętała się krwawa orgia - obcinano kończyny, kastrowano, krzyżowano, obcinano głowy, wieszano i wbijano na pal, a do wszystkich tych działań zagrzewał Kościół, nawołujący tłumy do insurekcji w imię Boga, Jego Niepokalanej Matki i Józefa Świętego. Goya wykonał serię rycin, które później miał poznać świat - nazwał je Los desastres de la guerra (Okrucieństwa wojny).

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pałac Mendozów pełnił w swoich dziejach wielorakie funkcje; teraz był więzieniem. Robert odprawił całą służbę z wyjątkiem Indalencia. Harry Hawkins błagał, by pozwolono mu zostać. Przekonywał, że nie ma dokąd pójść i że służba Mendozom jest dla niego jedynym sensem życia, ale hidalgo nie ustąpił. W końcu karzeł odszedł szlochając, a Robert zarygłował bramy, zamknął okna i zaciągnął zasłony z grubej dzianiny i zbytkownego adamaszku, które kiedyś opisywał matce z takim zachwytem.

W czternastu patiach róże, jaśminy i bugenwilla najpierw rozszalały się na murach, a potem zwiędły i umarły, ponieważ nie było ogrodników, by je przycięli lub podlali w te długie miesiące, kiedy Andaluzyja była gorąca i sucha. Wiele drzew przetrwało, ich korzenie zagłębiły się daleko do ukrytych w ziemi strumieni, ale pomarańcze, grejpfruty, cytryny i granaty zgniły na gałęziach, oprócz tych nielicznych, które Indalencio zerwał na sporadyczne posiłki swego pana.

Robert jadał rzadko i o dziwnych godzinach. Na ogół nie wiedział, czy to dzień czy noc. Pałac był oświetlony jedynie świecami. Robert tygodniami unikał zalanych słońcem patiów, zwłaszcza Patio de los Naranjos, gdzie stał i słuchał, jak Sofia wali pięściami w drzwi i woła jego imię. Przy każdym uderzeniu małej pięści Robert wzdrygał się w bóleści - Sofia uderzała w jego ciało, wbijała w nie nóż, a zarazem wbijała ostatni gwóźdź do jego trumny.

Nigdy nie zapomni. Ani Sofii, ani swojego ślubowania, że zniesie karę, która sprawiedliwie mu się należała - ale ta obietnica wykrzyczana w oskarżające oblicza przodków była jego ostatnim wyrażeniem emocji. Od tego czasu był chodzącym trupem. Wygasły w nim ogień, a ich miejsce zajął chłód śmierci. Był duchem, którego nie potrzebował żaden żywy mężczyzna czy kobieta, a najmniej on sam.

Powiedział Liamowi, że Kordoba umarła. Ale nie tylko Kordoba. Jego siły życiowe skoncentrowane były na jednym; zniszczył je własną ręką, rzucił swoje dziedzictwo szukającym łupu psom, stracił je. To był grzech, za który żaden Mendoza nie mógł uzyskać przebaczenia.

Beniamin może mógłby wybaczyć, ale Beniamin umarł, a Bess wkrótce podążyła za nim. W Londynie pozostał Liam, ale on miał

swoje sprawy, więc przestał pisać, skoro Robert nie odpowiadał na jego listy. Kordoba nie przynosiła już zresztą żadnych zysków. Teraz Liam w Anglii przewodził rodzinie Mendozów, ale podobnie jak cały kraj, wyęczał wszystkie siły, by przeżyć, i nie mógł wykorzystać swej pozycji. Na pewno nie miał czasu martwić się o brata, który w Hiszpanii dopuścił się zdrady. Był zajęty daremnymi próbami ocalenia czegokolwiek z tego, co Beniamin przekazał w jego ręce.

Agonia Kordoby nie nastąpiła od razu. Boleści przeciągały się, kiedy nadchodziły terminy płatności kolejnych pożyczek, a zyski, które powinny były płynąć ze statków do kordobańskich skrzyń, szły do wierzycieli Mendozów. Ludzie mówili o upadku niegdyś potężnej fortuny, ale w spokojniejszych czasach zapewne mówiliby dużo więcej. Armia francuska okupowała Andaluzję, i tu, jak wszędzie, nękały ją oddziały gerylasów, którzy atakowali nocą i odchodzili równie niespodziewanie, jak się pojawiali, nigdy nie prosząc o łaskę i jej nie okazując.

Robert wiedział, co się dzieje. Wieści przesączały się nawet przez wysokie mury i szczelne bramy, ale słuchał ich jak ktoś odseparowany od innych ludzi, jak stworzenie, którego nie dotyczą już sprawy żyjących. Zawęził swój świat do czterdziestu sześciu pokoi Palacio Mendoza i przemierzał je godzina po godzinie, gapiąc się na ściany teraz okryte całunem pajęczyn, zostawiając ślady stóp na grubej warstwie kurzu, pokrywającej marmurowe podłogi.

Pewnej nocy roku 1809 przyjechała Maria Ortega. Kluczem, o którego istnieniu Robert nie wiedział, otworzyła sobie drzwi prowadzące z Calle Judios do Patio del Fuente. Indalencio znalazł ją siedzącą przy pokruszonych resztkach fontanny z lapis - lazuli, która kiedyś sączyła wodę do basenu wyciętego z jednego kawałka różowego kwarcu.

- Donia Maria, nie wiedziałem...

- Gdzie jest hidalgo?

- Nie jestem pewien, seniorka. Gdzieś tutaj, ale... - Bezradnie wzruszył ramionami.

- Znajdź go i przyprowadź do mnie. Muszę z nim pomówić. Po kilku minutach służący powrócił. - Przykro mi, donia Maria.

On się z panią nie zobaczy. Musi pani odejść.

- Powiedz mu, że nie odejdę, póki z nim nie porozmawiam. Powiedz mu, że jeśli to konieczne, będę tu siedzieć, aż zapuszczę

korzenie. Nie możesz mnie stąd wyrzucić, Indalencio. Jesteś na to za mały.

Pół godziny później Robert wszedł do patia przez jedno z sekretnych przejść i pojawił się przy niej w świetle księżyca. Marii odebrało głos, potem przyłożyła dłoń do ust. W ciągu czterech lat, od kiedy widziała Roberta po raz ostatni, jego włosy całkowicie posiwiały. Oczy były patrzącymi tępo oczyma szaleńca, a twarz przecinały głębokie zmarszczki rozpacz i nienawiści do samego siebie. Nosił obdarty surdut, teraz o wiele na niego za duży, i czarne bryczesy poplamione tłuszczem i brudem. Ale był jej ostatnią nadzieją. Po chwili doszła do siebie. - Dobry wieczór, Robercie.

- Odejdź.

- Najpierw z tobą porozmawiam.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, oboje nie mamy sobie nic do powiedzenia. Odejdź.

- Robercie, na miłość boską, posłuchaj mnie. Za tymi murami dzieją się straszne, niewiarygodne rzeczy. Możesz pomóc położyć im kres. Musisz pomóc.

Zaśmiał się dziwnym, suchym śmiechem. - Spójrz na mnie, Mario. Martwi niczego nie osiągną. Duchy nie mogą uratować Hiszpanii.

Wstała i wyprostowała się, tak że ich oczy były na jednym poziomie. - Owszem, duchy Mendozów mogą. Brakuje przywódcy, Robercie. Żaden głos autorytetu nie przemawia przeciw przemocy, do której podlegają księża i biskupi. Ty możesz być tym głosem. Twoje imię zmusi ludzi do słuchania. Wszystko, o co walczyliśmy, wszystko, w co wierzyliśmy, jest unurzane we krwi.

- Ja walczyłem za rodzinę Mendozów. Wiedziałaś o tym. Nigdy nie twierdziłem inaczej. Straciłem i zrujnowałem rodzinę i teraz nic nie zostało. Jestem ostatnim z rodu w Kordobie i jestem martwy.

Spróbowała innej taktyki. - Napoleon wydał nową konstytucję dla Hiszpanii. Słyszałaś? Wiesz, co ona mówi? - Nie odpowiedział, nie spojrzał na nią. - Jest cudowna, Robercie. Może przynieść nową chwałę Mendozom. On znosi wszystkie feudalne monopole. To oznacza koniec Mesty. Mówiono mi w sekrecie, że on wciąż chce przyznać Mendozom prawo do stworzenia narodowego banku Hiszpanii.

- Jakim Mendozom? Nie słyszałaś mnie? Jestem wszystkim, co jest, i wszystkim, co zostanie, a jestem trupem. Nie ma pieniędzy do tego banku i nikogo, kto mógłby zostać bankierem. Więc na litość boską, jeśli czujesz jakąkolwiek litość, odejdz.

Podeszła bliżej, nie zważając na jego słowa. - Konstytucja mówi coś jeszcze. Inkwizycja też będzie zniesiona. Będzie tu wolność wyznania. Znowu możesz być żydem. Wszyscy Mendozowie mogą być żydami. Tego właśnie chciałaś. Nigdy mi o tym nie mówiłaś, ale ja wiedziałam.

- Weszłaś sama, odejdz tą samą drogą. - Chciał się oddalić.

- Robercie, zaczekaj, posłuchaj mnie. Jeszcze tylko chwilę, błagam. Harry Hawkins przysłał ci wiadomość.

To imię poruszyło w nim coś, jakąś iskrę życia. - Biedny Harry. Jak się miewa?

- Niezbyt dobrze, ale jest bardzo szczęśliwy. Kiedy go odesłałaś, poszedł do brata Eliasza. Jest teraz braciszkiem świeckim w klasztorze, ale ma gorączkę. Ta choroba przychodzi i odchodzi, ale za każdym razem bardziej go osłabia.

- To mnie nie dziwi - rzekł cicho Robert. - Mendozowie są skończeni, jak powiedziałem.

Nie dostrzegła logiki w jego rozumowaniu, ale uznała jego wypowiedź za nieistotną. - Harry przysłał przeze mnie list. - Wyciągnęła rękę z kopertą, ale Robert nie uczynił żadnego ruchu, żeby ją wziąć. - Śmiało - powiedziała, jakby kusila dziecko. - Weź to, to dla ciebie. Harry mówi, że możesz uratować siebie, swój ród i całą Hiszpanię.

Znowu wybuchnął gromkim śmiechem. - Nie wystarczyłby list, Mario. To musiałby być kamień filozoficzny, ten, który przemienia śmieci w złoto. Jakoś nie sędzę, by Harry Hawkins był obdarzony takim darem.

Zostawił ją i tym razem nie mogła go zatrzymać. Siedziała przy milczącej fontannie niemal do wschodu słońca, patrząc na wspaniałą niebieski kamień i śledząc pęknięcia w jego niegdyś pięknej formie. W końcu, wiedząc, że poniosła klęskę, wstała i wyszła na ulicę. Ponieważ jednak nie była kobietą, która łatwo traci nadzieję, zostawiła po sobie list.

Przez tydzień Robert nie zajął do Patio del Fuente. Kiedy jego bezcelowe wędrówki w końcu go tam zawiodły, nie zobaczył koperty. Opadające jesienne liście pokryły ją suchym, brązowym całunem.

Usiadł tam, gdzie siedziała wtedy Maria, i próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała, jakie było jej ciało dawno temu. Nie potrafił. Jedyna twarz, którą mógł przywołać z pamięci, należała do Sofii. Jedyny dotyk, który zawsze sobie wyobrażał, to jej. Ale przeganiał takie rozmyślenia, tak jak przeganiał wszystkie inne - pamięć nie przystoi trupowi.

Powiał zimny wiatr i Robert zadrżał, potem spojrzał na dół, gdzie powiew przerzucał liście, i zobaczył list. Zawahał się, niemal go dotknął, potem cofnął dłoń.

Jakże piękna była kiedyś ta fontanna. Bardzo stara, zapewne dzieło mudejarów Arabów, którzy pozostali po odejściu Maurów i byli rzemieślnikami na służbie chrześcijańskich władców. Stary rękopis, który Beniamin dał mu w Anglii przed laty do przeczytania, mówił, że to Mendozowie sprowadzili mudejarów do dekoracji pałacu.

Tak wielu odeszło przed nim, kto przyjdzie po nim? Co się stanie, kiedy w końcu jego organizm zaakceptuje to, co jego umysł znał jako fakt, więc przestanie oddychać, a jego ciało zgnije. Francuzi tak długo zostawiali go w spokoju. Czy dlatego, że był jedynym człowiekiem w Hiszpanii, który ich nie trapił? Ale po jego śmierci francuskie oddziały może będą kwaterować w pałacu. Albo hiszpańscy patrioci będą się z niego bronić. Czy kiedykolwiek w historii było tak, że te ziemie nie należały do żadnego Mendozy? Nieważne, taki czas wkrótce nadejdzie. Potem ktoś zobaczy całą tę zgasłą świetność i przypomni sobie, że kiedyś rządzili tu mężowie potężni i dzielni - póki jeden człowiek nie zdradził ich wszystkich.

A może... Z wahaniem wziął kopertę i otworzył ją. Jeszcze kilka chwil minęło, zanim zmusił się do przeczytania tego, co napisał karzeł.

Nie może się pan poddać, panie Robercie. Jest pan jedyną osobą, która teraz może pomóc Hiszpanii. Dlatego powiem panu coś, czego nigdy wcześniej nie mówiłem. Zawsze modliłem się, żeby wrócił pan do prawdziwej wiary. Nadal się modłę. Ale jeśli stara religia może ocalić dom Mendozów, nie będę się jej przeciwstawiał. Proszę pójść do małego pokoju w zachodnim skrzydle za Patio de los Mujeres.

Poniżej znaku na ścianie jest w podłodze kamień, który podniesie się, jeśli go pan czymś podważy. Niech pana Bóg błogosławi, sir.

Zawsze pański w miłości Jezusa...

W Patio de las Mujeres stały cztery kamienne filigranowe parawany. Świadczyło to o tym, że przez krótki czas, kiedy Mendozowie byli muzułmanami, kobiety przebywały tu w odosobnieniu. Prawda czynie, bez wątpienia była to najstarsza część pałacu, może ten fragment, którego nie zniszczył pożar sprzed pięciuset lat. Pokój, do którego skierował go Harry, był mały, ale proporcjonalny, pod jego sufitem biegł fryz z rdzawych i zielonych liści akantu.

Znak na ścianie zajmował około dwóch stóp kwadratowych. W każdym jego rogu widniał otwór, kiedyś coś było tu umocowane. Rewelacje Harry'ego Hawkinsa nie miały nic wspólnego z tą starą szramą. Każdy ją znał. Kiedy Robert był w Kordobie po raz pierwszy, w 1799 roku, Domingo pokazał mu ten znak. - Mówi się, że wisiała tu płyta - wyjaśnił wtedy.

- Ale ty nie wiesz, co na niej było ani co się z nią stało?

- Nie - Domingo wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia.

- Niemniej jednak nie kazałeś odmalować tej ściany ani wypełnić śladów po gwoździach.

Domingo przeżegnał się. - Boże przebacz. Nikt nigdy tego nie zrobił. To coś w rodzaju rodzinnej legendy. Ten znak pozostaje na ścianie, chociaż nikt nie pamięta dlaczego.

Roberta nie obchodziło już dlaczego. Spojrzał na podłogę. Ułożono ją z wielkich kamieni dopasowanych do siebie, bez zaprawy, co zresztą nie było niczym niezwykłym, jeśli wziąć pod uwagę okres, w którym zbudowano pomieszczenie. Przyniósł ze sobą krótki łom, teraz wsunął go w kamień tuż poniżej znaku na ścianie. Poszło łatwiej, niż się spodziewał, wystarczyła najzwyczajniejsza siła dźwigni.

Oparł kamień o ścianę i przysunął bliżej świecę. Zobaczył jedynie ziemię, na której położono podłogę. Rozdrapał ziemię paznokciami. Lita, ubita przez wieki. Nic tu nie było. Wyszedł na głupka.

Już miał opuścić kamień na miejsce, kiedy zobaczył słowa wycięte na jego spodniej stronie. Jeden wers nierównych liter, ale pismem hebrajskim, którego nie potrafił odczytać. Zaklął wściekły, potem przesunął świecę tak, by oświetlić pozostałą część kamienia. Jeszcze jeden wers, po hiszpańsku. Któryś późniejszy hidalgo

przetłumaczył hebrajski napis. Hay un tesoro en la cueva. W grocie jest skarb. Wyglądało to na rękę Dominga.

A więc starzec znał jednak hebrajski, a może Hawkins postarał się dla niego o tłumaczenie. Tak, ta koncepcja była bliższa prawdy. I wyjaśniała, skąd karzeł wiedział o tym przesłaniu. Ale to nonsens. Nie ma żadnej groty, a gdyby był jakiś skarb, Domingo dawno by go splądrował.

Robert opuścił kamień na miejsce. Wiele było starych historii, legend o sławie Mendozów. Nie mogły mu teraz pomóc. Nic nie mogło mu pomóc, ponieważ był trupem. Położył się na podłodze i zasnął pod znakiem na ścianie, ostatnim pozostałym znakiem jakiegoś pradawnego paktu, który jego przodkowie zawarli z Bogiem albo z diabłem. A może z obydwoma stronami.

Twarze wieśniaków mieniły się rumieńcami w świetle płomieni. Były brązowe, pokierszowane, bardziej pasujące do słońca na polach niż do tej zadymionej jaskini między La Rambla i Puente Genil, i nie uśmiechali się, kiedy patrzyli na Sofię. Ich oblicza były uroczyście, poważne i pełne uwielbienia. Od dwóch godzin śpiewała pieśni Andaluzji, które dawały im nadzieję, przeważnie fandanga, trochę flamenco, ostatnio zaś wzruszającą sewilską saetę.

- Wystarczy, Gitanita - powiedział Juan Sanchez. - Musisz być zmęczona. Teraz odpocznij. - Był małym, przygarbionym mężczyzną o ramionach, które wydawały się zbyt długie w stosunku do reszty ciała. Jego zwolennicy nazywali go El Mono, małpa; Francuzi nazywali go zarazą zesłaną przez piekło. Dla zwyczajnych Andaluzyjczyków był bohaterem.

- Mogę jeszcze śpiewać, jeśli wam się podoba. - Sofia była niestrudzona, kiedy przebywała wśród ludzi takich jak ci, w ich ukrytych enklawach, kiedy widziała samotność i determinację na ich wieśniaczych obliczach. - Jeśli was to raduje, mogę jeszcze śpiewać.

- Za nią Enrique brzdąknął w struny gitary. W czasach, kiedy mieszkała w Madrycie i miała służbę, on był woźnicą. Potem poprowadził ją na wojnę.

- Wszystko, co robisz, nas raduje - powiedział Sanchez. - Ale obiecaliśmy dostarczyć cię jutro bezpiecznie do Jaen. Nie podziękują nam, jeśli przybędziesz ochrypnięta. - Wstał i wyciągnął rękę.

- Chodź, przygotowaliśmy ci miejsce do spania.

Położyli świeżą słomę w najdalszej części jaskini i przygotowali prowizoryczną zasłonę z kilku jutowych worków. - Nie jest to coś, do czego przywykłaś - rzekł Sanchez. Jego uśmiech obnażył dziury, w których powinny być zęby. - Ale to najlepsze, co mamy.

- Do tego jestem przyzwyczajona od dwóch lat - Sofia odwzajemniła uśmiech. - I to mi wystarczy.

Nie kłamała, mówiąc te słowa.

Kiedy walka się zaczęła, Sofia była przekonana, że jej to nie dotyczy. Miała własne bitwy do stoczenia, własne żale. I miała Rafaela. Stała się sławna, była coraz bogatsza - takie zwycięstwa zapewniały przyszłość jej synowi - i postanowiła ignorować francuskie wojska na ulicach.

- Donia Sofia - rzekł jej woźnica pewnego wiosennego dnia 1809 roku. - Nie mogę już pani wozić.

Byli w Madrycie, w domu Sofii przy Bramie Toledańskiej. Tej nocy Enrique miał zabrać ją do Caceres na kolejną z jej sekretnych wizyt u Rosy i Rafaela. Myśl o utracie służącego, któremu ufała, nie ucieszyła Sofii. - Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego? Myślałam, że jesteś ze mną szczęśliwy, Enrique, myślałam, że lubisz...

- Byłem szczęśliwy - przerwał jej. - Teraz nie czas na szczęście.

- Masz na myśli wojnę, prawda?

- Tak, seniorka, wojnę.

- Posłuchaj mnie. Gadasz głupstwa. Jeden gerylas mniej czy więcej, jaką to robi różnicę?

Enrique wzruszył ramionami. - Może malutką. Ale...

Niech będzie. Można zatrudnić innego woźnicę. Z trudem, ale pozwoliła mu odejść. Poprosiła go tylko, by został jeszcze tydzień, póki nie znajdzie kogoś na jego miejsce. - To musi być człowiek godzien zaufania, Enrique. Rozumiesz.

- Oczywiście, Gitanita. Ktoś do Caceres. Tak, rozumiem. Caceres, gdzie zostało wszystko to, co jeszcze kochała. Boże!

Wszystko, co w ogóle miała. Rodziny nigdy nie znała i nie mogła pamiętać, córkę zamordował Paco, a ciągły wstyd wypalał jej ciało, bo nie pomściła dziecka, i jeszcze Pablo Luis, i Carlos... i Robert. Robert Mendoza, który kazał jej zasmakować goryczy odrzucenia. Ale na przekór sobie dał jej największe błogosławieństwo życia, Rafaela.

Wyruszyli do Caceres tamtej nocy. Miał to być ostatni raz, kiedy podróżował z nią Enrique. Wtedy, gdy pomagał jej wsiąść do powozu, poczuła na sobie jego wzrok. Zdawał się pełen wyrzutu. - Słuchaj, Enrique - zaczęła. - Nie mogę oczekiwać, że to zrozumiesz, ale... - przerwała. Nie potrafiła wyjaśnić takiemu prostemu stworzeniu jak Enrique, że nie zostały jej żadne emocje, które mogłaby wiązać, z wojną, gdyż jej nie rozumiała i w żaden sposób nie mogła położyć jej kresu.

Droga na południowy wschód od Madrytu była bardzo uczęszczana, ale nie nocą. Te jej podróże były niebezpieczne i byłyby takie nawet bez dragonów i gerylasów, ale Sofia nie miała śmiałości odwiedzać syna w świetle dziennym. Gdyby świat wiedział, że ona ma dziecko z nieprawego łoża, nigdy by już jej nie zaproszono na publiczne występy.

Enrique był wprawnym woźnicą, więc jechali dość szybko. Po czterech godzinach drogi nagle zatrzymał konie.

Sofia wychyliła się przez okno. - Co się dzieje, Enrique?

- Niech pani spojrzy, seniorita - wskazał batem. Odwróciła się, by podążyć spojrzeniem we wskazanym kierunku.

Po drugiej stronie drogi wzniesiono rząd wielkich drewnianych krzyży. Na każdym wisiał mężczyzna.

- Matko Boska - wyszeptała Sofia. - Nie, nie wierzę w to. Nie, nie, nie!

Enrique zeskoczył z kozła, bardziej przejęty ofiarami niż swoją panią. Sofia patrzyła, jak podchodzi do pierwszego krzyża. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Zebrało się jej na wymioty i sięgnęła do torby po chusteczkę, by przycisnąć ją do ust. Enrique stał blisko, wpatrując się w pierwsze z długiego rzędu wbitych na pal ciał. Sofia nie potrafiła się powstrzymać. Musiała wsiąść z powozu i też patrzeć.

Stała obok Enrique'a, ale on nawet tego nie zauważył. Przez długie chwile wpatrywała się w grymas bóleści na twarzy ukrzyżowanego mężczyzny, potem spojrzała na woźnicę. Łzy toczyły się po jego policzkach.

Ruszył wzdłuż rzędu krzyży - powoli, zatrzymując się na chwilę przy każdym. Sofia szła za nim. Trzęsła się i drżała, ale nie mogła zostać. Złożyli cichy hołd każdej ofierze, potem Enrique wziął ją pod ramię i poprowadził z powrotem do powozu.

Wtedy usłyszeli jęk.

Sofia zamarła. Enrique mocniej ścisnął jej ramię, potem puścił je, odwrócił się i ruszył z powrotem na miejsce rzezi, szukając mężczyzny, który wciąż żył.

Patrzyła na niego. Kiedy się zatrzymał, wiedziała, że znalazł to, czego szukał. Stał przed ostatnim krzyżem po prawej stronie drogi. Sofia podeszła do niego, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. - Czy on...

- Tak, tak mi się wydaje. On chyba żyje. Widziałem, jak otworzył i zamknął usta.

Sofia upuściła chusteczkę i wyciągnęła rękę. Chciała ściągnąć mężczyznę z krzyża, ale już kiedy robiła ten gest, wiedziała, że jest daremny. Skrzyżowane stopy, ciało i kości przebijał ogromny żelazny gwoźdź. W ten sam sposób okaleczone były nadgarstki. Pomimo potworności tych ran nie było widać wiele krwi, a ta, co wypłynęła, wyschła już na słońcu. Brązowe strumyczki biegły przez ramiona i stopy mężczyzny.

- Wyciągał się, żeby móc oddychać - wyszeptał Enrique martwym głosem. - Tak właśnie umiera ukrzyżowany. Ciało pod swoim ciężarem obwisa na gwoździach i nie można oddychać.

- O mój Boże, mój Boże. - Tylko tyle mogła powiedzieć. Po chwili dodała: - Ale teraz? Teraz na pewno nie żyje?

- Nie wiem. Być może.

- Dziesięć piet... - Wargi Sofii ledwie się poruszały, kiedy wyszeptała te słowa. - Dziesięć piet.

Jak miała okazać miłosierdzie tym ludziom? W imię Boga, co mogła zrobić? Sofia czuła, jak łzy spływają po jej policzkach, i widziała też łzy na twarzy Enrique'a. Ale choćby wypłakali razem ocean za tę biedną istotę, w żaden sposób nie ulżyłoby to jej agonii. Pozwól mu umrzeć, modliła się. Dobry Boże, pozwól mu umrzeć. Mężczyzna znowu jęknął.

Sofia westchnęła głęboko, potem, zupełnie bezwiednie, otworzyła usta i zaśpiewała.

Nuty saety były czyste i prawdziwe, głos jej nie zawiódł. Nieważne, co śpiewała, musiała coś dać tym ludziom. Nie odrywała wzroku od twarzy ukrzyżowanego mężczyzny - w którymś momencie myślała, że uśmiecha się do niej - i śpiewała, śpiewała, śpiewała.

- Wystarczy, donia Sofia. - Enrique dotknął jej ramienia. - Już wystarczy, on umarł. Musimy jechać.

Jej śpiew zamarł w pustce nocy. - Umarł? Jesteś pewien, Enrique?

- Jestem pewien. To trwało długo, ale...

- Nie! Nie mogło trwać długo.

- Trwało, przysięgam, seniorita. Chyba prawie godzinę. Pani pieśni przyniosły mu ulgę.

To wiedziała. Wiedziała też, że musi iść na wojnę.

W jaskini gerylasów Juan Sanchez wciąż na nią patrzył, obserwując jej twarz, jakby nie mógł uwierzyć, że ona tu jest. - Widziałem panią parę lat temu, donia Sofia. Przed wojną. Śpiewała pani w ogrodach Alhambry w Granadzie. Nie mogłem sobie pozwolić na kupno biletu, ale wdrapałem się na mur, tam nikt nie pilnował. Nigdy nawet nie marzyłem, że będzie pani śpiewać tylko dla mnie i dla kilkunastu takich jak ja.

- Nikt z nas nie marzył, że to się wydarzy. Jesteś z Granady? - zapytała.

- Byłem. Teraz... - Wzruszył ramionami. - Jestem z piekła, a przynajmniej tak mówią Francuzi.

- Ale kiedy to się skończy, kiedy ich wypędzimy, wrócisz do Granady.

- Może, ale chyba nie.

- Dlaczego nie? - Była zaskoczona, przywiązanie wieśniaków do ich rodzinnej ziemi było legendarne.

- Nic tam nie zostało prócz krwi. Dragoni zamordowali moją żonę i czwórkę moich dzieci. Piąte oślepiłi i umarło parę tygodni później. Byłem wtedy w gaju oliwnym nieopodal domu. Słyszałem wszystko, ale nic nie mogłem zrobić. Dragoni mówili, że ukrywamy gerylasów. Do tamtego dnia nigdy nawet nie widziałem partyzanta. Więc stałem się jednym z nich.

Sofia słyszała już setki podobnych historii. Nie mogła powiedzieć nic, by pocieszyć ludzi, którzy doznali takich cierpień. Mogła tylko śpiewać. Pogładziła jego policzek. - Dobrej nocy, Juanie Sanchez. Spij dobrze.

Kiedy El Mono wracał do ognia, trzymał dłoń przy policzku, którego dotknęła Sofia. Jeden z mężczyzn rysował coś węglem na kawałku skóry. Sanchez podszedł i zajrzał mu przez ramię. - Oczy

narysowałaś niedobrze. Ona ma większe. - Mężczyzna uczynił kilka znaków węglem. - Teraz lepiej - orzekł Sanchez.

Rysowanie wizerunku Gitanity przerodziło się w swoiste zawody. W każdej grupie partyzantów, do której Sofia dołączała na kilka dni, ktoś wykonywał jej portret. Kiedy mężczyźni się spotykali, porównywali je, rysunki krążyły pomiędzy oddziałami. Parę wpadło nawet w ręce Francuzów, i krążyła pogłoska, że za głowę kobiety wyznaczono nagrodę. Niektórzy mówili, że gdyby nawet była to prawda, niczego by to nie zmieniło. Francuzi musieliby ją najpierw złapać, a partyzanci przekazywali ją sobie z rąk do rąk jak skarb, którym zresztą była.

Z zewnątrz dobiegły odgłosy bójk. Jednym ruchem Sanchez odrzucił rysunek i wyciągnął nóż. Druga ręka sięgnęła po rusznicę opartą o ścianę. W niespełna pięć sekund każdy mężczyzna był uzbrojony i gotów do walki.

Do jaskini wszedł partyzant, popychając przed sobą Francuza w niebieskim mundurze przesiąkniętym krwią. Dragon miał tylko jedną rękę, druga była odrąbana w nadgarstku. Hiszpan, który go złapał, trzymał skórzaną torbę. Ręka, która ją wcześniej niosła, wciąż była przykuta do uchwytu. - Łatwiej przeciąć ciało niż łańcuch - powiedział. - Muy buenas noches a todos.

- Dlaczego przywlokłeś tu tę świnię? - spytał Sanchez.

- Mówi trochę po kastylijsku. Myślę, że mógłby nam co nieco powiedzieć, ale dlaczego mam się sam bawić, co?

El Mono skinął głową. - Dobrze, ale weź go na zewnątrz. Ona śpi. Nie chcemy, żeby przeszkadzały jej jego krzyki.

Rano Sofia i Enrique wyruszyli w drogę z trójką eskortujących ich partyzantów. Kiedy schodzili ze zbocza, zobaczyła ciało mężczyzny w kępie drzew nad strumieniem. Był nagi, a jego nogi i ręce były przybite do ziemi palikami z kasztanowca. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do okrucieństw wojny. Odwróciła głowę, kiedy przejeżdżali.

- Nie martw się o niego, Gitanito - rzekł jeden z partyzantów. - To tylko Francuz, który zjadł nie to co trzeba i zadławił się na śmierć. - Nie mogła się powstrzymać, żeby raz jeszcze nie spojrzeć na mężczyznę. Odcięli mu genitalia i wepchnęli je w usta.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na szczycie stromego wzgórza wznosiły się żółte kamienne mury otaczające Caceres - zbudowane przez Rzymian, umocnione przez Maurów i utrzymywane przez chrześcijan. Wieńczyły je blanki i liczne wieżyczki; czyniły miasto twierdzą. Sofia podróżowała małym, półotwartym faetonem, który dla niej ukradziono. Teraz powóz pędził w stronę miasta. Siedząc za woźnicą, wychylała się do przodu, jakby impet jej ciała i siła woli mogły sprawić, by dwa konie biegły szybciej.

Powozził Enrique. Stale trzaskał biczem, świadom jej desperacji. - Już prawie jesteśmy, donia Sofia - krzyknął przez ramię, ale jego głos porwał wiatr.

W ciężkim powietrzu czerwcowego popołudnia faeton był jedynym elementem wprowadzającym jakiś ruch. Przed nimi, nad miastem wisiał całun czarnego dymu, a im bliżej byli, tym wydawał się większy i bardziej złowieszczy.

Żebyś tylko żył, modliła się Sofia cicho. Żebyś żył i był zdrow, mój aniołku. Mama już jedzie, Rafaelu.

- Brama jest chyba zamknięta - krzyknął Enrique.

- Nie, nie może być zamknięta. - Sofia powiedziała te słowa, choć widziała, że są nieprawdziwe. Ogromne wierzeje Puerta de San Antonio były zatrzaśnięte na głucho, oddzielając Caceres od świata.

Dwóch uzbrojonych strażników stało przed bramą. Nosili liberię Golfińów, władających Caceres od piętnastego wieku. Teraz, w 1811 roku, mieli większą władzę niż kiedykolwiek, ponieważ większość Hiszpanów, odrzucając króla w Madrycie, uznawała jedynie władze lokalne. - Nie możecie wjechać - krzyknął jeden z nich, kiedy woźnica Sofii ściągnął cugle. - Z rozkazu księcia.

- Mamy tu pilną sprawę. - Enrique cisnął monetę w stronę strażników. - Otwórzcie bramy.

Moneta upadła u stóp mężczyzn, ale żaden z nich nie schylił się, by ją podnieść. - Nie możecie wjechać - powtórzył pierwszy strażnik.

- W mieście jest zaraza.

Sofia, która schroniła się w cieniu daszka powozu, teraz się wychyliła. - Proszę, wpuście nas, muszę się dostać do miasta.

- Lo siento. Przykro mi, seniorka. Nikt nie wchodzi i nikt nie wychodzi. Takie mam rozkazy. - Zbliżył się o krok do powozu. Twarz damy była ukryta pod kapturem ciemnej peleryny. Słyszał historie o

tajemniczej kobiecie, która przyjeżdża do miasta i której nikt nigdy wyraźnie nie widział. Kobieta ta niewątpliwie miała zezwolenie od księcia na swobodne bywanie w mieście] nigdy nie dostali rozkazu, żeby ją zatrzymać. Dziś jednak każdy miał zakaz. Tak było od dwóch tygodni, odkąd ospa zawładnęła miastem. - Lo siento - powtórzył.

Sofia odrzuciła kaptur, odsłaniając twarz. Dostrzegła przestrach w oczach strażnika, który najwyraźniej ją rozpoznał. Był młody, właściwie był chłopcem. Nie potrafił jeszcze ukrywać swoich uczuć.

- Nie zrobisz tego dla mnie, mój chłopcze? - spytała.

- Gitanita, nie wiedziałem.

- Nikt w Caceres nie wie, że tu przyjeżdżam. Teraz jednak ty wiesz, bo jestem w rozpacz.

Drugi strażnik stał obok niewzruszenie w trakcie tej rozmowy] kiedy zorientował się, że dzieje się coś wyjątkowego, podszedł bliżej.

- To Gitanita - wyszeptał pierwszy. - Mówi, że musi wjechać, że jest w rozpacz. - Drugi strażnik był starszy i bardziej doświadczony. Nie zamierzał wyjść na głupka dla ładnej niewiasty. Co La Gitanita miałyby robić dziś w Caceres? Zajrzał do powozu. Sofia pozwoliła, żeby wsiadł i dobrze się jej przyjrzał, zanim nasunęła kaptur.

- Matko Boska, to pani. Ale, Gitanita - rzekł z troską - co robi Hiszpania, jeśli pani się zarazi?

Sofia mówiła wolno, patrząc raz na jednego, raz na drugiego strażnika, a w tonie jej głosu słychać było, w jak wielkiej jest potrzebie.

- Chłopcy, za tymi murami jest wszystko, co najcenniejsze w moim życiu. Jeśli nie zdołam tego ocalić, nigdy już nie zaśpiewam. I cokolwiek moje skromne pieśni znaczą dla Hiszpanii... Cóż, nastąpi ich kres.

Chwilę wszyscy milczeli. Jedyнным dźwiękiem był ciężki oddech pary kasztanowych wałachów, które stały ze spuszczoneymi łbami. Strażnicy patrzyli na siebie, na woźnicę, na kobietę, której twarz była znana od Andaluzji po Galicję, której muzyka dawała siłę do walki z francuskimi najeźdźcami. W końcu młodszy przysunął się do woźnicy. - Jedź na prawo - wyszeptał. - Do bramy przy Plaza de Socorro. Otwierają ją codziennie mniej więcej o tej porze. Tylko na kilka minut, żeby odebrać świeże jedzenie i lekarstwa. - Wzdrygnął się. - I żeby wywieźć ciała. - Woźnica skinął głową i trzasnął z bicia, a konie pociągnęły powóz.

Faeton zatrzymał się nieopodal brukowanego placu przed murami. - Pójdę z tobą, donia Sofia - rzekł Enrique. - Możemy zostawić tu powóz.

- Nie, ty zostań z końmi. Czekaj na mnie. Nie ma powodu, żebyś się narażał, Enrique.

Zaprotestował, ale ona nie ustąpiła i sama ruszyła przez plac, z pochyloną głową, ciasno owinięta peleryną, jakby właśnie była zima, a nie ciepły i wilgotny początek lata.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Mężczyźni przed otwartymi wąskimi drzwiami byli wyraźnie przerażeni i nie mogli się doczekać końca swojej pracy. Zakonnice w czarnych habitach przekazywały im jutowe worki pełne ciał. Ich szerokie kornety uniemożliwiały spojrzenie na twarze, i tak zasłonięte ciężkimi czarnymi welonami. Sofia prześliznęła się za nimi, nikt zresztą nie starał się jej zauważyć.

Ulice były puste, przerażeni obywatele Caceres schronili się w swoich domach, okna były zamknięte i zasłonięte przed złym powietrzem, które jak wiadomo niosło straszną ospę. Sofia popędziła do Calle de Gloria i do królikarni w wąskiej alei za pałacem Golfinów. „Idę, mój aniołku - obiecywała w przejmującej ciszy. - Idę, Rafaelu.”

Drzwi domu, w którym przed kilku laty ukryła syna i Rosę, były zamknięte. Sofia grzebała w zamku wielkim kluczem, niemal upuszczając go w pośpiechu. W końcu weszła do środka. Nie zatrzymała się, żeby z powrotem zamknąć drzwi na klucz, lecz przeczesując wzrokiem patio w poszukiwaniu jakiegoś śladu Rafaela, zatrzasnęła żelazną zasuwę.

Na zewnątrz pozostała postać, która teraz przysunęła się bliżej drzwi. Krępa sylwetka rzucała groteskowy szeroki cień w popołudniowym słońcu, a silne ramię sięgnęło do klamki. Drzwi były zaryglowane. Niech diabli porwą tę dziwkę. Następna sposobność stracona. Postać cofnęła się w cień murów i podjęła oczekiwanie, w którym trwała od wielu dni.

- Rafael! Rosa! Gdzie jesteście? - Sofia pędziła z pokoju do pokoju. Wszystkie wychodziły na patio, więc za każdym razem, nie znajdując nikogo, wracała na zalaną słońcem przestrzeń, porośniętą palmami. - Przyjechałam. Zabiorę was stąd. Rafaelu, odpowiedz mi, kochanie. To mama...

Jedyną odpowiedzią był szept liści krępych palm, kiedy biegła między nimi. Dosłyszała jednak coś jeszcze, nieśmiałe kwilenie gdzieś ze środka. Może to kot. Nie, dziecko, Rafael!

Zawołała raz jeszcze i wyteżyła słuch. Przez chwilę słyszała tylko przerażone bicie własnego serca, potem znowu płacz. Dochodził od strony kuchni, ale kuchnię już przecież sprawdziła i nikogo tam nie znalazła.

Wróciła do kuchni. Położyła dłoń na piecu. Był zimny. Od dawna w nim nie palono. Wyczuła stęchły zapach dymu, ale nie potrafiła odgadnąć, czy to stąd czy też wsączył się przez małe, zamknięte szczelnie i okratowane okno, przynosząc woń ze stosu ciał palonych za murami miasta. - Rafaelu - zawołała znowu. Tym razem cicho, żeby go nie przestraszyć. - To mama, kochanie. Gdzie jesteś? - W odpowiedzi płacz nasilił się nieco.

Rozejrzała się uważnie, próbując ocenić, skąd dochodzi rozdzierający serce dźwięk. Obok pieca były małe drzwi, niemal zasłonięte krzesłem. Odepchnęła mebel i uderzyła w drzwi. Były zaryglowane od środka. Sofia uklękła i przyłożyła oko do dziurki od klucza. Zobaczyła tylko ciemność. Pamiętała, że schody prowadzące do piwnicy i spiżarni są strome. Schodziła nimi tylko raz, kiedy przywiozła tu Rosę i Rafaela. Piwnica była wilgotna i ciemna. W imię Boga, dlaczego Rafael jest zamknięty w piwnicy na wino? Gdzie jest Rosa?

- Rafi - zawołała cicho przez dziurkę od klucza, używając zdrobniałego imienia, które dała mu dużo wcześniej. - To ja, kochanie. Nie mogę wejść, drzwi są zaryglowane od twojej strony. Musisz wejść po schodach i otworzyć drzwi. Słyszysz mnie, Rafi?

- Tak, mamusiu.

Te proste słowa przepełniły ją radością. Był tam. Żył. - Wejdz po schodach, kochanie. Otwórz drzwi. Jesteś dużym, silnym chłopcem, potrafisz to zrobić.

Usłyszała stłumione kroki, zrazu ostrożne, potem spieszące do niej. Mogła nawet usłyszeć jego oddech, kiedy szarpał ciężką zasuwę. Wydawało się, że wieki minęły, zanim sobie poradził, ale zrobił to, i drzwi stanęły otworem, a ona porwała dziecko w ramiona. - Rafi, Rafi, dzięki Bogu. Przyjechałam tak szybko, jak mogłam, kochanie. Och, Boże, niech na ciebie spojrzę.

Sofia odsunęła grzywkę ciemnych włosów z jego czoła, przyglądając się twarzy synka, przerażona, że mogłaby zobaczyć zdradzieckie żółte krosty. Twarz była czysta. Wzięła jego rękę, oglądając najpierw jedną, potem drugą w przyćmionym świetle kuchni. One też były czyste. Podciągnęła mu koszulę, brudną i nie zmienianą od kilku dni, i sprawdziła plecy i piersi. Delikatna skóra dziecka nie zdradzała żadnego znaku ospy. Uścisnęła go gwałtownie, z ulgą, od której kręciło się w głowie.

- Byliśmy ukryci - powiedział, zaciskając małe ramionka na jej szyi. - Tak ładnie pachniesz, mamusiu. W piwnicy śmiesznie pachnie. Tam się ukryliśmy z Rosą, żeby nie złapała nas zła choroba. Ale ona poszła spać i się nie obudziła. Potrząsałem nią i wołałem, wołałem, ale ona się nie obudziła. Jestem głodny, mamusiu. Nie miałem żadnego śniadanka.

Sofia posadziła go na sosnowym stole, nie zważając na warstwę kurzu, która go pokrywała. Znalazła kawałek sera w kredensie pod oknem. Był stary i twardy, ale nie dostrzegła na nim pleśni. - Proszę, kochanie. Zjedz to teraz, zaraz znajdziemy coś więcej. - Patrzyła, jak wgryza się w ser. Jego przedni ząb wypadł miesiąc temu, ale teraz pojawił się już nowy. Doskonały biały ząb; wszystko w Rafaelu było doskonałe. Małe, silne ciało, ciemne kręcone włosy, które były idealnie podobne do jej własnych, i brązowe oczy Mendozów - wszystko było doskonałe. I nie miał zarazy.

- Posłuchaj, aniołku, musisz tu zostać i nie ruszać się. Wrócę za chwilę.

- Dokąd idziesz?

- Na dół do piwnicy. Muszę zobaczyć Rosę, kochanie. Potem pójdziemy stąd.

Na stole w zwykłym glinianym naczyniu stała świeczka. Sofia znalazła przy palenisku hubkę. Tłusty, oleisty zapach częściowo spalonej bawełny w pudełku uderzył ją w nozdrza, kiedy szukała krzesiwa. Nie miała pojęcia, gdzie co jest, ponieważ nigdy nie wykonywała w tym domu żadnych domowych zajęć. Jeśli chodzi o ścisłość, od lat nigdzie nie wykonywała żadnych domowych zajęć.

Znalazła to, czego szukała, i zmusiła się, by opanować drżenie rąk. Po kilku próbach wykrzesła iskłę. Hubka złapała i Sofia przytknęła do niej zapałkę. Drażniący zapach siarki uniósł się w

powietrzu, kiedy zapalka rozpalila się plomieniem. - Pamietaj, Rafi, nie ruszaj się stąd. Zaraz wrócę.

Musiała się schylić, by zejść po schodach, i nawet na dole nie mogła się wyprostować, ponieważ w małej piwniczce nie było na to miejsca. Wyciągnęła przed siebie rękę ze świecą, wywołując migotliwe cienie na wilgotnych kamiennych ścianach. Ciało leżało w najdalszym kącie.

Już zanim podeszła, wiedziała, że to trup. Śmierć widać było w sztywnej, nienaturalnej pozycji ramion i nóg Rosy, w jej całkowitym bezruchu. Ale Sofia musiała mieć pewność; była tyle winna kobiecie, która służyła jej z takim oddaniem i kochała Rafaela równie mocno jak ona sama.

Śmieszny zapach, o którym wspominał Rafi, pochodził z ciała. To był zapach choroby, nie zgnilizny. Trup nie zaczął jeszcze gnić. Może umarła niedawno albo zakonserwował ją wilgotny ziab piwnicy. Sofia nachyliła się, przesuając świecę wzdłuż ciała Rosy. Czarna suknia niczego nie zdradziła; okrywała ją od szyi po kostki. Rosa po śmierci była równie skromna jak za życia. Jej twarz była odwrócona do ściany.

Sofia ostrożnie wyciągnęła rękę i spróbowała odwrócić głowę dziewczyny. Nie poruszyła się. Trzeba było przetoczyć całe ciało, żeby zobaczyć twarz. Sofia zwlekała, wstrzymywana odrazą. Ale musi to zrobić. Nie może po prostu odejść bez jakiegoś ostatniego aktu podziękii. Szturchnęła ciało stopą, a ono przetoczyło się z cichym uderzeniem. Sofia poruszyła świecą, potem zdławiła okrzyk przerażenia. Twarz Rosy była obrzmiała nie do poznania. Pyszcze zamieniły się w strupy, a te tworzyły czerwono - brązową skorupę.

- Mamusiu - Rafael stał u szczytu schodów. - Proszę, mamusiu, chodź tu. Nie chcę zostać sam... - Postawił stopę na pierwszym stopniu.

- Nie, nie schodź. Już idę na górę. - Sofia wbiegła po schodach, wypychając przed sobą synka z piwnicy i zatrzasnąjąc za nimi drzwi.

- Rosa się obudziła? - spytał chłopiec.

- Nie, kochanie, nie może. Odeszła do Pana Boga.

Zaczął zadawać więcej pytań. - Ciii, nie teraz, Rafi. Porozmawiamy o tym później. Teraz cię stąd zabieram. - Wzięła go na rękę i wybiegła z kuchni do patia. Musiała postawić go na ziemi, żeby odsunąć żelazny rygiel na drzwiach, ale kiedy tylko te stanęły

otworem, natychmiast podniosła chłopca. Nie zadała sobie trudu, by zamknąć na powrót drzwi. Wszystko, co chciała zabrać z Caceres, miała w ramionach; diabli mogli porwać całą resztę, którą zostawiała za sobą.

Wcześniej nie zastanawiała się, którądy pójdzie, by wydostać się z miasta. Brama na Plaza de Socorro niewątpliwie była już zamknięta. Ale będzie tam strażnik, a ona przekupi go, tak jak przekupiła tamtych dwóch przy bramie świętego Antoniego - swoją twarzą i sławą, symbolem walki narodu, którym sama się stała.

Jeszcze zanim zobaczyła postać, poczuła, że ktoś do niej biegnie. W świetle słońca ujrzała błysk zupełnie łysej czaszki, złotego kolczyka w kształcie węża i złowieszcze lśnienie obnażonego noża. Krzyknęła i przylgnęła do syna, kiedy silne ramiona Paca próbowały go od niej oderwać. Jej podróżne buty uszyto z mocnej skóry, kopnęła więc mocno, celując w genitalia, ale chybiła.

Szarpali się w milczeniu. Sofia wciąż czekała na cios noża i nawet kiedy kopała i wila się, próbowała chronić przed nim Rafaela. Ale cios nie następował. Paco odrzucił nóż i oburącz starał się rozerwać jej uścisk. Próbował wyrwać jej dziecko, zabrać je. Trzymała Rafaela kurczowo z siłą dzikiej bestii.

Trwało to kilka chwil i dopiero teraz chłopczyk zaznał strachu. - Mama! Mama! - Jego ramionka zacisnęły się jeszcze mocniej na jej szyi. Sofia nie miała tchu, by mu odpowiedzieć albo go uspokoić. Próbowała znowu kopnąć Paca w przyrodzenie i znowu chybiła. Trzymał Rafaela w pasie i już by go wyrwał, kiedy rozdarły się bawełniane bryczesy dziecka i Cygan został z pustymi rękoma. Zaklął i znowu rzucił się w przód.

- Seniora, que pasa? - Biegł do nich mężczyzna, duchowny w brązowym habicie franciszkańskim. - Aue hace, Gitano! Zostaw ich w spokoju.

Paco zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na Sofię, Rafaela, potem na zakonnik. Franciszkanin był już prawie przy nich. Paco odwrócił się i uciekł.

Sofia oparła się bezwiednie o ścianę, łapiąc oddech i wciąż ściskając Rafaela, który łkał z przerażenia. Mnich dobiegł do nich. - Nic się pani nie stało? Kim on był, czego chciał?

Sofia nie miała zamiaru odpowiadać na jego pytanie. - Dziękuję, ojcie. Ocalił nas pan.

Przyjrzał się jej. W szamotaninie kaptur zsunął się jej z głowy, a włosy uwolniły się z koka. Niemniej jednak rozpoznał ją. - Gitanita, to pani, prawda?

Sofia skinęła głową.

- Co pani robi w Caceres? - Nie czekał na odpowiedź. - Nieważne, powie mi pani później. Proszę dać mi dziecko.

Wciąż ścisnęła Rafaela, nie potrafiła oddać go nawet temu dobrodusznemu człowiekowi. - Już dobrze - rzekł łagodnie. - Jestem ojciec Alfonso. Nie zrobię pani krzywdy, obiecuję. Proszę dać mi dziecko i iść ze mną. Potrzebuje pani opieki i schronienia, oboje tego potrzebujecie. Znam bezpieczne miejsce. - Z wahaniem, ale mając świadomość, że to jedyne wyjście, Sofia wypuściła syna z ramion.

Nie знаła Caceres. Przyjeżdżała tu tak często, jak mogła, ale zawsze nocą, spędzała dzień czy dwa z Rafaelem i Rosą, i nigdy w tym czasie nie wychodziła z domu. Potem wyjeżdżała, znowu nocą. Nie miała pojęcia, dokąd zabiera ich ojciec Alfonso, kiedy niosąc Rafaela pędził przez jakieś aleje, potem przez szeroki plac przed kościołem. Minał świątynię i skręcił w prawo, mknąc następną aleją. W końcu zatrzymał się i otworzył drzwi umieszczone w wysokim kamiennym murze.

- Tutaj, Gitanito. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. - Odsunął się, by przepuścić Sofię.

Weszli do jakiegoś gabinetu, małego kwadratowego pomieszczenia z wielkim krzyżem na ścianie, stołem, dwoma krzesłami i półkami pełnymi książek. Sofia wyciągnęła ręce i mnich oddał jej syna, potem padła na jedno z krzesel, ściskając Rafaela, który przestał już płakać, ale przyłgnał do niej tak, jakby postanowił gorąco, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

Ojciec Alfonso chwilę przyglądał się matce i dziecku, potem bez słowa wyszedł z pokoju. Wrócił po kilku minutach. Za nim podążała zakonnica w czarnym habicie i welonie, niosąca tacę z dwiema szklankami i talerzem ciastek.

Na widok zakonnicy Sofia westchnęła ciężko. - Gdzie jesteśmy? - spytała.

- W Casa de los Infernos - rzekł mnich. - Ale nie bój się. Powiedziałem, że jest tu bezpiecznie, i jest.

- Jak może być bezpiecznie? Nikt nie opuszcza żywy Casa de los Infernos. Poza tym ona jest jedną z dozorczyń ciał.

- Owszem przynajmniej tak wszyscy je nazywają. One mówią do siebie Siostry Nadziei. Nie mogą się do pani odezwać, tak a propos, składają śluby milczenia. Proszę coś zjeść, seniorka. I dać coś dziecku. W takich chwilach jak te, słodczyce są doskonałe. Cukier da wam energię.

Wziął szklanę z tacy, którą trzymała zakonnica, i podał ją Sofii. Zawahała się. - Proszę - powtórz! grzecznie. - Nie ma się czego bać. Jestem zarówno kapłanem, jak i doktorem.

Wzięła szklanę i wypila jej zawartość. Poczuła smak słodkiego gorącego napoju czekoladowego, w którym nałogowo rozkochała się cała Hiszpania, odkąd w jej amerykańskich koloniach odkryto ziarno kakaowe. - Proszę, Rafi. To jest dobre. - Przysunęła szklanę do ust chłopczyka, a on wziął łyk i odepchnął ją. - Nie chcesz więcej? Przecież mówiłeś, że jesteś głodny. Spójrz, są też ciasteczka.

- Nie jestem już głodny. Boli mnie gardło.

- Boli, bo płakałeś. Wypij jeszcze troszeczkę, poczujesz się lepiej. Dziecko pokręciło głową. - Wszystko mnie boli, mamusiu, nie tylko gardło.

Ojciec Alfonso zbliżył się o krok. - Proszę pozwolić mi go obejrzeć, seniorka.

Sofia mocniej przycisnęła Rafaela do siebie. - Nie. Wiem, o czym ojciec myśli, ale on nie jest zarażony. Sprawdziłam wszędzie. Nie ma na nim żadnych znaków.

- Znaki przychodzą później - powiedział delikatnie mnich.

- Proszę, Gitanito, potrafię mu pomóc. Pozwól mi to zrobić.

Raz jeszcze oddała syna w jego ręce i obserwowała, jak sprawdza każdą część małego ciała. Zakonnica też patrzyła w milczeniu, kiedy zwrócił się do niej ojciec Alfonso: - Pierwsze stadium. Ma gorączkę, stale rosnącą. Proszę, weź go. Wiesz, co robić.

Rafael rozkrzyczał się, kiedy podniosła go kobieta w czarnym habicie. Sofia zeskoczyła z krzesła. - Nie! One dotykają trupów. Są chore.

Franciszkanin stanął między matką a zakonnica trzymającą chłopca. - Seniorita, proszę mnie posłuchać, siostry nie roznoszą choroby. Nie mogą roznosić. Ale dziecko weszło już w kontakt z nią. Ma ospę. Musi się pani z tym pogodzić. My możemy coś zrobić, żeby mu pomóc, ale pani może się jedynie modlić, żeby był to łagodny przypadek.

Z płaczem Sofia padła na krzesło. Widziała, jak zakonnica wynosi Rafaela z pokoju. Słyszała, jak synek ją woła. Nie mogła mu pomóc, i to była największa ze wszystkich boleści.

Alfonso podszedł do stołu i wrócił z małym kieliszkiem. - To brandy. Wypij to, poczujesz się lepiej.

Wypiła pałący płyn i oddała mu pusty kieliszek. - Był z nianią - powiedziała bezbarwnym głosem. - Ona umarła na ospę, zanim przyjechałam. Nie wiem dokładnie kiedy. Może ostatniej nocy, może dziś rano.

- Ile lat ma dziecko? - spytał kapłan.

- Osiem. - Skłamała bez wahania. Zawsze z żelazną konsekwencją trzymała się planu, który powstał, kiedy urodził się Rafael.

- Jest mały jak na swój wiek - rzekł kapłan. - Myślałem, że jest trochę młodszy. - Nie odpowiedziała. - Nie wiedziałem, że Gitanita ma syna - dodał.

- Nikt nie wie. Rafael zawsze mieszkał w Caceres z nianią. To ona opiekowała się nim zamiast mnie. Przyjeżdżałam co parę tygodni, ale w tajemnicy. - Ukryła twarz w dłoniach. - Tym razem przyjechałam za późno. Byłam z partyzantami na wzgórzach w pobliżu Zafry. Wszystko jest takie pogmatwane. Armia angielska poddała się, próbując wziąć głodem Badajoz. Wycofują się do Portugalii. Dopiero kilka dni temu dowiedziałam się, że w Caceres jest zaraza. Potem musiałam czekać, aż znajdą dla mnie powóz. - Znowu zaczęła płakać. - Przyjechałam tak szybko, jak mogłam, ale to było za późno.

- Proszę, seniorita, niech się pani uspokoi. Może nie było za późno. We wczesnych stadiach... - Przerwał. Mówienie o chorobie nie mogło jej pomóc, wręcz przeciwnie. - Niech pani nie traci nadziei. Proszę powiedzieć mi o Badajoz. Mówią, że Francuzi nawet nie wyszli z miasta, by stanąć do walki.

- Na wzgórzach słyszeliśmy, że don Arturo dwukrotnie zaatakował miasto, ale angielskie drabiny były za krótkie, by sięgnąć szczytu murów.

- Można by teraz pomyśleć, że na własną szkodę stawiamy za dobre budowle. - Kapłan uśmiechnął się z przekąsem. - A ten don Arturo, generał, którego Anglicy zwa Wellingtonem? Jest dobrym generałem?

- Partyzanci mówią, że to lew. Ufam mu.

- Ja też - rzekł Alfonso. - Wszystko to jest znamienne, wie pani. Napoleon popełnił jeden błąd, nie zdawał sobie sprawy, że może zawładnąć hiszpańskim tronem, ale nigdy hiszpańskim narodem. Każdy wieśniak, który zabija Francuza, krzyczy zwycięsko „za Najświętszą Dziewicę i Gitanitę”. Oni panią kanonizowali, seniorita.

- Nie są aż tacy niemądrzy - odparła Sofia. - Wiedzą, że nie jestem święta. Ale pieśni, które śpiewam, są ich pieśniami. Reprezentuję ich kraj i przypominam im, o co walczą, to wszystko.

- To wielka rzecz. Kościół i Hiszpania mają u pani dług, Gitanito.

- A ponieważ mówienie o tym wszystkim uspokoiło ją trochę, dodał: - Chce mi pani opowiedzieć o Cyganie, który panią zaatakował? - Nie odpowiedziała. - Czy to ojciec chłopca? - spytał delikatnie.

Sofia poderwała głowę. - Matko Boska! Jak można myśleć, że to zwierzę może być ojcem Rafaela? Oczywiście, że nie.

- Kto nim jest?

- To nie jest informacja, którą chciałabym się podzielić, ojczu.

- Rozumiem. - A więc chłopiec był bękartem, tak jak podejrzewał. Niektórzy mówili, że Gitanita miała wielu kochanków. Inni upierali się, że to tylko kalumnie rozpuszczane przez Francuzów, ponieważ wieśniacy, którzy ją uwielbiali, nie zaakceptowałyby takiej niemoralności. Wystarczy, że królowa wzięła sobie kochanka i wpędziła ich wszystkich w ten koszmar, teraz jeszcze symbol ich oporu miałby się okazać rozwiązły? - Rozumiem - powtórzył.

- Wątpię. - Sofia wstała. - Kiedy będę mogła zobaczyć Rafaela?

- Teraz zaprowadzę panią do niego.

Poprowadził ją przez ciemne korytarze. Kilka razy minęli ciche postacie w czarnych habitach, które ich nie pozdrowiały ani nie dawały żadnego znaku, że w ogóle wiedzą o ich obecności. Doszli do małych, krętych schodów, kapłan odsunął się na bok i wskazał Sofii, by weszła.

Znalazła się w niewielkim pokoju na szczycie wieży. Rafael leżał w łóżku przykryty czystym białym prześcieradłem. Jedna z zakonnice siedziała przy nim. Na wszystkie cztery strony wychodziły okna i wszystkie były otwarte. „Złe powietrze...” Sofia rzuciła się do jednego z okien, żeby je zamknąć. - Boże drogi, co robicie? Czyście wszyscy poszaleli?

Alfonso chwycił ją za ramię i odciągnął od okna. - Proszę mnie posłuchać. Mówiłem, że jestem doktorem. Choroba nie przychodzi z powietrza. Pewien człowiek w Anglii, Edward Jenner, dowiódł, że przechodzi tylko przez kontakt z inną ofiarą. I jeśli pacjent przeżyje infekcję, jest zabezpieczony na całe życie. Teraz rozmyślnie podajemy chorobę. Nazywa się to szczepieniem i... - przerwał. Sofia nie słuchała go albo słowa do niej nie docierały. Całe jej ciało lgnęło do małej postaci w łóżku. Puścił ją, a ona padła na kolana u boku synka.

- Teraz najważniejsze to nie dopuścić, by gorączka się podniosła - powiedział Alfonso. - Dlatego okna są otwarte. Jeśli to nam się uda, możemy złagodzić przebieg choroby. Jeśli tak, on przeżyje. Będziemy to wiedzieć za dwa dni, seniorka. Kiedy przyjdzie pierwsza zaraza.

- Proszę spojrzeć. - Kapłan odsunął prześcieradło. - Kilka znaków tu na piersi i na brzuchu. Odwróć się, chłopcze, niech mama zobaczy cię całego. - Delikatnie odwrócił Rafaela. Chłopiec był uległy i spokojny i Sofii wydawało się, że wygląda dużo lepiej niż poprzedniego dnia. - Minął tydzień, a jest nie więcej niż tuzin pryszczycy, na pośladkach i na plecach. Bóg jest dobry, seniorka. To najłagodniejszy z możliwych przypadków. Twój syn będzie zdrowy.

Uklękła i chciała przytulić synka, ale mnich ją powstrzymał.

- Proszę go nie dotykać - wyszeptał. - Jest teraz bardzo zaraźliwy.

Sofia dała się odsunąć trochę od łóżka. - Słyszałeś ojca, mój aniołku? Wkrótce wydobrzejesz i wyjedziemy.

- Swędzi mnie, mamusiu.

- Wiem, kochanie, ale nie możesz się podrapać. Zostałyby potem blizny.

Zakonnica przetarła rany kawałkiem płótna, które wcześniej zanurzyła w podejrzanie wyglądającym naparze. - Ziola trochę złagodzi swędzenie - wyjaśnił mnich. - Nie mogą go całkiem zlikwidować.

Sofia pomyślała o Fancie i jej medykamencie, miała wielką ochotę wziąć od zakonnicy płótno i sama przykładać je do ciała Rafaela, ale wiedziała, że jej nie wolno. - Obiecuj mi, że nie będziesz próbował się drapać - poprosiła go. - Dzięki temu, jak już ruszymy w podróż, wciąż będziesz moim przystojnym chłopcem.

- Dokąd pojedziemy, mamusiu?

- To niespodzianka - odparła Sofia. Dla niej to także była niespodzianka, ponieważ nie miała pojęcia, dokąd zabrać Rafaela. Ale miała już pewien pomysł. - Powiem ci, jak wydobrzejesz - obiecała Rafaelowi.

Później znowu zasiadła z ojcem Alfonsem w jego pracowni i zadawała pytania, których wcześniej nie ośmieliłaby się zadać, ponieważ jej strach o Rafaela i tak był nie do zniesienia. - Czy teraz ja będę chora?

- Cóż, należałoby wykazać ostrożność, ale nie sędzę. Minał tydzień, a pani nie ma żadnych objawów. Wierzę, że jest pani jedną z osób naturalnie uodpornionych na chorobę. To nic nadzwyczajnego. Ja sam też jestem uodporniony. A to znaczy też, że nie może pani nikogo zarazić. Infekcja następuje tylko przez kontakt z pryszczami.

Franciszkanin sięgnął po krzyż, który zwisał na sznurze przewiazanym w jego pasie. - Ścieżki Pana są kręte i niezbadane, Gitanito. W tych tam książkach - wskazał na półkę - są raporty z prac jezuitów w Chinach. Ci poganie wiedzą od tysiąca lat to, czego dobrzy chrześcijanie dopiero się uczą. Chińscy doktorzy ścierali na proszek strupy z ofiar zarazy i wdmuchiwali trochę w nosy ludzi, którzy nigdy nie zachorowali. Jeśli mieli szczęście, łagodnie przechodzili chorobę. Potem, jak powiedziałem, byli już odporni.

- A te wszystkie zakonnice, mówił ojciec, że nie mogą zarażać. Czy one też są naturalnie uodpornione?

Alfonso potrząsnął głową. - Nie, nie zostały pobłogosławione w ten sposób. Ich zakon założono dla kobiet, które przeszły chorobę zakaźną i wyzdrowiały. Kobiet, które potem mogły sobie znaleźć miejsce tylko w klasztorze. - Ściszył głos i odwrócił wzrok. - Dlatego zasłaniają welonami twarze. W niektórych przypadkach spustoszenie

chorobą jest naprawdę straszne, seniorita. Ale teraz są odporne i Rafael też będzie. Dokąd go pani zabierze, kiedy wyzdrowieje?

- Nie jestem pewna. Mam dom w Madrycie. Przynajmniej miałam. Ale mówiono mi, że Francuzi go obserwują, że chcieliby mnie złapać.

- Bez wątpienia - zgodził się Alfonso. Zawahał się. - Seniorka, proszę mi wybaczyć, ale muszę mówić szczerze. Czy myślała pani o tym, żeby zabrać dziecko do Portugalii? Z dala od Hiszpanii?

- Skąd ten pomysł?

- Bo jeśli pani po prostu zniknie, pozostawi wspaniałą legendę i nie przestanie dawać tym, którzy bronią Hiszpanii i Kościoła, nadziei i czegoś, za co walczą. A...

- A jeśli pojawię się z bękartem, zniszczę legendę - powiedziała cicho. - Nie myślałam o tym. Zbyt martwiłam się o Rafiego, ale ma ojciec rację, oczywiście.

- Więc pojedzie pani do Portugalii? Mamy tam wiele domów. Mógłbym panią wysłać do jednego z naszych klasztorów z listem polecającym. Mogę wszystko zorganizować.

- Nie. Dziękuję, ale nie, nie pojedę do Portugalii.

- Ale zgodziła się pani.

- Zgodziłam się, że ma ojciec słusność w ocenie mojej sytuacji - odparła. - Nie na rozwiązanie.

Alfonso milczał przez chwilę. - Jest pani dziwną kobietą, Gitanito. Nie jestem pewien, czy w ogóle panią rozumiem.

Co ważniejsze, pomyślała Sofia, mnich nie rozumiał, kim jest Rafael. Nie wiedział, że jest Mendozą i że gdyby zrobiła tak, jak mówił, Rafael straciłby swoją spuściznę. I kapłan nie wiedział o Pacu, który najpewniej zdobył informację o Rafaelu i chyba zamierzał go porwać, żeby dostać okup. W przeciwnym wypadku zabiłby któregoś z nich na ulicy. - Mimo wszystko byłabym wdzięczna za pomoc - powiedziała do mnicha.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Gitanito. Jestem pani to winien jako Hiszpan i dziecię Chrystusa.

- Uratował ojciec życie mojemu synowi. Nic mi ojciec nie jest winien. To ja i Rafael mamy dług wobec ojca. Spłacimy go któregoś dnia. A tymczasem potrzebujemy czegoś jeszcze. Czy znalazł ojciec Enrique'a i mój faeton? - Pierwszego dnia poprosiła, żeby poszukali woźnicy i powozu.

- Owszem, znaleźliśmy woźnicę. Nie mówiłem nic wcześniej, bo nie chciałem powiększać pani trosk. Pan Enrique ma odzież w nieco gorszym stanie i nie ma faetonu. Kiedy na was czekał, napadli go złodzieje.

Sofia bardzo się zdenerwowała. - Powinien był ojciec mi powiedzieć. Czy Enrique'owi stało się coś poważnego?

- Nie, jak się okazało. Widziałem go dziś rano i jest prawie zdrow. Otrzymał tylko cios w głowę.

- Dzięki Bogu. - Sofia myślała przez chwilę, potem wstała. - Proszę posłuchać. Potrzebuję zamkniętego powozu i czterech silnych koni. Wyjedziemy, gdy tylko Rafael i Enrique będą wystarczająco zdrowi do podróży.

- Powóz da się załatwić. Dokąd jedziecie?

- Do Kordoby - powiedziała cicho. - Rafael i ja jedziemy do Kordoby.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

O zachodzie słońca przy Posada del Porto zatrzymał się powóz. Na jego dachu nie było żadnego bagażu, a woźnica nie miał na sobie liberii. W środku siedziała jedynie zakonnica w czarnym welonie i mały chłopiec. Oberżysta zdumiał się na ich widok, ale to w ogóle były dziwne czasy. - Tak, proszę państwa, w czym mogę pomóc?

- Potrzebujemy pokoju - odparł woźnica. - Coś skromnego dla siostry i dziecka.

Oberżysta zawahał się, potem wzruszył ramionami i machnął głową za siebie. - Na górze - wskazał balkon nad otwartym dziedzińcem. - Sześć reali za noc. Płatne z góry.

Woźnica zapłacił. - Ja też chcę łóżko - powiedział. - I stajnię dla koni.

Dziecko patrzyło na gospodarza, ale nie odezwało się ani słowem. Zakonnica skromnie pochyliła twarz zasłoniętą czarnym welonem i też milczała. Razem z chłopcem weszła po schodach i zniknęła w pokoju wskazanym przez gospodarza.

- Dobrze to zrobiłem, mamusiu? - spytał Rafael, a jego oczy błyszczały z ekscytacji. - Wystrychnęliśmy go na dudka?

Sofia zrzuciła welon i uściskała go. - Zrobiłeś to doskonale, kochanie. Byłeś wspaniale przerażony. Idę o zakład, że dziś wieczorem będzie musiał opowiedzieć wszystko żonie.

- Co teraz, mamusiu? Jaka jest następna część naszej... - przerwał. - Zapomniałem tego słowa.

- Przygody, kochanie. Naszej przygody. A następna część jest bardzo trudna. Myślisz, że potrafisz to zrobić?

Rafael wypiął mężnie pierś. - Potrafię.

- Tak, jestem pewna, że potrafisz. Musisz zostać tu sam, moje kochanie. Ale to nie potrwa długo, zresztą Enrique siedzi teraz u dołu schodów i patrzy na drzwi, więc jesteś bezpieczny, o ile nie wyjdiesz albo nie otworzysz okna. - Sprawdziła zamknięcia okien. - To będzie bardzo trudne, Rafi - powiedziała, odwracając się do niego.

- Wiem, że będzie. Ale musisz zrobić dokładnie to, co mówię. Obiecuj, że tak zrobisz.

- Obiecuję, mamusiu.

- Tu nie dają jałmużny, siostró. Tracisz czas. - Mężczyzna mijający bramę pałacu Mendozów rzucił te słowa do zakonnicy, a potem ruszył swoją drogą. Sofia zaczęła, aż zniknie z pola jej

widzenia, i rozejrzała się, by mieć pewność, że nikogo innego nie ma w pobliżu. Dawno już zapadł zmierzch i Calle Averroes była pusta.

Zadzwoiła. Żadnego efektu. Zadzwoiła raz jeszcze. Kiedyś, przed sześciu laty, stała tutaj i próbowała dostać się do środka, a w końcu odeszła zrezygnowana. Dziś nie odejdzie. Zadzwoiła po raz trzeci. Mosiądz dzwonka był tak zmatowiały, że aż czarny, a sznurek tak przegniły, że został jej w dłoni. Sofia odrzuciła go z obrzydzeniem i załomotała w drzwi pięścią.

Na wysokości oczu wycięty był w bramie judasz mniej więcej wielkości dłoni. Otworzył się. Sofia dostrzegła część twarzy, zgorzkniałą, z obwisłą szczęką, i oczy o tępym i całkowicie obojętnym spojrzeniu. - Tak, o co chodzi? My tu nie mamy nic do zakonnicy.

- Muszę widzieć się z hidalgiem.

- Hidalgo z nikim się nie widuje. Odejdź.

Mężczyzna już chciał zamknąć maleńkie drzwiczki, ale Sofia przycisnęła swoją twarz do otworu. - Zaczekaj, posłuchaj mnie

- wyszeptała natarczywie przez czarny welon, jej głos zabarwiony był groźbą. - Jeśli mnie nie wpuścisz, rzucę na ciebie klątwę. Wypadną ci wszystkie włosy, potem zęby, potem odpadną ci ręce i nogi, i w końcu przyrodzenie. - Dostrzegła przerażenie na twarzy służącego, jeszcze zanim skończyła opisywać potworności, które mu się przytrafiają.

- Matko Boska, nie jesteś zakonnicyą, jesteś diabłem.

- Wiedźmą. I przeklnę cię. Już zaczynam przeklinać - wymamrotała coś pod nosem.

- Ay, que malsuerte! Nie, zaczekaj... Już otwieram. Widzisz, robię to...

Nie na darmo przez ostatnie trzy lata spędziła tyle czasu z prostymi hiszpańskimi wieśniakami. Byli bardziej zabobonni niż Fanta, Zocali i reszta plemienia razem wzięta. Wemknęła się do Patio del Recibo,

zanim otworzył bramę na całą szerokość. - Szybko, zamykaj. Dobrze, teraz powiedz mi, gdzie jest hidalgo?

- Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Pałac jest bardzo duży. On chodzi z jednego pokoju do drugiego. Czasami nie widuję go przez parę dni.

- No dobrze, znajdę go. Przestań podrygiwać jak ryba w beczce. Posłuchaj mnie, czy jest tu jeszcze jakaś służba?

- Nie, hermana, nie. Tylko ja, przysięgam.

- Dobrze. Chcę, żebyś wyszedł stąd na jakiś czas.

- Wszedł? Dlaczego miałbym wyjść? To mój dom, ja tu mieszkam. Nie mam dokąd pójść.

- Tak, rozumiem, dlatego tu jesteś. Dach nad głową i nic do roboty. - Rozejrzała się po sięgającym kolan śmietniku, w które zamieniło się patio. Nazbierało się tego przez wiele lat; kawałki papieru, opadłe liście i połamane gałęzie tworzyły paskudne rumowisko, w którym przekopano nierówną ścieżkę od drzwi do głównej bramy. Chwasty rozsiały się w śmieciach i tkwiły po każdej stronie prowizorycznego szlaku. - Odejdź - powtórzyła Sofia. - Możesz wrócić po północy.

Służący wciąż się wahał. - Ale...

- Idź albo rzucę klątwę. - Otworzyła drzwi i wypchnęła go za nie, ignorując pomrukiwane pod nosem protesty. W zamku tkwił wielki przerdzewiały klucz, Sofia przekręciła go i schowała do kieszeni. Potem odetchnęła głęboko. Dokąd na początek? Nie było wyboru. Sofia podeszła do pierwszych drzwi, które zobaczyła.

Dom był nieprawdopodobnie zapuszczony. Niegdyś wspaniałe zasłony zwisały teraz w strzępach z potłuczonych okien, ale dzięki temu wpuszczały przynajmniej światło księżyca do ogromnych pokoi. To, co zobaczyła w mlecznych odblaskach, zmroziło jej duszę. Zdawało się jej, że wędruje po świecie z sennych koszmarów.

Pajęczyny zwisały z lichtarzy, w których ostatnia świeczka wytopiła się przed wielu laty. Większość mebli była rozrzucona i połamana, poślacane oparcia i nogi odrabano do palenia. Tapicerki sof i krzeseł były podziurawione, a gryzonie wyszarpały wyściółkę z końskiego włosia. Usłyszała delikatne chrobotanie szczurów umykających przed nią i zdała sobie sprawę, że to one złupiły resztki twierdzy Mendozów.

W ogromnym salonie czuć było odór zdechłego szczura. Sofia zasłoniła sobie usta i zwalczyła chęć, by odwrócić się i uciec. Nie było ucieczki, przypomniała sobie, ani dla niej, ani dla Rafaela. Powstrzymała mdłości, opanowała drżenie nóg i ruszyła dalej.

Przez ponad dwadzieścia minut błąkała się po tych koszmarnych wnętrzach, aż w końcu znalazła Roberta.

Był w małym pokoju, pod którego sufitem biegł fryz z liści akantu. Siedział na podłodze i patrzył prosto przed siebie. Najwyraźniej nic nie widział ani nie słyszał. Ze wszystkich strasznych rzeczy, które widziała tego wieczoru, ta była najgorsza. Sofia była zdruzgotana. Cała jej siła i zdecydowanie ulotniły się na jego widok. Jeśli to był Robert, jej marzenia były koszmarami, a nadzieja farsą.

W ciągu niespełna siedmiu lat młody, męski Anglik, który zawładnął jej ciałem i duszą, stał się starcem. Jego włosy i broda były białe, długie i przerzedzone, ciało chude i przygarbione, odzież niechlujna. A i rozum najwyraźniej w nie najlepszej kondycji. Robert, którego znała i kochała, nie mógł mieć nic wspólnego z tą spękaną skorupką.

Przymknęła oczy, potem znowu je otworzyła. Wciąż tu był, wciąż wpatrywała się w ścianę okrutna karykatura tego mężczyzny sprzed lat. Uznała, że powinna odejść. Tutaj nie było dla niej żadnej nadziei. Na tych ruinach nie mogła zbudować dla swego dziecka żadnej przyszłości. „Czeka cię wspaniała przyszłość.” Słowa Fanty wypowiedziane wiele lat temu brzmiały jej w uszach. Wspaniała przyszłość. Jeśli nie tutaj, to gdzie? Jeśli nie teraz, to kiedy?

- Robercie - powiedziała cicho. - Robercie, spójrz na mnie.

- Przez kilka sekund nawet się nie poruszył. Powtórzyła jego imię.

- Robercie, słyszysz mnie?

W końcu odwrócił do niej twarz. Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć. Jego oczy były czarnymi dziurami; dwie głębokie linie biegły od nosa do podbródka. Potargana broda zakrywała dolną połowę twarzy. Ale głos - Matko Boska - głos był ten sam.

- Oczywiście, że cię słyszę. Kim jesteś? Jak dostałaś się do środka?

Zwyczajne pytanie zadane zwyczajnym tonem i tym głębokim, donośnym głosem, którego nigdy nie zapomniała. Gdzieś w duszy Sofii zajaśniała iskierka nadziei i odrodziło się jej zdecydowanie. Cokolwiek dolegało Robertowi, nie był szalony. Nie odpowiedziała mu od razu. Przeszła przez pokój i stanęła przed nim, podniosła welon i odrzuciła go ponad kornetem, który skrywał jej głowę. - To ja, Sofia, Robercie. Muszę z tobą porozmawiać.

Podniósł na nią wzrok, mrużąc oczy w mroku. Czy coś błysnęło w jego oczach, jakiś cień troski wygrzebany z przeszłości? Nie miała

pewności, to trwało zbyt krótko. - Sofia? - W zmęczonym głosie nie było żadnych emocji. - Tak, to ty, prawda? Zostałaś zakonnica? To nadzwyczajne. Tak czy owak, obawiam się, że nie mam ci nic do powiedzenia. Odejdź, siostrzo Sofio.

- Nie, nie odejdę. Mamy sobie bardzo dużo do powiedzenia, Robercie.

Nie odpowiedział; zamiast tego odwrócił głowę i krzyknął: - Indalencio!

Niemal zaśmiała się głośno z radości i nadziei. Krzyczał. Był zirytowany, władczy, wymagający.

- Indalencio, przytaskaj tu swoje bezużyteczne, stare cielsko! Chcę, żebyś pokazał tej zakonnicy drogę do wyjścia.

- Marnujesz oddech - powiedziała Sofia. - Jeśli Indalencio to twój służący, nie odpowie. Odesłałam go, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

- Doprawdy? Niedobrze. Nie powinnaś była. Ten stary złodziej jest niezły do czuwania na marach. - Oparł się o ścianę i przymknął oczy, iskra życia znowu zgasła. - Jestem zmęczony. Zostaw mnie.

Uklękła przy nim i chwyciła go za ramiona, raz jeszcze dziwiąc się, że zrobił się taki chudy i wątły. Ale to teraz nie miało znaczenia, bo знаła prawdę i wiedziała, co musi zrobić. Potrząsnęła nim tak zawzięcie, na ile wystarczyło jej śmiałości. Na Boga, mógł się złamać w jej rękach. No i dobrze, gdyby nawet, niech tak będzie, w tym stanie jest bezużyteczny i dla siebie, i dla kogokolwiek innego. - Posłuchaj mnie, do diabła! Wiem, że ukrywasz się tu od lat, cała Hiszpania o tym wie. Ale to koniec. Jesteś Robertem Mendozą i nie możesz już przed tym uciekać. Ja ci nie pozwolę. Jesteś coś winien Mendozom, którzy przyjdą po tobie.

Wydał jakiś dźwięk pomiędzy śmiechem a jękiem. - Po mnie nie przyjdzie żaden Mendoza. Jestem ostatni z tej linii, Sofio. Ostatnie tchnienie potężnych Mendozów z Kordoby. Żałosne, prawda? Cała ta chwała, a potem ja.

Uderzyła go w twarz. Raz, potem drugi. To były mocne uderzenia, które boleśnie odbijały się na jej dłoni i zostawiły czerwony ślad na jego policzku. Poza tym, że poruszyło się jego ciało, nie zareagował. - Jesteś obrzydliwy. Twoje uzalanie się nad sobą jest chore. Ale zamierzam cię uratować wbrew tobie, Robercie. A teraz

wstawaj. - Wstała, pociągając go za sobą. - Gdzie jest twoja sypialnia, twoja garderoba?

Robert nie odpowiedział, ale ruszył za nią, potulny jak dziecko. Zupełnie jakby wojowało w nim dwóch przeciwników - mężczyzna, którym był, i duch, którym się stał. Przez chwilę duch władał. Wyprowadziła go z pokoju do patia z kamiennymi filigranowymi parawanami, próbując zdecydować, który kierunek obrać. Wzrok jej przykuł ruch w jednym z rogów. - Indalencio, to ty? Cóż, to twoje imię, prawda? Wyłaź stamtąd. Zrób coś pożytecznego, stary głupcze.

- Wróciłem, siostró. Ale tylko żeby ci pomóc. Nie przeklinaj mnie, proszę.

- Przestań jęczeć. I nie nazywaj mnie siostrą. Nie jestem zakonnicą. Gdzie jest sypialnia hidalga?

- On nie ma sypialni. To znaczy już nie ma. Po prostu chodzi sobie i śpi gdzie popadnie.

- Tak, tak, wiem. Zaprowadź nas do jego dawnej sypialni. Trzymała Roberta za rękę, kiedy Indalencio prowadził ich wąskimi schodami dla służby i długimi korytarzami. Jedyne światło dawał księżyc i świeczka, którą niósł, ale i tak wszędzie można było dostrzec brud i zniszczenie, choć trochę mniejsze niż widziane do tej pory. Lata zaniedbań okazały się łaskawsze dla prywatnych pokoi pałacu niż dla pomieszczeń na parterze, prawdopodobnie dlatego, że dwaj mężczyźni żyli tylko na dole i wyższe piętra niszczyły sobie w spokoju.

- Tutaj - powiedział Indalencio, zatrzymując się przed zawile rzeźbionymi dębowymi drzwiami. - To był jeden z pokoi hidalga.

Wciągnęła Roberta do środka. Potknął się za nią, jakby nieświadom tego, co się dzieje. Sofia zobaczyła następne drzwi, które musiały prowadzić do garderoby. - Czy jest tam wanna?

- Si, hetmana, znaczy seniorita.

- Przynieś wody. Gorącej, dużo. I mydło.

- Już, już zaraz - powiedział i zamilkł. - Ale nie mogę. Nie ma jak zagrzać wody, w piecu się nie pali.

- To rozpal, do cholery! Natychmiast, rozumiesz? - Skinął głową. - No to biegnij!

Indalencio oddalił się w pośpiechu, a ona odwróciła się do Roberta. - A teraz ściągnijmy te ohydne ciuchy.

Była prawie czwarta nad ranem, kiedy Sofia wróciła do Posada del Porto. Brama na ulicę była zamknięta i zaryglowana, ale kiedy

przycisnęła twarz do żelaznej kratki, zobaczyła Enrique'a siedzącego na dziedzińcu z Rafaelem w ramionach. Owinął go w koc i dziecko spało. - Pst - wydała ciche syknięcie. - Enrique, wpuść mnie.

- Dzięki Bogu. - Ostrożnie odłożył chłopca, potem pospieszył do bramy, by ją odryglować. - Bałem się o panią, donia Sofia. Tak długo pani nie było. A chłopczyk zaczął się bać. Nie wyszedł z pokoju, ale słyszałem, jak płacze. Więc kiedy gospodarz zamknął, poszedłem na górę i zniosłem go tutaj.

- Dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie przez te ostatnie tygodnie, Enrique. Ale teraz nie ma czasu na rozmowy. Idziemy stąd natychmiast. Zapomnij o powozie i koniach, możesz przyjść po nie rano. To niedaleko, możemy się tam dostać na piechotę.

Razem wyszli na ulicę, Sofia prowadziła, Enrique niósł Rafaela. Zanim opuściła pałac, wzięła klucz od bramy, która prowadziła do Patio de los Naranjos, i teraz wrócili do pałacu tą drogą. Indalencia nigdzie nie było widać. Zastanowiła się, czy uciekł w przerażeniu. Nieważne, jutro przemyśli kwestię służby. - Chodź tędy, Enrique. To miejsce to chlew, ale poradzimy sobie z tym później. Wejdz tymi schodami. Ostrożnie, są tak brudne, że można się pośliznąć.

- Nie pośliznę się, seniorka - odparł cicho Enrique. Wspaniała była ta jego Gitanita. Dziękował Bogu i wszystkim świętym, że rabusie w Caceres nie zabili go, że żyje, by wciąż jej służyć.

Wśród rumowiska wszędzie wałały się resztki świec. Ale Sofia i tak nie miała pojęcia, gdzie znaleźć krzesiwo. Księżyc już zaszedł, ale mieli światło gwiazd, by prowadziło ich przez korytarze. W jego ciemnoniebieskim blasku zauważyła, że ściany zdobią freski; pod warstwą brudu można było dostrzec cień drogocennych kolorów przedstawiających inny świat.

Doszli do rzeźbionych drzwi pokoju Roberta i Sofia zatrzymała się. - Zaczekaj chwilę. - Wydobyła inny klucz z głębokiej kieszeni czarnego habitu, uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Kiedy kapali Roberta, Indalencio przyniósł lampę, ale przestrzegł Sofię, że mała ilość oleju jest ostatnim paliwem w pałacu. Zostawiła ją zapaloną z knotem mocno przykręconym. Wciąż słabo migotała i dała jej wystarczająco światła, by mogła rozpoznać postać Roberta na wielkim łóżku. Był niespokojny, przewracał się i mruczał przez sen. Ale był tu. Sofia zamknęła drzwi, lecz już nie przekręcała klucza.

Przeszli jeszcze kilka kroków szerokim korytarzem. - Rafael i ja będziemy spać tutaj. - Otworzyła drzwi do następnego dużego pokoju, który wytropiła przed powrotem do posady. Snop światła wpadał z korytarza, prowadząc ją upiorną ścieżką. Pokój był urządony niemal całkowicie na czarno, ale było tu łóżko z baldachimem i pościel, choć zmięta i pożółkła ze starości, to w miarę czysta.

Enrique przesunął się między kotarami i położył śpiące dziecko na pościeli. - Mamusiu - wymruczał Rafael. Sofia pochyliła się i ucałowała go w policzek.

- Jestem tu, aniołku. Śpij już. - Wyprostowała się i odwróciła do Enrique'a. - Na końcu korytarza jest mały pokój. Możesz tam spać.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Kiedy wyszedł z pokoju, który donia Sofia wybrała dla siebie i swojego syna, zdjął płaszcz, zrobił sobie z niego poduszkę i położył się przed drzwiami.

Kiedy Sofia się obudziła, wciąż było ciemno jak w nocy. Ale to nie mogła być noc. Sofia wstała, ostrożnie, żeby nie obudzić Rafaela, który zwinął się przy niej w małą piłeczkę. Widziała po lewej stronie nieśmiałą linię światła i ruszyła w tym kierunku, z wyciągniętymi do przodu ramionami, by prowadziły ją po obcym pokoju. Szarpnęła zasłonami blokującymi odrobinę światła, a one rozdzieliły się pośród obłoku kurzu. Do pokoju wdarło się złote światło słoneczne. Sofia westchnęła głęboko. Mimo brudu wewnątrz było wspaniałe.

Wyglądała przez parę oszklonych drzwi na balkon nad patiem, poza którym rozciągał się widok z mnogością narożników, ścian, gzymsów i szczytów Palacio Mendoza. Czerwone dachówki lśniły w słońcu. Gdzieś tam drobinki zielonych mchów i maleńkich sukulentów ulokowały się w pęknięciach tynku i utworzyły intrygujące wzory. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Kwiaty i drzewa w patiu poniżej dawno temu uschły i umarły, ale pomiędzy ich resztkami dostrzegła mgnienie fontanny w jakimś rzadkim okazałym niebieskim kamieniu. Pod Sofią, trącając poręcz balkonu, zadziwiająco wytrwała bugenwilla tworzyła plamę żywej purpury i zieleni.

- Mamusiu?

Odwróciła się do łóżka. Rafael siedział i przecierał oczy. - Dzień dobry, kochanie.

- Gdzie jesteśmy, mamó?

- W pałacu. W twoim pałacu, Rafi. Chodź, zobacz. - Zgramolił się z wysokiego łóżka i dołączył do mamy. Sofia podniosła go.

- Spójrz, czy nie jest wspaniały?

- Jest bardzo duży - rzekł jakoś niepewnie. - To naprawdę pałac?

- Tak. I naprawdę twój.

- To ja jestem diukiem?

- Nie, moje kochanie. Nie jesteś diukiem, jesteś księciem.

- Zakręciła synkiem i odstawiła go. - Rozejrzemy się trochę, dobrze? Możemy zacząć od tego pokoju.

Sofia szybko odkryła, że czarne zasłony spadają, jeśli za nie pociągnąć. Za nimi były mozaiki i obicia ścienne. Zasłony ochroniły ostre czerwienie, soczyste błękity i delikatne żółcie. - To na pewno jedyna rzecz w tym pałacu nie okryta sześciolatnim kurzem. Spójrz, Rafi, ciekawe, co jest za tymi drzwiami.

Jedna ze ścian zabudowana była drzwiczkami, a w ich małych zamkach były klucze. Sofia otworzyła drzwi, zobaczyła rzędy sukien i pisnęła z uciechy. - Są trochę niemodne, ale wspaniałe. Nie sądzisz, Rafi?

- Bardziej mi się podobają niż ta czarna sukienka, którą masz na sobie, mamusiu.

- Mnie też. Od razu się przebiorę.

Sofia wybrała blad różową suknię obrębianą ciężką białą koronką. Była najskromniejsza ze wszystkich i dlatego też najmniej niemodna. Na toalecie w kącie znalazła szylkretowe szczotki i grzebienie, postanowiła więc ułożyć sobie włosy. Alabastrowy słoik, niegdyś zawierający wosk pszczeli, teraz był pusty, nie mogła więc zaczesać ich gładko do tyłu. Kilka pasm delikatnych loków wymknęło się z koka na karku i zwinęło wokół jej twarzy. No i dobrze, nic lepszego nie mogła zrobić, a tak nie wygląda najgorzej. - No, Rafi, co o tym myślisz?

- odwróciła się, by usłyszeć pochwałę syna, ale ten zniknął. - Rafi, gdzie jesteś?

- Tutaj. Zobacz, zerwałem ci trochę kwiatów do włosów. - Wyszedł z balkonu, ściskając gałązkę purpurowych bugenwilli.

- Rafi, jak po nią sięgnąłeś?

- Wywiesiłem się przez poręcz. Nie martw się, jestem bardzo dobrym wspinaczem.

Mówił z tak grobową powagą, że musiała się roześmiać. Wykonała głęboki ukłon i wzięła kwiaty z jego dłoni. - Dziękuję, książę Rafaelu. Będę nosić je z dumą.

Właśnie upięła purpurowe kwiecie za uchem, kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Sofia natychmiast przypomniała sobie o realiach, które czekały na nią w tym spustoszonej miejscu.

- Proszę. - Wzięła głęboki oddech i przygotowała się na coś, co mogło nastąpić.

- Donia Sofia, znalazłem trochę wody, kawy i mleka. Pomyślałem o pani i dziecku. - Enrique trzymał w rękach tacę z dwiema filiżankami. Zamilkł na jej widok. - Proszę wybaczyć mi śmiałość, seniorita, ale wygląda pani bardzo pięknie.

- Dziękuję, i dziękuję za kawę. Widziałeś jeszcze kogoś?

- Nikogo. A senior, który spał tam - skinał głową w stronę pokoju Roberta - nie pojawił się. Nasłuchiwałem i słyszałem, że oddycha, ale nie wszedłem.

- Bardzo dobrze, Enrique. Zostaniemy tu przez jakiś czas. Może długi czas. A ani Rafael, ani ja nie potrafimy żyć w takim paskudztwie. Chcę, żebyś poszedł do miasta i znalazł jakieś kobiety. Przyrowadź je tu, żeby posprzątały. Lepiej żebyś zorganizował też jakieś jedzenie i upewnił się, że przynajmniej jedna z nich jest przyzwoitą kucharką. Potem zatroszczymy się o majordomusa i lokaja. Teraz potrzebujemy tylko kobiet, które wiedzą, jak szorować.

Wóznica odchrząknął. - Donia Sofia, proszę wybaczyć, ale...

- Tak?

- Ale co z pieniędzmi? One będą oczekiwać, że się im zapłaci, z góry. Gdybym miał cokolwiek, należałoby to do pani, donia Sofia, ale nie mam. Ci nędzni złodzieje w Caceres zabrali mi ostatniego reala, a wydaliśmy wszystko, co książę dał nam na podróż.

- W tej chwili nie mam pieniędzy - przyznała Sofia. - Gdybym była lepiej przygotowana, zanim pojechalibyśmy do Caceres, byłoby inaczej. A skoro tak... - Wzruszyła ramionami. - Ale nie będziesz potrzebował pieniędzy, Enrique. Powiedz im, że idą pracować do Palacio Mendoza i że dostaną mnóstwo pieniędzy. Mendozowie robią reale z powietrza, każdy to wie.

Enrique nie wyglądał na przekonanego, ale za to był zdecydowany. - Spróbuję, donia Sofia. - Odwrócił się do wyjścia. W drzwiach stał mężczyzna i obserwował ich. Był wysoki i chudy jak

strach na wróble, a białe włosy i broda czyniły go podobnym do jakiegoś starożytnego proroka. Wpatrywał się w donię Sofię i w dziecko. Enrique stanął między nimi a przybyszem, a wyglądał przy tym, jakby żałował, że nie ma broni.

- Wszystko w porządku, Enrique - powiedziała Sofia. - To don Robert, hidalgo. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Idź i rób to, co powiedziałam.

Zaczekała, aż ucichły kroki woźnicy, potem powiedziała. - Dzień dobry, Robercie. Czujesz się lepiej po kąpielu?

- Gdzie czarny habit? Myślałem, że jesteś zakonnica.

- Mówiłam ci, że nie jestem. To było przebranie. Nie wiem, czyja to suknia, ale mam nadzieję, że jej właścicielka nie będzie miała nic przeciwko temu, że ją pożyczyłam.

Roześmiał się, ale nie był to przyjemny dźwięk. - Należała do donii Carmen. To był jej pokój, ale jak wiesz, ona od dawna nie żyje, jak reszta Mendozów. Kim jest ten chłopiec?

Rafael wiercił się za Sofią, wyglądając spoza jej spódnicy na obcego o straszliwym wyglądzie. Sofia wypchnęła go do przodu. - Mój syn, Rafael Pablo Mendoza. Rafi, to twój kuzyn Robert.

Robert potrząsnął głową. - Kłamiesz. Pablo nie miał syna.

- Owszem, miał. Oto on.

- Nie wierzę ci. Pablo wspomniałby o nim.

- To, czy mi wierzysz, niewiele zmienia. Rafael urodził się parę miesięcy po śmierci Pabla. Mam papiery, żeby to udowodnić. Podpisane przez księdza.

Robert długo przyglądał się chłopcu, potem wzruszył ramionami.

- Teraz nie ma to znaczenia.

- Owszem, ma. - Sofia zrobiła krok ku niemu. - To wszystko tu to dziedzictwo Rafaela. Nie masz prawa tego niszczyć.

- To wszystko? Rozsypujący się pałac, nazwisko okryte hańbą? Sofio, ani chybi jesteś najgłupszą kobietą w Hiszpanii. Dlaczego nie zmienisz nazwiska swojemu synowi? Przynajmniej ochroń biednego małego bękarta od niesławy bycia Mendoza.

Sofia zeszywniała. Potem ucałowała Rafaela. - Zaczekaj tu, kochanie. Kuzyn Robert i ja musimy chwilę pogadać na osobności.

Wypchnęła Roberta z pokoju. Był postacią wyciętą z papieru, cieniem ludzkiego bytu. Zero oporu. Zatrzasnęła za nimi drzwi i tylko to ujawniło jej wściekłość.

- Ty nędzny, zakłamany, tchórzliwy łotrze. Nigdy więcej nie waż się nazywać mojego syna bękartem. On jest Mendozą, słyszysz? Mendozą! Nie potrzebuje żadnego innego rodowodu ani pieczęci zatwierdzającej, ani od człowieka, ani Boga. Na pewno nie od ciebie.

- Znowu go spoliczkowała, dwukrotnie, tak jak poprzedniej nocy, ale tym razem z wściekłości, nie z chłodnej kalkulacji.

Ale tym razem Robert zaprotestował. Chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał. - Wystarczy. Uderz mnie jeszcze raz, Sofio, a oddam ci, obiecuję. Przepraszam za to, co powiedziałem o dziecku. Nie dlatego, że to nieprawda, lecz dlatego, że powiedziałem to w jego obecności. Grzechy jego rodziców nie są jego winą.

Wiedziała, że jego uścisk jest słaby. Łatwo mogła się z niego wyrwać. Jego gest był odruchem, reakcją, której kiedyś się nauczyła. Ale to był pierwszy znak, że on wciąż pamięta, że kiedyś był mężczyzną, i to uradowało jej serce. - Dobrze, Robercie - powiedziała cicho. - Przepraszam, że cię uderzyłam. Czy możemy porozmawiać o przyszłości?

- Ja nie mam przyszłości.

- Ale ja mam i mój syn też. Jesteśmy tutaj i nie możemy wyjechać. Nie mamy dokąd pójść. Mój dom jest w Madrycie i teraz nie mogę tam wrócić. Kiedy Anglicy nas wyzwolą, to cóż, zobaczymy.

Poderwał głowę i przyjrzał się jej, coś w jej słowach poruszyło dawne wspomnienia, stare niepokoje. - Więc Hiszpania oczekuje, że zostanie wyzwolona przez Anglików? Jakie dziwne jest życie - dodał tępo, puścił jej rękę i odwrócił się, by odejść.

- Anglia oswoodzi Hiszpanię - upierała się Sofia. Chciała wciągnąć go w jakąkolwiek dyskusję, żeby tylko zatrzymać go przy rzeczywistości i odegnać stare duchy. - Wellington wygna Francuzów. A partyzanci mu w tym pomogą.

Robert wzruszył ramionami. - Może. Podejrzewam, że Hiszpania rozczaruje się Anglikami tak jak Francuzami czy innymi zdobywcami. A propos, gdzie jest Indalencio?

- Nie widziałam go. Pewnie uciekł, zabierając ze sobą Bóg wie co. Podejrzewam, że on cię przez całe lata okradał, Robercie. Sprawdziłam stajnie ostatniej nocy i wygląda na to, że zostały tylko dwa konie, resztę sprzedał.

- To nie ma znaczenia. Nigdzie się nie wybieram. - Robert ruszył do swojej sypialni.

- Robercie, jeszcze chwilę, proszę. Zgadzasz się, żebyśmy zostali tu z Rafaelem?

- Jeśli chcesz. To nie ma znaczenia.

- To ma ogromne znaczenie. Przekonasz się w swoim czasie. Dogadaliśmy się więc, Robercie? Mam tu być panią, skoro nie ma nikogo innego?

Odszedł bez odpowiedzi.

Enrique wrócił w ciągu godziny. Za nim przybyła do pałacu mała armia kobiet. Musiało ich być co najmniej trzydzieści. - Matko Boska, dlaczego aż tyle, Enrique?

- Nalegały.

Sofia przejrzała rekrutki stojące pod kasztanowcem w Patio del Recibo. Każda z nich coś niosła. Przeważnie kwiaty, ale jedna miała ceber pełen wijących się ryb, a inna dzierżyła w ramionach kwiczące prosię.

- Chyba nie rozumiem - wymruczała Sofia.

- To dla pani, seniorita. Jak powiedziałem, że hidalgo potrzebuje kobiet, żadna się nie kwapiła. Upierały się, że ktoś rzucił na niego urok i teraz jest obłąkany. Mówiły, że wejście do Palacio Mendoza przynosi pecha. No to powiedziałem im, że tam jest Gitanita, a wtedy one wszystkie chciały iść. I coś pani przynieść. - Machnął ręką w stronę kobiet. - Większość ich mężczyzn to geryłasi. Wszystkie chcą panią poznać, donia Sofia.

Musiała pozdrowić każdą osobiście, ucałować w oba policzki, wymruczeć słowo o tym, jak dzielni są ich mężowie, ojcowie, bracia i synowie. Minęła godzina, nim ten obrządek dobiegł końca. Jeszcze w jego trakcie jedna z kobiet przyciągnęła uwagę Sofii. Teraz do niej podeszła. - Jak pani ma na imię, seniora?

Kobieta dygnęła. Była potężna, wzrostu mężczyzny, a w ramionach tak szeroka jak Robert w dawnych czasach. Ale to nie jej wielkość przemówiła do Sofii; w ciemnych oczach dostrzegła błysk inteligencji, a w silnej szczęce znamię przewodnictwa. - Mówią mi Angelina, seniorka.

- Dobrze, Angelino. Chciałabym, żebyś objęła tu przywództwo. Tu jest nieprawdopodobnie dużo do zrobienia. Zdaję sobie sprawę, że

to potrwa długo. Ale przynajmniej będzie łatwiej, jeśli ktoś będzie tym kierował.

- Si, seniorca - rzekła Angelina uroczyście. Podkasła spódnicę długiej czarnej sukni i zawiązała ciasniej szarfę w pasie. - Bueno, mujeres, ahora comenzamos a trabajar.

Angelina wydała szybkie instrukcje, kobiety rozbiegły się po pokojach na parterze pałacu i wszczęły szturm czyszczenia, polerowania i wietrzenia. Dzięki Angelinie było to zorganizowane jak kampania godna Wellingtona czy Napoleona. Sofia chodziła za nimi i uradowana zauważyła, że pośród gratów są meble warte ocalenia. Były one starannie oddzielane od wielkiego stosu tych, które nadawały się jedynie na drewno opałowe.

Rafael biegał z pokoju do pokoju, oczarowany dziwami pałacu. Znalazł sobie wyjątkowo radosną zabawę - siadał okrakiem na hebanowej poręczy wielkich schodów w foyer i zjeżdżał aż do marmurowego filara, który kładł kres rozrywce.

Młoda kobieta zamiatała marmurowe stopnie. Patrzyła na dziecko z czułością. Czy gdziekolwiek indziej na świecie kobiety kochają tak dzieci jak w Hiszpanii? - zastanowiła się Sofia. Dziewczyna poczuła na sobie wzrok Sofii i zapytała nieśmiało: - Czy to syn z tej rodziny, seniorita? Nie wiedziałam, że w pałacu są jakieś dzieci?

Sofia zamierzała podawać go za dalekiego krewnego Mendozów. Teraz, patrząc na przejętą twarz dziewczyny, widząc w jej oczach szacunek dla legendy Gitanity, nie mogła tego zrobić. - Ma na imię Rafael. To mój syn.

- Tak myślałam - powiedziała dziewczyna. Rafael zakończył kolejną podróż po poręczy, a ona chwyciła jego dłoń, pomogła mu zejść i zmierzwiła jego kręcone włosy. - Wygląda jak pani, seniorita. Niech Bóg da, by urósł tak dzielny i przyniósł pani tyle chwały, co pani przyniosła Andaluzji.

A ojciec Alfonso tak bardzo martwił się, że Gitanita wypadnie z łask. Może mężczyźni by ją obwiniali, ale na pewno nie kobiety. I dopilnują, żeby ich mężowie też się tak zachowali.

Pojawiła się Angelina. - Seniorca, dziś i może jutro posprzątamy tylko dół. Jest tyle do zrobienia, reszta będzie musiała poczekać.

- Dobry plan, zgadzam się.

- Ale gdzie jest pani pokój, seniorita? Musimy go natychmiast posprzątać.

Sofia zaprowadziła Angelinę na górę do pokoju, w którym spędziła z Rafaelem minioną noc. - Dobrze - powiedziała kobieta. - Zaraz przyślę tu kogoś. - Rozejrzała się dookoła, wodząc oczami po wielu drzwiach prowadzących z korytarza. - Seniorita, hidalgo...

- Odpoczywa - odpowiedziała Sofia na nie zadane pytanie. - I, Angelino, on nie jest obłąkany. To nikczemne pogłoski. Musisz zadbać, by ustały. Hidalgo nie rzuca uroków. Wiesz, że byłam Cyganką i znam się na tych rzeczach. Był chory, to wszystko. A teraz powraca do zdrowia.

- Chwała Najświętszej Paniencie i wszystkim świętym - powiedziała kobieta. Przeżegnała się sumiennie, ale Sofia wiedziała, że zrobiła to bez przekonania. Dużo czasu i wysiłku będzie musiał Robert poświęcić, żeby znowu zasłużyć na szacunek mieszkańców Kordoby.

- Może dołączy do nas na lunch - rzekła Sofia. - Wtedy będziesz mogła sama zobaczyć, że nie jest szalony. Zjemy lunch, prawda? - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że jest głodna.

- Ay, mi madre! Za kogo mnie pani bierze, seniorita? Oczywiście, że będzie lunch. Właśnie teraz przygotowuje go najlepsza kucharka Kordoby. Ma na imię Puri i w kuchni jest jak anioł. Poza kuchnią to, cóż, różnie bywa. Ale proszę się nie martwić, zadbam, żeby Puri się zachowywała.

- Polegam na tobie. Dobrze, powiem hidalgowi, że posiłek będzie o trzeciej. Czy to możliwe?

- Cokolwiek pani sobie życzy, jest możliwe, Gitanito - odpowiedziała Angelina i oddaliła się z godnością, by wydać instrukcje odnośnie sprzątanego pokoju seniority i podania jej lunchu.

Sofia podeszła do drzwi Roberta i otworzyła je. Pokój był pusty. Popędziła na dół i ruszyła przez pokoje. Nie było go nigdzie w głównym skrzydle. Pamiętała, gdzie znalazła go poprzedniej nocy, ale próbując tam trafić, dwukrotnie zgubiła drogę. W końcu weszła do patia z kamiennymi parawanami i małego pokoju z fryzem z liści akantu i tam znalazła Roberta. Znalazła tu też skuloną starą kobietę.

- Sofio, skoro jesteś tu, jak sądzę, zarządzającą, bądź tak miła i powiedz tej starej kobiecie, że może czyścić wszystko, co jej się podoba, ale niech nie dotyka tej ściany.

- Której ściany?

- Tej, ze znakiem.

Popatrzyła tam, gdzie wskazywał palcem. - To bardzo stary brud, Robercie. Wymaga dobrego szorowania i trochę świeżej farby.

Zrobił krok ku niej. - Posłuchaj mnie, możesz robić, co ci się podoba, mówiłem, że to nie ma znaczenia. Ale ten znak to nie jest brud, przynajmniej nie tego rodzaju, co myślisz. On zostaje. - Unieruchomił ją wzrokiem, który w minionych latach stracił swą jasność i bystrość. Czy zdawało się jej tylko, że widzi w nich teraz cień dawnego żaru? - Przysięgnij mi, że nie pozwolisz nikomu dotknąć tego znaku

- powtórzył.

Nie, nie łudziła się. Jemu naprawdę bardzo zależało na tym szczególnym życzeniu. Dzięki Bogu, że na czymkolwiek mu jeszcze zależało.

- Oczywiście, będzie jak mówisz, Robercie. - Zwróciła się do kobiety wciąż stojącej w kącie z kubłem i szmatami. - Seniora, słyszała pani, co mówił hidalgo. Ta ściana nie ma być myta. Może pani tylko ją odkurzyć. I bardzo ostrożnie, dobrze? Takie są polecenia hidalga.

- Si, seniorita. - Kobieta wróciła do swojego zadania.

- Robercie, o trzeciej będzie posiłek. Przyłączysz się do nas? Potrząsnął głową i odszedł - już bez słowa.

Nie wiedziała, gdzie jest kuchnia, ale poprowadził ją węch. Zapach smażonego mięsa roznosił się po korytarzach. Trafiała do najdalszego końca wschodniego skrzydła. Otworzyła podwójne drzwi i znalazła się w ogromnym pokoju z czerwoną kafłową podłogą. Parujący kocioł stał na palenisku w kącie. Były tu cztery wielkie paleniska, każde wystarczająco duże, by upiec wołu, ale tylko pod jednym było napalone. Na rożnie przed nim okręcał się wolno prosiak, pokapując aromatycznym tłuszczem w rynkę i obracając się w mahoniowy brąz.

Kobieta o włosach szpakowatych, ale ciele dziewczęcym, stała przy sosnowym stole, dzierżąc gigantyczny nóż nad stosem kapusty. - Ty musisz być Puri - powiedziała Sofia.

Kucharka odwróciła się, natychmiast odrzuciła nóż i dygnęła.

- Si, Gitanita, a mi me Ilaman Puri.

- Twoje jedzenie pachnie wspaniale.

Kiedy próbowała odgadnąć wiek kucharki, musiała zdecydować, czy zdradzają go włosy czy figura. Wybrała włosy. Puri nie mogła być młodą kobietą.

Zastanowiła się, co miała na myśli Angelina, kiedy powiedziała o niej, że poza kuchnią jest diabłem. Na szczęście było to zmartwienie Angeliny. - Puri, chcę, żebyś przygotowała tacę dla hidalga. Szybko dochodzi do siebie, ale nie może nam jeszcze towarzyszyć przy posiłkach. Przygotuj dla niego jedzenie i niech ktoś zanieś je do jego pokoju. Angelina wie, gdzie to jest. Rób tak przy każdym posiłku, dopóki nie wydam ci innych dyspozycji. Jeśli go tam nie będzie, niech zostawi tacę przed drzwiami.

Sofia przeszła wolno po kuchni, oglądając wszystko po kolei. Była z Pablem w wielu wielkich domach, ale nigdy w pomieszczeniach gospodarczych. Były tu całe pokoje wypełnione bielizną stołową i pościelową. Otworzyła drzwi, oczekując, że odkryje jeszcze jedną spiżarnię, a znalazła zamiast tego głęboką szafę z półkami, na których stały wszelkiego rodzaju butelki, dzbany i fiolki. To była pałacowa apteka. Jej zasoby pokrył kurz i pajęczyny, ale obrazki, które określały zawartość każdego pojemnika, były nietknięte.

Podniosła szklaną butelkę, zdmuchnęła kurz i zobaczyła prosty rysunek rodzącej kobiety. Wyciągnęła korek i powąchała lepka ziołową ciecz, która wciąż pozostawała na dnie buteleczki. Zapach był znajomy. Przed laty patrzyła, jak Fanta miesza zioła i daje je kobietom w czasie porodu i tamte pachniały jak to. Wielki słoik z obrazkiem pióra zawierał sproszkowany węgiel drzewny do robienia atramentu, inny został oznaczony obrazkiem skrzydlatego insekta i zawierał sproszkowane zielone liście rośliny, której nazwy nigdy nie знаła, ale zapach powiedział jej od razu, że to odstraszacz moli.

Sofia uśmiechnęła się, zamknęła szafę i poszła dalej. Uspokajało ją oglądanie tego wszystkiego, wewnętrznego życia niegdyś świetnego Palacio Mendoza. Mogła nadzorować wielką posiadłość i przywrócić ją do życia, ponieważ potrafiła ją zrozumieć. Wiedza ta dawała jej poczucie spokoju.

Znalazła drzwi nieco różniące się od pozostałych. Były niższe od reszty, zbudowane z drewna dziobatego ze starości i miały też zamek inny niż reszta zamków w pałacu. Przez chwilę kusilo ją, żeby zobaczyć, dokąd prowadzą. Nie teraz, zdecydowała. Któregoś dnia

sprawdzi. Nie spieszy się. Zrobiła porządek ostatniej nocy i dziś - z Robertem, niech Bóg mu pomoże, i z pałacem. Jakoś przywróci do zdrowia i zabezpieczy dziedzictwo Rafaela. Póki co są bezpieczni. Na razie to wystarczy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dziecko stanowiło dla Roberta zagadkę. Przez lipiec i sierpień, długie, gorące miesiące, Robert je obserwował. Szpiegował Rafaela po tajemnych kątach i zza ukrytych drzwi. Czasami próbował obliczyć, ile lat musiałby mieć syn Pabla urodzony po jego śmierci. Nie mógł wziąć się za bary z tym problemem; jego umysł był zmacony, wyszedł z wprawy, nie był przyzwyczajony do borykania się z liczbami albo postępowaniem czasu. Dziesięć? Nie, siedem, a może osiem. Ile czasu minęło, odkąd Pablo się powiesił? Robert nie mógł sobie przypomnieć. Ale dziecko nie wyglądało aż na siedmiolatka, a na pewno przynajmniej tyle minęło od śmierci Pabla. Sofia musi kłamać.

Pewnego dnia chłopiec natknął się na niego. Chwilę patrzył, a jego oczy robiły się coraz większe ze strachu. Potem wymruczał „Dzień dobry, kuzynie Robercie” i uciekł.

Robert obserwował odwrót małej, gibkiej postaci. Przyłożył dłoń do twarzy, poczuł dziką, gęstą brodę i przesunął palcami po długich, splątanych włosach. Stał się potworem, który straszy dzieci. No i dobrze. Chłopiec był dla niego nikim, niech sobie będzie przestraszony.

Ale oczy Rafaela go prześladowały. Te brązowe oczy z cętkami ze złota były oczyma Mendozów. Sofia mówi prawdę, to jest syn Pabla. A może... Nie, to śmieszne. Nie skłamałaby w tej kwestii.

Tyle przemyśleń po latach bez myślenia przyprawiło go o ból głowy. Uciekł do swego pokoju, ale następnego dnia znowu obserwował Rafaela.

Przed laty, kiedy takie rzeczy miały znaczenie, Robert starannie wybrał swoją sypialnię. Ze wszystkich w pałacu tylko ta miała spiralne schody połączone z balkonem. Schody prowadziły do Patio del Incienso.

W dawnych czasach często schodził do Patia Kadzidel późną nocą, krążył wśród pachnących roślin i wdychał głęboko mocne perfumy. Kiedyś na środku rosło drzewo sandałowe, a ściany porastały róże piżmowe. Potem były gruzы, brud i martwota, a on przestał spać w swojej sypialni i chodzić po swoim ulubionym patiu. Potem przyszła Sofia. I dziecko. Teraz w Patio del Incienso była tylko surowa brązowa ziemia i parę brązowych gałązek z bladymi koniuszkami, które nosiły ślady niedawnego przycinania. Armia

kobiet powołała nieco mniejszą armię mężczyzn, a na czternaście pałacowych patiów przypuszczono atak.

Pewnego gorącego wrześnieowego popołudnia Robert postawił nieśmiało stopę na pierwszym stopniu schodów balkonowych, potem zatrzymał się i zobaczył mężczyznę grzebiącego w ziemi poniżej.

Był starym wieśniakiem, którego dekady andaluzyjskiego słońca przemieniły w ciemną, suchą śliwkę, ale miał wspaniałe ręce. Robert obserwował go, jak pracuje przy różach i drzewie. Mężczyzna przycinał je z miłością, widać było łączność duchową pomiędzy jego nożycami a roślinami, i jakoś przymilaniem się nakłaniał je do życia. Małeńkie pączki już nabrzmiewały. Kiedy przyjdą zimowe deszcze, wyrosną nowe liście, któregoś dnia może znowu będą tu kwiaty.

Ogrodnik pracował odwrócony plecami do Roberta. Klęczał przy skrawku nagiej ziemi pod niszą w murze. - Dobry wieczór, hidalgo - powiedział, nie odwracając się. - A mi me llaman Tito. Son bonitas las flores, no?

Robert nie widział żadnych kwiatów, ładnych czy brzydkich. Nie odpowiedział.

Ogrodnik trochę przesunął się na bok. Właśnie sadił w ziemi jasnoczerwone pelargonie. - Por la santa - wskazał wyblakłą kamienną figurkę Teresy z Avili, która zajmowała niszę.

Z mroków pamięci Robert przypomniał sobie jeszcze jeden powód, dla którego wybrał ten właśnie pokój. Teresa z Avili pochodziła z rodziny tak zwanych nowych chrześcijan. Jej krew była krwią żydowską. Bawiło go rozważanie, co zrobili z tego inkwizytorzy. - Si, por la santa - rzekł teraz. - Sus manos son buenas - dodał.

Tito spojrział na swoje dłonie, próbując zobaczyć, co jest w nich dobrego, potem podniósł wzrok na hidalga. - Ellos me sirven - rzekł.

- Czy mogą mi posłużyć? - spytał Robert.

Starzec wyglądał na zaskoczonego. - Zrobię, cokolwiek pan sobie życzy, hidalgo. Jeśli tylko mi pan rozkaże. - Może Angelina i Gitanita miały słuszność. Mówiły, że pan nie jest szalony. - Nie mówił jak szaleniec, chociaż tak wyglądał.

- Golileś kiedyś mężczyznę? - spytał Robert.

Tito był przestraszony. - Ja, senior? Nie, tylko siebie. Pracuję na małej farmie. Na pańskiej ziemi na południu, hidalgo.

Farma nie leżała w kręgu zainteresowań Roberta. Omal nie zapomniał, że istnieje. Interesował się Rafaelem i tym, żeby wyglądać wystarczająco dobrze, aby dziecko z nim porozmawiało. - Chodź na górę.

W jego garderobie był piecyk na węgiel drzewny. Robert znalazł trochę węgla i rozpalił w nim. Węgla były rozgrzane do białości, miedziany czajnik nad nimi parował. Przy piecyku leżał płatek brązowego mydła, który ocalał w czeluściach szuflady. Potem przygotował kilka ostrzy i wyłożył je na małym stole. - Tu jest wszystko, czego potrzebujesz, Tito. Po prostu udawaj, że jestem drzewem albo krzakiem róż. - Usiadł na stołku i czekał.

Godzinę później był dokładnie ogolony, a jego włosy były krótkie i schludne. Tito z początku pracował z drżeniem, potem z entuzjazmem. Tak jak powiedział hidalgo; musiał tylko udawać, że mężczyzna jest rośliną i już. - Jest pan odmieniony, don Robercie - powiedział.

- Proszę spojrzeć. - Chwycił lustro w srebrnej oprawce i trzymał je tak, aby pan mógł zobaczyć swoją twarz.

Szkoło było pęknięte, ale Robert mógł dobrze zobaczyć swoje odbicie. Patrzył w milczeniu dłuższą chwilę. - Bardzo dobrze, Tito

- rzekł w końcu. - Jestem bardzo zadowolony.

- Mówiłeś mamie o naszej rozmowie? - spytał Robert. Rafael pokręcił głową. - Nie, sir. Bo pan powiedział, że nie powinienem, ale...

Robert położył dłoń na ciemnych kręconych włosach chłopca.

- Ale kłopotczy cię trzymanie sekretów przed nią, he?

- Tak, sir.

- Nie martw się już tym - powiedział Robert. - Sam jej powiem. Dziś wieczorem.

Wciąż było bardzo ciepło, choć był to już pierwszy tydzień października. Sofia zarządziła, żeby posiłki podawano w małej jadalni otwartej na Patio Cedrów. Robert dołączył tam do Sofii i Rafaela. Jej oczy zdradziły zaskoczenie, ale głos nie.

- Jak ładnie wyglądasz, Robercie. Poproszę o dodatkowe nakrycie. - Zadzwoń małym dzwoneczkiem. Pojawiła się Angelina.

- Hidalgo je z nami. Proszę przynieść porcelanę i sztuce.

- Sofia zwróciła się do syna. - Przywitaj się z kuzynem Robertem, Rafi.

- Dobry wieczór - powiedział Rafael, potem zachichotał i spuścił wzrok na swój talerz.

Robert uśmiechnął się do dziecka. - Cóż, Rafaelu, wyjawimy nasz sekret?

Sofia zmarszczyła brwi w zdumieniu i patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - powiedział Robert. - Spotkaliśmy się w Patio de los Gatos. Jeszcze nikt nie przybył, aby rozłożyć je na części i złożyć z powrotem, Sofio. Twoje hordy chyba je przeoczyły. Rafi i ja rozmawialiśmy tam długo, a koty czasami do nas dołączały.

- Tam jest milion kotów, mamusiu. Może milion milionów. Kuzyn Robert mówi, że zawsze tam były. Dawniej karmiła je służba. Potem, przez te lata, kiedy nie było służby, one żarły szczury - dodał trzeźwo. - Czasami przynoszę im chleb i mleko.

Sofia uśmiechnęła się do syna, ale jej najbardziej olśniewający uśmiech skierowany był do Roberta.

Dwa tygodnie później znalazł ją w gabinecie. - Szukałem cię wszędzie. Jak tu trafiłaś? Co tu robisz? - Wskazał na księgi, które rozrzuciła po biurku.

- Trafiłam tu przez te stare drzwi przy kuchni. Chciałam zobaczyć, dokąd prowadzą. A jeśli chodzi o to, co robię, przeglądam księgi rachunkowe.

- Umiesz czytać?

- Tak. - Machnęła ręką na widok jego wstrząśniętego oblicza.

- Robercie, myślę, że w tym roku będą jakieś dochody z farmy.

- Jak to możliwe? - Usiadł na stołku, którego kiedyś używał Harry Hawkins. - Nikt nie zbierał dochodów Mendozów od lat. Dlaczego ktoś miałby teraz znowu zacząć płacić? Dlatego właśnie chciałem się z tobą zobaczyć. Jak płacisz całej tej służbie?

- Nie płacę. Spisuję wszystko starannie i obiecałam im, że zapłacę, jak będę mogła. Póki co są z tego zadowoleni.

- Tak właśnie powiedział mi Tito. Wygląda na to, że jesteś bohaterką. Nie wiedziałem.

- Nigdy nie wiedziałeś zbyt wiele o tym, co się dzieje. I nadal nie wiesz. - Sofia z trzaskiem zamknęła księgę. - Teraz w Andaluzji nie ma żadnych francuskich wojsk. Wiedziałaś o tym?

Pokręcił głową.

- W czerwcu Wellington wyrzucił Souлта i jego dragonów na północ od Badajoz. Gerylasi mogą wrócić na swoją ziemię. Mówiono mi, że zbiór oliwek jest wspaniały. Dlatego myślę, że będą jakieś dochody. Umówię zebranie ich, mogę?

- Dlaczego pytasz mnie? Wydaje mi się, że robisz to, co ci się podoba.

- Powiem wszystkim, że działałam w imieniu hidalga. Tak jak myślałam, zawarliśmy umowę. - Spojrzała na niego. - Do twarzy ci w siwych włosach. Zwłaszcza odkąd się zaokrągliłeś. Znowu wyglądasz całkiem przystojnie, Robercie.

Uznał komplement krótkim skinieniem głowy, potem odplacił własnym: - A ty jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, Sofio. Ale co nam to daje? Dokonałaś tu cudów mydłem i wodą - zatoczył koło ręką, by objąć cały pałac - ale nie zrobisz złota z mydła i wody.

- Czy to cię martwi? - spytała cicho. - Myślałam, że przestałeś martwić się fortuną Mendozów.

- Przestałem - przyznał. - Póki nie...

- Tak?

- Póki nie powiedziałaś mi, że Pablo miał syna i nie spotkałem Rafaela. To świetny chłopak, Sofio. Aż wstyd...

- Że nie ma spadku? Czy tak? Dlatego zamierzam zadbać, by miał.

- Nie dasz rady - powtórzył. - Nie ma żadnego kapitału. Nie mamy żadnego prawa do złota i srebra, które przychodzi z kolonii. Wszystko oddałem. Bez tego ród jest bankrutem.

- Niezupełnie. Wciąż są ziemie, Robercie. I winnice w Jerez. W Andaluzji znowu robi się wino.

Przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek. - Przeczytałaś wszystko, prawda? - Wskazał półki dokumentów i ksiąg, zajmujące ściany.

- Nie wszystko, ale znaczną część. Kiedyś handel sherry przynosił prawie połowę rocznego dochodu Mendozów - przypomniała mu.

- To było dawno temu, kiedy dużo niższe roczne dochody stanowiły większą fortunę. W dzisiejszych czasach jest inaczej, Sofio. Nie możesz zbudować nowego domu Mendozów za pomocą sherry. Nawet gdyby Anglia była dość bogata, by sprowadzić te ilości co kiedyś i gdyby twój ukochany Wellington przełamał władzę

Napoleona nad Europą i odrodziłby się handel między kontynentem a Anglią, nie wystarczyłoby to.

Zachwycała się tym, jak wyglądał i mówił, prawie jak dawny Robert, lecz jednocześnie martwiła się tym, co słyszała. Zmarszczyła brwi, potem zmusiła się do uśmiechu. - Ale to początek, prawda, Robercie? Możemy przynajmniej zrobić coś na początek. Dla dobra Rafiego - dodała.

Zawahał się, potem z powagą skinął głową. - Tak, dla dobra Rafiego chyba możemy.

Pod koniec października Robert wyruszył do Jerezu.

Dobry Boże, dlaczego tak się denerwował? Ponieważ to była próba. Chciał, żeby Sofia pojechała. - Nie mogę - powiedziała mu. - To nie może być kobieta, to musisz być ty. Jeśli w Jerezie mają uwierzyć, że coś się zmieniło, to musisz być ty.

Wiedział, że ona ma słuszość. Teraz więc był w drodze w starym powozie, który Sofia znalazła w stajniach i kazała naprawić. Woźnicą był służący Sofii, Enrique. Ubrała go w liberię Mendozów, którą wyczarowała z powietrza, tak jak wiele innych rzeczy, a Robert wziął Tita jako lokaja. Ale choć miało być normalnie, była to próba, by sprawdzić, czy on naprawdę znowu jest żywy, czy też jest poruszającym się duchem.

Z początku był przerażony widokiem świata poza murami pałacu. Zasłony w powozie były zaciągnięte, a Robert siedział bardzo spokojnie, z zamkniętymi oczyma. Kiedy w końcu zdobył się na odwagę, by je otworzyć, przez odsłonięte okno po stronie Tita mógł zobaczyć, że Andaluzyja jest zielona, soczysta, piękna i dojrzała w przeciągającej się jesieni. - Wygląda tak jak zawsze - wymruczał. - Myślałem, że żołnierze...

- Było tu parę bitew, panie Robercie. Rany ziemi wynikły z zaniedbania, ponieważ wieśniacy odeszli do partyzantki. Takie rany łatwo wyleczyć.

Robert skinął głową, odsunął wszystkie zasłony i upajał się widokami. Wiedział, że kolejny etap wskrzeszenia ma za sobą.

Po czterech dniach dotarli do Jerezu i bodeg Mendozów na kredowych ziemiach otaczających miasto. - Wjedź na podwórze tamtego budynku - polecił Robert Enrique'owi.

Główny dom wyglądał tak jak zawsze - żółta kamienna forteca na stoku nad miastem, spoglądająca w dół na wieżyczki i kopuły wielu

wspaniałych kościołów. Przed wejściem koniom ściągnięto cugle. Tito wysiadł, a Robert za nim, nie korzystając z pomocnej dłoni zaoferowanej przez staruszkę. Była trzecia po południu, czas sjesty. Absolutną ciszę zakłócał jedynie śpiew makolągwy w gałęziach wyniosłego dębu.

Robert się zawahał. Znowu się pocił i trząsał. Co ma teraz zrobić? Myśleć. Co by zrobił, zanim umarł dla świata? Wkroczyłby głównymi drzwiami? Zadzwoił dzwonkiem? Nie, żadna z tych rzeczy. Wysłałby służącego, aby obudził domowników i powiedział im, że przyjechał pan. A nawet tego nie musiałby robić, czekali na jego przyjazd i wszystko byłoby gotowe. Ale wtedy było wtedy, teraz jest teraz, a on musi coś zrobić zamiast stać tu jak gamoń o zmaconym umyśle.

Odwrócił się do Tita, żeby posłać go po gospodarza, kiedy frontowe drzwi stanęły otworem. Wypadł przez nie młody mężczyzna, który naciągał na siebie granatowy surdut, kiedy zbiegał przez trzy szerokie stopnie, prowadzące na podwórko. - Matko Boska, to pan, hidalgo, naprawdę pan? Moja żona powiedziała, że to pan, ale nie uwierzyłem... - Chwycił dłoń Roberta i ucałował ją. - Witam, panie Robercie. Nie wiedziałem, że pan jedzie. Nie byłem przygotowany, ale chwała Maryi Pannie i wszystkim świętym.

Roberta rozbroiło to powitanie, oczy wypełniły mu się łzami. Dobry Boże, nie mógł pozwolić, żeby ten chłopak widział go zatopionego we łzach jak kobieta. Ukrył emocje pod burkliwym tonem: - Kim pan jest, do diabła? Gdzie Ruez?

- Nie poznaje mnie pan, hidalgo? Jestem Federico Ruez. Mój ojciec był tu rządcą, póki nie umarł zaprzeszłego roku. Ja poznałem pana sześć lat temu, w Kadyksie. Pracowałem wtedy w składzie. Nie pamięta pan?

Robert nie pamiętał, ale skinął głową. - Tak, tak, oczywiście, Kadyks w 1805. - Rok Nelsona i Trafalgaru, rok jego złożenia do grobu. - Mówisz, że twój ojciec nie żyje?

- Tak, hidalgo. Teraz już będą dwa lata. Byłem w górach z Juanem Sanchezem i partyzantami, ale kiedy ojciec umarł, wróciłem. Nikt inny nie mógł doglądać majątku. - Skończył zapinać surdut i wyprostował się. - Ale nie musimy stać tu na słońcu, don Robercie. Proszę, mi casa es su casa. - Wyciągnął ramię i wprowadził przybyszów do domu.

Młoda żona, która rozpoznała herb na powozie z okna swojej sypialni, czekała na nich. Ucałowała Roberta w obie dłonie i odesłała Tita i Enrique'a do kuchni w towarzystwie służącego, potem otworzyła drzwi do głównego salonu i przepuściła przed sobą mężczyzn. Kolejny służący, wciąż zaczerwieniony od popołudniowej drzemki, przybył z talerzami fig, daktyli i cukrowanych migdałów.

Federico napełnił kieliszki bladożółtym amontillado i przyniósł je na srebrnej tacy. Wzniósł swój. - Za pańskie zdrowie, don Robercie. I za nasze szczęście, że widzimy pana tu dzisiaj.

Robert wypił wino i namawiany skosztował nieco podanych delicji. Żona o imieniu Marisol pozostała z nimi parę chwil, potem przeprosiła i oddaliła się. Nadszedł czas pomówić o interesach.

- Czy wciąż wyrabialiście wino przez te wszystkie lata, kiedy byłem... chory? - spytał Robert.

- Przez wszystkie te lata - odpowiedział Federico. - Ale niewiele, ponieważ większość pracowników wyjechała walczyć z dragonami. W roku śmierci ojca zrobiliśmy w sumie niespełna dwa tysiące beczek. Ostatniego roku to samo. Tego roku jest pięć tysięcy, tylko że...

- Tak, mów dalej, chłopcze. Tylko że co?

- Tylko że nie ma co z nimi robić, don Robercie. Trzymamy je tu, w solerach. Skład w Kadyksie jest pełny. Od czterech lat nie ma statków, hidalgo. Ale teraz jest tu pan, więc przypuszczam... - spojrzał gorąco na Roberta i czekał.

Przynajmniej zrozumiał powód niezwykłego powitania, ich radość na jego widok. Był ich ratunkiem, pośrednikiem w handlu. Rodzina Ruezów mogła robić sherry z Mendozami lub bez nich, ale nie mogła go wysyłać za morze, skoro nie istniało angielskie połączenie. - Nie mieliście wiadomości od mojego brata? - spytał Robert. - Od don Liama?

- Ani słowa, hidalgo, od trzech lat albo i dłużej. Mówią, że w Londynie źle się dzieje. I teraz jeszcze, chociaż angielskie statki docierają do Kadyksu, nie mogą wejść do portu. Słyszałem, że Anglicy wciąż rządzą na morzach. Ale co w tym dobrego, skoro dragoni nie pozwolą nam handlować?

- W ogóle niewiele teraz dzieje się dobrego, chłopcze. - Robert mówił powoli, dając sobie czas na myślenie. - Chodź, pokaż mi bodegi. Potem porozmawiamy o handlu.

Federico Ruez był rządcą godnym tradycji swego starego rodu. Piwnice z winem były nienagannej czystości, beczki stały po trzy, jedna na drugiej w ścisłym porządku. W małym biurze w każdej bodedze trzymano staranne zapiski. Robert przeglądał je, słuchał wyjaśnień i komentarzy młodego mężczyzny, rozważnie kiwał głową i mówił niewiele.

Myślał o Liamie. Liam był kluczem, a on nie miał z nim kontaktu od sześciu lat - od tamtego dnia, kiedy rozstali się w Kadyksie. Przyjmował, że sprawy między Londynem a Jerezem toczą się jak zawsze, że przyjedzie tutaj spotkać się z rządcą, który oszukiwał rodzinę i teraz zostanie zmuszony do zapłacenia zysków należnych Kordobie. Sytuacja, którą zastał, była całkowicie odmienna. - Bardzo dobrze - powiedział, kiedy obejrzelili ostatnią bodegę, tę, którą zwali La Reina. - Dobrze się spisałeś, Federico. Teraz musimy wrócić do domu i porozmawiać.

- Dobrze, hidalgo, ale może zechciałby pan poświęcić jeszcze chwilę? - Robert skinął głową. - Chciałbym, żeby spróbował pan czegoś z tej beczułki.

Podszedł do miniaturowej dębowej beczułki z kurkiem, stojącej na półce w biurze i do cynowego kufla wyciągnął trochę ciemnobursztynowego płynu. Robert skosztował zawartość podanego mu naczynia. Była słodka, ale nie odznaczała się niczym charakterystycznym. Po prostu najdelikatniejsza sherry, jaką kiedykolwiek pił. Poglaskała delikatnie jego język, po czym jedwabiście spłynęła w dół gardła. Pozostawiła wrażenie czystej rozkoszy.

- Wyborne. Ty to zrobiłeś?

- Tak, don Robercie. Eksperymentuję z nową winoroślą, którą mój ojciec posadził, kiedy ja się urodziłem. Nazywa się Pedro Ximenez. Wino jest białe, oczywiście, ale możemy sadzić winorośl na gorszej ziemi, niekoniecznie na albarizie, i mieć większe niż gdzie indziej plony.

- I z tej nowej winorośli, Pedro Jak - jej - tam, jest to wino?

- Niezupełnie, don Robercie. To jest moszcz. Jeśli wzmocni się go wcześniej niż zwykle, doda brandy przed końcem fermentacji, otrzyma się to... Nie wiem, jak je nazwać, hidalgo.

- Mleko - rzekł natychmiast Robert. - To mleko matki, chłopcze.

- Ile go masz?

- Tylko dwieście beczek. Zacząłem rok temu, ale z powodu wojny...

- Tak, oczywiście. - Robert skończył swoje „mleko”, odstawił kufel i ruszył w kierunku domu.

Zanim weszli, musieli oczyścić z kredy buty i ubrania. Do tego właśnie celu wisiały przy drzwiach wielkie szczotki. Federico miał pył nawet we włosach. Niemożliwością było iść przez winiarnie Jerezu i nie pokryć się białym nalotem. - Teraz nie widać go w pańskich włosach, don Robercie - powiedział młody mężczyzna. Potem się zarumienił. - Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć.

Robert uśmiechnął się. Lubił tego chłopca, nawet jeśli był odrobinę bardziej poufały, niż powinien. Najwyraźniej przez ostatnie lata wyrosło nowe pokolenie Hiszpanów. Może mężczyźni, którzy walczyli jako gerylasi, przekonali się, że są równi swoim zwierzchnikom. Cóż, niech i tak będzie. Może być nieźle.

Znowu Marisol czekała na nich. Dla hidalga przyszykowano więcej zakąsek, przygotowano też pokój i wszystko, czego hidalgo mógłby sobie zażyczyć, a co byli w stanie zdobyć. Robert oznajmił, że będzie odpoczywał aż do późnego popołudnia. Zostawił Federica, nie mówiąc ani słowa o handlu, i kiedy wchodził po schodach, czuł, że wzrok młodego człowieka przewierca mu plecy.

Aż do następnego ranka nie rozmawiali o interesach. - Mogę ci zaproponować jedno rozwiązanie - powiedział Robert. - Napiszę do Liama i zobaczę, czy wyśle statki, ale w najlepszym wypadku zajmie to miesiące. Czy do tego czasu możesz nadal funkcjonować?

- Tak, hidalgo. Ale z trudnością. Jest bardzo mało pieniędzy, a ludziom trzeba zapłacić. Dzięki Bogu skończyliśmy tegoroczne winobranie, więc możemy się posługiwać garstką ludzi. Ale bednarzy muszę zatrzymać za wszelką cenę. Jeśli przez zimowe miesiące nie zrobimy dębowych beczek, następnego roku będziemy musieli wylewać wino na ziemię. I potrzebuję trochę pomocy przy solerach, choć będę trzymał jak najmniej ludzi.

- Spróbuj przetrwać - powiedział Robert. - To wszystko, co mogę ci zaproponować, Federico, nadzieję, że jeśli przeżyjesz, wszystko będzie lepiej. - Zawahał się. - Nie, może mogę dać ci coś więcej.

Na stole w pokoju, w którym rozmawiali, stała jedna z ciężkich szklanych butli, w których przynoszono wino z bodegi do domu. -

Mam pomysł. To twoje wino, twoje „mleko”, będziemy transportować w butelkach, nie w beczkach. I oznaczymy butelki czymś w rodzaju etykiety.

- Jakiej etykiety, hidalgo? - Młodszy mężczyzna bardzo starał się zrozumieć słowa Roberta. - Co nam da ten plan?

- Nazwę. Wszyscy ludzie w Anglii piją po prostu fino lub oloroso, amontillado czy po prostu sherry, ale większość z nich nie ma nazwy. A moglibyśmy sprawić, żeby ludzie chcieli pić tylko sherry z naszych winnic i naszych bodeg. Daj mi kawałek papieru, chłopcze, i trochę atramentu.

Kiedy Federico spełnił tę prośbę, Robert usiadł przy stole pod oknem. Zanurzył pióro w atramencie i nakreślił szkic gałęzi dębu, a na niej zarys ptaka. - Chciałem, żeby to była jedna z makolągów tak tutaj popularnych, ale będziesz potrzebował artysty, żeby oddać ją w prawdziwym kształcie. Nie szkodzi, masz już pomysł. A pod obrazkiem to. - Napisał słowo Mendoza dużymi literami, zatrzymał się na chwilę, potem zrobił kreskę i dopisał słowo Ruez. Pod połączonymi nazwiskami napisał sherry milk. - Te ostatnie słowa są po angielsku - wyjaśnił. - Znaczą leche de Jerez. Co o tym myślisz, młodzieńcze?

Federico wpatrywał się w zadziwieniu. - Mendoza - Ruez. Moje nazwisko równe pańskiemu?

- Znasz historię o tym, jak nasze dwie rodziny połączyły się w tym przedsięwzięciu? - spytał Robert. Federico pokręcił głową. - Nie? Cóż, opowiem ci ją pewnego dnia. Ale co myślisz o nazwaniu twojego nowego wina sherry milk?

Federico rozjaśnił się szerokim uśmiechem. - Bardzo mi się podoba, hidalgo.

- Mnie też. Teraz muszę tylko wyobrazić sobie, jak dostarczyć je do Kadyksu do doków Tilbury, i możemy ruszać.

Powóz toczył się wytrwale drogą wiodącą z Jerezu na północ. Robert nie zwracał uwagi na krajobrazy i popadł w głębokie zamyślenie. Kiedy w końcu wrócił do rzeczywistości, spytał Tita: - Gdzie jesteśmy?

- Wracamy do Kordoby z Jerezu, hidalgo. Pamięta pan, pojechaliśmy zobaczyć pańskie bodegi i winnice.

- To wiem, człowieku. Nie jestem obłąkany, Tito, już nie. Kiedy się o tym przekonasz?

- Wiem, że hidalgo to człowiek o doskonałym umyśle, senior. Chciałem tylko...

- Dobrze, dobrze. Przestań mącić, Tito. Powiedz mi po prostu, gdzie jesteśmy.

Służący wyglądał na zakłopotanego. - Nie znam tych okolic, don Robercie. Nigdy wcześniej tu nie byłem.

Robert z niechęcią wyjrzał przez okna powozu. Widok nie powiedział mu nic. Faliste zielone wzgórza skąpane w zachodzącym słońcu, drzewka dziwnie poodchylane od stałego naporu wiatru mogły być wszędzie w Andaluzji. - Posłuchaj - rzekł do Tita - widziałeś duży klasztor wysoko na wzgórzu?

- Klasztor? Nie wiem, don Robercie.

- Nie, nie widziałeś, bo jest tam! - Robert wystawił głowę przez okno i krzyknął do woźnicy: - Enrique, skreć na drogę po lewej. Chcę zajrzeć do tej warowni na wzgórzu.

Enrique cmoknął na konie, ściągnął cugle i powóz posłusznie skierował się w lewo. Robert rozparł się na siedzeniu, stukając palcami po kolanach, a jego brwi ściągnęły się w zamyśleniu.

- Przykro mi - powiedział mnich przy furcie. - Brata Eliasza nie ma już wśród nas.

Więc Eliaz nie żyje. Szkoda, miałby niezły ubaw, pytając go, co teraz myśli o Napoleonie, po tym jak cały jego porządek przyczynił się do takiego rozlewu krwi w Hiszpanii. Ale to nie Eliasza po prawdzie przyjechał zobaczyć. - Proszę mi powiedzieć - zwrócił się do furtiana - czy jest tu świecki brat Harry Hawkins? Karzeł?

Młody mnich uśmiechnął się. - O tak, rozumiem, senior. Wielu ludzi przybywa zobaczyć naszego świętego. Tutaj on nazywa się brat Franciszek. Ale nie wiem, czy może się dzisiaj z panem spotkać. Nie czuje się najlepiej, senior. I jest późno. Może wróciłby pan innym razem?

- Nie, nie mogę. Proszę mu powiedzieć, że tu jestem. Że Robert Mendoza chce się z nim spotkać. Myślę, że podziękuje ci za przyniesienie tej wiadomości.

Może to ze względu na nazwisko Mendoza furtian poszedł zrobić to, o co go poproszono. Wrócił po chwili. - Brat Franciszek spotka się z panem, senior. Jest w ogrodzie.

Robert podążył za mnichem do tego samego ogrodu, gdzie przechadzał się z Eliazem dziewięć lat temu. Harry siedział na słońcu

obok sadu, w dziwnym przyrządzie, który wyglądał jak krzesło na kółkach. Uścisnęli sobie dłonie, obaj pozostali zbyt angielscy, by całować się, tak jak to robią Hiszpanie. Furtian zajął się poprawianiem poduszki pod przerośniętą głową Harry'ego, póki ten nie odesłał go gestem. - Już dobrze, wszystko w porządku. Dziękuję, ale zostaw nas, bracie. Chciałbym porozmawiać z hidalgiem.

- Cóż, Harry - powiedział Robert, kiedy zostali sami.

- Cóż, panie Robercie.

Cisza. W końcu Harry powiedział: - Dobrze pana widzieć, sir. Modliłem się za pana każdego dnia. - Przebiegł wzrokiem twarz Roberta, a ten miał niesamowite uczucie, że Harry Hawkins czyta w jego myślach, że zna wszystkie cierpienia minionych sześciu lat i że wie, co w końcu wyciągnęło go z piekła, które sam sobie stworzył.

- Ścieżki Boga dziwnie biegną, panie Robercie - powiedział karzeł.

- Ale zawsze wiodą do największego dobra.

Robert już się szykował do jakiejś ostrej repliki w kwestii pobożnych zapatrywań, ale powstrzymał się. Było coś szczególnego w tym wyjątkowym małym człowieczku, który kiedyś był Harrym Hawkinsem, a teraz bratem Franciszkiem, coś nie z tego ani z żadnego znanego Robertowi świata. - Skoro tak mówisz, Harry - rzekł cicho. - Czy mogę tak do ciebie mówić? Nie potrafię się przestawić na myślenie o tobie w połączeniu z innym imieniem.

- Oczywiście, że tak. Proszę usiąść, panie Robercie, tam na ławce. Mogę znaleźć się przy panu, o tak. - Zrobił coś z wielkimi kółkami swojego krzesła, a ono bez trudu poruszyło się po ścieżce. - Sprytne urządzenie, prawda? Jeden z braci cieślów zrobił to dla mnie, kiedy gorączka zaatakowała moje nogi.

- Słyszałem przed laty, że jesteś chory. Donia Maria mi powiedziała... - Przerwał. Nie był jeszcze gotów mówić o wizycie Marii w pałacu, kiedy wciąż był chodzącym trupem, ani o liście od Harry'ego, który wtedy przyniosła.

- Była tu i rozmawiała ze mną po wizycie u pana. Modliłem się tylko z całych sił. To wtedy mniej więcej nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- Co to za choroba, Harry?

- Gorączka, która przychodzi i odchodzi, i paskudny kaszel, chociaż dziś akurat nie jest zbyt dokuczliwy. Coś się dzieje z moimi

płucami, według brata infirmeriusza. To nieduże zmartwienie, sir. Bóg powoła mnie do siebie, kiedy mój czas nadejdzie, i niech tak będzie.

- Myślałem, że mój czas nadszedł przed laty - powiedział Robert.

- Ale wygląda na to, że nie.

- Nie, wiedziałem, że nie zrobił pan wszystkiego, co trzeba. To dlatego tak się modliłem, żeby Bóg dał panu jeszcze jedną szansę.

- Szansę na co, Harry?

Karzeł zmarszczył brwi. - To nie jest takie jasne, panie Robercie. Wiem, że jest coś, co ma pan zrobić, i wiem, że to ważne. To coś związanego z rodem Mendozów. Ale nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Czy ty jesteś wróżbitą, Harry? Czymś w rodzaju jasnowidza?

- Proszę wypluć to słowo, panie Robercie. Przepowiadanie przyszłości to grzech. To coś w tym rodzaju, tylko że słucham bardzo uważnie, czasami mówi mi coś Pan Jezus albo Jego Matka.

- Rozumiem. A właściwie nie rozumiem. Ja nie pojmuję takich rzeczy, Harry. Znasz mnie na tyle, by zdawać sobie z tego sprawę.

- Tak, to prawda. Co pana tu dziś sprowadziło?

- Przejeżdżałem - odparł Robert szybko. - I pomyślałem...

- Przerwał. To nie była prawda. - Musiałem się z tobą zobaczyć, Harry. To było silniejsze ode mnie. Wracałem do Kordoby z Jerezu i ta potrzeba naszła mnie, kiedy byliśmy o pół godziny drogi od klasztoru. Myślałem, że za późno, że już przejechaliśmy to miejsce, ale okazało się, że nie. Więc jestem.

Harry uśmiechnął się. - Nader dziwne, sir, jak powiedziałem.

- Powiała bryza zapowiadająca wieczór, Harry poprawił jasny koc na swoich kolanach. - Znalazł pan kamień, panie Robercie? Ten w pokoju ze znakiem na ścianie.

- Tak. To ty przetłumaczyłeś hebrajski napis?

- Poniekąd. Znalazł go don Domingo. Mówił, że to przypadek, ale myślę, że trafił na jakieś wskazówki w starych rodzinnych zapiskach. Zawsze je czytał. I dlaczegóż miałby szukać czegoś w podłodze? Tak czy owak, pokazał mi ten napis i spytał, czybym to przetłumaczył. Myślał, że ponieważ urodziłem się na Creechurch Lane, to pan Benjamin nauczył mnie hebrajskiego.

- O ile wiem, ojciec był ostatnim Mendozą, który czytał po hebrajsku - powiedział Robert. - Ja nie potrafię i Liam też nie. -

Oczekiwał, że Harry może odkryje aluzję do swego pochodzenia, ale to się nie stało.

- Nie wiem. Mówiłem don Domingowi, że nie umiem tego zrobić, ale znam kogoś, kto może potrafi. Kogoś, komu można zaufać, że nie doniesie o całej sprawie Inkwizycji. Skopiowałem napis i zaniósłem do brata Eliasza, a on go przetłumaczył. Niewielu ludzi w Hiszpanii potrafi czytać po hebrajsku, ale brat Eliasz był erudytą. Jak się okazało, coś jednak przekreślił. Nie mogliśmy znaleźć żadnego skarbu. Ale wtedy nic nam nie przyszło do głowy. Więc wycięliśmy to tłumaczenie w skale pod oryginalnymi słowami i zostawiliśmy wszystko, jak było. Potem, kiedy już stało się to wszystko, wydało mi się, że pan mógłby być tym, kto odkryje skarb, więc wysłałem list.

- Co miałeś na myśli, pisząc o starej religii pomagającej rodzinie?

- Nie potrafię powiedzieć nic pewnego, sir. Ale mimo wszystko te słowa były po hebrajsku. A pan Benjamin i pan... - Zawiesił głos.

- Ty nie czujesz nienawiści do żydów, prawda? - spytał cicho Robert. - Może jesteś jedynym takim katolikiem w Hiszpanii.

- Nie wiem jak inni, sir. Ale nie mogę nienawidzić tego, w co wierzył pan Benjamin, pan sam i pan Liam, nawet jeśli myślę, że jesteście w błędzie.

- Wierzimy... Może to mój problem, Harry. Nie wiem, czy wierzę w cokolwiek.

- Uwierzy pan. Jestem tego pewien.

Robert uśmiechnął się. - Myślisz, że twoje modlitwy wcześniej czy później zrobią ze mnie katolika?

Harry nie podjął lekkiego tonu jego wypowiedzi. - Nie potrafię powiedzieć, co one panu zrobią, sir. Tylko że to moje zadanie modlić się, a pańskie robić coś innego.

- Ale nie jesteś pewien co.

- Nie, nie jestem.

- Harry, posłuchaj. Jest pewien chłopiec, świetny brzdąc. To syn Pabla Luisa, urodził się już po tym, jak ten biedak się zabił.

Mały człowiek uśmiechnął się szeroko. - Więc jest dziedzic.

- Tak. Jeśli jest coś, co mógłby odziedziczyć. W tej chwili jest to mocno wątpliwe.

- Musi pan znaleźć skarb, sir. Potem wszystko będzie dobrze. Jestem tego pewien.

- Nie ma żadnego skarbu, Harry. Nie ma nawet groty. Karzeł zmarszczył brwi. - Ach tak, zastanawiałem się nad tym.

Przyszło mi do głowy, panie Robercie, że stary skarbiec może być dobrym miejscem poszukiwań.

- W przejściu do pokoju rachunkowego?

- Nie, ten w Patio de la Reja. Część pałacu dobudowano później, sir. Niecałe sto lat temu. Do tego czasu całe południowo - wschodnie skrzydło było ogrodem. Kiedy jej zbudowali, większość ogrodu zniknęła. Ten kawałek, który został, nazwano Patio de la Reja. Od nazwy żelaznych drzwi zakrywających małą dziurę w skale, która kiedyś była skarbcem.

- No, nie wiem - powiedział Robert z powątpiewaniem, myśląc o patiu, które wspominał Harry. - Mała dziura nie jest na tyle duża, by ją nazwać grota. I na pewno nie ma w niej żadnego skarbu. - Przerwał, bo karłem wstrząsnął nagły atak kaszlu. - Harry, dobrze się czujesz?

- Robert uderzył go w plecy, ale ostry kaszel trwał parę minut.

- Przykro mi, panie Robercie - rzekł mały człowiek, kiedy w końcu mógł mówić. - To się wymyka spod mojej kontroli.

Był słaby i oddychanie stanowiło dla niego poważny wysiłek.

- Może lepiej zabiorę cię do środka? - spytał Robert.

- Nie ma potrzeby, sir. Idzie tu brat infirmeriusz. To czas na nieszpory. Zawsze o tej porze zawożą mnie do kościoła.

Robert przyglądał się nadchodzącemu mnichowi. Był wysoki i szczupły, jak Elias. - Przykro mi było słyszeć, że brat Eliasz umarł - wymruczał do Harry'ego.

- Umarł? Kto to panu powiedział?

- Furtian powiedział, że nie ma go już wśród was. Przyjąłem... Harry stanowczo potrząsnął wielką głową. - Nie umarł, sir.

Odszedł.

- Odszedł? Nie sądziłem, że mnich może odejść. Co z jego ślubami?

- Eliasz był szczególnym przypadkiem, sir. On... - Infirmeriusz dotarł do nich i Harry przerwał. - Pójdzie pan na nieszpory, panie Robercie? W naszej kaplicy jest miejsce dla świeckich.

- Nie, Harry, chyba bym nie chciał. Ale ty dbaj o siebie. Spróbuję wpaść następnym razem, gdy będę w tych stronach.

Później, tuż po ósmej Harry miał objawienie. Mnisi kończyli kompletę, ostatnie nabożeństwo ich dnia, i Salve Regina niosło chwałę

Dziewicy aż po sklepienie kościoła klasztornego. Święty świecki brat na krześle na kółkach zeszywniał, a łacińskie słowa hymnu zamarły na jego ustach. Coś straszliwie złego stało się w Palacio Mendoza. Słodka Dziewico Maryjo, modlił się Harry, chroń mojego brata i nasz ród.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

We frontowych drzwiach Robert natknął się na Angelinę. Od razu wiedział, że coś się stało. Jej czarne włosy były w nieładzie, a łyzy pokryły smugami policzki. - Co się stało? - zapytał.

- Nie ma ich, hidalgo. Gitanita i dziecko zniknęli.

- Jak mogli zniknąć? O czym ty mówisz? - Robert usiłował zapanować nad ogarniającym go przerażeniem, falą nudności. Wciąż tak niepewnie trzymał się rzeczywistości. Piekło wciąż ziało otchłanią u jego stóp. Gdyby Sofia go opuściła, stoczyłby się w nie i nigdy by już nie wyszedł. Nieważne, nie myśl o tym, słuchaj, co mówi Angelina.

- Trzy dni temu wieczorem zniknął chłopiec. - Angelina dzierżyła czarną bandanę, która służyła jej za chustkę do nosa, i miedliła ją nieustannie w zniszczonych, kościstych dłoniach, a jej wielkie ciało kołysało się w przód i w tył w bóleści. - Widziałyśmy go w Patio de los Gatos, a potem go tam nie było.

Robert przejechał palcami po włosach, potrząsnął głową. - Angelino, chcesz mi powiedzieć, że Rafael uciekł?

- Ay, mi madre! Nie, hidalgo. Zabrali go.

- Kto go zabrał? Na Boga, kobieto, gadasz od rzeczy. Gdzie jest donia Sofia?

- Mówiłam panu - zaszlochała. - Gitanita też zniknęła. Była jak szalona, krzyczała i biegała po pałacu. Potem zrobiła się taka cichutka, jakby umarła. Weszła na górę, a kiedy zeszła, była Cyganką. Prawdziwą Cyganką, hidalgo, nie jak wtedy, kiedy śpiewa. Ubrana była jak Cyganka i włosy miała jak Cyganka. Nie poznałam jej. Pan też by jej nie poznał. Jej własna matka...

Robert wziął głęboki oddech. - Rozumiem, Angelino. Nie rozumiem tylko, gdzie ona jest.

Angelina znowu głośno zaszlochała. - Nie wiem. Święta Panienko, miej nas w swojej opiece, nie wiem, gdzie ona jest ani gdzie jest dziecko. - Łkała i ocierała łyzy bandaną.

Robert spojrzał na powóz wciąż stojący w Patio del Recibo. O ile wiedział, w wozowni nie było innych i nie było już też koni. Wszystkie zniknęły przed laty. - Czy donia Sofia odeszła na piechotę?

- Nie, don Robercie - wymamrotała kobieta pomiędzy pochlipywaniami. - Wzięła jednego z osłów ogrodnika. Ay! Osła, jak zwykła kobieta z ulicy. Cała Kordoba myślała, że z tego domu zdjęto

kłatwę. Teraz się dowiedzą, że tak nie jest. Palacio Mendoza jest przeklęty, i my, co tu pracujemy, jesteśmy przeklęci, i to moja wina, bo ja im powiedziałam...

- Callate! Dostyc płaczu, Angelino. Weź się w garść. Nie jesteśmy przeklęci, do diabła. Zostaliśmy obrabowani, a rabusie tego pożałują.

Wiedział, dobry Boże, wiedział, co się stało i dokąd poszła Sofia. Nie opuściła go. Cyganie ukradli Rafaela z jakiegoś tajemnego powodu, a ona poszła do Triany, żeby go odzyskać. Ale Sofia sama wśród Cyganów - to szaleństwo. Nie uda się jej bez pomocy. Krew tętniła mu w żyłach; gniew napełnił go mocą. - Powiedz mi dokładnie, kiedy odeszła - zażądał.

Angelina przestała płakać i spojrzała na niego. Siwe włosy były te same, ciemnobrązowe oczy też, ale twarz była inna. Była to twarz mężczyzny - porywczego, silnego hidalga, którego nigdy nie widziała, ale mówiono jej, że taki istnieje. - Godzinę potem, jak stwierdziłyśmy, że chłopiec zniknął, don Robercie. To był sobotni wieczór. Pewnie ósma, może dziewiąta.

Trzy dni temu, parę godzin po tym, jak opuścił Harry'ego Hawkinsa. Myśl, do diabła, myśl. Cztery dni zabrałoby jej dotarcie do Sewilli na osle. Nie mogła tam jeszcze być. Na dobrym koniu mógłby to zrobić w dwadzieścia godzin, może mniej. Dobry koń. Para, która ciągnęła wóz, zniknęła już z patia, Enrique zabrał je do stajni, ale te i tak były bezużyteczne, wyczerpane po długiej podróży. Poza tym to nie były wierzchowce. -

- Angelino, wyślij Enrique'a do ludzi wypożyczających konie. Niech powie, że potrzebuję najlepszego ogiera. - I biegnij do powozowni po moje siodło. Ma moje inicjały na kuli.

Chwilę gapiła się na niego, potem usunęła się jak potężny okręt pod pełnymi żaglami, grzmiący ze wszystkich dział. - Dobrze, hidalgo, już biegnę. Wszystko zostanie zrobione tak, jak pan sobie życzy.

Robert gnał po schodach. Nie dotykał swoich pistoletów przez całe lata, ale był pewien, że wciąż są w jego pokoju.

Garstka dzieci bawiła się na placu pomiędzy wzgórzami, gdzie czasami Cyganie robili fiestę. Patrzyły na Sofię, kiedy przechodziła, potem wróciły do swoich zajęć. Ubrana w bluzkę i długą spódnicę z samodziału, z szalem wokół ramion, splecionymi włosami i złotymi

kolczykami wyglądała jak swoja. Przyglądała się dzieciom przez chwilę. Rafaela nie było wśród nich. Nieważne, wiedziała, że to nie będzie takie łatwe. Pochyliła głowę i weszła do jaskini plemienia Zocalego.

Zapomniała, jak niskie i wąskie jest to przejście, i że przez lata zapach tysięcy palenisk przeniknął jego ściany. Doszła do miejsca, gdzie korytarz rozszerzał się w pomieszczenie, i tam się zatrzymała.

Tyłem do wejścia siedziała kobieta. Rozkładała karty na rozchybotanym stoliku o trzech nogach. To mogłaby być Fanta. Ale była to żona Zocalego, Teresita. Sofia rozpoznała kształt jej szczupłych ramion. Inna kobieta siedziała w kącie z dzieckiem przy piersi. Podniosła wzrok i zobaczyła Sofię; na jej twarzy odmalowało się zdumienie, ale tylko na chwilę. Potem spuściła wzrok bez słowa. Na imię miała Immaculada. Dorastały razem, kiedyś były przyjaciółkami.

Spojrzenie Sofii błąkało się po pomieszczeniu, szukając Zocalego. Nie było go tu. Spostrzegła Joselita. Ani on, ani inni obecni w pomieszczeniu nie dostrzegli jej, tylko Immaculada, która wciąż niańczyła dziecko.

- Pokój temu ognisku - powiedziała Sofia. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. - Przyszłam w poszukiwaniu mojego ojca zgodnie z prawem Romów. Gdzie jest Zocali?

Teresita odwróciła się nieco i patrzyła na nią przez ramię, palce jej zamarły na kartach. - Mój mąż nie żyje. Umarł trzy lata temu. Prawdziwa córka przyszłaby go pochować. - Splunęła na ziemię.

- Nie wiedziałam, że umarł. - Sofia odwróciła się do Joselita. Chwilę zastanawiała się, czy jej hipoteza jest słuszna, i zdecydowała się zaryzykować. Zrobiła krok w jego stronę i padła na kolana. - Żądam sprawiedliwości od króla mojego plemienia, zgodnie z prawem Romów.

- Ty nie masz plemienia. Opuściłaś nasz ogień.

Z tonu, jakim przemówił, wywnioskowała, że przybrała właściwą pozę. Joselito zajął miejsce Zocalego; został wybrany królem plemienia. - Jestem córką tego ognia - powiedziała Sofia. - Mam prawo być wysłuchana.

- Kiedyś miałaś takie prawo. Straciłaś je, kiedy odeszłaś. - Joselito sięgnął po dzban z winem, ale nie podniósł go do ust ani nie spuścił wzroku z twarzy Sofii.

- Nie zamordowałam swojego dziecka. - Sofia wiedziała, że musi przejąć inicjatywę. - Przysięgam na Sarę - la - Kali.

Teresita sapnęła z oburzenia. Zebrała karty i potasowała je, jej palce poruszały się automatycznie, podczas gdy ona sama nie odwracała uwagi od intruza. - Trzeba było to powiedzieć przed laty. Ty zamiast tego uciekłaś jak obca dziwka, którą jesteś.

Sofia nie zadała sobie trudu udzielenia odpowiedzi. Teresita zawsze jej nienawidziła; nie oczekiwała sympatii od wdowy po Zocalim. Nie mogła też żywić nadziei, że poważanie zapewni jej rola wśród gerylasów. Cyganie postrzegali wojnę z francuskimi dragonami jako sprawę obcych. Nie brali w niej udziału. Wciąż patrzyła na Joselito, był jej jedyną nadzieją. - Czy przyszedłbym tu tak po prostu, gdybym nie miała uzasadnionego powodu? Nie zabiłam Sary.

- Mamy powód wierzyć, że to prawda - przyznał Joselito.

- Czy Paco wyznał...

Joselito uniósł dłoń i uciszył ją. - Nie rozmawiamy o nim.

- Ona nie ma tu miejsca - wymruczał męski głos z cienia. - Tak mówi prawo Romów.

- Ja zdecyduję, co mieści się w granicach naszego prawa - powiedział Joselito. - Ona przyszła tu z własnego wyboru. Musi mieć powód. - Podniósł dzban i pociągnął duży łyk wina, potem otarł usta wierzchem dłoni. - Śmierć idzie za tobą - powiedział. - Carlos nie żyje, twoje dziecko nie żyje.

Krew odpłynęła z jej twarzy, wydawało się jej, że zemdleje, potem zrozumiała, że Joselito ma na myśli Sarę, nie Rafaela. I wiedział o niej i o Carlosie. Mogła to wyczytać z jego oczu. - Carlos wypełnił swoje przeznaczenie - powiedziała. - Wszyscy musimy je wypełniać.

Joselito przyglądał się jej chwilę, w końcu przytaknął. - To prawda. Możesz usiąść, wysłucham tego, co musisz powiedzieć.

Przysiadła na piętach i oparła się o ścianę jaskini. Tyle razy siadała w tej pozycji; była taka naturalna. Tańczące płomienie, długie cienie i duszne, cuchnące powietrze - wszystko było takie jak zawsze. To znajome otoczenie dodało jej śmiałości. Kiedy przemówiła, jej głos nie zdradził przemożnej boleści w jej wnętrzu. - Moi bracia i siostry, przyszedłam do was, ponieważ wyrządzono mi wielkie zło.

- Zaczekaj - przerwał jej Joselito. - Nie możesz żądać niczego, po cokolwiek przysłaś, dopóki nie zostanie wyjaśnione stare oskarżenie. Opuściłaś plemię.

Sofia oczekiwała tego, była przygotowana. - Paco powiedział, że zabiłam Sarę, a wszyscy mu uwierzyli. Ale ja jej nie zabiłam, to Paco. Rzucił nią i rozbił jej czaszkę. - Choć minęło tyle lat, te słowa były udręką. Kiedy je mówiła, serce pękało jej z tęsknoty za Sarą, tak jak pękało z tęsknoty za Rafaelem. I odżyła z nową mocą nienawiści do mężczyzny, który wciąż był jej mężem.

Joselito skinął głową. - Mówiłem, że już o tym wiemy. Ale osądziliśmy już twój męża. Co z tobą?

- Ona jest obcym tchórzem, tyle wartym co kurwa - wymruczała Teresita.

- Cisza! - wrzasnął Joselito. - Zamknij dziób. - Odwrócił się do Sofii. - Czy byłaś wierna prawu Romów?

- O ile mogłam - powiedziała. - Na ile pozwalało mi moje przeznaczenie. Nie zdradziłam ognia. Przysięgam, że żadnemu obcemu nie wyjawiałam tego, co wiem o Cyganach.

- Nie zdradziłaś znaków?

- Nigdy.

- Nie mówiłaś o wielkiej sztuczce, nie zbezczęściłaś leków ani nie oskarżyłaś żadnego Roma przed obcymi?

- Nigdy. Przysięgam.

Głos z cienia znowu przemówił. - Ona zbezczęściła muzykę. Śpiewała za pieniądze.

Tym razem Sofia rozpoznała ten głos. To był Tomas, brat Zocalego. Nigdy jej nie lubił. Ale wtedy nikt z nich jej nie lubił, poza Fantą, Carlosem i może Zocalim, a oni wszyscy troje nie żyli. - To Paco pierwszy zmusił mnie, żebym śpiewała za pieniądze - powiedziała. - W końcu, za jego przyczyną, mogłam tylko śpiewać lub sprzedawać swoje ciało. Wybrałam śpiewanie.

Joselito powrócił do głównego pytania. - Nie zamordowałaś dziecka?

- Nie, przysięgam na Sarę - la - Kali - powtórzyła. Przyglądał się jej chwilę, potem skinął głową. - Dobrze, ale opuściłaś ogień przed laty. Dlaczego teraz tu przysłaś?

Odetchnęła głęboko. To najtrudniejsza część i wszystko zależy od Joselita. Jeśli naprawdę stoi na straży prawa Romów, uda się jej. -

Mam drugie dziecko - wyszeptała. - Siedmioletniego chłopca, Paco go ukradł.

- Czy to syn twojego męża?

- Nie. Rafael nie jest jego synem. To obce dziecko, nie Rom.

- Więc jesteś kurwą - powiedział Joselito spokojnie. - Tak jak mówiła Teresita.

- Może. Ale moje grzechy nie są grzechami mojego syna. Prawo Romów mówi, że dzieci są błogosławieństwem, że nie można ich skrzywdzić.

- To prawda, więc dlaczego myślisz... - zawahał się. - Dlaczego myślisz, że mężczyzna, którego zwano Paco, go skrzywdzi?

- Ponieważ on jest zły. Jest nikczemnym człowiekiem, nie honoruje prawa. Wszyscy o tym wiecie. Ukradł Rafaela, bo mnie nienawidzi. I dlatego, że chce okupu. Ja nie mam pieniędzy. Kiedy się o tym dowie, co się stanie z Rafaelem? - Głos się jej załamał. Głośne postawienie pytania, które zadawała sobie przez cztery długie dni podróży, niemal zniszczyło dostojeństwo, które miała zachować. Zmusiła się do przełknięcia łez, które już miały wypłynąć.

Wszyscy milczeli. Joselito wciąż się jej przyglądał. Podniósł dzban i wypił jeszcze trochę wina. - Nawet jeśli wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą - rzekł w końcu - czego od nas oczekujesz? Dlaczego tu przyszłaś?

- Chcę pójść do jaskini Paca, oskarżyć go i zabrać Rafaela. Nie mogę tego zrobić bez waszej pomocy.

Atmosfera w pomieszczeniu zmieniła się, Sofia wyraźnie to poczuła. Ktoś zaszurał nogami. Tereska wróciła do układania kart, a Immaculada poprawiła dziecko w ramionach. - O co chodzi?

- dopytywała się Sofia. - Powiedzcie mi! - Nie mogła już dłużej zachowywać spokoju, którego nie czuła. Podniosła głos, a łzy spłynęły po twarzy. - Rafael już nie żyje, o to chodzi? On nie żyje, a wy o tym wiecie i...

- Uspokój się - przerwał jej Joselito. - Nic nie wiemy. Przysięgam na ogień.

- Więc pomożecie mi?

- Nie możemy.

- W imię Boga, dlaczego nie? - Sofia wstała, zaciskając ciaśniej szal. Przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą i widziała tylko

zakłopotanie i brak zainteresowania. - Dobrze, jeśli nie chcecie pójść ze mną, pójdę sama. - Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- Sofio, zaczekaj - po raz pierwszy Joselito użył jej imienia. Tym okrzykiem oznajmił, że widzi w niej osobę, którą jest, że znali się przed laty, spali przy jednym ogniu, jedli tę samą strawę, byli połączeni tymi samymi więzami. - Gdybym mógł ci pomóc, zrobiłbym to - rzekł.

- Nie mogę. Prawo Romów nie pozwala na to. Tego Paca tu nie ma. Jest tylko jego ciało. Został wygnany.

Sofia zrozumiała natychmiast. Wygnanie było karą bliską ukamienowaniu. Znaczyło całkowite duchowe wykluczenie. Cygan, który został wygnany, przestawał istnieć w pojęciu plemienia. Nikt z nim nie rozmawiał, nikt nie uznawał jego obecności lub nieobecności w jaskini. Jeśli Paco został wygnany, ona nie znajdzie tu pomocy. Oni nie będą z nim rozmawiać ani zadawać mu pytań - takie było prawo - więc nie mogli się dowiedzieć niczego o miejscu pobytu Rafaela. - Kiedy został wygnany? Dlaczego? - Boleść sprawiła, że krzyczała.

- Sześć miesięcy temu - odpowiedział Joselito. - Jego własne plemię wydało ten wyrok. Robił rzeczy przeciwne naturze z córką swego ojca.

Sofia oparła się bezwiednie na wapiennej ścianie jaskini. - Matko Boska, więc nikt mi nie pomoże. Rafael, o mój Boże, Rafael...

Ktoś wcisnął jej do ręki kubek z winem. Immaculada. - Jeśli, jak mówisz, on chce okupu - powiedziała cicho - nie skrzywdzi chłopca.

Sofia pokręciła głową. - Nie wiem. Nie mam pewności. On mnie nienawidzi. Mógłby zrobić wszystko.

- Skąd wiesz, że to twój mąż Paco ukradł chłopca? - spytał Joselito.

- Bo już wcześniej próbował, jakieś cztery miesiące temu w Caceres. Widziałam go. Próbował wyrwać mi Rafaela, ale walczyłam z nim, potem ktoś nadszedł i Paco uciekł. A w noc, kiedy zniknął Rafael, ludzie mówili, że widzieli łysego Cygana w mieście. W Kordobie, bo tam mieszkamy. To musi być Paco.

- Czas się zgadza - wymruczał Joselito. - Kiedy jeszcze był jednym z nas, nie ośmieliliby się złamać prawa Romów w taki sposób. Ktoś mógłby się dowiedzieć. Teraz... - wzruszył ramionami.

Raz jeszcze Sofia ruszyła do wyjścia. - Muszę iść. Muszę z nim pomówić.

- Nie sędzę, żebyś mogła kiedykolwiek z nim porozmawiać - rzucił za nią Joselito.

Sofię zmroziło. Wolno odwróciła się do niego. Joselito wyglądał na głęboko zadumanego. - Dlaczego nie? - spytała głosem, który był ochryłym szeptem.

- Bo on się przed tobą ukryje. Spodziewa się, że przyjdiesz w poszukiwaniu chłopca. To o to chodzi, Sofio. On chce zemsty, nie pieniędzy. Po twoim odejściu Fanta powiedziała wszystkim, że twój mąż kłamie i że to on zabił dziecko. Nie mogła tego udowodnić, a ciebie nie było, żebyś przemówiła w swojej sprawie, ale wielu uwierzyło Fancie. Po tym wszystkim życie nie było takie... - zawahał się - takie miłe dla niego. I nie mógł wziąć następnej żony, nawet gdyby któreś z plemion dało mu jakąś, a pewnie nie. Może dlatego robił te... te... niewypowiedziane rzeczy ze swoją siostrą. I został wygnany, a teraz wini ciebie i chce odwetu.

Sofia nie mogła zapanować nad drżeniem ciała. - Więc Rafael jest w większym niebezpieczeństwie, niż myślałam.

Nikt jej nie odpowiedział. Joselito wstał i podszedł do niej.

- Chodź, odprowadzę cię do wyjścia. - W milczeniu zeszli wąskim korytarzem. Kiedy byli przy wyjściu, ujął jej dłoń. - Sofio, przykro mi. To miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że pomógłbym ci, gdybym mógł. Ale prawo to prawo. Wiesz, jak to musi być. Jeśli usłyszysz cokolwiek o chłopcu imieniem Rafael, przyjdę i powiem ci.

- Dziękuję - wyszeptwała. - Będę tu. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby porozmawiać z Pakiem.

- Lepiej, żebyś wróciła do Palacio Mendoza - rzekł Joselito.

- Skąd wiesz...

- Wiem o tobie wszystko - przerwał jej Joselito. - Nawet to, że nazywają cię Gitanita, i co robiłaś, kiedy obcy toczyli wojnę. To mój obowiązek, żeby wiedzieć. Jestem teraz wodzem plemienia, a ty jesteś córką ognia - niezależnie od tego, kim jesteś poza tym.

Joselito schylił głowę i pierwszy wyszedł z jaskini. Była już noc, dzieci odeszły. Ale plac nie był pusty. - Nie ruszaj się - rzekł jakiś głos. Joselito spojrzął na lufy dwóch pistoletów wymierzonych w swoją pierś. - Szukam kobiety znanej jako Sofia, Gitanita. Powiedz mi, gdzie ona jest, albo cię rozwalę.

- Nie ma potrzeby tego robić, senior - rzekł spokojnie Joselito.

- Ta kobieta jest tuż za mną.

- Robert? To ty? - Sofia odepchnęła Joselita.
- Sofio, dzięki Bogu, nic ci nie jest. Znalazłaś Rafaela?
- Nie. I możesz odłożyć swoje pistolety. To wódz mojego plemienia.

Na te słowa Robert przyjrzał się jej uważnie. Znowu stała się Cyganką, którą po raz pierwszy widział śpiewającą w posadzie. Zastanowił się, czy donia Sofia kiedykolwiek wróci. Zatknał za pas pistolety. - Mówisz, że Cyganie nie porwali Rafaela?

- Nie wszyscy Cyganie. Tylko jeden. Ma na imię Paco.
- Jesteś pewna? Przytaknęła.
- Więc gdzie, do cholery, jest ten przeklęty Paco? Dlaczego stoimy tu i gadamy? Chodźmy go złapać.

Sofia zawahała się. Zastanawiała się, czy konfrontacja zakończy się sukcesem. Cyganów było wielu, a ich tylko dwoje, ale Robert miał pistolety. Nigdy nie widziała pistoletów w jaskini Paca.

Joselito milczał, obserwując tych dwoje. Robert zwrócił się do niego: - Jak ci na imię?

- Mówią mi Joselito. Jak powiedziała Sofia, jestem wodzem jej plemienia.

- Posłuchaj - rzekł Robert. - Paco to ten wielki Cygan z łysą głową, zgadza się? - Zwrócił się do Sofii: - To ten, którego widziałem tamtej pierwszej nocy w posadzie, tak?

- Tak. To mój mąż.
- Gdzie on jest? - spytał znów Robert. - Tutaj?
- Jest, ale nie tak jak myślisz.

Sofia wyjaśniła. Robert słuchał uważnie. - Dobrze - rzekł, kiedy skończyła. - Więc żaden Cygan nie może z nim rozmawiać, a on będzie się miał na baczności przed tobą. Ale ja nie jestem Cyganem, mnie on się nie spodziewa. Zabierz mnie do tej jaskini, a policzę się z nim.

Joselito wziął szybki, krótki oddech. Pogwałcenie świętości cygańskiej jaskini, w tym wypadku przyprowadzenie obcego, było nie do pomyślenia. Gdyby coś takiego się zdarzyło, wojna pomiędzy plemieniem Paca a jego własnym ciągnęłaby się przez całe pokolenia. - Ona nie może tego zrobić - powiedział. - To jest sprzeczne z prawem Romów.

- Jaki rodzaj prawa uznajesz? - upierał się Robert. - Czy najważniejsze nie jest to, że ten Paco ukradł mojego syna?

Sofia zachłysnęła się powietrzem. Joselito spojrział na nią. - To jest ojciec chłopca?

- Nie - powiedziała stanowczo.

- Tak - Robert patrzył na nią, nie na Joselita. - Owszem, jestem ojcem Rafaela. - Mówił cicho, bez emocji. - Jestem, prawda, Sofio?

Walczyła zbyt długo i żyła z myślą utraty Rafaela przez cztery nie kończące się dni i noce. Nie spojrzała Robertowi w oczy. Jej głos był tak cichy, że obaj mężczyźni musieli się ku niej pochylić. - Tak, ale to niczego nie zmienia.

- To zmienia wszystko - powiedział cicho Robert.

Sofia otworzyła usta, ale to Joselito przemówił. - Tak, to coś zmienia. Prawo mężczyzny do chronienia syna jest najważniejszym prawem Romów. Pan nie jest Romem, senior, ale może... Nie mogę sam podjąć decyzji, musi ją podjąć rada plemienia. Zaczekaj tutaj. - Odwrócił się i odszedł.

- Skąd wiedziałaś? - spytała Sofia bezbarwnym głosem.

- Stąd, że przez cały ten czas, kiedy tu jechałem, mogłem myśleć tylko o Rafaelu. I z tego, co czuję do niego. Kocham go, Sofio. Kiedy tylko dałem dojsć do głosu swoim instynktom, powiedziały mi, że on jest mój. Dlaczego mnie okłamałaś?

Potrząsnęła głową. - Nie mogę tu teraz tego wyjaśnić.

Skinął głową i nie naciskał. Mijały minuty. - Dokąd, do cholery, poszedł ten Joselito? Czemu to tyle trwa?

- Rozmawia z mężczyznami naszego plemienia. Ty i ja możemy tylko czekać.

- Musisz znać drogę do jaskini tego morderczego drania. Byłaś jego żoną.

Sofia potrząsnęła głową. Była zbyt zmęczona, żeby teraz wszystko wyjaśniać Robertowi. - Poczekaj - powiedziała. - To już nie potrwa długo. I będziemy mieli większe szanse, jeśli... - Jej słowa przerwało przybycie Joselita i dwóch innych Cyganów.

Joselito skinął na Roberta. - Chodź. - Sofia chciała ruszyć za nim. - Nie - powiedział jej. - Nie możesz być z nami. To coś dla mężczyzn. Ma być ojciec dziecka, nie ty. - Odstąpiła i pozwoliła, by weszli do jaskini bez niej.

W jaskini nie było śladu Paca. Do przodu wystąpił mężczyzna, Chichi, którego po wygnaniu Paca wybrano na wodza plemienia.

- Witaj, Joselito. - W jego oczach nie było radości na widok gościa. Nie byli przyjaciółmi - poza tym Joselito i trzech mężczyźni, którzy z nim weszli, wyglądali na poważnych i rozgniewanych. Chichi przyjrzał się ich twarzom. Przerwał, kiedy doszedł do czwartego.

- Przyprowadziłeś obcego do mojej jaskini. To sprzeczne z prawem Romów. Dlaczego?

- Ponieważ jest tu ktoś, kto złamał wyższe prawo. Jeden z was ukradł syna tego mężczyzny.

Chichi rozejrzał się po mężczyznach swojego plemienia. W niczyich oczach nie dostrzegł śladu winy. - Żaden z nich nie zrobiłby czegoś takiego. Oczywiście, gdyby dziecko trafiło w ręce któregoś z nas i gdybyśmy przypadkiem wiedzieli, że w grę wchodziłby okup...

- Znowu przyjrzał się współplemieńcom. Wciąż nie było reakcji. Chichi odwrócił się do Joselita: - Mylisz się i zbezczęściłeś moją jaskinię.

- Nie myślę się. A ten przestępca nie jest jednym z nich.

- Kim więc jest? Jesteśmy tu wszyscy... - Cygan zamilkł. - Ach - powiedział. - Rozumiem. - Kiwnął głową w stronę najciemniejszego kąta.

Wszyscy odwrócili się w stronę wskazaną przez Chichiego, ale było tam zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Jeden z ludzi Joselita wziął świecę ze stołu i oświetlił ciemny kąt. Paco przycupnął w nim jak zwierzę. Od czasu wygnania zrobił się bardzo szczupły. Był brudny, w łachmanach. Jego spojrzenie błędziło z miejsca na miejsce, w poszukiwaniu drogi ucieczki. Nie było żadnej, Joselito i jego ludzie zablokowali jedyne wyjście.

Joselito zwrócił się do Chichiego: - Psie gównu nie istnieje dla żadnego Cygana. Odejdźmy i zostawmy go z obcym. Ten spór jest pomiędzy nimi.

Było to jakieś rozwiązanie, ale Chichi się zawahał. Pomysł zostawienia jaskini obcemu zdecydowanie mu się nie podobał. Niemniej jednak już została zbezczeszczona i będą musieli ją oczyścić wieloma czarami i rytuałami. W końcu skinął głową i wyprowadził ludzi swoich i Joselita.

Robert spojrział na Paca. - Mamy parę rzeczy do obgadania, Cyganie.

- Nie. Nie mam ci nic do powiedzenia, obcy. Odłóż swój pistolet. Nie przeraża mnie. Jeśli mnie zabijesz, nigdy nie znajdziesz chłopca.

Ale i tak się niczego nie dowiesz. - Roześmiał się cicho. - Nigdy ci nie powiem, gdzie on jest. Jest w bezpiecznym miejscu i z każdym dniem jest coraz słabszy i coraz bardziej chce mu się pić. Idę tam i obserwuję go. Daję mu może tydzień. Potem będzie martwy.

Robert przez chwilę wpatrywał się w złe oblicze. Potem odłożył pistolet i wyciągnął nóż z kieszeni surduta. - Myślę, że powiesz mi to, co chcę, Cyganie. To tylko kwestia czasu.

Wszyscy ludzie z plemienia Chichiego i Joselita czekali na placu, kiedy pojawił się Robert. Przez czterdzieści minut był sam z Pakiem. Słyszeli krzyki, ale nie strzał. Teraz zauważyli, że pistolety obcego są zatknięte za jego pas. Wyglądał na bardzo spokojnego, ale jego biały gors i czarny płaszcz były przesiąknięte krwią.

Kilka kobiet przeżegnało się. - Żyje jeszcze? - spytał ktoś. Robert potrząsnął głową. Chichi wcisnął się do środka, nikt inny się nie ruszył.

Robert wyłuskał z tłumu Sofię. Stała sama w pewnej odległości od innych. Oczy miała zamknięte, wydawało się, że jest pogrążona w modlitwie. - Sofio - powiedział cicho. - Wiem, gdzie jest Rafael. Możemy iść po niego.

Wydała jeden zduszony krzyk i podbiegła do niego. Zobaczyła krew, ale myślała o Rafaelu. - Wszystko z nim w porządku? Gdzie on jest?

- Łajdak przysiągł, że Rafi wciąż żyje. Jest w jakimś starym budynku. Numer trzy, Calle Santa Ana, wiesz, gdzie to jest?

- Tak, wiem. - Ruszyła biegiem ze wzgórza, które prowadziło do obcej części Triany. Robert pobiegł za nią.

- Sofio, zaczekaj! - Chichi pospieszył do nich. Sofia zatrzymała się na chwilę, by mógł ich dogonić. - To dla ciebie. - Wcisnął jej w rękę coś zawiniętego w starą bandanę. - Twój mąż nie żyje.

- Spojrzał na Roberta i Sofia dostrzegła w jego wzroku lęk, a może przerażenie. - Paco nie miał lekkiej śmierci - wymruczał Chichi.

- Ale nie zasłużył na nią. Nie będziemy go opłakiwać.

Sofia nie odpowiedziała. Wcisnęła do kieszeni spódnicy to coś, co dostała, odwróciła się i pobiegła. Robert wahał się przez chwilę, wymienił z Cyganem jeszcze jedno spojrzenie i pomknął za nią.

Calle Santa Ana była wąską aleją o rzut kamieniem od rzeki. Widzieli maszty trzech statków w pobliskich dokach i słyszeli odgłosy prac na pokładzie, ale sama aleja była opustoszała. Robert rozejrzał

się dookoła. Było tu wiele budynków i żaden nie miał numeru. - Mówił, że to magazyn, ale teraz opuszczony.

Sofia nie zapytała, co zrobił, żeby zmusić Paca do mówienia. Nie obchodziło jej to. Odór w alei był powalający, ale nie zwracała na to uwagi. Chciała wołać Rafaela, wykrzyknąć jego imię i nasłuchiwać odpowiedzi, ale nie ośmieliła się. To było miejsce żebraków i wyrzutek, złodziei, którzy zabiliby za jednego reala. Mówili szeptem, a Robert wyciągnął jeden ze swoich pistoletów. - Numer trzy to powinien być trzeci od rzeki - wymruczała.

- Tak - Robert przysunął się bliżej wylotu ulicy i odliczył budynki. Trudno było powiedzieć, gdzie jeden się kończył, a drugi zaczynał, bo odrapane ściany zdawały się stanowić całość. Znalazł trzecie drzwi po lewej i spróbował je otworzyć. Były zaryglowane.

- Mógłbym odstrzelić zamek - rzekł w wahaniem. - Ale ten dźwięk na pewno sprowadziłby na nas kłopoty.

- Zaczekaj. - Sofia odwróciła się i przyjrzała się trzecim drzwiom po drugiej stronie alei. Dwa ich skrzydła, rozeschnięte i połamane, wisiały przekrzywione na zawiasach. - To raczej te, prawda?

- Tak sądzę - Robert poczuł falę nadziei.

Zniszczone drzwi były przywalone dużym kamieniem. Robert odsunął go na bok, a jedna z drewnianych desek poluzowana zakołysała się hałaśliwie. Weszli do jakiegoś korytarza. Kamienie były śliskie od mułu, rzeczne błoto wysoczyło się na nie z niewidzialnego źródła. Pół tuzina kotów miauczeniem powitało z niezadowolaniem intruzów i rozpierzchnęło się.

- Tędy - Robert wskazał następne drzwi. Te były zamknięte drewnianą belką. Wyciągnął ją i pchnął skrzydło. Znaleźli się w rozległej przestrzeni ciemnej jak noc. Odór panował tu jeszcze gorszy - kanalizacja rzeczna zmieszana z kocimi odchodami. Robert był zły na siebie, że nie wziął pochodni czy choćby świeczki z jaskini Cyganów.

- Rafi - zawołała Sofia cicho. - Rafi, kochanie, jesteś tu? To mama, malutki. Przyszłam zabrać cię do domu.

Słuchali, ale nie było odpowiedzi.

- Musimy wymacać drogę wzdłuż ścian - powiedział Robert.

- Nie ma innego sposobu. Ty pójdziesz jedną stroną, ja drugą. Zawołaj, jeśli znajdziesz drzwi czy coś w tym rodzaju.

To była scena jak z najgorszego koszmaru. Raz Sofia potknęła się i upadła w błoto, ubrudziła spódnicę i dłonie. Zerwała się na nogi i dalej wodziła rękoma po kamiennych ścianach. Właśnie doszła do rogu, kiedy usłyszała, że Robert ją woła. - Sofio, tutaj. Idź za moim głosem, tu jest coś w rodzaju schodów.

Dołączyła do niego i zeszli po wąskich, kręconych stopniach, które chyba wiodły do piekła. Robert prowadził. Trzymała się jego ramienia, więc jedną wolną ręką opierał się o ścianę, by utrzymywać równowagę, a w drugiej trzymał pistolet. Znaleźli się na dole. - Tam jest woda. Trzymaj się mocno przez chwilę. Nie, w porządku, sięga tylko do kostek. Rafi! - zawołał. - Rafi, słyszysz mnie? Jesteś tu?

Sofii zdawało się, że słyszy stłumiony dźwięk. - Rafi, to mama, kochanie. Gdzie jesteś? - Przerwała i nasłuchiwała. - Słyszałam coś - wyszeptała do Roberta. - Gdzieś z lewej.

Przesunęli się w kierunku, z którego według Sofii dobiegł dźwięk. W piwnicy były ogromne słupy, podpory podtrzymujące podłogę powyżej. Robert znalazł pierwszy z nich, kiedy uderzył w niego, pozostałe ominął starannie. Rafael był przywiązany do czwartego.

Siedział w wodzie, zakneblowany, z rękoma i stopami przywiązanymi wokół drewnianego filara. Sofia uklękła przy nim i przytuliła go, na ile mogła w tej pozycji. - Wszystko dobrze, kochanie, już wszystko dobrze. Jesteśmy tu. Zabierzemy cię do domu. To już koniec, kochanie.

- Trzymaj się, chłopcze - wymruczał Robert. - Uwolnimy cię, zanim policzysz do trzech. - Odłożył pistolet i sięgnął po nóż do kieszeni. Było za ciemno, żeby coś zobaczyć, ale nagle uświadomił sobie obecność krwi na nożu i przypomniał sobie, skąd się tam wzięła. Otarł go o bryczesy, zanim wyjął knebel z ust Rafaela.

- Mamusia i kuzyn Robert - wyszeptało dziecko. Jego świszczący, słaby głos drżał, ale słowa były silne i pewne. - Wiedziałem, że przyjedziecie.

- Dobry chłopiec. - Robert przeciął sznury krepujące ręce i stopy Rafiego. - Dobry, dzielny mały Mendoza. Wiedziałem, że taki będziesz.

- Tak bardzo chce mi się pić - powiedział Rafi. - Nie piłem od wielu dni. Cygan powiedział, że da mi coś, ale nie dał.

- Jeszcze troszeczkę - odparła Sofia. - Jeszcze troszeczkę, moje kochanie, i zabierzemy cię stąd, i będziesz miał tyle picia, ile zapragniesz.

- Już, jest wolny - Robert odrzucił ostatni węzeł i podniósł chłopca. Jak najszybciej ruszyli przez piwnicę w kierunku schodów.

Zdawało się to trwać wieczność, ale w końcu wydostali się na parter, potem przez podwórze i na aleję. Robert przystanął i czekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do światła księżyca. Rozglądał się, próbując zdecydować, w którą stronę się udać, kiedy zobaczył zbliżającą się do nich postać.

- Masz, weź go. - Wcisnął Rafaela w ramiona Sofii, wyciągnął pistolet i odwiódł kurek.

Postać wyglądała jakoś znajomo, ale była oświetlona od tyłu i trudno było ją rozpoznać.

- Don Robercie, donia Sofia, to wy?

- Enrique - krzyknęła Sofia. - To my. Mamy Rafaela.

Enrique pobiegł ku nim. - Dzięki Bogu, Maryi Pannie i wszystkim świętym. Dojechałem tu powozem, sir. Wyglądało mi, że będzie pan musiał jakoś zabrać donię Sofię i dziecko do pałacu, jak już ich pan znajdzie. Pojechałem do jaskiń Triany i ktoś, kto mówił na siebie Joselito, powiedział mi, dokąd państwo poszli.

- Dobry człowiek - rzekł Robert. - Pewnie nie masz pod ręką nic do picia. Chłopiec jest straszliwie spragniony.

Enrique uśmiechnął się szeroko. Jego zęby błysnęły bielą w świetle księżyca.

- Mam w powozie, hidalgo. Tu zaraz stoi, a wziąłem dzban wody z fontanny na drugim końcu miasta.

Po swoich pierwszych odważnych słowach Rafael nie powiedział już nic. Po prostu przylgnął do matki, zaciskając ciasno ramiona wokół jej szyi. Kiedy w końcu mogli dać mu wody, o którą prosił, pił ją chciwie, potem łkając padł na pierś Sofii.

Robert patrzył na dziecko, które było jego synem. Patrzył, jak Sofia go przytula, z oczyma przymkniętymi i uczuciem ulgi. Nie czuł bynajmniej żadnej skruchy za to, co zrobił Cyganowi w jaskini. - Zabierz nas do Palacio - powiedział do Enrique'a. - Zabierz nas do domu.

Pierwsze zimowe deszcze nadeszły trzy dni po ich powrocie do Kordoby. Robert stał przy małym, okratowanym oknie gabinetu,

wyglądając na błoto na drodze Calle Averroes. Przyszło mu do głowy, że gdyby deszcze przyszły, zanim znaleźli Rafaela, rzeka by się podniosła, a z nią woda w piwnicy opuszczonego magazynu. Chłopiec by utonął. A gdyby nie utonął, Cygan zagłodziłby go na śmierć. Tak czy owak, nie zobaczyłby Rafaela po tym, jak zdał sobie sprawę, że ten jest jego synem.

Weszła Sofia, podeszła do biurka i zajęła się jakimiś papierami.

Nie byli sami, odkąd opuścili Sewillę. Od chwili gdy weszli do pałacu, Sofia nie odstępowała chłopca. - Rafi teraz śpi - powiedziała. - To chyba jego pierwszy prawdziwy sen. Obserwowałam go, jest całkowicie spokojny. Bez koszmarów. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zajrzę do rachunków domowych. Kiedy byłeś w Jerez, sprzedawałam parę rzeczy, więc mogłam zapłacić służbie przynajmniej połowę uposażenia. Nie martw się, byłam bardzo dyskretna.

Zignorował jej paplaninę. - Dlaczego mnie okłamałaś?

Wahała się, ze wzrokiem wbitym w księgę. - Nie miałam śmiałości powiedzieć ci prawdy - odpowiedziała w końcu. - Nie mogłam pozwolić, żebyś odrzucił moje dziecko, tak jak odrzuciłeś mnie.

- Nie odrzuciłem cię. Nie w taki sposób, jak myślisz. Byłem nieprzytomny, chory. Postawiłem wszystko na jedną kartę i przegrałem.

- A Mendozowie nie przegrywają. Wiem. Ale mnie i tak odrzuciłeś.

- Masz na myśli to popołudnie w domu na farmie? - Patrzyli na siebie, odżyła między nimi pamięć o tych godzinach, kiedy ich ciała były sobie oddane i osiągnęły tyle rozkoszy. - Kiedy powiedziałaś, że mnie kochasz - dodał cicho Robert.

- Kiedy Rafael został poczęty - zgodziła się Sofia. Poczuli coś między nimi - potężny strumień siły, który uwiązywał ją do tego mężczyzny, a oboje ich do ich syna. Czy on też to czuł? Próbowwała czytać w jego oczach. Przypatrywały się jej twarzy, ale nie mogła powiedzieć, jakie myśli skrywały się za nimi. Czy znał jej uczucia, czy zdawał sobie sprawę, że ona wciąż go kocha? Nie, było za wcześnie. Zbyt wiele się zdarzyło. - Odrzuciłeś mnie, gdy Rafael zaczął istnieć - powtórzyła. - I znowu kilka dni później. Przyjechałam tu do pałacu. Próbowaliśmy się z tobą zobaczyć. Dobijałam się do

każdej bramy. Wiedziałałam, że jesteś w środku, że mnie słyszysz, ale nie wpuściłeś mnie.

Przytaknął, jego brązowe oczy nie odrywały się od jej twarzy.

- Słyszałem cię. Byłem w Patio de los Naranjos.

- Więc nie pytaj mnie, dlaczego nie powiedziałam ci o Rafaelu. Nie naraziłabym go na odrzucenie.

- Rozumiem, dlaczego wtedy nic nie powiedziałaś, ale nie teraz, nie odkąd go tu przyprowadziłaś. Musiałaś wiedzieć, że nie jest mi obojętny. Ale gdyby Rafael nie został porwany, wciąż bym nie wiedział, że to mój syn. Nie powiedziałaśbyś mi, prawda? - Zbliżył się do niej o krok. Przez chwilę myślała, że może weźmie ją w ramiona. Ale nie wziął, wciąż domagał się więcej wyjaśnień i wyznań. - Tak wygląda prawda, nie mam racji?

- Tak.

- Dlaczego? Niech cię diabli, Sofio! Nie miałaś prawa. On jest moim synem. Moim tak samo jak twoim.

- Nie, nie tak samo. Byłeś tylko w połowie mężczyzną, zamknąłeś się w więzieniu, które sam sobie zrobiłeś. Musiałeś wyjść na światło dzienne, Robercie. Wtedy byłbyś wart Rafaela.

- Ale przywiozłaś go tutaj. Dlaczego to zrobiłaś, skoro zamierzałaś odmówić mi prawa bycia jego ojcem?

- Zamierzałam go tu przywieźć. Nie chciałam pozbawiać syna dziedzictwa. Wojna kazała mi działać szybciej, niż planowałam.

Ramiona Roberta zadrżały, a on sam odwrócił wzrok. Sofia poczuła, jak napięcie pomiędzy nimi łżeje, potem znika. Miała słusność; wciąż było za wcześnie. Robert był prawie wyleczony, ale nie do końca. Nie był jeszcze gotów do jej miłości.

Znowu wyjrzał na błotnistą ulicę i zacinający deszcz. - Teraz to nie ma znaczenia, jak sądzę. Co mogę mu dać? Pałac, trochę ziemi i winnic i żadnych pieniędzy na ich utrzymanie czy na godziwe życie. Miałem ci powiedzieć, że nie ma nadziei na żadne dochody z Jerezu. Przynajmniej przez jakiś czas.

Oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona i powiedział jej, co z bodegą.

- Więc większość wiadomości jest zła - zakończył. - Napisałem wczoraj długi list do Liama, ale nie wiąże z nim zbyt wielkich nadziei. Nawet jeśli zdołam mu go dostarczyć i jeśli przypadkiem on wciąż chce uznawać mnie za swojego brata i połączyć znowu Londyn z

Kordobą. O ile słyszałem, sytuacja w Anglii jest taka, że Liam nie będzie miał pieniędzy na import sherry, a nie znajdzie wspólnika. Młody Federico może sporządzić ambrosję, ale jeśli bogowie nie zjedzą z Olimpu, nikt jej nie wypije.

Obserwowała go z rosnącą ekscytacją. Mówił jak hidalgo - pewnie, logicznie, obejmując myślą szczegóły. Kiedy doszedł do części o nowej sherry, którą zrobił Federico Ruez, chciała głośno się roześmiać. Przez chwilę w jego oczach tańczył dawny ogień, a jego opis wina sprawił, że niemal poczuła jego smak.

- Leche de Jerez. Podoba mi się to, Robercie, naprawdę mi się podoba. A pomysł przewożenia go w butelkach z etykietą jest genialny.

- Może. Ale dużo dobrego nie będziemy z tego mieli, jeśli sprawy stoją tak, jak stoją.

- To się zmieni - powiedziała Sofia z pewnością siebie. - Jeśli tylko wytrzymamy, Wellington to zmieni.

Zaśmiał się cicho. - Wciąż liczysz na swojego wielkiego angielskiego boga Wellingtona? Cóż, może masz słuszość, może on uczyni cud. - Podeszedł do półek i zdjął kilka ksiąg. - Póki co, zobaczę, jakich dochodów możemy się spodziewać z farmy i innych źródeł. Możemy równie dobrze wytrzymać, jak to ujęłaś. Nie ma sensu poddawać się już w tej chwili.

- Nie, nie ma.

Podeszła do drzwi, zatrzymała się i obejrzała na niego. Nie zrezygnuję też z niego, pomyślała. Będę pracować i czekać, i któregoś dnia wszystko będzie tak, jak ma być. Któregoś dnia on pokocha mnie tak, jak ja kocham jego.

Później, w swoim pokoju, przypomniała sobie o zawiniątku, które dał jej Chichi. Do tej pory o nim nie pomyślała.

Wciąż miała spódnicę, którą nosiła tamtej nocy. Choć była przemoczona i brudna, była symbolem pokoju, który ona zawarła ze swoim plemieniem, jej ostatecznego uwolnienia od ciągłej udreki nienawidzenia Paca i modlenia się o zemstę, symbolem ocalenia jej syna. Nigdy jej nie wyrzuci.

Sięgnęła do kieszeni spódnicy. Pacuszka wciąż tam była, zawinięta w starą, brudną bandanę. Rozplątała węzeł, rozwinęła pakunek i przyglądała się rzeczy, którą trzymała w dłoni. Był to

kolczyk w kształcie węża z rubinem na języku. Kolczyk wciąż był przyczepiony do ucha Paca.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Piątej nocy po uratowaniu Rafaela deszcz ustał, księżyc zniknął, wiatr ucichł, a gwiazdy świeciły jak niebiesko - białe brylanty. Dziecko spało spokojnie, ale Sofię męczyły marzenia, pragnienia i nadzieje. Robert spał tylko trochę. Myślał o swoim synu, o jego matce i o rodzinie w Anglii, która nagle zdała mu się równie odległa jak jakaś planeta na niebie.

Usłyszał, jak zegar w przejściu za jego sypialnią wybija czwartą. Sen wciąż nie nadchodził. Odrzucił kołdrę, podszedł do drzwi balkonu, otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

Najpierw uderzyło go zimno - przesywające, ostre zimno, którego nie doświadczył, odkąd jedenaście lat temu opuścił Londyn; potem zobaczył lód. Mienił się w świetle gwiazd, oszronił poręcz balkonu i pnie drzew i krzewów w patiu. Mróz w Andaluzji w listopadzie; to było coś, o czym nie słyszał, coś zdumiewającego. - Świat zwariował - wymruczał pod nosem i zastanowił się, jakie zmiany na morzach to zapowiada. Zadrżał i wrócił do łóżka.

Rano na domowników czekały lodowate kamienne ściany i marmurowe podłogi. Sofia zarządziła rozpalenie w dwunastu piecykach i rozmieszczenie ich w pałacu. Służący byli ospali i powolni w reakcji, odrętwiali niecodzienną pogodą. Angelina krążyła, mrużąc pacierze i zaklęcia i raz po raz się żegnając. - Este tiempo no es bueno, seniorita. Hace mal.

- Nie będzie tak źle, jeśli zrobisz to, co ci mówię - powiedziała Sofia cierpko. - Powiedziałaś Puri, żeby napaliła w piecu?

- Ay! Oczywiście, że powiedziałam, ale Puri robi to, co chce. Ona nie czuje zimna, bo jej się pali w środku.

- Angelina, o czym ty mówisz? Powiedz Puri, że chcę, żeby węgiel natychmiast był gotów. Jeśli tego nie zrobi, wieczorem nie będzie już tu pracować.

- Seniorita, nie może pani odesłać Puri, jeśli nie odeśle pani Enrique'a.

- Co masz na myśli? Enrique jest ze mną od lat, on... - przerwała i przyjrzała się gospodyni. - Chcesz powiedzieć, że Puri i Enrique mają romans?

- Si, seniorita.

- Ale Puri jest przynajmniej dziesięć lat starsza od Enrique'a, może więcej.

Angelina wyszczerzyła zęby w uśmiechu i przyłożyła rękę do gardła. - Odtąd w górę to może. Odtąd w dół jest dzierlatką.

Sofia nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - No dobrze, skoro tak mówisz. Idź powiedzieć Puri, że jeśli przygotuje węgiel i jeśli rozpali piec w ciągu godziny, hidalgo wyprawi największe wesele, jakie kiedykolwiek widziała. Osobiście wszystkiego dopilnuję.

- Pomoże jej pani złapać Enrique'a, żeby się z nią ożenił?

- Dlaczego nie? Pomogę jej we wszystkim, jeśli od tego zrobi się tu cieplej.

Angelina odzeglowała uśmiechnięta, a Sofia ruszyła ku schodom. Potrzebowała drugiego szala z pokoju. Ale do bramy przy Patio del Recibo zadzwonił dzwonek; usłyszała, jak jeden z ogrodników pospieszył otworzyć. Rozejrzała się. Angelina zniknęła już z pola widzenia i nie było w pobliżu nikogo ze służących. Pewnie wszyscy zgromadzili się w kuchni przy palenisku Puri. Sofia sama poszła do drzwi.

Do patia wjechał mały, czarny powóz. Ciągnęły go dwa konie nieokreślonej maści i był nie oznakowany. Woźnica nie miał liberii, a zasłony w oknach powozu były zaciągnięte. Drzwiczki otworzyły się i z powozu zaczęła wysiadać zawołowana kobieta ubrana w czerń. Nim jej stopa w pantoflu dotknęła podwórka, kobieta odwróciła się i powiedziała coś. Więc w powozie był ktoś jeszcze. Ktokolwiek to jednak był, nie zamierzał wysiadać. Kobieta zamknęła drzwiczki i podeszła do Sofii.

- Przyjechałam zobaczyć się z hidalgiem. - Jej głos należał do tych, które są przyzwyczajone do wydawania poleceń, i to natychmiast wypełnianych.

- Jest bardzo zajęty - odparła Sofia krótko. - Ja zajmuję się wszystkimi sprawami pałacu.

- Nie tą. Proszę powiedzieć don Robertowi, że ma gościa.

Kobieta podniosła welon, który skrywał jej twarz. Sofia znieawidziła ją od pierwszego wejrzenia. Nie była młoda ani piękna, ale emanowała żywą zmysłowością, a sposób, w jaki wypowiedziała imię Roberta, czynił oczywistym, że nie są sobie obcy.

- Powiedz hidalgowi, że Maria Ortega życzy sobie z nim mówić.

- Poszła za Sofią do foyer i zaczęła ściągać rękawiczki. Sofia ani drgnęła. - Proszę, Gitanito - powiedziała Maria Ortega cicho. - To bardzo ważne. Myślę, że don Robert ucieszy się na mój widok.

Maria Ortega była dobrze poinformowana, nie tylko znała Roberta, lecz także wiedziała, kim jest Sofia; ale cała Hiszpania wiedziała, kim jest. A teraz cała Andaluzja wiedziała, że mieszka w Palacio Mendoza.

- Proszę tu poczekać - poleciła Sofia.

Nie wysłała służącego, by sprowadził Roberta. Poszła sama do jego sypialni i zapukała. - Robercie, ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Drzwi otworzył Tito, Robert właśnie kończył się ubierać; patrząc w lustro, wiązał biały szeroki krawat wokół szyi. Nie odwrócił się do niej. - Jaki gość? Nie możesz sobie z tym poradzić?

- Nie. Ona chce się zobaczyć z tobą.

- Ona? - Sięgnął po surdut, ale jego ręka zawisła w powietrzu.

- Tak, najwidoczniej stara przyjaciółka. Bardzo atrakcyjna, zachowuje się jak królowa. Mówi, że nazywa się Maria Ortega. - Obserwowała jego reakcję, ale Robert raczej wcale nie zareagował. - Długo ją znałeś?

Robert wymruczał wymijającą odpowiedź i dokończył wiązanie krawata. Tito porwał szczotkę i zaatakował jego ramiona. Robert otrząsnął się. - Nie teraz, Tito. Na dzisiaj jestem dość wyszczotkowany i wypolerowany.

Poszedł za Sofią i bez słowa już ruszył korytarzem. Sofia wahała się chwilę, rozważając, czy odejść do swoich zajęć i zostawić go, aby zajął się gościem. Nie, niech ich szlag. Nie była szczeniakiem, którego można przywoływać lub odsyłać na życzenie. Poszła za nim.

Robert był już u dołu schodów. Sofia patrzyła, jak wita się z kobietą. Maria Ortega zdjęła płaszcz i kapelusz; jej suknia też była czarna. Podkreślała białą skórę i rude włosy, które lśniły w przyćmionym świetle foyer. Wyciągnęła obie dłonie, a Robert je ujął, a potem wychylił się i ucałował ją w policzek. - Dobrze cię zobaczyć, Mario. Wyglądasz pięknie.

Sofia poczuła ukłucie żalu. Straciła go, jeszcze zanim zdobyła. Sposób, w jaki Maria Ortega odrzuciła głowę i przyjrzała się Robertowi, mówił wiele. Jej słowa też. - Ty też pięknie wyglądasz. Słyszałam rozmaite historie, Robercie, i tak bardzo chciałam, żeby były prawdziwe. Dlatego przybyłam. Byłeś martwy, a teraz żyjesz. Nie potrafię ci powiedzieć, jakie to wielkie dla mnie szczęście.

Uśmiechnął się do niej, potem poprowadził do salonu. - Wejdz, proszę, Mario. Nie możemy rozmawiać stojąc w przedsiionku.

Sofia popędziła w dół schodami i poszła za nimi. Nie podda się łatwo. To ona przywróciła Roberta do życia i nie zrobiła tego po to, żeby ta uzurpatorka mogła sobie przyjść i zażądać nagrody, która należała do niej. Robert zdawał się nieświadom jej wejścia do salonu. Chrząknęła cicho.

- Ach tak. - Odwrócił się do niej. - Donia Maria Ortega, chciałbym przedstawić donię Sofię, albo jak wszyscy o niej mówią, Gitanitę.

- Poznałyśmy się - lekko odparła Maria. - W pewnym sensie. Dodam jeszcze, że dziś mówi się o niej La Emperatriz. Cała Kordoba mówi, że odbudowuje pani fortunę Mendozów, donia Sofia, że jest pani cesarzową.

- Cała Kordoba kocha plotki, nawet najgłupsze. - Sofia podeszła do dzwonka i szarpnęła za sznur. - Nasz gość musi się pokrzepić, Robercie.

Robert nie skomentował tego, że przyjęła rolę gospodyni. - W rzeczy samej. Chciałbym zaproponować ci naszą nową sherry, Mario. Coś nadzwyczajnego o nazwie leche de Jerez. Usłyszysz jeszcze o niej.

- Doprawdy? Ale na pewno robisz ją dla Anglii, Robercie. To znaczy robiłbyś, gdybyś zdołał dostarczyć ją tam, a Anglicy mieli pieniądze, by ją kupić.

Zaśmiał się cicho. - Jesteś równie dobrze poinformowana i sprytna jak zawsze. I spostrzegawcza. Wiesz, że wystawiamy wielkie przedstawienie, a sprawy wcale nie wyglądają tak dobrze, jak wszyscy myślą.

- Tak to sobie wyobrażam, to prawda.

Weszła jedna z podwładnych Angeliny. Sofia nie wydała żadnych poleceń, ale służąca niosła tacę z karafką sherry i talerzem malutkich ciasteczek. Spod spuszczonej powiek patrzyła ciekawie na gościa i na Sofię. Choć cała służba schroniła się w kuchni, już miała świetny temat do rozmów, że hidalgo ma gościa płci żeńskiej, a jego pani jest wściekła.

Maria przyjęła małą szklaneczkę oloroso i grzecznie odmówiła ciasteczek. Robert wzniosł toast. - Za szczęśliwe spotkania, które nadejdą.

Sherry paliła Sofię w gardło. Nie nadejdą żadne szczęśliwe spotkania. Gotowa była sprawić, że ta wiedźma nigdy więcej nie

przekroczy progu Palacio Mendoza. Uśmiechnęła się słodko do gościa.

Maria Ortega nie zwracała uwagi na Sofię. Patrzyła uważnie na hidalga. - Robercie, chciałabym ci kogoś przedstawić. Czeka na zewnątrz w powozie.

Robert szybko spojrzął na drzwi, jakby oczekiwał, że natychmiast pojawi się w nich człowiek, tylko dlatego, że Maria o nim wspomniała. - Jeśli sobie życzysz - powiedział. Po tonie jego głosu znać było, że nie cieszy się tą perspektywą. - Ale ja wciąż wolę swoją prywatność, Mario. Nie jestem jeszcze gotów spotykać się z obcymi. Czy to jest coś, czym mogłaby się zająć donia Sofia? Jest nadzwyczaj kompetentna.

Sofia poczuła ogromną chęć, by wydrapać oczy i jemu, i tej rudowłosej dziwce. Kompetentna! Jakby była jakimś wynajętym lennikiem. Ona pokaże mu kompetencje.

Maria Ortega patrzyła na nią z lekkim półuśmieszkiem, jakby czytała jej myśli. - Nie - powiedziała, obserwując efekt, jaki jej słowa wywierają na Sofii. - To nie jest jej sprawa, Robercie. Chcę, żebyś poznał mojego męża.

Mężczyzna był dobrze zabezpieczony przed niedogodnościami aury. Miał na sobie czarny wełniany płaszcz, szal i sombrero z szerokim rondem, opuszczone na twarz. Wniósł ze sobą zimno. Sofia poczuła, jak wiruje wokół niego i wyciąga swoje macki, by ją zmrozić. Poczowała coś jeszcze - niebezpieczeństwo, tajemnicę i strach. Złożyła ręce i stała bardzo spokojnie, mówiąc sobie, że jest głupia i zmyśla. Ale wrażenie spotęgowało się jeszcze, kiedy nieznajomy zdjął kapelusz i odwiązał szalik. Od kącika jego ust do prawego ucha ciągnęła się długa, sina blizna.

- Brat Elias - powiedział cicho Robert. - Może powinienem był się domyślić. Od kiedy przebiera się pan za męża Marii?

- To nie jest przebieranka - powiedziała Maria. - On jest moim mężem. Pobraliśmy się szesnaście lat temu w Barcelonie.

- Ale o ile wiem, on jest mnichem.

- Był mnichem - powiedział mężczyzna.

Zdjął teraz płaszcz i usiadł swobodnie na jednym ze złoconych krzeseł salonu. Trudno było Sofii wyobrazić sobie jako zwykłego mnicha tę dramatyczną postać, która w pałacu zdawała się czuć zupełnie jak w domu. Jego głos był niski i wibrujący. Przyciągał jej

uwagę, chociaż brat Eliasz zwracał się wyłącznie do Roberta. - Zanim się poznaliśmy, nazywałem się Ricardo de Maya. Tak jest i teraz.

- Myślałem, że śluby zakonne są nieodwołalne - powiedział Robert.

- Zazwyczaj są. - Gość wziął kieliszek sherry napełniony przez Sofię. - Gracias, seniorita. Encantado de conocer La Gitanita. Todo el mundo sale su valor. - Sofia skłoniła głowę w uznaniu komplementu. Mężczyzna, który nazwał się de Maya, odwrócił się od niej i skierował pytanie do żony: - Powiesz mu, czy ja mam to zrobić?

Maria spojrzała na Roberta. - To nie jest szczególnie długa czy nadzwyczajna opowieść. Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane przez nasze rodziny. Ricardo i ja po raz pierwszy spotkaliśmy się w dniu ślubu. Z początku się buntowałam, ale kiedy go zobaczyłam, uznałam, że to nie najgorszy układ. Ricardowi trudniej było się podporządkować; chciał być księdzem. Kiedy po czterech latach małżeństwa stało się oczywiste, że nie będziemy mieli dzieci, zwrócił się do władz kościelnych z prośbą o unieważnienie i zdecydował się wstąpić do klasztoru.

De Maya podjął opowieść. - Odmówiono anulowania małżeństwa, ale pozwolono mi wstąpić do klasztoru Najświętszej Krwi Zbawiciela i złożyć czasowe śluby, które trwały przez ostatnie dwanaście lat. Biskup obiecał przejrzeć jeszcze raz moją sprawę, kiedy minie ten okres. Zanim to się stało, więzy pomiędzy Marią a mną były podtrzymywane przez nasze... - zawahał się - nasze wspólne interesy. A kiedy minęło dwanaście lat - wzruszył ramionami - biskup nie żył, a cała Hiszpania była skąpana we krwi.

- W rewolucji, którą pomogliście rozniecić - rzekł cicho Robert. Patrzył to na Marię, to na de Mayę, próbując odgadnąć, ile wie ten mężczyzna o poczynaniach swojej małżonki w czasie, gdy sam był zamknięty w klasztorze. Uznał, że wie wszystko. De Maya wiedział o kochankach Marii, bez wątpienia nawet to, że i Robert do nich należał. Był przygotowany żyć z tą świadomością dla sprawy, której oboje byli orędownikami. - Myślałem, że musi pan mieć dobry powód, by pozostawać w klasztorze - powiedział Robert. - Można uznać, że to miejsce odbywania pokuty, prawda?

De Maya odchylił się w krześle, wysączył sherry i przyglądał się Robertowi sponad krawędzi kieliszka. - Chyba pan nie rozumie, mój przyjacielu. Nie czuję żadnych wyrzutów sumienia za to, czego

próbowałem dokonać, tylko smutek, że się nie udało, ponieważ moi rodacy są zbyt głupi i zaślepieni swoimi grzechami, by zobaczyć wolność, kiedy ta jest na wyciągnięcie ręki.

Sofia aż się zachłysnęła. Docierał do niej powoli główny wątek tej rozmowy. Nie wiedziała nic o przeszłości tych trojga ludzi, co się wydarzyło pomiędzy nimi, ale nagle zrozumiała, że ten mężczyzna jest jakoś odpowiedzialny za zawieruchę, której była świadkiem w Hiszpanii. - Wielu dzielnych mężczyzn umarło, senior, na północy wciąż umierają. Bronią swojego kraju. Nie uważam, że są głupcami.

De Maya odwrócił się do niej. - Podziwiam ich odwagę, seniorita, podobnie jak podziwiam pani odwagę. To nie każe mi popierać idei czy programu, za który walczą.

- Tylko pańskie własne ideały i własny program - powiedział Robert.

De Maya wzruszył ramionami. - Może. Taka jest ludzka natura, prawda, Robercie? Ale tak się stało, że druga strona wygrywa, a moja przegrywa. Niektórzy bogaci ludzie, a wśród nich i ty, znają moją rolę w sprawie. Przeor klasztoru uznał, że byłoby rozsądnie, gdybym opuścił ten przybytek. Zdaje się, że naraziłem na ryzyko całą wspólnotę. Pojechałem do żony, ponieważ nie miałem dokąd pójść. Na szczęście była gotowa przyjąć mnie z powrotem.

De Maya i Maria uśmiechnęli się do siebie. Robert wyczuł między nimi jakąś szczególną zażyłość, coś niepodobnego do zwykłej więzi między mężczyzną a kobietą. Nie chciało mu się badać tego tropu.

- Dlaczego przyszliście powiedzieć mi to wszystko?

- Potrzebujemy twojej pomocy - powiedziała wprost Maria.

- A w zamian możemy coś zaoferować.

- Niewiele mogę pomóc - Robert spojrzał na Sofię. Chyba bardzo się przejęła rewelacjami, które usłyszała. Była wszak prawdziwą patriotką, która niedawno ryzykowała własnym życiem za swoje ideały - nic dziwnego, że te ciemne mactwa i intrygi zmroziły jej duszę. Robert wstał, wziął karafkę ze stołu i napełnił jej pusty kieliszek, starając się przy tym spojrzeć jej w oczy z uśmiechem. Dolał też sherry Marii i de Mai, potem znowu usiadł.

- Jak już wcześniej zgadłaś, Mario - powiedział - niewiele tu jest oprócz pozorów dawnej wielkości. Dom Mendozów w Hiszpanii jest

cały, ale martwy, mam powody obawiać się, że takie same warunki panują w Anglii. Jaką mogę być dla was pomocą?

- Kluczem jest Anglia - rzekł cicho de Maya. - W jakiegokolwiek kondycji znajduje się teraz twoja rodzina, masz koneksje w Londynie. My nie mamy żadnych.

- Ach, rozumiem - rzekł Robert. - Chcecie jechać do Anglii. Czy mam napisać list polecający?

- I nie tylko - powiedziała szczerze Maria. - Ricardo, powiedz mu wszystko.

- To krótka historia - zaczął były mnich. - Po pierwsze, teraz w Hiszpanii nie ma centralnej władzy. Jak wiesz, każdą prowincją rządzą miejscowe junty. Biją własne pieniądze i tworzą własne armie.

A propos, don Robercie, niech pan nie pozwoli Faroli i innym książętom w Sewilli funkcjonować bez pana zbyt długo. Krają sprawy tak, jak im pasuje, w nadziei, że zbiorą je do kupy, zanim śpiący olbrzym Mendoza obudzi się i pożre ich. Sugeruję, żeby się tym pan zainteresował. Ale to dygresja, poza tym że jest to ta sama sewilska junta, która chce mojej głowy.

Opróżnił swój kieliszek wina, zanim przeszedł do dalszego wywodu. - Kolejna część opowieści dotyczy naszych tak zwanych kolonii w Ameryce. Przez czterysta lat były grabione przez królów, którzy twierdzili, że mają boskie prawo do swojej chciwości. Mieszkańcy Ameryki nie mają już zamiaru siedzieć i patrzeć, jak ograbiają ich ludzie tacy sami jak oni. Rio de la Plata jest w rzeczywistości dla nas stracone. W Buenos Aires ustanawiają własne prawa i zbierają podatki.

De Maya wychylił się do przodu i wbił w Roberta ciemne spojrzenie. - Obiecuję panu, że wkrótce te same rzeczy zdarzą się w Wenezueli, Kolumbii i Peru. Nadchodzą nowe czasy, Robercie. Ludzie będą kłaść kres tej chciwości.

Takie oczy Robert widział wcześniej w klasztornym ogrodzie, w ich otchłani lśniło światło fanatyzmu. Kiedyś stracił wszystko, stając po stronie mnicha. Czy teraz miał popełnić ten sam błąd z de Mayą? Czy miał jeszcze jakieś szanse, czy zniósłby następną klęskę? Do Roberta nagle dotarła pewna prawda. Wbrew wszystkiemu, przez co przeszedł, nadal nie chciał po prostu wierzyć. W jego wnętrzu wciąż płonęły dawne ognie. Chciał władzy i bogactwa, nie po prostu dla siebie, dla Rafaela. Czas, potrzebował czasu, by ocenić sytuację i

dwoje fanatyków siedzących z nim. - Zauważyłem, że nie wspomniałeś

O Filipinach i Indiach Zachodnich. Czy tam też spodziewasz się rewolty?

- O Filipinach nic nie wiem, nigdy nie miałem stamtąd dobrych doniesień. A jeśli chodzi o Indie Zachodnie, tak sądzę. Może Kuba i Puerto Rico pozostaną pod panowaniem Hiszpanii, ale Hiszpania już jest częścią Francji. Hiszpańska część wyspy na pewno się rozpadnie.

I jeszcze Jamajka - dodał powoli. - Jamajka jest brytyjska od 1655 roku.

Robert w głębi duszy odetchnął z ulgą. Teraz wszystko zobaczył. Poznał sposób rozumowania tego mnicha obróconego w rewolucjonistę. Nagle poczuł się przy władzy, ale ton jego głosu tego nie zdradził. - I dlatego właśnie brytyjski rząd zgodził się wyłożyć miliony funtów na to, żeby Wellington uwolnił Hiszpanię od Napoleona. Za prawo do wolnego handlu z Indiami Zachodnimi.

- Właśnie - zgodził się de Maya. Rozparł się na krześle, jakby odegrał swoją część.

Jego żona odchrząknęła delikatnie. Sofia i obaj mężczyźni odwrócili się do niej. - Robercie - powiedziała Maria. - Zastawiłeś swoje prawo do skarbów kolonii, by pokonać Nelsona, i straciłeś je. Bez ciągłego dopływu złota i srebra twój dom jest bankrutem mimo rozległych posiadłości tu w Hiszpanii. Ale gdybyście ty i twój brat w Anglii woleli życie w nowym porządku, który nadejdzie... - przerwała na chwilę. - To całe złoto, srebro i minerały wciąż tam są, podobnie jak są ludzie, którzy łakną luksusów z Europy. Ameryka jest równie bogata jak zawsze. Zmieniają się tylko beneficjenci bogactwa.

Robert odczekał chwilę. - A w zamian? - spytał w końcu. - Co ty i twój mąż bierzecie od nas w zamian?

- Będziemy twoimi agentami - odpowiedziała Maria. - Dasz nam na to papiery. Teraz mogą to być tylko dokumenty in blanco, ale musi na nich widnieć nazwisko Mendoza, a to wiele znaczy w koloniach. Kiedy nadejdzie niepodległość, będziemy prawdziwymi agentami, a domniemana władza stanie się władzą prawdziwą.

- I jak użyjecie tej władzy? - spytał Robert.

- W dobrym celu - odparł natychmiast de Maya. - Trzeba będzie uchwalić nowe prawa, ustanowić nowy porządek. Staniemy się bogaci

i ciebie znowu uczynimy bogatym, ale jeśli chodzi o nas, użyjemy swojego bogactwa po stronie aniołów.

Robert przypomniał sobie, kiedy już słyszał to wyrażenie. Niemniej jednak w tym, co powiedział Ricardo de Maya, była prawda. I wielka pokusa. W obecnym stanie rzeczy nie miał nic, żadnej dźwigni, która pozwoliłaby mu przywrócić panowanie Mendozów. Gdyby sprawy potoczyły się tak, jak prorokował de Maya, i doszłoby do rewolucji, jego plan musiałby się powieść. Niezależnie od tego, czy kraje Karaibów i Środkowej i Południowej Ameryki będą koloniami czy wolnymi państwami, muszą handlować z Europą. Jeśli stary porządek nie upadnie, to on będzie przegrany. Ale i tak przegra, jeśli niczego nie zrobi; jeżeli jego informacje są prawdziwe, Liam znalazł się w podobnej sytuacji.

Robert poczuł na sobie wzrok Sofii. Spojrzał na nią. Wiedział, że ona też rozumie wszystkie aspekty sprawy. Widział to na jej twarzy. Czekał na znak, na wskazówkę. Sofia ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

- Zamierzacie jechać do Anglii? - spytał de Mayę.

- W tych dniach z portu w Kadyksie wychodzi statek. Kapitan zgodził się wziąć nas na pokład.

Robert wstał. - Potrzebuję czasu do namysłu. Wróćcie tu jutro.

- Nie możemy tu przyjść - powiedziała szybko Maria. - Ukrywamy się, Robercie. Nie możemy po prostu pojawiać się w tych samych miejscach ani jeździć po mieście jak nam się podoba. Musisz teraz się namyślić.

- Nic nie muszę - odparł spokojnie Robert. - Mogę coś zrobić, ale potrzebuję dwudziestu czterech godzin, żeby podjąć decyzję.

Maria spuściła wzrok, utemperowana jego tonem. De Maya przyglądał mu się w milczeniu. Tylko Sofia przemówiła. - Może na farmie - szepnęła.

Robert skinął głową. - Bardzo dobrze, wspaniały pomysł.

- Zwrócił się do de Mai: - Posłuchajcie, w mojej posiadłości na południu jest mały dom. Jest bardzo skromny, ale co ważniejsze

- pusty. Możecie zaufać swojemu woźnicy? - De Maya przytaknął.

- Dobrze, narysuję wam mapkę. Jedźcie tam i zaczekajcie na mnie. Przyjadę jutro, w ostateczności pojutrze, i powiem wam, co

zdecydowałem. Cokolwiek to jest, nic nie straciecie, to po drodze do Kadyksu. Rozumiem, że jedziecie bez względu na to, co powiem?

- Nie mamy wyboru - rzekł Ricardo de Maya, wstając.

- Chodź, moja droga, skorzystamy z gościnności wiejskiej chaty hidalga. - Odwrócił się do Sofii i skłonił się. - Udowodniła pani swoją wielką wartość jako sprzymierzeniec tych, których pani wspiera, Gitanito. Mam nadzieję i będę się modlił, żeby została pani naszym sprzymierzeńcem.

Po wyjściu gości Robert ukrył się w jednym z gabinetów pałacu. Sofia miała wielką ochotę z nim porozmawiać, ale nie nalegała. Robert zbyt niedawno odrodził się jako mężczyzna. Nie chciała zgasić tej iskry. Poza tym miała inne zajęcie.

Była w drodze do pokoju Rafaela, kiedy zza rogu wyłoniła się jakaś postać i przestraszyła ją. To była Puri. - Seniorita, czy mogę z panią porozmawiać?

- Czy to musi być teraz, Puri? Nie powinnaś być zajęta gotowaniem?

- Posiłek będzie na czas, seniorita. Ale Angelina mówiła, że pani mi coś obiecała.

Sofia nie od razu skojarzyła, o co chodzi. Jej myśli wypełniali Maria Ortega i Ricardo de Maya, po prostu zapomniała o swojej rozmowie z Angeliną. Potem sobie przypomniała. - Ach, tak, chcesz poślubić Enrique'a.

- Tak, seniorita.

- A Enrique chce poślubić ciebie?

- Znajduje ze mną przyjemność, seniorita.

Sofia przyjrzała się kobiecie. Tak, mogła się założyć, że Enrique znajduje z nią przyjemność. Ciało Puri było wspaniałe, jej piersi ogromne, talia wąska, biodra soczyście ukształtowane. Pozytywne wrażenie pryskało, kiedy się przeniosło spojrzenie z tych darów na zmęczone życiem oczy i siwe włosy. Ale ślub, to było coś innego. I Puri bez wątpienia nie była już w wieku rozrodczym. - Byłaś już mężatką?

- spytała.

- Tak, seniorita. Dwa razy. Obaj moi mężowie nie żyją.

Bez wątpienia siły ich nadwerężyła jej namiętność. - Masz jakieś dzieci, Puri?

- Żyje tylko dwoje, seniorita. Siedmioletni chłopiec i czteroletnia dziewczynka. Mieszkają z moją matką w pueblo Santo Domingo.

Sofia była zaskoczona. Spodziewała się, że dzieci Puri są dorosłe, a jej matka od dawna nie żyje. Coś tu się nie zgadzało. - Ile masz lat, mi, nina? - spytała delikatnie.

- Trzydzieści jeden, seniorita - Puri zwiesiła głowę, jakby te słowa ją zawstydziły. - To prawda, przysięgam. Moje włosy przybrały ten kolor, kiedy miałam szesnaście lat.

Trzydzieści jeden! Sofia odchyliła głowę i przyjrzała się kucharce. Tylko trzy lata więcej od niej. Uznała, że Puri mówi prawdę.

- Pobrecita - wymruczała. - Musimy to poprawić.

- Pomoże mi pani, seniorita? Wszyscy mówią, że jestem wiedźmą, ale to nieprawda. Czasami mam zły humor, ale to nigdy nie trwa długo. I wie pani, że potrafię gotować jak anioł. A kiedy mężczyzna...

- przerwała zakłopotana. - Wiem, jak dać przyjemność mężczyźnie. I kocham Enrique'a. Jest młodszy ode mnie, ale...

- Ale nie o tyle młodszy - przerwała jej Sofia. - Znam rodzinę Enrique'a. On jest ze mną od dawna. Ma dwadzieścia sześć lat. I skoro miał z tobą przyjemność, właściwe będzie, jeśli cię poślubi. Dopilnuję tego, obiecuję ci.

Puri chwyciła dłoń Sofii i ucałowała ją, potem pomknęła do kuchni.

Kolacja tego wieczoru była znakomita. Puri przeszła samą siebie. Była sopa de gambas z różowymi krewetkami pływającymi w złotym rosole pachnącym szafranem i wielki morski leszcz faszzerowany czosnkiem, podany na stół w całości. Był groch włoski duszony z cebulą i ziemniaki smażone ze słoniną, i całe koźle pieczone na rożnie, i zielone pomarańcze skąpane w miodzie, i bochenki chleba z mąki tak drobno zmielonej, że były niemal białe.

Sofia spojrzała na uginający się stół i uśmiechnęła się. W ten sposób Puri wyrażała wdzięczność, mimo że nie było jeszcze za co dziękować. Co zostanie im podane, kiedy Sofia podejmie działania? Cokolwiek to będzie, miała nadzieję, że Robert bardziej uraduje się tą biesiadą niż dzisiejszą. Skubnął tylko jedzenie i wypił trzy kieliszki owocowego vino tinto, z ciemnofioletowych winogron pochodzących z jego winnicy nieopodal Ciudad Real.

Po kilku minutach wstał. - Sofio, czy po posiłku możesz przyjść do mnie do gabinetu?

Skinęła głową i patrzyła, jak Robert wychodzi z jadalni. Pod długim hebanowym stołem grzały cztery piecyki, a ich ciepło zalewało pokój, ale zauważyła, że Robert drży. Odwróciła się do Rafaela. Od czasu ich powrotu z Sewilli posiłki podawano mu na tacy do pokoju; dziś uznała, że jest w na tyle dobrym stanie, że może im towarzyszyć przy stole. - Jedz, mój chłopcze - ponagliła go. - Musisz jeść, żeby odzyskać siły.

- Dobrze, mamusiu. - Wziął kolejny kawałek soczystego koźlęcia.

Robert siedział przy stole w gabinecie, gdzie siedziało tylu jego przodków i gdzie bez wątpienia podejmowali decyzje podobne do tej, wobec której on stanął. Czy jednak były takie same? Czy wszystko zarówno w Londynie, jak i w Kordobie zależało całkowicie od jednego rozdania kart? Prawdopodobnie, powiedział sobie. Życie było takie jak teraz. Człowiek stawał na rozwidleniu dróg, wybierał jeden kierunek i wszystko się zmieniało. Później, z perspektywy czasu, niezależnie od tego, jakie było pytanie, odpowiedź wydawała się oczywista, a podjęta decyzja jedyną, którą można było podjąć. Ale dla obecnego hidalga to zapewne nigdy nie było takie oczywiste, takie jasne.

Znajomość tej prawdy nie czyniła obecnego wyboru łatwiejszym. Robert patrzył na drzwi i chciał, żeby Sofia dołączyła już do niego. To niewątpliwie było coś nowego. Czy którykolwiek z jego przodków siedział tu, gdzie on siedzi, i czekał na kobietę, żeby udzieliła mu porady? Możliwe, że w dawnych czasach wielu hidalgów miało silne żony, które dyskretnie służyły im radą.

Kolejna różnica. Sofia nie była jego żoną i on nie był jej mężem. A jednak mieli dziecko. Może więc powinien ją poślubić. Co do niej czuł? Czy ją kochał? Skąd miał wiedzieć? O ile był tego świadom, nigdy nie kochał żadnej kobiety. Choć tamtej nocy, kiedy myślał, że Cyganie mogą ją skrzywdzić, był jak szaleniec, zdolny do wszystkiego. Ale to nie z powodu Sofii wzrosła w nim żądza krwi i nie dla niej rozprawił się z tym Cyganem. To przez swego syna. I tę decyzję musiał podjąć dla syna. To, co teraz robi, będzie miało głęboki wpływ na przyszłość Rafaela. I z tego powodu musi to być

właściwa decyzja, z tego też powodu jego duma nie przeszkodziła, by skorzystał z niewątpliwej mądrości i zdrowego rozsądku Sofii.

Drzwi otworzyły się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach i do pokoju weszła Sofia. - Wyglądasz na bardzo zadumanego, Robercie.

- Jestem. Usiądź, moja droga. Oczywiście wiesz, o czym chcę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście - przyznała. - I myślę, że wiesz, co moim zdaniem powinieneś zrobić.

- Tak, dałaś mi znak, kiedy oni jeszcze tu byli. Nie umknęło mi to delikatne skinienie twojej głowy. Ale jeśli okaże się niewłaściwym wyborem, Sofio...

- Czy może być gorzej, niż jest teraz? - przerwała.

- Tak. To część, którą, jak sądzę, nie w pełni rozumiesz. O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać. Sofio, junta, która w tej chwili rządzi Andaluzją, książęta w Sewilli, o których mówił de Maya, na pewno dowiedzą się, że znowu związałem się z radykałami.

- Rozumiem twój punkt widzenia - powiedziała spokojnie. - Więc jeśli Ortega i jej mąż się mylą, jeśli nie ma żadnej rewolucji w koloniach, przynajmniej żadnej udanej, będziesz postrzegany jako zdrajca Hiszpanii.

- Może już drugi raz. Choć sytuacja z Nelsonem nie była tak klarowna, ponieważ na tronie wciąż byli Burbonowie i, przynajmniej teoretycznie, byli sprzymierzeńcami Napoleona. Tym razem jest inaczej. Hiszpania, czy to, co z niej zostało, będzie walczyć o utrzymanie kolonii. Każdy musi być albo z nią, albo przeciw niej. No więc, moja droga, skoro wyjaśniłem ci sytuację, czy nadal sądzisz, że powinienem dać de Mai upoważnienie, którego chce?

Sofia nie odpowiedziała od razu. Oparła łokcie na stole, złożyła dłonie i oparła na nich czoło. Patrzył na jej wdzięczną szyję i pasma włosów, które wysmyknęły się z koka i wiły się na karku. Była piękną, pełną życia kobietą. I wiedział, że gdyby tego chciał, byłaby jego. Wiedział też, że zawdzięcza jej wszystko. Ale czy to była miłość? Robert odpędził tę myśl; później będzie miał czas na rozważanie tego pytania, kiedy ich przyszłość będzie jaśniejsza. Odchylił się w krześle, obserwował ją i czekał.

W końcu Sofia podniosła głowę. - Robercie, jeśli przegramy, ty i ja, jeśli podejmiemy złą decyzję i staniemy po przegranej stronie, to może być nasz koniec. Na pewno będzie to koniec domu Mendozów

tu, w Kordobie. Wszystko to jest do zniesienia. Życie zawsze jest ryzykiem, hazardem. Nauczyłam się tego dawno temu. Gdyby Carlos nie zlitował się nade mną w tej górskiej wiosce, zostałabym żywcem pożarta przez kanibala. Opowiadałam ci już tę historię?

- Nie, chyba nie.

- Bandyta zwany El Hambrero... - zadrżała i machnęła ręką.

- Opowiem ci to innym razem. Ale teraz myślę o Rafaelu.

- Ja też myślę o Rafaelu.

- Wiem. On jest teraz małym chłopcem i to, co dziś zrobimy, zdecyduje o całym jego życiu. - Przerwała na chwilę, potem wzięła głęboki oddech i ciągnęła: - Robertcie, jeśli przegramy, Rafael może nigdy nie będzie hidalgim. Może nigdy nie będzie bogaty. Mogę to zaakceptować. Nie mogę natomiast znieść myśli, że będzie sierotą, mimo wszystkiego, co go otacza. Ja większość swojego życia spędziłam w tych warunkach. Nie mogę zrobić tego mojemu Rafiemu.

- Rozumiem - powiedział cicho Robert. - Ale myślę, że masz jakiś plan. Widzę to w tych twoich niebieskich oczach. O czym myślisz, Sofio?

- Myślę, że gdyby twój brat Liam zabrał go do Anglii, gdyby uznał go za swego, moglibyśmy sobie pozwolić na to ryzyko.

Wstrzymał oddech. - Chcesz odesłać Rafaela?

- Nie, teraz nie. Póki nie mamy powodu obawiać się, że sprawy nie idą po naszej myśli. Wtedy będziemy musieli wysłać Rafiego do Anglii. Ale zgodzę się na to tylko, jeśli twój brat solennie obieca, że wychowa Rafiego, jakby był jego własny. Czy da nam takie zapewnienie? I jeśli da, czy go dotrzyma?

- Jeśli chodzi o to ostatnie pytanie, bez wątpienia - powiedział Robert bez wahania. - Liam jest człowiekiem honoru, niezależnie od wszystkiego innego. Gdyby dał nam swoje słowo, dotrzymałby go za wszelką cenę. Ale czy nam je da - Robert zadumał się na głos. - Czy zgodzi się zaakceptować mojego bękarta? - Przerwał i spojrzał na nią.

- Przepraszam, Sofio, wybacz mi.

- Nie ma takiej potrzeby. On jest bękartem - odpowiedziała spokojnie. - Teraz, kiedy wiesz, że to twój bękart, nie obchodzi mnie, kiedy tak mówisz. Ale nie pozwolę, by w związku z tym ktokolwiek inny sztydził z Rafaela. Czy Liam jest człowiekiem tego rodzaju, że możemy mu zaufać i być pewni, że pewnego dnia nie nazwie tak Rafaela?

- Tak, jestem tego pewien. Jeśli się zgodzi, ale nie mam pewności, że się zgodzi. - Wstał i zaczął przechadzać się po małym pokoju.

- Rzecz w tym, że nie będziemy wiedzieć, co powie Liam, zanim zaangażujemy się w układ z Marią i de Mayą. Muszę dać im listy polecające i w tym samym czasie dam im list do Liama.

- A więc pozostaje ryzyko - powiedziała cicho Sofia. - A to jest broń obosieczna. Jest jeszcze inne wyjście - dodała.

- Jakie?

- Złożymy solenną przysięgę, my oboje. Przysięgniemy, że jeśli sprawy nie potoczą się po naszej myśli, któreś z nas ucieknie do Anglii z Rafaelem. Bez względu na koszty i bez względu na to, co to będzie znaczyło dla tego drugiego albo dla domu Mendozów. Rafael jest najważniejszy. Możesz tak przysiąc, Robercie?

Patrzył na nią przez chwilę. - Tak - rzekł w końcu.

- Ja też - dodała Sofia. Rozejrzała się po pokoju.

- Szukasz Biblii - powiedział Robert. - Ale ja nie złożę żadnej przysięgi na chrześcijańską Biblię, Sofio. Za bardzo pozostałem żydem, by to zrobić. - Podeszedł do półki w rogu, usunął kilka starych rejestrów i przycisnął drewnianą podpórkę. Pod półką otworzyła się szuflada.

- Nie wiedziałam, że tam jest.

- Nikt nie wie. To sekretna szuflada. Odkryłem ją dawno temu przez przypadek. Wtedy była pusta, tak swoją drogą. Włożyłem to tam. - Wyciągnął złoty wisior i pokazał go jej.

Sofia spojrzała i przycisnęła rękę do oczu.

- Co się stało?

- Nic. Przez chwilę myślałam, że ten napis wygląda znajomo. Ale to tylko moja wyobraźnia. Nigdy nie mogę sobie przypomnieć niczego z mojego życia, zanim zostałam przyjęta przez Cyganów. Czasami te białe plamy nie dają mi spokoju. Co tu jest napisane?

- To kilka słów z jednego z psalmów. Są napisane po hebrajsku. To najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Przysięgniesz na to, Sofio?

- Jeśli ty to zrobisz.

Skinął głową i wysunął jedną dłoń, trzymając na niej wisior. Sofia nakryła go swoją dłonią. - Przysięgam na niebiosa, że jeśli będzie powód do obaw o przyszłość Rafaela w Hiszpanii, zabiorę go do Anglii, bez względu na koszt - powiedziała. - Tak mi dopomóż Bóg i

niech mnie piekło pochłonie na wieki, jeśli złamię tę przysięgę. - Spojrzała wyczekująco na Roberta.

- Przysięgam to samo - rzekł spokojnie. - Na Boga mojego ojca i jego ojca, i wszystkich przeszłych Mendozów. Przyszłość Rafaela jest ważniejsza ponad wszystko, tak mi dopomóż Bóg.

Robert odłożył wisior do sekretnej szuflady i ustawił z powrotem rejestry. - Teraz mnie zostaw - rzekł cicho. - Napiszę do Liama i przygotuję dokumenty dla de Mai.

- Dobrze - Sofia wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

- Robercie, dokonaliśmy właściwego wyboru. Jestem tego pewna. Nie pojedziemy do Anglii. Ani ty, ani ja, ani Rafael. Wszyscy zostaniemy w Kordobie, a dom Mendozów będzie większy niż kiedykolwiek.

Uśmiechnął się do niej. - Chciałbym podzielać twoją ufność.

Sofia z radości zmrużyła niebieskie oczy. Poważna kobieta sprzed chwili umknęła przed półcygańską uliczką. - Mam tyle ufności, że wystarczy dla nas obojga. Bierz się do roboty i pisz te listy. I nie daj de Mai za dużo swobody. Trzymaj go na krótkim łańcuchu, Robercie, albo on pożre nas żywcem.

Następnego dnia pogoda znowu się zmieniła. Teraz było szaro, mglisto i niewiarygodnie ciepło. Drogi zmieniły się w błotniste morza, więc Robert po sześciu godzinach ciężkiej jazdy dotarł do małego domku na farmie.

Przez chwilę myślał, że na próżno tracił czas. Powozu nigdzie nie było widać i nie dostrzegł też żadnego znaku życia. Nawet obłoku dymu z komina. Wtem de Maya otworzył drzwi na oścież.

- Myślałem, że odjechaliście - powiedział Robert, zeskakując z siodła. - Albo że nigdy was tu nie było. Nawet nie ma śladu po ogniu, jakbyście nie korzystali z kuchni.

- Myśleliśmy, że najlepiej byłoby nie rozgłaszać naszej obecności

- powiedział de Maya. - Poza tym nie ma tu nikogo prócz nas. I zapewniam pana, że jakiegokolwiek talenty ma moja żona, gotowanie nie jest jednym z nich - dodał z szerokim uśmiechem. - Nie ma więc powodu do palenia pod kuchnią. Żyjemy o suchym chlebie, serze i nadziei, że nadejdą lepsze czasy.

- To dla mnicha dieta dosyć codzienna, jak sądzę.

- Owszem, ale nie z tych, które skusiłyby Marię. Prawda, moja droga?

Weszli tylnymi drzwiami i znaleźli się w kuchni. Maria stała przy stole, patrząc na spleśniałą kromkę chleba i skórkę małego kawałka sera. - Masz na myśli to wyszukane jedzenie? No, niezupełnie.

- Cóż, myślę, że przy stole mojego brata znajdziecie lepszą strawę niż to. - Robert otworzył skórzaną torbę i wyciągnął z niej pakiet listów i dokumentów.

- Rozumiem, że przyjął pan naszą propozycję - powiedział de Maya.

- Tak - Robert wręczył mu pakiet, a ten przewertował go skwapliwie.

- Dwa listy są osobiste, ode mnie do mojego brata. Pozostałe dokumenty może pan przeczytać później. To jest ten, który ma teraz znaczenie. - Wyjął z pliku dwie złożone kartki. De Maya spojrzał na niego pytająco. - Kontrakt - wyjaśnił Robert. - Precyzyjne wyliczenie, czego dotyczy nasza umowa. Kopia dla mnie i dla pana. Obaj to podpiszemy.

De Maya skinął głową i zaczął czytać. Po chwili podniósł wzrok.

- Szczególne te warunki, don Robercie. I pełnomocnictwo jest bardzo ograniczone. Zgodnie z tym kontraktem musimy panu donosić o dyspozycji każdego reala, który zatrzymujemy dla siebie.

- Prócz tych do osobistego użytku - rzekł Robert. - Określiłem to wystarczająco jednoznacznie. Swoje dochody możecie wydawać wedle życzenia. Ale interes, który zrobicie w koloniach, to interes Mendozów i wszystko macie dokładnie meldować do Kordoby.

- I podejmować decyzje za zgodą Kordoby?

- Dokładnie.

- Ciężko - skomentował de Maya. - Taka smycz będzie przyczyną wielu kłopotów w koloniach. Decyzje musi podejmować osoba na miejscu.

- Być może - zgodził się Robert. - Niemniej jednak to są moje warunki. - Wyjął z torby małą buteleczkę atramentu i pióro i położył je na stole. - Zechce pan podpisać?

De Maya wahał się przez chwilę, potem przytaknął. Wziął pióro i złożył zamaszty podpis. Robert spojrzał na Marię Ortegę. - I ty, moja droga. Chyba będę szczęśliwszy, mając na tym dokumencie również twój podpis.

Maria nie umiała czytać ani pisać, ale po prawdzie nie spodziewał się tego po niej. To, że Sofia posiadała owe męskie umiejętności, było cudem. Niemniej jednak wyciągnął pióro ku Marii. Wzięła je i postawiła znak tam, gdzie wskazał. Potem zanurzyła swój kciuk w atramencie i odcisnęła go na umowie.

- Bardzo dobrze. - Robert wstał i zebrał swoje rzeczy. Wziął też obie kopie kontraktu i wszystkie swoje listy.

- Nie rozumiem - zaprotestował de Maya. - Chyba te rzeczy są dla nas.

- Owszem, gdy tylko będę miał pewność, że opuściliście Hiszpanię i nie zostaliście złapani. - Robert wrzucił papiery do torby.

- Spotkam się z panem w Kadyksie, don Ricardo. Tuż przed waszym wypłynięciem. I wnioskując wtedy, że uciekliście juncie, dam wam te dokumenty.

- A jeśli nie dotrzesz do Kadyksu, Robercie! - przekonywała Maria. - Jeśli zdarzy ci się wypadek albo napadną cię bandyci, albo zdarzy się jedna z tysiąca innym możliwości?

- Jeśli wydarzy się któraś z nich, straciecie świetną okazję - przyznał Robert. - Wyrazy mojego współczucia. Ale jeśli was złapie junta albo jakakolwiek jej reprezentacja, zanim wejdziecie na pokład statku, a te dokumenty zostaną znalezione przy waszych osobach, będę stracony, tak jak wy. I to właściwie bez powodu. - Sięgnął po swoje sombrero i założył je na głowę. - Vaya eon Dios, amigos. Szczęśliwej drogi. Przykro mi, że kuchnia nie jest lepsza, ale zostańcie tu tak długo, jak wam się chce. Gdyby was złapano, powiedzcie, że się włamaliście.

De Maya podjął jeszcze jedną próbę. - A jeśli ktoś zobaczy, jak spotykamy się w Kadyksie? Wizyta w pańskim składzie stanowi zbyt wielkie ryzyko.

- Prawda - przyznał Robert. Namyslał się chwilę. - Znacie kościół Świętej Marii na północy portu?

Maria skinęła głową. - Ja znam.

- Za nim jest wzgórze, a na jego szczycie lasek. Tam się spotkamy. - Ustalili datę i godzinę, potem Robert uklonił się i odszedł.

- To twardziel - wymamrotał de Maya.

- Jest wspaniały - powiedziała Maria. - Tak myślałam przed laty. Potem uwierzyłam, że jest pozbawionym silnej woli tchórzem. A teraz

nawet bardziej odpowiada mojej pierwotnej ocenie. Bardzo się zmienił.

- Ciekawe, co spowodowało tę zmianę - zastanowił się jej mąż.

- To żadna tajemnica. Kobieta. Gitanita rozebrała go na części i złożyła na nowo. I wykonała lepsze dzieło niż Bóg za pierwszym razem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Cztery dni później, tego ranka, kiedy Robert miał wyruszyć do Kadyksu, pogoda znowu się zmieniła. Zrobiło się gorąco i wilgotno, a listopadowy pejzaż zdobiło przymglone światło słoneczne. Rafael przyszedł pożegnać się z Robertem, potem Sofia odesłała go do karmienia kotów. - Nie chcę, żebyś jechał - powiedziała niespokojnie, kiedy dziecko już odeszło.

- Zgodziliśmy się - odparł Robert szorstko. - Oboje zdecydowaliśmy, że połączenie sił z de Mayą i Marią będzie właściwym posunięciem.

- Wiem, nadal myślę, że to właściwe. Nie o to chodzi.

- Więc o co?

Potrząsnęła głową. - Nie jestem pewna. Mam złe przeczucie, jakby miało się zdarzyć coś strasznego. Nie jedź, Robercie. Wyślij Enrique'a, można mu zaufać.

Byli w pokoju przy Patio de los Naranjos, który służył za bibliotekę. Robert miał w ręku dokumenty dla de Mai i listy do Liama. W nocy przeczytał je raz jeszcze i uznał, że nie może ich już napisać w sposób bardziej jasny i przekonujący. Wsunął je do skórzanej torby, którą zapiął. - Nie, sam to muszę załatwić. - Wziął pistolet, przejrzał lufę, sprawdził zamek i komory ładunkowe.

- Ty też jesteś zmartwiony - powiedziała Sofia, przyglądając mu się. - Myślisz, że będą kłopoty.

- Nie, moja droga. Przynajmniej nie mam powodu, żeby tak myśleć. Ale tylko szalencie jeździ dzisiaj po drogach nie uzbrojony. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej. - A ja już nie jestem szaleńcem.

- Nie, nie jesteś.

- Dzięki tobie.

- To nie tylko moje dzieło, Robercie. Dałam ci możliwość powrotu do życia, ale sam musiałeś podjąć decyzję.

- I podjąłem, i nie pozwolę, żeby cokolwiek zepchnęło mnie z powrotem do otchłani, z której wyszedłem. - Położył dłoń na jej policzku. Miała zadziwiająco delikatną skórę. Nagle w jego pamięci odżyło wspomnienie jej nagiego ciała, piżmowego zapachu namiętności. - Sofio...

- Tak. Cofnął rękę.

- Nie, nie teraz. Później, jak wrócę. - Sofia skinęła głową, ale wciąż widział zmartwienie w jej poważnych niebieskich oczach. - Nie trap się, dziewczyno moja - powiedział lekko. - Spójrz, tu jest cały pokój książek. Zajmij się nimi, kiedy mnie nie będzie. To powinno wystarczyć ci na pięć dni.

- Czytałam je. Przynajmniej niektóre.

Robert odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. - Zawsze jesteś jeden krok przede mną. Wiele bym dał, żeby poznać tego, który nauczył cię czytać i zrobił cię taką, jaką jesteś, donia Sofia.

- Ja też wiele bym za to dała - powiedziała cierpko. - Ale nie należy się spodziewać, że tutaj znajdę jakąś podpowiedź.

- Niemniej jednak to fascynujący problem. Musimy kiedyś o tym porozmawiać. - Zatknął pistolety za pas, wziął torbę i ruszył do drzwi.

- Robercie, zaczekaj.

- Tak?

Kilkoma krokami pokonała dzielącą ich przestrzeń, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Niech Bóg cię prowadzi.

W miejscu, gdzie dotknęły go jej usta, Robert poczuł pieczenie. Patrzył na nią, na jej twarzy widział czułość, niepokój i mądrość. Nigdy żadna kobieta nie była częścią jego samego, nie tak jak ta. A jednak dzieliła ich otchłań, kultura, życie i sposób patrzenia na świat. - Mój Bóg czy twój? - spytał cicho.

- Czy to ma znaczenie?

Nie zastanawiając się już, wziął ją w ramiona i pocałował jak należy. Całował po raz pierwszy od sześciu lat, ale poczuł się swojsko. Smakowała tak samo jak tamtego popołudnia w domku na farmie - nieopisanie słodko, mieszanką miodu, cytryny i lawendy. Kiedy ją puścił, oboje ciężko oddychali, a jej policzki zaróżowiły się z pożądania. Robert przycisnął jej dłoń do ust. - Porozmawiamy, jak wrócę - obiecał. - Chyba wciąż mamy sobie wiele do powiedzenia, ty i ja.

Pocałunek Roberta prześladował ją. Tak wiele obiecywał, jakby przyszłość, o której marzyła, była niemal w zasięgu jej ręki. A jednak nie była szczęśliwa. Przez cały ranek pozostawała niespokojna. Przemierzała pałac bez celu i co chwilę wybiegała do któregoś patia, by spojrzeć w niebo. Wciąż było takie samo, nieco zachmurzone, i nie było wiatru. Temperatura ciągle rosła. Było gorąco jak w lipcowy dzień, ale bez tej suchej, złotej gorączki lata. To była wilgoć,

uciążliwe ciepło, które pokrywało ciało potem i utrudniało oddychanie. Sofia z ulgą wracała do chłodnych, kamiennych pokoi pałacu.

Rób coś, mówiła sobie. Cokolwiek, co odciągnęłoby myśli od Roberta i jego podróży. Puri. Tak, to był właściwy moment, by zająć się problemem Puri. Szarpnęła za najbliższy sznur od dzwonka, a kiedy przyszła służąca, powiedziała, że natychmiast chce się widzieć z kucharką.

Parę chwil później kobieta przyszła. - Życzy pani sobie ze mną porozmawiać, seniorka?

- Tak, Puri. Myślę, że nadszedł czas, by coś z tobą zrobić.

- Co, seniorita?

- Sprawimy, żebyś znowu wyglądała jak dziewczyna. Chodź ze mną - Sofia ruszyła w stronę swoich prywatnych pokoi, a Puri podążyła za nią, czyniąc znak krzyża i modląc się, żeby nie wpaść w ręce cygańskiej wiedźmy.

Sofia odkryła wskazówki na temat przygotowania henny w jednej z książek w bibliotece. Głowiła się nad tym problemem przez parę dni, zanim uzyskała właściwy roztwór. Kiedy po raz pierwszy obiecała Puri pomoc, to dlatego, że pamiętała, iż Fanta знаła sposób przywrócenia posiwiąłym włosom kobiety ciemnego koloru, ale nie mogła przypomnieć sobie dokładnie, czego starucha używała ani co robiła. Potem znalazła oprawiony w skórę zielnik.

Książka została napisana ręcznie przez jakiegoś dawnego hidalga albo członka rodziny, który interesował się medycyną i był uważnym obserwatorem natury. Na każdej stronie widniały rysunki i szkice roślin i ziół, a pod nimi wskazówki, jak sporządzać z nich wywar i do czego go stosować. Większość przepisów i formuł dotyczyła chorób wszelkiego typu, od malarii po robaki i gorączkę mózgu, ale jeden doskonale pasował do jej potrzeb. Przy pieczolowicie nakreślonym obrazku rośliny z parami szerokich liści wzdłuż kolczastej łodygi i białymi kwiatami widniały słowa: Lawsonia Alba, zwana po arabsku al - hennah. Mauretańskie damy sporządzały proszek z jej liści i mieszały go z wodą na pastę. Używały jej do barwienia paznokci i przyciemniania włosów.

Sofia przestudiowała rysunek. Widziała tę roślinę ostatnio, była tego pewna. Ale gdzie? Po chwili przypomniała sobie. To nie roślinę widziała, to rysunek dokładnie taki jak ten. Bez wątpienia zrobiony tą

samą ręką. I widziała to właśnie tu, w pałacu, w szafce z farmaceutykami przy kuchni. A więc rzeczywiście potrafi pomóc Puri.

Pani i jej kucharka weszły do wspaniałej sypialni, która kiedyś należała do donii Carmen, a teraz do Sofii. Puri rozejrzała się dookoła w zadziwieniu. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że istnieje taki pokój tylko po to, żeby kobieta w nim spała i uwielbiała się. Zbyt kowna satyna, aksamit i gobeliny były wszędzie, nawet na łóżku, a cały stół był przeznaczony na lustro, szczotki, grzebienie i wszelkiego rodzaju butelki, słoiki i małe alabastrowe garnuszki. Nie dziwota, że pani jest taka piękna. Ale co ona tu robi? To nie miejsce dla takich jak ona. Puri zadrżała z lęku.

- Zdejmuj bluzkę i zawiń się w to. - Sofia wydobyła kawał starego płótna z szuflady komody. Kucharka zrobiła, co jej kazano, ale z przerażeniem w oczach. - Nie bądź taka przestraszona - powiedziała Sofia łagodnie. - Nie zrobię ci krzywdy. - Kiedy to mówiła, przyjrzała się kobiecie. Skóra Puri była gładka, bez blizn, zdrowa i jędrna, ale w każdym jej zagięciu widniały wałeczki starego brudu. Dookoła roznosiła się woń potu i tłuszczu używanego w kuchni.

- Puri - spytała Sofia odruchowo - czy ty się kiedyś kąpałaś?

- Czy ja się kąpałam, seniorita? Maryjo, Józefie, ja nie jestem taką głupią kobietą. Trochę się myję co roku przed Wielkanocą, ale nie za dużo, żeby nie mieć gorączki. Przysięgam, seniorita. Jestem ostrożna i silna. Będę dobrą żoną dla Enrique'a.

- Od kąpieli nie złapiesz gorączki, Puri. Nie pochorujesz się. Będziesz się dobrze czuła i ładnie pachniała. Wtedy żaden mężczyzna cię nie opuści.

Kucharka parsknęła. - Umiem przyciągać mężczyzn, seniorita.

- Wiem, ale chcesz wyjść za Enrique'a, prawda?

W ciemnych oczach kobiety pojawiły się łzy. - Tak, seniorita. Ale myślę, że on to zrobi, jeśli pani go zmusi.

- Ja go nie zmuszę, Puri. Ty to zrobisz. Pokażesz mu, że nie może żyć bez ciebie. Wtedy hidalgo zrobi wielką ucztę na wasze wesele. Możesz zaprosić wszystkich swoich krewnych i przyjaciół, a ty i Enrique zawsze już będziecie szczęśliwi. - Sofia wyciągnęła mosiężną wannę, potem szarpnęła kilkakrotnie za sznur dzwonka.

Na wezwanie stawiała się Nieves, dziewczyna, którą Sofia zrobiła swoją pokojówką. - Przynieś gorącej wody - powiedziała Sofia.

- Trzy kubły, nie, cztery. Jednego potrzebujemy do włosów.

- Ależ kąpała się pani ledwie parę godzin temu, seniorita. - Dziewczyna zaczynała się przyzwyczajać do dziwnego upodobania pani do częstego nurzania się w wodzie, ale nigdy nie widziała, żeby robiła to dwa razy tego samego dnia.

- To nie dla mnie, dla Puri. No, pospiesz się i zrób, co powiedziałam.

Puri klęczała w jednym z kątów wspaniałego pokoju. Ręce miała złożone, płakała i modliła się do Najświętszej Pani, by otoczyła ją opieką. - Zachowaj swoje modlitwy na lepszą okazję - powiedziała Sofia. - Pomóż mi przygotować wannę.

- Seniorita, zrobię wszystko, co mi pani każe. Wiem, że pani jest mądra i sprytna, tak samo Cyganka, jak i wielka dama. Ale ja jestem prostą kobietą i nic nie wiem o tych rzeczach. Panią chronią cygańskie zaklęcia. Ja umrę, jeśli cała wejdę do wody.

- Bzdura. Chcesz wyjść za Enrique'a czy nie? Lamentując, że chce, Puri pozwoliła się rozebrać i poprowadzić do mosiężnej wanny.

Nieves wróciła z parującą wodą, którą wlało do wanny. Sofia dodała garść suszonych rozartych łyżek lawendy, a po krótkim namyśle dorzuciła płatków jaśminu. Potem zakasała rękawy swojej eleganckiej jedwabnej sukni, zrobiła pianę z odrobiny migdałowego mydła, które przygotowała dla niej Nieves, i wyszorowała kucharkę własnymi rękoma.

- No, nie jest to takie złe, prawda?

- Nie, seniorita. Będę bardzo spokojna i czysta, kiedy mnie pogrzebią.

- Nikt cię nie pogrzebie, Puri. Będziesz znowu piękną dziewczyną. I wyjdiesz za męża. A jeśli będziesz mądra, będziesz to wszystko robić przynajmniej raz w tygodniu. To cię uspokoi i sprawi, że mąż nie będzie mógł ci się oprzeć.

Puri zastanowiła się, skąd Gitanita to wie, skoro nie ma męża. Ale może kiedyś miała; w końcu ma syna. A może seniorita i hidalgo... Tak, oczywiście, na pewno w nocy dzielą łóżce, chociaż służące mówią, że obie sypialnie są używane. Ludzie wygadują rozmaite rzeczy. Na przykład że to za przyczyną seniority hidalgo znowu jest bogaty. Że jest jak cesarzowa, która rządzi królestwem, podczas gdy cesarz tylko udaje, że włada. Ale ludzie, którzy tak gadają, nie widzieli hidalga od lat. Nie widzieli, jaki jest teraz, kiedy jego szaleństwo jest uleczone...

- Koniec, Puri, jesteś cudownie czysta. Teraz umyjemy ci włosy. Masz wszy?

- Ay! Nie, seniorita. Zabijam je raz w miesiącu tym paskudztwem, którego Angelina każe nam używać.

- To dobrze. - Sofia i tak rozdzieliła siwe włosy i przejrzała skórę. Kobieta mówiła prawdę. Używała mikstury z węgla i oleju do lampy, którą Sofia kazała przyrządzić, kiedy tylko zajęła się domem.

- Nie ma wszy - oznajmiła. - No to zrobmy tak, żeby włosy były równie czyste jak i cała ty.

Puri łkała, a Sofia szorowała. Po dziesięciu minutach skończyła i usadziła kucharkę na krześle naprzeciw lustra nad toaletką Sofii.

- A teraz, Puri, zrobimy cud. - Służąca przestała już pytać, co Sofia ma na myśli i co zamierza zrobić. Oczy miała zamknięte, a usta jej poruszały się w cichej modlitwie. Wyraźnie nie spodziewała się wyjść żywa z tego doświadczenia.

Sofia wsypała cztery duże łyżki sproszkowanych liści henny do brązowej glinianej miski i dodała tyle gorącej wody, żeby powstała pasta. Wciągnęła rękawiczki, żeby nie poplamić rąk; na pewno nie chciała barwić paznokci jak mauretańskie damy opisane przez dawnego hidalga. Zaczęła rozmazywać miksturę na długich i gęstych włosach Puri. - Nie jestem pewna, na jak długo to zostawić

- wymruczała. - To jedyny problem. - Puri jęknęła nieco głośniejsze, ale nic nie powiedziała.

Sofia uznała, że zaczeka pół godziny, potem to zmyją. Jeśli nie będzie efektu, spróbuje znowu pastą gęstsza i zostawi ją na godzinę. Potem usiadła i wtedy usłyszała hałas przy drzwiach sypialni. Były lekko uchylone, a kiedy podeszła zobaczyć, czy to może Rafael jej szuka, znalazła tam Angelinę i tuzin służących stojących w korytarzu i próbujących zajrzeć do pokoju.

- Co wy tu robicie, gapiąc się jak mały? Nie macie nic do roboty? Angelino, znajdź im coś. Niech wyszorują wszystkie podłogi, jeśli nie mają nic lepszego.

- Podłogi są czyste, Gitanita. Przysięgam na duszę mojej matki.

- No to wyszorujcie ściany. Co tu robicie?

- Nieves powiedziała, że pani rzuci czary na Puri - wyszeptała Angelina. - Przyszliśmy zobaczyć i modlić się za jej duszę.

Sofia westchnęła z rezygnacją. - Na miłość boską, jeszcze nie jesteś przekonana, że nie jestem czarownicą? Czy kiedykolwiek

widziałaś, żebym robiła czary? Używam starego przepisu, żeby zafarbować Puri włosy, to wszystko. To tylko roślina, nic więcej.

- Tak, donia Sofia, jestem pewna, że mówi pani prawdę, ale...

- Ale co?

- Ale to prawda, że jest pani Cyganką.

- Cyganki to nie czarownice. Nie ma czarownic, ty głupia, stara kobieto. Są tylko rzeczy, których nie rozumiemy. Ach, i tak wam tego nie wytłumaczę. Wynocha stąd, wszystkie. Ale już! - przegoniła je, a one rozbiegły się jak stado gęsi.

Sofia wróciła do Puri. - No, czekamy już dwadzieścia minut. Z powrotem do wanny, moja dziewczeczko. Zobaczymy, co nam się udało zrobić.

Efekt był całkiem zadowalający. Siwe włosy Puri zniknęły, a w ich miejscu miała ciemnobrązowe loki z subtelnym cieniem rudości. Zmiana koloru przemieniła ją całą. Sofia odeszła o krok, żeby podziwiać rezultat swoich wysiłków. - Wyglądasz pięknie, Puri. I przynajmniej o dziesięć lat młodziej.

Kucharka przyglądała się swemu odbiciu w lustrze pani. Potem padła na kolana, chwyciła obie dłonie Sofii i ucałowała je raz za razem, mrużąc błogosławieństwa dla Gitanity, jej syna, hidalga i wszelkich krewnych i przyjaciół, których mogła znać.

- Wracaj do kuchni - powiedziała Sofia śmiejąc się. - Weź to. - Wyjęła z szafy sukienkę z żółtej bawełny i białej koronki i wręczyła ją kucharce. Potem spojrzała na toaletkę i wpadła na następny pomysł. Wcisnęła w dłoń Puri słoik wosku, żeby ta mogła wiązać włosy w kok, i dodała dwa szylkretowe grzebienie, żeby mogła modnie go przybrać. - Nie zapomnij myć włosów co tydzień mydłem i gorącą wodą, to nie będziesz musiała używać tego śmierdzidła do usuwania wszy.

- Ale jak je umyję, to kolor się zmieni z powrotem - zaprotestowała Puri.

- Nie zmieni się. Przynajmniej przez parę miesięcy. A kiedy już się zmieni, znowu je pofarbujemy. A jeszcze lepiej pokażę ci, jak masz sama to robić.

Kucharka skinęła głową, przycisnęła do piersi prezenty od Sofii i ruszyła z pokoju.

- Daj mi znać, co powie Enrique na twój widok - zawołała za nią Sofia. - Jeśli nie zaproponuje ci małżeństwa w ciągu tygodnia, pomówię z nim.

Biedny Enrique. Sofia wiedziała, że kocha się w niej. Ale lepiej było dla niego, żeby uczynił Puri porządną kobietą, niż wzdychał do czegoś, czego nigdy nie mógłby mieć. Tak, dużo lepiej, będzie miał żonę zgodliwą, gotującą mu smakowite specjały i dającą mu przyjemność w łóżku. O cóż więcej mógł prosić? Zrobiła więc dobry uczynek, ale zadanie zostało wykonane, a wciąż było przed nią osiem długich dni do powrotu Roberta. Postrzegала je jako ciągnące się w nieskończoność godziny, w czasie których będzie się martwić.

Te późnojesienne dni były krótkie. Słońce zachodziło i robiło się ciemno w ciągu godziny, ale wciąż było gorąco. Sofia raz jeszcze ruszyła do patiów. Pamiętała opowieść o nich: jeśli ktoś wiedział, którą ścieżkę i małe drzwi wybrać, mógł przejść przez wszystkie czternaście, ani razu nie wchodząc do pałacu. Póki co nie zdołała tego osiągnąć. Znowu spróbuje; przynajmniej zajmie czymś myśli.

Droga z Patio de los Naranjos do Patio del Fuente była prosta - opanowała ją do perfekcji. I już za drugim razem znalazła drogę z Patio del Fuente do tego pod Robertową sypialnią, Patio del Incienso. Spojrzała na spiralne schody prowadzące na jego balkon i dalej do sypialni. O Boże, miej go w swojej opiece, modliła się. Przywiedź go bezpiecznie z powrotem do Rafaela i do mnie. Nie, nie może tu stać i oddawać się zmartwieniom i lękom. Za chwilę się rozpłacze, a to niczemu nie służy. Która ścieżka? Tamta za krzakami róż. Tak, prowadziła do niskich drzwi, których Sofia nigdy wcześniej nie zauważyła.

Drzwi otworzyły się na przejście między dwoma skrzydłami budynku. Mury były tak blisko siebie, że ledwie mieściły pełną spódnicę sukni Sofii. Nad jej głową były płaskie dachy z drewnianymi rynnami. To przejście najwyraźniej było przeznaczone dla ogrodników i służących, nie dla rodziny.

Miała przed sobą drogę przez porośnięte mchem, nierówne kamienie brukowe, które były śliskie i niebezpieczne pod jedwabnymi trzewikami, ale doszła do samego jej końca. Dotarła do patia, które tylko raz wcześniej widziała. Jak ono się nazywało? Ach tak, Patio de la Reja, nazywane tak ze względu na okratowaną bramę wprawioną w

skale z drugiej strony. Ruszyła do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się bramie. Zatrzymał ją rozdierający uszy huk grzmotu.

Podniosła głowę i wpatrzyła się w niebo. W ciągu ostatnich sekund zrobiło się złowieszczo ciemne. Wzmógł się nagle wschodni wiatr, a potężne, groźne chmury pędziły po niebie. Kiedy patrzyła, rozdzieliły się i następnemu trzaśnięciu grzmotu towarzyszyło lśnienie błyskawicy. Nie było między nimi przerwy; burza była dokładnie nad nią.

Sofia podbiegła do ciężkich, dębowych drzwi, które musiały prowadzić do pałacu. Pchnęła je - były zamknięte. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje względem pomieszczeń w środku. Krzyknęła i załomotała w drzwi. Nikt nie przyszedł. Niebiosa się otwały, ale drzwi nie. Strugi deszczu lały się z nieba.

Pobiegła z powrotem na początek pasażu, który ją tu przyprowadził. Była już przemoknięta na wylot i w ciągu paru chwil, które zabrało jej przecięcie patia, wąski pasaż stał się rwącym potokiem. Woda kręciła się na kamieniach i wirowała w jej stronę. Sofia nie mogła się przemóc, by wejść w ten żywioł. Odwróciła się i pobiegła w przeciwnym kierunku, ku skale.

Krata była zamknięta na ogromną kłódkę, której nie mogła ruszyć, ale zawiasy były przerdzewiałe i szarpnięte puściły. Sofia była zbyt słaba, żeby przesunąć kratę, odskoczyła więc i pozwoliła jej upaść na ziemię. Wnęka w granicie była płytka, nie więcej niż na dwie długości ramienia, ale wystarczająco wysoka, by można w niej stanąć. Weszła więc do kryjówki.

Burza rozszalała się nad jej głową. Niebo rozcinały migotliwe błyskawice, a ich światło obramowało srebrem drzewa i krzewy w patiu, przydając im nowego, przerażającego piękna. Sofia wcisnęła się głębiej w małą jaskinię. Przetoczył się następny grzmot, tak głośny, że niemal rozsadził jej czaszkę. Madre de Dios, co się dzieje? Przez całe swoje życie, przez wszystkie te lata wędrowania po otwartych drogach z Cyganami nigdy nie doświadczyła takiej nawałnicy. Przerażona padła na kolana i naciągnęła sobie na głowę przemoczoną spódnicę.

Biało - niebieskie światło rozcięło niebo; piorun uderzył dokładnie na grotę. Świat wokół Sofii rozbił się na kawałki.

Poczuła gorąco i swąd przypalonej skóry. Wiedziała, że to jej własnej. Usłyszała łoskot i wycie i ziemia zadrżała pod jej skuloną postacią. Coś spadło jej na głowę ukrytą pod cienkim jedwabiem

sukienki. To nie był deszcz, choć wciąż słyszała, jak pada na patio. Wyglądało to na atak małych kamieni i gruzu, cokolwiek jednak się stało, ona wciąż żyła. Po kilku sekundach lawina ustała. Bardzo powoli, ostrożnie, podniosła głowę, otworzyła oczy i rozejrzała się.

To, co uznała za litą skałę za sobą, tylna ściana małej grotty zniknęła. Leżała w ruinie wokół niej. Musiała przejść nad rozwalonymi bryłami granitu, by zajrzeć w powstałą dziurę. Metaliczne światło burzowego nieba rozproszyło mrok poniżej i zobaczyła drugą grotę.

Przyłożyła dłoń do boku głowy. Piorun osmalił jej skórę i wypalił czarny znak w spódnicy, ale nie była martwa ani w malignie. Naprawdę patrzyła na wnętrza wykonane, a przynajmniej wypełnione ludzkimi rękoma. Widoczne to było w starannym ustawieniu glinianych urn, dębowych baryłek i beczek i obitych skórą skrzyń. Wszystko było porządnie ułożone - mniejsze pojemniki z przodu, większe z tyłu.

Z wahaniem zrobiła krok do przodu, potem zatrzymała się i spojrzała przez ramię, jakby obawiając się, że jakaś mityczna postać, do której należał ten skarb, zmaterializuje się i zrobi jej krzywdę. Ale to była śmieszna obawa. Cokolwiek to było, należało do Mendozów. To ich dzieło. Dlaczego Robert nigdy o tym nie wspominał? Dlaczego nie wyjaśnił tego żaden ze starych przekazów? Ponieważ był to sekret tak ciemny i głęboki, że nigdy o nim nie mówiono, może dawno był zapomniany. To rozumowanie dało jej pewność siebie. Poza tym burza wciąż szalała nieopodal. Nikt nie przyjdzie i nie przeszkodzi jej, to najlepsza chwila do przeprowadzenia rekonesansu.

Najpierw wybrała najmniejsze pojemniki, ponieważ były najłatwiejsze do podniesienia. Urny i beczułki przypominały te używane do noszenia wina z piwnicy do kuchni. Pokrywki beczek były przybite gwoździami, ale wierzchy urn plombowała tylko jakaś nasączona olejem tkanina. Sofia zajrzała do pierwszej z brzegu. Wszystko w środku było omotane tą samą szmatą. Jak pieczołowicie to musiało być składowane, jak cenna musiała być zawartość. Sofia wyciągnęła z urny pierwsze zawiniątko, wzięła głęboki oddech i rozpakowała je.

Zobaczyła błysk złota i połysk srebra - płaski złoty talerz podzielony na części, drugi nieco mniejszy, też złoty, i srebrny kielich usiany klejnotami dookoła obrzeża i podstawy. Na każdym

przedmiocie wygrawerowany był napis, jakieś litery, których nie potrafiła odczytać. Ale znała je. Dobry Boże, znała je. Nie pojedynczo, ale wiedziała, co mówią.

Podniosła mniejszy złoty talerz i przymknęła oczy. Usłyszała męski głos, stary, ale silny i szczęśliwy. To był głos zawsze pełen śmiechu, nawet jeśli odmawiał najbardziej uroczystą modlitwę. To jest chleb szczęścia, który nasi ojcowie zjedli w ziemi egipskiej. Niech wszyscy, którzy są głodni, przyjdą i go zjedzą - wszyscy potrzebujący niech przyjdą i świętują Paschę z nami. Teraz jesteśmy tu: następnego roku będziemy w Izraelu. Teraz jesteśmy niewolni, za rok może będziemy wolnymi ludźmi.

Znała tę modlitwę; wiedziała, kto ją odmawiał. To był jej ukochany dziadek Benjamin Valon. Wiedziała, gdzie jest, w Bordeaux, w domu swojej matki Racheli i ojca Leona. Wiedziała, kim jest, małą Sofią o długich czarnych lokach i wielkich niebieskich oczach - bardzo kochanym, rozpieszczonym i psutym dzieckiem o głosie anioła, które w wieku sześciu lat nauczyło się czytać i liczyć.

Jak pogrążona w transie sięgnęła głębiej do urny i wyjęła złożony kawałek jedwabiu. Był to duży kwadrat w niebiesko - białe szlaczki z frędzlami w czterech rogach. Wpatrywała się w niego przez długą chwilę, a jej umysł odtworzył kratkowany cień nad szlaczkami. Zobaczyła je na plecach mężczyzn, kołyszących się w przód i w tył w modlitwie. Cień padał z kratkowanej przesłony, a ona stała za nią w synagodze. Przypomniała sobie melodię i zaśpiewała cicho. - Micha mocha... kto jest tobie równy, o Panie.

Wiedziała, że jest Sophie Valon, żydówką, jedną z Wybranych, córką Przymierza, jak często mawiał jej dziadek. Usiadła na chłodnej ziemi, przycisnęła twarz do jedwabnego szala modlitewnego i otarła potoki łez, podczas gdy deszcz uderzał w czternaście patiów Palacio Mendoza w Kordobie.

Przez dwa tygodnie Kadyks doświadczał kapryśnej pogody, która nękała całą Andaluzję. Największa huśtawka temperatur i burze z piorunami, które zakończyły te kaprysy, ustały do godziny dziesiątej tego wieczoru, kiedy Robert miał się spotkać z Marią Ortegą i jej mężem. Gdy wspinał się na wzgórze za kościołem Świętej Marii na północy portu, czuł suche i zimne powietrze - adekwatne do pory roku.

W srebrnej poświacie księżycy w nowiu Robert widział trzy statki cumujące w porcie. Jeden z nich był handlowy - angielski, czerwona flaga powiewała na jego rufie. Na dziobie zauważył kurtuazyjną flagę, która tradycyjnie oznaczała kraj portu. Ta była ozdobiona herbem księcia Faroli, najważniejszej postaci junty, która sama mianowała się władzą Andaluzji.

- To piękny statek, prawda? - odezwał się głos za nim. Robert odwrócił się i zobaczył de Mayę. - Owszem, piękny. To

pańska przeprawa do Anglii, domyślam się. - De Maya przytaknęła. - Cóż, wygląda więc na to, że uciekliście. Cieszę się, że przybył pan bezpiecznie, don Ricardo. Gdzie donia Maria?

De Maya skinął głową w stronę portu. - Już na pokładzie. Wydawało nam się to najmądrzejszym wyborem. A właśnie, dziękuję za użyczenie nam wiejskiej chaty. Siedzieliśmy tam sobie w spokoju aż do dnia odjazdu.

Robert wymamrotał grzecznościową odpowiedź i wręczył de Mai skórzaną torbę. - Wszystko jest tutaj, tak jak ustaliliśmy.

- Raz jeszcze muszę podziękować - powiedział Hiszpan. - Jesteśmy pańskimi dłużnikami, hidalgo. Ale podejrzewam, że znajdziemy sposób, by spłacić ten dług. To może zająć trochę czasu, zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Owszem. Macie jakiś pomysł, dokąd zmierzać? Potem, z Londynu.

- Chyba do Buenos Aires, choć moja żona woli Puerto Rico. Jeszcze musimy się zastanowić.

- Minerale Rio de la Plata są kuszące - przyznał Robert. - Ale cukier z Puerto Rico to także jedna z europejskich tęsknot.

- Pan woli więc wyspę.

- Wydaje mi się, że wyspy przedstawiają większe możliwości z samej natury swych ograniczeń - rzekł Robert z namysłem. - Ale ostatecznie wasza decyzja musi być oparta na polityce, prawda?

- W rzeczy samej. Najważniejsze pytanie dotyczy tego, kto pierwszy zrzuci hiszpańskie jarzmo, Buenos Aires czy San Juan? Gdybyśmy to wiedzieli, wybór byłby łatwy.

- Może mój brat będzie miał dla was jakieś informacje. Nie wiem, jak teraz sprawy wyglądają, ale kiedyś angielscy Mendozowie mieli silne więzy z Jamajką. Zawsze było to dobre źródło wywiadu na temat reszty tego regionu.

- Być może - przyznał de Maya. - Jak nas przyjmie pański brat? Myśli pan, że nagłe pojawienie się dwóch zbiegłych Hiszpanów będzie dla niego ciężarem?

- To zależy, jak zareaguje na wieści ode mnie - odpowiedział szczerze Robert. - Jeśli ma jakikolwiek interes we wskrzeszeniu domu w Kordobie, potraktuje pana jako marnotrawnego syna, a donię Marię jak Królową Saby. Jeśli nie ma... - Wzruszył ramionami. - W każdym razie, w Anglii będziecie postrzegani jako bohaterowie, nie uciekinierzy. Polityka liberalna i reformy podobają się Anglikom, o ile nie są wprowadzane w czyn na angielskiej ziemi.

De Maya wyglądał poważnie. - Taką mam nadzieję. - Skinął głową w stronę angielskiego statku cumującego w porcie. Pomimo późnej pory ludzie biegali po pokładzie przenosząc ładunek. - Coś z tego należy do pana? - zapytał.

- Niestety, nie. Nie wyszedłem jeszcze z grobu na tyle, by już handlować. Ale myślę, że tak się stanie, don Ricardo - dodał Robert cicho. - Myślę, że tak.

- Nie wątpię - de Maya uśmiechnął się słabo. - I mam dla pana pewną informację. Wybacz mi pan, że będzie dotyczyła Faroli i junty? - Robert skinął głową. - Dobrze, będę więc trochę śmielszy. Otóż Kortezy, do tej pory ścigane po kraju przez Francuzów, teraz chcą znowu się zebrać.

Robert od lat nie myślał o hiszpańskim parlamencie.

- Ma do tego dojść tu, w Kadyksie. W Madrycie właściwie nie ma króla, jest Wellington i Anglicy; czują się więc bezpiecznie, i czują się mocni. Każda z junt rządzących krajem ma przysłać przedstawicieli; chcą napisać konstytucję dla Hiszpanii. - De Maya przerwał, by zobaczyć, jaką wywołał reakcję.

- Czy ci tak zwani parlamentarzyści to wszystko liberałowie, jak i pan?

- Wielu jest liberałami. To okazja, don Robercie - dla kraju i dla pana.

- Być może - wymruczał Robert. - Czy opowiadają się za autentycznymi reformami?

- Czy to według pana przemawiałoby za nimi?

- Tak. To pana dziwi, a nie powinno. Czasy się zmieniają, czy tego chcemy, czy nie. Dom Mendozów będzie najlepiej się rozwijał w

narodzie nie pogrążonym w wojnie domowej. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby o tym wiedzieć.

- Zgadza się - powiedział de Maya. - Musi więc pan ustawić Farolę i juntę i wpłynąć na tę konstytucję, zanim stanie się pan prawdziwym Łazarzem powstałym z grobu.

Robert przytaknął. - Zastanowię się nad tym. - Z kieszeni swego płaszcza wyciągnął zawinięty w papier pakunek. - Czy może pan dać to mojemu bratu, kiedy go pan spotka? Po drodze zatrzymałem się w Jerez. To nowa sherry milk, o której wam mówiłem.

- Jeśli Bóg pozwoli, dostarczę ją bezpiecznie do angielskiego seniora - obiecał de Maya.

Robert wyciągnął rękę. De Maya uściśnął ją, potem ruszył w dół wzgórza. - Szczęśliwej drogi, mój były mnichu - cicho zawołał za nim Robert. - Będę czekał niecierpliwie na wieść, co znalazłeś dla nas w Nowym Świecie.

Patrzył tak długo, aż mrok skrył oddalającą się męską postać, potem spojrzął na statek handlowy. Teraz na pokładzie był już mniejszy ruch; musieli skończyć załadunek. Pewnie wyjdzie z portu, kiedy tylko zmieni się pływ. Pomyślał o Rudim Graumannie i ładunku złota, który kiedyś przywiózł - i o wszystkich konsekwencjach dostarczenia tej przesyłki.

Na pokładzie angielskiego statku pojawił się jakiś nowy ruch. Ktoś wspinał się na pokład. Bez wątpienia de Maya. Robert żałował, że nie wziął lunety. Nieważne, i bez niej rozpoznał dumną postać mężczyzny. - Powodzenia - wyszeptał w noc. - Powodzenia dla was obojga. Jeśli Liam będzie chciał i będzie mógł wam pomóc, będę zadowolony z pracy tej nocy. Jeśli nie - cóż, to już całkiem inna historia. - Robert zmarszczył brwi, schodząc ze wzgórza.

- Najbardziej pokrecony klimat na świecie - rzekł Liam, kiedy wyrztał przez okno na wczesnogrudniową mgłę spowijającą Creechurch Lane.

Ze swego dogodnego miejsca obserwacji nie mógł dostrzec frontowego wejścia do domu, lecz usłyszał, jak ktoś ciągnie za dzwonek, a wkrótce usłyszał też głos Josepha. Ten chłopiec zdawał się być zawsze tam, gdzie cokolwiek się działo, a był stanowczo zbyt niecierpliwy, by czekać, aż służący otworzy drzwi. Liam uśmiechnął się, kiedy parę sekund później usłyszał, jak jego syn wspina się po

schodach do biura. Joseph zapukał, ale wdarł się do pokoju, zanim ojciec zdołał go zaprosić.

- To list do ciebie, papo. Żebrak go przyniósł.

- Dałeś mu pensa? - spytał Liam, odbierając list.

- Dałem mu dwa, papo. Powiedział, że tyle mu obiecano za bezpieczne dostarczenie listu. Był bardzo wdzięczny.

- Dzisiaj w Londynie jest mnóstwo ludzi wdzięcznych za dwupensówkę - wymruczał Liam, oglądając woskową pieczęć na kopercie. Nie rozpoznał jej. Spojrzał na syna i uśmiechnął się. - Zajmij się teraz sobą, chłopcze. Mam trochę pracy.

To była prawda. Niemniej jednak po wyjściu Josepha nie otworzył listu ani nie wrócił do swoich ksiąg. Syn zajął jego myśli. Chłopiec miał prawie trzynaście lat. Za kilka dni odbędzie się jego barmicwa. To nie Liam zażyczył sobie przygotowania starego rytuału, to Miriam, jego żona po cichu znalazła rabbiego, zorganizowała lekcje hebrajskiego i ceremonię, która miała nastąpić. Miriam była bardziej żydówką niż Liam i pracowała nad tym, by i Joseph czuł się żydem. Na przykład nazywał ojca papą. Ten zwyczaj także pochodził ze strony Miriam. On i Robert nigdy nie mówili do Beniamina „papa”.

Myśl o Robercie starła pobłażliwy uśmiech z twarzy Liama. Często myślał o bracie w połączeniu ze swoim synem. Może dlatego, że brat nie miał potomka i jakiegokolwiek ruiny zostały w Kordobie, nie było tam nikogo, kto by je odziedziczył. A może dlatego, że Joseph był podobny do swego wujka, który od wielu lat nie widział chłopca. Jakąż dziwną, podzieloną rodziną się stali. Prawdopodobnie Robert nigdy nie pozna dziecka, które Miriam teraz nosi. Nie wie, jak bardzo się cieszą, że po tylu jałowych latach Miriam znowu jest w ciąży. Liam westchnął i powiedział sobie, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Lepiej zobaczy, o czym jest ten dziwny list. Złamał pieczęć na kopercie.

Przeczytał krótką notkę raz, potem raz jeszcze. Miał to zrobić po raz trzeci, ale jego żona wybrała ten moment, by mu przerwać. - Liamie, dziś po południu przychodzi właściciel sklepu rybnego. Mogę dostać dwa szylingi, żeby mu zapłacić? Zalegamy już dwa miesiące.

- Tak, moja droga, oczywiście. - Liam sięgnął do szuflady swego biurka, wyjął dwie monety i wręczył je jej od niechcienia, jakby nie były niemal ostatnimi monetami, które mógł zdobyć na wydatki domowe w tym tygodniu. Bardzo się starał nie dopuścić, by Miriam

martwiła się kiepską sytuacją finansową, którą musieli znosić. Była bardzo zadowolona, że sprzedali nowy dom w Richmond i przeprowadzili się tu na Creechurch Lane po śmierci Beniamina i Bess. Liam powiedział jej, że to aby być bliżej interesów, ale wiedział, że ona domyśla się prawdziwego powodu - potrzebował pieniędzy, które mógł uzyskać ze sprzedaży domu w Richmond, i gdyby Creechurch Lane była więcej warta na wolnym rynku, to ona zostałaby sprzedana. Złożyło się jednak inaczej, mieszkali w centrum londyńskiego East Endu, nie na wsi, tak jak marzyli z Miriam, kiedy Benjamin dał im dom w prezencie ślubnym.

- Miriam - powiedział, spoglądając znad listu, który wciąż trzymał w ręku. - Czy możesz przygotować jakiś poczęstunek dla gości na późny wieczór? Trochę wina i biskwitów i może nieco owoców. Myślę, że to coś odpowiedniego dla Hiszpana.

- Hiszpana? - Oczywiście Miriam zrobiły się ogromne. - Nie dla twojego brata chyba?

Liam potrząsnął głową. - Oczywiście, że nie dla Roberta. On zresztą nie jest Hiszpanem, choć działał jak Hiszpan, kiedy widziałem go ostatnim razem. I gdyby przyszedł do tego domu, na pewno nie byłby gościem. Jest jego tak samo jak mój - dodał cicho.

- Tęsknisz za nim, prawda? - Miriam podeszła do niego; odgarnęła włosy z jego czoła. Te włosy były teraz rzadsze, a czoło wyższe, ale wciąż myślała, że jej mąż jest jak lew. Bardzo go miłowała, i to było błogosławieństwo, jako że od siedmiu lat ich życie nie było łatwe. - To źle, że go tu nie ma. Pomógłby ci w tych ciężkich czasach. Nie sądzisz, że mógłbyś napisać do Roberta i poprosić go, by przyjechał do domu? - spytała.

Liam spojrział na wydatny brzuszec swojej żony, potem na złożony kawałek papieru w swojej dłoni. - Pisze do mnie. Przynajmniej mam tu wiadomość od człowieka, który mówi, że chce dostarczyć list od Roberta.

- Hiszpan, który powinien mieć wino i biskwity - powiedziała z uśmiechem.

- Właśnie. Przyślij do mnie Josepha. Dam mu liścik, żeby zaniósł go do kwatery tego jegomościa. - Rzucił okiem na adres. - Mieszka nieopodal. Joseph powinien odnaleźć go bez trudu.

Liam nie krył zaskoczenia, kiedy Ricardo de Maya wprowadził ze sobą żonę. - Wiem, że to nie jest przyjęte - rzekł wysoki, smukły

mężczyzna angielszczyzną czystą, choć nie pozbawioną obcego akcentu. - A moja żona nie mówi pańskim językiem. Ale biorąc pod uwagę to, co planujemy, pomyślałem, że ważne, by pan ją poznał.

- Tak, oczywiście. - Liam spojrział na rudą kobietę. Była niepokojąca i zmysłowa. Ten rodzaj kobiet jest odpowiedni na nocną przygodę, nie na żonę. Miał nadzieję, że ów Ricardo ma odmienne zdanie. Z tego, co Robert napisał, tych dwoje było silnie zaangażowanych w proponowane przedsięwzięcie. „Ona jest kobietą, z którą trzeba się liczyć” - donosił.

Liam spojrział na rozpostarte dokumenty, potem na gości. - Z tego, co zrozumiałem, ma pan pełnomocnictwo mojego brata, by działać jako jego przedstawiciel w Nowym Świecie. Jesteście upoważnieni, by dom Mendozów w Kordobie wspierał nowe i niepodległe rządy, które dążą do samostanowienia, zgadza się?

- Doskonale się zgadza, senior - przyznał de Maya.

- Więc słucham, czego oczekuje pan ode mnie? Robert prosi, żebym wam pomógł dostać się do Ameryki, i zrobię, co mogę, ale on daje mi do zrozumienia, że chce pan więcej. Cóż to może być, panie de Maya?

- To samo pełnomocnictwo, które mamy od pańskiego brata - odparł de Maya.

Liam wciągnął policzki i utkwiał wzrok ponad głowami swych gości. Przez pewien czas nikt nic nie mówił. W końcu Anglik przerwał ciszę.

- Mam powiązania w Kingston. Może byłoby równie dobrze, gdybyście najpierw wsiedli na statek płynący na Jamajkę.

- A stamtąd?

- Stamtąd możecie jechać do jakiegokolwiek części Ameryki, którą uznacie za odpowiednią.

- A cóż zyskamy na tym, hm, objeździe, senior? Mam nadzieję, że to właściwe słowo.

- Owszem. A jeśli chodzi o zysk, to się okaże. Dom Mendozów od jakiegoś czasu finansuje rejsy cargo z Jamajki. Ale rozważałem założenie prawdziwego banku z szerszymi interesami. Może gdyby w przyszłości Jamajka miała umowy handlowe z niektórymi niepodległymi krajami, takimi jak Kuba, Puerto Rico czy Rio de la Plata, byłby to jeszcze jeden argument za tym, że powinna być niepodległa, jak pan i Robert sugerujecie - wzruszył ramionami, jakby

ta kwestia miała tylko mniejsze znaczenie. - Może ten bank Mendozów, ważny na Jamajce, zająłby też wysokie miejsce w jednym z tych nowo ustanowionych suwerennych państw.

- Może by zajął - zgodził się spokojnie de Maya. - Ale one od wielu wieków są koloniami Imperium Hiszpańskiego, senior. Należy wziąć pod uwagę, że żyją tam ludzie, którzy mówią po hiszpańsku i myślą w sposób hiszpański, nawet gdyby zerwali więzy z ojczyzną i ustalili dla siebie bardziej liberalny i wolny sposób życia.

- W rzeczy samej - przyznał Liam.

Niezwyczajne to były słowa w ustach Hiszpana, ale w drugim liście, w tym dotyczącym interesu, Robert przestrzegwał Liama, że ten de Maya jest rewolucjonistą i fanatykiem. Mówił też, że jest godzien zaufania i że jest genialny. I bez wątpienia Robert szczerze tak myślał. Z pewnością zdał na tych dwoje swój los; prawa przyznawane dokumentami, które dał de Mai, miały szeroki zakres. Oczywiście, Robert przyznawał, że Kordoba ma „ledwie dwa grosze, by je o siebie otrzeć”. Oprócz ryzyka niewiele miał do wyboru. Liam podniósł list traktujący o interesach. - Mój brat sugeruje, że w przyszłości nasze dwa domy mogłyby raz jeszcze działać w ścisłym porozumieniu. Od sześciu lat nie ma tego porozumienia, ale wcześniej było inaczej.

- I ja to tak rozumiem, senior. Od dawna obserwuję działalność domu Mendozów.

- Miło mi to słyszeć. Więc wie pan, że możemy działać w porozumieniu, kiedy nam to odpowiada. I nie musi się pan martwić o to, jak planowany bank Mendozów potraktuje hiszpańskich dżentelmenów o hiszpańskim sposobie myślenia, prawda?

De Maya uśmiechnął się i wstał. - Wcale, senior. - Odwrócił się do żony i wymamrotał parę słów po kastylijsku. Maria Ortega wstała i z wdziękiem skinęła głową bratu Roberta. Pożegnania wszystkich trojga brzmiały serdecznie i grzecznie: - Sprawdź, co mogę załatwić z przeprawą na Jamajkę - obiecał Liam. - Kiedy tylko czegoś się dowiem, przyślę do was syna z wiadomością.

Później, leżąc na twardym, wąskim łóżku w zimnym angielskim pokoju, który znienawidziła od pierwszego wejrzenia, Maria wyrażała swój sąd nad Liamem Mendozą. - Nawet w połowie nie jest takim mężczyzną jak jego brat. Możemy zawrzeć każdą umowę, na którą się zdecyduje, a potem zrobić, co nam się chce. To znaczy moglibyśmy, gdyby nie Robert.

- Nie dam słowa, by potem je złamać - powiedział jej mąż. - To grzech. - Leżał przy niej cały sztywny. Wciąż nie mógł się pogodzić, że dzieli łożę z kobietą i przez samo to nie grozi mu piekło.

Maria odwróciła się, wsparła na łokciu i pociągnęła palcem wskazującym przez pierś Ricarda. - A wiemy, że ty nie popełniasz żadnych grzechów, prawda, mi amor"?

- Nie rób tego.

- Czego? Tego? Ale jesteś moim mężem, to słuszne i właściwe, że cię pieszczę. Czy nie jesteśmy połączeni przed Bogiem świętym węzłem małżeńskim?

- To nie może być właściwe ani słuszne. Nigdy nie będzie z tego żadnych dzieci. Stosunek płciowy bez dzieci jest czystą rozpustą, a rozpusta jest grzechem.

Zaśmiała się lekko. - Jesteś świętszy niż sam papież, mój Ricardo. Nawet on mówi, że jesteśmy wolni, by cieszyć się sobą mimo mojego jałowego łona. Poza tym to nie jest moja wina. Nie prosiłam się o takie przekleństwo.

- Nie jestem pewien - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Myślę, że jesteś tak diabelska, że odpowiada ci to, bo możesz puszczać się z każdym mężczyzną, na którego masz ochotę, i nie ponosić konsekwencji.

- Myślisz więc, że jestem dziwką - wyszeptała.

- Wiem, że nią jesteś.

- Możesz więc równie dobrze ze mnie skorzystać, skoro jestem tutaj, w twoim łóżku, Ricardo. - Sięgnęła po małą bambusową laseczkę leżącą na pobliskim stoliku. - Proszę, możesz mnie ukarać za moje kurestwo, a potem z niego skorzystać. Śmiało, wiem, że tego chcesz.

Podciągnęła koszulę nocną i w przyćmionym świetle, które wpadało przez okno, zobaczył dwa białe półksiężyce jej pośladków. Chciał wyskoczyć z łóżka, złamać laseczkę o kolano i powiedzieć jej, co myśli o niej i jej wyuzdanych żądzach, a potem zasnąć samotnie na podłodze, ale nie mógł.

Był w nim teraz jakiś diabeł, który kazał mu podnieść ramię i uderzyć różgą w jej ciało. A kiedy zobaczył czerwoną pręgę i usłyszał stłumiony jęk bólu, musiał to zrobić raz jeszcze. I znowu, i znowu, i znowu. Póki jej ciałem nie wstrząsnęło zarazem łkanie i śmiech, póki jego męskość nie była pulsująca i ogromna. W końcu wdarł się w nią i

znalazł ulgę, jedyną dostępną mu w tych dniach, odkąd Bóg go odrzucił.

Na Creechurch Lane pan i pani też nie spali. Leżeli w łóżku i rozmawiali. Miriam miała na sobie czepek z surowego płótna, który skrywał wszystkie jej włosy, teraz siwo - rude. Jej koszula nocna też była z surowego płótna, miała wysoki kołnierz i długie rękawy i nie odsłaniała nawet skrawka wyzywającego ciała. Była skromną, bogobojną niewiastą, która знаła swoje powinności. W tej chwili powinna była nakłaniać męża do rozmowy, by w ten sposób ulżyć jego myślom. - Jesteś zmartwiony, Liamie. Czy to coś, co napisał Robert? Powinieneś chyba być szczęśliwy, że masz wieści od niego.

- Byłem, jestem. To tylko... - Poruszył się niespokojnie; puchowy materac, który pokrywał słomiany, przesunął się pod nim, więc pięścią ułożył go w nowy i wygodniejszy kształt. Dopiero potem podjął swój wywód. - Rzecz w tym, że Robert dał temu de Mai tyle swobody. A jeśli on użyje jej, by pogrozić dom?

- Ale przez wszystkie te lata oplakiwałeś fakt, że nie ma już domu Mendozów w Kordobie. I że straciłeś zarówno brata, jak i kontakty handlowe. Teraz wiesz, że żadna z tych rzeczy nie jest prawdziwa. To wystarczy, nie sądzisz, Liamie?

- Myślę, że powinno. Poza tym Robert nie jest głupcem. Dał tej dwójce Hiszpanów pełnię wolności w kwestiach politycznych, ale poskąpił swobody w decyzjach finansowych.

- Cóż więc cię martwi?

- Ja sam - odparł spokojnie Liam. - Mój brat. Mówiłem ci, że wysłał dwa listy? Pierwszy został napisany kilka dni przed drugim. W tym mówi mi, jak był martwy przez minione sześć lat. Ale teraz znowu odżył i odkrył, że ma nieślubnego syna. Matka jest Cyganką czy prawie Cyganką, o ile to jakaś różnica.

- Cyganką! On jej nie poślubi, Liamie? Nie może poślubić Cyganki.

- Nie pisze, co zamierza zrobić z tą kobietą, ale jest oczywiste, że miłuje swego syna i planuje uczynić go swoim dziedzicem.

- Pól - Żyd, pół - Cygan - zadumała się Miriam. - Niebiosy jedno wiedzą, co z tego wyrośnie.

- Może pół na pół, ale w całości Mendoza, zgodnie z tym, co mówi Robert. Mendoza dla Kordoby, i teraz mamy szansę znowu połączyć dwa domy. Winnice w Jerez robią jakąś nową sherry,

Hiszpan przywiózł mi próbkę. Coś nadzwyczajnego. Robert chce, żebym ją importował. Chce przewozić ją w butelkach z papierową nalepką z napisem Mendoza - Ruez.

- Możesz sobie pozwolić na sprowadzanie jej? - spytała cicho Miriam.

- Niezbyt - przyznał Liam. - Ale zamierzam napisać mu, że wezmę tyle, ile mogę. Przynajmniej otworzy to znowu granice między nami.

- Dobra, dobra decyzja, Liamie. Wracam więc do swojego pierwszego pytania: co cię martwi?

- Odległość między nami - powiedział po pewnym namyśle.

- Robert i ja dorastaliśmy osobno. Cierpieliśmy osobno, podczas gdy kiedyś cierpieliśmy razem. A nasi dwaj synowie, nasz Joseph i ten Rafael Roberta nie będą się nawet znali. - Poklepał jej brzuch.

- I z tego względu...

Miriam przykryła jego dłoń swoją, przycisnęła ją ciaśniej do swego ciała i czekała, aż będzie mówił dalej.

- Mój ojciec marzył, że ze mną w Londynie i z Robertem w Kordobie rodzina będzie naprawdę zjednoczona, równa, nie podzielona jak za dawnych lat. Ale te dzieci są sobie całkowicie obce, z różnych światów. Jeśli Robert i ja odnowimy więzy między sobą, nasi synowie są skazani na walkę o dominację. To jest zapisane na ścianie, Miriam. Jak proroctwo, które wygłosił Salomon.

- Nie Salomon - odruchowo poprawiła go Miriam. - Daniel.

- Ignorancja jej męża w odniesieniu do Tory i Talmudu zawsze ją zdumiewała. A był mężczyzną, który potrafił czytać i pisać. Naturalnie ona nie miała żadnej z tych umiejętności, ale całe życie słuchała ojca opowiadającego historie z Biblii. Studiowanie świętych ksiąg było najwyższą powinnością żydowskich mężczyzn; wszelkie studia były formą modlitwy. Ale Liam - jej myśli załamały się i przyjęły nowy kierunek. Po kilku sekundach uśmiechnęła się. - Liamie, odpowiedz mi na dwa pytania.

- Jakie dwa pytania? Jest późno, Miriam. Powinniśmy spać. Nic się nie rozwiąże tej nocy, choćbyśmy nie wiadomo jak długo rozmawiali.

- Owszem, coś można rozwiązać. Więc tylko dwa pytania. Pierwsze, czy to prawda, co wszyscy mówią, że Wellington wygnał Francuzów z Hiszpanii?

Spojrzał na nią w zdziwieniu. - Cóż na miłość boską ma z tobą wspólnego Wellington?

- Nie używaj imienia Boga nadaremnie. I odpowiedz mi, proszę. To prawda?

- Myślę, że to rzeczywiście prawda. Rząd tak mówi, a Robert twierdzi, że wszyscy dragoni Napoleona opuścili Andaluzję.

- Dobrze. A teraz drugie pytanie. Jak długo ten Hiszpan zamierza być w Londynie?

Liam potrząsnął głową. - Nie potrafię odgadnąć, jakie to ma znaczenie, ale chyba niezbyt długo. Miesiąc czy coś koło tego. Dlaczego?

- Nie kłopotz się dlaczego. Powiem ci, kiedy już wszystko opracuję.

Liam uśmiechnął się z pobłażaniem i poklepał ją po ręce. - Zrób to, moja droga. - Może była niemądrą kobietą, ale dobrą żoną. I rozmowa z nią zawsze mu pomagała. Liam przewrócił się na bok i zdołał w końcu zapaść w spokojny sen.

Miriam leżała długo, rozważając swój plan. Tak, zdecydowała w końcu, plan zadziała. Joseph był bystrym chłopcem, i nawet jeśli ten poskromiony Hiszpan Roberta nie zamierza zostać w Londynie tak długo, by nauczyć go języka, są inni guwernerzy, którzy mówią po hiszpańsku. Znajdzie jakiegoś. Jutro zacznie szukać. Ale powie Josephowi, że to niespodzianka i że nie ma mówić nic papie, póki nie będzie umiał posługiwać się tym szczególnym językiem. A już kiedy to nastąpi i kiedy będzie pokój, cóż stanie na przeszkodzie, żeby odwiedził Hiszpanię i spotkał się z wujem Robertem i kuzynem Rafaelem - i zbudował jakieś więzi rodzinne? Nic, uznała, i zasnęła uśmiechnięta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Robert powrócił do Kordoby po północy czwartego grudnia. Nie było go dłużej, niż planował; w drodze powrotnej z Kadyksu zatrzymał się w Jerezie i znalazł Federica Rueza bliskiego śmierci.

Młody człowiek został niemal zmiądzony przez jeden z potężnych dębów rosnących przy domu. By zaoszczędzić na wynajęciu robotników, ścinał drzewo, ale że był zbyt niedoświadczony, doszło do katastrofy. Robert pamiętał, że Federico maksymalnie ograniczał wydatki. Ponieważ czuł się winny i odpowiedzialny za tę sytuację, został w Jerezie, póki chirurg nie zapewnił go, że chociaż musiał amputować jedną z nóg młodzieńca, Federico będzie żył.

- Powiedz mi, że o ile wiem, nadal jest tu szefem i moim partnerem - powiedział Robert Marisol. - Nie potrzebuje dwóch nóg do robienia saku. I nigdzie nie ma winiarza, który mógłby się z nim równać.

Żona Federica była mu bezgranicznie wdzięczna. - Gracias, don Robercie. Jest pan najmiłszym człowiekiem w Andaluzji.

- Absurd, wiem, co leży w moim najlepszym interesie, i tyle - upierał się Robert. - Ale teraz muszę jechać, już jestem trzy dni spóźniony, a w Kordobie jest ktoś, kto będzie się o mnie martwił.

Marisol ukryła uśmiech za wachlarzem, ale Robert wyczytał go w jej oczach. A więc nawet tu w Jerezie wiedziano o kobiecie, którą teraz nazywano cesarzową. - Myślę, że lada dzień może się odbyć w pałacu przyjęcie weselne - powiedział śmiało. - Ale nie zdarzy się to, póki Federico nie wydobrzeje na tyle, by udać się w podróż, i oboje nie będziecie mogli zostać moimi gośćmi. - No, niech teraz plotkarki trochę to sobie poprzeżuwają.

Jak szatan przejechał resztę drogi, krew w nim śpiewała z podniecenia, ponieważ podjął decyzję, a instynkt mówił mu, że to właściwa decyzja. Poślubi Sofię. Będzie jego, wiedział, że będzie. Kochała go. A on kochał ją. Czym jeszcze mogła być ta tęsknota za jej towarzystwem albo to palenie w lędźwiach, kiedy myślał o pójściu z nią do łóżka? Nieważne, że żył w celibacie od ponad sześciu lat, nie chodziło o zwyczajne pożądanie kobiety. To Sofia, jej wyjątkowość, piękno zarówno jej duszy, jak i ciała.

Droga umykała spod kopyt jego konia, a on wyobrażał sobie, że słyszy fandango w poświęconym powietrzu i że falujące drzewa tańczą na jego cześć. Zaśmiał się głośno z radości.

Nie zadzwonił dzwonkiem do Patio del Recibo. Nie musiał budzić służby o tej porze; poza tym chciał się wśliznąć niepostrzeżenie do pałacu i znaleźć drogę do łóżka Sofii. Ona będzie półśpiąca, a on weźmie ją w ramiona, ściągnie jej jedwabną koszulę nocną i będzie się z nią kochał, zanim cokolwiek powie. Przypieczętują swój związek cieleśnie, zanim zrobią to słowami. Może tej nocy ona pocznie nowe dziecko. Ucieszyłoby go, gdyby tak się stało, ale nikt nie zajmie miejsca Rafaela, jego pierworodnego i dziedzica.

Robert przejechał Calle Averroes i skręcił w Calle Judios. Zatrzymał się przed bramą w wysokim murze, która prowadziła do stajni. Jeden krótki dźwięk dzwonka obudził młodego stajennego. - Ay, hidalgo! Nie powiedziano mi, że mam pana oczekiwać. - Chłopak przetarł senność z oczu jedną ręką, a drugą sięgnął po cugle.

- Nikt nie wiedział, że przyjadę - powiedział Robert. - Zaopiekuj się dobrze tym zwierzakiem, muchacho. Dobrze mi służył. - Przekazał konia parobkowi i przewiesił płaszcz przez drzwi boksu. - Masz jakąś świeżą wodę?

- W tej beczce, Hidalgo. Naniósłem jej wieczorem, żeby rano napoić konie.

- Będzie dobra. - Robert rozchlapał zimną, świeżą wodę na swój kark i szyję i roztarł ją na dłoniach. Nie mógł czekać na prawdziwą kąpiel, zanim pójdzie do Sofii. To powierzchowne mycie będzie musiało ją zastąpić.

Opuścił stajnię, wszedł do pałacu i ruszył na górę wąskimi schodami dla służby. Wszystko było ciemne i ciche, ale to mu sprzyjało. Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju Sofii i ściągnął buty. Na miłość boską! Nie mógłby wejść do jej łóżka w tak zabłoconym obuwiu. Szeroko uśmiechnięty, Robert otworzył drzwi, potem zamknął je starannie za sobą i ruszył cichutko przez turecki dywan pokrywający podłogę.

Zasłony na balkon były odsunięte i pokój oświetlał księżyc, ale zaciągnięte były zasłony wokół łóżka. Rozdzielił je i schylił się, by ją ucałować. Łóżko było puste.

Nagle strach ścisnął brzuch Roberta. Gdzie ona mogła być o tej porze? Pamiętał, jak poczuł się, kiedy ostatnio wrócił z Jerezu, a Angelina powiedziała mu, że Gitanita i Rafael zniknęli. Bez trudu uwierzył, że wzięła dziecko i opuściła go równie nagle, jak się pojawiła. Ale tak było, kiedy jeszcze nie wiedział, że Rafi jest jego synem, zanim przyznała to, zanim pocałował ją w bibliotece i zobaczył, jak fala pożądania przepływa przez nią tak jak przez niego.

Powiedział sobie to wszystko, ale wciąż trzymał go w uścisku ból utraty. Nie było jej tu. Cóż innego mogło to oznaczać prócz tego, że odeszła. A jeśli odeszła, oczywiste jest, że wzięła ze sobą Rafaela. Popędzany lękiem i gniewem, Robert przebiegł pokój, do którego wszedł z radością kochanka. Popędził do pokoju syna. Cienka linia światła jaśniała pod drzwiami. Zatrzymał się, przycisnął ucho do drzwi i słuchał. Dobiegł zza nich wyraźny pomruk dwóch głosów - chłopca i jego matki.

Robert wziął głęboki, uspokajający oddech. Dwie osoby, które kochał, były tu razem. Może chłopiec był chory albo nękały go złe sny po tym koszmarnym doświadczeniu z Cyganem. Licho wie, to bez różnicy. On tu jest i oni też, i razem będą dzielić wszelkie trudy. Robert otworzył drzwi nie pukając.

Lampa olejna rozsiewała w pokoju delikatne światło. Rafael nie leżał w łóżku. Stał na środku podłogi plecami do Roberta, patrząc na swoje odbicie w wielkim lustrze w pozłacanych ramach. Sofia stała za nim, dłonie lekko opierała na jego ramionach. Miała na sobie nocne odzienie, koszulę i peniuar z bladej satyny, a włosy jej swobodnie spływały po ramionach i plecach. Jej subtelne piękno sprawiło, że Robert wstrzymał oddech i zaniemówił, choć chciał wygłosić powitanie, by oznajmić swą obecność. To Sofia podniosła wzrok i zauważyła odbicie Roberta w lustrze. Uśmiechnęła się do niego i nic nie powiedziała, ale odsunęła się, żeby mógł zobaczyć syna. Robert oderwał od niej wzrok i wpatrzył się w Rafaela.

Chłopiec był odziany w szeroki jedwabny szal modlitewny w białe - niebieskie wzory i gęsto przybrany frędzlami, miał też turban ze złotogłowiu. Maurowie przynieśli do Hiszpanii to nakrycie głowy, a kiedy odeszli, tylko żydzi kontynuowali tę tradycję. Summa summarum Rafael był odziany tak, że obwieszczał całemu światu, iż jest synem żydowskiego ojca.

- Co wy robicie, na miłość boską? - dopytywał się Robert. Widział już w wyobraźni jakichś gorliwych inkwizytorów wdzierających się przez drzwi.

- Pokazuję Rafaelowi jego prawdziwe dziedzictwo - powiedziała spokojnie Sofia. Odwróciła się i Robert zobaczył na jej twarzy coś, czego nie widział nigdy wcześniej. Sofia promieniała jakimś dziwnym mistycznym blaskiem. Przypominała mu tego mężczyznę, którego widział wsiadającego na statek, a może Harry'ego Hawkinsa: Rafael jeszcze nie zdawał sobie sprawy z obecności Roberta. Dziecko wydawało się oszołomione widokiem samego siebie w tym stroju.

- Sofio, zdaję sobie sprawę, że zrobiłaś to dla mnie i jestem wdzięczny, ale...

- Nie tylko dla ciebie - przerwała mu. - Także dla siebie i dla Rafiego.

Mówiła bez sensu. Ale nic w tym pokoju nie miało sensu. - Skąd wzięliście te rzeczy? - Wskazał na odzież, w którą ubrany był jego syn.

- Z groty. Są bardzo stare, ale wciąż w doskonałym stanie.

- Z groty... jakiej groty?

- Tej w Patio de la Reja.

Hay un tesoro en la cueva. W grocie jest skarb. Dobry Boże, pamiętał te słowa, nigdy ich nie zapomni. Ale przecież nie było żadnej groty ani żadnego skarbu. - W starym skarbcu? Ale przeszukiwałem go wiele razy. Był pusty i nie jest na tyle duży, by była tam grotka.

- Grotka jest za tym, co nazywasz skarbcem. Była straszna burza i w tylną ścianę uderzył piorun. Byłam tam wtedy. Ledwie mnie minął. Spójrz. - Podniosła włosy, które skrywały jej lewą skroń, i zobaczył brzydki wypalony znak, który ledwie zaczynał się goić.

- Musisz to wyleczyć - powiedział od razu. - W przeciwnym wypadku zacznie się jątrzyć i wywoła gorączkę.

Niecierpliwie potrząsnęła głową. - Leczyłam, to teraz nie jest ważne. Tylna ściana starego skarbcza została zniszczona. To nie była ściana, została tak sprytnie zrobiona. A za nią znalazłam ten tałes.

- Odwróciła się do Rafaela i wskazała jedwab paskowanego szala.

- I chciałaś zrobić coś, co sprawiłoby mi przyjemność - powiedział spokojnie Robert. - Dziękuję, moja droga, ale...

- Powiedziała ci - znowu mu przerwała. - To nie tylko dla ciebie. Rafi, gdzie twoje maniery? Nie przywitałeś się jeszcze z Robertem.

Chłopiec w końcu oderwał się od swojego obrazu w lustrze. Odwrócił się. - Dobry wieczór, kuzynie Robercie.

Robert nienawidził, kiedy dziecko mówiło do niego w ten sposób, ale nie powiedzieli mu jeszcze prawdy. Nie mieli pojęcia, jak to zrobić. - Dobry wieczór, chłopcze - odpowiedział Robert. - Cóż porabiałeś, kiedy mnie nie było?

- Mamusia nauczyła mnie pieśni. Chcesz posłuchać? - Robert skinął głową. - Micha mocha - zaczął chłopiec. - Kto jest tobie równy, o Panie...

Robert słuchał słów i rozpoznał je jako hebrajskie, chociaż nie znał ich znaczenia. - Sofio, gdzie się tego nauczyłaś? Jak mogłaś nauczyć tego Rafiego?

- Nauczyłam się ich w synagodze w Bordeaux, gdzie się urodziłam - odpowiedziała cicho. - Mój dziadek zabierał mnie ze sobą co rano na modlitwy. Moja krew jest krwią żydowską. Nazywam się Sophie Valon.

W końcu zrozumiał. - Przypomniałaś sobie, co się stało, zanim zaczęłaś żyć z Cyganami - wyszeptał.

- Tak. Ujrzałam, co było w grocie, i dotknęłam tego... i przypomniałam sobie.

- Musiałam komuś zaufać - wyjaśniła, kiedy szli przez okryte mrokiem patia. - Nie mogłam sama wszystkiego ukryć i nie mogłam zostawić tego na widoku.

- Tak, rozumiem. Enrique?

- Tylko jego mogłam wybrać - przyznała. - Zabrałam go, kiedy burza się uciszyła.

Dotarli do Patio de la Reja i Robert spojrzął na to, co pokazywała Sofia. Puścił dłoń Rafaela. - Zostań z mamą, chłopcze - wymruczał, kiedy ruszył do kraty. Postawiono ją na nowo, a zawiasy i kłódka zapewniały bezpieczeństwo ukrytym za nią tajemnicom. W tyle Robert najpierw zobaczył tylko lekką pochyłość, która zawsze tu była, ale dostrzegł ciężką gobelinową zasłonę.

Sofia stanęła za nim. - Usunęliśmy gruz, powiesiliśmy zasłonę i z powrotem wstawiliśmy bramę. Nic innego nie dało się zrobić w krótkim czasie. Myślałam o postawieniu straży, ale to mogło

przyciągnąć uwagę. Co miałabym im powiedzieć? Służbie ufam, ale kto wie, z kim rozmawiają, kiedy ich tu nie ma, i co mówią?

- Mówią, że jesteś wiedźmą i zarazem cesarzową - wymruczał Robert. - I miałaś całkowitą słuszność; lepiej, że nie dałaś im powodu do plotek. Jak dostaniemy się do środka?

Sofia zdjęła z szyi łańcuszek z małym kluczykiem. - Była tu stara kłódka, ale nie mogliśmy znaleźć klucza. Następnego dnia po burzy Enrique dorobił ten u ślusarza.

Robert wziął klucz i otworzył kłódkę. Stara krata uchyliła się na świeżo naoliwionych i naprawionych zawiasach. - Chwała Enri - que'owi. Musimy go stosownie wynagrodzić.

- Tak zrobimy - powiedziała Sofia. - On się żeni. Obiecałam jemu i jego narzeczonej wielkie wesele.

Robert skinął głową, niezbyt zainteresowany prywatnymi związkami swojej służby. Odwrócił się do Rafiego, stojącego w milczeniu za nimi. Zanim wyszli z sypialni, zdjęli z chłopca cały religijny strój; teraz był zwykłym chłopcem w płóciennej koszuli. Gdyby to zależało od Roberta, Rafael zostałby utulony do snu w swoim łóżku, ale Sofia nalegała, by chłopiec poszedł z nimi. To było jego dziedzictwo, argumentowała, a on i tak dużo już musiał mu wyjaśniać.

- Byłeś tu już? - spytał chłopca.

- Tak, kuzynie Robercie. Mama mnie tu przyprowadziła. Ale wiem, że to jest wielka tajemnica i nikt oprócz ciebie, mamy i mnie nie ma wiedzieć, co jest w środku. Gdyby wyrwali mi paznokcie i wyłupili oczy, nie powiem - dodał dramatycznie.

Robert zadrzał. Dziecięcy głos wymawiający te makabryczne słowa był ponurym przypomnieniem o niebezpieczeństwie. Rafael był zbyt młody, by zdawać sobie sprawę, jak prawdziwe mogły się stać jego obietnice i o ile łatwiej było przeciwstawić się torturom, kiedy były tylko wyobrażeniem. - Nikt ci nic takiego nie robi, mój mały - obiecał - ponieważ nikt się o tym nie dowie. Bez względu na wszystko. - Sofia opisała mu, co znalazła w grocie, ale przyznała, że nie obejrzała wszystkiego.

Weszli za zasłonę i Robert podkręcił knot lampy, którą przyniósł. Podniósł ją i rozejrzał się dookoła. - Dobry Boże! Jaki skarb. To niewiarygodne. Nic dziwnego, że nie sprawdziłaś wszystkiego.

- Nie tylko dlatego, że tu jest tego tak dużo - powiedziała. - Za każdym razem, kiedy tu przychodziłam, znajdowałam coś nowego, czego nie widziałam poprzednio. Jak to. - Sofia podniosła małą skrzyneczkę. Była tak mała, że mieściła się w jej dłoni; obito ją wytłaczaną czerwoną skórą i ozdobiono złotem. Miała maleńki złoty zameczek i kiedy Sofia go otworzyła i podniosła wieczko, westchnęła z przyjemnością. - Spójrz. - Wyjęła maleńką koronkową czapkę, najwyraźniej zrobioną dla dziecka. - Wciąż znajduję tu takie rzeczy. Jakie dziecko to nosiło, jak myślisz?

Robert sprawdził skrawek koronki. Powtarzał się na niej motyw lilii. - Nie mam pojęcia, ale ktokolwiek to nosił, dawno nie żyje. Idę o duży zakład, że ta mała czapka ma kilkaset lat. Nie potrafię tego udowodnić, po prostu tak wygląda.

- Tak też myślę - zgodziła się Sofia. - Czy ty nic nie wiesz o tej grocie, Robercie? Żadnych starych rodzinnych historii czy legend?

Potrząsnął głową. - Tylko jakieś zupełnie niejasne bzdury, przynajmniej aż do dziś myślałem, że to bzdury. Domingo poszukiwał czegoś przed laty, kiedy tu byłem po raz pierwszy, i jak ci mówiłem, jest ten napis pod kamieniem w pokoju ze znakiem na ścianie.

- Ale nie ma daty - powiedziała z namysłem.

- Żadnej. Co w tym jest? - Robert zerknął pod wieko jednej z małych beczek. Była pełna iluminowanych rękopisów napisanych na welinie. Trzymał jeden nad światłem latarni. - Na miłość boską! W życiu bym nie uwierzył, że coś takiego istnieje, że mogli ocalić historię Żydów w Hiszpanii. Spójrz na to.

Pierwsza strona woluminu była obwiedziona na rudo i niebiesko. Na dole i górze był starannie narysowany paw, a po każdej stronie lew. Pod górnym pawiem było czterech mężczyzn, którzy najwyraźniej dyskutowali. Siedzieli na krzesłach ozdobionych szescioramienną gwiazdą Dawida. Poniżej widniał hebrajski napis. - Potrafisz to odczytać? - spytał Robert.

- Nie - odparła Sofia. - Tym większa szkoda. Ale Robercie, spójrz, u góry jest data.

Tam, gdzie wskazywał jej palec, zobaczył rzymskie cyfry MCCLXXV. Robert myślał chwilę. - Rok 1275 - powiedział.

- Niewiarygodne. To ponad dwieście lat przed wygnaniem Żydów z Hiszpanii. I przed tym, jak Mendozowie z Kordoby zdecydowali, że powinni przejść na katolicyzm.

- Tego właśnie poszukiwałam przez te wszystkie lata - wyszeptała Sofia. Ton jej głosu powiedział mu, że jakoś dotknął jej najgłębszych myśli. - Ty i ja mamy przynieść...

- Mamusiu, spójrz na to! - Głos Rafaela przerwał matce. Zabłąkał się na tyły groty i teraz przywoływał Roberta i Sofię.

- Otworzyłem ten wielki kufer z tyłu i patrzcie, co znalazłem. Robert doszedł z latarnią do syna stojącego wśród wielkich skrzyń.

Rafi po kolana tonął w monetach. - Boże wielki! - wykrzyknął Robert. - Nie tylko religijne cacka pochowali ci chytry starzy Mendozowie. - Wyciągnął chłopca ze skrzyni, sięgnął i wyjął jedną z monet, ale nie od razu ją sprawdził. Na pewno są bez wartości, powiedział sobie, na pewno dawno wyszły z obiegu i są bez wartości, jeśli pochodzą z tego samego okresu co rękopis. Ponieważ w tamtych czasach...

Spojrzał na monetę, którą trzymał w dłoni. Środek zdobiła głowa mężczyzny, ale była zbyt zatarta, żeby mu coś powiedzieć. Na obrzeżu biegł napis po łacinie. - Sit tibi, Christe - przeczytał na głos. - Nie mogę odczytać reszty. - Przerwał i zastanowił się nad tłumaczeniem: - „Niech tobie, Chryste”. Sofio, Boże dopomóż mi, myślę, że to początek napisu na złotych dukatach bitych przez księcia Puglii. Jakies siedemset lat temu.

Pokazał jej monetę, potem ją ugryzł. - To złoto - wyszeptał, w jego głosie brzmiała groza. - Stawiam moją duszę, że to genueńskie złote dukaty. - Odwrócił się do Sofii. - Masz pojęcie, co to znaczy, jeśli mam rację?

- Czy to to samo co złoto?

- Jak najbardziej to samo. Był wzorzec, którego sztywno się trzymało. Dukat miał pięćdziesiąt cztery gramy czystego złota. Nigdy tego nie zmieniono i z tego powodu pozostawały w obiegu przez długi czas. Więc jeśli te są z trzynastego wieku albo nawet z czternastego, to właśnie złoto. Nie mieli żadnej innej waluty. Nie bili monety z nieszlachetnego metalu, miała być równa złotu lub srebru. Tak kiedyś było, teraz jest inaczej. Moneta musiała być silna, resztę załatwiał handel wymienny.

Ukląkł przy skrzyni i zanurzył rękę po łokieć w skarbie. - Jest tego sporo. Potrzebuję wagi, pióra i papieru, jeśli mam policzyć, co tu mamy, ale to fortuna, Sofio. Fortuna, do diabła.

Sofia milczeniem skwitowała to oznajmienie, ale ciszę przerwał pisk Rafaela. - Kuzynie Robercie, tam jest jeszcze jedna skrzynia z tym samym w środku. I są jeszcze dwie, ale nie mogę ich otworzyć, bo są zamknięte.

Robertowi na chwilę zrobiło się słabo. Potem ryknął potężnym śmiechem, z którym uszły emocje. - Znowu jesteśmy bogaci, na Boga! Och, Farola, czeka cię lanie, chłopcze. Trzymam cię, jak to się mówi, za jaja. - Znowu się roześmiał, potem zobaczył zdumione oblicze Sofii i zdał sobie sprawę, że niechcący mówił po angielsku.

Podskoczył i uściskał Sofię. - Nie martw się, wyjaśnię ci to później. - Odchylił głowę i spojrzał na nią. - I wyjaśnię też inne rzeczy. - Rafael przyłączył się do nich, Robert wyciągnął ramię i przyłączył syna do uścisku.

- Como tu guieres - wyszeptała Sofia. - Jak sobie życzysz, zaczekam, aż wyjaśnisz, ale musimy pozostać ostrożni, Robercie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Zgadzam się. Zachowuję się jak głupiec. - Zniżył głos i wyjął zegarek na łańcuszku z kieszeni kamizelki. - Jest po drugiej, ale dla mnie to najlepszy czas, żeby zacząć robotę. Sofio, ty i Rafi musicie iść do łóżek. Chcę wiedzieć, że leżycie tam spokojnie. Potem pójde do gabinetu i wezmę to, czego potrzebuję, wrócę i postaram się policzyć, co mamy tu w naszej grocie ze skarbami.

Sofia spała spokojnie po raz pierwszy od dnia, kiedy Robert wyjechał do Kadyksu. Nawet odkrycie groty i rewelacje z tym związane nie oderwały jej całkowicie od zamartwiania się Robertem. Ale teraz był bezpieczny. I znowu mieli złoto, tyle, żeby zabezpieczyć przyszłość Rafaela i wprowadzić w czyn plan, który układała od czasu, gdy wzięła tańs w swoje dłonie. Spała bez snów i głęboko przez cztery godziny, a kiedy się obudziła, to dlatego, że Robert usiadł na skraju jej łóżka i ujął jej dłoń.

- Dzień dobry - powiedział delikatnie. - Dopiero wschód, ale nie mogłem czekać.

- Dzień dobry, wyglądasz na zmęczonego. - Podniosła rękę i położyła ją na jego policzku.

- Być może, ale nigdy nie straciłem snu z lepszego powodu. To jest milion, moja droga. Nie zakończyłem ważenia, nie było czasu, ale jest wiele, wiele milionów. Znowu jesteśmy bezpieczni i mamy przyszłość - ty, ja i nasz syn.

- A junta w Sewilli nie ma żadnej - powiedziała uśmiechnięta.
- A przynajmniej nie są już teraz tak bezpieczni.
- Jak to sobie wyliczyłaś? - spytał zdumiony jej intuicją.
- To nie było trudne. Kiedy paplałeś w tym barbarzyńskim języku, który nazywasz angielskim, rozpoznałam nazwisko Farola. Więc wiedziałam, że masz jakiś plan, żeby policzyć się z juntą.

- Roześmiała się lekko na widok jego zdziwienia.
- Jesteś cudem - powiedział. - Bardzo pięknym cudem, mógłbym dodać. - Wyglądała zachwycająco, z twarzą wciąż zarumienioną od snu i piersiami wzierającymi spod delikatnej jedwabnej koszuli nocnej. Robert schylił głowę i przyłożył usta do wzniesienia kremowego ciała.

Pocałunek zaskoczył Sofię, westchnęła, potem przyłożyła dłoń do jego głowy i przycisnęła bliżej jego twarz. - Robercie - wyszeptała leciutko. - Och, Robercie...

Chciał powiedzieć jej, co zdecydował w drodze powrotnej z Jerezu, zanim wiedział, że przyszłość, która ich czeka, jest naprawdę cudowna. Ale nie mógł mówić, jego usta pragnęły tylko być wypełnione twardymi różowymi sutkami jej piersi, a potem jej ustami i jej językiem. Przebiegał po niej dłońmi, pieszcząc je przez lekką tkaninę koszuli, póki się z niej nie wysliznęła i szarpnęła za pasek jego spodni. Musiał oderwać się od niej na chwilę, by ściągnąć swoje ubranie. Potem leżał już przy niej, trzymając ją w ramionach, czując wilgotne ciepło jej oddechu i gorącą skórę. - Chcę, żebyśmy wzięli ślub

- wyszeptał w jej włosy, kiedy przytulił ją do siebie. - Kocham cię i chcę, żebyśmy wzięli ślub.

- Ciii. Nie mów nic. Tylko mnie kochaj.

- Ale wyjdiesz za mnie? Powiedz, że wyjdiesz.

- Wyjdę za ciebie, mój miły - wyszeptała Sofia. - Jakoś znajdziemy rabiego i poślubię cię, i będę cię kochać do końca życia.

Z jękiem namiętności i triumfu posiadł ją, i poczuł, że ma przed sobą przyszłość.

Powóz leniwie pokonywał drogę. Robert patrzył na Sewillę, która z każdym uderzeniem końskich kopyt była coraz bliżej. Wkrótce Enrique ściągnął cugle na Plaza del Triunfo. Robert wysiadł z powozu i ruszył do Alcazaru, tej twierdzy najpierw wzniesionej przez Maurów, potem przejętej przez chrześcijańskich królów. Wejście

przez Puerto del Lion, bramę lwa. To on zaproponował miejsce spotkania, ale kim był Daniel - Farola czy on sam?

Grand czekał na niego. - Witam, don Robercie, od dawna pragnąłem znowu zobaczyć angielskiego hidalga. - Dwóch mężczyzn obserwowało się wzajem. - Mówiono mi, że jest pan szalony

- wymruczał Farola po kilku sekundach. - A nie wygląda pan na szaleńca.

- Bo nim nie jestem. - Robert wskazał na kamienne siedzenie w rogu. - Usiądziemy?

Podeszli razem do ławki. Farola nie tracił czasu. - Bez względu na stan pańskiego umysłu, don Robercie, pozostaje pan Anglikiem i żydem, a w dodatku człowiekiem, który nie ma nic prócz ziemi. Jaki interes możemy mieć do omówienia?

Robert się uśmiechnął. Atak był zbyt nagły, zbyt otwarty. Farola musiał być bardzo niespokojny. - Niezależnie od całej reszty, wciąż jestem głową rodu Mendozów.

- Przyznaję, że kiedyś to coś znaczyło, teraz nie znaczy nic. Robert nie połknął haczyka. - Proszę mi powiedzieć, czy macie pokrycie waluty, którą pan i junta emitujecie od trzech lat?

- Waluta jest mocna - powiedział książę. - Sugerowanie czegokolwiek innego jest śmieszne.

- Nie, nie jest - odparł Robert. - Ale chciałbym przedłożyć panu pewną propozycję. Pokryję waszą monetę. Złotem.

Farola odetchnął ciężko, nim doszedł do siebie. - Skąd zbankrutowany dom Mendozów może mieć złoto do zaoferowania juncie?

- Bankructwo jest być może stanem umysłu. Kiedy człowiek staje w obliczu kryzysu, czasami przekonuje się, że nie ma punktu zaczepienia. To nie znaczy, że tak jest w istocie.

Farola odchylił głowę i przyjrzał się Anglikowi. - Nie wygląda pan na obłąkańca, wbrew temu, co mówią. Domyślam się, że jest możliwe, żeby człowiek chory odzyskał zmysły. Mówiono mi, że w dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe. Ale skąd mam wiedzieć, że pańska propozycja jest prawdziwa?

- Ile monet puściliście w obieg przez ostatnie trzy miesiące?

- odparował Robert.

- Nie jestem pewien, równowartość miliona reali, może dwóch milionów.

- Świetnie, do końca tygodnia będziecie mieli złoto o równowartości dwóch milionów reali. W dukatach - dodał. Poczł przyplw uniesienia, falę czystej radości, która zwykle towarzyszy zawieraniu korzystnej transakcji. Trzymał wszystkie słomki, krótkie i długie, i będzie wydzielał je grandowi wedle swojego widzimisie.

- W dukatach, jakżeż osobliwie - powiedział Farola. - Niemniej jednak jest to zacna propozycja. Przyjmijmy dla dobra naszej rozmowy, że pańskie czyny są równe słowom. O co prosi pan w zamian?

- Po pierwsze, chciałbym znać warunki nowej konstytucji, która zostanie przedłożona Kortezom.

- Jej treść jest sekretem. Kiedy, i jeśli, zostanie obwieszczona, pozna ją cała Hiszpania.

- Ja nie jestem całą Hiszpanią - oznajmił Robert spokojnie.

- I gdybym nie chorował tyle czasu - dodał szczerze - musielibycie włączyć mnie do junty i dalszych obrad.

- To prawda. - Księżę wstał i przeszedł się po sali. Robert obserwował go w milczeniu. Mijały minuty. W końcu mężczyzna powrócił do ławki. - Złoto jest osiągalne? Przysięga pan?

- Przysięgam.

Farola westchnął. Wyraźnie potrzebował złota. Domysły Roberta były słuszne. Waluta junty była bez pokrycia, załamałaby się przy pierwszej próbie sił. - Bardzo dobrze - powiedział spokojnie księżę.

- Ale jeśli mnie pan zdradzi, zabiję pana, don Robercie.

- Zdradzanie pana nie leży w moim interesie.

Farola skinął głową. - To prawda. A więc konstytucja... - Usiadł przy Robercie i przemówił szeptem. - Znosimy tortury i niewolnictwo i... - przerwał i spojrział na Roberta. - I zniesiony zostaje Trybunał Świętej Inkwizycji.

Robert zachował kamienny wyraz twarzy. - A więc w tej cudownej nowej Hiszpanii, którą zamierzacie stworzyć, ma być wolność wyznania?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie, to ja powiedziałem. Mam słusność?

Farola odwrócił wzrok. - Nie możemy zrobić nowej Hiszpanii, tylko przenieść tę starą w XIX wiek. Proponowana konstytucja stanowi, że tylko religia rzymskokatolicka jest, i powinna być na

wieki, wiarą narodu hiszpańskiego. Wyznawanie wszelkich innych religii będzie prawnie zakazane.

Robert wstał. - Życzę panu miłego dnia, książę. Nie mamy już o czym rozmawiać.

Szedł do drzwi, póki nie zatrzymał go głos Faroli. - Don Robercie, jesteśmy tylko ludźmi - odezwał się ze spokojem. - Nie możemy czynić cudów. To nie jest Francja ani Prusy, ani nawet Anglia. To jest Hiszpania. Żyje pan wśród nas tak długo i tak niewiele pan rozumie z naszego charakteru?

Robert zatrzymał się, ale się nie odwrócił. Usłyszał głos Dominga, starego hidalga, który powiedział mu mniej więcej to samo pierwszego dnia, kiedy postawił stopę w Palacio Mendoza. - Możliwe - wymruczał - ale w waszym nowym wspaniałym świecie niewiele widzę korzyści dla siebie. Za ilość złota, o której mówimy, chcę czegoś więcej.

- Tak myślałem - powiedział Farola łagodnie. - Czego?

- Oficjalnego banku Andaluzji, całej Hiszpanii, jeśli to możliwe.

- Ach, rozumiem. Mówiono mi, że taką właśnie cenę zaproponował panu Napoleon, kiedy zawarł pan diabelskie przymierze. Wygląda na to, że nie zmyślali.

- Zgadza się pan?

Książę wzruszył ramionami. - Jak mogę się zgodzić? To, co pan proponuje, dałoby rodzinie Mendozów potężną władzę, większą niż kiedykolwiek miała. A poza tym, że jest pan hidalgiem, jest pan Anglikiem. Mogę to przeżuć, don Robercie, ale nie mogę tego przełknąć.

- A więc moje pochodzenie wywołuje pańską niestrawność?

- Robert uśmiechnął się. - Ale ja pochodzę z hiszpańskiego pnia. Jestem tak samo Andaluzjczykiem jak pan.

- Nie do końca.

Robert skinął głową. - Prawda, ale moja religia nie jest przedmiotem tej debaty.

- Szczerze mówiąc, mało obchodzi mnie pańska religia. Ale w juncie są bardziej pobożni ode mnie. Trudno im będzie robić coś razem z kimś, kogo postrzegają jako żyda.

- Powiedziałem już, że to nie jest kwestia omawiana w tej dyskusji.

- Owszem, ale Mendozowie mają długą historię kompromisów, talent do przystosowywania się. Nie potrafi pan gorliwie naśladować niezawodnych umiejętności swoich przodków?

- W jaki sposób?

- Tylko mały gest, może dwa. Pańska kochanka, na przykład... - Robert ruszył przed siebie, ale Farola podniósł dłoń. - Nie, nie zrozumiał mnie pan. Nie chciałem okazać tej damie braku poważania. Ona jest bohaterką, poza tym życie nie było normalne w tych trudnych czasach. Ale idzie ku lepszemu. Dragoni odeszli. Gdyby więc uznał pan za stosowne poślubić kobietę, którą cała Hiszpania uważa i uwielbia, i zrobić to w ceremonii katolickiej, którą cała Hiszpania mogłaby zobaczyć, cóż, myślę, że wtedy moglibyśmy uciszyć lęki junty i wszystkich innych.

- A bank?

- Myślę, że byłoby to zapewnione. Pomijając wszystko inne, musi być jakaś instytucja do administrowania całym tym złotem dostarczonym przez rodzinę Mendozów.

Opuszczając pałac Faroli Robert przyglądał się wspaniałej budowli. W Palacio Mendoza cała ta wspaniałość była skryta za wysokimi murami; ten pałac ogłaszał swoją chwałę światu. Z Mendozami nigdy tak nie było, zadumał się Robert. Ponieważ nawet kiedy nie byli już żydami, nie ośmielili się puszyć swoim bogactwem. Zazdrość na długo zapisywała się w pamięci i dostarczała im wielu wrogów z pałkami, po które zawsze mogli sięgnąć. Niech będzie. Pokolenia Mendozów były cierpliwe, teraz przyszła jego kolej.

Robert wychylił się przez okno. - Jedź, Enrique. Zabierz nas do domu.

Nie miał pojęcia, jak przekona Sofię, że muszą wziąć ślub w katedrze u księdza, teraz, kiedy była tak zafascynowana nowo odkrytym żydowskim pochodzeniem. Wydawało się to mniej możliwe niż kiedykolwiek, od spotkania po powrocie w Patio de la Reja. Wciąż bił od niej mistyczny blask. I nie marnowała ani chwili, od razu zapytała go, jak poszły sprawy w Sewilli.

- Robercie, zrobiłam najwspanialsze odkrycie. Nie uwierzysz w to. Ale będziesz musiał, bo zobaczysz to na własne oczy. - Wzięła go za rękę i poprowadziła do pałacu.

- Sofio, dokąd idziesz? Czy to nie może poczekać? Muszę z tobą omówić wiele rzeczy.

- Nie, to nie może czekać. Od trzech dni wychodzę z siebie z niecierpliwości. To najważniejsze wydarzenie w całej historii twojej rodziny.

Poprowadziła go do Patio de las Mujeres, przy starym pokoju z fryzem z liści akantu. Robert zatrzymał się i nie pozwolił jej ciągnąć się dalej. - Myślę, że potrafię zgadnąć, dokąd mnie zabierasz i po co.

Sofia spojrzała na niego, uśmiechnęła się i skinęła głową. - Chodź, zobacz - wyszeptała. - Wypolerowałam ją sama i jest piękna.

Znalazła płytę, która kiedyś wisiała w pokoju, tę, która pozostawiła znak na ścianie. - Wiedziałam, co to jest, kiedy odkryłam to w tyle grotty - wyjaśniła. - Zapamiętałam ten kształt i pamiętałam wisior, który pokazałeś mi tego dnia, kiedy przysięgaliśmy chronić Rafaela.

Powiesiła płytę, a ona dokładnie pokryła znak. Była subtelnie ozdobiona płatkami, liśćmi i kwiatami; hebrajskie litery wycięte głęboko pociemniały przez wieki, ale to tylko sprawiło, że bardziej wyróżniały się na tle błyszczącego mosiężnego tła. - Słowa są dokładnie takie same jak na twoim wisiorze - powiedziała Sofia.

- Przyniosłam to tu i porównałam.

- Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica...
- zacytował Robert cicho. Stał i patrzył przez chwilę, potem odwrócił się do niej, ujął ją za obie dłonie i przyciągnął do siebie. - Moja droga, to nie może tu zostać.

- Dlaczego nie?

- Sofio, zapomniałaś, gdzie jesteśmy? To jest Hiszpania, nie Francja. A ty jesteś dorosłą kobietą, a nie dzieckiem. To, co wyгнаło naszych przodków, Inkwizycja, wciąż istnieje i wciąż ściga żydów. Ma być zniesiona, ale praktykowanie jakiegokolwiek innej religii poza katolicyzmem wciąż będzie przestępstwem. Kto jeszcze to widział?

Zwiesiła głowę. - Nikt. Zamknęłam pokój i nie pozwoliłam nikomu wejść. Ale miałam nadzieję, że kiedy wrócisz, kiedy zawrzesz swoją umowę z juntą, może...

- Mogłem się umówić z juntą, jak chciałem - powiedział jej.

- Ale chodziło o interesy, moja miła, nie o cuda. Sofio, jesteś opętana przez to, co sobie przypomniałaś, i ja to rozumiem. Ale nie możesz zapomnieć, że wciąż trzeba chronić Rafiego.

- Chcę, żeby rósł jako żyd - wyszeptała. - Och, Robercie, tak bardzo tego chcę.

- Wiem. Ale nie może. Nie publicznie, nie jeśli mamy zamiar utrzymać go przy sobie.

- Przy sobie? A gdzie jeszcze miałby być?

- Może w Anglii. Łatwiej skrycie być żydem w Anglii.

- Myślisz o odesłaniu go do twojego brata?

- Gdyby Liam był tak łaskawy dla mnie, jest taka możliwość.

- Ale ty nie wrócisz do Londynu?

Robert potrząsnął głową. - Moje życie jest tutaj, Sofio, moje przeznaczenie. Obiecałem mojemu ojcu, że przejmę dom w Kordobie i uczynię go wielkim. Mam drugą szansę dotrzymać tej obietnicy. Nie mogę odwrócić się do tego plecami.

Sofia złożyła dłonie i przycisnęła je do serca, jakby chwycił ją śmiertelny ból. Odwróciła się i spojrzała na mosiężną płytę. - Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie... - wyszeptała. - Ale ty sugerujesz, że to właśnie mamy zrobić, prawda? Musimy zapomnieć, że jesteśmy żydami. Albo odesłać swojego syna.

- Niezupełnie - odparł spokojnie Robert. - Mój ojciec kiedyś powiedział mi o tym motcie rodzinnym. Zostało przyjęte przed wiekami, kiedy Mendozowie byli na wygnaniu w Afryce. Człowiek, który je zapoczątkował, chciał, żeby jego dzieci myślały o Kordobie jako Jeruzalem. To Kordoby miały nigdy nie zapomnieć.

- A Rafael?

- Kordoba jest dziedzictwem Rafaela, moja miła. A on jest naszą przyszłością. Należy do tego miejsca tak samo jak my. Możemy mu powiedzieć o jego żydowskim dziedzictwie, nawet nauczyć go o judaizmie, choć Bóg raczy wiedzieć jak, skoro ty i ja praktycznie nic o nim nie wiemy, ale cokolwiek robimy, musi to być tajemnicą. I będziemy musieli znowu zamurować grotę i zostawić w ukryciu te wszystkie rzeczy. Rafi zrozumie, co to jest tajemnica. A zrozumie lepiej, kiedy dorośnie.

Sofia przez długi czas nic nie mówiła, potem podniosła na niego wzrok. - Robercie, ja wiem coś o judaizmie, przypomniałam sobie. Nie powinieneś używać imienia Boga swego nadaremno. Jeśli więc obiecasz, że przestaniesz mówić Bóg to, Bóg tamto, na miłość boską, może będziemy mogli zrobić żyda z Rafaela. Weźmiesz tę płytę do groty czy ja mam to zrobić?

- Zrobimy to razem.

Usunęli kawałek brązu ze ściany. - Możesz znaleźć coś, żeby to zawinąć? - spytał Robert. - Nie powinniśmy chyba tego tak zostawiać.

Sofia zniknęła na parę minut. Kiedy wróciła, niosła białe - niebieski szal modlitewny, który miał na sobie Rafael w noc powrotu Roberta z Jerezu. - Nada się?

- Nada się znakomicie - powiedział Robert uroczyście. Owinęli płytę w tałas i zanieśli ją do jaskini.

- Nie na zawsze - powiedziała Sofia, rozglądając się po beczułkach, urnach i skrzyniach, które zawierały serce i duszę tego, czym kiedyś byli Mendozowie i czym znowu jej zdaniem powinni się stać. - Tylko na teraz.

Robert dostrzegł łzy w jej oczach. - Nie płacz, kochana moja. Chronimy naszego syna, tak jak przysięgaliśmy. Nie pamiętasz?

Skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu. Robert pociągnął palcem po jej policzku. - Dom Mendozów przetrwa i będzie kwitł tu, w Kordobie, gdzie powinien być - i nie tylko dla ciebie czy dla mnie, lecz dla Rafaela i dla synów, którzy po nim nadejdą. A któregoś dnia świat się odmieni.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej - powiedział. - Wiatry przemian wieją, moja mała Cyganko, ale nas nie zwieją. Staniemy na wietrze, czy przyniesie on burzę czy ciszę, i to uczyni nas silnymi. A kiedy wiatr ucichnie, Sofio, daję ci moje słowo, Mendozowie wciąż tu będą.

HISTORIA, KTÓRA ZDARZYŁA SIĘ PÓŹNIEJ

W roku 1812 Napoleon najechał Rosję i został pokonany przez jej niezmierzoną przestrzeń i ciężką, lodowatą zimę. Potem jego gwiazda blakła i rozbłyskała, ale na zawsze już przestał być niezwyciężony. W 1815 roku Wellington zadał mu decydujący cios pod Waterloo, a Napoleon poddał się Brytyjczykom i został zesłany na bezludną Wyspę Świętej Heleny na południowym Atlantyku. Tam zmarł w 1821 roku. W 1840 lud francuski sprowadził jego szczątki do ojczyzny i pochował je uroczyście w kościele Inwalidów.

Także w 1812 roku, 19 marca, w Kadyksie Kortezy złożone z reprezentantów różnych prowincjonalnych junt ogłosiły hiszpańską konstytucję. W 1814 Ferdynand VII został przywrócony na tron i wprowadził okrutną i represyjną władzę absolutną. Zniósł konstytucję i stracił kolonie; już tylko Portoryko, Kuba i Manila pozostały pod władzą Hiszpanii. Andaluzyja zubożała, swe bogactwo zawdzięczała bowiem handlowi z Ameryką; zaprzepaściła, jak i cała Hiszpania, możliwość stania się częścią współczesnej Europy. Została najbiedniejszą prowincją, a gerylasi zasilili szeregi ludzi będących często na bakier z prawem.

A Mendozowie? Ach, to już inna historia...